

The image shows the front cover of a book. The background is a photograph of a woman from the chest down, wearing a white, off-the-shoulder, ruffled gown and white gloves. She is seated, and the background behind her is a solid, deep red color. The text is overlaid on the image. At the top right, there is a promotional tagline in white italicized font. The author's name, 'Jo Beverley', is written in a large, elegant, gold-colored script font in the center. Below the author's name, the title 'Tajemniczy Książę' is written in a red, serif font, with the first letter 'T' being significantly larger than the rest of the title.

*Lubisz romanse historyczne?  
Przeczytaj koniecznie!*

*Jo  
Beverley*

**T**AJEMNICZY  
KSIĄŻĘ

*Beverley Jo*

*Malloren 10*

## *Tajemniczy Księżę*

*Bella Barstowe, uprowadzona i uwięziona w tawernie w Dover, zostaje uratowana przez kapitana Rose, mężczyznę na pozór równie niebezpiecznego jak ci, co ją porwali. Kradnie więc wierzchowca swego wybawcy i zniką w mroku nocy. Kiedy po latach dowiaduje się, kto stał za jej uprowadzeniem, postanawia odszukać tego, który ją uratował. Nie wie jednak, że kapitan Rose to nikt inny, jak budzący podziw i lęk księżę Ithorne. Zaintrygowany wezwaniem od tajemniczej kobiety z przeszłości, wyrusza ochoczo na spotkanie. Razem stawia czoło niebezpieczeństwu oraz rosnącej napiętości, która nie miała prawa się wydarzyć.*

## ***Rozdział 1***

### ***Dover, rok 1760***

Śmiech może przybierać różne formy, odzwierciedlać różne stany emocjonalne: od czystej radości szczęśliwego dziecka po chichot szaleńca. Śmiech, który zakłócił ciszę pogrążonego w ciemności i mgle Dover brzmiał jak rechot okrutnego drapieżcy, który dopadł właśnie bezbronną ofiarę.

Jego dźwięk sprawił, że podążający ulicą mężczyzna się zatrzymał.

Po lewej woda uderzała o nabrzeże, a wiatr szarpał takielunkiem przycumowanych statków. Nieco dalej pobrzękiwała metalicznie boja, podskakując na wysokiej fali. Po prawej latarnie zawieszane na pobliskim budynku rozpraszały nieco mgłę, dostarczając jedynie tyle światła, by dało się wyminąć co bardziej okazałe przeszkody - zaśmiecające nabrzeże zwoje lin, fragmenty gnijących bali i połamanych beczek, z których wyciekała cuchnąca zawartość.

Mężczyzna potrząsnął głową i ruszył dalej, lecz śmiech rozległ się znowu, tym razem przerwany ostrym słowem. Nie był w stanie zrozumieć, co zostało powiedziane, głos brzmiał jednak, jakby należał do kobiety.

Co prawda mógł to być chłopiec okrętowy, z którego podśmiewali się marynarze, lub dziwka doskonale wiedząca, jak przetrwać w niebezpiecznej okolicy. Nic, czym powinien lub chciałby się interesować.

Lecz potem usłyszał kilka następnych słów. Wypowiedzianych wyższym, pełnym napięcia, lecz władczym tonem. Nie chłopiec. I niemal na pewno nie dziwka. Ale co przyzwoita kobieta mogłaby robić w porcie w zimny październikowy wieczór?

A niech to wszyscy diabli! Spędził na morzu dwie doby, przemarzył i nie mógł się już doczekać smacznego posiłku oraz ciepłego łóżka czekającego nań w tawernie Busola. Rankiem zamierzał opuścić Devon i wrócić do domu.

Nasłuchiwał przez chwilę, lecz nie usłyszał nic więcej.

Cokolwiek się tam działo, zapewne było już po wszystkim. Jednak kolejny wybuch głośniego, wulgarnego śmiechu i towarzyszące mu pogwizdywania sprawiły, że zaklął znowu i skierował się w stronę źródła hałasu. Jedna z rzucających przymglone światło kul wskazywała zapewne wejście do tawerny, ale poza tym niewiele dało się dostrzec.

Gdy podszedł bliżej, zobaczył dwa niewielkie okna, umieszczone po obu stronach krzywych drzwi i zakryte okiennicami z listewek. Przez szpary w drewnie przenikały smugi mdłego światła. A także dym tytoniowy, woń piwa, zarówno świeżego, jak starego oraz smród potu. Miał przed sobą portową knajpę najgorszego rodzaju, spelunkę odwiedzaną przez najtwardszych, najbardziej nieokrzesanych ludzi morza i robotników portowych.

Chrapliwy głos wycedził coś na temat cycuszków.

Kobieta nie odpowiedziała.

Nie była w stanie odpowiedzieć?

Gdy podszedł do drzwi, zobaczył przybity powyżej, niezdarnie namalowany szyld informujący z dumą, że lokal nazywa się Pod Czarnym Szczurem.

- A niech was zaraza - wymamrotał, napierając barkiem na spaczone drzwi.

Miał rację co do dymu i światła. Przymglony blask ło-jówek okazał się jednak wystarczający, by mógł dostrzec, co dzieje się we wnętrzu.

Lokal był zatłoczony. Większość mężczyzn siedziała na stołkach i ławach, popijając z kufli i kubków. Spoglądali w stronę, gdzie działo się coś, co zapewniało im rozrywkę. W kącie po prawej pięciu mężczyzn przypierało do ściany kobietę. Prawdopodobnie zapędzili ją tam zaraz po tym, gdy okazała się na tyle nierozsądna, by wejść.

Co też sobie, do diaska, myślała? Na pierwszy rzut oka widać było, że jest młoda i dobrze urodzona. Suknia w kremowo-brązowe pasy musiała sporo kosztować, na głowie zaś miała wykwinny czepeczek, obsyty koronką. I rzeczywiście, pod zakrywającą dekolt, ozdobną chusteczką skrywała z pewnością ładne cycuszki. Jeden z mężczyzn wyciągnął rękę, jakby chciał zerwać delikatny materiał. Bawił się z dziewczyną niczym kot z myszą, pewny ostatecznego zwycięstwa.

Trzepnęła natręta po dłoni.

Mężczyzna się roześmiał.

Rose rozejrzał się, szukając sojuszników, lecz nie zobaczył znajomej twarzy.

W tawernie znajdowała się jeszcze jedna kobieta, zaprawiona w bojach czterdziestoletnia weteranka, strzegąca beczki z piwem. Właścicielka tawerny lub żona właściciela. Widać było, że nie zamierza interweniować. Jak gdyby nigdy nic napełniała kufle oraz szklaneczki, inkasując monety. Był sam przeciwko pięciu, na domiar złego pijący zauważyli już, że przyszedł ktoś nowy. Tręcali się łokciami, mamrocząc pod nosem.

Nic w tym dziwnego. Był tu tak samo obcy jak dziewczyna. Jego ciemny surdut wprawdzie dawno już wyszedł z mody, ale uszyto go z doskonałego materiału. Puszczone luzem włosy opadały mu na ramiona, a twarz pokrywał kilkudniowy zarost, bywalcy potrafili jednak rozpoznać człowieka z wyższych sfer, posiadającego władzę i autorytet.

Obie te cechy mogły mu pomóc, lecz mogły też sprawić, że ktoś poderżnie mu gardło. Nietrudno byłoby pozbyć się ciała: wystarczyło zepchnąć trupa z nabrzeża

i ślad by po nim zaginał. W miejscach takich jak to ludzie przywykli trzymać język za zębami. Któryś z bywalców mógł zorientować się, że ma przed sobą kapitana Rose - czerwona chusta na szyi i kolczyk w kształcie czaszki stanowiły znak rozpoznawczy - lecz to by go nie ocaliło, gdyby tłum zwrócił się przeciwko niemu.

Na razie nie wyczuwał wrogości, jedynie zainteresowanie: na scenie pojawił się nowy aktor, a to zapowiadało więcej darmowej rozrywki. Przeniósł znowu uwagę na scenę w kącie. Tak, dziewczyna była zdecydowanie damą. Świadczył o tym nie tylko jej strój, ale i postawa, o gniewnym błysku w oku nie wspominając. Czyżby spodziewała się zastać w miejscu takim jak to dżentelmenów?

Wyniosłe maniery i zmysłowa figura zachęcały mężczyzn do gwałtu. Nawet ci szakale zawahaliby się przed dręczeniem przerażonej i drżącej ofiary, jednak odważna dziewczyna byłaby dla nich pożądaną zdobyczą, zwłaszcza jeśli znalazła się tu z własnej woli.

Czyżby szukała tego rodzaju przygody? Niektóre damy uważały prymitywnych mężczyzn za podniecających, musiałyby postradać jednak rozum, by upaść tak nisko. Poza tym, choć próbowała zachowywać się z godnością, widział, że jest bardzo młoda. Zapewne nie miała nawet osiemnastu lat. Zbyt młoda, aby być tak zdeprawowaną. Kilku spośród dręczycieli odwróciło się tymczasem ku niemu. Może mógłbym uratować dziewczynę zapewniając, że jest niespełna rozumu, pomyślał. Jeden z mężczyzn był poznaczony bliznami i żyłasty, drugi wyglądał niczym wół: wielki, umięśniony, o niskim, guzowatym czole. Wydostanie dziewczęcia z tawerny bez rozlewu krwi nie będzie łatwe, i to mogła być jego krew. Niższy mężczyzna zdążył już wyciągnąć długi, ostry jak brzytwa nóż do filetowania ryb.

Za późno na zastanawianie się. Jak w przypadku każdego dzikiego zwierzęcia okazanie strachu mogłoby zakończyć się katastrofą, ukrył go zatem, choć serce mocno biło mu w piersi. Bał się, lecz wiedział, że nie potrafi zostawić niemądrego stworzenia na pastwę łotrów z portowej spelunki.

Ruszył zatem przed siebie, przepychając się między stołami.

- Mam cię, tępa dziwko! - wrzasnął tonem, jakiego używał, wydając rozkazy podczas sztormu. - Co ty sobie, do czorta, myślałaś, żeby tu przyłazić?

Żaden z dręczycieli się nie poruszył. Podobnie ich ofiara. Stata, wpatrując się w niego okrągłymi z przerażenia oczami. Miał nadzieję, że jego spojrzenie nie zdradza podobnego strachu. Graj swoją rolę, do cholery, nakazał jej w duchu, oceniając niebezpieczeństwo.

Zapewne najgroźniejsi mogli okazać się dwaj mężczyźni, których miał teraz przed sobą, lecz gdyby pozostali wyczuli, że choć trochę się boi, rzuciliby się na niego niczym sfora dzikich psów. Miał w kieszeni pistolet, ale mógł oddać tylko jeden strzał. Miał także szpadę, nie łudził się jednak, że zdoła zwyciężyć w walce na noże, poza tym wyciągnięcie akurat w tej chwili broni oznaczałoby pokazanie im, że się boi.

Za późno na wycofanie się: musi stawić czoło sytuacji. Przepchnął się obok mężczyzn, jakby ich w ogóle nie zauważył i chwycił dziewczynę za ramię.

- No, dalej - warknął.

Odsunęła się instynktownie, lecz tylko o krok. Wyglądało to bardzo przekonująco: ot, kobieta przyłapana w chwili szaleństwa przez rozgniewanego męża lub opiekuna. Lecz kiedy ruszył, ciągnąc ją za sobą, ku drzwiom, mężczyźni zastawili mu drogę.

- Twoja damulka wpadła tu z wizytą - powiedział osiłek, zginając wielkie dłonie. Uważał widać, iż jako broń w zupełności mu wystarczą i miał zapewne rację. - Teraz jest nasza.

- To moja żona - powiedział Rose znużonym tonem. Miał nadzieję, że zaskarbi sobie w ten sposób odrobinę

współczucia. - Jak widzicie, ma trochę nierówno pod sufitem. Puście nas.

- Nie obchodzi mnie, czy jest stuknięta - powiedział facet z nożem - jeśli ma duże cycuszki. -

Uśmiechnął się, pokazując brudne, połamane zęby. - Chcemy je zobaczyć i zobaczymy.

A niech to!

- Nie sędzę - powiedział Rose. Sięgnął błyskawicznie lewą dłonią do prawego nadgarstka, a potem odwrócił ją, pokazując nóż.

Zwykle robiło to na przeciwniku wrażenie, ponieważ broń, ukryta w przemysłnej pochewce przymocowanej wzdłuż prawego ramienia, pojawiała się nie wiadomo skąd. Odwróciwszy skutecznie uwagę obu kompanów, wyjął z kieszeni pistolet. Był leworęczny, ale potrafił też całkiem sprawnie posługiwać się prawą ręką, a pistolet był mały i tak zaprojektowany, by dało się odwieść kurek jedną dłonią. Broń nie nadawała się do strzelania na dłuższy dystans, strzał z tej odległości powstrzymałby jednak skutecznie napastnika.

Niższy mężczyzna przyglądał się czujnie broni zmrużonymi oczami, oceniając szanse. Osilek żuł kęs jedzenia, ewidentnie żałując, iż nie może zmiażdżyć kogoś zębami.

Czy spróbują ponownie go zatrzymać? Sprawdził to, robiąc krok w prawo. Mężczyźni przesunęli się, blokując mu drogę.

Hultaj z nożem powiedział do pozostałych:

- Dalej, bracia. To tylko jeden facet, na dodatek niezbyt groźny, sądząc po broni. To ma być nóż?

Bierzmy go!

Kumple poruszyli się niezdecydowani.

Rose wycelował pistolet w oko faceta z nożem.

- Ty umrzesz pierwszy.

W zapadłej nagle ciszy gdzieś w głębi sali rozległ się głos. Choć nie należał do młodzika, znać było w nim siłę.

- To kapitan Rose, chłopcy. Ja bym się na niego raczej nie porywał.



Większość gości odwróciła się ku mówiącemu, ale nie dwaj najgroźniejsi. Kapitan Rose nie spuszczał z nich wzroku.

- Rose? Różyczka? - wycedził z pogardą mniejszy facet. - Oberwę mu śliczne płatki jeden po drugim. Jego kompani parsknęli śmiechem. Zafalowali niczym mokry piasek, niepewni, co robić.

- Kapitan Rose z „Czarnego Łabędzia” - kontynuował ten sam pomocny głos - złamał rękę ostatniemu frajerowi, który wyciągnął na niego nóż.

Trzej hultaje cofnęli się nieco. Rose nie miał pojęcia, kim jest mówiący, podziękował mu jednak w myślach, mając nadzieję, że nie będzie musiał udowadniać, iż jest naprawdę takim zabijaką.

Kapitan Rose i jego statek byli dobrze znani na tym odcinku południowego wybrzeża. „Czarny Łabędź” przewoził głównie ładunek, ale od czasu do czasu załoga angażowała się w mniej legalne przedsięwzięcie, szmu-glując towary przez kanał. Kapitan pilnował, by na wybrzeżu wiadano, że jego interesy nie przyniosły korzyści Francuzom, zwłaszcza podczas ostatniej wojny. Nawet najnędrniejszy szczur morski z Kent nie patrzyłby przychylnym okiem na kogoś darzącego względami odwiecznego wroga.

Miejscowi wiedzieli zatem, że kapitan Rose jest lojalnym Anglikiem i dobrym marynarzem, lecz znano go też z innej strony. Krążyły wieści, że uwielbia walkę na pięści i nie znosi, aby grożono mu bronią.

Było jednak dwóch kapitanów Rose, a on był tym drugim: księciem Ithorne, znanym wśród przyjaciół jako Thorn.

Pierwszy kapitan Rose miał na imię Caleb i był jego bratem z nieprawego łoża.

Thorn był równie dobrym żeglarzem jak Caleb, a może nawet lepszym, nie przepadał jednak za bijatykami i nie dorastał pod tym względem bratu do pięt. Fizycznie byli z Calebem podobni niczym dwie krople wody. Nie-

znaczące różnice w wyglądzie maskował skutecznie kilkudniowy zarost, któremu pozwalali od czasu do czasu urosnąć na tyle, iż można już było uznać go za brodę. By wzmocnić złudzenie, kapitan Rose nosił też charakterystyczne ubranie - staromodny czarny surdut i szkarłatną chustkę na szyi. A także kolczyk w kształcie czaszki z oczami z rubinów.

Ludzie widzą zwykle to, co spodziewają się zobaczyć, uznali zatem, że ktoś, kto wygląda jak kapitan Rose musi być nim w istocie.

Przez większość czasu „Czarnym Łabędziem” dowodził Caleb, co skutkowało tym, że kapitan Rose uważany był powszechnie za uwielbianego towarzysztwo kobieciarza i nieustraszonego zabijakę.

Rzucał się do bójki na pięści z błyskiem w oku, zwłaszcza gdy sobie podpił, a potem często kontynuował zabawę, pijąc z przeciwnikiem - o ile ten nie wyciągnął broni. Traktował groźbę nożem jak osobistą obrazę i nikt, kto tego spróbował, nie mógł liczyć na zmiłowanie. Może reputacja Caleba pomoże nam wydostać się z opresji, pomyślał Thorn.

- Zgadza się, jestem Rose, posłuchajcie więc dobrej rady i zejście mi z drogi.

Osilek zmarszczył brwi.

- Rose czy nie Rose, i tak jesteś tylko jeden.

- Czasami jeden wystarczy.

Osilek gapił się na niego skonfundowany, a ktoś siedzący w pobliżu zauważył:

- Słyszałem o kapitanie Rose, nie wiedziałem jednak, że jest żonaty.

-No cóż, żaden klecha jeszcze nas nie pobłogosławił - przyznał Thorn.

Goście parsknęli rubasznym śmiechem, a potem jeden z przytomniejszych hultajów wycedził:

- Skoro tak się sprawy mają, na pańskim miejscu wybrałbym sobie łagodniejszą owieczkę.

- Może lubię zadziorne - odparował Thorn.

- W łóżku też jest tak ostra, he?

- O wiele bardziej. - Rzucił tę uwagę ot tak, bezmyślnie, by podtrzymać żartobliwą rozmowę, lecz szybko uświadomił sobie, że był to błąd. Goście zaczęli przyglądać się dziewczynie z nowym zainteresowaniem.

Nagle, nie wiadomo skąd, nadleciał kufel. Minął Thorna i trafił w skroń faceta z nożem. Łotr krzyknął, przycisnął dłoń do głowy, zatoczył się, a potem ledwie przytomny osunął na kolana.

- Hej, to był mój kufel, kobieto - zaprotestował ktoś bez przekonania.

Thorn zaklął w duchu. Rozmowa miała odwrócić jego uwagę, i tak się stało, dziewczyna zachowała jednak przytomność umysłu. Cofnął się i stanął tuż przy niej.

- Celny rzut, *madame*.

- Dziękuję, *sir* - odparła z napięciem w głosie. - Niestety, nie mam już amunicji.

Podał jej pistolet.

- Kurek jest odciągnięty, więc proszę uważać. - Wzięła broń, widać było jednak, że robi to po raz pierwszy w życiu. - Skieruj lufę w sufit - poleciał czym prędzej. - Nie chcemy, by ktoś ucierpiał.

Przynajmniej nie od przypadkowego strzału - dodał rozmyślnie.

W końcu mężczyźni zaczęli się cofać. Najwidoczniej widok pistoletu w dłoniach kobiety przeraził ich bardziej, niż kiedy trzymał go mężczyzna, zwłaszcza że owa kobieta nie miała zielonego pojęcia, jak obchodzić się z bronią.

Thorn powściągnął uśmiech, modląc się w duchu, aby dziewczyna nikogo nie postrzeliła, zwłaszcza jego. Tym bardziej że sytuacja zaczęła zmieniać się wreszcie na korzyść. Mężczyzna z nożem nadal był półprzytomny, a bez swego kompana osiłek wydawał się całkowicie zagubiony.

Thorn sięgnął do kieszeni i wymacał kilka monet. Jaka suma będzie odpowiednia? Nie chciał, by goście tawerny uznali, że ma przy sobie dużo pieniędzy, gdyż kierowani chciwością, mogli zapomnieć o ryzyku i zaatakować. Musiał zaoferować jednak dość, by dali im spokój

i pozwolili wyjść. Wyjął srebrną sześciopensówkę i rzucił mężczyźnie, który stracił piwo.

- Dzięki, panie! - zawołał tamten, uśmiechając się szeroko.

Thorn wyjął koronę i pokazał ją jednemu z pozostałych zabijaków.

- Okup?

Mężczyzna wahał się przez chwilę, a potem chwycił pięcioszylingową monetę.

- Masz rację, kapitanie! Warto było zobaczyć tak celny rzut. Na twoim miejscu odebrałbym jej wszakże ten pistolet, i to natychmiast.

- Doskonała rada. Zamierzam jej posłuchać.

Wyjął pistolet z drżących rąk dziewczyny i zabezpieczył. Nie schował jednak broni. W tawernie panował tłok, a nastrój tłumu mógł zmienić się w każdej chwili. Nadal mogli zostać obrabowani, pobici, a nawet zadźgani, nim dotrą do drzwi, a to z powodu pieniędzy. Kobiety były tu bowiem co prawda tanie, lecz srebro stanowiło rzadkość.

Czy zastanawiał się zbyt długo, niepotrzebnie oceniał ryzyko, jak czasami wytykali mu przyjaciele? Ale jak można nie zastanawiać się w sytuacji takiej jak ta? Myślenie nie wyprowadzi ich jednak z pułapki, tym bardziej że facet z nożem zaczął już zbierać się z podłogi. Z twarzy otaczających ich mężczyzn nie sposób było nic wyczytać. Mogły skrywać mordercze zainteresowanie zawartością jego kieszeni...

Nagle rozległ się dźwięk kościelnego dzwonu.

Goście natychmiast zwrócili na to uwagę, było już bowiem za późno na mszę czy jakąkolwiek postugę.

- Francuzi? - wymamrotał ktoś, a inni podchwycili temat.

Wstawali, odsuwając z hurgotem krzesła i ławy. Kilka nawet się przewróciło. Od najdawniejszych czasów kościelny dzwon wzywał mężczyzn z Kentu, by odparli inwazję. I choć podpisano niedawno traktat pokojowy, nikt tutaj, o dwadzieścia mil od Calais, nie ufał Francuzom.

Dla Thorna brzmiało to raczej jak dzwon pogrzebowy niż bijący na alarm, tylko po co obwieszczać czyjąś śmierć o tak późnej porze?

A potem do tawerny wpadł kolejny gość, wołając:

- Król nie żyje! Jerzy II nie żyje! Rankiem powalił go atak apopleksji. Jest martwy jak głaz, ot co! Boże święty!

Należało wykorzystać sytuację.

- Zatem, niech żyje nowy król! - zawołał. - Stawiam wszystkim! Pijcie chłopcy i wznóście toasty za młodego Jerzego III!

Bywalcy rzucili się ku baryłce z piwem, a wtedy chwycił znowu dziewczynę za ramię. Szarpnęła się, a on wyszeptał:

- Nie bądź głupia!

- Moja peleryna! - westchnęła, zdyszana. Zobaczył, że peleryna leży na podłodze i pozwolił, by ją podniosła, zanim otoczył ją ramieniem i poprowadził ku wyjściu. W sali zapanował tymczasem chaos.

Przy drzwiach drogę zagroził im spoglądający srogo mężczyzna z wyciągniętą dłonią. Właściciel tawerny. Nie pora się targować. Thorn wyjął z ukrytej kieszonki pół gwinei i podał karczmarzowi. Ten skinął głową i nawet się uśmiechnął.

- Dzięki, *sir*. I niech Bóg chroni króla, a jakże. To dziwne uczucie mieć nowego władcę.

- Rzeczywiście. - Rozejrzał się, szukając mężczyzny, który pomógł im, zdradzając jego tożsamość, i spostrzegł, że jeden ze starszych klientów mruga do niego, pykając spokojnie z fajeczki. Zaryzykował i podszedł, by dać mu gwineę.

Mężczyzna wsunął monetę do kieszeni i skinął z godnością głową.

- Niech pana Bóg błogosławi, *sir* - i ciebie także.

Wyprowadził dziewczynę z tawerny i ciągnął za sobą wzdłuż nabrzeża, póki nie skryły ich ciemności.

Błogo-

sławił w duchu rosnący tłum. Gdy wchodził do gospody, dokoła było niemal zupełnie pusto, lecz teraz ludzie wylewali się z budynków, a pewnie napływali też z innych części miasta, by dzielić się nowinami.

Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, lecz co, u licha, miał zrobić z dziewczyną? Zwłaszcza w tak brzemienym w skutki momencie?

Stary król panował trzydzieści trzy lata, czyli niemal przez całe życie otaczających ich ludzi, w tym jego własne. Najstarszy syn króla, Fryderyk, zmarł przed kilkoma laty, nowym władcą zostanie więc jego syn, Jerzy, młodszy nawet od Thorna i pozostający pod całkowitym wpływem matki oraz szlachetnie urodzonego opiekuna, lorda Bute.

Sytuacja groziła wybuchem, należało więc udać się jak najszybciej do Londynu, pozbywszy się wcześniej kamienia u szyi - bezmyślnego, upartego stworzenia. Dziewczyna otuliła się ciasniej peleryną i naciągnęła kaptur, aby ochronić się przed wilgocią i chłodem, nie widział zatem jej twarzy, póki na niego nie spojrziała.

- Teraz mnie pan zostawi - stwierdziła stanowczo.

- Miła prośba poskutkowałaby lepiej, moja panno. - Lecz mile prośby nie leżały najwidoczniej w charakterze dziewczyny, wszystko jedno, czy miała do czynienia z bezwzględny szubrawcami czy zniecierpliwionym wybawicielem. Musiał przyznać, że trochę ją za to podziwiał.

A może powiedziała tak w nadziei, że zaprotestuje i się nią zajmie? Bardzo nie lubił, gdy próbowano nim manipulować, poza tym czuł się dotknięty, że mogła uznać, iż zostawiłby młodą damę samą w niebezpiecznej okolicy, do tego w taką noc.

- Lepiej wróć ze mną do mojej gospody - powiedział krótko. - To niedaleko stąd. Tam zajmiemy się w spokoju twoim problemem i go rozwiążemy.

- Wątpię, czy będzie to aż tak proste.

- Wolałabyś, żebym nawet nie spróbował? Skoro tak, po prostu sobie idź.

Poczuł, że się wzdrygnęła.

- Nie, przepraszam. Tylko że... to skomplikowane.

- Nie wątpię. - Otoczył ją ramieniem i poprowadził przez rosnący tłum. Opierała się przez chwilę, a potem wykazała odrobinę rozsądku i poszła za nim. Nastrój tłumu, teraz wesoły, mógł zmienić się w każdej chwili. Najwidoczniej świętowanie nowych rządów okazało się atrakcyjniejsze niż celebrowanie żałoby po starym królu, pociągało jednak za sobą picie, i to w imponujących ilościach. A tam, gdzie wszyscy są pijani, łatwo o zamieszki.

- Co robiłaś w Szczurze? - zapytał.

- Tak się to miejsce nazywa? Jakże stosownie.

- Zatem? - nalegał.

- Ja... - Nagle odwróciła się, zarzuciła Thornowi ręce na szyję i przywarła do niego. Instynktownie otoczył ją ramionami, lecz niemal natychmiast chwycił dziewczynę za nadgarstki i spróbował odsunąć. Do diabła, czyżby chodziło tu o sprytną próbę zmuszenia go do małżeństwa?

- Nie - wyszeptała z rozpaczą, czepiając się jego surduta. - Proszę!

Boże święty! Słyszał o kobietach, nie będących w stanie zapanować nad żądzą. Czy to był właśnie ten przypadek? Co robiła na nabrzeżu? Nie mógł zaprzeczyć, że dziewczynie udało się wzbudzić w nim ciekawość, a jej bliskość wywarła nieuchronny skutek. Pochylił się więc i ucałował rozchylone wargi. Zamarła i stała w jego objęciach sztywna niczym posąg, zacisnąwszy mocno usta.

Zatem nie chodzi tu o niepohamowane pożądanie. Nie próbowała udawać, że pocałunek sprawił jej przyjemność, wyjaśnienie mogło być więc tylko jedno.

- Przed kim chcesz się ukryć? - wyszeptał. Odprężyła się nieco.

- Dwaj mężczyźni nadchodzący ulicą.

Delikatne muśnięcia jej warg okazały się zaskakująco podniecające, lecz tylko dla niego. Uświadomił sobie, że w ogóle nie jest nim zainteresowana.

A to ci nowość.

## Rozdział 2

Udając, że całuje dziewczynę, obrócił ich oboje i się rozejrzał. Można by oczekiwać, że w takim tłumie trudno będzie dostrzec prześladowców, wyróżniali się jednak, gdyż byli trzeźwi i sprawiali wrażenie zdecydowanych. Torowali sobie drogę, nie wykazując oznak zniecierpliwienia, ale skutecznie. Jeden miał na sobie pelerynę, drugi tylko surdut. Obaj nosili trójgraniaste kapelusze.

Sądząc po ubiorze, mogli być zarówno służącymi wyższej kategorii, jak lordami.

Trzymając dziewczynę blisko przy sobie, wyszeptał z ustami tuż przy jej ustach:

- Ty jesteś tą złą czy oni? Poczul, że zeszywniała.
  - Oni, oczywiście.
  - To nie wysłannicy twojej rodziny, którym polecono sprowadzić cię do domu?
  - Absolutnie nie.
  - Oszukiwanie mnie byłoby bardzo niemądre.
  - Żałuję, że nie mogę powiedzieć, by poszedł pan do diabła i zabrał ich ze sobą - odpaliła z cicha.
- Thorn parsknął śmiechem. Nie był w stanie się powstrzymać.
- Wygląda na to, że masz do wyboru: ja albo oni, kochanie. Może lepszy diabeł, którego nie znasz?



Westchnęła głośno, a potem zgodziła się z nim, burknawszy:

- Doskonale.

Roześmiał się znowu. Do licha, polubił tę dziewczynę, jeśli już nie z innego powodu, to dlatego, że potrafiła pogodzić się z rzeczywistością. Lecz właśnie ta mało kobieca cecha sprawdziła na nią kłopoty i mogła jeszcze je pogłębić.

Kimkolwiek była dziewczyna i w jakimkolwiek położeniu by się znajdowała, powinna była pozostać w domu. Tam byłaby bezpieczna.

Ruszyli dalej. Thorn obserwował dyskretnie mężczyzn. Jeden zanurkował do gospody, podczas gdy drugi pozostał na zewnątrz, lustrując wzrokiem tłum. Thorn pożałował, że jest wysoki. Choć manewrował tak, by tłum poniósł ich w kierunku jego tawerny, musieli oboje się wyróżniać.

Mężczyźni szukali jednak samotnej kobiety, i to wytwornie ubranej. Dziewczyna postąpiła bardzo sprytnie, skrywając pod kapturem frywolny czepeczek.

Lecz potem uświadomił sobie, iż mogą wyróżniać się także tym, że są trzeźwi i sprawiają wrażenie, jakby dokądś dążyli - zupełnie jak ci, którzy szukali dziewczyny.

Kiedy wpadł na nich pijany marynarz, Thorn skorzystał z okazji i uwolnił go od kufła. Marynarz popatrzył z niedowierzaniem na pustą dłoń, a potem opadł bezwładnie na zwój liny. Thorn machnął kuflem i zatoczył się mocno, przyłączając się do tłumy, wyrzaskującego wielce rubaszną przyspiewkę.

- Co pan robi? - zaprotestowała.

- Maskuję się. Zachowuję, jak wszyscy dookoła. -Ja...

Ktoś w pobliżu zaczął wyśpiewywać chrapliwym głosem popularną od niedawna piosenkę: „Boże, chroń króla”.

***Boże, chroń naszego łaskawego króla, Niech żyje długo nasz szlachetny król, Boże, chroń króla...***

Thorn przyłączy! się do śpiewającego, fałszując niemiłosiernie, acz z rozmysłem, wymachując kuflem i zataczając się. Nagle poczuł, że jego towarzyszka zatoczyła się wraz z nim, a potem zaczęła podśpiewywać rżącym, nosowym głosem. Roześmiał się, szczerze ubawiony, po czym odwrócił dziewczynę ku sobie i pocałował jej w pół otwarte usta. Ich języki zetknęły się na krótką chwilę, a wtedy dziewczyna gwałtownie się odsunęła.

- Pamiętaj, że jesteś pijana - przypomniał jej, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Nie jestem - prychnęła, zataczając się posłusznie. - I, drogi panie, nigdy nie byłam.

- Biedne stworzenie. Cóż za nudne życie prowadzisz.

- Niektórzy potrafią bawić się dobrze bez wina.

- Będziesz musiała mi pokazać, jak to się robi - powiedział, obserwując mężczyzn. Przyłączyli się do tłumu i byli coraz bliżej. - Lecz teraz chichocz.

- Co takiego?

Pochylił się i uszczypnął ją zębami w ucho.

Pisnęła cienko, lecz jakoś udało jej się zmienić to w całkiem wiarygodny wrzask pijackiego oburzenia.

Kopnęła go też w łydkę. Nie miał wysokich butów, a obuwie dziewczyny było solidne, więc aż się zachwiał. Ścisnął ją jednak na tyle mocno, że jakoś zdołała utrzymać się na nogach.

A kiedy odzyskała równowagę, wymierzył jej solidnego klapsa w tyłek. Obróciła się ku niemu gwałtownie:

-Ty...!

Na szczęście wściekłość sprawiła, że jej głos brzmiał niczym nawoływanie handlarki ryb. Niestety, zwrócili na siebie uwagę tłumu. Otaczający ich mężczyźni oraz kobiety wykrzykiwali słowa zachęty pod adresem Thornia lub jego towarzyszki. Thorn zdążył pomyśleć, że wszystko zepsuł, lecz prześladowcy uznali widać, iż zamieszanie nie ma z nimi nic wspólnego, zaczęli się bowiem oddalać.

Odwrócił się i poczuł na policzku jej dłoń. Uderzenie nie było mocne, potrząsnął więc tylko głową, chwycił dziewczynę za nadgarstek i pociągnął za sobą.

- Policzę się z tobą w domu, moja panno - oznajmił głośno.

Tłum pożegnał ich okrzykami i wrócił do swych rozrywek. Wkrótce byli już na ulicy sami. Thorn pociągnął dziewczynę za sobą w cień, a potem skręcił w wąski zaułek, który prowadził wprost na tyły tawerny zwanej Busola.

- Zgubiliśmy ich - powiedział cicho - wkrótce dotrą jednak do Szczura, a tam usłyszą całą historię.

Nadal była na niego zła - gniew promieniował z niej niczym fala gorąca - powiedziała jednak:

- Dowiedzą się, że jestem z kapitanem Rose.

- Mądra dziewczynka - powiedział, pełen podziwu dla jej bystrości i zły na siebie, że go uprzedziła. -

Ktoś będzie też wiedział, gdzie zwykle się zatrzymuję.

Odsunęła się.

- Musimy pójść w inne miejsce! Pociągnął ją za sobą.

- Mój wierzchowiec został w Busoli, podobnie reszta mojego dobytku. Jadąc konno, za kwadrans możemy być już poza Dover, a wtedy powiesz mi, o co tu chodzi. No, jesteśmy.

Na podwórku znajdowało się dwóch stajennych. Jeden oprowadzał zgrzanego wierzchowca, drugi niósł wiadro. Znali Thorna, zdziwiło ich jednak, że nadszedł od strony zaułka, do tego z kobietą.

- Możemy coś dla pana zrobić, kapitanie? - zapytał chłopak z wiadrem.

- Tak, wiadomość o śmierci króla wpłynęła na zmianę moich planów. Potrzebuję konia i poduszkę za siodło dla damy.

- Już się robi, proszę pana - powiedział chłopak, zerkając przy tym bystro na rzeczoną damę.

Thorn też na nią spojrział, niewiele jednak zobaczył, zakryła bowiem twarz skrajem kaptura. Czyżby mieszka-

ła w Dover i bała się, że ktoś ją rozpozna? A może była znaną przestępczynią - złodziejką albo kobietą, zwabiającą niewinne dziewczęta do burdeli?

Lecz jakoś w to nie wierzył. Była na to zbyt młoda, a choć bystra, to niedostatecznie podstępna czy zahartowana.

- Wracam za kilka minut - powiedział. - Chciałabyś zjeść coś albo się napić, nim wyruszamy?

- Nie, dziękuję. - A potem spytała jednak: - Dokąd pan mnie zabiera?

Starła się, aby pytanie zabrzmiało bardziej jak żądanie, lęk sprawiał jednak, że drżał jej głos. Jeśli mógł o czymś wyrokować, była dobrze urodzoną, młodą damą, która znalazła się w poważnych tarapatach i to takich, z których nie sposób szybko się wyplątać. Powinien wyruszyć jak najszybciej do Londynu, pogodził się jednak z tym, co nieuniknione.

- Zabiorę cię tam, dokąd zechcesz się udać, oczywiście, w granicach rozsądku.

- Chciałabym dotrzeć w okolice Maidstone.

- To dość daleko.

- Owszem.

- Jak się tu dostałaś?

- Przyjechałam powozem.

Miał wrażenie, że mogliby bawić się tak przez całą noc, a on niczego by się nie dowiedział. Zresztą, prawdę mówiąc, nie życzył sobie wiedzieć więcej, niż tylko tyle, by móc bez wyrzutów sumienia się jej pozbyć.

Zatem, niech będzie Maidstone. Miejscowość leżała co prawda po drodze do Londynu, lecz zanim tam dotrą, będzie musiał wpaść do domu, zmienić ubranie i przesiąść się do powozu, w którym da się trochę zdrzemnąć podczas podróży.

- Nie ma bliższego miejsca? - zapytał. -Nie.

- Nawet jeśli będziemy jechali całą noc, nie dotrzemy do Maidstone przed rankiem, zwłaszcza mając tylko jed-

nego wierzchowca. Jeżeli wcześniej nie zorientowano się tam, że zaginęłaś, do tej pory na pewno zaczną cię szukać.

- Owszem.

Miał chęć nią potrząsnąć. Przypuszczenia, że chodzi o uwikłanie w intrygę mającą zmusić go do ożenku, powróciły, lecz jak młoda kobieta mogłaby zaaranżować spotkanie w nadbrzeżnej tawernie? Skąd wiedziałyby, że będzie tamtędy przechodził i postanowi przyjąć jej z pomocą?

Lecz jeśli dowie się kiedyś, kto tak naprawdę udzielił jej pomocy, może spróbować to wykorzystać. Skoro będą podróżowali w nocy, może twierdzić, że została skompromitowana. Mimo to nie potrafił jej zostawić, a wynajęcie powozu oraz przyzwoitki zajęłoby zbyt dużo czasu. Poza tym wysłedzenie osoby podróżującej powozem byłoby dla prześladowców dziewczyny dziecinną igraszką.

Do diabła, ależ był głodny. Spodziewał się, że o tej porze będzie już siedział spokojnie przy kolacji. Ze stajni wyszedł chłopak, pchając taczkę, wyładowaną brudnym sianem.

- Biegnij i przynieś moje rzeczy, chłopcze - zawołał. - Powiedz Greenowi, że ureguluję rachunek później. Przynieś mi też coś do jedzenia, byle szybko. Kawałek pasztetu i piwo. Tylko się pośpiesz.

- Już się robi, kapitanie! - zawołał chłopak i pobiegł.

- Naprawdę jest pan kapitanem? - spytał jego kamień młyński.

-Tak.

- Czego?

- Statku zwanego „Czarny Łabędź”. A ty jak masz na imię?

Wahała się na tyle długo, że zorientował się, iż zamierza skłamać.

- Persefona - odparła.

- Urowadzona do podziemnego świata? Nie chcesz dzielić ze mną posiłku z obawy, że będziesz musiała spędzać w moim królestwie sześć miesięcy w roku?

Odpowiedziała mu brzemienna znaczeniem cisza.

Pomyślał o Persefonie, uprowadzonej przez Hadesa, pana podziemnego świata. Choć współczesne wersje mitu o tym nie wspominały, Persefona została zapewne przez pana ciemności zgwałcona.

Czyżby dziewczynę spotkał ten sam los?

Odrzucił taką możliwość. Wydawało się oczywiste, że jej nieszczęsna przygoda dopiero się zaczęła.

Gdyby ją wykorzystano, na pewno pozostawiłoby to jakiś ślad.

- Z pewnością miło byłoby usłyszeć podziękowanie - zauważył.

- Dziękuję. Naprawdę jestem wdzięczna. A będę jeszcze bardziej, jeśli okaże się pan człowiekiem honoru.

- Obwieś w gospodzie miał rację. Trudno byłoby ci zarzucić, że jesteś przesadnie miła. Skoro tym mężczyznom nie chodzi o twoje wdzięki, dlaczego z takim uporem cię ścigają?

Odwróciła głowę: zakapturzona, okryta peleryną tajemnica. - Ponieważ im uciekłam.

- Więzili cię? -Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Daj spokój, musisz wiedzieć. Jesteś bogatą dziedziczką?

-Nie.

- I nie uciekłaś z więzienia? -Nie.

- Zabrali cię więc z domu, a ty nie masz nic na sumieniu?

Odpowiedzią było uparte milczenie.

Męcząca smarkula. Zaniechał wypytywania i jął zastanawiać się, jak dotrzeć do Maidstone i zostawić tam dziewczynę.

Ścigali ją dwaj mężczyźni, najwyraźniej traktujący sprawę poważnie. Gdyby zjawili się teraz w Busoli, stajenni prawdopodobnie pomogliby mu ich pokonać, wo-

łałby jednak uniknąć walki. Był zdrowym, aktywnym mężczyzną, który przeżył sporo niebezpiecznych chwil na morzu, nie miał jednak doświadczenia w wybawianiu dam z opresji, zwłaszcza jeśli stawką była utrata przez rzeczoną damę reputacji.

- Ile masz lat? - zapytał.

- O wiele więcej, niż przed kilkoma dniami.

Interesująca odpowiedź, sugerująca prawdziwą katastrofę, pomyślał, ale w tej samej chwili z gospody wyszedł chłopak, niosąc tacę z posiłkiem. Zobaczył też, że stajenny prowadzi jego wierzchowca. Za nim podążał drugi chłopiec, uginając się pod ciężarem siodła i juków. Poza zmianą ubrania, zawierały pistolety i kilka książek. Poleciał, by załadowano je na konia, a sam wziął od chłopca koszyk z prowiantem oraz piwo i dał obu chłopakom po pensie.

- Jeśli jacyś obcy będą o mnie rozpytywali - powiedział - nie wiecie, gdzie jestem, ani czym się zajmuję.

- Tak jest, kapitanie!

Odwrócił się ku okrytej peleryną sylwetce.

- Zakładam, że nie zdołam namówić cię, byś zjadła kawałek pasztetu?

- Dziękuję, nie.

Wzruszył ramionami, po czym odgryzł solidny kęs pasztetu z wołowiny i nereczek, wydając podobne instrukcje stajennemu - wraz z monetą o większym nominale.

- Mogłabym dostać trochę piwa?

Odwrócił się i zobaczył, że stoi tuż za nim. Podał jej kufel. Upiła niewielki łyk, jak na damę przystało, a potem kilka następnych. - Zamierzasz mi wyjaśnić, o co tu chodzi? - zapytał.

- Nie, jeśli będę mogła tego uniknąć. - Nie sądzisz, że zasłużyłem, by wiedzieć, w co się pakuję?

-Nie.

- Może gdybym to wiedział - zauważył, zgrzytając zębami - łatwiej byłoby mi zadbać o twoje bezpieczeństwo.

- Nie widzę, dlaczego miałyby to stanowić różnicę.

- Oto przykład: czy ci mężczyźni spodziewają się, że spróbujesz przedostać się do Maidstone?

Już myślał, że udało mu się ją przyłapać, powiedziała jednak: - Nie. - Nastąpiło to tak szybko, że musiała wcześniej się nad tym zastanawiać. Choć miała wiele wad, jednego nie sposób było jej odmówić: potrafiła myśleć.

Nim zdążył znów się odezwać, usłyszał dźwięk, który od razu zidentyfikował - odgłos ciężkich kroków w zaułku nieodwiedzanym zazwyczaj przez pieszych.

Podniósł głowę i spojrzał w kierunku stajni. Dotarła tam przed nim i stała tuż za progiem, przyciśnięta plecami do ściany. Dołączył do niej mając nadzieję, że stajenni będą wiedzieli, jak się zachować.

- Hej, wy tam!

- Tak, proszę pana? - zapytał stajenny, doskonale udając zaskoczenie.

- Szukamy kapitana Rose. Znasz go? - Głos dżentelmena. No, prawie.

- Kapitana Rose, panie? - powtórzył stajenny z wolna. - Wszyscy w okolicy znają kapitana.

- Jest tutaj?

- Tutaj, panie? Nie widzę, żeby tu był.

Thorn się uśmiechnął. Wszystko będzie dobrze. Spojrzał na swoją damę w opałach i spoważniał.

Kaptur zsunął się jej z głowy i nawet w półmroku widział, że jest śmiertelnie przerażona. Jej profil świadczył, że w sprzyjających okolicznościach mogłaby być całkiem ładna.

- Miałem na myśli: gdzieś w pobliżu - wycedził prześladowca.

Thorn uznał, że jest to człowiek niebezpieczny i być może zdesperowany. Pożałował, że nie ma przy sobie któregoś z dużych pistoletów, znajdowały się jednak w jukach.

- Zatrzymuje się Pod Busolą, to pewne jak dwa razy dwa - mówił tymczasem stajenny. - Lecz teraz wrócił już pewnie na statek.



- Jaki to statek?

- „Czarny Łabędź”, panie. I chyba już wypłynął.

- Nie widziałeś go więc w ciągu ostatniej godziny? Thorn zeszywniał, zastanawiając się, czy stajenny, przyparty do muru, skłamię.

- Nie, panie, jego nie.

Zapewne spodziewał się, że dostanie za to bezczelne kłamstwo gwineę i, do licha, nie spotka go zawód. Lecz potem przybysz zapytał:

- Czyj to koń?

Po chwili stajenny odparł:

- Pułkownika Truscotta, *sir*, choć nie rozumiem, czemu to pana interesuje. Lepiej go oprowadzę, skoro pułkownik jeszcze nie przyszedł. Klacz się niecierpliwi.

Odgłos kopyt powiedział im, że stajenny odchodzi. Mężczyzna odezwał się znowu, tym razem prawdopodobnie do swego kompana:

- Idź i zapytaj o kapitana. I o tego Truscotta. Nie możemy pozwolić, żeby wierzchowiec czekał.

Do licha! Coś zwąchał.

Thorn wyjął ostrożnie nóż i zaryzykował, trącąc kobietę. Podskoczyła, lecz nie wydała dźwięku.

Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi ze strachu. Pokazał nóż, a potem wsunął go jej w dłoń. Bóg jeden wie, czy byłaby w stanie się nim posłużyć, lecz zawsze to coś.

Wyjął z kieszeni pistolet, ale nie odwiódł jeszcze kurka. Mężczyzna na dziedzińcu na pewno by to usłyszał. Pomyślał z żalem, że powinni byli wejść w głąb stajni, gdzie łatwiej byłoby się ukryć. Teraz już na to za późno. A potem uświadomił sobie, że na dziedzińcu został tylko jeden mężczyzna.

Prawdopodobnie zdołałby podkraść się i go zabić.

Wiedział jednak, że nie potrafi. Nie z zimną krwią, nie wiedząc nawet, co przeskrobał. Zapewne nie byłby w stanie tego zrobić nawet, gdyby to wiedział. Gdyby zagroził mężczyźnie bronią, a ten by nie stchórzył, nie był wcale pewny, czyby wypalił.

Do licha z przeklętym...

Tymczasem mężczyzna wszedł do stajni - i okazało się, że to ten w pelerynie.

Spojrzał najpierw przed siebie, co dało Thornowi czas, by się przygotować. Kiedy ich oczy się spotkały, celował już z pistoletu w głowę prześladowcy.

- Na ziemię - rozkazał. - Twarzą w dół. Mężczyzna był mocno zbudowany i miał zapewne około czterdziestu lat. Latarnia wisząca na drzwiach dawała wystarczająco dużo światła, by Thorn dostrzegł mocną szczękę i zaciśnięte usta obcego. Po chwili przepełnionego pogardą i gniewem milczenia posłuchał.

I co teraz? Należało powstrzymać mężczyzn, aby nie mogli przeszkodzić im w ucieczce, a drugi miał wkrótce nadejść. Persefona przerwała te rozterki, chwytając ramię, wiszący na przegrodzie.

- Załóż dłonie z tyłu - rozkazała.

- To się wam nie uda - burknął mężczyzna, a potem zakaszłał, prawdopodobnie zakrztusiwszy się pokrywającymi podłogę plewami.

- Po prostu to zrób, albo wbiję w ciebie ten nóż. Thorn jej uwierzył, mężczyzna zapewne także. Złożył razem nadgarstki, a dziewczyna je związała. Węzeł nie wyglądał na zbyt solidny, Thorn uznał jednak, że na jakiś czas wystarczy.

- Coxy? - zawołał ktoś przez nos, przeciągając głoski. Wracał kompan powalonego mężczyzny. - Dokąd poszedł mój przyjaciel?

- Nie zauważyłem, proszę pana - odparł stajenny. - Byłem zajęty oprowadzaniem konia.

- Tu jestem! - wrzasnął mężczyzna z podłogi. - Uważaj!

- Doprawdy, powinieneś być się zastanowić - powiedział Thorn tłumiąc śmiech, spowodowany absurdalnością sytuacji. Drugi łotr wszedł bowiem do stajni, wprost pod lufę jego pistoletu. Był młodszy i dość przystojny, ale na widok broni jego twarz przybrała paskudny wyraz.

- Dołącz do przyjaciela.

Mężczyzna prychnął z gniewem, podobnie jak wcześniej jego kompan, posłuchał jednak.

- Do roboty, dziewczyno - powiedział wesoło kapitan

Rose.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem, a potem powiedziała:

- Może dałby mi pan pistolet? Jako kapitan statku z pewnością będzie pan w stanie skuteczniej ich skrepować.

- Prawda. - Wsunął jej ostrożnie pistolet w dłoń. Przynajmniej nie nacisnęła od razu na spust. I dobrze, w stajni znajdowało się bowiem kilka Bogu ducha winnych koni.

Znalazł zwój cienkiej linki i zaczął związywać łotra numer dwa. Potem związał jeszcze raz Coxy'ego, mając nadzieję, że dziewczyna doceni jego umiejętności.

Wstał i odwrócił się, oczekując pochwały.

Dziewczyna jednak zniknęła.

Uprowadzona przez trzeciego łajdaka?

Nagle usłyszał stuk podków.

Wybiegł i zobaczył ogon swego wierzchowca, znikający w uliczce. Zaklął długo i kwieście.

- Dlaczego, u licha, pozwoliłeś jej zabrać mojego konia? - zapytał stajennego.

Mężczyzna cofnął się przestraszony.

- Powiedziała, że kazał jej pan sprowadzić pomoc, kapitanie. Proszę mi wybaczyć, lecz wydawało się to dość prawdopodobne.

- Dajcie mi innego. Jakiegokolwiek.

Stajenny bardzo się śpieszył, lecz zanim Thorn mógł wskoczyć w końcu na siodło, minęło pięć minut.

- A co z nimi, kapitanie? - spytał stajenny, zaniepokojony, skinąwszy głową w kierunku stajen.

- Rozwiąż ich po kilku minutach, ale nie dawaj koni. Jeśli spróbują przysparzać ci kłopotów powiedz wszystkim, że próbowali porwać siostrę szlachcica i zasługują na stryczek.

Co mogło nawet być prawdą.

- Dopilnuj także, by wiedzieli, że jeśli kapitan Rose usłyszy, iż niepokoją znów damę, będą martwi. Związani mężczyźni usłyszeli to zapewne na własne uszy. Dziewczyna nie zasługiwała co prawda, by ją chronić, lecz nie był w stanie się powstrzymać.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie ruszyć traktem londyńskim do stolicy, uznał jednak, że sprytna dziewczka wybierze inną drogę. Zapewne nie zmierzała wcale do Maidstone. Popyta lepiej w okolicy. Samotna kobieta na koniu, podróżująca nocą, to rzadkość.

Ci, którzy nie świętowali zmiany rządów, dawno już jednak spali, znalazł więc ledwie dwa tropy.

Żaden nie doprowadził go do dziewczyny. Podejrzewał, że zostały mu podsunięte. Do diabła, nie pozwoli, by podstęp uszedł jej na sucho. Jeszcze z nią nie skończył, poza tym, co ona sobie myśli?

Spodziewa się, z przetrwa sama w nocy na skradzionym wierzchowcu?

Nie mógł już jednak dłużej zwlekać. Skierował więc konia ku zamkowi Ithorne, zdenerwowany, wytracony z równowagi, ale i pełen podziwu. Bystra, zaradna dziewczka wielce go intrygowała i chętnie dowiedziałby się, co się jej przydarzyło.

Tylko że stary król nie żył.

Zatem, niech żyje król, a on musiał być w Londynie w momencie objęcia przez niego tronu.

Nowy władca był młody i niezdecydowany. Na dworze natychmiast zaczęła się walka o wpływy.

Niektórzy zyskali już przewagę. Taki na przykład markiz Rothgar: opiekował się młodym księciem od lat, odgrywając rolę raczej pełnego szacunku mentora niż rodzica czy wychowawcy. Czarny Markiz cieszył się opinią człowieka do-

skonale poinformowanego. Zupełnie, jakby wiedział, że ten dzień nadejdzie nadspodziewanie szybko. Nie wolno jednak dopuścić, by on i jemu podobni pozostali na polu walki o wpływy sami. Należało ogolić się, przywdziać modny strój i pognać na łeb na szyję do Londynu. Książę Ithorne przewyższał pozycją większość szlachty oraz arystokracji i musiał być na dworze, by wykorzystać to w kluczowym momencie.

## Rozdział 3

### *Kwiecień roku 1764, Carscourt, Oksfordshire*

Powoz! Ciekawe, kto przyjechał?

Bella Barstowe zignorowała okrzyk siostry. Lucinda nie spodziewała się odpowiedzi, a gość nie przybywał zapewne z wizytą do Belli. Odbywającej karę grzesznicy przysługiwały w Carscourt jedynie najnędniesze łóżko i strawa. Z drugiej strony, nuda sprawiała, iż każde wydarzenie, nawet najdrobniejsze, stawało się interesujące, zatem choć nie przerwała haftowania, wyteżyła słuch, ciekawa, kto też ich odwiedził.

Sąsiad? Nie, Lucinda stała już przy oknie. Z pewnością rozpoznałaby powóz sąsiada.

Gość? Nie zauważyła żadnych przygotowań, poza tym goście rzadko do nich zaglądali, odkąd jedynymi rezydentami dworu pozostali Lucinda i ich brat, sir Augustus. Lucinda była głupiutka i zgorzkniała, zaś Augustus świętoszkowaty i zarozumiały. Spędzał większość czasu poza domem, prowadząc różnego rodzaju interesy.

Co się tyczy Belli, była czarną owcą w rodzinie i gdyby żyła w innych czasach, z pewnością zamknięto by ją w klasztornej celi i wyrzucono klucz. Ponieważ było to jednak niemożliwe, uwięziono ją w Carscourt, pozbawiając choćby pensa. Zastanawiała się, czy nie ukraść trochę pieniędzy i nie uciec, była jednak pewna, że najpierw jej ojciec, a teraz brat chętnie zobaczyliby ją w sądzie, skazaną na zesłanie, a nawet powieszoną.

Zagryzła wargi, powstrzymując łzy. Nie pragnęła miłości ojca, miała jednak nadzieję, że zostanie potraktowana sprawiedliwie, a nawet, że ojciec się nad nią ulituje. Nic takiego wszakże nie nastąpiło, a potem ojciec zmarł.

Co się tyczy brata, nie dbała ani trochę o to, czy Augustus kocha ją czy choćby lubi. Nie znosiła go, i to od dzieciństwa. Lecz jego obojętność i chłód zmieniały się powoli w nienawiść, a ona nie miała pojęcia, co jest tego przyczyną. Domniemywała jedynie, że działo się tak, ponieważ swoim postępowaniem rzuciła cień na jego nieskazitelną reputację.

Jak wszyscy wierzył, że uciekła przed czterema laty z mężczyzną, a potem była zmuszona wrócić do domu, gdyż kochanek ją porzucił. Pogorszyła jeszcze swoją sytuację, odmawiając poślubienia kandydata, którego jej naprędce podsunęto.

Z pewnością mogło to stanowić wystarczający powód do gniewu. Nawet niesmaku, zwłaszcza u kogoś przywiązującego aż taką wagę do cnoty i właściwego postępowania.

Ale nienawiść?

Cztery lata temu sądziła, że uwięzienie to tymczasowa kara i nawet, jeśli rodzina nie uzna nigdy, że wyrodna córka i siostra zasługuje, by normalnie żyć, w końcu poczują się znużeni rolą więziennych nadzorców. Tymczasem jej egzystencja stawała się coraz trudniejsza do zniesienia.

Ojciec nie tylko pozbawił ją pieniędzy, ale zabronił zamawiać cokolwiek bez zezwolenia. Musiałaby błagać o nowe suknie i bieliznę, a nawet o buty i rękawiczki. Uwielbiała piękne stroje, uszyte podług najnowszej mody, spodziewano się więc, że zrobi wszystko, by nadal móc się nimi cieszyć. Jednak hart ducha, jakiego nie przejawiała przed porwaniem, nie pozwalał jej płaszczyć się przed rodziną. Nie będzie błagać. Nigdy.

Nauczyła się zatem szyc i łątać ubrania i udawała, że jest zadowolona z efektów. Co się tyczy butów i rękawi-

czek, ich brak nie miał znaczenia, ponieważ i tak rzadko wychodziła.

Po jakimś czasie ten sam hart ducha skłonił ją, by uznała, że skoro już musi reperować swoje ubrania, powinna robić to dobrze. Od prostego szycia przeszła więc do przeróbek, a potem ozdabiania strojów haftem i wykonaną ręcznie koronką. Zamiast prosić o materiały, zaczęła na nie polować. Strych w Carscourt okazał się istnym skarbcem, znajdowało się tam bowiem mnóstwo niepotrzebnych już rzeczy, takich jak wyblakłe meble czy niemodne stroje. Rozpruwała je, odzyskując materiał i niezerwane nici, a często znajdując nawet paciorki, wstążki czy koronki.

Rodzina uznała rozpaczliwe wysiłki Belli za satysfakcjonującą karę, dziewczyna skrywała zatem rosnącą przyjemność, jaką sprawiały jej polowanie na skarby i własna pomysłowość. Ładniutka, zalotna Bella Barstowe, największa flirciarka w całym hrabstwie, z pewnością uznałaby tego rodzaju zajęcia za nudne i poniżej swojej godności.

Augustus odkrył wszakże, jak się sprawy mają. Kiedy został głową rodziny, kazał oczyścić dom z większości tego, co nazywał śmieciami, a resztę zamknął. W ciągu ostatniego roku Bella stała się wystarczająco godna politowania, by zadowolić nawet jego spaczoną duszę.

- Słyszę głosy - oznajmiła Lucinda. Podbiegła do lustra i poprawiła czepek. - Augustus kogoś do nas prowadzi!

Czyżby wyobrażała sobie, że przybysz może okazać się zalotnikiem? W wieku dwudziestu sześciu lat nie mogła mieć już nadziei na zamążpójście, lecz oto stała tutaj, zaróżowiona, z błyszczącymi oczekiwaniem oczami.

Bella życzyła siostrze z całego serca, by jej pragnienia się spełniły. Gdyby Lucinda wyszła za mąż, sytuacja Belli musiałaby ulec zmianie, gdyż nie mogłaby zostać we dworze sama. Oczywiście, niosłoby to ze sobą ryzyko, ale w tym stanie rzeczy nawet bramy piekieł wyda-



łyby się jej kuszące, gdyby tylko mogła wydostać się przez nie z Carscourt.

Po chwili Augustus wprowadził pulchnego dżentelmena odzianego w pelerynę i zamknął pospiesznie drzwi. Był kwiecień, ale we dworze panował przenikliwy chłód. Wszędzie, z wyjątkiem kilku ogrzewanych pomieszczeń.

Oczywiście sypialnia Belli do nich nie należała. Pod rządami Augustusa nie palono tu nawet podczas najsroźszej zimy. Czasami z trudem opierała się pokusie, aby rozpaść ognisko z mebli.

Za bratem postępował Henry, główny lokaj. Pomógł gościowi zdjąć długi, gruby szal, a potem pelerynę. Spod okrycia wyłonił się jowialny, siwowłosy dżentelmen z kroplą na czubku nosa. Gdy lokaj zabrał jego rzeczy, dżentelmen wyjął chustkę i wydmuchał nos.

Lucinda wstała podeksycytowana, lecz Bella nadal siedziała.

- Wstań, Isabello! - rozkazał Augustus.

Ktoś tak świętoszkowaty powinien być chudy, tymczasem jej brat, chociaż nie gruby, był jednak nieco pulchny. Miał też drobne usta, które zaciskał w wyrazie dezaprobaty tak mocno, że wyglądały jak otwór zamkniętej sakiewki.

Gdy Bella wstała, dodał:

- Przepraszam bardzo, panie Clatterford, lecz jak pan widzi, dziewczyna nie zachowuje się tak, jak byśmy sobie życzyli.

Bella starała się zachować obojętny wyraz twarzy, podczas gdy w duchu oceniała to nowe i niespodziewane zagrożenie. Czy Clatterford był lekarzem, sprowadzonym, by ostukiwać ją i puszczać krew? Tak właśnie zdarzyło się przed czterema laty, gdy odmówiła zamaskowania swojej hańby przez poślubienie szanownego Thoroughgooda, lecz doktor Symon był miejscowym lekarzem i poza osłuchaniem pacjentki oraz puszczeniem jej krwi nie zgodził się zrobić nic więcej, aby „przywrócić dziewczynie zdrowie”. Odmówił także uznania Belli za niepo-

czytalną. Bo tym też jej grozono, próbując zmusić do zawarcia okropnego małżeństwa. Przepelniona słusznym gniewem, pewna swej niewinności i nadal wierząca, że zdoła odzyskać dawne życie, odmawiała, odmawiała i odmawiała. Z upływem lat zaczęła wszakże sądzić, że nawet poślubienie nieokrzesanego mężczyzny o zszarganej reputacji byłoby lepsze niż niekończąca się parodia egzystencji. W końcu mąż mógł przecież umrzeć.

Gość spoglądał na nią przyjaźnie, ale czy mogła mu wierzyć?

A jeśli pracował jako opiekun w domu wariatów?

- Panna Isabella była zapewne zbyt zaabsorbowana szyciem - powiedział, podchodząc bliżej i spoglądając na chusteczkę, którą haftowała. - Bardzo ładna. Prababcia pani pokazała mi kilka rzeczy, które przysłała jej pani w prezencie.

- Znał pan lady Raddall? - Starsza dama była jedyną przyjaciółką, jaka pozostała Belli na tym świecie. Nie spotkały się co prawda od czasu skandalu ani razu, gdyż Bella była uwięziona w Carscourt, a lady Raddall za stara, by ruszyć się z Tunbridge Wells, lecz od początku często do niej pisała, podtrzymując dziewczynę na duchu. A kiedy dowiedziała się, że ojciec Belli otwiera i cenzuruje jej korespondencję, narobiła takiego rabanu, że nawet on musiał ustąpić.

Łamanie pieczęci na kolejnym liście od lady Raddall stanowiło jedną z nielicznych przyjemności w życiu Belli, ale niedawno i to się skończyło.

- Bardzo zmartwiła mnie wieść o jej śmierci - powiedziała.

- Ależ, Bello - zaprotestował Augustus. - Lady Raddall miała ze sto lat!

- To nie powód, by jej nie opłakiwać - odpaliła Bella. Do pana Clatterforda zaś powiedziała: - Mam nadzieję, że nie cierpiała.

- Bała się jedynie, że nie doczeka setki, panno Isabello. Po setnych urodzinach odeszła po prostu z uśmiechem na twarzy. - Oczy mu zabłyśły. - Poleciała, by uwieczniono to osiągnięcie na jej nagrobku. Na wypadek, jak mawiała, gdyby któryś z przechodniów okazał się niedostatecznie biegły w rachunkach.

Bella parsknęła śmiechem, zanim zdołała się powstrzymać, i było to jak otwarcie zapieczętowanej szkatułki. - To do niej podobne. Pozostała młoda duchem.

Lucinda chrząknęła, przywracając Bellę do rzeczywistości. Była w Carscourt. Uwięziona i skazana. Z pewnością przyjdzie jej zapłacić za tę chwilę beztroskiej radości.

Augustus przedstawił im lodowatym tonem pana Clatterforda, dodając, że przebył długą drogę z Tunbridge Wells, aby przedstawić pewne kwestie związane ze śmiercią ich prababki.

- Chodzi o testament? - zapytał, wskazując gościowi krzesło i sam siadając.

Aha, pomyślała Bella. To z pewnością zainteresuje brata. Z jakiegoś powodu w Carscourt zawsze brakowało pieniędzy.

- Zastanawiałem się, dlaczego dotąd nikt się z nami nie skontaktował - kontynuował tymczasem Augustus - choć, oczywiście, wszystko przejdzie na jej wnuka, obecnego lorda Raddall.

Clatterford usiadł przy kominku i jął rozcierać nad ogniem zziębnięte dłonie.

- Lord Raddall nie musi już wypłacać dożywocia wdowie, co stanowi znaczną ulgę, pensja lady Raddall, ustanowiona dla niej przez męża, była bowiem wysoka. Zmarły lord bardzo kochał żonę, nie przewidział jednak, że syn będzie musiał płacić tak długo. Lady Raddall była wdową przez czterdzieści lat.

- Co za obciążenie dla majątku - zauważył Augustus z uczuciem.

Sam nieustająco uskarżał się, że musi płacić kwartalną pensję ich matce, która z uporem trzymała się życia. Na dodatek przeprowadziła się na wybrzeże, zamiast pozostać w Carscourt, gdzie spora część jej pieniędzy wróciłaby z powrotem do majątku. Bella nie winiła matki za to, że uciekła z Carscourt najszybciej, jak tylko się dało, choć miała do niej żal, że nie spróbowała pomóc córce. Lady Barstowe wierzyła jednak, oczywiście, że Bella jest niepoprawną grzesznicą i kłamczuchą, poza tym, prawdę mówiąc, i tak nie była dla żadnego ze swoich dzieci oddaną matką.

Clatterford odwrócił się i spojrzał na Augustusa.

- Testament zawiera kilka zapisów dla wiernych służących oraz przyjaciół, a także dla instytucji dobroczynnej z Tunbridge Wells, opiekującej się starszymi damami. Całą resztę lady Raddall zostawiła jednak swojej prawnuczce - odwrócił się nie ku Lucindzie, lecz Belli - Isabelli Clarze Barstowe.

- Co takiego! - krzyknęli jednym głosem Augustus i Lucinda, zagłuszając pełne zaskoczenia westchnienie Belli.

- Niemożliwe - prychnął Augustus, oburzony. - Nie pozwolę na to.

- Drogi panie, nie może pan temu przeszkodzić, ani też kontrolować pieniędzy. Panna Barstowe jest pełnoletnia.

Bella obchodziła urodziny dwa tygodnie wcześniej, nie mając jednak pieniędzy ani miejsca, gdzie mogłaby się schronić, i tak musiała pozostać w Carscourt.

Pan Clatterford minę miał nieprzeniknioną, dostrzegła jednak w jego oczach łobuzerski błysk.

Uświadomiła sobie, że prawnik dobrze się bawi i nagle poczuła, że z nią jest podobnie. Augustus wyglądał, jakby miał się udusić. Postarała się zachować obojętny wyraz twarzy. Ledwie mogła uwierzyć, że będzie wkrótce wolna, a gdyby okazało się, że nadzieje zawiodły, konsekwencje byłyby straszliwe.

- Augustusie! - zaskrzeczała Lucinda, zrywając się na równe nogi. Zapomniana robótka spadła na dywan.

- Tak być nie może. Nie pozwolę na to. Ta... ta... ladacznica nie dostanie wielkiego posagu, kiedy ja nie mam dość pieniędzy, by znaleźć męża!

- Posag jest wystarczający. To twój wygląd i usposobienie sprawiają, że nikt nie chce cię poślubić! - rzuci! gniewnie jej brat, a potem odwrócił się do prawnika.

- Zakwestionuję testament.

- Nie ma pan podstaw - Clatterford, w przeciwieństwie do Augustusa, wstał, kiedy Lucinda zerwała się z krzesła. - Co więcej, lady Raddall pozostawiła dokładne instrukcje, których jako wykonawca testamentu zobowiązany jestem przestrzegać. O ile panna Isabella nie wyrazi sprzeciwu, ma opuścić ze mną Carscourt w ciągu godziny.

Okropną ciszę przerwało wejście Henry'ego z tacą.

- Wynoś się! - warknął Augustus i zaskoczony lokaj wyszedł.

Krótką przerwa dała Belli czas, by mogła zebrać myśli, chociaż jej umysł nadal nie był zdolny ogarnąć w pełni konsekwencji tego, co usłyszała. Bała się uwierzyć.

Augustus wstał, podszedł i zawisł nad nią złowróźnie.

- Jeśli wyjedziesz z tym człowiekiem, możesz już tu nie wracać.

Groźba wywarła jednak zgoła przeciwny skutek. Bella zerwała się z krzesła, myśląc: ***Błagam, niech tak się stanie!***

- Można by pomyśleć, Isabello - zauważyła Lucinda cierpko - że przekonałaś się już, jakie to niemądre uciekać z obcym mężczyzną. Co właściwie wiesz o tym... tym Clatterfordzie?

Było to niczym nóż w serce, ale dla Belli ten nóż mógł zostać odlany równie dobrze z wosku.

Prababka wspominała nieraz o panu Clatterfordzie, wychwalając jego zawodowe umiejętności, troskliwość oraz lojalność. Prawnik miał też uroczą rodzinę, w tym pięcioro wnuków.

Czyżby przygotowywała Bellę na ten moment - czyniąc to niebezpośrednio na wypadek, gdyby Augustus czytał jej listy i poszukał sposobu, żeby uniemożliwić przeprowadzenie planu?

Dlaczego nie zawiadomiła po prostu wnuczki o swoich zamiarach?

Oczywiście, nie wiedziała, kiedy umrze, i nie miała pewności, czy jej listy docierają do Belli nieotwarte. Mogła się obawiać, że Augustus znajdzie sposób, aby obalić postanowienia testamentu. Rozmyślając o rym, rozważała wszystkie za i przeciw. Jeśli wyjedzie, Augustus wyrzuci ją z domu i wyprze się jej, a jeśli ten plan nie wypali, nie będzie miała gdzie się schronić...

- Sam pan widzi - wycedził Augustus z pogardą - dziewczyna jest nierozgarnięta. Nie mogę doprawdy pozwolić, by opuściła ten dom.

Bella ocknęła się raptownie z zamyślenia.

- To, że musiałam chwilę się zastanowić, zanim podjęłam tak poważną decyzję, nie znaczy jeszcze, że jestem nierozgarnięta. Postanowiłam wyjechać. Spakuję to, co chcę zabrać.

Pozbierała robótkę i ruszyła ku drzwiom, przygotowując się wewnątrz, że Augustus zechce zatrzymać ją siłą. Na samą myśl o tym ścisnęła ją w żołądku. Rzeczywiście, wykonał gest, jakby chciał ją pochwycić, wyciągając ku Belli rękę z palcami przypominającymi szpony. Przed kilkoma laty został napadnięty w Londynie i pobity. Ręka nie odzyskała dawnej sprawności, zaś Augustus z niepojętego powodu winą za to zdarzenie obarczył Bellę.

Znalazła w sobie odwagę, by spojrzeć mu w oczy, rzucić otwarte wyzwanie. Nawet gdyby skutki jej decyzji okazały się opłakane, ta chwila warta była swojej ceny. Wpatrywał się w nią z wściekłością, a jego nalana twarz poczerwieniała tak bardzo, iż sprawiała wrażenie, jakby Augustus miał dosłownie eksplodować.

Ominęła wyciągniętą rękę brata i pospiesznie wyszła. Lecz kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, przystanęła i oparła się o ścianę. Drżała, i to bynajmniej nie z zimna. Słyszała, jak w saloniku Augustus i Lucinda wykrzykują coś do Clatterforda. Ich furia stanowiła dowód, że wszystko to dzieje się naprawdę. Bramy jej więzienia zostały otwarte i nawet gdyby prowadziły do piekła, i tak zamierzała przez nie przejść.

Ruszyła korytarzem ku swej sypialni, ale po chwili zawróciła i zbiegła schodami dla służby. Weszła do kuchni, przerywając toczącą się tam dyskusję, której temat był oczywisty.

Wpatrywali się w nią czujnie szeroko otwartymi oczami. Wiedziała, że boją się, iż zażyczy sobie czegoś, co narazi ich na gniew chlebodawcy. Od dawna znajdowali się w niezręcznym położeniu, nie wiedząc, jak się wobec niej zachować - była co prawda członkiem rodziny, lecz pozbawiono ją niemal wszelkich praw. Większość służyła już w Carscourt, gdy Bella popadła w niełaskę, a stare nawyki trudno wykorzenić.

- Wyjeżdżam — powiedziała. - Natychmiast. Potrzebuję kilku walizek albo małego kufra. Miałam kiedyś kilka...

Po dłuższej chwili gospodyni powiedziała:

- Mam nadzieję, że udaje się panienka w jakieś lepsze miejsce, panienko Bellu.

Spostrzegła, że martwią się o nią, i łzy zakręciły się jej w oczach.

- O, tak! Odziedziczyłam trochę pieniędzy... - Uświadomiła sobie, że nie wie, ile dokładnie wynosi spadek, ale nie miało to znaczenia. - Muszę wyjechać natychmiast.

Wpatrywali się w nią, zaniepokojeni. A potem Henry powiedział:

- Wiem, gdzie jest kufer panienki. Przyniosę go do sypialni.

Osobista pokojówka Lucindy zagryzła wargi, ale nie odważyła się zaoferować pomocy. To Jane, służąca, potrząsnęła zadziornie głową i powiedziała:

- Przyjdę i pomogę panience się spakować.

Wróciwszy do sypialni, wyjęła wszystkie ubrania z bie-liźniarki oraz komody. Co za żałosna kolekcja, pomyślała. Weźmie tyle, aby zappełnić kuferek. Resztą nie ma co zawracać sobie głowy. Pomimo iż uszycie tych ubrań kosztowało ją tyle pracy, miała szczerą nadzieję, że wkrótce stać ją będzie na lepsze stroje.

Ile pieniędzy mogła odziedziczyć? Skoro lady Raddall spodziewała się, że prawnuczka wyjedzie z Carscourt, musiało być ich dość, by mogła się skromnie utrzymać, ale dochód prababki urwał się wraz z jej śmiercią. Jak wiele zdołała zaoszczędzić? Czy spadek pozwoli na drobne luksusy? Nowe gorsety, jedwabne pończochy, wstążki, perfumowane mydło...?

Marzyła o sklepach, kiedy pakowały wraz Jane bieliznę i cztery przerobione sukienki.

Na końcu do kufra powędrował plik listów od prababki wraz z załącznikami.

Kiedy lady Raddall przekonała się, że jej listy docierają do Belli zapieczętowane, zaczęła dołączać do niektórych inne - napisane przez niejaką lady Fowler, niewiastę, która twierdziła, iż pragnie zreformować kręgi arystokracji, obnażając grzechy jej przedstawicieli.

***Kobieta jest szalona***, pisała lady Raddall. ***Nie potrafię sobie wyobrazić, co spodziewa się osiągnąć, rozpowszechniając opowieści o niechlubnym postępowaniu wysoko urodzonych, ale jej biuletyny są nader zabawne, zwłaszcza dla tych spośród nas, którzy nie mogą wyprawić się osobiście do stolicy. I choć, nad czym szczerze boleję, dzisiejsi hultaje nie dorastają do pięt tym z czasów mojej młodości, kilku zapowiada się całkiem obiecująco. Taki na przykład markiz Ashart... Przyjeżdża wkrótce do Wells, skąd***



*uda się w odwiedzinie do swych ciotecznych babek. Lord Huntersdown to czarujący szelma. I właśnie mężczyźni tacy jak oni są powodem, dla którego posyłam ci te listy, moja droga. Pewnego dnia wydostaniesz się z klatki, lecz świat jest podły, a czasami ta podłość bywa pięknie opakowana. Nie życzę sobie, byś wpadła znów w tę pułapkę.*

Bella nie uciekła tak naprawdę z przystojnym Simonem Naiscourtem, ale zgodziła się spotkać z nim potajemnie, co doprowadziło do katastrofy.

Z początku to, o czym pisała lady Fowler, bardziej Belle szokowało niż bawiło. Uważała się za osobę światową i wyrafinowaną, podczas gdy w wieku siedemnastu lat była po prostu naiwna i głupiotka. A już z pewnością nie miała pojęcia o istnieniu grzechów, które opisywała lady Fowler. Uważała, że nie powinni się ich dopuszczać członkowie parlamentu. Tymczasem przypadki tego typu nagannych zachowań zdarzały się nawet wśród dostojników kościelnych.

Lady Fowler rozwodziła się też z oburzeniem na temat niesprawiedliwego prawa zapewniającego mężczyznom bezwzględną władzę nad kobietami. Pod tym względem Bella całkowicie się z nią zgadzała. Teraz uświadomiła sobie, że będzie mogła przeznaczyć niewielką sumkę na Fundusz Moralnej Odnowy Londyńskiego Towarzystwa, zarządzany przez lady Fowler.

Ucałowała plik listów od prababki, dziękując w duchu gorąco drogiej damie, a potem włożyła je do kufra. - Gotowe - powiedziała wstając i zamykając kufer. Rzut oka na zegar powiedział jej, że minęło pół godziny. Nagle przeraziła się, że Lucinda i Augustus mogli skłonić w tym czasie pana Clatterforda, aby porzucił zamiar wywiezienia Belli z Carscourt. Wcisnęła kapelusz na czepek i przypięła go długą szpilką, chwyciła cienki płaszcz oraz pocerowane rękawiczki i pospieszyła z powrotem do saloniku.

Pan Clatterford siedział w pokoju sam, racząc się herbatą i placuszkami. Rozpromienił się na widok Belli.

- Gotowa? Znakomicie. - Wstał i otarł serwetką masło z ust. - Sir Augustus i siostra panienci musieli pilnie czymś się zająć, myślę jednak, że obejdziemy się bez pożegnań, he?

- Absolutnie - odparła Bella, łapiąc oddech. Musiała zapytać. - Więc to prawda?

- Chodzi panience o pieniądze? Tak, moja droga.

- Ile tego jest? - spytała z mocno bijącym sercem.

- Majątek musi jeszcze zostać oszacowany, ale tak na oko będzie tego z piętnaście tysięcy funtów. Wysokość kwoty spadku tak ogłuszyła rodzinę panienci, że ledwie byli w stanie wyjść. Dochodzą teraz do siebie gdzieś w domu.

Bella miała chęć się roześmiać, wiedziała jednak, że nie ośmieli się nawet uśmiechnąć, nim nie opuszczą domu. A właściwie granic posiadłości.

Kiedy drzwi nagle się otwarły, podskoczyła, przestraszona, lecz zaraz odetchnęła z ulgą.

- To Henry. Przyniósł pańskie odzienie, panie Clatterford. Ruszajmy!

Pan Clattersford okutał się szalem. Gdy wyszli, Henry mrugnął do Belli. Uśmiechnęła się leciutko i wyszeptała:

- Dziękuję. Jeśli ty i Jane będziecie mieli kłopoty, skontaktujcie się z panem Clatterfordem w Tunbridge Wells. Pomożemy.

Zeszli pospiesznie schodami i opuścili dom. Henry załadował z pomocą stajennego kufer i Bella wsiadła do powozu, zeszywniała z obawy, że Augustus znajdzie sposób, by ją zatrzymać.

Nie wiedziała, dlaczego z taką zawziętością przedłuża karę, wymyśloną dla niej przez ojca, ale tak właśnie było. Co się tyczy Lucindy, dostała prawdopodobnie ataku hysterii.

Pan Clatterford wdrapał się do powozu. Bella nie spuszczała wzroku z drzwi, wypatrując Augustusa.

Prawnik zajął miejsce naprzeciwko, zwrócony plecami do koni.

- Och, nie... - zaprotestowała Bella, wstając. - Proszę mi pozwolić...

- Wiek przed urodą? - zapytał. - Jeśli nie będzie to pani przeszkadzało, może mógłbym usiąść obok?

Przyznaję, że nie przepadam za siedzeniem plecami do koni, nie widzę również powodu, by którekolwiek z nas miało tak podróżować.

Usiedli oboje wygodnie i powóz ruszył.

Bella obserwowała frontowe drzwi domu, dopóki było to możliwe. Pozostały szczelnie zamknięte i choć nie miało to uzasadnienia, zaczęła tym bardziej się martwić. Wolałaby zobaczyć, jak Augustus wygraża jej pięścią. Wiedziałyby przynajmniej, gdzie jest i co robi.

W końcu nie było już widać drzwi. Spojrzała przed siebie, próbując uwierzyć. - Nie wiem, jak panu dziękować, panie Clatterford.

Poklepał ją po dłoni.

- Nie ma potrzeby, moja droga. Przepraszam, że nie stawilem się tutaj w pani urodziny, jak życzyła sobie tego lady Raddall, ale z powodu intensywnych deszczów drogi stały się prawie nieprzejezdne. Uznałem, że nie byłoby rozsądne pakować się w kłopoty.

- To długa podróż, proszę pana.

- Nie aż tak bardzo, kiedy drogi są suche, ale pogoda jest w tym roku nieprzewidywalna. Widzę, że nie zadbano o to, aby umieścić w powozie gorące cegły. Postaramy się naprawić to niedopatrzenie, gdy oddalimy się nieco od Carscourt.

Bella przywykła do chłodu, gorące cegły bardzo by się jednak przydały. Podobnie jak ciepły płaszcz. Kiedyś taki miała. I może będzie miała znowu?

Ładne stroje i buty, spotkania towarzyskie i bale. Może nawet nadskakujący adoratorzy... Było tak, jakby minione cztery lata usuwały się w cień, znikwały.

Carscourt nie miało bram, granice posiadłości znaczyły jedynie słupy. Patrzyła, jak je mijają.

Pierwszy powiew

wolności, lecz nadal znajdowali się w okolicy, zamieszkaney przez dzierżawców Augustusa. Wkrótce powóz zaturkotal na bruku wioski Cars Green. Wczoraj wyprawa tutaj miałaby posmak wolności, lecz dziś Bella czuła, że nie opuściła jeszcze bram więzienia. Wiedziała, że gdyby ją tam z powrotem zaciągnięto, na pewno by się załamała. Zerknęła na pana Clatterforda, zastanawiając się, czy nie uczestniczy aby w jakimś wymyślnym spisku... Okrzyk sprawił, że zamarła ze zgrozy. Powóz się zatrzymał. Powinna była wiedzieć, że ucieczka nie jest możliwa.

## Rozdział 4

Stajenny otworzył drzwiczki.

- Jakaś kobieta chce z panią mówić, panienko. Bella wyjrzała z bijącym mocno sercem, starając się umiejscowić pulchną wieśniaczkę, opatuloną ciasno szalem i trzymającą w dłoniach tobołek.

- Nazywam się Gussage, panienko - powiedziała. - Peg Oaks z domu. Sprzątałam pokój do nauki, kiedy była panienka mała, a potem wyszłam za Gussage'a, pomocnika gajowego.

Bella pamiętała ją, ale nadal była zaskoczona. Czy tobołek miał być prezentem?

- Tak, oczywiście. Co mogę dla pani zrobić, pani Gussage?

Pocięta zmarszczkami twarz wykrzywiła się w czymś pomiędzy uśmiechem a grymasem, a potem kobieta wypaliła gwałtownie:

- Mogę z panienką pojechać, panienko Bello? To niewłaściwe, żeby podróżowała panienka tylko z mężczyzną. Nie po tamtym... - Tak, teraz zdecydowanie się skrzywiła. - Nie to, bym kiedykolwiek sądziła... Widzi panienka, teraz, kiedy Bill umarł, nie mam już nikogo. Nie mieliśmy dzieci, bo późno wyszłam za mąż. No i chciałabym zobaczyć kawałek świata.

Bella spojrzała, zakłopotana, na pana Clatterforda, wzrokiem prosząc go o radę.

- Jeśli kobieta jest przyzwoita, to znakomity pomysł - powiedział. - Z pewnością nie życzylibyśmy sobie nawet odrobiny skandalu.

Bella bez trudu mogła wyobrazić sobie, że August przedstawia jej wyjazd jako kolejną ucieczkę, wykorzystując go, by zaszkodzić siostrze. Pamiętała Peg Oaks jako miłą, wesołą i pracowitą niewiastę.

- Proszę wsiąść, pani Gussage. Bagażem zajmiemy się później. I bardzo dziękuję.

Kobieta rozpromieniła się, weszła na stopnie, a potem precyzyjnie przeszła przez drzwiczki i opadła na przeciwległe siedzenie. - Co się tyczy bagażu, jestem co prawda dość solidnie zbudowana, lecz nie aż tak solidnie - powiedziała, chwytając z trudem oddech. - Mam na sobie większość swoich ubrań. Pan Clatterford dał woźnicy znak, by ruszał i powóz potoczył się drogą, nabierając szybkości. Bogu dzięki, westchnęła w duchu Bella, a potem spytała:

- Jest pani pewna?

- Proszę mówić mi Peg, panienko. Tak, jestem pewna. Żadna ze mnie pani, a moja noga nie postąpiła dotąd dalej niż o pięć mil od Cars Green, mam jednak kilka prostych umiejętności, które mogą się panience przydać.

- Ale skąd wiedziałaś, że wyjeżdżam?

- Wszyscy już o tym wiedzą, panienko. Babs, pomy-waczka, przybiegła z nowiną do wioski. Gdy tylko ją usłyszałam, pomyślałam, że to nie wypada, aby wyjeżdżała panienska sama z obcym mężczyzną. - Spojrzała podejrzliwie na Clatterforda.

Uśmiechnął się do niej.

- Ma pani rację, i bardzo się cieszymy, że postanowiła pani do nas dołączyć. Jedziemy wszakże daleko. Podróż do Tunbridge Wells zajmie nam dwa dni.

Peg Gussage wyglądała jak ktoś, kto wszedł beztrudnie do jaskini lwa, mimo to powiedziała: - Całkiem pewna, proszę pana. Nie mam czym wypełnić sobie czasu, no i mówiłam poważnie, kiedy wspomniałam, że zanim umrę, chciałabym zobaczyć choć kawałek świata.

- Doskonale. Gdyby uznała pani jednak, że woli wrócić do domu, oczywiście ja albo panna Barstowe zajmiemy się tym. Na razie, skoro ma pani zostać towarzyszką podróży panny Barstowe, musimy pomyśleć o wynagrodzeniu.

Peg z wrażenia otworzyła usta, skinęła jednak z zapalem głową.

Bella uświadomiła sobie, że się uśmiecha, naprawdę uśmiecha. Była bardzo wdzięczna, że Peg jest z nimi, najbardziej cieszyło ją wszakże, iż może uszczęśliwić kogoś tak bardzo, oferując dość przecież skromną sumkę pieniędzy.

Nie wiedziała zbyt wiele o pieniądzach. Jako siedemnastolatka dostawała co prawda kieszonkowe, ale rachunki za suknie i temu podobne kierowano wprost do jej ojca. Później nie miała już ani pensa. Była jednak pewna, że da się żyć wygodnie za sam procent od piętnastu tysięcy funtów.

Zatrzymali się w gospodzie po cegły, a potem drugi raz, by zmienić konie. Rozmawiali jednak niewiele. Bella miała mnóstwo pytań, nauczono ją wszakże, iż o pieniądzach nie rozmawia się przy służbie. Na razie była po prostu szczęśliwa, że oddała się coraz bardziej od Carscourt.

W końcu nie sposób było już jednak ignorować myśli na temat przyszłości.

Czy naprawdę chce jechać do Tunbridge Wells?

Kiedyś z pewnością by chciała, lecz wtedy żyła jeszcze jej prababka. Teraz nie miała już pewności, czy nadal pragnie tam zamieszkać. Wells było modnym uzdrowiskiem, i to ją przerażało. Bella Barstowe wydostała się być może z więzienia, lecz nadal tkwiła w pułapce swej reputacji. Bała się, iż może być przez towarzystwo ignorowana.

Kiedy z uporem odmawiała poślubienia szanownego Thoroughgooda, ojciec przestał zabiegać o to, by skandal nie rozprzestrzenił się po okolicy. Nikt jej nie wierzył, gdy zapewniała, że jest niewinna i, prawdę mówiąc trudno było mieć im to za złe, gdyż wszystko, co mówiła' brzmiało bardzo nieprawdopodobnie.

Musiała przyznać, że umówiła się na schadzke z mężczyzną, którego poznała na festynie. Było to niemądre ale i ona była w wieku siedemnastu lat niemądra. Niemądra i pewna swego bezpieczeństwa. Nie odjechała z nim jednak z własnej woli. Została uprowadzona i umieszczona w nędznej tawernie gdzie trzymano ją zamkniętą w pokoju przez dwa dni. Simon Naiscourt - podejrzewała, że wcale się tak nie nazywał - i jego starszy kompan, który najwyraźniej dowodził powiedzieli, że porwano ją dla okupu. Zapewnili, że nie stanie jej się krzywda, lecz jeśli spróbuje krzyczeć zwiążą ją i zakneblują.<sup>4</sup> Bała się, była jednak pewna, że ojciec zapłaci okup i zostanie wkrótce uwolniona. Ojciec będzie wściekły i pewnie zamknie ją w domu na całe tygodnie, ale to nic nowego Ciagle był na nią wściekły z powodu tego, co nazywał lekkomyślnym, niemądrym postępowaniem. Siedząc w nędznym, brudnym pokoiku, pomyślała, iż być może ojciec ma rację.

Nie uwierzono jej zaś przede wszystkim dlatego że do ojca nie dotarło żądanie okupu. Zamiast tego otrzymał od Simona list wyjaśniający, że są z Bella zakochani i zmierzają do Szkocji, by wziąć tam ślub

Nigdy nie udało jej się tego rozgryźć. Porywacze byli bowiem bardzo zniecierpliwieni, sfrustrowani brakiem reakcji ze strony jej rodziny. Lecz ojciec pokazał Belli list Simona.

Nie wiedziała o nim, póki nie wróciła, zatem gdy porywaczom znudziło się czekanie i zabrali ją ze sobą na południe, pomyślała jedynie, że ojciec postanowił ukarać ją pozwalając, aby poniosła konsekwencje swego



szaleństwa. Trudno jej było w to uwierzyć, nie sądziła bowiem, by ojciec, chociaż surowy i stanowczy, był aż tak bezlitosny, ale innym wytłumaczeniem było tylko to, że zupełnie ją porzucił. A to jej się po prostu nie mieściło w głowie. Oczekiwała zatem, że lada moment zostanie \ uratowana. W końcu musiała uratować się sama.

Z pomocą kapitana Rose.

Nie pozwalała sobie myśleć o nim przez całe lata. Z jakiegoś dziwnego powodu we wczesnych miesiącach uwięzienia wyobrażała sobie, że ruszy jej na ratunek. Co za idiotyzm. Gdyby ruszył do Carscourt, to zapewne jedynie w tym celu, aby oskarżyć ją o kradzież konia.

Porzuciła z czasem niemądre marzenia, a teraz nie pora do nich wracać. Potrzebowała domu, ale nie będzie więcej balów ani spotkań towarzyskich dla shańbionej Belli Barstowe.

Kiedy zatrzymali się na nocleg, musiała dzielić pokój z wielce podekscytowaną Peg.

- O rany, panienko, nie nocowałam dotąd w gospodzie. Jakie wspaniałe łóżko! A pod nim drugie, dla mnie. Patrzcie, patrzcie - powtarzała, wysuwając pryczę.

Bella przywykła sypiać w jednym łóżku z osobistą pokojówką, dopóki ją miała, teraz była jednak zadowolona, że nie będą musiały spać razem. Polubiła towarzystwo Peg Gussage, nie była jednak gotowa do takiej poufałości.

Poprosiła, by przyniesiono im kolację do pokoju, ponieważ nie była też jeszcze gotowa, aby rozmawiać z panem Clatterfordem o przyszłości. Gdy jadły zupę, spytała:

- Czy to dla ciebie ważne, gdzie będziemy mieszkały, Peg?

- Dla mnie, panienko? Nie. Wszystko i tak jest dla mnie nowe. Jaka pyszna zupa. I gęsta.

Bella się uśmiechnęła. Miło mieć dla odmiany towarzyszkę, którą wszystko cieszy. Po latach spędzonych z Lucindą wiele mogłaby na ten temat powiedzieć.

- Pan Clatterford spodziewa się, że zostanę w Tunbridge Wells, gdzie mieszkała moja prababka. I gdzie on prowadzi interesy. Ale ja wolałabym spokojniejsze miejsce.

Peg posmarowała chleb, nie żałując masła.

- Dlaczego, panienko?

- Nie uciekłam z tym mężczyzną, Peg, ale nikt w okolicy mi nie wierzy, i nic w tym dziwnego.

Głupiutka Bella Barstowe uciekła z czarującym szelmą, została uwiedziona i porzucona. A potem zwiększyła jeszcze swoją hańbę, rezygnując z przyzwoitego małżeństwa.

- Z szanownym Thoroughgoodem - wymamrotała Peg z niesmakiem. - Ten człowiek to nic dobrego, i nie ja jedna tak uważam.

- Ja też tak uznałam, większość zdaje się jednak sądzić, że lepsze takie małżeństwo niż żadne, kiedy kobieta straciła reputację, a gdy stało się jasne, że nie zgodzę się poślubić pana Thoroughgooda, ojciec pozwolił, by wieści o moim postępku rozeszły się po okolicy. A stamtąd w inne zakątki kraju, za pośrednictwem listów.

- Ale to było cztery lata temu, panienko. Do tego czasu na pewno już o wszystkim zapomniano.

- Chciałabym w to wierzyć. - Przypomniała sobie o stygnącej zupie i zjadła kilka łyżek. - W Tunbridge będą pamiętali o skandalu z uwagi na moje powiązania z lady Raddall. Mogła nawet rozmawiać z przyjaciółmi o tym, jak mnie potraktowano. Wyrażając oburzenie, jestem tego pewna, ale czy ludzie zapamiętają akurat to, czy raczej fakt, że zostałam zhańbiona?

Peg się skrzywiła.

- Może i ma panienka rację, ale co ze starszą siostrą panienki? Tą mężatką.

- Z Atheną? - Bella zastanawiała się przez chwilę, lecz potrząsnęła w końcu głową.

Athena mieszkała w pobliżu Maidstone i właśnie tam Bella udała się po ucieczce z Dover. Athena zapewne zgodziłaby się przjąć siostrę pod swój dach, jej mąż uważał wszakże, iż dziewczyna, która uciekła z mężczyzną, miałaby zły wpływ na ich młodziutkie córki. Nawet gdyby Athenie udało się go przekonać, i tak Bella byłaby tam traktowana jak grzesznica. Spodziewano by się, że będzie wdzięczna i skruszona po kres swoich dni.

Nie mogła rozmawiać o tego typu sprawach ze służącą, powiedziała więc tylko: - Nie. nic by z tego nie wyszło. Skończyła jeść zupę, zastanawiając się nad innymi możliwościami. Choć wydawało się to niezwykle śmiało, pragnęła niezależności. Lata spędzone w domowym więzieniu sprawiły, że wszelka myśl o kolejnych ograniczeniach wydawała się nie do zniesienia. Ale czy dama w wieku lat dwudziestu jeden może choć marzyć o wolności? A gdyby wyglądała na starszą, stała się kimś innym, na kim nie ciąży piętno skandalu?

- Może przyjmę inne nazwisko - powiedziała, wyprobowując pomysł na Peg. - I zamieszkać w spokojnym miejscu, daleko od modnego towarzystwa. W wiosce, gdzie będę mogła być w końcu panią swego losu, z dala od ciekawskich oczu.

Peg prychnęła.

- Jeśli chce panienka uniknąć ciekawskich oczu, proszę zapomnieć o wsi. Dla wiejskich plotkarek nie ma nic ciekawszego, niż pojawiająca się wśród nich nowa osoba, którą można obgadywać. A te trochę lepsze, umiejące czytać i pisać, zaczną słać zaraz listy do innych staruch, wypytując, dlaczegóż to ładna młoda kobieta ukrywa się w wiosce, wszystko jedno, pod jakim nazwiskiem.

- Och, masz, oczywiście, rację. Tylko co ja mam zrobić?

- Proszę jechać do miasta, panienko. W mieście ludzie nie zauważają aż tyle.

Nagle przyszła jej do głowy zaskakująca myśl.

- Dlaczego nie do największego z miast? Do Londynu? Tam bez trudu można się ukryć.

- Do Londynu! Rany, panienko! Chyba pękłabym z radości, gdybym mogła pojechać do Londynu!

Kto wie, może nawet zobaczyłabym króla. Mówią, że przystojny z niego młodzieniec. I te jego drogie, słodkie dziecieczki! Bella miała chęć się roześmiać.

- Nie planuję udzielać się towarzysko, Peg.

- Wielka szkoda, ale to by mi nie przeszkadzało. A gdzie byśmy mieszkały?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, lecz nagle przyszła jej do głowy dziwna myśl. Czy mogłaby pomagać lady Fowler nie tylko przekazując pieniądze, ale też bezpośrednio? Wiedziała, że niektóre kobiety właśnie tak robią: przepisują kopie biuletynów i wykonują inne prace.

- Jest tam niejaka lady Fowler... - powiedziała z namysłem.

- *Lady*, panienko? To chyba wszystko w porządku.

- Niezupełnie, Peg. Lady Fowler jest reformatorką.

- A to co znaczy?

- Chce naprawić to, co jest złe.

Peg dołała sobie herbaty i wrzuciła do kubka cztery kawałki cukru.

- To też wydaje się słuszne, panienko. Jeszcze herbaty? Bella się zgodziła.

- Myślę, że lady Fowler nie jest w najwyższych kręgach zbyt lubiana. Pisze co miesiąc biuletyn i rozsyła go do wielu osób w całym kraju. W biuletynie opisuje przykłady niewłaściwego postępowania arystokracji i zachęca odbiorców, żeby rozpowszechniali te informacje i wymuszali w ten sposób zmiany. Peg patrzyła na nią okrągłymi ze zdumienia oczami.

- Ile biuletynów? - spytała.

Tego pytania Bella nigdy sobie nie zadała.

- Nie jestem pewna. Sądzę, że ponad setkę.

- Tyle pisania! Cóż za zdumiewająca kobieta!

Bella stłumiła chęć, by się roześmiać.

- Pisz tylko oryginalny biuletyn, a potem pomocnicze eo kopiuj ą. Zostałabym jedną z nich.

- Och - powiedziała Peg. - Jeśli właśnie to chce panienska robić. W tym paniencie jednak nie pomogę.

Umiem pisać, lecz tylko trochę i przychodzi mi to z trudem.

- Nie wymagałabym od ciebie czegoś takiego, Peg, zwłaszcza gdyby okazało się, że to niebezpieczne.

Lady Fowler rozsyła jedynie biuletyn, lecz to, co w nim jest, musiało urazić wielu możnych ludzi.

Peg zagryzła wargę.

- Zatem dlaczego chce panienska robie cos takiego.

- Ponieważ lady Fowler walczy także o to, aby uwolnić kobiety od męskiej tyranii.

- Rozumiem, panienko. - Peg posmarowała kolejną kromkę, a potem sięgnęła po ser.

Bella pomyślała, że jak tak dalej pójdzie, Peg będzie wkrótce okrągła niczym beczułka, i to bez warstwy zapasowych ubrań, ale cieszyło ją, że towarzyszka potrafi docenić posiłek. Co do niej, zastanawiała się nad komplikacjami, o których wspomniała Peg.

Niektóre z pomocnic mieszkały w domu lady Fowler. Zapewne, gdyby poprosiła, przyjęto by także ją, tylko że raczej nie mogłaby zabrać tam służącej. Co więcej, damy, korzystające z gościnności lady Fowler, były w największej potrzebie, pozostawione przez ojców lub mężów bez grosza przy duszy. Nie mogła zajmować im miejsca.

A skoro tak, powinna zamieszkać w pobliżu, w osobnym domu, z Peg jako gospodynią. Był to śmiały plan, lecz kiedy podjęła wreszcie decyzję, poczuła się spokojniejsza. Wypróbowała pomysł na Peg, ta zaś powiedziała:

- Skoro może panienska mieć własny dom, po co zawracać sobie głowę lady Fowler?

- Chcę pomóc jej w pracy.

Peg wzruszyła jedynie ramionami, Bella uznała jednak, że służąca zadała słuszne pytanie. Uczciwa odpowiedź brzmiała tak, że bała się zostać zupełnie sama

w obcym, wielkim mieście. Kiedyś znało ją pół hrabstwa i wszędzie miała przyjaciół. Przyjaciół na dobre czasy, gdyż kiedy zdarzyło się nieszczęście, nikt nawet nie próbował wstawić się za nią. Peg żuła pracowicie.

- Jeśli tego właśnie chcesz, panienko, choć co to za życie dla ładnej młodej damy. Powinna panienka tańczyć, flirtować i przygotowywać się do wyjścia za mąż. Postąpiła panienka niemądrze uciekając z mężczyzną, ale...

- Peg, nie zrobiłam tego! - Powinna była się spodziewać, że nawet wieśniacy uwierzą w to, co o niej mówiono. - Och, Peg... zostałam uprowadzona. Porwana, kiedy przebywałam poza posiadłością. Opowiedziała Peg, co ją spotkało, bez wielkiej nadziei jednak. Dlaczego Peg miałaby jej uwierzyć, skoro nikt inny nie potrafił? Jak zwykle, nie wspomniała o kapitanie Rose. Kolejny tajemniczy dżentelmen uczyniłby jej opowieść jeszcze bardziej niewiarygodną.

Kiedy skończyła, Peg powiedziała:

- Cóż, przykra sprawa, panienko, ale ma to panienka już za sobą. Pora przestać o tym myśleć.

- Bardzo bym chciała, lecz sama widzisz, że nie byłabym w stanie odzyskać należnej mi pozycji w towarzystwie. Poświęcę zatem czas i trochę pieniędzy, żeby zrobić coś pożytecznego. Lecz jeśli nie chcesz być w to zamieszana, odeślę cię do domu.

Peg zastanawiała się tylko przez chwilę.

- Nie zamierzam zrezygnować z przygody tak szybko, panienko, a z tego, co usłyszałam, przyda się panience ktoś, kto by się nią zaopiekował.

Bella sięgnęła przez stół i nakryła spracowaną dłoń Peg swoją.

- Dziękuję, Peg. Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Myślę, że jednak wiem, panienko. Niedobrze jest być samemu na świecie, zwłaszcza gdy jest się kobietą. Aleja też na tym skorzystam. Zamieszkamy w Londynie, tak? Gdzie?

Uznała najwidoczniej, że Bella wie, co robi, ta jednak nie podjęła dotąd w życiu decyzji poważniejszej, niż wybór wstążki do kapelusza. Czuła jednak, że prababka życzyłaby sobie, aby pozostała niezależna. Musi wykorzystać okazję, inaczej nie ośmieli się spojrzeć lady Raddall w oczy w niebie.

Postarała się mówić z większą pewnością, niż ją naprawdę czuła.

- Wynajmę pokoje w Soho, w pobliżu lady Fowler, ty zajmiesz się domem, a ja będę pomagać *lady* w jej pracy.

- Doskonale, panienko.

Pensja gospodyni powinna być zapewne wyższa niż ustalona przez pana Clatterforda dla pokojówki, lecz Bella nie wiedziała, jaka suma wchodzi tu w grę, zwłaszcza w Londynie. Nie miała także pojęcia, jak poradzić sobie z kupowaniem jedzenia, opału, wszystkiego, co będzie im potrzebne.

Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia o niczym! Doskonale, będzie więc potrzebowała pomocy. Jutro przedyskutuje swój plan z panem Clatterfordem. Umościła się w łóżku, mając nadzieję, że wkrótce zaśnie, materac był jednak nierówny, a wydarzenia dnia nie pozwalały o sobie zapomnieć.

Wspominała cudowny moment, kiedy dowiedziała się o spadku, ale i zamartwiała tym, co przyniesie przyszłość.

Londyn! Bywała tam, ale nie sama i tylko w modnych miejscach, uczestnicząc w towarzyskich rozrywkach, do tego za rządów poprzedniego króla. Wspominała, jak dzwon, obwieszczający jego śmierć, umożliwił im ucieczkę z Czarnego Szczura... Wypchnęła to z pamięci.

Augustus, ten nudziarz i sztywniak, rozwodził się ciągle o tym, iż na dworze wprowadzono nowe zasady moralne. Jakże uwielbiał ją pouczać, przed i po skandalu. Dostępnym o Augustusie. Kolejny temat, którego lepiej nie przywoływać.

Tylko że nadal martwiła się, co też brat może zrobić. Czy mógłby powiedzieć, że jest szalona i gdzieś ją za-

mknąć? Clatterford twierdził, że to niemożliwe, nie potrafiła jednak wyzbyć się obaw. Kolejny powód, by zmienić wygląd i nazwisko.

Zostać kimś zupełnie innym, nieobarczonym skandalem, nieobawiającym się rodziny.

Potrzebowała nowego imienia. Jakie by się nadało? Harriet Sophronia, Jane, Margaret... Żadne nie pasowała. Może więc coś zbliżonego do Belli. Tak naprawdę miała na imię Isabella, Arabella brzmiało więc zbyt podobnie. Clarabella zaś zbyt frywolnie. - Bella... Bella... Bellona! Bogini wojny. To jej się spodobało.

Nowe nazwisko powinno być równie bojowe. Bellona Sword? Bellona Rapier? Raczej nie. Bellona Cannon? Nie. Perspektywa, że będzie nosiła nazwisko Armata, jakoś nie wydawała się pociągająca. Bellona Gunn... <sup>BM</sup> Bellona Flint...

O, tak, Bellona Flint. Krótko, ostro i niebezpiecznie. Krzemień stanowił przecież część zabójczej broni, strzelby. A właściwie jej zamka.

Jutro dowie się od pana Clatterforda, jak zostać Belloną Flint i co jeszcze może zrobić, by się ochronić.

\*\*\*

Prawnik nie był uszczęśliwiony. Próbował wyperswadować Belli jej zamiary, zapewniając, że w Tunbridge Wells byłaby absolutnie bezpieczna, a po jakimś czasie towarzystwo znów by ją zaakceptowało. Gdy Bella przedstawiła swoje wątpliwości, westchnął zrezygnowany.

- Lecz jesteś taka młoda, moja droga. Nie mogę zgodzić się, żebyś mieszkała zupełnie sama. Bella z trudem zdobyła się na odwagę, by stawić czoło starszemu mężczyźnie i władzy, którą reprezentował.

- Jesh dobrze zrozumiałam, nie jest pan w stanie niczego mi zabronić, podobnie jak mój brat - powiedziała.



- O Boże, Boże... - Na życzenie Clatterforda jedli śniadanie tylko we dwoje, bez Peg. - Ale Londyn...
- protestował, ledwie tknąwszy posiłku. - Nie będzie mnie w pobliżu, by ci doradzać.
- Przykro mi z tego powodu, ale z pewnością jest pan w stanie polecić mi godnego zaufania doradcę.
- Jesteś zbyt młoda, panienko, by mieszkać sama. Masz dopiero dwadzieścia jeden lat.

Bella wolała nie wspominać o lady Fowler, gdyż czułby się w obowiązku zaprotestować.

- Mam Peg i znam trochę Londyn. Zamierzam żyć spokojnie, udawać starszą niż jestem. Jeśli będę zachowywała się poważnie i tak też ubierała, nie zwrócę na siebie uwagi. Zamierzam uczynić się tak mało pociągającą, jak tylko będzie to możliwe. Grałam kiedyś czarownicę. Pamiętam, jak sprawić, by moja cera wydawała się ziemista i jak przykleić brodawkę.

Po tym zdumiewającym oświadczeniu nastąpiły kolejne „O, Boże” oraz protesty, lecz Bella nie ustępowała i wreszcie Clatterford powiedział:

- Widzę, że już postanowiłaś, nie mogę także zaprzeczyć, że historia twojej ucieczki nie jest dla znajomych lady Raddall tajemnicą. Tak jak podejrzewałaś, opowiadała o tym, co cię spotkało, ubolewając nad twoją sytuacją.
- Posmarował chleb, dodając: - Widzę, że droga pani się nie myliła. Powiedziała, że jesteś, panienko, równie stanowcza jak ona.
- Tak powiedziała? - spytała Bella, zaskoczona.
- Kiedy ostatni raz się widziałyśmy, byłam uosobieniem frywolności.
- Pisywałyście potem do siebie, moja droga. - Zjadł kawałek szynki, nadal mocno nieszczęśliwy, a potem utkwiał w twarzy Belli stanowcze spojrzenie. - Jeśli upierasz przy tym szalonym planie, muszę przed czymś cię ostrzec. Chodzi o mężczyzn. - Bella spojrzała na niego pytająco, a wtedy dodał: - Łowców posagów, moja droga. Spotkasz mężczyzn - czasami przystoj-

nych i miłych - którzy będą chcieli poślubić cię dla pieniędzy.

Bella zaśmiała się chłodno.

- Zapewniam, *sir*, że wyciągnęłam nauczkę z tego, co mnie spotkało i nie dam się nabrać łajdakowi.

- Możesz nie zorientować się, że masz do czynienia z łajdakiem.

- Będę bardzo ostrożna, obiecuję. Ale czy chce pan powiedzieć, że nie powinnam w ogóle wyjść za mąż? - Zdumiona, uświadomiła sobie, że głęboko w jej sercu drzemią jednak romantyczne marzenia.

- Ależ skąd, chodzi mi tylko o to, byś była ostrożna. Nie wychodź za mąż w pośpiechu, a już na pewno bez ustaleń prawnych. Strzeż się miłości, gdyż z jej powodu kobiety - a także mężczyźni - popełniają często szaleństwa. Sprytny hultaj może spróbować ci wmówić, że skoro chcesz przedsięwziąć środki ostrożności, widać go nie kochasz i namawiać do zawarcia pośpiesznego małżeństwa, a nawet ucieczki. Bądź więc ostrożna, młoda damo - Wskazał na Bellę widelcem. - Jeśli mężczyzna spróbuje skłonić cię, byś tak właśnie postąpiła, trzymaj się od niego z daleka. Podobnie, gdy będzie próbował uwieść cię i schwytać w pułapkę, kiedy pojawią się ewentualne konsekwencje.

Bella zarumieniła się, lecz przytaknęła.

- Tak, rozumiem, co ma pan na myśli i dziękuję. Z pewnością zastosuję się do pańskich rad. Lecz jestem zdecydowana zrealizować swój plan i zamieszkać w Londynie. Zawiezie mnie pan tam i pomoże urządzić się bezpiecznie?

Westchnął.

- Rzeczywiście, bardzo przypominasz swoją prababkę. Tak, panno Flint, zrobię, o co mnie prosisz, chociaż niechętnie.

## Rozdział 5

### *Sierpień roku 1764, RothgarAbbey*

Jakież cierpienia godzimy się znosić dla naszych przyjaciół - powiedział książę Ithorne, spotkawszy się późnym wieczorem ze swym kuzynem Robinem, lordem Huntersdown, oraz przybranym bratem Christianem, lordem majorem Grandiston.

- Zapewniam wam eleganckie otoczenie - powiedział Robin, wskazując gestem swoją sypialnię. - Wyśmienitą brandy - uniósł szklaneczkę - oraz najlepsze z możliwych towarzystwo.

- W mateczniku Czarnego Markiza - odparł Ithorne.

- Jak dotąd, Rothgar cię nie otruł. A zważywszy, z jak ostentacyjną niechęcią go traktujesz, musi odczuwać nie lada pokusę.

- Jestem pewien, że ten czort zna mnóstwo wolno działających trucizn.

Robin rzucił przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie i Thorn uniósł dłoń przeproszającym gestem.

Nazajutrz kuzyn miał poślubić damę, którą uwielbiał, nie pora było zatem się droczyć. Thorn wolałby co prawda, aby rzeczona dama nie była córką Czarnego Markiza, lecz jeśli Robina nie zniechęciło nawet to, że Petra jest nieślubnym dzieckiem i włoską katoliczką, fakt, że kuzyn nie przepada za jego przyszłym teściem z pewnością nie będzie miał znaczenia.

Robin zachowywał się, jakby miłość zaćmiła mu umysł. Thorn był tym w najwyższym stopniu zdegustowany.

- Zabraniam rozmów o polityce - oznajmił Christian z miejsca, gdzie spoczywał: elegancki, jasnowłosy, umięśniony i gibki niczym pantera. Kiedy w wieku szesnastu lat zaciągnął się do armii, był równie smukły jak Robin i nawet teraz jego wygląd czasami Thorna zaskakiwał. Przeżył prawdziwy szok, kiedy zobaczył go po pięciu latach umięśnionego, nawykłego wydawać polecenia oraz zabijać.

Robin i Thorn byli kuzynami i znali się od kołyski. Christian i Thorn pozostawali nierozłączni przez sześć cudownych lat.

Thorn mógłby równie dobrze być sierotą. Urodził się jako jedyne dziecko swego ojca już po jego śmierci, a gdy miał dwa lata, jego matka poślubiła Francuza i przeniosła się na kontynent. Zgodnie z wolą zmarłego męża, nie wolno jej było wywieźć chłopca z kraju, więc wychowaniem przyszłego księcia zajęli się opiekunowie i powiernicy majątku.

Kiedy skończył dziesięć lat uznali, że powinien mieć towarzysza w swoim wieku. Z początku Thorn cokolwiek nieufnie przyglądał się radosnemu, tryskającemu energią intruzowi, który nie dbał ani trochę o naukę, geografie polityczną czy filozofię. Zamiast tego już jako chłopiec zdradzał niezwykły talent do wszelkich fizycznych zajęć, zwłaszcza zaś do płatania figli.

Thorn wkrótce do niego dołączył, a ich przyjaźń stała się bardziej zażyła, niżby życzyli sobie tego opiekunowie. Jazda konna z rozrywki zmieniła się w szaleńcze zawody. Christian, zawsze pełen pomysłów, wciągał towarzysza w zabawy, podczas których wspinali się na drzewa i przeprawiali przez strumienie na zaimprovizowanych, chwiejnych mostkach, nie wspominając już o strzelaniu z łuku oraz skonstruowanej własnoręcznie baliście\*. To, że Christian jest urodzonym żołnierzem, wręcz rzucało się w oczy.

\*

Balista - machina oblężnicza, rodzaj kuszy miotającej pociski (przyp. red.).

Chłopak nie interesował się za bardzo żeglowaniem, lecz nagła chęć zabawienia się w piratów grasujących po jeziorze Ithorn zaowocowała zakupem pierwszej łódki Thorn, co doprowadziło w końcu do nabycia „Czarnego Łabędzia” i wszystkiego, co się z tym wiązało. Przeżyli razem cudowne lata, a kiedy przyjeżdżał z wizytą Robin, stanowili trio prawdziwych rozrabiaków.

Potem Christian zapalał nagle nieprzewartą chęcią, aby zaciągnąć się do armii i walczyć z wrogami Anglii. Robin protestował najgoręcej, ale to Thorn cierpiał najbardziej. Nie próbował przeszkodzić przyjacielowi w realizacji jego zamierzeń, choć pewnie by to zrobił, gdyby wiedział, że wojenne losy rzucą Christiana aż do Kanady i przez następnych dziesięć lat będą mogli widywać się zaledwie dwa razy w roku. Zresztą, prawdopodobnie i tak niczego by to nie zmieniło, gdyż wkrótce po jego wyjeździe Thorn musiał przejąć większość obowiązków, związanych z tytułem.

- Naprawdę ponury z ciebie osobnik, co? - zapytał Robin.

- Ma za dużo obowiązków - powiedział Christian.

- Wierście lub nie, lecz to, co robię, przynosi mi wiele satysfakcji. Uważam, że jest tyle samo warte co udział w bitwach.

Do licha, nie muszę być aż tak złośliwy, zganił się w duchu.

- Więc skąd „Czarny Łabędź”? - zapytał Christian.

- Nasz przyjaciel do dziwak - powiedział Robin lekkim tonem, napieniając szklaneczki i próbując rozładować nieco atmosferę. - Stąd nazwa statku.

- Czarny łabędź jest nie tylko dziwny. Jest nieprawdopodobny - zauważył Thorn, przyłączając się do przyjaciela. - Jak przebrany książę. Opowiadałem wam kiedyś, jak uratowałem damę w opałach, a ona ukradła mojego wierzchowca? - Wiedział, że tego nie zrobił, ale opowieść doskonale nadawała się, aby wprowadzić weselszy nastrój.

Pozostali dwaj roześmieli się, a Christian powiedział:

- Przynajmniej udało ci się w porę uciec. Spójrz tylko, co przydarzyło się Robinowi, gdy zaczął odgrywać błędnego rycerza.
- Wszystko, co najlepsze - zareplikował Robin z przyprawiającym o mdłości uśmiechem szczęśliwie zakochanego.
- Z wyjątkiem tysiąca gwinei, które będziesz musiał wpłacić na fundusz tej lady Fowler - wtrącił Thorn.
- Nie przypominaj mi - jęknął Robin.
- Skoro postanowiłeś się ożenić... Robin spojrział na przyjaciół.
- Nie ma możliwości, byście zapomnieli o tej niemądrej przysiedze, co?
- Drogi lordzie Huntersdown - powiedział Thorn, udając zaskoczenie - nie sugerujesz chyba czegoś tak niehono-rowego. Mam tu rękopis. - Wyciągnął z kieszeni arkusz.
- Ty diable!

Thorn powoli rozwinął dokument. Podpisali go przed czterema laty, podczas jednej z rzadkich wizyt Christiana w Anglii. Uczcili wtedy spotkanie, wypływając na „Czarnym Łabędziu” i rozkoszując się swoimi pirackimi wcieleniami. On był, oczywiście, kapitanem Rose. Robin został porucznikiem Sparrow, a Christian przybrał pseudonim Pirat Poganin.

Wymyślili te pseudonimy, kiedy bawili się w piratów na jeziorze, lecz pływając jako dorośli na prawdziwym statku dotąd się nimi nie posługiwali. Był to lugier o ożaglowaniu gafowym, dowodzony przez starego wilka morskiego Harry'ego Jenkinsa. Thorn pokochał morze, zamówił w stoczni szybki kuter i wyuczył się wszystkiego, co konieczne, aby móc nim dowodzić. Kiedy statek był gotowy do zwodowania, uznał, iż skoro zapewnia mu możliwość cudownej ucieczki, powinien nazywać się „Czarny Łabędź”.

Pływał dla przyjemności oraz dla zysku, ale nie mógł robić tego zbyt często. Bolało go, że statek stoi bezuży-

tecznie w porcie. A że właśnie wtedy okazało się, iż ma przyrodniego brata bękarta, Caleba, który wygląda niemal jak on, a na dodatek posiada niezbędne umiejętności, rozwiązanie nasuwało się samo. To Christian natknął się na Caleba w Massachusetts, gdzie młody człowiek pracował jako mat na statku żeglugi przybrzeżnej. Uderzyło go podobieństwo marynarza do Thorna, jak się okazało, nieprzypadkowe.

Wkrótce odkrył bowiem, że Caleb Rose przybył wraz z matką do Ameryki, kiedy był jeszcze chłopcem, pochodzili zaś oboje z Kent. Znajac reputację zmarłego lorda Ithorne, wyciągnął oczywisty wniosek i napisał do przyjaciela.

Thorn wkrótce dowiedział się reszty, ponieważ historia Mary Fukes i jej dziecka była w Stowting dobrze znana. Ojciec Thorna wyznaczył im skromną pensję, lecz kiedy okazało się, że chłopak do złudzenia przypomina prawowitego dziedzica, opiekunowie młodego księcia zagrozili, że przestaną wypłacać pieniądze, jeśli matka nie zabierze chłopca do Ameryki.

Thorn, powodowany poczuciem przyzwoitości, wysłał za pośrednictwem Christiana list, w którym zapewniał, że Caleb może wrócić w każdej chwili do domu bez ryzyka utraty pensji, którą nakazał nawet zwiększyć. A kiedy poznał Caleba osobiście, wpadł na pomysł, że mogliby nawzajem się zastępować.

Pomimo iż różnili się pozycją i wykształceniem, dobrze się rozumieli, a Caleb był młodzieńcem bystrym i ambitnym. Zdobycie umiejętności niezbędnych, by mógł dowodzić „Czarnym Łabędziem” nie zajęło mu wiele czasu, podobnie jak opanowanie sposobu zachowania się oraz mówienia, które umożliwiały Thornowi zajmowanie od czasu do czasu jego miejsca na mostku.

Przez blisko rok pływali razem, nie kryjąc, że są różnymi osobami, lecz potem zaczęli zastępować się nawzajem. Spotykali się w tawernie Czarny Łabędź w Stowting. Po jakimś czasie wychodzili, zamieniwszy się rolami. Ca-

leb nie próbował odgrywać księcia w Ithorne, ale oddalał się po prostu na jakiś czas od wybrzeża, czekając, aż prawdziwy książę wróci z rejsu.

Miejscowi uznali wkrótce, iż książę Ithorne przekazał wspaniałomyślnie dowodzenie statkiem bratu z nieprawego łoża, Calebowi Rose.

Thorn wiedział, że Caleb trudni się od czasu do czasu przemytem - prawie każdy statek na wybrzeżu Kentu przewoził zakazane towary - ale sam trzymał się od tego z daleka aż do wojny.

Wtedy uznał bowiem, iż nadarza się okazja, w pełni usprawiedliwiona, aby wyruszyć na spotkanie przygody. Szybkie nocne rejsy na drugą stronę kanału uchodziły za wyprawy przemytnicze, podczas gdy tak naprawdę pracował dla rządu, przewożąc szpiegów oraz tajną korespondencję. Nie minęło wiele czasu, a Christian dowiedział się, co robi przyjaciel i choć nie wyleczył się jeszcze z odniesionych na wojnie ran, zażądał, by dopuszczono go do uczestnictwa w przygodzie. Wkrótce dołączył do nich też Robin.

Cudowne czasy.

Niebezpieczne, a jednak wspaniałe. Niebezpieczeństwo dodawało życiu smaku.

Po wojnie, bezpieczny na lądzie, uraczywszy się francuskim koniakiem, poskarżył się przyjaciółom, iż wywierana jest na niego presja, by się ożenił. Pozostali dwaj szczerze mu współczuli, a Robin wystąpił z propozycją, aby przysięgli, że nie ożenią się przed trzydziestką, a ten, kto się wyłamie, będzie musiał ponieść dotkliwą karę.

Po godzinie czy dwóch, spędzonych na picciu, wymyślili wreszcie karę, która wydała im się najtrudniejsza do zniesienia - winowajca miał wpłacić znaczną sumę na cel, z którym się absolutnie nie zgadzał.

Thorn chrząknął dla lepszego efektu i zaczął czytać:



*Trzeciego stycznia roku pańskiego 1760. Niech będzie postanowione, że młodzi mężczyźni nie powinni się żenić. Dlatego my, obecni tutaj przysięgli kawalerowie, ustanawiamy niniejszym karę pieniężną, która ma być zapłacona przez każdego, kto zgodzi się wstąpić w ten pożałowania godny stan przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Kara, wynosząca tysiąc gwinei, ma zostać przekazana na Fundusz Odnowy Moralnej Londyńskiego Towarzystwa, stworzony przez lady Fowler.*

Robin spojrział na przyjaciela.

- Nie mogę, naprawdę - powiedział z całkowitą powagą - Ta kobieta jest szalona! Mniejsza z tym, że chciałyby zakazać picia, tańców i gry w karty, ale teraz wbiła pazury w Petrę. Przypuszczam, że fakt, iż Rothgar spłodził w wieku szesnastu lat nieślubne dziecko, nie jest tak znowu naganny ani niespotykany, tymczasem Fowler przedstawia to tak, jakby chodziło o kazirodztwo. Oskarża go też o okrucieństwo wobec żony.

- Co takiego?

- Rothgar pokazał mi ostatni biuletyn. Napisano w nim, jakie to podłe z jego strony, iż zmusił żonę, aby przyjęła pod swój dach owoc dawnego skandalu. Zupełnie, jakby Diana się tym przejmowała.

- Rothgar prenumeruje biuletyn lady Fowler? - spytał

Thorn, zaskoczony.

- Oczywiście. On, albo ktoś w jego imieniu. Rothgar uważa za niezwykle istotne, aby być dobrze poinformowanym.

Thorn pożałował, że o tym nie pomyślał.

- Jeśli ta kobieta uwzięła się na Czarnego Markiza, jego żonę i córkę, jej dni są policzone. A ja tylko temu przyklasnę.

- Chętnie wyzwałbym ją na pojedynek. Szkoda, że to kobieta, w dodatku stara.

- Nie ma chyba jeszcze pięćdziesiątki - zauważył Christian.
- Podobno choruje - powiedział Robin. - Słyszałem, że mąż zaraził ją syfilisem. Wystarczy, aby uczynić kobietę zgorzkniałą.

Thorn potrząsnął głową.

- Litościwy jak zawsze.

- Nie na tyle, by dać jej tysiąc gwinei. Już teraz rozpowszechnia niebezpieczne politycznie poglądy. Pomyślcie, co może zrobić, mając tyle pieniędzy. Okażcie litość i pozwólcie, abym przekazał pieniądze na inny cel. Dom dla podrzutków. Setkę przytułków. Cokolwiek!

- Ona jest niebezpieczna - zgodził się z nim Christian, najwidoczniej nie tak pijany, jakim się wydawał. - Jej biuletyny stanowiły dotąd czystą rozrywkę, lecz Robin ma rację: ostatnio nawołuje wręcz do przemocy. Zaczęto już się tej damie przyglądać, podobnie jak jej poplecznikom.

- Ach tak.

Major Grandiston służył teraz w Gwardii Konnej, chroniącej króla, był więc w kwestiach bezpieczeństwa dobrze zorientowany.

Wzmianka o tym naprowadziła myśli Thorna w innym kierunku.

- Wiesz może, jak król zapatruje się na maskarady? Słyszałem, że je potępia, zaszczycił jednak swą obecnością bal wydany w zeszłym roku przez Rothgara.

- I niemal padł ofiarą zamachu - powiedział Robin. Christian się skrzywił.

- Musiało to być kłopotliwe dla wszystkich obecnych.

- Nie dla Rothgara. Dało mu okazję, by mógł zasłonić króla bohatersko własną pierśią.

- Jeśli sugerujesz, że to zorganizował - wtrącił Robert - to się mylisz. Zamachowiec zginął.

- Co znaczy jedna śmierć więcej?

Robin przewrócił oczami i dolał do szklanek brandy.

- Interesuję się tym - powiedział Thorn do Christiana, obejmując dłonią szklaneczkę - gdyż jestem w tym roku gospodarzem Maskarady Olimpijskiej i pasowałoby mi, gdyby król ją zaszczyił.

Christian uniósł dłoń.

- Nie nadaję się do subtelnych dworskich machinacji. "Mogę jedynie zasugerować, by, jeśli zechce przyjść, pomiędzy gośćmi rozmieszczono przebranych strażników.

- To nie sprawi kłopotu. Mężczyźni przebierają się zazwyczaj zgodnie ze swoją pozycją - członkowie parlamentu występują w togach, a wojskowi w przebraniu dawnych wojowników.

- Prawdziwa broń? - zapytał Christian.

- Nie, ale jeśli ktoś będzie tam oficjalnie...

- To wystarczy.

Lecz Robin powiedział:

- Wątpię, czy król się pokaże. Maskarady nie cieszą się najlepszą opinią i nie wydaje mi się, aby zaszczyił dotąd choć jedną. Poprzedni król, oczywiście, je uwielbiał.

- Moja będzie odpowiednia nawet dla najbardziej wrażliwych duszyczek - zapewnił Thorn.

Towarzysze utkwili w nim spojrzenie, a on się uśmiechnął. - Chciałem przez to powiedzieć, że kostiumy nie będą odsłaniały niczego, co winno pozostać zasłonięte, zabronię też otwartej orgii.

Przyjaciele nadal się w niego wpatrywali.

- Obawiacie się, że będzie tam strasznie nudno? Dodamy kilka atrakcji. Co barwniejsze postaci odegrają aktorzy udający gości. Na pewno ożywi to atmosferę.

- Pomysłowe - powiedział Robin. - Czym byłyby maskarady, gdyby panowie i damy nie mieli z kim flirtować, i może nie tylko? Lecz twoi najmici dopilnują, aby nie działo się to na widoku. Szkoda, że nie będę mógł tam być.

- A ja owszem - powiedział Christian. - Nawet jeśli król nie przyjdzie, ja nie przegapię tego współczesnego cudu.

- Dlaczego cię nie będzie? - zapyta! Thorn Robina.

- Petra jest przy nadziei. Przez jakiś czas będziemy żyli bardzo spokojnie.

O ile znał obecną hrabinę Huntersdown, poważnie w to wątpi!, zachowa! jednak wątpliwości dla siebie.

- Dlaczego miałbyś ograniczać zabawę? - zapyta! Christian. - To nie w twoim stylu.

- Może zmieniam właśnie styl. Dostosowuję go. - Nie życzył sobie, by ktokolwiek, nawet Christian i Robin, znał jego plany, pomachał więc trzymanym w dłoni arkuszem papieru. - Lady Fowler?

Zgadzam się, że to pożałowania godne, ale przysięga jest przysięgą, zwłaszcza jeśli zmusza nas do tego, byśmy zapłacili nie tyle za małżeństwo, ile za niedotrzymanie przysięgi.

Robin wstał, wyrwał Thornowi dokument i jął ponownie go przeglądać.

- Nie ma tu nic o tym, w jaki sposób miałbym zapłacić.

- To prawda. Co ci chodzi po głowie?

- Anonimowość. Dać jej pieniądze to jedno, a dopuścić, by wiedziała, kto ją tak szczerze obdarował, to coś zupełnie innego. Zapewnie roztrąbiłaby to wszem wobec w tym swoim biuletynie. A może nawet potraktowała jako dowód, że oskarżenia były prawdziwe.

- Zapewne masz rację. Doskonale, zajmę się tym. Mam tylu prawników i bankierów, że lady Fowler nigdy się nie dowie, skąd pochodzą pieniądze.

- Jakże ci dziękuję, ukochany kuzynie. - Robin pociągnął solidny łyk brandy, a potem się uśmiechnął.

- Przyda ci się praktyka, bo tak coś czuję, że będziesz następny.

Christian się roześmiał, lecz Thorn powiedział:

- Może i masz rację.

- Co takiego? - wybuchnął Christian. - Thorn, zastanów się! Pomyśl, że do rąk lady Fowler trafi kolejny tysiąc gwinei!

- Jesteś zakochany? - Z radosnym podekscytowaniem osoby świeżo nawróconej zapytał Robin.

- Nie. A kiedy tak patrzę na ciebie, dochodzę do wniosku, że powinienem zrobić, co w mojej mocy, żeby się od ciebie nie zarazić. - Upił łyk brandy. - Na „Czarnym Łabędziu” miał miejsce przed miesiącem pewien incydent. Takie rzeczy zdarzają się podczas sztormu, ale mogło być już po mnie. A jestem ostatni z rodu.

- Ależ to twoja jedyna przyjemność - zaprotestował Christian.

- To nieprawda, lecz owszem, dowodzenie „Czarnym Łabędziem” stanowi ważną część mojego życia. Zrezygnowałem z tego na jakiś czas. Jeden, a jeszcze lepiej dwóch chłopców w pokoju dzieciennym i będę znów wolny.

- Wiesz, ile to może potrwać? - zapytał Christian.

- Sądzę, że jestem wystarczająco dobry w arytmetyce.

- Trzy lata lub dłużej z dala od statku? Nie dasz rady.

- Dam radę osiągnąć wszystko, co sobie zamierzę.

- Powinieneś się ożenić - powiedział Robin. - Nie, nie przemawiam teraz jak zadurzony kochanek. Potrzebujesz rodziny, a jedyną prawdziwą będzie ta, którą sam założysz. Tak czy inaczej, twoje uporządkowane życie nigdy nie będzie już takie samo.

- W tym, że prowadzę uporządkowane życie nie ma nic złego - powiedział Thorn, opanowując emocje. - A chaos wkradnie się w nie tylko, jeśli się zakocham. Chcę zawrzeć małżeństwo z rozsądku. Poślubić kobietę doskonale nadającą się do tego, by pomogła mi nieść ciężar książęcych obowiązków.

- Nie mówisz poważnie, prawda? - zapytał Christian.

- Wątpię, czy byłbym w stanie namiętnie się zakochać.

- Owszem, byłbyś. Widziałem cię na „Łabędziu”.

- Łajba może sobie być rodzaju żeńskiego, lecz nie jest kobietą.

- Ale ty masz w sobie ogień. Pewnego dnia zapłonie.

- A co z tobą? - zapytał Thorn. - Jesteś jak prawdziwe piekło.

- I mogę płonąć swobodnie. Mam tylu braci, że nie ciąży na mnie obowiązek spłodzenia dziedzica.

Wypili i przez chwilę w pokoju panowała cisza. Thorn uznał, że pora zakończyć wieczór. Pochwyił karafkę, nim Robin zdążył napełnić znowu szklaneczki.

- Musisz być jutro w formie.

- Dzisiaj - Christian wstał i się przeciągnął. - Już po pierwszej. Idź do łóżka, Robinie, bo rozczarujesz jutro pannę młodą.

- To się dotąd jeszcze nie zdarzyło - powiedział Robin, uśmiechając się błogo. Wyszli jednak, a kiedy szli korytarzem, Christian powiedział:

- Robin jest szczęśliwy. -Tak.

Dotarli do pokoju Thorn'a i Christian wszedł za przyjacielem. Lokaj Thorn'a wyśliznął się pospiesznie.

- Dlaczego jesteś aż tak źle nastawiony do lorda Roth-gara?

Było to poważne pytanie, więc Thorn się zastanowił.

- Ma zbyt wiele władzy, wywiera zbyt duży wpływ, zwłaszcza na króla. Ktoś - a może wiele osób - powinien stanowić przeciwwagę, a ja mam to szczęście, że przewyższam Rothgara rangą.

- Lepiej poszukaj dreszczyku emocji w żeglowaniu. Będziesz bezpieczniejszy.

- Idź sobie - powiedział Thorn i Christian posłuchał. Wrócił lokaj i pomógł mu się rozebrać.

- Uważasz, że szukam kłopotów, Josephie?

Lokaj był spokojnym, rozsądnym mężczyzną, starszym od Thorn'a o dziesięć lat. Pomagał mu przy ubieraniu, odkąd młody książę skończył czternaście lat, zaczął bywać na dworze i brać udział w modnych imprezach towarzyskich. Nie mieli przed sobą tajemnic.

A raczej bardzo niewiele.

- Jest pan może trochę niespokojny od czasu, kiedy zrezygnował pan z pływania na „Czarnym Łabędziu”.

- Wiedziałem, że na dworze brakuje politycznej równowagi, zanim podjąłem to postanowienie. - Wkładając szlafrok, zapytał: - Powiniennem się ożenić?

- Tylko, jeśli będzie pan tego chciał.
- A jeśli tak się nigdy nie stanie?
- Świat się nie skończy, jeśli ród Ithorne wyginie, *sir*.
- **Cóż** za obrazoburczy pogląd wygłaszasz! Ale ja naprawdę chcę się ożenić.

Robin miał rację: brakowało mu rodziny. Przez jakiś czas zastanawiał się, czyby nie przyjrzeć się którejś z sióstr Christiana, uwielbiał bowiem liczną gromadkę jego krewnych, w końcu uznał jednak, że nie wolno mu tak postąpić. Powinny zawrzeć małżeństwa z miłości, nie z rozsądku.

- Potrzebuję żony, by pełniła obowiązki pani domu i zarządzała gospodarstwem - powiedział, świadom, że próbuje przekonać samego siebie. - Kogoś, komu kupowałbym klejnoty wiedząc, że pozostaną w rodzinie. I kto dałby mi zdrowe dzieci, zdolne przedłużyć rod.

Dzieci, które uczyłyby żeglować po jeziorze. Bawiące się w Robin Hooda i w piratów...

- Wszystko w swoim czasie, proszę pana. Znajdzie pan właściwą kobietę.
- Mam nadzieję - powiedział Thorn i ziewnął. - Gdybym poślubił niewłaściwą, zafundowałbym sobie piekło na ziemi.

## *Rozdział 6*

### ***Wrzesień roku 1764, Ithorne House, Londyn***

Tu pani jest. - Zdenerwowana pokojówka wskazała\* ła zwyczajne drzwi na końcu krótkiego, wyszorowanego do białości korytarzyka dla służby. - Ten korytarz zaprowadzi panią w pobliże kilku sypialń Nie są otwarte dla gości, ale jeżeli skręci pani w prawo, szybko znajdzie towarzystwo. - Pokojówka musiała już skończyć trzydzieści lat, miętoszyła jednak palcami fartuszek niczym przestraszone dziecko. - Jeśli zostanie pani złapana, nie powie pani, że to ja ją wpuściłam, prawda? Robię, co mogę dla lady Fowler, lecz potrzebuję pracy A to me jest zły dom, naprawdę. Księżę zabawia się gdzie indziej. Tu co najwyżej się pije i trochę gra... Bella dotknęła ramienia kobiety. - Nie wygadam się, że ktoś ze służby mnie wpuścił Wracaj do swoich zajęć i zapomnij, że mnie widziałś Bardzo ci dziękuję. Pokojówka dygnęła i szybko odeszła. Choć Bella nie zamierzała postąpić tak samo, patrzyła jednak na drzwi z pewną obawą. Wdarła się do domu osoby szlachetnie urodzonej - samego księcia! Jaka mogła być za to kara? Co gorsza, zamierzała wejść niezaproszona na imprezę towarzyską, przeznaczoną dla najwyższej rangą arystokracji. Zadrżała na samą myśl o tym.

Lady Fowler otrzymała list od pokojówki, oburzonej tym, że księżę będzie organizował Olimpijską Maskara-



dę, doroczny, cieszący się złą sławą bal dla londyńskiej elity. Służba zostanie zmuszona do noszenia nieprzyzwoitych strojów. Co ma zatem robić?

Lady Fowler natychmiast dostrzegła okazję, by poznać najbardziej pikantne sekrety tych, którzy zarządzili krajem i stanowili prawo. Pokojówka musi znaleźć sposób, by wpuścić jedną z jej współpracownic. Ale którą damę wybrać? W końcu zdecydowała się, acz niezbyt chętnie, wysłać tam Bellę - a raczej Bellonę Flint.

Belli udało się zrealizować plan. Stała się Belloną Flint - pospolitą, poważną osobką ze zrosniętymi brwiami i brodawką na nosie. Wynajęła niewielki dom w pobliżu lady Fowler i spędzała dni, kopiując biuletyn i pomagając, jak tylko była w stanie. Po pięciu miesiącach czuła się jednak rozczarowana: samą *lady*, jej dziełem i jej zwolenniczkami.

Biedna kobieta została zarażona przez męża straszną chorobą. Zniszczyła jej zdrowie tak bardzo, że była już niemal przykuta do łóżka; być może choroba wpływała także na umysł lady Fowler. Jej biuletyn zmienił się w opisujący skandale szmatławiec, a teraz na domiar złego igrała z niebezpieczeństwem, zamieszczając polityczne tyrady. Wiele kobiet z jej otoczenia czuło się tym zaniepokojonych, były to jednak potulne baranki, niezdolne zaprotestować. Bellona nie była potulna, lecz nie wiedziała, co robić. Zaczęła zastanawiać się nad odejściem.

Teraz, wpatrując się w drzwi prowadzące wprost w środek niebezpieczeństwa, pożałowała, że tego nie zrobiła. I że nie znalazła innego sposobu, aby wymanewrować siostry Drummond.

Kobiety te, przybyłe niedawno z Irlandii, były innego rodzaju ptaszkami. Helena i Olivia miały dzioby i pazury, a także głowy nabite pomysłami przeprowadzenia dramatycznych akcji. Zorganizowały już hałaśliwy protest przed domem madame Cornelys, gdy odbywała się tam wenecka maskarada, i oblały atramentem nogi aktorki grającej główną rolę. Kiedy przeczytały list poko-

jówki, natychmiast powzięły zamiar dostania się ukradkiem na bal, zakładając, że wśliznie się tam Olivia.

Bella tak bardzo przestraszyła się konsekwencji tego, co mogą zrobić, że zaproponowała, iż podejmie się zadania, zapominając, że jest teraz Belloną Flint. Olivia i Helena, odznaczające się dosyć wyzywającą urodą, wyraziły powątpiewanie, czy ktoś taki jak Bellona potrafi zachować się podczas wytwornej imprezy, co doprowadziło do gorącej kłótni. Bella wyciągnęła w końcu asa z rękawa wyznając, iż ma w kwestii maskarad doświadczenie.

Kiedy przybyła po raz pierwszy do lady Fowler, opowiedziała o sobie w sposób możliwie jak najbliższy rzeczywistości, pomijając jedynie fakt uprowadzenia i dodając sobie nieco lat. Bellona pochodziła z ziemiaństwa, ale została źle potraktowana, kiedy odmówiła poślubienia rozwiązłego mężczyzny, którego wybrał dla niej ojciec. Uratowała ją niewielka sumka, odziedziczona po starszej krewnej.

Dlatego mogła teraz przyznać, że uczestniczyła w dwóch maskaradach, raz jako mleczarka Betsy, a drugi jako królowa Eleonora Kastylijska. Wiedziała zatem, jak się zachować - potrafiła odgrywać swoją rolę i rozmawiać z gośćmi, jakby była jedną z nich. Lady Fowler przyznała jej zwycięstwo. Bella nie była jednak świadoma, że podczas Maskarady Olimpijskiej goście ubierają się w stylu klasycznym. Politycy nosili togi, żołnierze greckie lub rzymskie zbroje. Zameżne damy przebierały się za matrony albo boginie, lecz niezameżne mogły być skąpo odzianymi nimfami.

Gdyby o tym wiedziała, zapewne nie zgłosiłaby się na ochotnika, lecz skoro już to zrobiła, zabrakło jej odwagi, by się wycofać. A już na pewno nie mogła stchórzyć teraz. Dotknęła ciężkiej czarnej peruki oraz zakrywającej twarz maseczki. Nikt się nie zorientuje, że to skandalicznie odziane stworzenie to Bella Barstowe, powiedziała sobie stanowczo.

Kostium nimfy ograniczał się zwyczajowo do cienkiej, przezrystej tuniki. Uparła się, że włoży pod nią koszulę, której rękawy trzeba było jednak obciąć. Nigdy dotąd nie wystawiała na widok publiczny górnej części ramion.

Ani palców u stóp. Chętnie włożyłaby pończochy, ale nie pasowałyby do delikatnych greckich sandałów. Na domiar złego przyczepione do nich błyszczące gwiazdki sprawiały, że jej stopy tym bardziej przyciągały uwagę.

Lady Fowler albo siostry Drummond - nie była pewna, kto właściwie - zarządziły, że będzie Kelano, jedną z Plejad, nimf, zmienionych w gwiazdy po tym, jak zaatakował je bóg Orion.

- Żywy symbol - oznajmiła lady Fowler z właściwym sobie upodobaniem do dramatyzmu - okrucieństwa mężczyzn!

Dlatego Bella miała teraz gwiazdy na sandałach, na ciemnoniebieskim pasie przytrzymującym fałdy tuniki i w peruce. Dwa ostatnie miejsca nie budziły niepokoju, żałowała jednak, że zgodziła się umieścić je też na nagich stopach.

Modląc się, aby na balu były inne kobiety równie skąpo odziane, położyła dłoń na klamce i uchyliła lekko drzwi. Nie denerwowała się wyłącznie z racji kostiumu. Wdarła się nieproszona do domu szlachcica. Zważywszy na drakońskie prawo chroniące szlachetnie urodzonych, mogła równie dobrze za to zawisnąć.

Wyprostowała się i wyjrzała. To był książęcy świat. Na błyszczącej podłodze leżał chodnik, ściany, pomalowane na bladozielony kolor, zawieszane były akwarelami przedstawiającymi krajobrazy.

Przez chwilę zastanawiała się, czy jest we właściwym domu. Książę Ithorne był hulaką i rozpustnikiem, lecz nie zauważyła śladów lubieżności czy wulgarnego gustu. A kiedy się wsłuchiwała w dobiegające z głębi domu słabe dźwięki, poczuła się jeszcze bardziej zaintrygowana. Słyszała skoczną muzykę, ale nie krzyki czy rubaszny śmiech, choć goście przybywali już od ponad godziny.

Uznała, że to niemożliwe, by popełniła błąd, dotknęła zatem znów maski i weszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Ruszyła w kierunku muzyki, a kiedy podeszła bliżej, uświadomiła sobie, że to muzyka do tańca. Niemal bezwiednie wykonała na korytarzu kilka tanecznych kroków. Minęło tyle czasu, odkąd ostatni raz tańczyła, a kiedyś była to jej ulubiona rozrywka.

Przystanęła.

***Żadnego tańca, Bello. Masz przed sobą poważne zadanie.***

Szła dalej. Teraz słyszała głosy i śmiech, lecz taki, jakiego mogłaby spodziewać się podczas eleganckiego przyjęcia, nie orgii. Minęła zakręt korytarza i zatrzymała się na widok pierwszych gości, a potem ruszyła z mocno bijącym sercem w kierunku dwóch grupek, czerpiąc pociechę z faktu, iż kilka nimf było odzianych równie skapo.

Z drugiej strony, goście zdawali się po prostu beztrosko gawędzić. W pierwszej grupce trzej mężczyźni w klasycznych zbrojach rozmawiali z matroną i nieśmiałą nimfą. Prawdopodobnie matka i córka. W drugiej dwaj Rzymianie w togach flirtowali z dwiema śmielszymi nimfami, ale ich zachowanie nie przekraczało granic przyzwoitości.

Na widok tych nimf zaczęła się zastanawiać, czy nie zostanie zdemaskowana, ponieważ jest zbyt mało roznegliżowana. Jednej z młodych dam tunika trzymała się jedynie na wstążkach, ledwie zakrywając kolana! Wokół kostki miała zapiętą brylantową bransoletkę, która wyglądała o wiele bardziej skandalicznie niż jej gwiazdki.

Podchodząc do pierwszej grupki, uniosła niepostrzeżenie materiał tuniki i wepchnęła go za pasek.

Szybkie spojrzenie w dół powiedziało jej, że obnażyła w ten sposób kilkanaście centymetrów nogi.

Stłumiła chęć, aby obciągnąć natychmiast tunikę.

Żołnierze i skromniejsze damy gawędzili o zwykłych sprawach - o stanie ulic czy pogodzie. A potem jeden z mężczyzn wspomniał o Johnie Wilkusie.

Wolałaby, aby jej o nim nie przypomniano. W zeszłym roku mężczyzna został aresztowany za to, że wydał gazetkę, w której krytykował króla. Udało mu się uniknąć kary tylko dlatego, że uciekł z kraju. Teraz, pod wpływem sióstr Drummond, lady Fowler wykorzystwała część niespodziewanej darowizny, by kupić prasę drukarską. Powiedziała, że będzie drukować swoje biuletyny, by mogły być rozpowszechniane w całym Londynie.

Już samo w sobie było to niepokojące, zważywszy, jak łatwopalny materiał zawierały, Bella obawiała się jednak, że siostry Drummond sprowadzą na nich jeszcze większe niebezpieczeństwo. Zamierzały połączyć walkę o prawa kobiet z walką o zniesienie angielskiej tyranii w Irlandii, a to już zakrawało na zdradę. Jeśli wykorzystają prasę, aby drukować podżegające do spisku artykuły, biedne owieczki lady Fowler pójdą na rzeź niczym jagnięta.

Owce czy ptaki, jedno i drugie równie bezbronne...

- Jesteś sama, piękna nimfo? Przyłącz się zatem do nas.

Z bijącym mocno sercem odwróciła się ku dżentelmenowi w todze. - Niestety, proszę pana, czekają na mnie gdzie indziej.

- Cóż mogłoby powstrzymać nimfę podczas maskarady? Prosimy, zaszczyć nas swoim towarzystwem.

Drugi mężczyzna przyłączył się do prośby, lecz nimfom najwyraźniej nie spodobało się, że będą miały konkurencję.

- Może chciałabym być oczekiwana gdzie indziej - powiedziała Bella lekkim tonem. - Proszę, wybaczcie mi, panowie.

Minęła ich, przygotowując się wewnętrznie, że zostanie pochwycona i oskarżona o to, iż jest oszustką. Kiedy nic takiego się nie wydarzyło, trochę się odprężyła. Nie spoglądano na nią podejrzliwie, więc widać zachowywała się właściwie.

Kiedy zbliżyła się do następnej grupki, goście zerknęli na nią przelotnie, nie poświęcając uwagi. Oni także po-

grażeni byli w rozmowie na tematy polityczne. Usłyszała, jak mówią o Greville'u, Newcastle i francuskim ambasadorze.

Wiedziała, że tego rodzaju wydarzenie towarzyskie miało dostarczyć okazji, by wielcy mogli spotkać się i negocjować nieoficjalnie, nieskrępowani tradycyjną rywalizacją oraz animozjami, mimo to fakt, że tak właśnie było, ją zaskoczył. W ten sposób nie osiągnie celu.

Lecz było jeszcze dość czasu, by atmosfera stała się zdecydowanie swobodniejsza.

Skreśliła za następny róg i natknęła się na bardziej rozbawione towarzystwo. Goście krążyli, gawędząc beztrudnie i przekomarzając się, mogła więc przejść przez tłum, wymieniając przelotne uwagi. Było oczywiste, że wielu gości rozpoznaje się nawzajem, kilkoro potraktowało jednak maskaradę poważnie i starało się odgadnąć, kim są przebrane osoby i jaką postać symbolizują ich kostiumy.

Kilku dżentelmenów próbowało odgadnąć jej tożsamość, namawiając, by przyłączyła się do nich i próbując flirtować. Robili to jednak subtelnie i z poczuciem humoru, rzuciła więc tylko żarcik na temat ich tóg oraz zbroi i odeszła. Tak, potrafiła to robić. Pamiętała.

Nagle poczuła się zdecydowanie swobodniej, niemal jak otaczający ją goście. Uśmiechała się chętniej, muzyka rozbrzmiewała jej w głowie... A potem uświadomiła sobie, że to męski podziw tak na nią działa. Mówili, że jest ładna, czarująca, podziwiali jej gwiazdki...

To nie ciebie tak admirują, napomniała się w duchu. Gapią się na twoje umalowane wargi, perukę i skąpy kostium. Mimo to nastrój zabawy udzielił się i jej, cofając w czasy młodości, z której ją okradziono. Jakże lubiła się bawić! Po tym, czego zaznała tego wieczoru, trudno jej będzie wrócić do nudnej egzystencji, ale czy ma wybór?

Dotarła do środkowej części domu, podestu nad wspianą klatką schodową z wypolerowanego do połysku drewna i połączonego metalu. Powyżej maja-

czył bogato zdobiony sufit z centralnie umieszczonym malowidłem, lecz docierało tam niewiele światła.

Tymczasem hol poniżej, rzęsiście oświetlony, stanowił sceneria którą wkraczali nowo przybyli. Przepisnęła się na skraj tłumu, aby mieć lepszy widok i natychmiast otoczył ją gwar, woń perfum i potu. Unosiły się dookoła i napływały falami z parteru.

Spojrzała ku wejściu, zastanawiając się, czy jest tam książę i wita osobiście co znaczących gości. Jak byłby ubrany? W togi senatora, prawdopodobnie z laurowym wieńcem cesarza na głowie? Widziała tego dnia kilka takich, niektóre były nawet pozłacane.

Tak, wyniosły książę z pewnością wybrałby takie właśnie przebranie.

Miała nadzieję, że zakradając się na maskaradę, dowie się czegoś więcej o księciu Ithorne, który interesował ją z pobudek osobistych. Zaniepokojona tym, że lady Fowler dostała tak dużą sumę pieniędzy, poprosiła pana Brownleya, londyńskiego prawnika, poleconego jej przez pana Clatterforda, aby spróbował wysledzić źródło. Okazało się to niełatwe, ponieważ rzeczony źródło najwyraźniej wolało pozostać anonimowe, lecz w końcu, wykorzystując swoje kontakty z wielką firmą prawniczą, zatrudnianą także przez księcia, dowiedział się, że Ithorne może mieć z tym coś wspólnego. Tylko dlaczego młody hulaka miałby przekazać tak wielką kwotę na fundusz lady Fowler? Musiał kierować się niegodziwymi pobudkami, była tego pewna.

Czyżby miał nadzieję, że skłoni lady Fowler, by popełniła niebezpieczne szaleństwo? Wydawało się to nadzwyczaj przebiegłe, ale taki właśnie będzie rezultat. Lady Fowler była teraz przekonana, że ma wśród arystokracji ukrytych zwolenników i podjudzana przez siostry Drummond snuła plany, z każdym dniem coraz śmielsze.

Co gorsza, od miesięcy atakowała w swym biuletynie markiza Rothgara, co było czystym szaleństwem, nawet jeśli markiz narzucił żonie i towarzystwu nieślubną córkę.

Czy markiz będzie tu dzisiaj, odziany prawdopodobnie w czerń? Nazywano go też Czarną Eminencją - tym, który posiada faktyczną władzę, manipulując królem. Określenie przyszło najwidoczniej z Francji, gdzie żył kiedyś człowiek zwany L'Eminence Rouge - Czerwoną Eminencją. Był nim kardynał Richelieu.

Lord Rothgar przerażał Bellę bardziej niż król, ponieważ nie uznawał zasad ani prawa. O ile wiedziała, robił, co chciał i mścił się nieubłaganie.

Tak, pora opuścić lady Fowler i zbudować sobie nowe życie.

Żaden z mężczyzn na dole nie wyglądał na księcia ani też markiza, chociaż nie była pewna, czy zdołałaby ich rozpoznać. Widziała obu zaledwie kilka razy, i to z odległości. Byli wysocy i mieli ciemne włosy, kiedy ich nie pudrowali. Markiz był o dziesięć lat starszy od księcia.

Kiedy tak przyglądała się przybywającym gościom, zauważyła, że spoglądają w górę, wydając okrzyki zachwytu. Postanowiła zejść i na własne oczy przekonać się, co też ich aż tak zachwyciło. Niełatwo było przedzierać się przez tłum. Kilka razy musiała otrzeć się nawet o innych gości. Jeśli byli to mężczyźni, uśmiechali się i zagadywali. Jeden próbował nawet skłonić Bellę, by poszła z nim na górę, lecz puścił ją, gdy zaprotestowała.

Była już jednak zgrzana i zarumieniona. Wolałaby, aby kostiumy mężczyzn nie odkrywały umięśnionych ramion, o które musiała od czasu do czasu się ocierać. I żeby tłum nie przyciskał jej chwilami do twardego ciała albo zbroi.

Zapomniała, jak to jest, być tak blisko mężczyzny. Może nigdy tego nie wiedziała. Nie tak jak tu, w równie nieformalny sposób.

Z jednym wyjątkiem.

Cztery lata temu. W Dover. W objęciach mężczyzny pośród pijanego tłumy. Całowana pośród tłumy. Znieruchomiała w stajni, tuż obok tego mężczyzny, przerażo-



na perspektywę schwywania i tym, co może ją spotkać, a mimo to świadoma, że on jest obok.

Przemożnie, fizycznie świadoma w sposób, którego nigdy nie zapomniała.

A byli wtedy całkowicie ubrani. Oboje.

Odeszła od schodów i przesunęła się ku środkowi pomieszczenia. Idąc, wciągała do płuc wielkie hausty powietrza, jakby tonęła. Tonęła w mieszance męskiego zapachu i siły.

Nadal stała w tłumie, ale nikogo nie dotykała. Dzięki Bogu, żaden z mężczyzn nie miał już pretekstu, aby się o nią ocierać. Ruszyła z wolna ku wejściu, a potem odwróciła się, by spojrzeć na hol tak, jak widzieli go przybywający normalną drogą goście.

Och...

Nie była nigdy we Włoszech, a dekoracja przedstawiała właśnie scenę z tego kraju. Na sztucznych ścianach namalowano okna oraz balkony, a na nich ludzi oddanych tak wiernie, że wyglądali jak żywi. Ciemny materiał, który przesłaniał jej częściowo widok, gdy była na górze, okazał się sztucznym nieboskłonem, usianym gwiazdami. Uświadomiła sobie, że czuje woń ziół i inne zapachy, sugerujące, iż znajduje się w obcym kraju.

- Absurdalne, czyż nie?

Podskoczyła, obróciła się i zobaczyła młodego mężczyznę, ubranego w chłopski strój: tunikę z grubo tkanego materiału, sięgającą kolan oraz brązowe getry. Miał ciemny zarost, nieuczesane szpakowate włosy, a jego maska była jedynie kawałkiem szmaty, spowijającym głowę, z wąskimi szparkami na oczy.

Przez chwilę sądziła, że stoi przed nią bezczelny służący, mężczyzna nie mówił jednak jak służący. Był najwidoczniej dżentelmenem, który mógł pozwolić sobie na to, by przyjść przebrany za rzymskiego niewolnika.

Czekał, co odpowie, a może nawet dziwił się, że milczy tak długo.

Dokonała szybkiego wyboru pomiędzy krytyką a pochwałą i wybrała szczerłość.

- Myślę, że to jest śliczne. Zastanawiam się, czy naprawdę przypomina Wiochy.
- Na tyle, na ile dekoracja teatralna może przypominać rzeczywistość. Uważasz zatem, że książe wykonał dobrą robotę?
- Wątpię, czy szlachetnie urodzony książe c o k o l w i e k tu wykonał.

Towarzysz Belli roześmiał się.

- Rzeczywiście. „Dalej, sługo, zrób to. No już, do roboty!” - Ton, jakim zostało to powiedziane, wskazywał, że on też nie przepada za rozpróżnionymi bogaczami. Musiał pomyśleć to samo, powiedział bowiem: - Najwidoczniej jesteśmy bratnimi duszami. Chodź, zatańcz ze mną.

Po czym, zamiast podać Belli ramię, chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem w kierunku schodów.

W pierwszej chwili stawiała instynktownie opór, zrezygnowała jednak niemal natychmiast i dała się poprowadzić. Nie powinna zwracać na siebie uwagi, zanim zabawa nie stanie się bardziej swobodna, a dama z partnerem mniej rzuca się w oczy, niżli samotna. Żywiła co prawda przekonanie, że dama powinna mieć możliwość poruszania się, nieniekajona, bez eskorty, ale w tej akurat chwili w jej sercu nie było miejsca na gniew czy oburzenie. Prawdę mówiąc, panował w nim chaos.

Nie, nie w sercu. Nie zakochiwała się, ale chwiała, stojąc na krawędzi, a wszystko dlatego, że silna, męska dłoń ujęła jej własną. Ileż to czasu minęło, odkąd mężczyzna trzymał ją za rękę? Bez rękawiczki, skóra przy skórze?

Chyba ze cztery lata, podczas tańca ludowego. A może kiedy Coxy i Naiscourt wpychali ją do powozu?

- Co cię tak rozgniewało, słodka nimfo? - zapytał jej towarzysz.

Bella uświadomiła sobie, że dotarli już na szczyt schodów, a ona marszczy brwi. Nie mogła dopuścić, by uznał, że cokolwiek odbiega w niej od normy, uśmiechnęła się więc pospiesznie.

- Tylko ten ścisk, *sir*. Opóźnia nas w drodze do sali balowej. A ja lubię tańczyć.

Spojrzał na tłum blokujący im drogę.

- Czy mam rozkazać, by się rozstąpili?

- Jesteś zatem Mojżeszem? Nosisz nawet odpowiedni strój: niewolnika.

- Jestem tylko biednym pasterzem kóz, któremu pozwolono zejść z gór, by mógł trochę się zabawić.

Ale gdybyśmy zdecydowali się udawać, że wszyscy ci ludzie są kozami, wiedziałbym, jak sobie z nimi poradzić.

- Kozami? Na Olimpijskiej Maskaradzie?

- Kozimi arystokratami, ale przecież nadal kozami. Posłuchaj tylko, jak beczą.

Bella musiała się roześmiać.

- Co za niedorzeczność! Obawiam się, że źle pan skończy, *sir*.

- Odesłany z powrotem na moją górę? Albo zmuszony uciekać z kraju, jak biedny Wilkes? Nie obawiaj się, nie jestem na tyle głupi, aby ubierać moje lekceważące myśli w słowa, a potem je drukować. A ty? Bella przełknęła mocno. Czyżby jej misja miała tak prędko się zakończyć?

- Jakież to lekceważące myśli mogłabym mieć? - wykrztusiła z trudem.

- Na przykład o tym próżniaku Ithornie. Prawdopodobnie ma dla zuchwalców, którzy przemawiają w ten sposób, lochy pod domem.

- To wielce prawdopodobne. Słyszałam, że jest pospolitym hulaką.

Uśmiechnął się.

- Książę nie bywa pospolity, słodka nimfo.

- Może nie w tym życiu.

- Ach, mówisz o czasie, kiedy wszyscy zostaniemy podzieleni na owce i kozy. Nie uważasz, że to nieuczciwe wobec kóz, iż zostały diabelską przynętą?

- Bardzo - przytaknęła, rozkoszując się słowną potyczką bardziej, niż dopuszcza! rozsądek. W domostwie

lady Fowler trudno było, niestety, o dowcip. - Obiecał mi pan taniec, *sir*. Nie dotrzymuje pan obietnic? Och, to była dawna Bella Barstowe, niecierpliwa i wymagająca.

- Pozwól więc, że cię poprowadzę. - Otoczył ją ramieniem i ruszył przez hol. Bella czuła się bezradna, jakby pochwycił i uwięził nie tylko jej talię, lecz także wolę.

Jakby miała pójść za nim wszędzie, dokądkolwiek ją zaprowadzi.

Niczym bezrozumna koza.

Żaden mężczyzna nie otoczył jej dotąd ramieniem w tak władczy sposób, poza tym nie miała na sobie ochronnej warstwy ubrań. Jakby za sprawą magii, tłum rozstępował się przed nimi na tyle, by mogli swobodnie przejść, a ona czuła się niemal tak, jakby obnażone ramię mężczyzny dotykało jej nagiej skóry.

Nieważne, czy był wysoko czy nisko urodzony, zadurzyła się w szelmie, który nie wiedział, co to powściągliwość. Rozsądna kobieta by go złażała, lecz ona tak bardzo chciała tańczyć!

Przepchnęli się przez tłum i weszli do sali balowej, wyglądającej tak, jakby jej ściany zrobione były z marmuru i udekorowane kolumnami, choć nie starano się ukryć

- przeciwnie niż w holu - połączanego, malowanego sufitu, połyskującego w świetle setek świec. W głębi prostokątnego pomieszczenia goście, ustawieni w szereg, tańczyli do melodii „Majowej damy”. Przesunął ich oboje w bok, by nie torować przejścia i Bella znalazła wreszcie dość sił, by się uwolnić. Pozwolił na to, uśmiechając się lekko. Nie sposób było nie zauważyć, że ma nader interesujące usta.

- Którą z nimf jesteś, moja śliczna? Sądząc po gwiazdkach, jedną z Plejad. Masz gwiazdki także na stopach

- zauważył tonem, który sprawił, że Bella podwinęła czym prędzej nagie palce.

- Kelano - odparła pospiesznie. - A ty jak masz na imię, pasterzu?

- Zbyt mało znaczę, żeby w ogóle mieć imię. Włosy czarne jak heban - zauważył, dotykając śmiało loka, opadającego Belli na ramię. - To wskazywałoby na harpię Kelano, mroczną i posiadającą pazury.

Jak to możliwe, by drżała, skoro dotknął jedynie jej peruki?

- Albo Kelano Amazonkę - zauważyła, strzepując jego dłoń. Dobrze sprawdziła, czyje imię przybiera.

- Strzeż się, panie, bo może mam gdzieś ukryty łuk i strzały.

- Więc powinienem cię przeszukać. Dla bezpieczeństwa mojej trzódki.

- Doprawdy nie sądzę! Wyciągnął dłoń i dotknął materiału okrywającego jej prawe ramię. Przez chwilę sądziła, iż może naprawdę to zrobić, a przynajmniej spróbować. Lecz potem westchnął.

- Niestety, ja także nie. Przybyłaś jako tajemnica pośrodku zagadki, otulona w wiele warstw przebrania. Muszę dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Ale noc jeszcze młoda i mamy czas.

- Czas? - powtórzyła bez tchu, starając się, by tego nie wyczuł. Spotykała wcześniej śmiałych mężczyzn, lecz nigdy takiego jak ten. Choć ledwie mogła oddychać, była oczarowana po czubki zdobionych gwiazdkami palców. Flirtował z nią w rozkosznie występny sposób. A ona flirtowała z nim.

Ileż to czasu minęło? Cztery lata. Wieki całe.

- Czas na to, by zrywać warstwy, póki nie poznamy prawdy - odparł.

- Pańskie tak samo jak moje? - Była to instynktowna odpowiedź, zamierzona jako riposta, on jednak uśmiechnął się i Bella uświadomiła sobie, że postąpiła niemądrze, prowokując go.

- Oczywiście - powiedział. - Możemy zacząć? - Pytaniu towarzyszył znów śmiały dotyk, tym razem szybkie przesunięcie palcem wzdłuż torsu Belli.

- Nie - zachnęła się i odsunęła, trafiając plecami na ścianę.

- Moglibyśmy poszukać spokojniejszego miejsca... Spojrzała na niego rozszerzonymi z zaskoczenia oczami.

To, co proponował, było skandaliczne, ale czyż nie przyszła tu właśnie w poszukiwaniu skandali?

Tymczasem, o zgrozo, odczuwała pokusę, by przystać na jego propozycję!

- Najpierw taniec - powiedziała czym prędzej. Później mu się wymknie.

- Kelano Mądra. - Uśmiechnął się z oczekiwaniem. - Przyjemność odłożona w czasie tylko zyskuje na intensywności, prawda? Chodź.

Tym razem wyciągnął do niej rękę, zamiast pochwycić dłoń Belli i po prostu pociągnąć ją za sobą.

Bella wiedziała, że mądra Kelano poszukałaby wymówki, by odejść, ona jednak podała mężczyźnie dłoń.

- Naprawdę lubisz tańczyć?

Podskakując w rytm muzyki nie była w stanie temu zaprzeczyć. Przebiegli razem wzdłuż szeregu, a potem wykonali kilka skomplikowanych figur. Wkrótce zatraciła się w tańcu, pilnując, by nie zmylić kroku. Kiedy spotkali się znów pośrodku i obrócili ku sobie, powiedział:

- Wydaje mi się, jakbym cię znał.

Poczuła ukłucie paniki, mimo to uśmiechnęła się, a potem oddaliła, żeby wykonać kilka figur z następnym dżentelmenem z szeregu. Tańcząc, zastanawiała się gorączkowo, co też może grozić jej ze strony pasterza.

Czy był jej znajomym sprzed czterech lat? Wiedziała, że nie jest którymś z sąsiadów, mieszkających w pobliżu Carscourt, a jaki londyński kawaler pamiętałby dziewczynę spotkaną przelotnie przed laty? Mimo to... uświadomiła sobie, iż mężczyzna jej także wydaje się znajomy.

Gdzie mogła go spotkać?

I kiedy?

Zarośnięta szczeka z czymś się jej kojarzyła, zwłaszcza że wśród dżentelmenów zarost należał do rzadkości. Nie potrafiła uzmysłwić sobie, dlaczego mężczyzna wydaje jej się znajomy, ale prześladowało ją to nawet, gdy uśmiechała się i flirtowała z innymi. Gdyby domyślił się, kim jest, mogłoby to zakończyć się katastrofą.

Czy rozpoznawał Bellę Barstowe czy Bellonę Flint? Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak ktokolwiek mógłby rozpoznać w skąpo odzianej nimfie Bellonę, zwłaszcza że wcale nie udzielała się towarzysko.

- A ty kim jesteś, piękna dziewczyno?

Bella podskoczyła i spojrzała uważniej na mężczyznę, z którym bezmyślnie wywijiała. Zebrała się w sobie i udzieliła konwencjonalnej odpowiedzi.

- Powinien pan zgadnąć, *sir*.

- Melia - zasugerował.

Nie miała pojęcia, kim była Melia, potrząsnęła więc tylko głową i dalej tańczyła, zastanawiając się, dlaczego nie udzieliła podobnie zwyczajnej odpowiedzi pasterzowi. Zamiast tego podała mu imię nimfy, za którą się przebrała, a potem poszła z nim tam, dokąd ją zaprowadził. Był niebezpiecznym mężczyzną i wydawało mu się, że ją poznaje. Gdy tylko taniec się skończy, będzie musiała jakoś uciec. Na razie jednak rzucała mu ukradkowe spojrzenia, oceniając niebezpieczeństwo.

Od czasu do czasu ich spojrzenia się spotykały.

Dlaczego ją obserwował? Czyjego też zaintrygowało, że wydaje mu się znajoma?

Czyżby należał do kręgu reformatorów lady Fowler? Nie. Nieliczni mężczyźni, którzy ją popierali, byli duchownymi albo uczonymi. Pasterz był na to zbyt frywolny. Wystarczyło popatrzeć, jak flirtuje z każdą kobietą, z którą styka się w tańcu. Oczywiście, ona robiła to samo, ale w szlachetnym celu. Zauważyła z żalem, że partnerki - bez różnicy, młode czy stare - reagują na słowa pasterza, robiąc doń maśla-

ne oczy. Słyszała o mężczyznach, którzy potrafią pozbawić kobietę siły woli, a teraz natknęła się na przedstawiciela tego gatunku.

Przez chwilę nawet ona dała się otumanić.

Ale dość tego. Zaczęła zwracać większą uwagę na partnerów, wypatrując przejawów skandalicznego zachowania. Kilku chętnie by napiętnowała - na przykład zażywnego senatora, który przyciskał ją zbyt mocno w tańcu albo drugiego, chudego jak tyka, który wykorzystywał każdą okazję, by zajrzeć jej w dekolt. Nie mówiąc już o mocno owłosionym dżentelmenie z wilgotnymi ustami, pocącym się tak bardzo, że jego toga była cała wilgotna.

Nie, nie powinna tak myśleć, w końcu w sali było bardzo gorąco. Sięgające podłogi okna stały co prawda otworem, ale choć nastał już wrzesień, w powietrzu nie dało się wyczuć nawet wiatorku, a temperatura utrzymywała się, jak na tę porę roku, wysoka. Kiedy znalazła się znów naprzeciw pasterza, powiedziała:

- Bardzo tu duszno. - Dostrzegła w jego oczach łobuzerski błysk i dodała pospiesznie, uprzedzając łatwą do przewidzenia, dwuznaczną propozycję: - Dobrze chociaż, że jesteśmy lekko ubrani. Może ten kostium wejdzie na stałe w modę jako strój do tańca. Proszę sobie wyobrazić, jak gorąco byłoby mi w licznych halkach i jedwabiu.

- A mnie w stroju z haftowanego aksamitu - przytaknął.

- Pasterz w aksamitach? - zdziwiła się żartobliwie.

- To boginie się pocą? - odparował.

- Jestem tylko nimfą...

- ...a nimfy są notorycznie niesforne.

- Podczas gdy pasterze kóz... - nie była jednak w stanie nic wymyślić.

- Kozy są lubieżne - podsunął uczynnie. - Może to się udziela. Och, moja droga - powiedział, ściskając jej dłoń - właśnie cię zarażam!



- "Skoro tak, będzie pan musiał zarazić lubieżnością wszystkich tancerzy, sir. Po namyśle dodam, że byłoby to jak rozprzestrzenianie pokrzywki w kolonii trędowatych.

- Kelano, jestem zaszokowany! Lecz skoro jest ci gorąco...

Sprawnie wyłuskał ją z szeregu tancerzy i wyprowadził na oświetlony lampionami taras. Panował tu miły chłód. Ponieważ była spocona, przez chwilę zrobiło jej się nawet zimno, jednak zaraz, na myśl o tym, gdzie i z kim się znajduje, znowu zalała ją fala gorąca.

Ruszyła z powrotem ku sali, lecz on powiedział:

- Zimno ci? - Wziął coś z ławki, otulił ramiona Belli wielkim szalem tak, iż trudno jej było się poruszyć i przyciągnął ją ku sobie.

Spróbowała uwolnić ręce i go odepchnąć, lecz było za późno. Jeszcze przed chwilą tańczyła, a teraz stała, uwięziona i przyciśnięta do ledwie zakrytego męskiego ciała.

- Zagramy w „ciepło zimno”? - zapytał.

- Miałabym grać z kozłem? Proszę mnie puścić. Roześmiał się i pocałował ją, z początku pośpiesznie i lekko, ale po chwili objął Bellę w talii, otoczył drugą dłoń jej kark i pocałował ją znowu, głęboko i z wprawą, skłaniając do rozchylenia warg, aż zetknęły się ich języki.

Próbowała się sprzeciwić, ale cząstka niej, ta, która kiedyś tańczyła, flirtowała i tak, całowała się raz czy dwa na pogrążonym w mroku tarasie, obudziła się do życia z zastraszającą szybkością. Bywała już całowana i sprawiało jej to przyjemność, ale nigdy tak jak teraz. Nigdy też tak się nie czuła.

Zagrożona.

I rozpalona.

***Nie!***

Odwróciła głowę i odepchnęła go.

Pozwoli! na to, a potem się uśmiechnął. Oczy mu błyszczały, kiedy pochwycił końce szala i przyciągnął ją znów do siebie.

- Proszę mnie puścić!

Mówiła poważnie, lecz pocałunek pozbawił ją tchu, zabrzmiało to więc raczej jak westchnienie.

Wiedziała, że z niecierpliwością wyczekuje reakcji mężczyzny.

Tymczasem on puścił końce szala.

Otuliła się nim, by zakryć nagie ramiona i ukryć rozczarowanie.

- Nie powinien pan być tego robić.

- Skoro tak, nie powinnaś przychodzić na maskarady.

- Zatem to tego rodzaju impreza? Młode damy są tu napastowane dlatego, że odgrywają role postaci, za które się przebrały?

- Tak dzieje się podczas każdej maskarady, oczywiście, jeśli dama tego sobie życzy.

- Ja nie...

- Jeśli poczułaś się urażona, bardzo przepraszam, ale jakoś mi na to nie wyglądało, słodka i apetyczna nimfo.

Bella przełknęła, świadoma, że on ma rację i że w głębi duszy marzy jedynie o tym, aby znów znaleźć się w jego ramionach.

Zapanowała jednak nad niemądrą, frywolną częścią swej natury, zdjęła szal i rzuciła go na ławę gestem, który, jak miała nadzieję, był nonszalancki.

- Chociaż to krótkie spotkanie stanowiło dla mnie miłe urozmaicenie, muszę powrócić do bardziej wyrafinowanych kręgów towarzystwa.

- Nie ufaj senatorom i bogom, piękna nimfo. Mimo pozorów majestatu są tylko, jak ja, mężczyznami. A jeśli jesteś tak niewinna, jak starasz się mi wmówić, z radością pozwolisz, bym odprowadził cię do towarzystwa, z którym tu przybyłaś.

To było wyzwanie, precyzyjne niczym pchnięcie rapie-rem pomiędzy żebra. Już wcześniej wspomniał o rozpoznawaniu. Co podejrzewał? Próbowwała wyczytać coś z jego twarzy, światło było tu jednak przyćmione, bez wątplenia specjalnie.

- Jeśli na to pozwolę - odparła - będzie pan wiedział, kim jestem.
- Poznam osobę po tym, w jakim towarzystwie się obraca? Intrygujące. Sądysz, że możesz pozostać na zawsze anonimowa?
- Mogę spróbować.

Wygiął w szczerym uśmiechu zmysłowe wargi. Na jego szczupłych policzkach pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

- W końcu wszystkiego się dowiem.

Bella miała ochotę odwzajemnić uśmiech, uniosła jednak wyżej brodę.

- Wątpię.
- To tylko kwestia czasu. Już czuję, jakbym cię znał.
- Doprawdy nie sędzę.
- Jesteś więc prowincjuszka i przybyłaś do stolicy niedawno?
- Nie wyciągniesz ode mnie więcej informacji, niewolniku. - Wiedziała, że niebezpiecznie byłoby zwlekać z odejściem, powiedziała więc tylko: - A teraz, żegnaj - po czym wśliznęła się na powrót do sali balowej.

Modląc się, by za nią nie poszedł, przecisnęła się przez szereg tańczących. Odważyła się odwrócić dopiero, kiedy dotarła do drzwi w przeciwległym końcu sali. Po części miała nadzieję, że zobaczy go tuż za sobą, że znów ją pochwyci, pociągnie w kolejne szaleństwo. Na szczęście rozsądek zatriumfował.

Poczuła jednak ukłucie rozczarowania, gdy zobaczyła, że stoi w drzwiach na taras, najwyraźniej straciwszy zainteresowanie. Rozmawiał z siwowłosym mężczyzną w prostej todze.

Widzisz, idiotko? To spotkanie, ten pocałunek, nic dla niego nie znaczyły. Oczywiście, nigdy w to nie wątpiła. Nie na poważnie. Zatrzymała się jednak na chwilę, gdyż zaintrygował ją poważny, zatroskany wyraz jego twarzy.

Przypomniała sobie, jak zastanawiała się, czy pasterz nie jest, podobnie jak ona, intruzem. Skoro tak, rozmawia teraz zapewne z innym konspiratorem, może planując jakiś zamach. Czyżby chcieli zabić księcia albo podpalić dom? Należało temu zapobiec.

A potem spojrzał na nią przez pokój. Mogłaby przysiąc, że ukryte pod maską źrenice rozszerzyły się. Czyżby odgadł, o czym Bella myśli? Przestraszona z innego niż wcześniej powodu, odwróciła się, by wyjść, lecz grupa wchodzących zmusiła ją, żeby odsunęła się na bok.

Zerknęła ostrożnie za siebie.

Pasterz nadal tam stał, wpatrując się w nią nieubłaganie.

Odwróciła się i spostrzegła, że kilka osób bacznie się jej przygląda. Maski skrywały ich twarze, mogłaby jednak przysiąc, że wpatrują się z nią z wyrazem żarłocznego zainteresowania.

Czyżby rozpoznali w niej intruza i zamierzali rozszarpać na strzępy?

Jedna z kobiet zmierzyła Bellę spojrzeniem, wykrzywiając pogardliwie wargi. Boże, czyżby ten okropny człowiek rozerwał jej suknię i wyglądała teraz nieprzyzwoicie? Spojrzała w dół. Wszystko było w porządku, nawet gwiazdki na sandałach. Czegoś jednak brakowało, nie była tylko pewna czego. Przerazona, ledwie co widząc, wśliznęła się pomiędzy gości i wyszła. Za drzwiami skręciła w prawo, starając się nie wyglądać jak przestępca uciekający z miejsca zbrodni. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza. Modliła się jedynie, aby udało jej się znaleźć ustronne miejsce, gdzie nieniekajona mogłaby zapanować nad emocjami.

A potem usłyszała, że ktoś za nią wysyczał:

- Co za skandal!

Skrzywiła się, jakby ktoś wbił jej nóż w plecy, lecz kiedy się odwróciła, nikt na nią nie patrzył. Trzy greckie boginie rozmawiały ściszymi głosami, pochylając się ku sobie w sposób, w jaki ludzie zwykle przekazują plotki.

Uśmiechały się, widocznie zadowolone, że mogą rozszarpać na strzępy czyjąś reputację.

Bella rozejrzała się dookoła, ale poza trzema kobietami w pobliżu nie było nikogo.

Jej serce zwolniło bieg, a umysł się rozjaśnił.

Może nie groziło jej bezpośrednio niebezpieczeństwo. No i przyszła tu przecież po to, aby wywęszyć skandal.

Pochyliła się, udając, że poprawia pasek sandała i wyteńczyła słuch.

**-*Inflagrante delicto***, moja droga. Absolutnie!

- Ale kto?

- Grandiston. Tak słyszałam. Chichot.

- Nie dziwię się. Wygląda bardzo męsko w tej starożytnej zbroi...

Grandiston? Nazwisko brzmiało znajomo, lecz Bella nie potrafiła go umiejscowić. Czy to ktoś na tyle ważny, by warto umieścić go w biuletynie lady Fowler? I kim była kobieta?

Jedna z bogiń musiała zadać widocznie to samo pytanie.

- Psyche Jessingham.

To nazwisko знаła, gdyż o romansie lady Jessingham z Ithorne'em wiele się u lady Fowler mówiło.

Nie pozwoliła jednak o nim pisać, gdy miała wiele zrozumienia dla kobiet, które wydano w młodości za mąż za starego, odrażającego mężczyznę. Litowała się nad nimi nawet, jeśli błędziły. Ją też spotkał kiedyś podobny los.

Lady Jessingham była teraz wdową, lecz lady Fowler trzymała się swojej zasady, choć chętnie potępiłaby Ithorne'a za to, że nie żeni się z kobietą, której reputację nadwerężył.

- Psyche i Grandiston?

Kobiety ściszyły głos jeszcze bardziej i Bella musiała mocniej wyteńczyć słuch. Czy lady Fowler zrezygnowałyby z ujawnienia kolejnego skandalu, dotyczącego się tej damy?

- Nigdy nie potrafiła zachowywać się dyskretnie - powiedziała jedna z kobiet. - Co dokładnie zobaczono?

Kolejne pomruki, a potem:

- Miała strój w kompletnym nieładzie - powiedziała znacząco pierwsza z kobiet. - Suknię rozdartą na przedzie...

Bella uświadomiła sobie nagle, że matrony wpatrują się w nią lodowatym spojrzeniem.

Uśmiechnęła się słabo i pospiesznie odeszła. Ostatnim, co usłyszała, było:

- Rothgar...

O rany! Czy wielki markiz też był w to zamieszany? Przebywając w otoczeniu lady Fowler, dowiedziała się sporo o tym, jak odrażająco zachowują się niektórzy przedstawiciele arystokracji - na przykład dzieląc się tą samą, nieszczęsną kobietą. Takie coś zdecydowanie nadawałoby się do opublikowania w biuletynie. Ale, Boże, biedna żona Rothgara, w zaawansowanej ciąży, zmuszona już w dodatku przyjąć pod swój dach dorosłą, nieślubną córkę męża!

Musi dowiedzieć się czegoś więcej. Gdzie też mogła mieć miejsce skandaliczna schadzka?

## *Rozdział 7*

Thorn przedzierał się przez tłum tak szybko, jak JJJ tylko był w stanie, nie zdradzając pośpiechu. Większość ludzi go rozpoznała, a nie życzył sobie wzbudzać zainteresowania. Starał się zamaskować gniew, choć był na siebie naprawdę zły. Stawił się zbyt późno, aby zapobiec katastrofie, a wszystko dlatego, że zaniedbał obowiązki. Zamiast mieć na wszystko baczenie i obserwować króla, wymknął się na taras z czarującą nimfą.

Pozwolił Kelano wyśliznąć się nierozpoznaną, i bardzo tego żałował, nie mógł jednak zignorować gniazda os. Christian został przyłapany w którymś z prywatnych pokoi z kobietą, i to akurat przez Psyche Jessingham. Sądziła, że kupi sobie Christiana na męża, podniosła więc z lubością alarm. Powinien być wdzięczny Christianowi przynajmniej za to, że wybrał odległe pomieszczenie, ale i tak zamierzał natrzeć mu uszu. Co przyjaciel sobie wyobrażał? O czym myślał, jeśli w ogóle myślał? Łączyły go już skomplikowane relacje z trzema przysparzającymi kłopotów kobietami. Poza zachłanną Psyche była przecież jeszcze dziewczyna, którą poślubił w Yorkshire, gdy miał szesnaście lat. Panią o mało szlachetnym nazwisku Dorcas Froggatt. Przyjaciel sądził, że umarła, ostatnio dowiedział się jednak, że kobieta żyje. Gdy poszukiwał jej w celu unieważnienia małżeństwa, zakochał się w niejkiej pannie Kat Hunter, która zerwała z nim, gdy dowiedziała się, że jest żonaty.

Na dodatek, aby uczynić katastrofę bardziej dotkliwą, o tym, co się wydarzyło, ostrzegł go nie kto inny, jak markiz Rothgar.

Z trudem się powstrzymał, by nie chwycić z pobliskiego stołu chińskiej wazy i nie rzucić nią o ścianę.

- *Sir*. - Odwrócił się gwałtownie i zobaczył rzymskiego żołnierza. Wyglądał, jakby zamierzał dokonać aresztowania. - Jest pan proszony - powiedział stanowczo.

Thorn zaklął w myślach. Nie mógł zignorować wezwania od króla. Zawrócił w kierunku sali balowej. Jerzy przywdział z okazji balu zwykłą togę, próbując wtopić się w tłum. Oczywiście, to mu się nie udało. Goście powstrzymywali się co prawda przed tym, aby nieustająco kłaniać się lub dygać, ale dla osób przyzwyczajonych okazywać monarsze szacunek było to trudne.

Thorn też ledwie się powstrzymał, by nie pochylić głowy. - Dowiedziałem się, że miało miejsce niefortunne zdarzenie, Wasza Wysokość. Proszę o wybaczenie.

- Byli bardzo niegrzeczni - powiedział król zdumiewająco dobrodusznym tonem. - Ale to małżonkowie, co?

Małżonkowie? Thorn skrył zaskoczenie i skinął głową, odgrywając światowca.

- Przemozna siła małżeńskiej namiętności, Wasza Wysokość.

- Rozumiem to, gdyż sam zostałem nią pobłogosławiony, co? Czy mogę mieć nadzieję, że wkrótce zobaczę ciebie równie szczęśliwego, Ithorne? Szlachetny ród, a ty nie masz dziedzica, co?

Nawyk króla, aby dodawać „co” na końcu każdego niemal zdania sprawiał, że Thorn miał chęć go udusić, teraz jednak chciał przede wszystkim uciec. Należało się dowiedzieć, co naprawdę zaszło i zaradzić ewentualnym konsekwencjom.

- Chciałbym być kiedyś równie szczęśliwy jak Wasza Wysokość - powiedział - dlatego muszę dokonać starannego wyboru.



- Pozwól, by przyjaciele zrobili to za ciebie, co? Ja tak postąpiłem.

A potem skarżyłeś się, że nie odpowiada ci wygląd ani maniery Charlotte Mecklenburg-Strelitz, pomyślał Thorn. Jerzy był wówczas zadurzony w ślicznej Sarze Lennox. Lecz teraz królewska para zdawała się być sobie naprawdę oddana, co tylko umacniało Thorna w postanowieniu, by zawrzeć małżeństwo z rozsądku.

- Chętnie skorzystam z rady, Wasza Wysokość. Lecz teraz, jeśli mi wybaczysz...

Król odprawi! go machnięciem dłoni i Thorn ruszy! dalej, rozważając implikacje ostrzeżenia, które otrzyma! od Rothgara. Czy markiz zaaranżował skandal, a potem dopilnował, by król się o nim dowiedział, mając nadzieję, że Jerzy obwini gospodarza?

Uważał do tej pory, że współzawodnictwo z Rothgarem ma charakter wyłącznie polityczny, ale czy markiz nie posłużyłby się każdym sposobem, byle wyeliminować rywala, zdolnego umniejszyć jego wpływy?

Spostrzegł, że zbliża się ku niemu zawsze poważny sekretarz, Overstone. Widać było, że nie czuje się w przebraniu swobodnie. Thorn przystanął w nadziei, iż dowie się czegoś więcej.

- Słyszałem, że lord Rothgar umniejszył skandal, oświadczając, że para jest małżeństwem. Niektórzy w to uwierzyli, ale nie lady Jessingham. Wyraża się o damie w bardzo ostrych słowach. Mam rozpowszechnić wersję o małżeństwie, proszę pana?

Thorn zastanawiał się przez chwilę.

- Jeszcze nie, ale też nie zaprzeczaj. Postaraj się uspokoić emocje.

Ruszył cichym korytarzem, przygotowując się wewnętrznie, by stawić czoło katastrofie.

To, czego się wkrótce dowiedział, wprawiło go w osłupienie. Christian został rzeczywiście przyłapany w trakcie namiętnej schadzki, ale kobieta była jego żoną, Dorcas Froggatt, tą, której poszukiwał, by unieważnić związek.

Nim zdążył zdziwić się, że przyjaciel wdał się z małżonką w romans, poinformowano go, że kobieta to nikt inny, jak panna Kat Hunter, w której Christian zakochał się, szukając żony.

Miłość! Nic tak nie rujnuje mężczyźnie życia, zwłaszcza że Dorcas, Kat czy jak jej tam, oskarżała właśnie Christiana, iż skompromitował ją po to, aby nie mogła unieważnić małżeństwa.

Jakkolwiek było, pod koniec długiej nocy Thorn postanowił, że uda się rankiem do Malloren House i spróbuje wstawić się za przyjacielem.

Przeklęty Rothgar siedział w tym bowiem po uszy. Jak się okazało, żona Christiana była przyjaciółką żony markiza i gościem w Malloren House. Rothgar przyprowadził ją na bal, wiedząc, kim jest.

Zapewniał, że nie miał złych intencji, lecz Thorn nie bardzo mu wierzył. Incydent mógł się bowiem przerodzić w żenujący skandal i wywołać niezadowolenie króla.

A jeśli Rothgar celowo posłużył się Christianem, polityczna rywalizacja mogła zmienić się w bezwzględną osobistą wojnę.

Dopiero kiedy o świcie skonany położył się do łóżka, przypomniał sobie Kelano.

Może była jednak Harpią i rzuciła na niego klątwę, kto wie?

\*\*\*

Bella wróciła do domu o trzeciej nad ranem, wynajawszy lektykę. Młode służące powitały ją, jakby wymknęła się z jaskini pełnej węży. I mogły mieć rację.

- Och, proszę pani! - westchnęła Annie Yelland, nadal bardzo szczupła pomimo miesięcy dobrego odżywiania. - Tak się o panią bałyśmy!

- Kiedy pomyślę, co się tam wyprawia! - zakrzyknęła jej siostra Kitty, która apetycznie się zaokrągliła

na tej samej diecie, zmieniając w prawdziwą piękność o bujnych kształtach.

Kiedy Bella je uratowała, były do siebie zdecydowanie bardziej podobne - chude, blade i przestraszone. Kitty, starsza z sióstr, była ciut wyższa, lecz nadal niewysoka. Jej czupryna płonęła niczym futro wiewiórki, podczas gdy włosy Annie miały kolor mysiego brązu. Annie mogła się za to pochwalić ładniejszą cerą. Jej brązowe oczy były większe niż u siostry.

- Czy to było bardzo szokujące? - dopytywała się Kitty.

- Ogólnie rzecz biorąc, nie - odparła Bella, naciągając nieco prawdę. Nie chciała podsycać upodobania Kitty do skandali.

Wolałyby w ogóle nie angażować w to przedsięwzięcie dziewcząt, potrzebowała jednak pomocy przy zakładaniu, a potem zdejmowaniu kostiumu. Kitty kształciła się na osobistą pokojówkę, podczas gdy Annie wolała zostać kucharką. Lecz co wiedziała jedna, wiedziała i druga. Staraly się spędzać razem jak najwięcej czasu. Kiedy Kitty musiała coś uszyć, zabierała koszyk z przyborami do kuchni, zamiast pozostać, jak należało, w sypialni Belli.

I oto były z Bellą w sypialni, znowu razem, choć pomoc przy rozbieraniu i przygotowaniu pani do snu była zadaniem Kitty. Bella zamierzała następnego dnia odespać zarwaną noc i chętnie pozwoli Kitty pospać dłużej, lecz Peg Gussage będzie potrzebowała Annie w kuchni wcześniej rano. Uznała, że nie ma sensu wspominać o tym teraz. Może Annie wyciągnie z tego doświadczenia wnioski i na drugi raz wcześniej się położy.

Weszła do sypialni z Kitty depczącą jej po piętach, podczas gdy Annie popędziła do kuchni po ciepłą wodę. Kitty uparła się, że pomoże pani zdjąć kostium, choć Bella z łatwością mogła rozebrać się sama. Annie wróciła z dzbankiem wody i napełniła miednicę ustawioną

za parawanem. Bella umyła się w wodzie o idealnej temperaturze, a potem odesłała dziewczęta do łóżek.

Siostry były istnym skarbem. Uważała, iż dopisało jej szczęście, że mogła przyjąć je i zatrudnić. Przybyła do Londynu jedynie z Peg i wynajęła dom. Peg mogła gotować i zajmować się domem, potrzebowała jednak podkuchennej i przynajmniej jednej pokojówki, a także kogoś do cięższych prac: mężczyzny lub chłopca. Obie z Bellą wołały zatrudnić silnego chłopaka, jeśli miał mieszkać z nimi w domu. Wydawało się to bardziej stosowne. Bella, pomna swych cierpień w domu brata, postanowiła rozejrzeć się w instytucjach dobroczynnych.

Wizyty w przytułkach rozdzierały jej serce. Szybko odkryła, że przebywają tam głównie starcy i berbecie, gdyż zdrowe dzieci posyłano do pracy, ledwie skończyły sześć lat. Pewnego razu spostrzegła jednak chłopca, który wyglądał na silnego. Leżał na materacu, mimo iż był środek dnia. - Nie będzie pani miała z niego pożytku, *madame* - powiedział zarządca, ściągając z chłopaka, na oko dziesięcioletniego, brudny koc. - Znaleźliśmy mu dobrą pracę w stajni, lecz zranił się w nogę i rana nie chce się goić. Zakażenie wędruje coraz wyżej i w końcu go zabije.

Bella obawiała się, że tak w istocie się stanie, lecz smutne spojrzenie chłopca poruszyło ją. Jego noga była spuchnięta i zaropiała, ale poza tym wydawał się silny. Pomyślała, że jest głuptasem o miękkim sercu, mimo to zapytała chłopca, jak się nazywa - okazało się, że Ed Grange - a potem wynajęła wóz i zawiozła go do domu. Było to konieczne, ponieważ nie zdołałyby wciągnąć malca do dorożki, poza tym chłopak był brudny i prawdopodobnie zawszony.

Peg Gussage była przerażona i tak, nazwała Bellę głuptasem o miękkim sercu, lecz potem zabrała się do roboty. Chłopak został wykąpany i nakarmiony, a rana opatrzona. Peg zaczęła też aplikować mu ludowe specyfiki.

Obecność chorego czyniła kwestię znalezienia służących jeszcze bardziej nagłą, Bella wspomniała więc o swoim problemie podczas wizyty u lady Fowler. Porozmawiała też z pastorem kościoła Świętej Anny, on zaś opowiedział jej smutną historię sióstr Yelland.

- Mieszkały z owdowiałym ojcem, panno Flint. Był węglarzem i porządnym człowiekiem. Zapewne chronił córki za bardzo, by mogło im to wyjść na dobre. Gdyby nauczyły się handlu lub poszły na służbę, nie znalazłyby się w tak tragicznym położeniu. Ostatniej zimy ojciec przewrócił się i złamał kręgosłup. Córki opiekowały się nim z oddaniem i miłością, lecz sześć tygodni temu zmarł. Skromny pogrzeb pochłonął resztę pieniędzy. Annie i Kitty nie wspomniały o swoim położeniu nikomu, nawet mnie, gdyż obawiały się, że trafią do przytułku. I niebezpiecznie.

- Rzeczywiście - przytaknęła Bella. - W jakim są wieku?

- Twierdzą, że Kitty ma szesnaście lat, a Annie piętnaście, ale to nic pewnego. Rozumie pani, są zbyt duże, aby przyjęto je do sierocińca i jak powiedziałam, niewiele umieją. Prowadziły jednak ojcu dom, a o ile mi wiadomo, obie są zdrowe. Przy odrobinie życzliwości i dobrym odżywianiu szybko stałyby się pilnymi pracownicami, bo to porządne dziewczęta.

Bella, świadoma, że rozsądna kobieta natychmiast odrzuciłaby ten pomysł, odwiedziła dziewczęta w ich małym domku. Było tam czysto i panował porządek, lecz nie miała wątpliwości, że siostry sprzedały już wszystko, co mogły, by się utrzymać. Obie były chude i blade. Wiedziała, że przyjmując je pod swój dach, przysporzy z początku jedynie Peg pracy, nie mogła jednak porzucić sióstr Yelland, tak jak nie była w stanie zostawić Eda Grangera, by umarł w przytułku.

To, że przybrała bojowe imię, nie uczyniło jej twardszą, zaś lata w Carscourt, gdzie była praktycznie więźniem, sprawiły, że stała się bardziej wrażliwa na los nie-

szczęśników, którym wcześniej nie poświęciłaby nawet jednej myśli.

Choć tak wątle, siostry z zapalem wzięły się do pracy. Być może uznały, że jeśli zawiodą, Bella je wyrzuci. Po kilku dniach także Ed wykonywał wszelkie prace, jakimi mógł zająć się na siedząco. Tydzień później kuśtykał już po domu, wsparty na kuli. Teraz wszyscy ciężko pracowali, a Bella dziękowała Bogu każdego dnia, że ich ma.

Planowała też zrobić dla całej trójki coś więcej, niż tylko ich zatrudnić.

Annie byłaby dobrą kucharką, a Kitty sprawną pokojówką, lecz Bella miała wobec nich inne plany. Były bystre, więc nauczyła je, podobnie jak Eda, czytać, pisać i rachować. Jeśli za kilka lat pomoże dziewczętom założyć drobny interes, będą w przyszłości niezależne. Jak teraz ona.

Mogłyby otworzyć cukiernię, w której podawano by także herbatę. Albo sklep z galanterią.

Cokolwiek, co uwolniłoby je od konieczności znalezienia sobie męża. Przebywając w otoczeniu lady Fowler, utwierdziła się w przekonaniu, że niebezpieczeństwa związane z zamąż-pójściem znacznie przewyższają korzyści. Z drugiej strony, pozostawanie samotną, kiedy nie miało się rodziny ani środków do życia, mogłoby się okazać jeszcze gorsze.

Przynajmniej Eda nietrudno było zabezpieczyć. Wystarczyło znaleźć rzemieślnika, który zgodziłby się przyjąć go do terminu.

Zerknęła tęsknie w stronę łóżka, lecz zamiast się położyć, zasiadła posłusznie za biurkiem, aby opisać wydarzenia wieczoru. Okazały się rozczarowujące, gdyż wieści o tym, że dama przyłapana w kompromitującej sytuacji z Grandistonem była w rzeczywistości jego żoną, już się rozniosły. Jutro nie będzie w tym za grosz sensacji.

Jedynym, co udało jej się zaobserwować, było nadużycie przez niektórych gości mocnych trunków i spowodowane tym zbyt swobodne zachowanie.

Słyszała, że król zaszczycił bal swą obecnością, lecz dowiedziała się o tym dopiero, gdy wyszedł.

Uznała, że lepiej będzie zatrzymać tę wiadomość dla siebie, gdyż lady Fowler postrzegła władcę jako

uosobienie cnót, jedyną nadzieję na zreformowanie narodu. Umysł biednej damy znajdował się w stanie takiego napięcia, iż odkrycie, że się myliła, mogłoby przyprawić ją o udar.

Chwyliła za pióro, rozmyślając o lady Fowler. Uznała, że pora opuścić zebrane wokół niej towarzystwo, ale dokąd mogłaby pójść? Przerzątał ją pomysł, że miałyby być w świecie zupełnie sama. Wahala się także, czy powinna zostawić co słabsze owieczki ze stada na pastwę zmiennych nastrojów lady Fowler oraz radykalnych skłonności sióstr Drummond.

Potarła czoło, próbując skupić się na pisaniu, lecz oczy ani umysł jakoś nie chciały jej posłuchać. A to dlatego, że wracała ciągle myślami do lubieżnego pasterza, oświetlonego lampami tarasu, i zadziwiających pocałunków...

Wstała i zebrała się w sobie. Kto jak kto, lecz ona, Bella, powinna być uodporniona na uwodzicielski czar rozpustnika.

Zatoczyła pod kołdrą kilka kręgów ogrzewadłem i szybko wsunęła się pod pościel. Och, jak przyjemnie... Zsunęła się niżej, starając się nie myśleć o głupstwach. Efekt był jedynie taki, że powróciła myślami do głupstw innego rodzaju - minionych, lecz ożywionych wydarzeniami wieczoru. Jej ostatni bal maskowy. O wiele skromniejsza impreza w Vextable Manor w pobliżu Carscourt.

Wszyscy doskonale się znali, lecz udawali, że jest inaczej i odgrywali swoje role. Wymknęła się z sali z...

Z kim właściwie..? Z Tomem Fitzmannersem czy Clif-fordem Speke? Zapewne z Tomem, pamiętała bowiem, że młodzieniec był od niej starszy zaledwie o kilka lat, i fakt, że znalazł się sam na sam z młodą damą, która nie

wzbrania się przed pocałunkiem, mocno wytrącił go z równowagi.

Zachichotała na samo wspomnienie. Ależ była z niej figlarka!

Najbardziej lubiła jednak tańczyć.

Tańczono też bardzo często - podczas przyjęć i zebrań towarzyskich, a czasami po prostu ot, tak, pod wpływem chwili. Odsuwano wówczas meble pod ściany, zwijano dywan, a ktoś przygrywał na klawikordzie lub wirginalu.

Cztery długie lata bez tańca, flirtowania, przelotnego pocałunku. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej tego brakuje. Do dzisiejszego wieczoru.

Spanikowała, ponieważ pasterz był tak lubieżny, czy przeraziła ją własna, spotęgowana długotrwałym postem, reakcja?

Nie chciała rezygnować z wolności na rzecz małżeństwa, nie mogła jednak zaprzeczyć, że pragnie mężczyzny. Młodego, przystojnego, doświadczonego i rozkosznie zepsutego.

Przewróciła się na drugi bok i wtuliła głowę w poduszkę, jakby chciała pogrzebać niemądre myśli, lecz umysł nie dał się uciszyć i powracał wciąż do niepokojącego doświadczenia.

Jego oczy, więzące jej spojrzenie tak jak jedwabny szal więził kibić, przyciągając ją ku twardemu, rozpalonemu męskiemu ciału, ledwie osłoniętemu ubraniem, podobnie jak jej ciało.

Jego usta, gorące i obejmujące we władanie jej usta. W ogóle nie przypominało to całowania się z Tomem Fitzmannersem. Jeśli już, przywodziło na myśl raczej pocałunek kapitana Rose.

Przewróciła się na plecy i zapatrzyła w ciemność. Zapomniała o tamtym pocałunku. Też został jej skradziony, ale poza tym nie było między nimi podobieństw. Dlaczego więc czuła się tak, jakby było inaczej?

Może z powodu ciemnej szczeciny na brodzie. Pasterz nie ogolił się, ponieważ udawał chłopca, kapitan Rose



nim był. Nie dosłownie chłopem, ale kimś, kto z pewnością nie zostałby na Olimpijską Maskaradę zaproszony.

Łączyło ich tylko jedno: gdyby okazała się na tyle niemądra i pozwoliła się komuś oczarować, jej życie ległoby w gruzach.

Nic takiego się jednak nie zdarzy. Poklepała poduszkę, nadając jej wygodniejszy kształt. W życiu Bellony Flint nie było dotąd miejsca na szaleństwo i lepiej, by tak zostało.

## Rozdział 8

Po niemal bezsennej nocy wstała późno i siedziała zaspana, nad śniadaniem, rozmyślając znów o balu i rozpaczliwie szukając soczystego kąska, który mogłaby zanieść lady Fowler. Jeśli tego nie zrobi, siostry Drummond uznają, że zawiodła.

Cóż, ona sądziła podobnie, a skoro tak, lepiej mieć nieprzyjemną wizytę jak najszybciej za sobą. Ubrała się pośpiesznie, przywdziewając jedną z nudnych, praktycznych sukien Bellony i tłumiąc bezwzględnie niemądrą tęsknotę za przejrzystą szatką z poprzedniego wieczoru i jeszcze bardziej niemądry żal za tym, jak patrzyli na nią mężczyźni, gdy miała ją na sobie.

Nie potrzebowała przy ubieraniu pomocy, gdyż nadal nosiła zamiast gorsetu stanik domowej roboty, pozwoliła jednak Kitty, by przeciwiczyła na niej nowo nabyte umiejętności. Jak zwykle, dziewczyna skrzywiła się, widząc stanik, i jak zwykle Bella spróbowała przekonać ją do korzyści, wynikających z noszenia prostych strojów.

- Spójrz tylko - powiedziała - wystarczy chwila i jestem przyzwoicie ubrana. Pomyśl, ile czasu tracą kobiety na ubieranie się. I układanie włosów.

- Tak, proszę pani - odparła Kitty potulnie, acz z dezaprobatą. Obie siostry wszystko, co nie było najeżonym fiszbinami gorsetem, uważały za niestosowne.

Pokojówce nie podobało się także, iż jej pani stara się wyglądać na starszą i brzydszą niż w rzeczywistości. Dlatego odwracała wzrok, gdy Bella nakładała krem, który sprawiał, że jej cera wydawała się ziemista, a oczy podkrążone.

Wzruszyła ramionami i nakleiła na nos małą brodawkę, a potem ściągnęła ciasno włosy i upchnęła je pod czepkiem.

Postępowała tak od miesięcy i wcale jej to nie przeszkadzało, lecz teraz spojrzała w lustro i aż się skrzywiła. Tej nocy była sobą. Była ładna. Wyczytała to w oczach mężczyzn...

No i proszę, do czego mogła doprowadzić ją próżność. Przypinając szpilką mały płaski kapelusik, powiedziała:

- Gotowe. Teraz nie muszę już myśleć o włosach, i to przez cały dzień. A to oznacza, że mogę zająć się ważniejszymi, bardziej użytecznymi sprawami. Mam nadzieję, że ćwiczysz czytanie, Kitty.

Kitty, która ścieliła właśnie łóżko, odwróciła się i powiedziała:

- Tak, proszę pani. Jestem w połowie *Wędrówki pielgrzyma* i nie ma tam wielu słów, których bym nie rozumiała. Wypisałam je sobie. - Wyjęła z kieszeni kartkę.

- Doskonale - odparła Bella, wstając. - Przejrzymy je razem, gdy wrócę. Muszę iść natychmiast do lady Fowler.

- Który płaszcz, proszę pani?

Bella spojrzała za okno i zobaczyła szare niebo. Pogoda w pełni odpowiadała jej nastrojowi.

- Z brązowej wełny, Kitty.

Włożyła skórzane buty i skierowała się ku drzwiom.

- Proszę pani... Odwróciła się.

- Tak, Kitty?

- Co mam zrobić z kostiumem?

Spal go, pomyślała z taką gwałtownością, że aż się skrzywiła. Odrzucając kostium i wszystko, co się z nim wiązało, powiedziała:

- Och, schowaj go gdzieś. Nigdy nie wiadomo...

Wyszła pośpiesznie, próbując nie myśleć o tym, dlaczego zareagowała aż tak przesadnie, ale to jej się nie udało. Wiedziała bowiem, iż kostium oznacza pokusę, tak silną, że niemal nie do odparcia.

Wołałaby nie spotykać się tego dnia z Peg, lecz wychodziła zawsze przez kuchnię, gdyby więc dziś postąpiła inaczej, byłoby to jak wymachiwanie sztandarem.

Peg, której nie podobał się styl Bellony, spojrzała na chlebobawczynię jak zwykle z naganą, spytała wszakże, nie mogąc się powstrzymać:

- Jak wygląda dom księcia? Jest wspaniały? - Mówiąc, ubijała coś w misce.

- Oczywiście.

Peg nie udawała, że nie interesuje jej życie możliwych tego świata. Chadzała często do Queen's House w nadziei, że zobaczy parę królewską na spacerze i czasem wracała uszczęśliwiona. Bella nie mogła odmówić jej choćby paru informacji. Byłoby to jak odmówić głodnemu posiłku.

- Dekoracje były doprawdy imponujące: kolumny, ruiny, placyk z balkonami. Nie byłam nigdy we Włoszech, więc nie wiem, na ile oddawało to rzeczywistość, lecz inni goście zdawali się być pod wrażeniem.

- Och, jaka szkoda, że nie mogłam tego zobaczyć!

- Ale to było tylko dla bogatych i szlachetnie urodzonych - zauważyła Bella. - W sprawiedliwszym świecie zwykli ludzie też mogliby obejrzeć wystrój, jeśli nie w trakcie balu, to przed nim lub po.

Spodziewała się, że Peg przytaknie, ta powiedziała jednak:

- No nie wiem, kochanie. Ślady butów na pięknych podłogach i dywanach... Odciski brudnych rąk na zasłonach.

- Dodatkowa praca dla służby, no tak - Bella nie zamierzała ustąpić. - Mogliby jednak rozłożyć płachty i trzymać ludzi z dala od zasłon.

- Ale wtedy nie byłoby już tak samo, prawda?
  - Doskonale. Kiedy następnym razem wybiorę się nieproszona na przyjęcie, wezmę cię ze sobą.
  - Nic podobnego! - wykrzyknęła Peg. - Nie wyszłabym z pokoju ubrana tak, jak pani wczoraj. Nic się pani nie przydarzyło? - spytała zaniepokojona.
- Bella wzięła z miski rodzynek i wydłubała z niego pestki.
- Absolutnie. Choć kilku mężczyzn czyniło mi niestosowne propozycje.
  - Oczywiście, wyglądała pani tak ładnie... Któraś byłaby do przyjęcia?
  - Peg! Byłam tam intruzem! Poza tym wiesz, że nie interesują mnie mężczyźni, a już na pewno nie marzę o zamażpójściu. - Pogryzła i przełknęła rodzynek.
  - Wiem, i uważam, że to wielka szkoda.
  - To, że ty miałaś dobrego męża nie znaczy, że wszyscy są tacy.
  - Och, a pani znowu swoje. Proszę iść już do tych gdaczących kur.
  - A ty znowu swoje - odgryzła się Bella i wyszła z kuchni.

\*\*\*

Wizyta u lady Fowler przebiegła tak, jak się spodziewała. Grandiston zachował się, oczywiście, skandalicznie, ponieważ kiedy ich przyłapano, strój lady Grandiston pozostawiał wiele do życzenia, lecz skoro byli małżeństwem, nie da się tego wykorzystać.

- Zastanawiam się nad lady Jessingham - powiedziała Bella, starając się znaleźć coś, co mogłoby okazać się użyteczne. - Najwyraźniej żywiła co do Grandisto-na pewne nadzieje i nie wiedziała, że jest żonaty. A skoro wychowywał się razem z księciem Ithorne, może... cóż...
- Tak? - spytała lady Fowler, zaciekawiona.

Spoczywała na sofie przed kominkiem. Rzadko już opuszczała sypialnię, gdzie było nieprzyjemnie duszno. Panował tu też niemiły zaduch. Helena Drummond, przybrawszy swój zwykły, stanowczy wyraz twarzy, siedziała na stołku w pobliżu lady Fowler. Jej gęste rude włosy błyszczały w świetle płomieni. Bella musiała przyznać, że kobieta wykazuje nie lada hart ducha.

- Może się nią dzielili - powiedziała, rumieniąc się. Dwie inne obecne w pokoju damy westchnęły zaszokowane.

Kiedy weszła, Mary Evesham głośno czytała. Na jej kolanach spoczywało kilka listów, zapewne od zwolenników lady Fowler. Mary zamieszkała w domu *lady* dopiero niedawno - jej brat, wikary, zmarł, pozostawiając siostrę bez grosza. Bella lubiła spokojną kobietę. Uważała, że Mary potrafi wiele zrozumieć, poza tym dostrzegała często w jej oczach przebłysk humoru.

Drugą damą była Celia Pottersby, chuda wdowa z miną wyrażającą wieczne niezadowolenie. Nigdy nie wyznała, jakie wydarzenia spowodowały, że stała się tak zgorzkniała.

W rogu siedziała, szyjąc, przysadzista Agnes Hoover. Była pokojówką lady Fowler od trzydziestu lat. Rzadko się odzywała, obserwowała jednak wszystko i nieustająco nasłuchiwała. Często miała też minę, jakby to, co widzi i słyszy, absolutnie się jej nie podobało. Była jednak swej pani bardzo oddana i traktowała ją z macierzyńską wręcz czułością.

- Prawdopodobnie się nią dzielili - przyznała Helena z pogardą - i to w tym samym łóżku. Nie masz jednak dowodu, Bellono. Tak czy inaczej, grzebanie w tym bagnie nie przysłuży się prawdziwej sprawie.

- Zatem dlaczego zaproponowałaś, by zakraść się na maskaradę? - spytała Bella.

- Wkraść się do domu księcia - sprostowała Helena z chciwym uśmieszkiem. - To dałoby nam wiele możliwości.

Co one, u licha, knuły?

- Podobało ci się na balu, droga Bellono?

Złośliwa mina Helen uświadomiła Belli, że powinna być przerażona tym, iż przyszło jej odegrać rolę płoczej nimfy.

- To było okropne - powiedziała, wzdrygając się. - Lecz zawsze chętnie poświęcę się dla sprawy.

- Droga, kochana Bellono! - wykrzyknęła lady Fowler, wyciągając kościstą dłoń.

Bella ujęła ją delikatnie, czując jak cienka skóra przesuwana się jej pod palcami. - Przykro mi, że zawiodłam, *madame*.

- Nie możemy wygrywać każdej bitwy. Usiądź obok mnie, posłuchamy, jak Mary czyta. Ma tak kojący głos...

Stół stał zbyt blisko ognia i Bella czuła, że się poci. Poza tym od biednej umierającej *lady* rzeczywiście dochodziła woń rozkładającego się ciała.

- Niestety, *madame*, muszę wrócić pilnie do domu. Jedna z pokojówek... Spróbuję wpaść później.

Uciekła, czując się winna z powodu tych, które musiały pozostać w domu lady Fowler, uwięzione tam przez brak środków. Pomimo wyrzutów sumienia ulżyło jej, gdy mogła zaczerpnąć świeżego powietrza.

\*\*\*

Thorn przywitał dzień w kiepskim humorze. Przekłęta maskarada i wszyscy z nią związani, jego samego nie wyłączając. Joseph krążył cicho po sypialni, jak zwykle wyczulony na nastrój swego pana. Dziś nawet to Thor-na denerwowało.

- Śniadanie - powiedział, gramoląc się z wielkiego książęcego łóżka. Należało kiedyś do jego ojca i nie potrafił zrozumieć, dlaczego rodzicowi podobało się mieć na każdej powierzchni wypukłe rzeźby. Nie wiedział tego, ponieważ go nie znał. Przynajmniej rzeźby nie były obsceniczne. Wcale by go to nie zdziwiło.

Poprzedni książę był pijakiem, hazardzistą i kobieciarzem. Thorn wcale nie żałował, że go nie poznał. Wolał-

by tylko, by reputacja ojca nie plamiła tytułu. Sam nie był święty, ale daleko mu było do rodzica, a dziś potrzebował każdej odrobiny godności, jaką tylko mógł z siebie wykrzesać.

Wszedł do garderoby i skorzystał z prysznic, który kazał tam zainstalować, kopiując urządzenia, montowane na statkach. Lubił się kąpać, zwłaszcza w ustawionej w piwnicy wielkiej wannie w greckim stylu i w towarzystwie dam, lecz prysznic był znacznie bardziej użyteczny.

Stanął w głębokim, sięgającym ud basenie i pociągnął za łańcuszek. Woda była taka, jak należało, prawie zimna. Wyszorował się i umył włosy, nadal szare od pudru, który Joseph zaaplikował mu, by ukryć prawdziwy kolor i upodobnić go do pasterza.

Przez chwilę nawet dobrze się bawił. A potem wszystko trafił szlag.

Przeklęty Christian i jego nieczuła, odnaleziona dopiero co żona. Jednak to Psyche Jessingham chętnie wepchnąłby w najczarniejsze otchłanie piekieł. Śledziła Christiana, by dopaść go poza salą balową i co jej to dato? Czyżby spodziewała się, że ujawniając skandal zmusi go, aby się z nią ożenił?

Wszedł spod prysznic i wytarł się ciepłym ręcznikiem, podanym mu przez Josepha. Uczesał się, włożył szlafrok i usiadł czekając, aż Joseph go ogoli. Zarost bywał użyteczny, zwłaszcza ciemny i, jak u niego, szybko rosnący. Jako nieskazitelny księżę Ithorne golił się dwa razy dziennie. Jako kapitan Rose pozwalał brodzie rosnać, czasami całkiem długo. Zmieniało to jego wygląd. Podobnie jednodniowy zarost zmienił go w pasterza.

I tak większość gości poznała w nim księcia. Kusiło go, aby zaprosić też przyrodniego brata. Mogliby nieźle się z Calebem zabawić, przebrani za tę samą postać. Tymczasem w tym, co się wydarzyło, nie było nic zabawnego.

Po śniadaniu wybrał starannie strój, uzbrajając się wewnętrznie przed wizytą w Małloren House, gdzie miał



być petentem stukającym do drzwi konkurenta. Wiedział, że nie wolno mu okazać słabości. A niech to wszyscy diabli!

- Co mam z tym zrobić, proszę pana?

Podniósł wzrok i przekonał się, że Joseph trzyma w dłoni mgiełkę srebrnych gwiazdek.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Przywarły do pańskiego kostiumu, *sir*. Kelano.

Powinien polecić, by Joseph wrzucił gwiazdki do ognia, była to bowiem tania błyskotka, niewarta nawet sześciu pensów. Zamiast tego powiedział:

- Połóż je na toaletce. Może będę miał okazję zwrócić ozdobę.

Joseph zrobił, co mu kazano, widać było jednak, że nie jest zadowolony.

I słusznie, pomyślał Thorn, wychodząc. Zatrzymywanie takich ozdóbek nie było mądrym posunięciem. Gwiazdki mogły doprowadzić go do Kelano, kimkolwiek i gdziekolwiek była, dziewczyna uosabiała jednak pokusę, o której bez wątpienia lepiej byłoby zapomnieć.

\*\*\*

Następnego dnia Bella nie miała ochoty pójść do lady Fowler. Zwlekała, jedząc śniadanie i podczytując gazetę rzekomo w poszukiwaniu plotek o niestosownym zachowaniu. Przeglądała właśnie drobne ogłoszenia, gdy wymienione w jednym z nich imię przykuło nagle jej uwagę.

Przeczytała cały anons:

***Kelano,***

***Mam Twoje gwiazdki. Zostaw informację, kiedy mógłbym Ci je zwrócić, w gospodzie Pod Kozłem przy Pall Mail.***

***Łowca Orion***

To nie mógł być przypadek. Straciła gwiazdki podczas balu, prawdopodobnie, kiedy objął ją pasterz. Teraz z pewnością nie chodzi mu jedynie o to, by zwrócić ozdobę. To, że podpisał się jako Łowca Orion stanowiło ostrzeżenie. To właśnie ten bóg ścigał Plejady, i to w złych zamiarach.

Przeczytała ogłoszenie jeszcze raz. Kusiło ją, aby popełnić kolejne szaleństwo.

A odczuwała pokusę nie tylko dlatego, że prześladowały ją pikantne wspomnienia, ale ponieważ kolejna szalona wyprawa mogła stanowić ucieczkę od wszystkiego, czym było jej życie, zwłaszcza zaś od Bellony Flint. Powrót do świata z bajki, jakże odległego od kręgu lady Fowler.

Gdyby zechciała spotkać się z Orionem, jak mogłaby zapewnić sobie bezpieczeństwo?

Weszła Kitty.

- Myślałam, że już pani skończyła.

Bella uświadomiła sobie, że skubie suchy tost.

- Bo skończyłam - odparła, wstając.

Kitty uprzętnęła stół, lecz widać było, że coś ją dręczy. Jak się okazało, martwiła się nie tylko o Bellę. Podając chlebowaczynie chusteczkę na szyję, powiedziała:

- Muszę pani coś powiedzieć, *madame...*

Bella odwróciła się, zaalarmowana tonem głosu Kitty. Och, nie! Nie zdołała się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na talię pokojówki.

- Ależ proszę pani! - wykrzyknęła Kitty. - Ja nigdy bym... I Annie także nie.

- Oczywiście, jestem tego pewna. Przepraszam. To przez ten głos... Nieważne, Kitty. Powiedz, o czym chciałaś ze mną rozmawiać.

Dziewczyna zagryzła wargę i przełknęła, a potem wypaliła:

- Chodzi o mnie i o Annie, proszę pani. Chcemy się pobrać.

Bella, osłupiała, już miała powiedzieć, że siostry nie mogą poślubić jedna drugiej, otrząsnęła się jednak i zadała narzucające się, jakże sensowne pytanie:

-Pobrać się... z kim?

- Z Alfredem Hotchkinsem i Zebediahem Rollsem, proszę pani.

Od A do Z, pomyślała Bella, oszołomiona. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ale, Kitty, jesteście obie bardzo młode...

- Mamy siedemnaście i dziewiętnaście lat, a Fred i Zeb są nieco starsi. Rozumie pani, to kuzyni.

Bella nie rozumiała nic a nic.

- Gdzie ich poznałyście?

- W kościele, kilka lat temu. To porządni chłopcy. Uczciwi i pracowici. - Mówiąc, miętosła palcami fartuszek.

- Nie potrzebujecie mojej zgody, Kitty.

- Nie? To czyje? . Bella uświadomiła sobie, że nie wie. Szok powoli mijał i w głowie kłębiły się jej już inne myśli.

- Kitty, Kitty, dobrze się zastanowiliście? Na pewno nie chcecie wyjść za mąż. Nie naprawdę. Mogę pomóc wam otworzyć własny interes. Nie ma potrzeby...

Kitty wpatrywała się w nią rozszerzonymi oczami.

- Och, ale ja chcę wyjść za mąż, proszę pani! I Annie tak samo.

- Ale dlaczego? Pomyśl o tym, że prawo nakaze ci być podległą mężowi. Wszystko, co zarobisz, będzie należało do niego. Będzie mógł ci dyktować, gdzie masz mieszkać i co robić. A jeśli zechce cię bić, prawo nie stanie po twojej stronie.- Nie ośmieliła się podnieść kwestii obowiązków małżeńskich i możliwości zarażenia się od męża śmiertelną chorobą.

Kitty zmarszczyła brwi. Bella miała wrażenie, że przemawia w innym języku, niezrozumiałym dla pokojowki.

- Po ślubie nie będę przecież pracowała, prawda? - mówiła tymczasem dziewczyna. - Nie zarobkowo. No i gdzie mogłabym mieszkać, jak nie z nim?

- Jeśli będzie cię bił, może zechcesz uciec.

- Wątpię, żeby próbował, lecz gdyby tak się stało, kobiety z parafii już by mu pokazały, zaczynając od jego własnej babki. A babcia Rolls to niewiasta o silnym charakterze. Uciekłyby schować się przed nią pod moją spódnicę - odparła Kitty, uśmiechając się szelmowsko.

Bella utkwiała w niej spojrzenie. Kobiety jednoczące się, by przeciwdziałać okrucieństwu mężczyzn. Czy coś takiego było w ogóle możliwe?

- Poza tym kocham Freda, a Annie kocha Zeba. Powiadają, że miłość nie pyta, prawda? Ona mówi. Bella miała ochotę wykrzyknąć, że to szaleństwo, lecz była zbyt oszołomiona.

- Muszę poznać tych młodzieńców - powiedziała, świadoma absurdalności swych słów. Jest starsza od Kitty zaledwie o kilka lat i nie ma obowiązku się nią opiekować, mimo to próbuje ustrzec dziewczynę przed popełnieniem błędu.

Może trzeba będzie długo czekać, nim zakochani uzbierają dość pieniędzy, aby się pobrać.

- Czy Fred i Zeb mają zajęcie?

- O tak, proszę pani! Widzi pani, są kuzynami, a ich ojcowie mają warsztat, gdzie robi się powozy. Będzie należał kiedyś do nich, są więc dobrze sytuowani, a że matka Zeba nie żyje, a Freda jest trochę kaleką po tym, jak w zeszłym roku dopadła ją choroba, potrzebują pomocy w prowadzeniu gospodarstwa.

- Jednym słowem, wszystko, czego chcą, to mieć darmowe służące! Nie rozumiesz tego?

Kitty zachichotała, a potem stłumiła pośpiesznie chichot, przyciskając dłonie do ust. Lecz w jej oczach widać było rozbawienie. Bella poczuła, że się rumieni. Dziewczyna się z niej śmiała!

Kitty spoważniała.

- Bardzo panią przepraszam, ale... - Jej wargi zadrgały znów od powstrzymanego śmiechu - ..czy nie prościej byłoby zatrudnić gospodynię? Oni chcą nas i dlatego znów poruszyli ten temat.

- Znow?

- Fred poprosił mnie o rękę już rok temu, ale nasz ojciec był wtedy chory, musiałyśmy się nim opiekować i nie wiadomo było, jak długo to potrwa. Odmówiłam więc, jakbym wcale go nie chciała. Dlatego potem, kiedy było nam tak ciężko, nie mogłam zwrócić się do niego o pomoc, prawda? Miał mi to bardzo za złe, lecz teraz wszystko sobie wyjaśniliśmy.

Bella westchnęła.

- Nie pochwalam zamążpójścia, Kitty, gdyż widziałam zbyt wiele przykładów tego, jak kobiety cierpią w małżeństwie, ale nie mogę niczego wam zabronić. Lecz proszę, nie śpieszcie się zbyt.

- Och, nie zostawiłybyśmy przecież pani z dnia na dzień bez pomocy, za nic! Proszę się nie obawiać.

Bella uznała, że po tym, co się wydarzyło, dom lady Fowler będzie niczym cicha przystań i pośpiesznie wyszła. Oczywiście, jej nadzieje okazały się złudne, wymówiła się więc o drugiej i uciekła. Kiedy wracała, uświadomiła sobie, że odczuwa silną pokusę, by spotkać się z Orionem po części z powodu rewelacji, które usłyszała od Kitty.

Skoro jej pokojówki mogą spotykać się z mężczyznami, to ona także!

Gdy tylko znalazła się w domu, spytała:

- Wiesz może, Kitty, gdzie mogłabym kupić szybko nową suknię?

- Szybko, *madame*? Chyba jedynie w szmaciarni. To znaczy, w sklepie z używanymi ubraniami. Nie sprzedają tam wyłącznie szmat, po prostu tak się te miejsca nazywają.

- Naprawdę? A skąd biorą towar?

- Głównie od służących, *madame*. Damy często oddają swoim pokojówkom niepotrzebne stroje, a że nie zawsze są dla nich odpowiednie, sprzedają je do sklepu.

- Czy byłam nieuprzejma, nie dając wam niepotrzebnych ubrań? - spytała Bella.

Kitty się uśmiechnęła.

- Nic podobnego. Nie po tym, co zrobiła pani dla mnie i dla Annie.

- Znalazłam dwa skarby, to wszystko. Znasz może taki sklep? Z lepszym towarem?

- Lepszym, proszę pani? A co chciałaby pani kupić? Bella namyślała się przez chwilę.

- Suknię, jaką Kelano mogłaby nosić w dzień. Założyłabym też do niej perukę. Potrafisz tak ją uczesać, by nadawała się pod kapelusz?

- Zapewne, *madame*. - Kitty wydawała się zmartwiona. - Och, w co się pani znowu pakuje, *madame*? Bella uśmiechnęła się przelotnie.

- To tylko następna mała przygoda. - Po czym dodała pospiesznie, nim Kitty zdążyła się odezwać: - Nie będę mogła założyć maski, nie chciałabym jednak, by rozpoznano mnie jako Bellonę Flint albo też Bellę Barstowe. - Odwróciła się i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. - Przyciemnię znowu brwi, by pasowały do włosów, pomaluję też usta i policzki. Myślę, że to wystarczy. Nie mam zbyt wyrazistych rysów. To jak, znajdziesz mi dobrą szmaciarnię? Tylko nie wspominaj o tym pani Gussage, bo będzie się martwić.

- Natarłaby pani uszu, i może powinna. Nie planuje pani nic niebezpiecznego, prawda?

- Nie, nic podobnego. Zgubiłam coś podczas maskarady i chcę to odzyskać.

- Och, proszę pani! Czy to rozsądne? A jeśli zostanie pani rozpoznana?

- Dlatego zamierzam się przebrać - powiedziała Bella stanowczo, spoglądając na pokojówkę. - Powiadom mnie więc, proszę, gdy dowiesz się, gdzie mogłabym kupić nową suknię.

Kitty wybiegła, dając Belli czas, by mogła się zastanowić. Stłumiła głos rozsądku podpowiadający, by zrezygnowała z przygody. Miesiącami żyła jako panna Flint, zadowolona, iż może czuć się bezpiecznie, lecz maskara-

da wszystko zmieniała. Otworzyła drzwi i Bella nie była w stanie zatrzymać się na progu. Kitty wkrótce wróciła, dowiedziawszy się od pokojówki z sąsiedztwa, gdzie znajduje się dobry sklep. Ubrały się i poszły sprawdzić, co mają tam do zaoferowania.

»jS 5jS 3|§

Odszukały Lowell Lane, wąską boczną uliczkę i ruszyły wzdłuż niej, wypatrując pracowni krawieckiej pani Moray. Brzmiało to zdecydowanie lepiej niżli szmaciar-nia, właścicielka była też na tyle sprytna, by dawać za stroje najwyższą cenę, a potem przerabiać je i czyścić. Zorientowały się, że są na miejscu, po szyldzie zawieszonym między pomalowanymi na zielono drzwiami a wąskim, prostokątnym oknem. Za szybą siedziała, szyjąc, kobieta w czepku. Najwidoczniej starała się wykorzystać odrobinę wpadającego przez okno światła.

Kiedy Bella weszła, zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Kobieta wstała, odłożyła szycie i zdjęła okulary. Była w średnim wieku, mocno zbudowana, o bystrym spojrzeniu. Przyjrzała się Belli szacująco, oceniając nudny strój potencjalnej klientki. Dygnęła i zapytała, czym może służyć. Bella przesunęła spojrzeniem wzdłuż długiego, wąskiego pomieszczenia, obramowanego półkami pełnymi ubrań, zalatujących potem i perfumami poprzednich właścicielek. Niemal wyczuwało się tu ich obecność.

Może dlatego czuła się tak skrepowana. Nie kupowała nic modnego od pięciu lat. Wcześniej chadzała do pracowni krawieckiej, gdzie wybierała fason i materiał, a potem wracała jedynie na przymiarki. Teraz nie miała więc pojęcia, jak się zachować.

- Potrzebuję modnej dziennej sukni, *madame*. Co mogłaby pani mi zaproponować?

Kobieta przyjrzała się jej ponownie, a potem powiedziała:

- Proszę za mną. - Podprowadziła Bellę do półek po prawej stronie. - To bardzo ładna suknia, i będzie na panią pasowała.

Zdjęła z półki coś brązowego i rozpostarła na stole pośrodku. Suknia bardzo przypominała tę, którą Bella miała na sobie, chociaż uszyta została z lepszego materiału i miała większy dekolt.

- Przepraszam, pani Moray, nie wyraziłam się jasno. Chcę kupić ładną, modną suknię.

Pani Moray spojrzała na Bellę zaskoczona, lecz potem w jej oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- I powinna pani, *madame*. Przecież jest pani młoda.

- Patrzyła przez chwilę na półki, a potem podeszła do innej i zdjęła kremową suknię w deseń z drobnych, różowych kwiatuszków. Rozłożyła ją na stole. - Wiem, że jak na Londyn, jest dosyć blada, ale to dobra bawełna i da się ją prać. Dotarła do mnie mocno zabrudzona, kazałam ją więc odświeżyć. Bella przyłożyła suknię do torsu, by sprawdzić długość, lecz także po to, aby dyskretnie ją powąchać. Dzięki Bogu, suknia pachniała przyjemnie. Pomacała materiał, jakby chciała sprawdzić jego jakość, a tak naprawdę dlatego, że był tak ładny.

Niebezpiecznie ładny. Co z nią się stanie, jeśli znowu się tak ubierze?

- Będzie pani wyglądała ślicznie - zauważyła Kitty zachęcająco.

Właścicielka podeszła do innej półki i wróciła z ciemnoróżowym płaszczem.

- Niech pani założy do niej to okrycie, a będzie pani wyglądać wspaniale. Najlepiej, jak tylko można.

- Och, to dla pani idealny kolor! - wykrzyknęła Kitty.

- Czy moja pani może przymierzyć suknię? - spytała wyniośle.

Bella skryła uśmiech, jaki wywołało w niej wypowiedziane stanowczym tonem żądanie.

- Oczywiście, proszę za mną.



Przymierzalnia znajdowała się na tyłach domu. Jedyne źródłem światła było tu małe, wysoko umieszczone okno. Bella zdjęła suknię i założyła nową. Była ciut luźna w pasie i przyciasna w biuście, lecz nie na tyle, by miało to znaczenie. Pojawił się jednak inny problem - sięgające talii rozcięcie ukazywało miękki stanik Belli oraz koszulę.

Kitty natychmiast wyszła, domagając się gorsetu i wstawki.

Gorset z drugiej ręki?

Kiedyś miała aż trzy, każdy ręcznej roboty, pokryty ładnym materiałem: dwa haftowanym lnem, a trzeci, wieczorowy, jedwabiem.

Podczas czteroletniej pokuty gorsety ulegały stopniowo zniszczeniu i musiała je naprawiać, zaszywając fiszbiny i dodając nowe wykończenie. Wszystko po to, by przetrwać i nie poddać się ojcu. To, że nie jest w stanie złamać jej ducha bardzo go złościło, podobnie jak odmowa zamaskowania hańby przez zamążpójście.

Jego furia stanowiła nagrodę samą w sobie, rezultatem była jednak bitwa na charaktery pomiędzy dwiema osobami, które nigdy się nie ugną - i, jak sobie to teraz uświadamiała, narodziny nowej Belli, którą nie do końca jeszcze rozumiała.

Kitty wróciła z triumfującą miną.

- Mam je, proszę pani. Teraz będzie pani wyglądać bardziej przyzwoicie.

- Chcesz powiedzieć, że będzie mi mniej wygodnie - burknęła Bella, zdjęła jednak suknię i poddała się nudnym zabiegom sznurowania gorsetu. Musiała przy tym unieść ramiona i stanąć prosto. Czyżbym zaczęła się garbić? - pomyślała.

Kitty przypięła na przodzie kremową wstawkę i Bella włożyła znowu suknię.

***Minęło sporo czasu, odkąd się ostatni raz widziałyśmy, Bello*** - powiedziała w duchu, spoglądając na swoje odbicie w lustrze, upstrzonym przez muchy.

Kitty podała jej ładny płaszcz z kapturem oraz słomkowy kapelusik, przybrany gałązką kwitnącej jabłoni. Pasował tak doskonale, że Bella uznała, iż pani Moray musiała przyszyć ozdobę, gdy mocowały się z gorsetem.

- Tak - powiedziała. - Wygląda doskonale.

Przebrała się we własne ubranie i poszła zapłacić. Suma była tak niska, że omal nie zaprotestowała, nie chciała jednak zwracać na siebie uwagi. Zamiast tego kupiła brązową suknię i jeszcze jedną, w niebiesko-białe paseczki, nawet ich nie mierząc. A także dwie wstawki, kolejny kapelusz, futrzaną mufkę i parę jedwabnych pantofelków. To już był czysty luksus. Jakkolwiek potoczy się bowiem jej życie, wątpiła, by dane jej było tańczyć jeszcze kiedyś w lepszym towarzystwie.

Pani Moray była wyraźnie pod wrażeniem, a Bella uświadomiła sobie, że nie wydała ani pensa na cel dobroczynny. Jakiś czas temu uznała, że robi wystarczająco wiele, pracując dla lady Fowler. Tylko że ostatnio nachodziły ją wątpliwości zarówno co do samej *lady*, jak i jej misji. Nie czuła się z tym zbyt dobrze.

Kiedy wracała, powiedziała do Kitty, by ulżyć nieco swemu sumieniu:

- Ty i Annie musicie odwiedzić któregoś dnia panią Moray i wybrać sobie po sukni.

- Och, panno Barstowe. Dziękuję! Tyle tam było pięknych rzeczy.

Bella uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Uznajmy, że to *in lieu* niepotrzebnych strojów, których ode mnie nie dostałyście.

Kitty odpowiedziała uśmiechem, a potem zapytała: - Co to oznacza „liu”?

- *In lieu*. To po francusku „zamiast”.

- Och. - Powtórzyła bezgłośnie nowe wyrażenie. Bez wątpienia znajdzie wkrótce okazję, aby go użyć, pomyślała Bella. Kitty była bystra i Bella żałowała wielce, że nie udało jej się pobudzić ambicji dziewczyny. Z drugiej strony, co kobiecie po tym, że jest bystra? Kitty będzie

mądrą żoną i matką, i bardzo dobrze, tyle że francuski do niczego się jej nie przyda.

W domu zaczęły wypróbowywać przebranie. Kitty czesała perukę, podczas gdy Bella malowała twarz. Potem przebrała się w nową suknię i przejrzała w lustrze.

Nikt, kto znał Bellę Barstowe przed pięcioma laty teraz by jej nie poznał, ale...

- Czy ktokolwiek mógłby rozpoznać we mnie Bellonę Flint? - spytała.

- Nie wiem, jak byłoby to możliwe. W peruce i z pomalowaną twarzą? Naprawdę, mogłaby pani wejść tak ubrana do domu lady Fowler i żadna z dam by pani nie rozpoznała.

- Doskonale. - Bella zdjęła suknię oraz perukę i podeszła do biurka. Pora wysłać pasterzowi wiadomość.

Lecz kozły są lubieżne, przypomniała sobie. Musi być ostrożna, zwłaszcza wobec kogoś, kto sam nazywa siebie Łowcą Orionem. Oznaczało to, że nie powinna ryzykować dłuższej korespondencji.

Napisała:

***Kelano spotka się z Orionem, aby odzyskać gwiazdy jutro w południe.***

Jeśli chodziła mu po głowie nocna schadzka, to się rozczaruje. Bella nie zamierzała pakować się w niebezpieczeństwo, nawet jeśli nie potrafiła oprzeć się pokusie, żeby zanurzyć w nim czubek stopy.

Była już śmiertelnie zmęczona swym nudnym, rozsądnym stylem życia i bardzo chciała spotkać się jeszcze raz z pasterzem. Droczyć się z nim, flirtować i może nawet, cóż, znowu go pocałować.

Być, jak powinna, młodą, ładną kobietą. Być Bellą.

## Rozdział 9

Następnego dnia zbliżała się do gospody pełna niespokojnych myśli. Była podekscytowana, ale też trochę się bała. Peg odgadła zapewne, na jakież to spotkanie wybiera się jej podopieczna, lecz nawet jeśli tak było, nie zaprotestowała. Zaaprobowałyby wszystko, co odciągnęłoby Bellę od lady Fowler i Bellony. Popierała również w pełni małżeńskie zamysły Annie i Kitty i zaplanowała im już nawet menu na weselne śniadanie.

Bella zatrzymała się przed wąskim, dwupiętrowym budynkiem czując, że opuszcza ją odwaga. Życie znów wymykało jej się spod kontroli, a przyście tutaj mogło sprawy jedynie pogorszyć. Pasterz z pewnością potraktuje to jako zachętę, a może nawet zgodę na romans.

Nie mogła jednak odwrócić się i odejść, gdyż pożerała ją ciekawość.

Zebrała się w sobie i ruszyła stanowczym krokiem ku wejściu, demonstrując pewność siebie, której nie czuła.

Lokal nie był tak duży ani tak zatłoczony jak pobliska gospoda Pod Gwiazdą i Podwiązką, lecz prezentował się całkiem porządnie, a ludzie wchodzący i wychodzący wyglądali na obywateli godnych szacunku. Bella dotknęła twarzy, jakby chciała upewnić się, że przyczerzone brwi, uróżowane usta oraz policzki znajdują się na swoim miejscu, a potem przeszła przez drzwi.

- Przybyłam spotkać się z panem Huntem - powiedziała, próbując zachować zimną krew. Sądząc po spoj-

rzeniu, jakim obrzucił ją służący, uznał zapewne, że ma do czynienia z dziwką. Już miała zaprotestować, ale wołała nie zwracać na siebie uwagi, ruszyła więc pośpiesznie za mężczyzną korytarzem. Zatrzymał się przy drzwiach w głębi i zapukał.

- Wejść - dobiegło ich ze środka.

Służący otworzył drzwi i Bella weszła, czując, jak mocno bije jej serce. Usłyszała, że drzwi się zamykają, nie obejrzała się jednak, ale utkwiała wzrok w mężczyźnie, który na nią czekał.

Lokaj. W liberii, z upudrowanymi włosami. Zamaskowany. Maska była weneckiej roboty, uformowana na kształt głowy zwierzęcia - konkretnie kozła. Zakrywała mu górną część twarzy, lecz nos wystawał, rzucając cień na usta i brodę. Lokaj?

Podobał jej się pomysł, że pasterz nie jest członkiem towarzyskiej elity, ale intruzem jak ona. I dżentelmenem. Schadzka z kimś takim byłaby przygodą. Schadzka z lokajem nuworyszem była po prostu w złym guście.

- Moje gwiazdki - zażądała chłodno.

Wskazał gestem tekturowe pudełko na stole, tuż obok miejsca, gdzie stał.

- Niemy kozioł? - spytała, podchodząc ostrożnie.

- Może po prostu zabrakło mi słów.

Zatrzymała się, oceniając głos. Maska nieco go tłumiała, lecz podczas maskarady nie zauważyła śladu akcentu z niższej klasy społecznej. Zatem nie lokaj.

- Po co to przebranie? - spytała.

- O to samo mógłbym zapytać ciebie.

- Nie jestem przebrana - skłamała, zadowolona, że udało jej się zyskać punkt. Nie zaprzeczył, że tylko udaje lokaja. - Zwykle malujesz się aż tak mocno? - zapytał.

- Makijaż jest modny. Zarówno u kobiet, jak mężczyzn.

- Zwłaszcza u tych, którzy próbują zamaskować oznaki upływającego czasu. Naprawdę jesteś tak stara, Kela-

no? - Gdy nie odpowiedziała, wzruszył ramionami. - Zapewniam, dwór ma swoje wymagania i aby im sprostać, zarówno mężczyźni jak kobiety często noszą maski.

A ty bywasz na dworze, pomyślała. Dawało się to wyczuć w sposobie, w jaki o nim mówił, lecz także, kiedy już o tym pomyślała, w jego postawie. Dobry lokaj musi być wysoki i trzymać się prosto, lecz ten mężczyzna wyróżniał się swobodą, jaką może dać jedynie urodzenie, elegancją, wpajaną od najmłodszych lat.

To zaś czyniło go szczególnie niebezpiecznym. Przybył do gospody w przebraniu, by uwieść młodą, niemądrą dziewczynę.

- Jeśli pan łaskaw, proszę odsunąć się od stołu.

- Dlaczego?

- Ponieważ postąpiłabym bardzo niemądrze, podchodząc do pana tak blisko.

- Zatem dlaczego w ogóle przyszedłeś? - zapytał rozbawiony.

- Aby odzyskać gwiazdki.

- To zwykle błyskotki, niewarte nawet szylinga.

- Może po prostu je lubię.

- Spróbuj innej wymówki.

- Nie muszę niczego próbować - odparła cierpko, a potem odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, chociaż nie przyszło jej to łatwo. - Kelano.

To ją zatrzymało. Odwróciła się.

- Hołubię w sobie nadzieję, że przyszedłeś, by znów się ze mną zobaczyć.

Bella zastanawiała się przez chwilę. To, co powiedział, było prawdą, poza tym coś rzeczywiście przyciągało ich ku sobie. Coś szczególnego.

- Może tak i było - przyznała. - Ale znalazłam nie pasterza, lecz kozła.

- A ja nie nimfę, lecz harpię. Po co ten makijaż?

- Nie mogłam przyjść tutaj, będąc sobą, bo ktoś mógłby mnie rozpoznać.

- Aha, więc jesteś kimś na tyle znanym...
  - Każdy może zostać rozpoznany, choćby przez swojego szewca.
  - Podejrzewam, że szewcy zapamiętują jedynie stopy. Nie zechcesz mi zaufać i nie zdradzisz swego imienia?
  - Nie bardziej niż pan mnie - odparła, lecz miała chęć się uśmiechnąć. Od tak dawna nie toczyła słownej potyczki z inteligentnym mężczyzną!
  - Przyszłaś, żeby spotkać się z Łowcą Orionem.
  - Czyli kimś równie realnym, jak Kelano. Dlaczego zaaranżował pan to spotkanie?
  - Chciałem znów cię zobaczyć, ale mi się nie udało. To nie jesteś ty.
  - Podobnie jak Kelano.
  - Uważam wszakże, iż była tobą w znacznie większym stopniu.
  - A co z panem? - spytała stanowczo. - Kto jest bliższy rzeczywistości, pasterz czy lokaj przebrany za kozła?
- Mimo cienia rzucanego przez kozła pysk spostrzegła, że się uśmiechnął.
- Zapewniam, że pasterz, ale raczej nie mogłem maszerować w takim przebraniu przez Londyn. Teraz musiała już się uśmiechnąć.
  - Po co w ogóle się pan przebierał? - A ty?
  - Już powiedziałam: dama spotyka się sam na sam z dżentelmenem. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, moja reputacja ległaby w gruzach. Czy pańska także, gdyby odkryto, że był pan tu ze mną?
- Wziął do rąk pudełko.
- Zależy, co przez to rozumiesz. Coś takiego mogłoby zrujnować mi życie.
  - W jaki sposób?
  - Jeśli pochodzisz z szanowanej rodziny, zapewne musiałbym się z tobą ożenić.
- To oświadczenie przywołało całą gamę niezwykłych emocji, którym nie miała jednak czasu się przyjrzeć,

pasterz ruszył bowiem ku niej, trzymając w dłoni pudełko.

Porwała je, czując się jak przestraszony ptak chwytający ziarno.

Jej czujność była w pełni usprawiedliwiona. Złapał ją bowiem za lewy nadgarstek i przytrzymał.

Ogarnęło ją uczucie, którego nie była w stanie zdefiniować. Po części było to podniecenie, lecz głównie strach. Odsunęła się.

- Proszę mnie puścić.

- Za chwilę.

Słyszając ton jego głosu, Bella poczuła, jak dreszcz przechodzi przez jej ciało.

- Nie, proszę...

- Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko nagrody. Pocałunek byłby odpowiednią zapłatą za zwrot ozdoby, niestety, maska pozwala mi ucałować jedynie twoją dłoń.

- Głos mu się pogłębił tak bardzo, iż zdawał się wibrować tuż nad skórą Belli, sprawiając, że była bardziej świadoma powietrza, którym oddycha. - Jeśli pozwolisz?

- zapytał niemal szeptem.

Nie czekał na odpowiedź - pamiętała, że poprzednim razem zachował się podobnie - ale zmienił chwyt i uniósł z wolna do ust okrytą rękawiczką dłoń Belli.

Zauważyła, że był to gest pełen wdzięku, a tym samym niebezpieczny niczym świst wyciąganego z pochwy rapiera. Jej pasterz nie był lokajem i na pewno nie wdarł się na Maskaradę Olimpijską podstępem. Był jednym z możliwych. Gdyby wybiegła z tego pokoju, wrzeszcząc, w na wpół rozdartej sukni, sprawę by zatuszowano.

Nie miała rodziny, która mogłaby stanąć w jej obronie. Była na świecie sama i po raz pierwszy w pełni zdała sobie sprawę, jakie to niebezpieczne. Ależ była głupia, przychodząc tutaj!

Spróbowała uwolnić dłoń, ale przytrzymał ją mocno, by wsunąć po chwili pod maskę.

Nie przestawał wpatrywać się w Bellę błyszczącymi oczami.



Rozkoszując się jej strachem?

Zmusiła się, by się odprężyć. A nawet uśmiechnąć.

- O ile wiem, kozły nie jedzą mięsa.

Zdażyła pomyśleć, że jego oczy rzeczywiście się śmieją, a potem poczuła na palcach dotyk zębów.

Poruszyło ją to do głębi, ale i zaniepokoiło.

Tak, uśmiechał się. Wyobraziła sobie jego uśmiechające się usta, czubki jej palców pomiędzy zębami.

Przestał przygryzać palce Belli i przycisnął wargi do grzbietu jej dłoni. Ledwie mogła wyczuć to przez rękawiczkę, a jednak zadrżała w środku, tam gdzie wszystko miała nadal ściśnięte.

I to nie ze strachu. - Chciałabym... - Jak mogło jej się to wyrwać?

- Co takiego, jasna gwiazdo?

- Chciałabym wiedzieć, kim pan jest - odparła tak zwyczajnie, jak tylko była w stanie.

Opuścił jej dłoń, lecz nadal ją trzymał.

- Jeśli ty mi powiesz, to ja powiem tobie.

- Dlaczego to dla pana takie trudne?

- A dla ciebie?

- Dla kobiety wszystko jest trudniejsze. - Oswobodziła dłoń, zakłopotana tym, że nie trzymał jej zbyt mocno. Cofnęła się o krok.

- Może nie wszystko. Kobiety nie muszą na przykład walczyć.

- Ale cierpią, kiedy dostaną się w tryby wojny. Pochylił głowę.

- Żona nie odpowiada za swoje długi. Jesteś mężatką? Pytanie zostało zadane tak od niechcienia, że o mało nie odpowiedziała.

- Czy ma to znaczenie? - spytała.

- Rozgniewany mąż mógłby wyzwąć mnie na pojedynek. Kolejne niebezpieczeństwo.

- Rozgniewany mąż wychłostałby lokaja. Lub zabił go, przy cichej aprobacie towarzystwa.

- Naprawdę jesteśmy tak niecywilizowani?

- Owszem.

- Może masz i rację. Lecz sprytny mąż odczekałby nieco i pozbył się mnie dyskretnie. A potem stłukł niewierną żonę. Jesteś niewierną żoną, Kelano?

Bella zastanawiała się gorączkowo, co odpowiedzieć. Czy jeśli przytaknie, będzie bardziej bezpieczna? A może lepiej przyznać, że nie jest zamężna, bo wtedy będzie się bał, iż może zostać zmuszony, by ją poślubić.

Tylko dlaczego myśl o tym, że miałyby zostać zmuszona do poślubienia tego mężczyzny, wydawała jej się tak nieodparcie pociągająca?

- A co z panem? - spytała ostro, cofając się jeszcze o krok. - Jest pan żonaty?

- Nie, lecz proszę nie myśleć, że brak mi niezbędnych umiejętności.

- Ani przez chwilę tak nie pomyślałam, proszę pana.

- Twarz paliła Bellę tak bardzo, że zaczęła się obawiać, by nie spłynął jej makijaż.

Tymczasem on tylko się uśmiechnął.

- Dziękuję. Składam moje doświadczenie u twoich stóp, gwiazdko. Jeśli nie dziś, to może spotkamy się innego dnia?

- Nie! A już na pewno nie w nocy.

- Słówko ostrzeżenia, słodka nimfo: grzeszyć można nie tylko w nocy.

Bella czuła, że rozszerzają się jej źrenice. Wiedziała, że powinna uciec. Teraz. Mimo to stała niczym wrośnięta w ziemię.

- Spodobałyby ci się moje grzeszne umiejętności, Kelano, zapewniam.

Bella cofnęła się jeszcze o krok i dotknęła czegoś plecami. Miała nadzieję, że są to drzwi.

- Nigdy nie postąpiłabym tak niemądrze - powiedziała, macając w poszukiwaniu klamki.

- A jednak tu jesteś. Naprawdę przyszedłeś jedynie po to, aby odzyskać błyskotki warte kilka pensów?

- Nie odpowiedziała, a on się uśmiechnął. - Jeśli wró-

cisz jutro w południe, będę tu na ciebie czekał. Podobnie jak łożko.

Wskazał rzeczony mebel gestem pięknej dłoni. To, że wydawała się tak silna, zachwiało przekonaniem Belli, iż ma do czynienia z arystokratą, choć wszystko inne wskazywało na bogactwo i wysokie urodzenie...

Pokusa wydawała się nie do odparcia, lecz w końcu strach zwyciężył. Nie odrywając od mężczyzny wzroku, chwyciła klamkę, nacisnęła ją i uciekła.

Pobiegła korytarzem, zwolniła jednak, nim doszła do holu przy wejściu. Gdyby dalej biegła, mogliby oskarżyć ją, że jest złodziejką. Jej serce biegło jednak dalej, choć stopy poruszały się bardziej statecznie. Obejrzała się w obawie, że będzie ją ścigał, korytarz był jednak pusty.

Ruszyła przed siebie, skrywając pośpiech, i wydostała się na Pall Mall, nadal niepewna, czy jest bezpieczna. A jeśli pasterz rozstawił tu swoich ludzi?

Rozejrzała się, wypatrując zasadzki bądź pościgu, a kiedy nikt jej nie zatrzymał, skręciła w boczną uliczkę i zatrzymała się, by nieco ochłonąć.

Uciekła. Mężczyzna nie wiedział, kim jest, a ona me zamierzała tam nazajutrz wracać. Spotykała przed swoim uwięzieniem atrakcyjnych mężczyzn, niektórzy byli wręcz nieodparcie pociągający, lecz nie miała wcześniej do czynienia z kimś takim jak on. Podczas maskarady, podobnie jak przed chwilą, wydawał się absolutnie pewny, że zdoła nagiąć ją do swej woli, oczarować niczym księżę z bajki.

Przyśpieszyła kroku, by jak najszybciej znaleźć się w domu, przeobrazić znowu w Bellonę Flint, której żaden mężczyzna nie próbowałby uwieść i zwabić do przesiąkniętego grzechem łożka. I to w biały dzień! W dłoniach nadal ścisnęła pudełko. Cisnęła pakunek do rynsztoka, a jakiś ulicznik natychmiast porwał go i zniknął w szczelinie muru niczym pajak.

Belli zrobiło się żal dziecka, lecz było ich w stolicy tak wiele... Uświadomiła sobie, że nienawidzi Londynu.

Wszechobecnego brudu, tłoku, przygnębiającej biedy, intryg i polityki...

Jakiś mężczyzna rzucił pod jej adresem sprośną uwagę. Uświadomiła sobie, że znajduje się w okolicy St. James's Street, gdzie panowie mieli swoje kluby. Skręciła znowu, próbując zorientować się, jak trafić do Soho i rozglądając za dorożką albo postojem. Nagle wpadła na idącego z naprzeciwka mężczyznę, a może to on wpadł na nią. Odskokzyła, a i on zdążył pospiesznie się odsunąć, pochyliwszy lekko głowę na znak przeprosin. Bella odpowiedziała skinieniem, a potem utkwiała w modnie odzianym mężczyźnie wzrok.

Znała tę twarz o zgrubiałej cerze, poznaczoną śladami po ospie. - Ty! - wykrzyknęła.

Mężczyzna cofnął się jeszcze bardziej.

- Proszę pani?

Bella otworzyła usta, a potem je zamknęła, niezdolna przemówić. Tego dnia tyle się już wydarzyło, a teraz jeszcze to!

- Ty - powtórzyła z mocą, zniżając głos. - To ty wykradłeś mnie z Carscourt i zawiozłeś do Dover. - Postąpiła o krok w przód i wykrztusiła pytanie, które prześladowało ją od lat. - Dlaczego? Dlaczego? Mężczyzna cofnął się i syknął:

- Nie tak głośno, do cholery!

Bella zatrzymała się, świadoma, że ludzie zaczynają zwracać na nich uwagę. Nie życzyła sobie tego, podobnie jak on, pragnęła jednak odpowiedzi - chciała dowiedzieć się, dlaczego jej życie przybrało tak katastrofalny obrót - i oto nadarzała się okazja, by wreszcie ją uzyskać. Może powinna obawiać się Coxy'ego, tymczasem czuła się jak wilk, który dostrzegł bezbronną ofiarę. Spróbowała nieco się odprężyć, sprawić, by wyglądało na to, że po prostu rozmawiają.

- Co za niespodzianka, znów pana zobaczyć - powiedziała.

On też się odprężył. Zmierzył Bellę pogardliwym spojrzeniem, jakby to on był wilkiem.

- Słyszałem, że uciekłaś od rodziny, panienko Barstowe. Przyznaję, że świadomość, iż ktoś o tym nazwisku upadł tak nisko, sprawia mi przyjemność.

Widać on też uznał ją za dziwkę, lecz ani trochę o to nie dbała.

- Jeśli tak się stało, to wyłącznie przez ciebie, ty nędzny robaku. Powiedz, dlaczego mnie porwałeś.

- Czemu miałbym cię posłuchać? Bella przysunęła się jeszcze bliżej.

\_ Bo jeśli odmówisz, zrobię scenę, jakiej ludzie prędko nie zapomną. Zniszczę cię tak samo skutecznie, jak ty zniszczyłeś mnie.

Teraz dostrzegał już w niej drapieżcę.

\_ Nie ośmieliłabyś... - Mimo to rozejrzał się ukradkiem sprawdzając, kto jest w pobliżu.

\_ Nie? A co mam do stracenia? - spytała Bella.

- Chcesz wiedzieć? - prychnął. - Więc ci powiem, i to z ochotą, ale nie tutaj.

- Jeśli sądzisz, że pójdę z tobą...

- Nie w żadne odosobnione miejsce - wymamrotał, rozglądając się. - Po prostu się przejdźmy. I spróbuj nie wyglądać przy tym jak ostrząca pazury harpia.

Bella roześmiała się szorstko, a potem się odwróciła i ruszyła w dół ulicy, starając się wyglądać normalnie. Serce biło jej w piersi tak mocno i od tak dawna, że aż kręciło jej się w głowie. Za chwilę wszystkiego się dowiem, powtarzała w myślach. Nie naprawi to niczego - coś takiego było już po prostu niemożliwe - lecz będzie wiedziała.

- Twój brat to ukartował, panno Barstowe.

Bella przystanąła i wbiła w mężczyznę gniewny wzrok.

- Nie kłam.

- Przysięgam, że to prawda. To Augustus Barstowe, obecnie sir Augustus Barstowe, podpora społeczeństwa, zniszczył ci życie, panienko.

Bella ruszyła przed siebie, zmagając się z tym, co usłyszała. - Co mój brat mógł mieć wspólnego z kimś takim jak ty?

- Wszystko. Przegrał do mnie mnóstwo pieniędzy w karty. I nie chciał zapłacić.

Bella zmusiła się, żeby iść dalej, zmarszczyła jednak brwi.

- Święty Augustus i hazard? Musisz mnie uważać za kompletną idiotkę.

- Ciebie także oszukał, co? Możesz wierzyć lub nie, jak chcesz.

Dzień obfitował w nadzwyczajne wydarzenia, a to kolejne z nich. Najbardziej zadziwiające było zaś to, iż uwierzyła mężczyźnie, którego tak nienawidziła. Uniosła głowę i spoglądając prosto przed siebie, powiedziała:

- Mów.

## Rozdział 10

Twój brat, panienko, przegrał do mnie pieniądze i nie chciał płacić. Wiesz, że spłaty długów hazardowych nie można wyegzekwować z pomocą prawa?

- Nie wiedziałam.

- Rozumiesz więc, że musiałem przedsięwziąć pewne środki. Zagroziłem, że powiem jego ojcu. To zwykle działa w przypadku młodych mężczyzn. Twój brat upierał się jednak, że nawet jeśli ojciec się dowie o przegranych pieniądzach, odmówi spłaty, poza tym i tak nie byłoby go stać. Podstępny typ z tego twojego braciszka. Stwierdził, że jeśli powiem ojcu, iż uprawia hazard, ten natychmiast cofnie mu pensję, a wtedy na pewno nie zdoła spłacić długu. Nie mówiąc już o tym, że wasz ojciec był sędzią o surowych zasadach i mógłby oskarżyć mnie o zorganizowanie nielegalnej gry. Krótko mówiąc, z zadowolonym uśmiechem oznajmił, że nic nie mogę mu zrobić.

- W to akurat jestem w stanie uwierzyć - powiedziała Bella. - Ale hazard... Nie miałam pojęcia. I nie tylko ja. Czy on nadal gra?

- Jest uzależniony, panienko. A zatem: tak, gra. Unika mnie jednak, a ja jego.

Bella szła dalej, starając się przyswoić nader zaskakujące wiadomości. Augustus zawsze był uosobieniem cnót, ubolewającym nad najdrobniejszą przewiną swych sióstr. Zwłaszcza Belli, ponieważ się go nie bała.

A najwidoczniej powinna była się bać.

Wyobrażenie sobie brata w roli hazardzisty było trudne, a jednak pasowało w jakiś sposób do tego, co o nim wiedziała.

- Ale dlaczego ukaraliście mnie? - spytała.

- To nie była kara, panienko, ale transakcja. Nie jestem człowiekiem, który pozwoliłby tak się traktować, zbadałem więc sprawę i okazało się, że twój brat mówił prawdę. Sir Edwin tak bardzo nienawidził hazardu, że wolałby, by syna uznano za człowieka, który nie płaci długów honorowych, niż dał mi choć pensa.

- Dlaczego nie zniszczyłeś więc Augustusa? - spytała.

- Ponieważ nie odzyskałbym w ten sposób pieniędzy. Sądziłem, że jeśli cię uprowadzę, zdołam powetować sobie stratę. - Musisz być szalony.

- Niegodziwy, panienko, lecz nie szalony. Chyba, że uznasz za szaleństwo fakt, iż założyłem, że każdy rodzic zapłaciłby skromną sumkę sześciuset gwinei, aby odzyskać córkę całą i zdrową.

- Okup - powiedziała z wolna. - Ale jak Augustusowi udało się przegrać taką sumę?

- Bez problemu. Jak powiedziałem, nie jest to kwota wygórowana. Nie przy stoliku do gry.

Bella wiedziała, że to prawda, gdyż długi hazardowe były przyczyną wielu tragedii, o których słyszała, przebywając w otoczeniu lady Fowler. Mężczyźni w jedną noc tracili cały majątek. Zawsze trudno jej było w to uwierzyć, tymczasem najwidoczniej sama stała się ofiarą hazardu.

- Porwaliście mnie dla okupu? Dlaczego więc moja rodzina nic o tym nie wiedziała? Byli przekonani, że uciekłam z mężczyzną i zostałam porzucona.

- Widzisz, popełniłem poważny błąd - odparł Coxy. - Posłużyłem się twoim bratem jako pośrednikiem.

- Augustus wiedział o planie?

- Panienko, on go ułożył. Powiedział nam, gdzie umówić spotkanie. Miał znaleźć list z żądaniem okupu i do-



starczyć go waszemu ojcu. Założyłem, że się postara, ponieważ leżało to w jego interesie. Tymczasem on milczał i wszystko wzięło w łeb.

Bella zatrzymała się i spojrzała na mężczyznę.

- Co powiedziałaś?

Coxy napotkał jej spojrzenie i choć był bezlitosnym łotrem, dostrzegła, że mówi prawdę. Zrozumiała także, dlaczego jej to mówi. Pomimo upływu lat nadal był na Augustusa wściekły.

Poczuła, że w niej też rodzi się gniew. Więcej niż gniew. W środku skręcało ją z odrazy. Przycisnęła dłoń do ust, żeby nie zwymiotować. Uświadomiła sobie, że stoją na cichej uliczce. Dookoła nie było nawet żywej duszy, mimo to się nie bała. Była zbyt zaszokowana i wściekła.

- Wielki Boże, dlaczego? Nie lubiliśmy się z Augustu-sem, ale... jak mógł mnie wydać na pastwę takiego losu?

- Nie wyjaśnił, dlaczego postąpił właśnie tak, panienko Barstowe. Twierdził, że przekazał list ojcu, a ten go podarł. Dlatego zmuszony byłem zmienić plan i ruszyć na południe, by tam cię sprzedać.

Bella odwróciła się doń plecami i utkwiała wzrok w czarnej balustradzie przed domem z cegły.

- Nie potrafię w to uwierzyć. Nikt nie może być aż tak podły. Już prędzej dał list ojcu, a ten odmówił zapłaty okupu.

- Byłby aż tak bez serca? Lecz jeśli nawet, dlaczego traktował cię w okrutny sposób, kiedy wróciłaś?

Bella przełknęła kwaśną kulę, blokującą jej gardło.

- Z poczucia winy?

A jednak w to nie wierzyła. Nie lubiła ojca za jego sztywne zasady i pozbawiony współczucia charakter, nie zrobiłby jednak czegoś w tak oczywisty sposób niegodziwego. Ukaraliby ją za to, że zgodziła się niemądrze na schadzkę, i zrobił, co w jego mocy, by porywaczy powieszono, lecz zapłaciliby okup.

Augustus.

To on pozwolił, aby jej życie legło w gruzach. Wspomniła, jak traktował ją przez wszystkie te lata: jakby był cierpiącym świętym, a ona okropną grzesznicą.

Dowiedziała się, że w jak najgorszym świetle przedstawił jej wyjazd z Carscourt, rozpuszczając w sąsiedztwie pogłoski, że biedna siostra uciekła z mężczyzną. Na samą myśl o tym miała chęć wyrwać z ogrodzenia w pobliskim domu żelazną sztchetę w formie włóczni i wbić mu ją prosto w serce.

Odwróciła się i przyjrzała mężczyźnie u swego boku.

- Mam uwierzyć, że pozwoliłeś, by uszło mu to na sucho i nie odebrałeś swoich pieniędzy?

Uśmiechnął się, odsłaniając złamany ząb.

- Widzę, że mnie rozumiesz, panienko Barstowe. Twój brat zapłacił mi, gdy umarł wasz ojciec.

- Czekaleś aż trzy lata? Choć mogłeś pójść do ojca i wszystko mu opowiedzieć? Oczyszczyć moje imię?

- Twój los ani trochę mnie nie obchodził, wołałem też nie zadzierać z sir Edwinem. Poza tym zostałem ostrzeżony.

- Przez Augustusa?

Coxey skrzywił się z pogardą. No tak, Belli także nie wydawało się to prawdopodobne.

- Przez twojego wybawcę. Kapitan Rose przekazał mi wiadomość, nakazując, żebym zostawił cię w spokoju. Dowiedziałem się, że z nim też lepiej nie zaczynać.

Kapitan Rose. Mglista postać z koszmarów i snów Belli. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w staromodnym surducie, szkarłatnej chustce na szyi, z kolczykiem w formie czaszki. Mężczyzna, w którego dłoniach nóż i pistolet pojawiały się niczym za sprawą magii, potrafiący zastraszyć pięciu portowych rzeźmieszków, nie wspominając już o Coxym.

Zostawiła tamten okres życia dawno za sobą, teraz pomyślała jednak, że to dziwne, iż starał się ją ochronić, chociaż ukradła mu konia. Zastanawiała się przez chwilę, a potem spytała:

- Miałeś coś wspólnego z tym, że bratu złamano rękę? Coxy uśmiechnął się cierpko.

- Muszę dbać o reputację. Odbył pewnej nocy nieprzyjemne spotkanie z kilkoma opryszkami. Bella przypomniała sobie dzień, kiedy Augustus padł ofiarą napaści i stracił sakiewkę. Nie przestawała zapewniać o swej niewinności i odmawiała poślubienia szanownego Thoroughgooda, gdy Augustus wrócił z wyprawy do Londynu z posiniaczoną twarzą i złamaną lewą ręką. Kości nie zrosły się jak należy i jego dłoń przypominała potem nieco ptasie szpony. Od tego czasu odnosił się do niej jeszcze gorzej, skrywając nienawiść za słowami świętoszkowatego oburzenia.

- Po tym wydarzeniu - mówił tymczasem Coxy - me ociągał się dłużej i płacił mi co miesiąc drobną sumkę, a jak już powiedziałem, spłacił resztę wraz z odsetkami, gdy zmarł wasz ojciec. To, że musiałem czekać zaledwie trzy lata stanowiło miłą niespodziankę. Czy stary Edwin naprawdę zmarł z powodu pęknięcia przepukliny?

Bella spojrzała na niego, zaskoczona.

-Myślisz..? .

- Tylko się zastanawiam. Kiedy śmierć przychodzi w tak dogodnym momencie... Przycisnęła dłoń do ust, uświadamiając sobie w pełni grozę tego, co usłyszała.

Augustus był hazardzistą.

Wiedział, że siostra jest niewinna.

I że sam sprowadził na nią nieszczęście. Mimo to był dla niej tak surowy.

Możliwe, że zabił ich ojca. Była to czysta spekulacja, lecz po tym, czego się dowiedziała, raczej uzasadniona.

Kiedy brat odziedziczył majątek, mógł ją uwolnić. Miast tego zaostrzył jeszcze ograniczenia i teraz wiedziała już dlaczego: z czystej złośliwości. Najwidoczniej obarczał ją winą za swój ból i deformację.

Odwróciła się, chcąc zadać kolejne pytanie, ale Coxy zniknął. Zobaczyła, że zatrzymuje się w oddali, aby za-

mienić słówko z innym mężczyzną. Mogła pójść za nim i wywołać scenę, którą mu zagroziła, lecz to nie on był teraz jej najgorszym wrogiem.

Najgorszym wrogiem, odpowiedzialnym za to, co ją spotkało, był jej brat, Augustus.

Ruszyła w kierunku domu, rozważając różne opcje, a potem zatrzymała się nagle zdjęta grozą.

Augustus planował się ożenić, poślubić młodą, słodką, niewinną dziewczynę.

Peg dostawała listy od przyjaciółki z Carscourt, ta zaś rozpisywała się ostatnio na temat tego, że sir Augustus uderzył w konkury do panny Langham z Hobden Hall. Belli od razu się to nie spodobało, lecz tylko dlatego, iż uważała brata za człowieka zimnego, niezdolnego do uczuć. Dla panny byłby to korzystny związek, ponieważ jej ojciec zbił majątek na handlu - chodziło chyba

o import skór - i aspirował dopiero, by wejść do lepszego towarzystwa.

Gdy Bella miała siedemnaście lat, Charlotte była jeszcze uczennicą, uczestniczyła jednak w kilku imprezach towarzyskich, zabrana tam przez rodziców. Wydała się Belli cicha, nieśmiała, potulna i nawet teraz nie mogła mieć więcej jak osiemnaście lat.

Spostrzegła kilka lektyk i przywołała jedną. Wracając do domu w Soho, zastanawiała się, czy Coxy po prostu jej nie okłamał, lecz szczerłość, z jaką mówił o swoich łotrostwach, przekonała ją. Poza tym wersja wydarzeń, którą przedstawił, miała sens. Nawet jej ojciec, surowy

i nieprzejednany w kwestii zasad moralnych, nie zostawiłby córki w rękach złych ludzi po to, by zaoszczędzić sześćset gwinei.

Z drugiej strony, Augustus uciekłby się do najbardziej rozpaczliwych sposobów, byle ukryć swoje przewiny. Gdyby ojciec dowiedział się, że gra, to on, nie Bella, zostałby skazany na pobyt w Carscourt bez grosza przy duszy. Ojciec nie powiedziałby może sąsiadom, za co ukarał dziedzica, domyśliliby się jednak, że musiało to być

coś doprawdy okropnego. Wieści by się rozniosły i Augustus nie mógłby popisywać się dłużej swoją moralną wyższością.

Nie miała pojęcia, dlaczego aż tak mu na tym zależało, lecz był to fakt. Niektórzy potrafili żyć, mając zszarganą reputację - na przykład księżę Ithorne i jego kuzyn, lord Huntersdown. Markiz Rothgar i jego rodzina też nie cieszyli się najlepszą opinią, i nie chodziło tu jedynie o wysoki status. Nie przejmowali się po prostu tym, co myślą osoby stojące w społecznej hierarchii niżej od nich.

Augustus był inny. Bez swej moralnej wyższości czułby się nagi. Po raz pierwszy w życiu doceniła brak hipokryzji notorycznych hulaków. Jej brat, jej nikczemny, podstępny, zakłamany braciszek był o wiele gorszym człowiekiem.

Będzie musiała coś z tym zrobić. Zapobiec mającemu nastąpić małżeństwu, ale nie tylko. Nie wolno dopuścić, by zniszczył w przyszłości życie następnego młodej kobiecie.

Ale jak tego dokonać?

Lektyka zatrzymała się przed domem. Wysiadła, zapłaciła tragarzom i weszła, ignorując pełne niepokoju pytania Kitty.

- Gdzie gwiazdki? - nie rezygnowała pokojówka. Bella wróciła do rzeczywistości. Gwiazdki?

- Och, ta ozdoba. Wyrzuciłam ją. Była zepsuta.

A to z powodu paniki, w jaką wprawiła ją bliskość Oriona.

Łowca Orion, kimkolwiek był, teraz się nie liczył.

- Czy mam spróbować ją odszukać, panienko?

- Co, tę błyskotkę? Nie. Przestań paplać, Kitty. Muszę pomyśleć. Herbata w moim pokoju, natychmiast.

Wbiegła na piętro, zdejmując po drodze kapelusz wraz z przypiętą doń peruką.

Kiedy przejrzała się w lustrze uświadomiła sobie, że Coxy nie miałby szans jej rozpoznać, gdyby go nie zaczepiła. Nie żałowała jednak, że to zrobiła. Poznała wreszcie prawdę.

Nic dziwnego, że spoglądał na nią z pogardą. Makijaż zdążył się już bowiem nieco rozmazać i wyglądał jeszcze bardziej podejrzanie. Chwyciła ręcznik i spróbowała wytrzeć twarz do czysta, rozmyślając przez cały czas o Augustusie.

Zdażyła już nieco ochłonać, mimo to nadal sądziła, że nie potrafi żyć, wiedząc to, co wiedziała, i nic z tym nie robiąc.

Żałowała, że nie ma dość odwagi, aby po prostu go zabić. Tym bardziej, że posiadała pistolet i potrafiła się nim posłużyć.

Kupno broni było jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiła, gdy tylko wyrwała się z Carscourt. Pamiętała uczucie, jakie ogarnęło ją, gdy Pod Czarnym Szczurem kapitan podał jej pistolet. Nie wiedziała wtedy, co z nim zrobić, wydał jej się ciężki i nieporęczny. Mimo to czuła jego siłę.

Widziała, jak bezwzględni, niebezpieczni mężczyźni cofają się, widząc, że jest uzbrojona, i chciała poczuć znowu tę moc.

Wizyta w męskim świecie rusznikarza wymagała odwagi. Prawdopodobnie Bella Barstowe nigdy by się na to nie zdobyła, ale Bellona Flint jak najbardziej. Umówiła się też na prywatne lekcje wczesnym rankiem w miejscu, gdzie mężczyźni ćwiczyli strzelanie. Wraciła tam co tydzień, by oddać kilka strzałów i utrzymywała broń w doskonałym stanie. Nigdy nie będzie już tak bezbronna.

Wątpiła jednak, czy mogłaby zabić kogoś z zimną krwią. Nawet Augustusa.

Zaatakowała ze wzmoczoną energią makijaż, wspomniawszy, co Coxy powiedział jej o kapitanie Rose. Jakież to zadziwiające, że zrobił, co mógł, by ją ochronić.

Wpłynął na życie Belli na wiele różnych sposobów. Po pierwsze, ratując z opresji nieznaną kobietę, a potem pokazując, jaką moc ma rewolwer. Współdziałał z nią w stajni, ufając, że Bella zrobi, co będzie trzeba.

Może, gdyby nie chwile spędzone z nim, nie znalazłaby w sobie siły, aby odrzucić niechciane małżeństwo.

Gdyby nie zasiane wtedy ziarno, nie potrafiłaby zbudować nowego życia.

Gdybyż tylko był teraz tutaj!

Zaśmiała się z samej siebie. Równie dobrze mogłaby zażyczyć sobie obecności Oberona, króla wróżek. Weszła Kitty, niosąc tacę z herbatą.

- Z czego się panienka śmieje? Bella przybrała obojętny wyraz twarzy.

- Nic takiego, Kitty. To malowidło nie chce zejść.

- Potrzebuje panienka ciepłej wody i mydła. Zaraz przyniosę.

Kitty wyszła, a Bella zapatrzyła się na swoje odbicie w lustrze...

Czy Clatterford mógłby jakoś jej pomóc? Wiedziała, że poczulby się równie oburzony, ale czy potrafiliby zaciągnąć brata przed oblicze sprawiedliwości? Nawet gdyby udało jej się odszukać Coxy'ego, na pewno nie zgodziłby się zeznawać w sądzie. A skoro tak, lepiej zatrzymać to, co wie, dla siebie, podejrzewała bowiem, że zanim czyn zostanie dokonany, będzie musiała złamać prawo, i to zapewne nie raz.

Chciała zniszczyć Augustusa tak, jak on zniszczył ją. Wyprostowała się na krześle. Czy tak ma wyglądać jej zemsta? Już samo ujawnienie, że jest hazardzistą, byłoby dla kogoś takiego jak on katastrofą. Nie ugasiłoby to płonącego w niej gniewu, ale zniszczyło reputację Augustusa i ocaliło Charlotte Langham.

Tylko jak tego dokonać?

Gdyby miała dowody, lady Fowler mogłaby opisać łajdackie uczynki Augustusa w swoim biuletynie. A jeśli nie ona, mogłaby to zrobić sama Bella. Potrzebowała jednak dowodu, a nie miała pojęcia, jak go zdobyć.

Gdzie mężczyźni grywają w kości i karty, kryjąc się przed wzrokiem znajomych oraz rodziny?

Żałowała, że nie wycisnęła tych informacji z Coxy'ego. Jak ktoś taki jak ona - młoda, niedoświadczona kobieta - mógł zakraść się w takie miejsce, a potem ujawnić to, co się tam działo?

Wspomniała kapitana Rose. On na pewno nie miałby z tym problemu. Prawdopodobnie sam także grywał i wiedział, gdzie znajdują się jaskinie hazardu. Odrzuciła jednak rodzącą się myśl, nim zdążyła na dobre zadomowić się w jej umyśle. Nie pojedzie przecież do Dover w poszukiwaniu mężczyzny, z którym los zetknął ją na krótko przed czterema laty. Nie może.

Nie była jednak w stanie wymyślić innego planu. Wiedziała, że musi coś przedsięwziąć, bo oszaleje. Gdy tylko pogodziła się z tym, co będzie musiała zrobić, ogarnął ją spokój, przynosząc z sobą pewność, której doświadczyła tylko raz - kiedy postanowiła, że musi uciec za wszelką cenę z tamtego pokoju w Dover.

Instynkt nakazywał jej wówczas, by nie czekała biernie na ratunek i choć bała się zejść po ścianie, przemogła lęk i wydostała się, a potem uciekła.

Dzięki pomocy kapitana Rose.

Nalała sobie jeszcze herbaty i wypila, snując plany.

Musi wyjechać najszybciej, jak to możliwe. Cel, który jej przyświeca, nie pozwala na zwłokę.

Podróż zajmie prawdopodobnie około dwunastu godzin, droga jest jednak dobra, a dyliżanse kursują często - niektóre nawet nocą. Wsiądzie do któregoś i rano będzie na miejscu.

Nagle przypomniała sobie gospodę Pod Kozłem i pasterza. Zjawi się tam jutro przepelniony lubieżnymi nadziejami. Kolejny powód, aby wyjechać z miasta, choć teraz pokusa, którą stanowił, zbladła w porównaniu z pragnieniem, by zniszczyć Augustusa.

Czy jej brat bałamucił niewinne panienki? Pił? Teraz, gdy dowiedziała się o jednym paskudnym nałogu, skłonna była przypisać mu też inne.

Weszła Kitty, niosąc dzbanek z ciepłą wodą.

- Spakuj mnie, Kitty. Wyjeżdżam do Dover. Kitty o mało nie upuściła dzbanka.

- Do Dover, panienko?



- Owszem, i to jak najszybciej. Niech Annie wykupi dla mnie miejsce w najbliższym dylizansie.

- Tylko dla panienki?

Bella została przyłapana, kiedy nie miała się na baczności. Dama zabrałaby w podróż pokojówkę, ona wolała jednak zostawić Kitty. Dziewczyna by się martwiła, a Bella martwiłaby się o nią. Tym bardziej, że przedsięwzięcie mogło się okazać niebezpieczne.

- Tylko dla mnie - odparła stanowczo. - W dylizansie będę absolutnie bezpieczna, a służba w gospodzie zadba o moje potrzeby, jeśli zajdzie taka konieczność. Wiele kobiet podróżuje dziś samotnie.

- Nie damy takie jak pani.

- Moja pozycja nie jest taka znów wysoka.

Jak miała nadzieję, Kitty nie czuła się na tym gruncie wystarczająco pewnie, by się sprzeciwić.

- Umyję twarz, kiedy będziesz pakowała rzeczy. Pojadę jako Bella, nie Bellona. Włożę na podróż którąś z jej sukien, gdyż są praktyczne, zapakuj jednak te, które kupiliśmy u pani Moray.

- I gorset, panienko? - spytała Kitty z nadzieją.

- I gorset - ustąpiła Bella, wzdychając demonstracyjnie.

Należało założyć gorset i modną suknię, ponieważ kapitan Rose będzie spodziewał się kogoś przypominającego młodą damę, którą uratował. Nie żałowała jednak zmiany stylu. Przed kilkoma miesiącami ukryła się, przybierając tożsamość kobiety starszej, o wyglądzie na tyle pospolitym, aby pasował do towarzystwa lady Fowler. Jako Kelano przypominała sobie, jak to jest być sobą, i to zmieniło wszystko. Osobowość Bellony była teraz dla niej jak więzienie, podczas gdy w skórze Belli mogła oddychać pełną piersią.

Uświadomiła sobie coś jeszcze. To Bella, nie Bellona, powinna sprowadzić na Augustusa katastrofę. Augustus.

Przyczyna wszystkich jej kłopotów, człowiek pozbawiony odrobiny wstydu oraz współczucia. Bella Barstowe wysła go do piekła, choćby sama też miała się tam znaleźć.

\*\*\*

Thorn zdjął maskę, gdy tylko tajemnicza Kelano wyszła. Schował ją do walizki, z którą wracał teraz do domu: ot, kolejny lokaj, wypełniający polecenie. W ciemnoniebieskiej liberii ozdobionej srebrnym warkoczem i pudrowanej peruce był w modnym Londynie praktycznie niezauważalny, to zaś stanowiło rzadki luksus.

Czasami przebiera! się za lokaja już choćby po to, aby odpocząć przez kilka godzin od bycia przeklętym księciem Ithorne. Kapitan Rose dostarcza! lepszej okazji do ucieczki, nie posługiwał się jednak tym przebraniem od kilku miesięcy. Nie był w stanie ocenić, jak długo zdoła się wstrzymać. Wypływał w tym czasie na „Czarnym Łabędziu”, lecz jako właściciel i księżę musiał zachować wobec załogi dystans. Nie mógł pić ani uczestniczyć we wspólnych hulankach, jak to czynił, występując w roli kapitana Rose. Bardzo mu tego brakowało.

Przyglądał się, jak grupa wyrostków przebiega ulicą, pochłonięta zabawą, której zasady rozumieli tylko oni. Nie zazdrościł im, żałował jednak, że zbyt szybko przyszło mu zostać księciem.

Nawet Jerzy, król Anglii, poznał, czym są beztrioskie dzieciństwo i wczesna młodość. Thorn nie miał tyle szczęścia. Jego najwcześniejsze wspomnienia dotyczą ludzi, mówiących: „Pora do łóżka, Wasza Miłość”. Albo: „Proszę wypić mleko, Wasza Miłość”.

Wzruszył ramionami. Podobnie jak w przypadku króla, nie było od tego ucieczki. Wyzwolić go mogła jedynie śmierć. Modlił się więc, by w niebie nie było klas ani tytułów.

Na widok dziewczyny o ciemnych włosach, przechodzącej ulicą, raptownie się zatrzymał. Lecz, oczywiście, nie była to Kelano.

Kto wie, dlaczego jedna kobieta jest w stanie obudzić w mężczyźnie natychmiastowe pożądanie, podczas gdy inna - równie piękna i czarująca - pozostanie dlań obojętna? Wiedział tylko, że nie potrafi o Kelano zapomnieć. Teraz nie był nawet pewny, czy miał nadzieję, że schadzka zakończy się w łóżku, albo wyleczy go z niemądrej fascynacji, okazało się jednak, iż żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Opór dziewczyny czynił polowanie tym bardziej interesującym.

Mógł rozstawić wokół gospody swoich ludzi, by za nią poszli, uznał jednak, że albo dziewczyna mu zaufa i wyjawí swoją tożsamość, albo jej urok zblednie w świetle dnia. Teraz zaprzętała mu umysł i wiedział, że tak będzie, póki nie rozwiąże zagadki.

Niemądra młoda kobieta, pakująca się w pułapkę, lecz bystra i obdarzona siłą charakteru ponad swój wiek. Czy wróci jutro? A on? Równie dobrze to ona mogła na niego zastawiać sprytnie zaaranżowaną małżeńską pułapkę. Prawie każdy uczestnik maskarady szybko rozpoznał w pasterzu księcia, a jeśli nawet sam nie rozpoznał, mógł szybko zostać poinformowany.

Rozsądniej byłoby pozwolić dziewczynie się wymknąć.

Wszedł do rezydencji tylnymi drzwiami, jak lokaj powinien i przechodząc porwał z kuchennego stołu kawałek ciasta z dżemem. Kucharz zajmujący się wypiekami krzyknął i pogroził mu pięścią, lecz potem rozpoznał chlebowawcę i potrząsnął jedynie głową.

Thorn ruszył na piętro schodami dla służby i wszedł do luksusowych książęcych apartamentów, gdzie zdjął perukę oraz przebranie i powierzył je Josephowi.

- Dobrze poszło, *sir!* - zapytał lokaj.

- Ani dobrze, ani źle - odparł beztrósko, przeczesując grzebieniem włosy. - Nadal nie mam pojęcia, kim jest dziewczyna.

Joseph podał panu czystą koszulę. Nie mówił dużo, lecz doskonale potrafił słuchać.

- Nie była już tak swobodna i zalotna jak podczas maskarady - powiedział Thorn, zapinając guziki. - Muszę przyznać, że się rozczarowałem.

- Może chciała odzyskać po prostu swoje błyskotki, *sir*. - Joseph podał księciu brązowe bryczesy.

- Są bezwartościowe i właśnie tak je potraktowała. Po namyśle dochodzę jednak do wniosku, że podobało mi się, iż była tak powściągliwa. Czyni to grę zdecydowanie bardziej interesującą.

- Tak bywa - powiedział lokaj. Spojrzał na odbicie Thorna w lustrze i spostrzegł, że księżę się uśmiecha. - Póki gra nie stanie się zbyt niebezpieczna - dodał.

- Niebezpieczne są najciekawsze - zaprotestował Thorn z uśmiechem. - Spróbuję wszakże być grzeczny.

Przywdział zwykłą kamizelkę oraz żakiet i był gotów do pracy.

Gdy wsuwał na palec książęcy pierścień, pomyślał, że właściwie cieszy go, iż Kelano nie jest kobietą łatwą. Kochankę nietrudno było znaleźć. Niewiastę intrygującą i błyskotliwą, znacznie trudniej.

Wróci więc jutro do gospody.

Joseph wyjął miękką, obszytą koronką krawatkę.

- Nie dowiedział się pan, kim ona jest, *sir*?

- Nie. - Thorn zawiązał krawatkę i wpiął w węzeł złotą szpilkę. - Nie było jej na liście, lecz goście przyprowadzają znajomych, którzy przebywają akurat w stolicy, jeśli tylko pozwala na to ich pozycja. Związał włosy zwykłą wstążką, wspomniawszy rozmowę z Kelano na temat makijażu. Jak dobrze, że nie wybieram się w najbliższej przyszłości na dwór, pomyślał. Nie będę musiał nakładać na twarz żadnych mazideł.

- Niektórzy panowie przyprowadzili, oczywiście, damy niskiego pochodzenia, ale trzymali je przy sobie. Przemknęło mi przez myśl, że Kelano mogła należeć do trupy teatralnej, lecz nikt z aktorów jej nie zna.

Przejrzał się w lustrze, by sprawdzić, czy w jego wyglądzie wszystko jest jak należy i skinął z aprobatą głową.

- Ta kobieta to tajemnica, Josephie, i zamierzam nacieszyć się jej rozwiązywaniem, lecz czeka na mnie praca. Pora wrócić do kieratu.

## Rozdział 11

Długa podróż w zatłoczonym powozie zapewniła Belli czas, by mogła spokojnie pomyśleć. Zadawanie się z kapitanem Rose było ryzykowne, wiedziała jednak, że tylko on zdoła jej pomóc. I tak, musiała przyznać, iż trwał w jej pamięci jako bohater ratujący damę z opresji. A na wypadek, gdyby okazało się, że jednak jest łotrem, miała w walizeczce, stojącej teraz u stóp, pistolet.

Pasażerowie nie byli szczególnie rozmowni, wymieniali jednak okazjonalne uwagi, zwłaszcza podczas krótkich postojów w gospodach. Belle zaskoczyło, że w roli skromnie odzianej młodej damy czuje się dziwnie. Chwilami zmieniała się bezwiednie w Bellonę, traktując innych z góry.

Kiedy zapadła ciemność, pogodziła się wreszcie z faktem, że nienawidzi życia w kłamstwie, a zwłaszcza bycia Belloną Flint. Stworzyła ją, a teraz zamierzała unicestwić. Zerwie kontakty z lady Fowler, opuści wynajęty dom i znajdzie nowy. Gdzieś, gdzie będzie mogła być sobą.

Bezsenna noc, spędzona na rozmyślaniach, przywołała jednak wątpliwości. Zaczęła się zastanawiać nad nową tożsamością. Tożsamością osoby bardziej przypominającej prawdziwą Belle, wolnej jednak od lęku i skandalu.

Nie. Zostałaby po prostu wyblakłą, trochę bardziej zamazaną wersją dawnej siebie. Problem polegał na tym, że nie wiedziała już, kim właściwie jest Bella.

Pewną siebie, rozflirtowaną dziewczyną, którą uprowadzono dawno temu z rodzinnego domu?  
A może zamkniętą w sobie osobą, jaką musiała się stać, by przetrwać w Carscourt po powrocie?  
Zgorzkniałą Belloną Flint?

Nie, tylko nie to.

Czy była Kelano z maskarady, głupiutką panną, zdążającą na spotkanie z mężczyzną, o którym wiedziała, że będzie próbował ją uwieść? A może dawną Bellą - tak lekkomyślną, za jaką wszyscy ją uważali?

Widać zdrzemnęła się na chwilę, wciśnięta pomiędzy solidnie zbudowanego mężczyznę i pulchną kobietę, gdyż obudziła się raptownie. Zaraz też napłynęło wspomnienie.

Chłopak stajenny w Koronie i Kotwicy!

Była tak podekscytowana, że zdziwiło ją, iż żaden z pasażerów nie poruszył się zaalarmowany.

Dookoła panował jednak spokój, oparła się więc wygodnie i pograżyła we wspomnieniach.

Kiedy przybyli do Dover, porywacze zdradzili Belli swój plan - zabiorą ją do Paryża i sprzedadzą do burdelu. Zemdląca, a kiedy doszła do siebie, okazało się, że jest zamknięta w pokoju w gospodzie. W końcu musiała przyjąć do wiadomości, że nikt nie pośpieszy jej z pomocą.

Na szczęście to, iż podczas podróży zachowywała się biernie, osłabiło czujność porywaczy. Zamknęli drzwi na klucz, nie pomyśleli jednak o oknie. Choć pokój znajdował się na piętrze, Bella postanowiła spróbować przez nie wyjść, doszła bowiem do wniosku, że jeśli złamie nogę, ktoś z pewnością się nią zajmie, a jeśli się zabije, i tak będzie to lepsze niż los, jaki zamierzali zgotować jej porywacze.

Jedno i drugie zostało jej oszczędzone, a to za sprawą przechodzącego chłopca. Nadszedł alejką, niosąc wiadro, postarała się więc przyciągnąć jego uwagę. Kiedy gapił się na nią z zadartą głową, spytała cicho, czy mógłby znaleźć gdzieś drabinę. Nie zareagował, zdjęła więc z szyi

srebrny krzyżyk na łańcuszku i pomachała nim zachęcająco, obiecując, że odda go chłopcu, jeśli jej pomoże.

- Jesteś księżniczką? - zapytał, wpatrując się w nią. Bella już miała powiedzieć prawdę, uznała jednak, że

lepiej nie rozczarować młodzieńca.

- Tak. Zostałam porwana przez złego potwora, który przybrał postać mężczyzny. Może wrócić w każdej chwili. Proszę, pomóż mi!

Chłopak rzucił wiadro i odbiegł. Po chwili wrócił, taszcząc długą drabinę. Nie wyglądała tak, jak Bella sobie wyobrażała. Była zdecydowanie prymitywna - ot, pal z przybitymi w regularnych odstępach poprzeczkami. Bella była jednak zdesperowana, poza tym co za różnica? I tak nigdy przedtem nie próbowała wejść po drabinie, ani po niej zejść.

Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewała. Nie dałaby rady, gdyby nie to, że alternatywa przedstawiała się zdecydowanie gorzej. Przerzuciła nogi przez parapet, uchwyciwszy się go, jakby od tego zależało jej życie - bo tak zapewne i było. Spódnice zaczepiły o szorstkie drewno. Kiedy już znajdzie się na dole, będzie miała podartą suknię. Tylko tego jej brakowało.

W końcu postawiła stopę na poprzeczce, jednak oderwanie rąk od parapetu i zawierzenie swego bezpieczeństwa nader chwiejnemu urządzeniu wymagało nie lada odwagi. Drabina skrzypiała i kołysała się, kiedy pokonywała jeden wątył szczebel po drugim.

Kiedy znalazła się wreszcie na dole, musiała oprzeć się o ścianę i chwilę odpocząć. Pozbierała się jednak szybko świadoma, że musi odejść jak najdalej od Korony i Kotwicy.

Dała chłopcu obiecany krzyżyk i właśnie to wspomnienie tak nią wstrząsnęło. Martwiła się, że młodzieniec może zostać oskarżony, iż ukradł klejnot, poradziła mu więc, aby na razie go ukrył i obiecała, że wróci pewnego dnia i zamieni krzyżyk na pieniądze. Obiecała i zapomniała.



To, co wydarzyło się później, wymazało z pamięci obietnicę, tymczasem chłopak mógł zostać zesłany do kolonii karnej, a nawet powieszony!

Co z niej za niewdzięcznica! Choć sama miała kłopoty, mogła poprosić lady Raddall, żeby zajęła się sprawą. Zaciągnęła u chłopaka dług i go nie spłaciła, to zaś świadczyło, że jest niemal tak samo zła, jak Augustus.

Jedno było pewne: gdy tylko znajdzie się w Dover, musi odszukać chłopca, i to nim zacznie rozglądać się za kapitanem. Czy poznała wtedy jego imię?

Z początku nic nie przychodziło jej do głowy, lecz potem sobie przypomniała - a może tylko tak się jej wydawało. Młodzieniec miał na imię Billy. Na początek dobre i to. Znajdzie go, bo jeśli nie, będzie to oznaczać, że nie zasługuje na lepszy los.

Zdrzemnęła się ponownie, lecz tylko na chwilę. Swit zastał ją co prawda znużoną, lecz rozbudzoną i gotową snuć dalsze plany. Musiała wymyślić coś, co usprawiedliwiłoby fakt, iż podróżuje samotnie, zatrzymując się na kilka dni w gospodzie.

To nie to samo, co być kimś innym. To był zaledwie środek, wiodący do celu.

Posłuży się własnym nazwiskiem i poda za guwernantkę, oczekującą, aż pracodawcy przyplyną statkiem z Francji. Nudne suknie, które nosiła jako Bellona, uwiarygodnią opowieść, podobnie jak skromniejsza z kupionych w sklepie z używanymi ubraniami. Niestety, o ładniejszej, tej w delikatny deseń, należało na razie zapomnieć. Cóż, zabranie jej było czystą głupotą.

Nim dyliżans zatrzymał się przed gospodą zwaną Statek miała już gotową historię, nie zapomniwała wszakże o tym, iż musi odszukać chłopca, który kiedyś jej pomógł.

Czekała właśnie, aż rozładują bagaże, zamierzając poprosić o pokój w Statku, gdy usłyszała, że inny pasażer rozpytuje o Pod Busolą. Natychmiast zrewidowała swoje plany.

To właśnie do tej gospody kapitan zaprowadził ją po ucieczce z Czarnego Szczura i najwidoczniej bywał tam częstym gościem. Jeśli zatrzyma się właśnie Pod Busolą, będzie miała okazję wypytać o niego nie budząc podejrzeń. Nie spodziewała się zastać kapitana na lądzie, dowodził bowiem statkiem, ale tak było nawet lepiej. Zamierzała dowiedzieć się o nim jak najwięcej, zanim podejmie decyzję, czy w ogóle poprosić go o pomoc. Gospoda Pod Busolą wydawała się idealnym miejscem, by przeprowadzić rozpoznanie.

Jeden ze służących załadował kuferek Belli na wózek i ruszył ulicą. Podążyła za nim, czując, że z niewyspania kręci się jej w głowie. Morskie powietrze, rześkie i chłodne, szybko ją wszakże otrzeźwiło. Poczowała przyływ radości: była znów Bellą Barstowe, niezależną i zdążającą do określonego celu.

Kiedy zbliżyli się Pod Busolę, pewność siebie zaczęła jednak ją opuszczać. Nie przywykła wchodzić sama do gospody. Cóż, Pod Kozłem została wzięta za dziwkę!

Zegar zaczął wybijać godzinę i uświadomiła sobie, że już południe. Czy Łowca Orion czeka na nią w gospodzie? Jak zareaguje, kiedy Kelano się nie zjawi? Powinna żywić nadzieję, że zrezygnuje. Dość głupstw już popełniła. - *Madame!*

Uświadomiła sobie, że mężczyzna z kuferkim dziwnie się jej przygląda. Jakby sądził, iż jest niespełna rozumu. Wyprostowała ramiona i ruszyła w kierunku wejścia. Tym razem nikt nie weźmie jej za prostytutkę, skoro ma na sobie strój Bellony, a włosy związane ciasno i schowane pod czepkiem i kapeluszem.

Rzeczywiście. Dostała pokój bez problemu. Był mały, a okno wychodziło na zaułek z tyłu domu, ale czego mogła oczekiwać guwernantka? Przynajmniej pokojówka przyniosła, jak należało, dzban z gorącą wodą i wydawała się chętna do pomocy.

Bella umyła się i rozpakowała, pozostawiając pistolet w podręcznym kufierku. Pokojówka, powodowana cieka-

wością, mogła zajrzeć któregoś dnia do szuflady. Marzyła o tym, by trochę się przespać, uznała jednak, że trzeba odszukać wpierrw Billy'ego. Wyszła zatem i ruszyła w poszukiwaniu gospody Pod Koroną i Kotwicą. Nie zamierzała wchodzić do środka, gdyż ktoś mógłby rozpoznać w niej dziewczynę, która przybyła tu kiedyś z dwoma mężczyznami. Bóg jeden wie, co sobie wówczas o niej pomyśleli, na pewno nie było to jednak nic pochlebnego. Tak czy inaczej, skoro chciała spotkać się z chłopcem stajennym, najlepiej było wejść na dziedziniec, gdzie zajeżdżały powozy. Zrobiła tak i zagadnęła pracującego tam mężczyznę w średnim wieku.

- Billy Jakes, *madame!* Opuścił nas dwa lata temu, żeby pracować dla sir Muncy'ego Hextona, przy drodze do Litten. Czy on coś przeszkrobał, proszę pani?

- Nic podobnego. Poproszono mnie, bym przekazała mu wiadomość.

- Wiadomość? - powtórzył mężczyzna, w najwyższym stopniu zaskoczony. Na szczęście pod gospodę zajechał właśnie wyładowany bagażami powóz, pospieszył więc ku niemu.

Bella umknęła, zanim ktokolwiek zdążył nabrać podejrzeń. Nie była pewna, o co mogliby ją podejrzewać, ale i tak wolała tego uniknąć.

Przypomniała sobie, którądy uciekała tamtego wieczoru. Podążyła swym śladem sprzed lat i znalazła się przy ruchliwym nabrzeżu. Szła tuż przy budynkach, gdzie było nieco spokojniej, rozglądając się za Czarnym Szczurem. Gospoda jednak zniknęła. Może zdążyła zmienić właściciela i nazywała się teraz Pod Czerwonym Kogutem albo Pod Wesołym Marynarzem, kto wie?

Okolica była równie zaniedbana, jak ją zapamiętała, tylko smród nieco mniej dokuczliwy - może zdążyła rozpędzić go orzeźwiająca morska bryza, której tamtego wieczoru nie było. Pamiętała, że wszystko otulała wówczas wilgotna mgła, przydając otoczeniu zjawiskowego, nierealnego charakteru.

Nie weszłaby do Szczura, gdyby zobaczyła gospodę w dziennym świetle, wiedziała jednak, że porywacze następują jej na pięty, zanurkowała więc do pierwszego miejsca, gdzie, jak sądziła, może się ukryć...

Co za głupota. Z drugiej strony, co innego mogła zrobić?

Odwróciła się plecami do budynków i wspomnień i spojrzała na wypełniające port statki. Czy był wśród nich „Czarny Łabędź”? Miała nadzieję, że nie.

Czy byłby pomalowany na czarno?

Wysiliła wzrok, żeby odczytać nazwy, nie dostrzegła jednak „Czarnego Łabędzia”.

Ruszyła dalej nabrzeżem, a kiedy natknęła się na biuro kapitanatu, weszła i zapytała, czy mają listę statków, znajdujących się obecnie w porcie. Zapracowany urzędnik wskazał jej wiszące na ścianie tablice z wypisanymi nazwami statków. Podeszła i przekonała się, że na jednej umieszczono jednostki, które miały zawinąć wkrótce do portu, na drugiej zaś te, które właśnie go opuszczały.

„Czarnego Łabędzia” wśród nich nie było.

Tym lepiej, pomyślała. Należało dowiedzieć się o kapitanie jak najwięcej, zanim podejmie decyzję. Ponoć zemsta najlepiej smakuje na zimno. W pierwszej chwili, tuż po spotkaniu z Coxym, chętnie przełknęłaby ją na gorąco, teraz zdążyła już jednak nieco ochłonać. Zemści się, lecz nie dopuści, by to ją zniszczyło. A skoro tak, trzeba działać ostrożnie.

Wróciła Pod Busolę ze szczerym zamiarem wyruszenia na poszukiwania Billy'ego, była jednak za bardzo zmęczona. Poszła do swego pokoju i się położyła.

Obudziła się wczesnym rankiem. Było tak wcześnie, że nie próbowała nawet wezwać służącej, choć ogień na kominku wygasł i w pokoju panował chłód. Otuliła się kołdrą i usiadła przy stole, aby poczynić notatki.

Jej pióro zawisło na chwilę nad kartką, kiedy wyobraziła sobie, jak wspaniale byłoby, gdyby Augustus umarł. Martwy nie mógłby już nikogo skrzywdzić.

Niestety, nie potrafiłaby go uśmiercić - z tchórzostwa czy z powodu zasad moralnych, trudno powiedzieć. Cudownie byłoby dowiedzieć się, że skreślił kark, nie byłaby jednak w stanie zepchnąć go z klifu albo zapłacić komuś, by zrobił to za nią.

Drzwi otwarły się i do pokoju zajrzała nędznie odziana służąca. Drgnęła zaskoczona, widząc, że Bella zdążyła już wstać. Wiadro z węglem zadźwięczało.

- Och, przepraszam, panienko! Przyjdę rozpalić później.

- Nie przeszkadzaj sobie - odparła Bella. Dziewczyna podeszła do kominka z pochyloną głową, jakby próbowała schować się pod olbrzymim czepkiem. Kiedy ogień zapłonął, Bella spytała:

- Czy jest za wcześnie na gorącą wodę i śniadanie? Dziewczyna spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

- Powiem im, panienko. Jestem pewna, że nie będzie musiała panienka długo czekać. Pójdę już, panienko.

Wymknęła się z pokoju, wyraźnie nieprzywykła do tego, że gość może być o tak wczesnej porze na nogach. Biedne dziecko, pomyślała Bella, nie ma chyba wiele więcej jak dziesięć lat.

Może należałoby zrobić w przyszłości coś dla tak młodych dziewcząt zmuszanych do ciężkiej pracy. Choć ta uważa prawdopodobnie, iż dopisało jej szczęście, skoro znalazła w ogóle zajęcie.

Spojrzała na czystą kartkę papieru, zawiedziona tym, że nie jest w stanie się skupić. Niektóre damy, związane z lady Fowler, były tak pewne siebie. Sama lady Fowler, siostry Drummond i nawet zgorzkniała Hortensja Spratt. Przynajmniej znalezienie Billy'ego Jakesa nie powinno przysporzyć jej trudności.

Zanurzyła pióro w kałamarzu i napisała: ***Dowiedzieć się, jak daleko stąd do Litten. Wynająć w razie potrzeby powóz.*** To tyle na początek.

Teraz należało pomyśleć o kapitanie Rose.

Zanurzyła znów pióro i napisała: ***Poplotkować o R.***

Dowie się wszystkiego o kapitanie, pozna jego charakter i to, czym się zajmuje, rozpytując ostrożnie służbę.

Zanurzyła pióro po raz trzeci i dopisała: ***Rozkoszować się spokojem i samotnością. Wykorzystać ten czas, żeby się zastanowić.***

Po raz pierwszy w życiu była zupełnie sama. Nie musiała słuchać nikogo, nikim się opiekować. Żadnych nacisków ani zobowiązań. Jeśli ubierze się skromnie, mężczyźni raczej nie będą jej zaczepiać. Może w ogóle nie zwrócą na nią uwagi? W końcu, któż mniej rzuca się w oczy, niżli poważnie ubrana guwernantka?

Co za ulga!

Wodę przyniosła nieco starsza pokojówka. Bella potwierdziła swoją opinię osoby lubiącej plotkować, zachęcając służącą, by z nią pogawędziła. Dowiedziała się, że Louisa pracuje Pod Busołą od pięciu lat. Zaczęła jako młodsza pokojówka, aby po kilku latach awansować. Lubiała swoją pracę.

Jakie to dziwne, pomyśleć, że dziewczyna przebywała w gospodzie już w roku 1760! Czy służba plotkowała o tym, co wydarzyło się wtedy w stajniach? Niebezpiecznie byłoby o to zapytać, dała więc sobie spokój.

Kiedy pokojówka wróciła ze śniadaniem, Bella poprosiła, aby pomogła jej zasnurować gorset, co dało im okazję do dalszej pogawędki.

Czy w Dover dużo się teraz dzieje?

Czy Pod Busołą przebywają szlachetnie urodzeni goście?

Czy na przybrzeżnych wodach spotyka się niebezpiecznych przemytników albo piratów?

Nie wspomniano jednak słówkiem o kapitanie Rose.

Zanim dziewczyna wyszła, Bella spytała ją, jak daleko jest do Litten i jaką przewidywano pogodę.

Trzy mile, zaś dzień zapowiada się pogodny, choć rześki.

Powiedziała, że po śniadaniu będzie potrzebowała jednokonnego powoziku i kiedy zeszła, pojazd już na nią

czekał. Ruszyła w drogę, wyposażona w dokładne instrukcje, jak trafić do domu sir Muncy'ego Hextona, gdzie pracował obecnie Billy Jakes. Trochę się obawiała, że nie potrafi poprowadzić po latach przerwy powozu, koń biegi jednak spokojnie, w równym rytmie, nie wystawiając na próbę umiejętności Belli. Gdy wyjechali za miasto, wyprawa zmieniła się w przyjemną wycieczkę. Było tu zupełnie inaczej niż w Londynie. Natknęła się na kilku zaledwie podróżnych. Życzyli sobie nawzajem miłego dnia i na tym konwersacja się skończyła. Poza nimi widziała jedynie ptaki. Od czasu do czasu przemknęło też jakieś zwierzę.

Na świecie były zatem spokojne miejsca i prości ludzie, wiodący dobre, spokojne życie. Jakże łatwo o tym zapomnieć, przebywając w stolicy...

Kiedy dotarła na miejsce, zrobiło jej się wręcz trochę smutno.

Skromny dwór leżał na skraju wsi Litten Gording, zwrócony frontem ku drodze. Z tyłu wznosił się wysoki mur. Skierowała się tam w poszukiwaniu stajen. Dróżka biegnąca wzdłuż muru skręcała, podobnie jak mur, w lewo. Teraz po prawej miała pełen dojrzałych owoców sad, a za nim pola uprawne.

Przed nią zaś znajdowały się stajnie. Wjechała na dziedziniec, a kiedy podbiegł ku niej młody mężczyzna, spytała:

- Ty jesteś Billy Jakes?

Chłopak wyrósł i zmeźniał, ale to musiał być on. Zerknął czujnie na nieznajomą damę, lecz potem przytaknął.

- Tak, proszę pani. W czym mogę pomóc? Bella wysiadła, nie korzystając z pomocy.

- Zastanawiam się, czy masz jeszcze mój krzyżyk i łańcuszek, Billy. Jeśli nie, nic się nie stało, chciałabym jednak dotrzymać obietnicy i wymienić je na gotówkę.

Przyjrzał się Belli uważniej i na policzki wypłynął mu z wolna rumieniec.

- A więc jest pani bezpieczna. Zawsze się zastanawiałem... I nagadałem pani głupstw o księżniczkach' Tak mam pani krzyżyk. - Wydawał się zakłopotany. - Naprawdę chciałyby pani go odzyskać? Pomyślałem że dam wisiołek Anne. Mamy się pobrać - dodał nieśmiało, ale z tak czarującym uśmiechem, że Bella pozazdrościła jego ukochanej. - Nie zrobiłem tego dotychczas ponieważ jej ojciec zechciałby się dowiedzieć, skąd go wziąłem.

- Wolałbyś zatrzymać wisiołek niż dostać gotówkę?

- Wiem, że to niemądre, proszę pani, ale jest taki śliczny, a ja nadal myślę o pani jako o księżniczce. A teraz Anne jest moją księżniczką. Zasluguje, żeby mieć ładne rzeczy.

Bella poczuła, że jeszcze chwila i się rozplacze.

- Zatem powinna go otrzymać. A gdybym tak porozmawiała z ojcem Anne i wyjaśniła mu, że dostałeś krzyżyk w podziękowaniu za wyświadczoną mi przysługę?

Billy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To byłoby wspaniale, *madame*] A jeśli on uzna że coś jest prawdą, nikt nie poda tego w wątpliwość.

- Powiedz mi zatem, gdzie go znaleźć.

- Nie ma potrzeby, *madame*, bo właśnie tu idzie Sprawdzić, co się dzieje. Jest głównym stajennym, *madame*. Pan Bickleby.

Bella odwróciła się i zobaczyła muskularnego mężczyznę o posiwiałych włosach, z cienkim warkoczykiem łysego na czubku głowy.

- O co chodzi, Billy? - zapytał władczo. - Dlaczego zagadujesz panią?

Bella się uśmiechnęła.

- Proszę nie gniewać się na Billy ego. To ja go zagadnęłam. Prawdę mówiąc, przyjechałam, by z nim pomówić.

Pan Bickleby ściągnął krzaczaste brwi.

- Co nabroił?

- Zachował się jak bohater - odparła Bella stanowczo. Mężczyzna aż się cofnął.



- Co takiego?

- Czy mogłabym porozmawiać z panem na osobności, panie Bickleby, kiedy Billy będzie poił mojego konia?

Mężczyzna obrzucił Bellę podejrzliwym spojrzeniem, a potem wprowadził ją do niewielkiego pomieszczenia.

- O co więc chodzi, proszę pani?

Bella przedstawiła mu skróconą i uproszczoną wersję tego, co jej się przydarzyło.

- Przepraszam, że wracam dopiero teraz, lecz Billy wyświadczył mi wielką przysługę i z radością zostawię mu krzyżyk, by mógł podarować go pańskiej córce.

Mężczyzna skrzywił się nieco, lecz skinął głową.

- Tak, na pewno się jej spodoba. Anne lubi Billy'ego. Oboje są jeszcze młodzi, ale rozsądni, a Billy potrafi pracować. - Może pan opowiedzieć tę historię, jeśli będzie pan musiał, wolałabym jednak, by nie podawał pan mojego nazwiska.

- Proszę się nie martwić, *madame*. Jeśli powiem, że jestem usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Billy'ego, nikt nie będzie się dopytywał. To nie ich sprawa.

- Doskonale. Dziękuję.

Bella odwróciła się, gotowa wyjść, a wtedy mężczyzna powiedział:

- Czy znowu jest pani w tarapatach, *madame*! Odwróciła się i zeszywniała.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie jest pani wiele starsza od Billy'ego i Anne, a przyjechała pani sama. Bella wiedziała, że stajenny chce dobrze, mimo to poczuła się zagrożona. Jakby nastawa! na jej niezależność.

- Nie jestem w tarapatach, panie Bickleby. Dziękuję wszakże za troskę.

- Skoro pani tak twierdzi. Niedobrze jednak być samemu, wszystko jedno, czy jest się mężczyzną czy dziewczyną.

Bella omal nie zaprotestowała, powiedziała jednak tylko:

- Rzeczywiście. Czasami jednak los decyduje za nas. Wydawał się sceptyczny, lecz nie zaproponował.  
Bella

podeszła do miejsca, gdzie Bill poił jej konia.

- Wszystko w porządku - powiedziała.

Twarz chłopca pojaśniała ze szczęścia. Wytarty zwrot, ale dopiero teraz przekonała się, jak trafny.

Czy kiedykolwiek czuła się tak absolutnie szczęśliwa? I czy kiedykolwiek będzie?

Wracała do Dover z oczami zamglonymi od łez. Nim tam dotarła, przekuła smutek w gniew. Gdyby nie Augustus, mogła być już ukochaną żoną porządnego mężczyzny.

Wjechała do miasta o zachodzie, modląc się w duchu, aby kapitan Rose był Pod Busolą. Mogłaby przystąpić od razu do realizowania planu zemsty.

Kiedy Louise przyniosła kolację, zapytała - jak jej się wydawało, od niechcienia - o nowych gości. Tylko dwie rodziny. Oczywiście, kapitan się nie pokazał.

Wypiła zupę i zjadła zapiekany ser, zastanawiając się intensywnie. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o kapitanie Rose i nie miała ochoty wracać do Londynu, gdzie coraz trudniej było jej ukrywać się pod postacią Bellony.

Mogła pozostać w gospodzie przez tydzień, potrzebowała jednak zajęcia. Ucieczka od codzienności była całkiem przyjemna, nie lubiła jednak siedzieć beczynnie. Postanowiła, że kupi trochę batystu i zacznie robić chusteczki. Przydadzą się jako pożegnalne prezenty dla dam z otoczenia lady Fowler.

Nim poszła do łóżka, napisała do Peg, donosząc, że wszystko u niej w porządku, lecz nie spodziewa się wrócić wcześniej niż za tydzień. Następnego ranka ruszyła do sklepów. Kupiła książkę, trochę batystu i nici. Zabrała z Londynu kuferek z przyborami do robótek, a podczas lat spędzonych w Carscourt przekonała się, że obrębianie materiału na chusteczki może działać niezwykle kojąco.

Poza tym, mając zajęcie, mogła przesiadywać w niewielkim saloniku dla gości, znajdującym się za fronto-

wym holem. Ustawiono w nim kilka krzeseł i biurko, przy którym goście mogli pisać listy. Ciepła dostarczał kominek.

Co dzień wykładano tam też gazetę i Bella ją czytała. Pismo było jednak na ogół sprzed dwóch dni, a wiadomości w nim zamieszczane zdawały się pochodzić z innego świata. Starła się unikać tematów, które kiedyś wynotowywała dla lady Fowler. Ten etap życia miała już zdecydowanie za sobą. Mimo to nie mogła się oprzeć, by nie przeczytać artykułu na temat maskarady. Informowano w nim, że lord i lady G-n szczęśliwie się połączyli i wyjechali do majątku rodzinnego w Devon. Bella ucieszyła się ze względu na młodą parę, a także dlatego, że lady Fowler nie spróbowała rozdmuchać czegoś, co było jedynie pomniejszym dramatem.

Pewnego dnia ujrzała w gazecie słowa „Jego Milosc, książę Ithorne”. Pojawiły się w niewielkiej notatce informującej o tym, iż książę uczestniczył w spotkaniu patronów szpitala dla chorych na ospę. Bez wątpienia robił to wyłącznie z poczucia obowiązku, mimo to myślała o nim teraz trochę lepiej. Przez większość czasu siedziała po prostu z robótką, obserwując przychodzących i wychodzących gości, podchwytyjąc urywki rozmów. Polubiła to swoje okno na otaczający ją świat, obfitujący w dramatyczne wydarzenia większej bądź mniejszej wagi - spóźnienie na statek, zgubiony bagaż, a nawet budzące strach przeżycia na morzu. Nikt nie wspomniał jednak o kapitanie Rose.

Trzeciego dnia miała już niewielki stosik gotowych chustek i praca zaczynała ją nudzić. Nagle usłyszała, jak ktoś mówi, kończąc zdanie:

- ..., „Czarnego Łabędzia”. - Zamarła, wyteżając słuch. Ktoś, jak jej się wydawało, właściciel gospody, powiedział jednak tylko:

- Znosi się na deszcz.

Pozbierała szybko robótkę i wyszła z saloniku, jakby zamierzała wrócić do swego pokoju. Niestety, właściciel

gospody był już sam. Mimo to postanowiła wykorzystać okazję.

- Czyżbym słyszała, że ktoś wspomina o czarnym łabędziu? Takie stworzenie w ogóle istnieje?

Właściciel skłonił się z zawodową uprzejmością.

- Nic podobnego, *madame*, ale być może dlatego ludziom tak bardzo podoba się to określenie. Nadali taką nazwę kilku gospodom, a nawet statkowi.

- Statkowi?

- Zapewne więcej niż jednemu, ale mamy tu miejscową wersję. Proszę spojrzeć na tamto malowidło. - Pokazał obrazek na ścianie.

Ściany holu wejściowego pełne były obrazów, przedstawiających statki, lecz Bella nie zwracała na nie dotąd uwagi. Teraz podeszła i obejrzała ten, który wskazywał gospodarz. Lecz dla niej był to po prostu statek.

- Musi być sławny - powiedziała - skoro go namalowano.

Mężczyzna się roześmiał.

- Niespecjalnie, proszę pani, ale gościłem tu jakiś czas temu artystę. Nie miał czym zapłacić, dostarczyłem mu zatem płótno i farby, a on namalował miejscowe statki. Właściciel „Czarnego Łabędzia” proponował mi już kilka razy, że kupi obraz, ale malunek zbyt mi się podoba, bym miał go sprzedać.

- Więc zna pan właściciela? - spytała, starając się sprawić wrażenie, że po prostu tak sobie gawędzi. Lecz serce mocno biło jej w piersi.

- Zatrzymuje się u nas, kiedy jest w mieście. A teraz, jeśli mi pani wybaczy... - Odszedł i zajął się innym gościem, nim Bella zdążyła zapytać o coś więcej.

Postała w holu jeszcze przez chwilę udając, że ogląda obrazy, a tak naprawdę przysłuchując się rozmowie. Nie usłyszała jednak nic ciekawego.

Sfrustrowana niepowodzeniem, przywdziała gruby płaszcz z kapturem i wyszła, by pospacerować w ostrym wietrze, zanim nadejdzie zapowiadany deszcz. Widziała,

że na horyzoncie gromadzą się chmury, a choć nie było jeszcze południa, wyglądało na to, że kiedy już zacznie padać, będzie padało przez cały dzień.

Ruszyła przed siebie, oddalając się od nabrzeża. Budynki stały tu nieco ciasniej, zapewniając lepszą ochronę przed wiatrem. Po jakimś czasie skręciła z głównej ulicy, gdzie znajdowały się sklepy oraz gospody i zagłębiła się w dzielnicę mieszkalną.

Mijała stare domki i nowsze szeregowce i przyglądała się kobietom, zajęтым codziennymi obowiązkami. Zatrzymała się, by popatrzeć, jak kowal uderza w kawałek metalu, zmieniając jego kształt. Opodal mężczyźni układali cegły pod nowy dom.

Wszędzie dookoła toczyło się zwyczajne życie. Czy mogła mieć nadzieję, że i jej dane będzie kiedyś tak żyć? Wyjść za mąż, mieć dzieci, prowadzić dom? Odebrano jej tę nadzieję jednym rzutem kart i nawet zniszczenie reputacji Augustusa nie przywróci jej tego, co bezpowrotnie utraciła.

Kiedy kościelny dzwon wybił dwunastą, zaczęło wreszcie padać. Bella zawróciła, musiała się jednak zatrzymać, ponieważ z kościoła wyszedł na ulicę niewielki orszak ślubny. Goście rzucali ziarnka ryżu na młodą parę. Pomimo deszczu, młodzi śmiali się i spoglądali sobie w oczy, jakby naprawdę widzieli w nich gwiazdy.

Minęli ją, szukając schronienia, by nie przemoczyć najlepszych ubrań, lecz Bella szła wolno, a na jej twarzy łzy mieszały się z deszczem.

W końcu musiała przyznać sama przed sobą, że pragnie - rozpaczliwie - wyjść za mąż.

Dysponując niewielką fortunką nawet ona mogłaby kupić sobie męża, wątpiła jednak, czy byłby wiele wart. Na miłość boską, przetrwała cztery lata cierpień, ponieważ nie chciała poślubić nieodpowiedniego człowieka, a los kobiet zmuszonych szukać schronienia u lady Fowler stanowił nader wymowne świadectwo tego, jak niszcząca potrafi to być instytucja. Nawet Clara Ormond,

choć była w małżeństwie szczęśliwa, została po śmierci męża bez grosza, gdyż nie zatroszczył się, by zabezpieczyć żonę.

Jednak tęsknota pozostała.

Pomyślała o Katie i Annie. Oczy dziewcząt błyszczały tak pięknie... I o Peg z jej słodkimi wspomnieniami. O Billym Jakesie.

Pragnęła domu, dobrego męża i dzieci.

Kiedyś wyobrażała sobie, że będzie mieszkała we dworze, jeśli nie w rezydencji. Teraz wystarczyłby jej skromny dom, gdyby zamieszkał tam z nią oddany towarzysz. Miałaby przytulny salon, gdzie przesiadywałyby, szyjąc, podczas gdy mąż czytałby jej na głos. W tym idealnym domu znajdowałyby się także dzieci, ale w marzeniach widziała je zawsze ułożone w łóżeczkach i śpiące.

Nie było w tym nic szczególnie wspaniałego. Nic, co przyciągałoby ku niej uwagę lub wymagało odwagi. Po prostu komfort, miłość i bezpieczeństwo.

Nagły atak deszczu wyrwał ją raptownie z marzeń.

Cóż, nawet niebiosa płakały nad jej niespełnionymi ambicjami!

Wbiegła do cukierni, by napić się herbaty i przeczekać deszcz, ale przy jednym ze stolików zobaczyła tulącą się do siebie parę.

Odwróciła się na pięcie, wyszła i mimo ulewy ruszyła ku gospodzie Pod Busolą, wdzięczna za deszcz, który ukrywał jej łzy. Kiedy tam dotarła, spojrzała na ociekający wodą szyld. Dlaczego znajdująca się na nim busola nie może jej wskazać, jaką drogą powinna podążać, by dotrzeć do lepszych dni?

Weszła i przystanęła w holu, zastanawiając się, co zrobić z mokrym płaszczem, gdy drzwi gospody się otwarły

i do środka wtargnęła gromada mężczyzn. Hałaśliwych, głośno rozprawiających, śmiejących się, pokrzykujących i otrząsających z deszczu jak psy.

Przywarła plecami do ściany, gdyż zatarasowali jej drogę ku schodom.

- Pounce! Pounce! - zawołał jeden z mężczyzn. - Gdzie jesteś, szubrawcu? „Czarny Łabędź” zawinał do portu i konamy wszyscy z głodu!

Bella przestała zwracać uwagę na to, że znalazła się w niedogodnym położeniu. Odszukała spojrzeniem wołającego mężczyznę. Kapitan Rose?

A potem czarnowłosa, byczkowaty mężczyzna o ogorzałej twarzy zawołał znowu:

- Hej, tam Pod Busołą! Gdzie się wszyscy podzialiście? Dobrzy ludzie czekają, wyschnięci jak... - Zamilkł, dostrzegłszy Bellę. Poczzerwieniał i dokończył: -.. .kij od miotły. .. - Zamilkł. - Chłopcy, miarkujcie się, jest tu dama!

Teraz gapili się na nią już wszyscy. Twardzi mężczyźni wyglądali niczym zakłopotani uczniacy. Bella przyglądała się im, szukając kapitana Rose. Wysoki, ciemnowłosa...

Nadbiegła trójka służących, a za nimi pan Pounce. Załogę wprowadzono pośpiesznie do sali jadalnej, a gospodarz powiedział do Belli:

- Przepraszam, panno Barstowe. Nikt nie chciał pani obrazić. Ależ pani przemokła. Przyślę kogoś, by zabrał do wysuszenia płaszcz. Czy mogę przysłać pani obiad do pokoju?

Bella zerknęła w kierunku jadalni, pełnej mężczyzn z „Czarnego Łabędzia”. Jednak gospodarz nie pozwoliłby jej tam zjeść, poddała się zatem i oddała płaszcz.

- Tak, dziękuję. Domyślam się, że ci marynarze pływają na statku, o którym wcześniej rozmawialiśmy. Na „Czarnym Łabędziu”.

- Rzeczywiście, *madame*. - Odwrócił się i podał płaszcz Belli służącej.

- Czy któryś z nich to kapitan? - spytała śmiało. Gospodarz odwrócił się.

- Kapitan Rose, *madame*? - Najwidoczniej zdziwiło go pytanie Belli, nie wyglądało jednak na to, by coś podejrzewał.

- Słyszałam o nim co nieco. To ten mężczyzna, który tak głośno krzyczy?

Nie sądziła, by to był on, ale po pięciu latach pamięć mogła splatać jej figla.

- Nie, *madame*. To Pudsy Galt, bosman. Zaraz każe przynieść pani posiłek.

Odszedł pospiesznie, a Bella zrozumiała aluzję. Miała pójść do swego pokoju, zostać tam i nie snuć niemądrych, romantycznych marzeń na temat kapitana Rose z „Czarnego Łabędzia”.

Zwlekała przez chwilę, nasłuchując, lecz nie udało jej się usłyszeć nic użytecznego.

Ruszyła zatem na górę, bijąc się z myślami. Kapitan nie przyszedł jeszcze co prawda do gospody, lecz musiał przebywać w Dover. Być może zatrzyma się, jak zwykle, Pod Busolą. To zaś oznacza, że wkrótce nadarzy się okazja, by z nim porozmawiać.

Nagle ugięły się pod nią kolana. Usiadła.

Postanowienie, by spotkać się z kapitanem, to jedno, rzeczywiste spotkanie to coś zupełnie innego, zwłaszcza że dowodził gromadą brudnych, prostackich mężczyzn, którzy bez wątpienia właśnie się upijali.



## Rozdział 12

Uchyliła nieco drzwi i wsłuchiwała się w dochodzące z jadalni hałasy. Zobaczyła Louise z tacą, zamknęła więc pośpiesznie drzwi i usiadła na krześle. Pokojówka weszła, postawiła tacę i zdjęła z niej talerze.

- Przyniosłam karafkę klaretu, z pozdrowieniami od pana Pounce'a. Przeprasza za harmider na dole.

Widać było, że dziewczyna chce jak najszybciej opuścić pokój, Bella spytała jednak:

- Czy ci mężczyźni tu zostają?

- Na szczęście nie, *madame*. Zjedzą i pójdą poszukać innych rozrywek. - Uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach, i Bella nie miała już wątpliwości, o jakie rozrywki tu chodzi. - Zwykle przychodzą Pod Busolę na pierwszy posiłek, gdy zejdą na ląd. Kapitan Rose płaci.

- Musi być szczodry. Dziewczyna uśmiechnęła się szerzej.

- O tak, proszę pani. Zatrzymuje się u nas, kiedy jest w Dover i nigdy nie zapomina o służbie. - Nim Bella zdążyła zadać kolejne pytanie, dodała: - Muszę iść, *madame* - po czym umknęła, zamykając za sobą starannie drzwi.

Po chwili Bella uchyliła je znowu. Miała nadzieję usłyszeć głos, który zapamiętała. Potem usiadła przy stole i zaczęła jeść.

Choć wydawało się to niemożliwe, mężczyźni na dole zaczęli zachowywać się jeszcze głośniejsze, lecz teraz wypo-

wiadane głębokim głosem rubaszne uwagi przerywał od czasu do czasu kobiecy pisk, w którym nie było jednak za grosz strachu. Ciekawe, czy Louise też jest w jadalni, pomyślała.

Wiedziała, że powinna czuć się zde gustowana, tymczasem była, niestety, po części zazdrosna. Nie chciała być, oczywiście, służącą, narażoną na niewybredne zaczepki, tęskniła jednak za odrobiną wesołości i... tak, towarzystwem doceniających jej wdzięki mężczyzn.

Klaret bardzo się więc przydał.

Nagle usłyszała, że ktoś na dole wola:

- Kapitan! Kapitan! - Mężczyźni zaczęli postukiwać kuflami w stoły.

- Dobrze was traktują, chłopcy? - zawołał nowy głos. - Tak!

- Dajcie mi więc dzban piwa i pulchną dziewczkę! Muszę nadrobić zaległości!

Z dołu napłynął tubalny śmiech, zalewając pokój Belli niczym fala przyływu.

Siedziała nieruchomo, otwarta szeroko oczy. To był kapitan Rose?

Nie pamiętała jego głosu, a to, co mówił, pasowało jeszcze mniej. Dzban piwa i pulchna dziewczka?

Chociaż kłóciło się to z jej wspomnieniami, pasowało jednak doskonale do tego, jakim człowiekiem musiał być kapitan. Najwidoczniej utkała ze wspomnień całkowicie fałszywy obraz.

Napełniła kieliszek i upiła solidny łyk wina.

Ten kapitan Rose prawdopodobnie chętniej pomógłby jej w nielegalnym przedsięwzięciu, nie sądziła jednak, by można było mu ufać. Dziwne, gdyż nadal była przekonana, że mężczyzna, którego poznała w roku 1760, był absolutnie godny zaufania.

Spojrzała z pochmurną miną na pusty kieliszek. To było głupie, gdyż jednak mu nie zaufała. Ukradła konia i odjechała sama - co było już dostatecznie przerażające - ponieważ nie była pewna jego intencji.

I najwidoczniej postąpiła słusznie.

Przybycie dowódcy nie sprawiło bowiem, iż marynarze się uspokoili. Jeśli już, to zabawa jeszcze się rozkręciła. Wkrótce śpiewali popularną na nabrzeżu piosenkę, tupiąc i wybijając kuflami rytm.

Przewodził im mocny baryton, który musiał należeć do kapitana. Bella wiedziała, iż powinna się cieszyć, że nie jest w stanie rozróżnić słów.

Kieliszek miała znów pełny, upiła więc trochę, próbując oswoić się z rzeczywistością.

Nic dziwnego, że uznała kiedyś Rose'a za wybawcę, a potem marzyła o nim jako o mężczyźnie, który przybywa na rumaku szlachetnej krwi, by wyrwać ją z więzienia i uwolnić od cierpień.

Teraz wyglądało na to, że będzie miała do czynienia z kimś zdecydowanie bardziej zwyczajnym - nieokrzesanym wilkiem morskim, który lubi piwo i dziewczki, lecz jest też szczodry wobec swoich ludzi oraz służących i o którym ludzie dobrze się wypowiadają.

Nie wymyśliła sobie niczego, co zaszło tamtego dnia Pod Czarnym Szczurem. Widząc damę w opałach, zareagował natychmiast i wykazał się wielką odwagą, a samo jego imię wzbudziło w portowych opryszkach strach.

Potrafił działać i nie bał się niebezpieczeństw, a potrzebowała właśnie kogoś takiego. Chyba.

Pomyśli o tym przez noc. Zawsze nocował Pod Busolą, porozmawia z nim więc jutro. Sięgnęła po karafkę i zorientowała się, że jest pusta. Nic dziwnego, że czuje się trochę dziwnie.

Wstała, chwiejąc się z lekka, i poszła zamknąć drzwi. Pod słuchując, niczego się już nie dowie.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie usiąść z książką przy kominku, w końcu podeszła jednak do łóżka i się położyła.

O Boże! Nie zamknęła drzwi na klucz, by Louise mogła wrócić po naczynia, lecz jeśli jest zajęta na dole...

Naprawdę powinna je zamknąć, nim zaśnie.

A także wstać, rozebrać się i umyć - lecz tak przyjemnie było po prostu sobie leżeć...

Nie była pewna, ile czasu upłynęło, nim usłyszała na korytarzu kroki. Nie ostrożny trucht służącej, ale pewne, męskie stąpanie. Zmusiła się, by usiąść. Co sobie myślała, zostawiając otwarte drzwi w gospodzie, pełnej pijanych zbójów?

Zdażyła już niemal wstać, gdy usłyszała, że kroki się oddalają. Po chwili drzwi na prawo od jej pokoju głośno trzasnęły.

Czy był to kapitan Rose?

Siedziała, spoglądając w prawo, jakby chciała przebić wzrokiem ścianę. Jeśli to był on, z pewnością zostanie do rana. Lecz potem usłyszała inne kroki, lżejsze. Drzwi otworzyły się i ktoś powiedział:

- ... pański wierzchowiec, kapitanie...

Wierzchowiec? Czyżby oznaczało to, że kapitan wychodzi?

Wstała, zataczając się z lekka. Jeśli kapitan zamierza wyjechać, ma oto jedyną szansę, by spotkać się z nim, porozmawiać i go ocenić.

Gdyby tylko starczyło jej odwagi.

Kroki minęły drzwi pokoju Belli. Służący odchodził.

Z bijącym mocno sercem przejrzała się w lustrze. W ustach jej wyschło. Kilka pasm wymknęło się spod czepka. Poprawiła je i spróbowała wygładzić brązową suknię. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jaka jest nudna i brzydka.

-I bardzo dobrze - wymamrotała do swego odbicia. - Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła, jest spodobanie się marynarzowi, który dopiero co zszedł na brzeg.

Na samą myśl o tym znowu się zawahała. Po chwili wyprostowała jednak ramiona, włożyła buty, uchyliła drzwi i wyjrzała. Korytarz był pusty, a na parterze panowała cisza. Załoga opuściła widać gospodę w poszukiwaniu wiadomych rozrywek.

Ciekawe, dlaczego kapitan z nimi nie poszedł, pomyślała. A jeśli sprowadził sobie „rozrywkę” do pokoju? Wydawało jej się, że słyszy kroki jednej osoby, lecz damskie pantofelki nie czynią wiele hałasu.

A może po prostu ją niósł...

Z jakiegoś dziwnego powodu ta myśl wzbudziła w niej znów idiotyczną tęsknotę...

Jeśli jest u niego kobieta, powinna usłyszeć coś przez drzwi. Rozmowę, śmiech, cokolwiek.

Zamknęła drzwi swego pokoju i przekradła się do sąsiedniego. Z wnętrza nie dobiegał najlżejszy dźwięk, uznała zatem, że kapitan zajmuje następny. Rzeczywiście, gdy przyłożyła ucho do drzwi, usłyszała stłumione przekleństwo.

Głos był męski i zdecydowanie szorstki.

Pozostała przy drzwiach jeszcze przez chwilę, lecz usłyszała jedynie stukot.

Zebrała się na odwagę i zapukała. Było to bardzo ciche pukanie. Zapewne w ogóle go nie usłyszał.

Zapukała głośniejsze.

- Wejdz, do diabła!

Boże, obudzi cały dom i znajdą ją w jego pokoju!

Otworzyła drzwi, wsunęła się do środka, zamknęła je i stanęła twarzą w twarz z kapitanem.

Zaczerpnęła gwałtownie oddechu. Kapitan był nagi do pasa. Miał gołą pierś i nogi poniżej kolan.

Zamrugał, jakby próbował skupić wzrok.

- Kim ty, u diabła, jesteś? Zwilżyła wargi.

- Bella Barstowe.

Zamrugał znowu, a potem zmarszczył brwi.

- Posłałem po ciebie?

Nie poznał jej, ale co w tym dziwnego? Nie była pewna, czy sama by go poznała, gdyby nie kolczyk w kształcie czaszki, zwieszający się z ucha. To musiał być on: wysoki, długie do ramion, ciemne włosy, szczecina - tym razem bardziej przypominająca brodę. Na łóżku leżało,

porzucone tam niedbale, kilka sztuk odzieży: koszula, czarna kamizelka, żakiet i krwiście czerwony krawat.

Pierś miał o wiele szerszą, niż się spodziewała, ale co ona wie o męskiej piersi?

- Cóż? - burknął, pochmurniejac.

- Nie, proszę pana, nie posłał pan po mnie. Chciałam z panem porozmawiać.

- To nieodpowiedni moment, panno Barstowe. - Odwrócił się do umywalki, wziął ręcznik, namydlił go i zaczął się myć.

Bella przypatrywała się temu z otwartymi ustami. Zamierzała tak pokierować rozmową, by mogła przekonać się, jakim człowiekiem jest kapitan. Teraz nie musiała już tego robić. Jego zachowanie mówiło samo za siebie. Był prostakiem. I gburem.

Jako taki lepiej nadawałby się do tego, by pomóc jej w zniszczeniu reputacji brata, tylko że...

- Jestem Persefona - wyrzuciła z siebie. Odwrócił się i spojrzał na nią, wycierając ręcznikiem muskularną pierś. Bella podążyła spojrzeniem za jego dłonią i spostrzegła na prawym ramieniu mężczyzny tatuaż. Przedstawiał czarnego łabędzia.

- Persefona... i co dalej? Zmusiła się, by podnieść wzrok.

Oczy miał brązowe, ale przed laty, w półmroku, nie udało jej się ich zobaczyć.

Może zachowuje się inaczej, ponieważ wtedy był trzeźwy, a teraz jest... może nie pijany, ale z pewnością mocno zawiany. Wskazywała na to jego mowa.

- Ukradłam pańskiego konia - podsunęła. Zamrugał znowu, a potem przyjrzał się Belli uważniej.

- Ach, to! Przyszłaś, by mi za niego zapłacić?

- Co takiego? Nie. To znaczy, tak. Chciałam powiedzieć... Czy mógłby pan coś na siebie włożyć?

- Mam już coś na sobie - powiedział, uśmiechając się ledwie dostrzegalnie - a ty wtargnęłaś tu nieproszona. - Chwycił jednak koszulę i wciągnął ją przez głowę.

- A teraz, panno Barstowe, złodziejko koni, powiedz mi, po co przysłaś?

Bella zrobiła, co mogła, by zapanować nad emocjami.

- Możemy porozmawiać później, gdy będzie się pan... lepiej czuł. Przyszłam, gdyż bałam się, że opuści pan gospodę, nim będę miała okazję spotkać się z panem. Potrzebuję pańskiej pomocy. - Nie zrobiło to na nim wrażenia, dodała więc: - A raczej, chciałabym pana zatrudnić.

- Chodzi o interesy, tak? - powiedział, zdecydowanie bardziej zainteresowany. - Mogę dać ci, panienko, kilka minut. - Wskazał gestem krzesło. - Proszę usiąść.

Bella przycupnęła na twardym krześle, mając nadzieję, że jeszcze chwila, a poczuje się pewniej. Kapitan usiadł naprzeciw, wyciągnąwszy przed siebie nogi. Długie, nagie od kolan i porośnięte czarnymi włosami.

Wcale nie czuła się pewniej, a pomysł, by się do niego zwrócić nagle wydał się jej szalony. Wstała, gotowa natychmiast wyjść, lecz on powiedział:

- Jeśli mamy rozmawiać o interesach, powinniśmy rozwiązać wpierw sprawę długu. Koń?

- Został zwrócony. Nie jestem panu nic winna.

- A jeśli go nie dostałem?

Przyjrzała mu się uważnie. Droczył się z nią, ale czy kłamał?

- Nie dostał pan konia? Zorganizowałam to tak, by zostawiono zwierzę w gospodzie w pobliżu Maidstone i wysłano wiadomość Pod Busolę.

- Może osoba, której pani zaufała, zatrzymała wierzchowca dla siebie.

Bella najchętniej by czymś rzuciła. Na przykład o ścianę. Czy nic nie pójdzie dziś jak należy?

Zostawiła konia w gospodzie, ponieważ nie chciała przyjechać do domu szwagra na skradzionym wierzchowcu. Podczas długiej, powolnej jazdy wymyśliła, co powie rodzinie: uciekła wcześniej, tuż za Londynem i przejechała krótki dystans, dzielący ją od domu siostry na wozie.

Kiedy została z Atheną sam na sam, wyznała siostrze prawdę i poprosiła, aby wysłano do gospody gwineę jako zapłatę za miejsce w stajni oraz powiadomienie kapitana, gdzie znajduje się jego koń. Athena obiecała, że tak zrobi, lecz bała się postąpić wbrew woli męża. Zapewne poszła wprost do niego. A sir Watson Ashton na pewno by nie zapłacił, zwłaszcza po tym, jak został okłamany. Athena ledwie zdołała ubłagać go, by przyjął Belle pod swój dach.

- Ile wart był ten koń? - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Trudno powiedzieć po tak długim czasie... Zwlekał, aby zatrzymać ją u siebie. Ruszyła ku drzwiom.

- Zostawię pana teraz, by mógł pan... - Machnęła lekko dłonią w kierunku umywalni. - Wystawi mi pan rachunek później.

- Nie tak szybko. - Wyminął ją błyskawicznie i stanął przed drzwiami, blokując przejście.

Cofnęła się, przyciskając dłoń do serca.

- Będę krzyczeć.

- A jeśli ktoś się zjawi, co mu powiesz?

- Proszę mnie przepuścić.

Oparł się o drzwi i założył dłonie na piersi.

- Przyszłaś, by mnie zatrudnić. W jakim charakterze? Zaciśnęła wargi.

- Kochanka? Cofnęła się gwałtownie.

- W żadnym razie!

Uśmiechnął się i przesunął po niej spojrzeniem.

- Szkoda.

To śmieszne, ale pomimo iż była zła i przerażona, sprawiło jej to przyjemność. Czyżby aż tak brakowało jej męskiego uznania? Najwidoczniej.

- Po co więc przyszłaś? - zapytał tak stanowczo, iż natychmiast zorientowała się, że będzie musiała podać mu jakieś wyjaśnienie, i to takie, w które mógłby uwierzyć. Desperacja sprawiła, że zebrała się w sobie i powiedziała:



- Ja... natknęłam się na jednego z mężczyzn, którzy mnie uprowadzili.
- Mów dalej.
- Powiedział, że zagroził mu pan zemstą, jeśli ośmieli się w przyszłości mnie niepokoić. Byłam wdzięczna. Dlatego pomyślałam o koniu. I o tym, że nie mam pewności, czy zdołał go pan odzyskać. Przyjechałam zatem, by się przekonać.
- A do czego chciałaś mnie zatrudnić? Ależ jest uparty, pomyślała.
- Zmieniłam zdanie.
- Wreszcie jakaś rozsądna decyzja. Przyjechałaś sama? Ile ty właściwie masz lat?
- To nie pański interes. Proszę zejść mi z drogi. Lecz kapitan przechylił tylko w bok głowę.
- Persefona została uprowadzona do podziemnego świata. Uciekła, ale musiała wracać tam na sześć miesięcy w roku. Czy Dover to twój podziemny świat? A ja mam być Plutonem? - Uśmiechnął się z widocznym sarkazmem. - Te opowieści o bogach i boginiach... Nazywają je klasycznymi, tymczasem bez przerwy ktoś się tam przebiera lub zmienia postać, a wszystko po to, żeby bezkarnie broić. - A potem dodał, porzucając żartobliwy ton. - Co skłoniło cię, żebyś tu przyjechała? Masz coś w zanadrzu?

Bella wstrzymała oddech. Sądził, że w jakiś sposób mu zagraża. Nic dziwnego, skoro był, przynajmniej do pewnego stopnia, przemytnikiem.

- Zapewniam, że nie zamierzam panu szkodzić, kapitanie.
- Mimo to może się tak stać.

Zacząła się zastanawiać, czy naprawdę coś jej grozi. I czy kapitan może po prostu ją zamordować, jeśli uzna, że naprawdę mu zagraża. Słyszała okropne historie o tym, jak bezwzględni bywają przemytnicy, a rubinowe oczy w czaszce, zwisającej z ucha mężczyzny, połyskiwały złowieszczo w świetle lampy.

Kapitan wyprostował się jednak i odsunął od drzwi.

- Nie mam teraz czasu. Wrócę za dwa, trzy dni. Jeśli to, po co przyjechałaś, naprawdę jest dla ciebie ważne, bądź tutaj, a wtedy porozmawiamy. Może pójdzie nam lepiej, kiedy oboje będziemy trzeźwi. Bella zaczerwieniła się ze wstydu. Czyżby jej stan był aż tak widoczny? Przede wszystkim należało jednak stąd wyjść. Podeszła do drzwi, nie spuszczać z kapitana wzroku i starając się trzymać jak najdalej od niego

- Będziesz tutaj? - zapytał.

Uchyliła drzwi, napotkała spojrzenie jego oczu i powiedziała:

- Nie wiem.

Skinał głową, jakby uznał, że przynajmniej to ma sens.

- Jestem zmienny jak morze, panno Barstowe, czasami gwałtowny, czasami spokojny i uładowany. Lecz jedno mogę ci obiecać: jeżeli nie spróbujesz zaszkodzić mnie albo temu, co moje, będziesz przy mnie bezpieczna

Bella wpatrywała się w niego. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, mówił szczerze. Lecz kiedy zaczął zdejmować znowu koszulę, otworzyła pośpiesznie drzwi i umknęła do swego pokoju. Ledwie znalazła się w środku, zarygłowała drzwi i oparła się o nie z bijącym mocno sercem.

Powinna wrócić natychmiast do Londynu i zapomnieć o kapitanie. Nie był rycerskim wybawcą, jakiego stworzyła w wyobraźni.

Nie była też całkiem pewna, jakie kierują nią pobudki.

\*\*\*

Thorn złamał pieczęć w kształcie łabędzia i przeczytał wiadomość od Caleba.

***A to ci historia. Jakaś kobieta wparowała nocą do mojego pokoju Pod Busolą i przedstawiła się jako Persefona. Wydawała się na wpół pijana i niecałkiem zdrowa na umyśle. Nie zamierzałem wdawać się z nią***

*w rozmowę, zwłaszcza gdy oznajmiła, że nie chce iść ze mną do łóżka, lecz powiedziała, że ukradła mojego konia. Przypomniałem sobie, co mi kiedyś opowiadała i zrobiłem się ciekawy. Pozwoliłem jej mówić, ale nie dowiedziałem się wiele. Przyszła, bo czegoś chciała. Wspomniała, że chce mnie zatrudnić. Może wpadła znów w tarapaty. Powiedziała, że jest panną Barstowe. Uznałem w końcu, że sam powinieneś się tym zająć. Poinformowałem dziewczynę, że muszę wyjechać na kilka dni - co było prawdą, gdyż czekała na mnie pewna dziewczka - i że jeśli chce porozmawiać ze mną o czymś ważnym, musi poczekać, aż wrócę. To powinno dać ci czas, byś mógł tu dotrzeć, jeśli będziesz zainteresowany. Zniknę na jakiś czas i się przyczaję, ale jeśli dasz mi znać, wrócę i ją odstraszę.*

*Caleb*

Thorn odłożył list i się zamyślił.

*- Miauuu.*

Spojrzał na kotkę w koszyku i uwieszona u jej sutków dwa kocięta. Wydawało się, że nie przestają ssać ani na chwilę.

- Masz bez wątpienia rację, Tabitho, wiesz jednak, że nie mogę tego zignorować.

*-Niee?*

- Obchodzi cię tylko, co stałoby się z tobą i twoim potomstwem, gdybym niespodziewanie zszedł. Pamiętaj, że jesteś kotem Christiana.

Tabitha prychnęła, a Thorn się roześmiał. Christian i jego żona znaleźli kotkę podczas jednej z awanturnicznych wypraw, ale Tabitha jakoś nie polubiła nowego pana. Właśnie dlatego Christian poprosił Thorną, by zajął się przez jakiś czas zwierzęciem, dodając tajemniczo:

- Ona nie będzie ze mną rozmawiać.

Co dziwne, gdy tylko wyszedł, kot zaczął wydawać te niesamowite, przypominające mowę dźwięki. Nie miały

oczywiście, sensu kotka sprawiała jednak wrażenie jakby rozpoznawała imię Christiana.

- Doskonale - zauważył Thorn - jesteś kotem Caro. Una i Christian są wreszcie razem, będziesz więc musiała nauczyć się go tolerować.

Kot wyciągnął łapę i zatrzasnął pokrywkę koszyka na znak absolutnej dezaprobaty. Sugerowałyby to jednak ze zwierzę zna angielski, co było przecież niemożliwe ' Intrygujące stworzenie. Należała do dziwnej rasy hodowanej głównie na wyspie Man i zwanej z tego powodu Manx. Koty te miały bardzo krótki ogon, albo nie miały go wcale, a także wielki zad i wysokie tylne łapy. Wyglądały trochę jak króliki, co prowadziło do przypuszczeń ze stanowią krzyżówkę obu tych gatunków. Zdaniem Thorna, jeśli była to prawda, wyspę Man musiały zamieszkiwać nader dziwaczne koty oraz króliki

Na użytek jednej ze swoich wypraw Christian i Caro wymyślili opowieść o tym, że kot pochodzi z Hesji gdzie używa się go do polowań na szczególnie dzikie i niebezpieczne króliki. Bajka o pół-kocie, pół-króliku z Hesji była bardzo zabawna, Thorn chętnie poznałby jednak prawdę. Zaprosił więc kilku uczonych, by obejrzeni kotkę. Natychmiast rozgorzał pomiędzy nimi spor Zdecydowano, iż trzeba znaleźć innych przedstawicieli tego gatunku i rozpoczęto intensywne poszukiwania. ^

Thorn umieścił kocich gości w prywatnym gabinecie gdzie zamieszkali w wyściełonym aksamitem koszyku i wyznaczył do zajmowania się nimi młodzieńckiego służącego. Powodziło im się doskonale, mimo to Tabby jak Caro nazwała kotkę, ciągle wynajdywała powody, aby się skarżyć. Nauczyła się zatrzaskiwać wieko koszyka, lecz kiedy Thorn spróbował zamknąć ją w nim na jakiś czas aby uniemożliwić wędrowki po domu, urządziła iście piekielną awanturę, czemu towarzyszyły wrzaski, przypominające przekleństwa, jakich nie powstydziliby się najniższej rangi marynarz.

Thorn pogodził się z myślą, iż został pokonany przez istotę płci żeńskiej i postanowił uznać, że go to bawi. Nadał kotce bardziej szlachetne imię Tabitha i wyznaczył rolę miejscowej wyroczni. W końcu przepowiednie wyroczni też trudno było zinterpretować.

- Jechać czy nie jechać, oto jest pytanie - zadeklamował, zwracając się do zamkniętego koszyka. - Jak myślisz, czy Szekspir wiedział, jak stosownie zabrzmiały te słowa, i to kilkaset lat po jego śmierci?

Pokrywka uniosła się nieco, ale Tabitha się nie wypowiedziała.

- Barstowe. Znamy jakichś Barstowe'ów?

- *Nnniiieeu.*

- Rzeczywiście, jak też tak myślę. Falszywe nazwisko? Ale czego mogłaby chcieć po tylu latach?

Tabitha wstała i pokrywa kosza odskoczyła. Jedno z kociąt wygramoliło się z koszyka. Tabitha chwyciła je zębami za kark i wrzuciła do środka. Thorn wiedział z doświadczenia, że coś takiego może ciągnąć się godzinami. Tylko dwa kocięta Tabithy przeżyły. Jedno było takie jak matka, a drugie zwyczajne. Zafascynowało to naukowców. Normalny kociak był ciekawski i ruchliwy, podczas gdy drugi bojaźliwy. Thorn nie wiedział, czy z punktu widzenia nauki ma to znaczenie.

Kiedy Christian wcisnął mu zwierzęta, maleństwa nie miały jeszcze imion, więc im je nadał.

Normalnego kociaka nazwał Sabie, był bowiem czarny niczym sadza. Szary manx, krąglutki i nieśmiały, otrzymał imię po królu: Georgie.

Tabitha chwyciła znowu kociaka, po czym ziewnęła.

- Wyczerpanie czy nuda, proszę pani? Powinienem sprowadzić tu myszy? Albo króliki?

- *Jeeszczeee czeeego!*

Stosowna odpowiedź na prywatny żart.

- Przepraszam, oczywiście, że nie. Powiedz mi jednak, co sądzisz: czy panna Barstowe dowiedziała się, że kapitan Rose bywa od czasu do czasu księciem Ithorne i po-

stanowiła zmusić go do małżeństwa z powodu tego, co wydarzyło się przed czterema laty?

Kot wydał dźwięk, przypominający do złudzenia pogardliwe prychnięcie.

- Dlaczego nagle miałyby sobie o mnie przypomnieć? Nie wiem, co o tym myśleć.

- *Ou-uer-oe.*

- Ach, oczywiście, dziękuję. - Sięgnął po znajdujący się na biurku dzwonek, walcząc z niedorzecznym przekonaniem, że kot rozumie, co się do niego mówi. Ta sekwencja dźwięków następowała bowiem jedynie wtedy, gdy rozsądnie byłoby wezwać na pomoc sekretarza. Może powinien przeprowadzić kilka eksperymentów? Wszedł lokaj.

- Sprowadź tu, proszę, Overstone'a.

Kiedy przysadzisty młody człowiek wszedł do gabinetu, Thorn powiedział:

- Barstowe. Dama pomiędzy dwudziestym a dwudziestym trzecim rokiem życia.

- Mogę się wywieść, *sir*.

Sabie znów wymknął się z koszyka. Tabitha schwytała malca i wskoczyła z nim na biurko. Z powodu silnych tylnych nóg nie sprawiło jej to kłopotu. Położyła kociaka na blacie, po czym zeskoczyła i udała się na spacer.

- Pan niania? - powiedział Thorn z niedowierzaniem. Jego sekretarz wydał z siebie odgłos, podejrzanie przypominający zduszony śmiech. - Przesadzasz, *madame*. - Mimo to uratował małego łowcę przygód przed spotkaniem z kałamarzem. A może odwrotnie?

Sabie natychmiast zabrał się do badania dłoni, która go więziła, wbijając w nią ostre niczym szpilki pazurki. Thorn uświadomił sobie, że się uśmiecha. - Podoba mi się, że masz w sobie bojowego ducha, mały.

Odprawił machnięciem dłoni Overstone'a i jął kontynuować eksperyment. Georgie wygląda! jak zwykle nieśmiało z koszyka, pomiaukując i bojąc się wyjść.

- Dlaczego nie przyniesiesz mi też drugiego dziecka? - zapytał Tabithę.

Kotka wydała z siebie niemożliwy do odcyfrowania dźwięk, lecz nie zrobiła tego, o co ją poproszono.

- Nic mi to nie mówi - zauważył. Sabie rozpoczął tymczasem wyprawę odkrywczą w górę jego rękawa.

Zrobiło mu się żal drugiego kociaka, podszedł więc do koszyka i wyjął malca. Georgie zamiauczał.

Tabitha odwróciła się, ale nie zaprotestowała. Patrzyła jedynie na Thorną zwięzonymi w szparki oczami.

- Twoja matka też sądzi, że powinieneś być odważniejszy - powiedział, wracając do biurka. Postawił kotka na blacie.

Tabitha natychmiast wskoczyła na mebel.

- Zastanawiam się, czy ludzkie dzieci też są tak skomplikowane - powiedział Thorn. - Wasza dwójka przypomina Christiana i mnie z dzieciństwa. Nim z nami zamieszkał, nie byłem co prawda bojaźliwy, jedynie... ostrożny. Naprawdę powinnaś się do niego przekonać. To dobry człowiek. Lepszy niż ja, bo prostolinijny.

Położył przed Georgiem gęsie pióro, a kociak trącił je z wahaniem łapką. Sabie zbiegł po ramieniu Thorną i skoczył na pióro jak na małego drapieżcę przystało. Lecz Georgie nie zamierza! ustąpić.

- Godne podziwu - pochwali! go Thorn. - Nie pozwól temu gałganowi się zastraszyć. - Ponieważ kociaki tarzały się już po blacie, splecione w walce czy też zabawie, rada była cokolwiek spóźniona.

Tabitha westchnęła, po czym wyłowiła jednego potomka - jak się okazało, był to Sabie - i zaniósła go do koszyka.

- To na nic. Wygramoli się stamtąd w sekundę - zauważył Thorn. Tabitha odwróciła się jednak, syknęła ostrzegawczo i niesforny Sabie schował się głębiej do kosza.

- Dyscyplina. Doskonale. Jeśli znajdę kiedykolwiek odpowiednią kandydatkę na żonę, zatrudnię cię jako

nianię i guwernantkę. A teraz: co zrobiliby z Bellą Barstowe Christian?

Tabitha nie mogła odpowiedzieć, trzymała bowiem właśnie w pyszczku Georgiego, spojrzała jednak na Thorna znacząco.

- Rzeczywiście. Pognałby na łeb na szyję, by się wszystkiego dowiedzieć. Zawsze tak robił. I spójrz tylko, do czego to doprowadziło. - Tabitha układała właśnie Georgiego w koszyku, ale Thorn nie potrzebował jej rady. - Z drugiej strony jednak zdobył kobietę, którą kocha.

**-A tyyy?**

- Oczywiście, że nie. Bella Barstowe? Muszę jednak poznać zakończenie tej historii.

**-Akuuuuaat!**

- **Cóż**, przyznaję, że mam wielką ochotę uciec na kilka dni z Londynu. Dlaczego nie? Nie ma tu nic ważnego do załatwienia, a choć zabroniłem sobie wypływać, mogę spędzić przynajmniej trochę czasu jako kapitan Rose.

Wezwał Josepha i polecił mu, by spakował rzeczy, których będzie potrzebował występując w roli kapitana, a potem sprawdził co bardziej osobiste zobowiązania, by się przekonać, czy nic nie zostanie przeoczone. Napisał krótkie listy do Christiana w Devon oraz Robina w Huntingdonshire. Robin zmusił go kiedyś, aby obiecał, że powiadomi go za każdym razem, gdy będzie przebierał się za kapitana. A kiedy zapytał, dlaczego to takie ważne, kuzyn odparł:

- Żebym nie musiał się o ciebie martwić.

- Nie lepiej byłoby nie wiedzieć?

- Wtedy martwiłbym się przez cały czas.

Tyle osób się o niego martwiło... Ich troska mocno mu ciążyła.

Wrócił Overstone z arkuszem notatek.

- Jest kilka rodzin o nazwisku Barstowe: w hrabstwach Oksfordshire, Shropshire, Hampshire i Lincolnshire albo na ich obrzeżach. Potrzebuję więcej czasu, aby się czegoś o nich dowiedzieć.



- Nie rób takiej zbolalej miny. Nie oczekiwałem, że będziesz wszytkowiedzący.
  - Dziękuję, *sir* - odparł sekretarz. Wyglądał wszakże tak, jakby czuł się urażony tym, iż Thorn niewiele się po nim spodziewa.
  - Jadę do Ithorne. Niech powóz będzie gotowy za godzinę. Wyślij też natychmiast stajennego do gospody Pod Czarnym Łabędziem w Stowting. Zawiezie list.
- Sekretarz wyglądał, jakby nagle wyrósł mu wrzód i to w szczególnie wrażliwym miejscu. Wiedział, że skoro księżę wysyła wiadomość do Stowting, prawdopodobnie zamierza znowu stać się kapitanem Rose. Tabitha widać także zdawała sobie z tego sprawę, syknęła bowiem z dezaprobatą.
- Thorn pisał szybko. Nim skończył, Overstone był już gotów zapieczętować list woskiem. Thorn przycisnął do niego swoją pieczęć - nie książęcą, ale tę z wyobrażeniem czarnego łabędzia.
- Proszę pana...
  - Jeśli jest coś, czym powinienem w najbliższych dniach się zająć, masz godzinę, aby mnie o tym poinformować.
  - Doskonale, proszę pana.
  - Nie wypływam tym razem na morze - dodał po chwili niechętnie.
- Overstone nie powiedział co prawda „Bogu dzięki”, lecz wyraz jego twarzy jasno wskazywał, co czuje. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego księżę odczuwa od czasu do czasu potrzebę zmiany trybu życia, zwłaszcza na mniej wygodny, a bywa, że i niebezpieczny.
- Thorn natomiast czuł się znakomicie. Krew kipiała mu w żyłach z podekscytowania. Nie chciałby być kapitanem Rose przez cały czas, jednak przygody, jakich doświadczał w tym wcieleniu dawały mu poczucie wolności, które wielce sobie cenił.
- Niech Bóg błogosławi pannę Barstowe - powiedział do Tabithy - nieważne: poluje na męża, czy też nie.

Przejrzał kilka dokumentów, a potem był już gotowy. Czując się trochę głupio, powiedział „do widzenia” kociemu. Tabitha obdarzyła go gniewnym spojrzeniem i zatrzasnęła pokrywkę koszyka.

- Poleciałem, by zajmowano się wami bardzo troskliwie - zaprotestował.

Kotka wydała dźwięk, który brzmiał niczym ponura przepowiednia, okraszona przekleństwem.

## Rozdział 13

Następnego ranka Bella nie czuła się zbyt dobrze. Nawet gdyby postanowiła wrócić natychmiast do Londynu, i tak nie byłaby w stanie znieść tego dnia trudów podróży. Wkrótce przekonała też samą siebie, że kapitan Rose nie był wcale taki okropny i że postąpi rozsądnie, zostając w gospodzie jeszcze przez kilka dni, by porozmawiać z nim, kiedy wróci.

Tym razem spotkanie odbędzie się jednak w miejscu bezpieczniejszym niż sypialnia. W saloniku na dole. Tak, tam będzie bezpieczna.

Poczyniwszy plany, uznała, iż dobrze byłoby dowiedzieć się o kapitana jak najwięcej. Poprosiła zatem Louise, aby pomogła jej umyć włosy. Nie można było rozmawiać z głową zwieszoną nad miską, lecz kiedy usiadła, a pokojówka wzięła do rąk grzebień i zaczęła rozczesywać splątane pasma, Bella powiedziała jak gdyby nigdy nic:

- Natknęłam się wczoraj wieczorem w korytarzu na kapitana Rose. Bardzo przystojny mężczyzna.
- To prawda, proszę pani. - Bella spojrzała na odbicie dziewczyny w lustrze i zobaczyła na twarzy Louise szelmowski uśmiech.
- Obawiam się jednak, że to zły człowiek - westchnęła.
- To prawda, *madame* - przytaknęła Louise, lecz potem dodała: - Nie, nie zły. Ale śmiały, i wie, jak postawić na swoim.

- Mieszka w Dover, gdy nie jest na morzu?
- O kilka mil w głębi lądu.
- Jest żonaty?
- O, nie!
- Wielu kapitanów się żeni?
- Całkiem sporo, proszę pani.
- To chyba dziwne uczucie być żoną człowieka, który spędza aż tyle czasu z dala od domu.
- Dla niektórych żon to prawdziwe błogosławieństwo. Może usiadłaby pani bliżej ognia? Włosy szybciej wyschną.

Bella zmieniła miejsce, w duchu zgadzając się z tym, co pokojówka mówiła o mężach. Lady Fowler z pewnością wolałaby, aby mąż trzymał się od niej z daleka.

- Przypuszczam, że kapitan wypływał na morze już jako chłopiec - powiedziała, unosząc włosy, by ciepło dotarło do skóry.
- Ma pani śliczny kolor włosów, *madame*. Pięknie błyszczą w świetle płomieni.
- Mam nadzieję, że nie zajmą się ogniem - zaśmiała się Bella.
- Nie ma obawy, *madame*. - Louise odeszła, aby posprzątać w pokoju, a Bella jęła zastanawiać się gorączkowo, jak wrócić do tematu i uzyskać odpowiedź na zadane pytanie. Po chwili dziewczyna powiedziała jednak, nieindagowana: - Kapitan Rose przybył do Dover przed ośmioma laty, chociaż urodził się w Kent. Widzi pani, wychował się w Ameryce, lecz wrócił do rodzinnej wioski swej matki i wkrótce potem został kapitanem statku księcia Ithorne. - Bella wzdrygnęła się tak mocno, że dziewczyna podbiegła zaniepokojona. - Oparzyła się pani?
- Nie, nie. Ja tylko... Książę. Coś podobnego. Jak do tego doszło?  
I jak mogło wpłynąć na jej plany? Powiązanie z londyńskim życiem Belli nie wróżyło najlepiej.

Spostrzegła, że Louise marszczy brwi, jakby zastanawiała się, ile może ujawnić.

- Powiedz mi - zażądała.

- Przypuszczam, że w okolicy wszyscy o tym wiedzą i mam nadzieję, że nie będzie pani zaszokowana. Widzi pani, kapitan jest nieprawym bratem księcia. Są tak do siebie podobni, że nie da się zaprzeczyć pokrewieństwu. Pewnie dlatego chłopaka odesłano wraz z matką do Ameryki. Potem któryś z przyjaciół księcia natknął się tam na Caleba - tak ma na imię kapitan - i rzucające się w oczy podobieństwo skłoniło go, by przyjrzał się bliżej młodemu marynarzowi.

- Zupełnie jak w jakiejś sztuce - zauważyła z podziwem Bella. - Co się wydarzyło?

- Księżę mógłby poczuć się dotknięty tego typu skandalem, lecz wcale tak nie było. Kiedy kapitan Rose... cóż, nie był wtedy jeszcze kapitanem... powiedział, że chciałby wrócić do rodzinnej wioski, Jego Miłość nie wyraził obiekcji. A kiedy dowiedział się, że brat jest marynarzem i dosłużył się stopnia bosmana na statku handlowym, wyszkolił go na kapitana „Czarnego Łabędzia”.

- To bardzo wspaniałomyślne z jego strony.

- Rzeczywiście, proszę pani, lecz księżę jest sierotą, więc pewnie ucieszył się, że ma brata, choćby i z nieprawego łoża. - Zabrała mokry ręcznik i wiadro z brudną wodą. - Powinnam sprawdzić, czy nie jestem potrzebna gdzie indziej, proszę pani.

- Tak, oczywiście, dziękuję.

Ledwie zauważyła, że pokojówka wyszła, tak bardzo zaabsorbowały ją uzyskane informacje. Kapitan Rose był przyrodnim bratem księcia Ithorne, na dodatek bliźniaczko do niego podobnym!

Widziała księcia tylko z odległości. Z pewnością miał ciemne włosy i był podobnego wzrostu, ale poza tym bardzo się różnili. Jeden elegancki, wyniosły i niemal lśniący-

cy. Drugi przystojny, lecz mocniej zbudowany. Bardziej pospolity.

Co miał jednak oznaczać ten absurdalny zbieg okoliczności? Czy w jakiś sposób jej zagrażał?

Czesząc włosy, doszła do wniosku, że tak naprawdę wcale nie był to zbieg okoliczności.

Rodowa siedziba Ithorne'ow znajdowała się w Kent, zaledwie o dziesięć mil od wybrzeża. Skoro ojciec obecnego księcia spłodził bękarta, zapewne matką była miejscowa kobieta. Jeśli pominąć okres spędzony w Ameryce - a wysłanie tam chłopca miało, zdaniem Belli, sens - dlaczego przyrodni brat księcia nie miałby przy płynąć do Devon, a księżę zatrudnić go na swoim statku? Czy to, że księżę posiadał statek, było czymś niezwykłym? Nie wiedziała.

Zbieg okoliczności sprowadzał się zatem do tego, iż natknęła się na kapitana Rose w Dover w roku 1760, a w cztery lata później wśliznęła się nieproszona do londyńskiej rezydencji księcia. Te dwa odrębne wydarzenia zdawało się coś łączyć, jak wtedy, kiedy spotyka się obcą osobę, a podczas rozmowy okazuje się, że macie wspólnego znajomego.

Czy powinno to wpłynąć na jej plany?

Nie. Wstała i przeniosła się na krzesło przy lustrze. Nawet jeśli kapitan Rose informuje regularnie swego szlachetnie urodzonego patrona o wszystkim, co dzieje się w jego życiu, nazwisko Belli Barstowe nic księciu nie powie.

\*\*\*

Następne dwa dni minęły bez większych wydarzeń i Bella miała aż nadto czasu, aby bić się z myślami. W jednej chwili była zdecydowana zostać i porozmawiać z kapitanem, w następnej postanawiała wsiąść do powozu, wrócić do Londynu i o nim zapomnieć. Nadal trawiła ją jednak żądza zemsty, a nie miała pojęcia, jak mogłaby sama jej dopełnić.

Chociaż kapitan wydał jej się człowiekiem dosyć nieokrzesanym, na pewno z chęcią przyczyni się do ukazania świata, jak nędznym robakiem jest w rzeczywistości sir Augustus.

Dokupiła materiału oraz nici i obrębiła jeszcze kilka chusteczek.

Siedziała właśnie w pokoju, rozmyślając bez entuzjazmu o kolejnych, spędzonych na czekaniu godzinach, gdy weszła Louise. Powiedziała, że kapitan Rose jest na dole i życzy sobie rozmawiać z panną Barstowe. Dziewczyna była bardzo zaciekawiona i Bella obawiała się, że uwagi pokojówki nie uszło, iż panna Barstowe spłonęła rumieńcem. Nie wiedziała, jak wyjaśnić zainteresowanie kapitana swoją osobą, nic zatem nie powiedziała.

- Za chwilę zejść, Louise - odparła tylko. A kiedy dziewczyna wyszła, podbiegła czym prędzej do lustra. Tym razem musi być schludna, czysta i absolutnie trzeźwa.

Chodzi po prostu o interesy. I nic poza tym.

Zaczerpnęła głęboko oddechu, aby się uspokoić i wyszła z pokoju. Kiedy dotarła do zakrętu schodów i zobaczyła kapitana, zatrzymała się, zaskoczona. Nie wiedziała tylko, skąd bierze się to uczucie.

Stal zwrócony do niej plecami, ubrany w charakterystycznym dla siebie, staromodnym stylu, tylko że tym razem miał też na sobie wysokie buty do konnej jazdy. Na ogół wolała nowocześniejszy surdut z połami skrojonymi blisko przy ciele, lecz na nim luźniejszy strój wydawał się niemal elegancki.

Elegancki?

To słowo nie pasowało do mężczyzny, z którym spotkała się przed kilkoma dniami. Oczywiście, był wtedy na wpół nagi i pijany.

Odwrócił się i zobaczyła jego twarz.

Ruszyła dalej schodami, modląc się w duchu, by jej serce zwolniło bieg. Prosiła, błagała o to spotkanie, więc teraz, gdy już tu był, powinna lepiej nad sobą panować.

W holu dygnęła i powiedziała chłodno:

- Zatem jest pan tu znowu, kapitanie. Skłonił się równie elegancko.

- Jak pani widzi, panno Barstowe.

- Pańska nieobecność nie trwała długo.

- To niegrzeczne, kazać damie czekać.

Podczas tej niezobowiązującej wymiany zdań Bella czuła się tak, jakby rozmawiała z innym mężczyzną - bardziej powściągliwym i groźnym. Czy alkohol może aż tak zmienić człowieka?

- Mamy dziś ładny dzień - powiedział. - Może się przejdziemy?

Bella się zawahała. Zamierzała wprowadzić go do saloniku, lecz teraz uświadomiła sobie, że czułaby się tam bezpieczna jedynie wtedy, gdyby zostawili otwarte drzwi. Tymczasem byłoby lepiej, gdyby treść ich rozmowy nie dotarła do niepowołanych uszu.

Przebywanie z nim w zamkniętym pomieszczeniu zakrawałoby zaś na głupotę, zwłaszcza po ostatnim spotkaniu.

Kapitan spoglądał na nią wyczekująco, uniósłszy brwi.

Po namyśle uznała, iż przeprowadzenie rozmowy na zewnątrz, w miejscu publicznym, to doskonały pomysł. Dygnęła znowu.

- Przyniosę tylko swoje okrycie, kapitanie.

Weszła pośpiesznie po schodach, świadoma, że kapitan przygląda się jej równie uważnie, jak ona przyglądała się jemu. Z niecnym zamiarem?

Uświadomiła sobie po raz pierwszy, że musi mieć o niej mylne wyobrażenie. Przed czterema laty powiedziała mu najmniej jak mogła, wiedział zatem jedynie, że ścigali ją źli ludzie, lecz nie: dlaczego.

Mógł sobie pomyśleć, że wpakowała się w tarapaty z własnej woli - może dlatego, że była rozpustna?

Nic dziwnego, że tamtej nocy pozwolił sobie na niewybredne uwagi.

Założyła drżącymi rękami kapelusz, umocowała go szpilkami, a potem włożyła niezdarnie płaszcz i ręka-



wiczki. Gdyby w pobliżu był jakiś koń, wskoczyłaby na niego i uciekła. Nie mogła sobie jednak pozwolić na podobną słabość.

Będzie z nim tylko przez krótką chwilę, w miejscu publicznym. Niczym jej to nie grozi, a kapitan może okazać się odpowiednim mężczyzną, zdolnym pomóc jej w zniszczeniu Augustusa.

Thorn czekał na powrót panny Barstowe, zafascynowany tym, co zobaczył do tej pory.

Była ubrana bardziej zwyczajnie niż przed czterema laty - jej suknia sprawiała wrażenie wręcz niegustownej - zmieniła się też w większym stopniu, niż wskazywałyby na to jej wiek. Ledwie pamiętał ładną dziewczynę, a teraz zobaczył przystojną kobietę, która, wypoczęta i zadowolona, mogłaby okazać się nawet piękna. Tymczasem wyglądała na spiętą i czujną. Może był to skutek tamtego okropnego doświadczenia.

Poczuł dziwną potrzebę, by sprawić, że się odpręży i poczuje szczęśliwa.

Na pewno miała śliczne włosy. Wówczas, przed czterema laty, nie zauważył, jakiego są koloru. Teraz, chociaż upchnęła je pod tym okropnym czepkiem, kilka pasm wymknęło się i zobaczył, że są kasztanowe, niemal brązowe. Ich barwa pięknie kontrastowała z kremową karnacją...

Przestań, nakazał sobie. Nie był zainteresowany Bellą Barstowe. Nie w ten sposób. Wystarczy już ta dziwna obsesja z Kelano - która nie wróciła do gospody, jak na rozsądną nimfę przystało. Tak było lepiej również dla niego. Za bardzo go pociągała, i to akurat, gdy postanowił znaleźć sobie idealną, odpowiednią do swojej pozycji żonę.

Nie powinien był tu przyjeżdżać, nie po to, aby zobaczyć się z Bellą Barstowe, która wpakowała się

przed czterema laty w tarapaty - niewątpliwie z powodu głupoty i lekkomyślności.

Powinien wyjść i wrócić do swojej sfery. Tylko że Bella schodziła właśnie po schodach, ubrana w nudny, ciężki wełniany płaszcz i mały kapelusik na okrytych czepkiem włosach. Cóż, z pewnością nie był to strój wyrafinowanej uwodzicielki. Pounce, gospodarz, powiedział, że podała się za guwernantkę. Niezbyt odpowiednie zajęcie dla pełnej życia, zadziornej dziewczyny, jaką zapamiętał, ale niewiele guwernantek obiera ten zawód z wyboru.

Szła ku niemu, starając się zachować spokój i opanowanie, dostrzegając jednak, że jest zdenerwowana. Wyglądała też na swój wiek. Po co przyjechała? Co skłoniło ją, by nachodziła Caleba w jego pokoju? Jeśli obawiała się kapitana Rose, dlaczego czekała cierpliwie na jego powrót?

Westchnął z żalu nad swoją głupotą, wiedział jednak, że musi poznać odpowiedź na te pytania, a jeśli zajdzie taka potrzeba, znowu jej pomóc.

Na razie zaoferował dziewczynie ramię. Zawahała się, a potem wsunęła pod nie dłoń. Wyprowadził ją z gospody na smaganą wiatrem ulicę. Miał nadzieję, że odezwie się pierwsza, gdyż Caleb niewiele napisał o wcześniejszej rozmowie, kobieta jednak milczała. Tymczasem niebo coraz bardziej się chmurzyło i jako wytrawny żeglarz czuł, że wkrótce zacznie padać deszcz. Przerwał więc ciszę.

- Zaczniemy rozmawiać, panno Barstowe. A może powinna pani powtórzyć mi to, co już powiedziała? Przed kilkoma dniami nie byłem w najlepszej formie i nie zapamiętałem zbyt wiele. Przybyła pani do Dover, aby zwrócić mi pieniądze za konia?

Spojrzała mu wprost w oczy.

- Zorganizowałam wszystko tak, aby go panu zwrócono.

- A jeśli to zakwestionuję?

Zacisnęła wargi, a szkoda, ponieważ były bardzo ponętne. Nieprzesadnie szerokie - nie ufał ludziom o sze-

rokich ustach - ale kusząco pełne. Zupełnie, jak u Kela-no. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że ma tak ściśle określone upodobania...

- Jeśli naprawdę nie dostał pan wierzchowca, zapłacę panu równowartość. Na ile pan go wycenia?

- Pięćdziesiąt gwinei.

- Pięćdziesiąt gwinei?

- To był dobry koń.

- Nie aż tak dobry - odpaliła.

Thorn stłumił uśmiech, zadowolony, że dziewczyna nie straciła jednak bojowego ducha.

- Dołożyłem co nieco za wynajem i niedogodności. To jak?

Zatrzymała się i wyszarpnęła dłoń spod ramienia Thorn'a, by móc na niego spojrzeć.

- Czy to warunek dalszej rozmowy? - spytała.

- Dobrze jest wyruszać w morze, mając czysty kadłub.

- Cokolwiek to znaczy. Doskonale, proszę pana. Zapłacę pięćdziesiąt gwinei, lecz tylko jako zadośćuczynienie za niewygodę oraz nagrodę za to, że mi pan pomógł. Dziękuję.

Wyrzuciła z siebie ostatnie słowa, zadzierając wysoko brodę i spoglądając Thornowi wprost w oczy.

Rozpoznał w niej tamtą przestraszoną, zadziorną dziewczynę, lecz zaskoczyło go, że czuje do niej taką sympatię. Jakby znaczyli dla siebie więcej, niż w rzeczywistości.

- To był dla mnie zaszczyt, panno Barstowe - powiedział szczerze.

Ruszyli znowu przed siebie, lecz wiatr znad morza niósł wilgoć, kurz oraz opadłe liście i był tak silny, że musiała przytrzymać kapelusz dłonią.

- Może powinniśmy wrócić Pod Busolę - powiedziała. Obudziło to czujność Thorn'a.

- Do pokoju? To byłoby dosyć kompromitujące, nie uważa pani? A może o to chodzi? W końcu wdarła się pani już raz do mojej sypialni.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Sądzi pan, że chciałabym wmanewrować pana w małżeństwo, kapitanie? Po co?

Wiedział, że dziewczyna myśli, iż ma do czynienia z kapitanem, jednak jej szczerłość sprawiła, że uśmiechnął się zadowolony.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - To rzeczywiście idiotyzm. Przyszła pani jednak do mojej sypialni...

Na policzki Belli wypląnął rumieniec.

- Ponieważ bałam się, iż może pan rano wyjechać. Wyjaśniłam to już.

Lecz Caleb o tym nie wspomniał. Ta rozmowa była niczym labirynt najeżony pułapkami. Przez całe dorosłe życie unikał pułapek zastawianych przez polujące na niego damy i nie pozwoli, żeby Belli Barstowe powiodło się tam, gdzie inne poniosły klęskę.

- Z mojego doświadczenia wynika, że kobieta narzuca się mężczyźnie tylko wtedy, gdy chodzi jej o małżeństwo. Albo o pozamałżeńskie przyjemności.

- Jest pan odrażający - odparła z błyskiem gniewu w niebieskich oczach. A potem odeszła, stukając obcasami o bruk.

Powinien pozwolić jej odejść, lecz nagle przyszła mu do głowy zadziwiająca myśl. Zrównał się z nią.

- Cóż za temperamentna dziewczka z ciebie.

- Nic podobnego - wycedziła, spoglądając wprost przed siebie. - Nie jestem temperamentna. Ani nie jestem dziewczką. Proszę za mną nie iść, kapitanie.

Ruszyła przed siebie. Dotrzymał jej kroku, bacznie ją obserwując.

Brazowe włosy, nie czarne. Cera bez skazy. I bez makijażu.

Jednak głos i sposób bycia, zwłaszcza, gdy się denerwowała...

Czy Bella Barstowe mogłaby być Kelano? Lecz jak to możliwe?

Czyżby wiedziała, że ma do czynienia z księciem?

Oznaczałoby to, że zastawia nań wyjątkowo sprytną pułapkę.

Zatrzymała się nagle i odwróciła ku niemu.

- Mam zacząć krzyczeć?

Jeśli mówiła poważnie, oznaczało to, iż uprawia wyjątkowo niebezpieczną grę.

- I co by to dało? - odparował. - Obsługa Pod Busolą widziała, że wyszła pani ze mną dobrowolnie i przez cały czas byliśmy na widoku. Nadal jesteśmy, a ponieważ znają mnie tutaj, ryzykuję mniej niż pani. Uniosła wyżej brodę i zacisnęła wargi.

- To śmieszne.

O tak, Kelano. Był tego pewny.

- Doprawdy? - spytał, zastanawiając się nad konsekwencjami swego odkrycia. - Wparowała pani do mojej sypialni bez zapowiedzi.

Chociaż rumieniec był oznaką gniewu, i tak wyglądała ślicznie. Brak makijażu jej służył, zwłaszcza że miała tak cudowną cerę. Mimo iż spłonęła rumieńcem, nadal patrzyła mu wprost w oczy.

- Jak pan zapewne pamięta, przyszłam, by pana zatrudnić, nie po to, żeby... żeby...

Pospieszył jej z pomocą.

- Zatem czego spodziewa się pani po mnie? - zapytał. - Mnóstwo ludzi chciałoby przyłapać mnie na nielegalnej działalności.

Zbladła nieco, a potem skinęła głową.

- Rozumiem. Przypuszczam, że przemytnik musi obawiać się prawa.

- Nie jestem już przemytnikiem, panno Barstowe. Nie bardziej, niż pani dziewczką.

- Skoro pan tak twierdzi.

- Z drugiej strony, pani jest przecież dziewczką.

Oczy Belli zabłyśły, ale tym razem był to przebłysk humoru.

- Kimkolwiek pan jest, kapitanie Rose, nie zamierzam wciągnąć pana w pułapkę, pojmuje jednak, dlacze-

go może się pan tego obawiać. Dlatego dziwi mnie, że nie pozwala mi pan odejść. Do widzenia panu. Odeszła znowu, nie tyle z gniewem, co zdecydowanie.

Fakt, że kobieta zostawia go tak bez ceregieli, i to dwa razy z rzędu, był dla Thorne'a nowością.

Kelano postąpiła podobnie. Również dwa razy.

Stłumił uśmiech, dogonił ją i szedł przez chwilę obok.

- Jednak chciała się pani pilnie ze mną zobaczyć, panno Barstowe. Widać byłem pani potrzebny. Nie miałem wtedy czasu, więc zaczekała pani tutaj, kręcąc młynka palcami...

- Nie mam takiego zwyczaju.

- Co więc pani robiła przez te dwa dni?

- Obrebiałam chusteczki.

- Starannie?

- Perfekcyjnie.

- Cóż za uosobienie swojskości!

I jakie niepodobne do dziewczyny, którą kiedyś uratował - a także do Kelano. Czyżby ponosiła go wyobraźnia? Nawet jeśli, dziewczyna była młoda i pilnie potrzebowała pomocy. Nie mógł zostawić jej i ot, tak po prostu odejść.

- Proszę powiedzieć, czego pani po mnie oczekuje - zaproponował tak przekonująco, jak tylko był w stanie. Nie zareagowała. - Do diabła, panno Barstowe, guwernantka czy nie, jest pani zbyt młoda, by włączyć się samotnie, a zwłaszcza żeby spotykać się z niebezpiecznymi mężczyznami.

Tym razem doczekał się odpowiedzi. Odwróciła się raptownie i spojrzała na niego.

- Proszę sobie nie wyobrażać, iż może mi pan rozkazywać! A poza tym opiekun byłby mi potrzebny przede wszystkim po to, by chronić mnie przed mężczyznami takimi jak pan!

Co powiedziawszy, szturchnęła go palcem w pierś.

- *Touche* - powiedział z uśmiechem. - W obu znaczeniach tego słowa. - Kilka osób już zaczęło się im przyglądać. Przez kilka następnych dni całe miasto będzie plotkowało, że młoda dama obsztorcowała kapitana Rose i uszło jej to na sucho. Dostarczył im dalszego materiału do plotek, kłaniając się nisko.

- Droga panno Barstowe, przepraszam za dotychczasowe uchybienia, lecz uwierz, proszę, że odtąd chcę być pani najuniżeń-szym sługą. Może więc opowie mi pani o swoich problemach, byśmy mogli zastanowić się, jak im zaradzić.

Fr. dotykać - słowo wyrażające uznanie dla celnej riposty rozmówcy, w szermierce oznacza trafienie przeciwnika bronią (przyp. red.).

## Rozdział 14

Pałący gniew, który ogarnął Bellę przed chwilą, zmienił się w drzenie. Czy sprawił to ukłon - tak elegancki i dworny? A może spojrzenie, wyrażające współczucie oraz prawdziwe zainteresowanie? No i w świetle dnia jego oczy wydawały się bardziej piwne niż brązowe.

Zmienny jak morze. Opisał siebie w ten sposób i najwidoczniej była to prawda. Tylko jak zdoła poradzić sobie z takim mężczyzną? Powinna uciec z tej zarośniętej jeżyną ścieżki, na którą dobrowolnie weszła, lecz pędy roślin zdążyły już ją oplątać. Uwięzić.

- Czy ma pani kłopot z nikczemnym mężczyzną, panno Barstowe? Może z tym samym, który sprowadził panią przed czterema laty Pod Czarnego Szczura?

- Skąd pan wie? - spytała, przestraszona. Podniósł uspokajającym gestem dłoni.

- Prosta dedukcja. Musiała pani mieć powód, by mnie odszukać. A wiąże nas jedynie to, co wydarzyło się przed czterema laty... Czy ci ludzie znów panią skrzywdzili?

Bella milczała, starając się pozbierać myśli. Jego rozumowanie miało sens, mimo to wydawał się przerażająco wręcz bystry.

- Nie, nie skrzywdzili mnie. Odstraszył ich pan skutecznie i bardzo za to dziękuję.



- Skąd pani wie? - Teraz to on wydawał się zaskoczony.

Bella uświadomiła sobie, że ludzie przyglądają się im z zainteresowaniem i ruszyła dalej ulicą. Nie było powodu, by nie wyjaśnić mu, co się wydarzyło.

- Jeden z nich mi powiedział. Ten starszy, zwany Coxy. Natknęłam się na niego w Londynie, całkowicie przypadkowo. Tak bardzo to mną wstrząsnęło, że nawet się nie przestraszyłam.

Zażądałam, żeby mi powiedział, dlaczego mnie uprowadzili.

- Jestem pewien, że udało ci się to z niego wydusić, choćby siłą - wymamrotał kapitan. - Nie wiedziała pani, dlaczego wylądowała Pod Czarnym Szczurem? - dodał głośnie.

- A pan? - spytała, przerażona. Czyżby kapitan był przez cały czas częścią spisku? Uniósł dłoń.

- Nie to miałem na myśli. Założyłem wówczas, przed laty, że wiedziała pani, co się dzieje, tylko wolała mi nie mówić. Naprawdę nazywa się pani Barstowe?

-Tak.

- Czy to rozsądne, posługiwać się tutaj prawdziwym nazwiskiem?

Bella zaśmiała się gorzko.

- W następstwie tego, co stało się przed laty, reputacja Belli Barstowe została bezpowrotnie zniszczona. Nie jestem w stanie bardziej sobie zaszkodzić.

- Proszę opowiedzieć mi, co się wydarzyło. - W jego głosie dało się wyczuć powagę i szczerze zainteresowanie, kuszące jak jabłko w raju. Lecz Bella oparła się pokusie. Mężczyzna był niebezpieczny niczym wąż. - Nie mogę pani zmusić - powiedział - lecz czasem opowiedzenie komuś o kłopotach pomaga rozjaśnić umysł, a ja byłem przez krótki czas częścią tej historii. Nic dziwnego, że jestem ciekawy.

Brzmiało to logicznie, Bella nie zamierzała jednak powiedzieć wszystkiego.

- Zostałam uprowadzona z majątku ojca - powiedziała.
- Jak to możliwe? Napastnicy wdarli się do ogrodu?
- Czy damom wolno przechadzać się jedynie po ogrodzie? Oddaliłam się nieco od domu, żeby nazbierać dzikich kwiatów do mojej kolekcji - skłamała.
- Najpierw chusteczki, a teraz kolekcja suszonych kwiatów - powiedział, wyraźnie jej nie wierząc. - A pokojówka?
- Nie wzięłam jej ze sobą - przyznała Bella.
- Zatem: schadzka?

Choć bardzo nie chciała się zaczerwienić, czuła, że płoną jej policzki.

- Doskonale. Umówiłam się z nowym adoratorem. I tak, było to niemądre, ale skąd mogłam wiedzieć, co zamierza?

- I co się wydarzyło?

Pełen współczucia ton sprawił, że się otworzyła i opowiedziała kapitanowi o wszystkim, przemierzając w jesiennym chłodzie ulice. Gdy doszła do tego, co zaplanowali dla niej porywacze, ledwie była w stanie mówić. Po tym, jak spędziła trochę czasu z lady Fowler, dowiedziała się o burdelach zdecydowanie więcej, niżby sobie życzyła.

Ujął stanowczym, acz pełnym współczucia gestem jej okryte rękawiczkami dłonie.

- Uciekła pani - powiedział, jakby trzeba jej było o tym przypominać. Może i było trzeba, gdyż omal się nie załamała. - Dlaczego czekała pani tak długo? - zapytał. - Czemu nie uciekła pani wcześniej, gdy tylko było to możliwe?

Zadane spokojnym tonem pytania pomogły jej się opanować, a może przyczynił się do tego chłodny, przesycony wilgocią wiatr.

- Z początku bardzo mnie pilnowali. Jeden przebywał cały czas ze mną. Zostawałam sama jedynie w nocy, zamknięta starannie w pokoju.

- Nie próbowała pani poprosić o pomoc ludzi po drodze? Właścicieli gospód, podróżnych?

- Nie. Przestrzegli mnie, bym tego nie próbowała, poza tym... teraz zabrzmiałoby to głupio, lecz bardzo nie chciałam, by ta historia ujrziała światło dzienne. Byłam pewna, że ojciec zapłaci okup. A nawet, gdyby tego nie zrobił... sądziłam chyba, że zrezygnują i mnie wypuszczą.

- Była pani bardzo młoda i wychowana pod kloszem. Co sprawiło, że się pani zmieniła?

- Gdy dotarliśmy do Dover, powiedzieli mi, co dla mnie zaplanowali. Wtedy nie pilnowali mnie już zbyt starannie, zwiędzeni tym, że zachowuję się tak potulnie. Zamknęli tamtego wieczoru mój pokój Pod Koroną i Kotwicą, nie pomyśleli jednak o oknie.

- Dobra dziewczynka.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że spogląda na nią z ciepłym uśmiechem w oczach. Odpowiedziała tym samym, uświadamiając sobie, że dokonała wtedy czegoś nadzwyczajnego. Opowiedziała mu o Billym Jakesie i o tym, jak odszukała go w Litten.

- Znalazł dobrą posadę? - zapytał.

- Tak, dlaczego?

- Mógłbym mu pomóc, gdyby tego potrzebował.

- Nie sądzę, by chciał wyruszyć na morze, ale i tak dziękuję. Chyba dobrze mu u sir Muncy'ego, poza tym zamierza poślubić niedługo córkę głównego stajennego.

Kapitan skinął głową.

- Uciekła pani zatem z gospody. A jak pani wylądowała Pod Czarnym Szczurem?

- Przez czystą głupotę - przyznała. - Przemykałam ulicami, wystraszona i w panice. Nie miałam pieniędzy i nie znałam nikogo w Dover, postanowiłam zatem, że zwrócę się o pomoc do pastora. Lecz potem spostrzegłam porywaczy. Szukali mnie, wśliznęłam się więc do pierwszego napotkanego lokalu. Wiedziałam, że nie będzie to wytworne miejsce, lecz nie wyobrażałam sobie, co może mi się tam przytrafić. - Spojrzała na niego. - Proszę pozwolić, że jeszcze raz panu podziękuję. Uratował mi pan życie, ryzykując swoim.

- Nic podobnego - stwierdził radośnie. - Kiedy ci hul-taje oprzytomnieli, uświadomili sobie, że nie chcą kłopotów nawet dla tak smakowitego kaska jak pani.

Bella spojrzała przed siebie, znowu mile, chociaż niemądrze pochlebiona niewyszukanym komplementem. Po chwili uświadomiła sobie jednak, że chodzi nie tyle o komplement, ile o mężczyznę, który go wygłosił. Ku swemu zaskoczeniu polubiła kapitana Rose. Chociaż mogłoby się to wydawać nierozsądne, wcale się go nie bała. Uznała nawet, że mogliby zostać przyjaciółmi.

Nie czuła się tak, gdy wparowała tamtej nocy do jego pokoju.

Bardzo dziwne.

- Odjechała pani zatem na moim koniu i skierowała się... dokąd? - zapytał z naciskiem. - Do Maidstone?

- Do siostry. Mieszka w pobliżu Maidstone. Odesłała mnie do domu.

- Do ojca, który nie pofatygował się zapłacić okupu. Czy był aż tak nikczemny?

Nie powiedziała kapitanowi dotąd o zamianie listów, nie była bowiem pewna, czy wyjawi mu swój plan. Teraz wahała się z obawy, iż uzna to, że chce się mścić za nienaturalne, niestosowne u kobiety.

- Nie znaleziono listu z żądaniem okupu - powiedziała.

- Kolejny nielojalny pośrednik, jak z moim koniem? Zaśmiała się gorzko.

- W rzeczy samej. Tylko że ten akurat pośrednik był źródłem wszystkich moich kłopotów. - Teraz nie mogła już się wycofać. - To był mój brat, Augustus - powiedziała, a właściwie wysyczała. Nawet ona usłyszała w swoim głosie nienawiść.

- Co zrobił? Zgubił list?

- Rozmyślnie. A potem zastąpił go innym, rzekomo od mego kochanka. Napisano w nim, że uciekliśmy, aby żyć w grzechu. Poza tym - dodała ponuro - to on stał za porwaniem.

- Długi hazardowe, jak się domyślam.

- Skąd... - westchnęła i zamilkła. - Czy to się często zdarza, że mężczyźni tracą olbrzymie sumy przy stoliku?

- Owszem, lecz rzadko prowadzi to do tak skomplikowanej intrygi i dramatu. Widzi pani, długów hazardowych nie można ściągnąć z mocy prawa.

- Coxy też tak powiedział.

- Z pewnością jest w tym ekspertem - zauważył kapitan. - Są jednak inne sposoby, żeby zmusić dłużnika do płacenia. Jeśli gra toczy się pomiędzy dżentelmenami, ten, który nie płaci, zostaje poddany ostracyzmowi. Zazwyczaj świadomość tego wystarczy, by dłużnik jakoś postarał się o pieniądze. Jeśli nie jest w stanie, strzela sobie w łeb albo ucieka daleko za morze.

- Gdybyż tylko Augustus wybrał któreś z tych rozwiązań!

- Panno Barstowe, podoba mi się pani hart ducha. Bella parsknęła śmiechem. Już czuła się lepiej, a to dlatego, że ją podziwiał.

Pogoda jeszcze się pogorszyła i ulice opustoszały. Kapitanowi to jednak nie przeszkadzało, a i ona nie chciała jeszcze się z nim rozstawać.

- Coxy wydawał się dżentelmenem - powiedziała, lecz zaraz dodała - mniej lub bardziej.

- Takich jak on jest na pęczki. Sądząc po tym, jak przebiegło nasze krótkie spotkanie, jest nim w zdecydowanie mniejszym stopniu.

- Ma pan zapewne rację, skoro nie był w stanie zrealizować groźby ujawnienia przed innymi dżentelmenami długów Augustusa, żeby wycisnąć z niego w ten sposób pieniądze. - Pomyślała o swoim planie. Choć był dość mglisty, zakładał przyłapanie Augustusa na gorącym uczynku i okrycie go hańbą. Nie zależało jej na pieniądzach, wystarczy, że brat straci reputację. - Gdzie tacy mężczyźni grywają? - spytała.

- Zwykle w specjalnych klubach, zwanych jaskiniami hazardu. Ale dlaczego brat pani miałby grać w takim miejscu, zamiast w lepszym towarzystwie?

- Ponieważ musiał dbać o swoją reputację, jak dotąd nieskazitelną - odparła bez wahania - zwłaszcza przed ojcem, który pogardzał hazardem w najwyższym stopniu. - Przytrzymała dłoń kapelusza, by nie porwał go wiatr i spojrzała na kapitana. - Czy w takiej jaskini można zataić swoją tożsamość? To musi być istne piekło.

- Zataić swoją tożsamość w piekle, panno Barstowe? Zbyt poważna teologicznie kwestia jak na mnie - odparł z uśmiechem. - Można tam podać fałszywe nazwisko. Póki gra toczy się o gotówkę, nikt nie zadaje pytań.

Bella zastanawiała się przez chwilę.

- Lecz Augustus się zadłużył.

- Co oznacza, że grał, przedstawiając jako zabezpieczenie weksle.

- Weksle?

- Pisemne zobowiązanie zapłaty.

- Można więc stracić majątek i zniszczyć rodzinę za sprawą świstka papieru?

- To smutne, ale tak jest w istocie.

Wspomniała Hortensję Sprott, pozostawioną bez grosza za sprawą weksli, które wystawił jej ojciec.

Podsyciło to jeszcze chęć, aby ujawnić nałóg brata. Może uda jej się zdemaskować przy okazji innych i zapobiec kolejnym tragediom.

- Coxy przyjął weksle Augustusa - powiedziała - musiał zatem mieć pewność, że jest on wypłacalny.

Jak ją uzyskał? - Nie możemy być tego pewni, ale czy brat pani jest sprytny?

-Nie.

- Uznał więc prawdopodobnie, że jeśli poda fałszywe nazwisko, wierzyciele nie zdołają go odnaleźć.

Tymczasem szulerzy dobrze wiedzieli, kim jest.

- Szulerzy? - spytała.

- Mężczyźni, czasami kobiety, żyjący z tego, co zarobią przy karcianym stoliku. Zwykle są doskonałymi graczami, lecz jeśli trzeba, potrafią oszukiwać i robią to per-

fekcyjnie. Wiele gołąbków nigdy się nie zorientowało, że zostały oskubane.

- Gołąbki - powtórzyła Bella z upodobaniem, o mało nie puszczając przy tym kapelusza. Uśmiechnęła się do towarzysza. - Przyjemnie pomyśleć o Augustusie jako o gołębiu, zwłaszcza oskubanym.

- I zapieczonym w cieście - dodał z błyskiem humoru w oczach. Lecz potem zatrzymał się i spojrzał na Bellę. - Czy właśnie to jest pani celem? Chce pani się zemścić?

Bella przyglądała mu się przez chwilę, szukając w jego twarzy wskazówek, wreszcie musiała jednak odpowiedzieć.

-Tak.

- W jaki sposób?

- Poprzez ujawnienie, że jest nałogowym hazardzistą. Kapitan uniósł brwi.

- I zwróciła się pani o pomoc do marynarza? Dlaczego?

Rzeczywiście, teraz wydawało się to po prostu śmieszne. Nie mogła w końcu przyznać, że hołubiła przez cztery lata obraz kapitana jako mitycznego bohatera.

- Ponieważ nie znam nikogo innego, kto mógłby mi pomóc - powiedziała. - Już sporo powiedział mi pan o graczach.

- Nie znaczy to, że sam do nich należę.

- Potrafi pan jednak radzić sobie z niebezpiecznymi ludźmi. Na pewno zawsze ma pan przy sobie nóż i pistolet. Nawet teraz.

Kapitan uśmiechnął się chłodno.

- Rzeczywiście. No dobrze, panno Barstowe, przyjrzyjmy się temu bliżej. Niezobowiązująco - zastrzegł się. - Dlaczego brat pani wymyślił tak nikczemny plan? Czemu nie zwierzył się ojcu?

Zwykle tak się właśnie postępuje. Ojciec łaje syna, lecz płaci, by nie ucierpiał honor rodziny.

Bella potrząsnęła głową.

- Ojciec nie ograniczyłby się do połajanki. Cofnąłby Augustusowi pensję i praktycznie uwięził go w Carscourt.

O mało nie dodała: ***jak mnie.***

- Czemu Coxy nie poszedł zatem do waszego ojca, grożąc, że rozpowie, iż jego syn nie płaci długów honorowych? Sądzę, że potrafiłby odegrać rolę dżentelmena na tyle przekonująco, by ojciec pani uznał groźbę za realną.

- Długi honorowe? - prychnęła Bella. - Raczej gołębie odchody.

- Bardzo stosowne określenie. Tak je właśnie nazywają. Ale dlaczego szuler nie postąpił w ten sposób?

- Nie wyjaśnił tego, lecz mogę się domyślić. Jeśli roz-pytał w okolicy, bez trudu dowiedział się, jakim człowiekiem jest ojciec. Sztywnym, nieprzejednanym i stanowczym. Ukaraliby Augustusa, lecz nie zapłacił. Uznałby, że syn zasłużył na to, co go spotkało.

***Tak jak postąpił ze mną.***

- Co więcej, był sędzią. Oskarżyłby szulera o cokolwiek i postarał się jak najsurowiej go ukarać. Boże! Teraz urząd przypadł Augustusowi! Osądza nieszczęśników z ławy sędziowskiej, chociaż jest większym grzesznikiem niż oni!

- Ci nieszczęśnicy nie znaleźli się tam bez powodu.

- Mam nadzieję, że pan nigdy przed nim nie stanie. Kapitan uśmiechnął się, jakby ta perspektywa ani trochę go nie przerażała. Jakby nie mógł się już doczekać.

- Zatem szuler nie dostaje pieniędzy i porywa siostrę dłużnika, aby odzyskać forszę.

- Za namową Augustusa - przypomniała mu Bella.

- Nie zapomniałem o tym. Ciekawe, dlaczego nie zrealizował planu do końca. Ojciec płaci okup i jest wściekły na panią za to, że oddaliła się lekkomyślnie od domu. Dług zostaje spłacony. Koniec zmartwień. - Wątpi pan w moją opowieść? - spytała, urażona. - Nie mam dowodów.

- Wierzę, że pani w nią wierzy.



- Jaki powód mógłby mieć Coxy, by to wymyślić?
- Z pozoru żaden, chciałbym jednak zrozumieć działania brata pani.
- Nigdy mnie nie lubił, nie obchodziłoby go więc, co się ze mną stanie. - Nawet Belli wydało się to jednak niewystarczającym powodem. - Zawsze był samolubny. Ale rzeczywiście, trudno uwierzyć, że mógłby skazać mnie na taki los.

Kropla deszczu spadła jej na policzek. A może była to łza?

Kapitan podprowadził towarzyszkę ku bardziej osłoniętemu miejscu, spoglądając z ponurą miną na ciemniejące niebo.

- Powinniśmy wrócić Pod Busolę, lecz zastanówmy się jeszcze przez chwilę. Niestety, spotykam od czasu do czasu takich mężczyzn: słabych i w najwyższym stopniu samolubnych, do tego żyjących w ciągłym strachu. Zamierzał przeprowadzić plan do końca, lecz w pewnej chwili jął się zastanawiać, czy szuler aby czegoś pani nie powiedział, nie wspomniał o jego udziale w spisku, z głupoty albo specjalnie. Mogła pani też coś podsłuchać. Wyobraźnia podsuwała mu najgorsze scenariusze. W końcu uznał, że jeśli nie wróci pani do domu, nie będzie mogła go oskarżyć.

- To potworne!

- Ale on jest potworem, czyż nie?

Bella zakryła dłonią usta, wiedziała jednak, że kapitan się nie myli. To dlatego przyjechała do Devon, a potem rozpaczliwie starała się z nim zobaczyć. Po prostu nie zastanawiała się wcześniej zbyt wiele nad przekłętymi szczegółami tego, co ją spotkało.

- Drogi Augustus musiał być przerażony, kiedy wróciła pani do domu.

Bella dotąd o tym nie pomyślała.

- Dlatego traktował mnie tak okropnie!

- To znaczy? Potrząsnęła głową.

- Drobiazgi, ale bardzo utrudniały mi życie. Teraz to nieważne.

- Wątpię - powiedział, osłaniając ją przed kolejnym porywem przesyconego wilgocią wiatru. -  
Wracajmy do gospody. Znalazła się pani zatem na powrót w domu, nie uwierzono pani i uwięziono ją.  
Rozsądne zachowanie względem córki, która uciekła z kochankiem i spędziła z nim kilka dni, choć w  
niektórych rodzinach spróbowano by ukryć prawdę, wydając dziewczynę pośpiesznie za męż.

-1 próbowali. Odmówiłam.

- Dlaczego?

Spojrzała na kapitana, mrużąc gniewnie oczy.

- A pan poślubiłby paskudną harpię, starszą od pana o dwadzieścia lat, która zawsze traktowałaby  
pana jak skruszonego grzesznika i pilnowała, aby nie zaznał pan wolności, by móc znowu grzeszyć?

- Trudno mi coś takiego sobie wyobrazić, ale nie, panno Barstowe, nie poślubiłbym. Wie pani, ile brat  
był winien?

- Sześćset.

- Skromna suma, jak na to, by spowodować podobne zamieszanie.

- Skromna! Przemyt musi być zaiste intratnym zajęciem!

- Owszem, lecz ja nie jestem przemysłowcem. A przynajmniej bywam nim rzadko - poprawił się. Nagle  
z nieba lunęła ściana wody. Otoczył Bellę ramieniem i poprowadził w stronę najbliższego budynku. -  
Pod Koroną i Kotwicą. Podadzą nam tu herbatę.

Bella musiała biec, aby dotrzymać mu kroku.

- To tu byłam przetrzymywana - przypomniała mu. - Ktoś może mnie rozpoznać.

- No i co z tego! - powiedział, błyskając uśmiechem. Bella się roześmiała. Z radości, wywołanej  
biegiem  
i tym szerokim uśmiechem. Poczucia bezpieczeństwa, jakie dawało silne męskie ramię. Kiedy  
ostatnio czuła się tak beztroska?

Gdy wpadli do gospody, pomyślała: Podczas balu maskowego. Z pasterzem. Kiedy wymknęłam się na balkon, żeby się z nim całować.

A kapitan Rose był bratem księcia z nieprawego łoża.

Przystanęła zaskoczona. Czy mężczyzna, który stał właśnie obok, otrząsając z deszczu trójgraniasty kapelusz, mógł być na balu przebrany za pasterza? Trudno w to uwierzyć.

Tylko dlaczego od razu poczuła do niego taką sympatię?

A co z lokajem w gospodzie Pod Kozłem? To też był kapitan?

Czuła się podekscytowana, a zarazem nieco zaniepokojona. Czy mógł rozpoznać w niej Kelano? A gdyby tak się stało, jakie byłyby konsekwencje?

Pomyślała, nie wiedzieć czemu, o łożku...

- O co chodzi?

Podsłuchiwała, spojrzała na niego i zobaczyła, że się jej przygląda.

- Nadal martwi się pani, że ktoś ją rozpozna? Wątpię, czy po czterech latach to w ogóle możliwe, a nawet jeśli

- co z tego?

Bella nie musiała odpowiadać, ponieważ do holu wmaszerowała rażno jakaś kobieta.

- Nie waż się zalać mi wodą podłogi, Calebie Rose!

- wykrzyknęła.

Caleb. Z niewiadomego powodu to biblijne imię jakoś do niego nie pasowało.

- Nie mogę nic na to poradzić, cioteczko Ann - zaprotestował. - Jestem jak kaczką, która wyszła dopiero co ze strumienia. Miej litość i zaparz dwóm zmokniętym kaczkom herbaty.

- Och, do licha z tobą - prychnęła dobrodusznie pulchna niewiasta. - Sari, przynieś ręczniki! -

zawołała, prowadząc ich do niewielkiego saloniku z wąskim oknem i czterema zwykłymi krzesłami.

W kominku płonął ogień, Bella zdjęła więc płaszcz. Na szczęście nie przemókł, powiesiła go więc na przymocowanym do ściany haku.

Kapitan nadal droczył się z właścicielką, ta zaś nie pozostawała mu dłużna. Śmiali się przy tym oboje beztrąsko. Bella zdjęła rękawiczki, przysunęła dłonie do ognia i także się uśmiechnęła. Kapitan musi być dobrym człowiekiem, skoro traktują go tak serdecznie.

Weszła pokojówka, niosąc lniane ręczniki. Bella wytarła twarz i osuszyła kapelusz, zastanawiając się w duchu nad ewentualnymi podobieństwami pomiędzy kapitanem a pasterzem. Obaj byli wysocy.

Dobrze zbudowani, lecz nieprzesadnie masywni. Zarost na twarzy...

Odwrócił się i zobaczył, że mu się przygląda. Właścicielka gospody i pokojówka zdążyły już wyjść i byli w saloniku sami. Choć drzwi pozostawiono otwarte, czuła, że przebywanie sam na sam z nieznajomym jest niestosowne. A to dlatego, że nagle ujrzała w nim zwyczajnego mężczyznę - nie, nie zwyczajnego, poprawiła się, ale takiego, którego mogłaby... poślubić. Cóż za zadziwiające spostrzeżenie, pomyślała.

Wskazał jej gestem krzesło przy ogniu.

- Może usiadłaby pani i powiedziała mi, jak zamierza zemścić się na bracie.

Bella usiadła przy kominku. Kapitan zajął krzesło naprzeciw, czyniąc to z gracją. Pamiętała, jak rozsiadł się tamtej nocy w swoim pokoju. Wtedy też zrobił to z wdziękiem, lecz był to wdzięk bardziej zwierzęcy, zapewne z powodu alkoholu. Zaskoczyło ją, że mimo iż dzień był chłodny, a deszcz wręcz lodowaty, zadowolił się filiżanką herbaty.

Zmienny jak morze, w rzeczy samej.

Uniósł brwi.

- Przygląda mi się pani, jakbym stanowił zagadkę.

- Może zastanawiam się, czy zaszokuje pana mój plan. I była to prawda. Proponowanie udziału w zemście

przemytnikowi i hultajowi to jedno. Opowiadanie o niej temu mężczyźnie to coś zupełnie innego. Na samą myśl o czymś takim dreszcz przebiegał jej po ciele.

Gospodyni wróciła, niosąc tacę. Nalała Belli herbaty, dodając według żądania cukier i mleko i podała jej filiżankę.

- Proszę, to panią rozgrzeje. I niech go pani nie słucha. Wiem, co będzie smakować damie takiej jak pani.

- A potem dodała, zwracając się do kapitana: - Zachowuj się jak należy, chłopcze, i nie waż się zamknąć drzwi.

Wymaszerowała z pokoju. Kapitan nalał sobie herbaty i dodał odrobinę mleka. A potem się skrzywił.

- Widać czuje się uprawniona, żeby traktować mnie jak małego chłopca.

- Całe szczęście, że komuś starcza na to odwagi.

- Niewdzięczna dziewczka - odparował, uśmiechając się leciutko.

Odpowiedziała uśmiechem, nagle bardzo... szczęśliwa. Tak, to odpowiednie słowo. Kolejne zapomniane uczucie, lecz tutaj, w tym przytulnym pokoju, przy ogniu, sącząc słodką herbatę, czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. A przynajmniej od bardzo dawna.

Dolał herbaty i wypił. Bella uświadomiła sobie coś jeszcze.

- To doskonała herbata.

- Jest pani koneserką? - zapytał, spoglądając na Bel-lę ponad obrzeżem filiżanki.

- Nie, potrafię jednak odróżnić dobrą herbatę od byle jakiej, a ta mi smakuje.

- Ja też lubię ten gatunek. Cioteczka Ann podaje go jedynie tym klientom, którzy potrafią go docenić.

Wróćmy jednak do sprawy i zastanówmy się, jak ukarać Augustusa Nikczemnego. Ma pani jakiś pomysł? Bella musiała przyznać, że nie ma.

- Myślałam o tym, żeby po prostu przyłapać go na gorącym uczynku, lecz nie na wiele by się to zdało, prawda? - Na pewno by mu się nie spodobało.

- Rzeczywiście. Mogłabym też rozpowszechnić plotki.

- W biuletynie lady Fowler, dodała w myśli, uświadomiła sobie jednak, iż grzeszki baroneta z prowincji na pew-

no by tej damy nie zainteresowały. - Widzi pan, on chce się ożenić. Z miłą, niewinną dziewczyną. Nie chodzi mi tylko o zemstę. Muszę zniszczyć mu reputację, by nie mógł ożenić się z Charlotte Langham ani z żadną przyzwoitą kobietą. I nikogo więcej nie skrzywdzić. - Wpatrywał się w nią tak uważnie, że musiała odwrócić wzrok. - Przepraszam. Nie wiem, dlaczego zawracam panu tym głowę. Przyjazd tu był szaleństwem.

- Nonsens. Jak powiedziałem, pomogę pani, jeśli będę w stanie, ale nie może pani być jedyną osobą, która ujawni grzechy brata. Zostałoby to potraktowane jako chęć odegrania się.

Bella podniosła wzrok i westchnęła.

- Wiem. Beznadziejna sprawa, czyż nie? Zaproponował jej herbatę, a ona się zgodziła. Nalał sobie kolejną filiżankę.

- Śmierć stanowiłaby najwyższą karę - powiedział. Spojrzała na niego.

- Nie mogłabym go zabić. Może silniejsza kobieta by potrafiła, ale nie ja.

- A byłaby pani w stanie wynająć zabójcę?

Czuła się tak, jakby poddawał ją przesłuchaniu. To dziwne, lecz nie chciałyby obciążać śmiercią brata niczyjego sumienia, a już na pewno sumienia tego mężczyzny.

- Nie - odparła. Obawiając się, iż uzna, że jest słaba, dodała: - Śmierć byłaby dla niego za dobra. - I nagle uświadomiła sobie, że to prawda. - Chcę, by żył i pokutował za to, co zrobił, tak jak ja pokutowałam, tyle że do końca swych dni. I chcę tak go skompromitować, by nie mógł dłużej sądzić. Bywać w towarzystwie. A nawet przejść spokojnie ulicą...

Powiedziała to pod wpływem impulsu, a potem spojrzała na kapitana, żeby przekonać się, jak bardzo jest zdegustowany. On jednak powiedział tylko:

- Po kilku latach takiego życia mógłby strzelić sobie w łeb. Czy byłby to dla pani problem?

- Nie - odparła. - Nie sędzę. Jestem pewna, że to bardzo niechrześcijańskie.
- Nie ma nic niewłaściwego w tym, że pragnie pani zemsty na łajdaku, który przysporzył pani tyle cierpień. Tak, pomogę pani, panno Barstowe, jeśli będę w stanie. W końcu, mnie to też dotyczy. Zostałem wplątany w machinacje brata pani i chcę, żeby za to zapłacił. Pytanie tylko, czy chce się pani osobiście zaangażować, być świadkiem jego kompromitacji, czy też wystarczy pani świadomość, że brat poniósł zasłużoną karę?
- Bella odstawiła filiżankę i spodek, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Bardzo chciała się zemścić, lecz wizja tej zemsty prezentowała się dotąd nader mgliście. Nadal tak było, tymczasem pytanie, które postawił kapitan, wymagało jednoznacznej odpowiedzi. Zaczepnęła oddechu, a potem odparła:
  - Jeśli to możliwe, chciałabym się zaangażować. I tak, być obecna. Jednakże...
- Uniósł dłoń i się uśmiechnął.
- Nie ma potrzeby zgłaszać zastrzeżeń, dopóki nie ustalimy, jak będzie wyglądać zemsta. Brat mieszka na prowincji czy w Londynie?
- Na prowincji. W Oxfordshire. Bywa w Londynie, ale dość rzadko.
- A to ciekawe. Duże miasto zapewnia większą anonimowość.
- Kiedyś bywał w stolicy częściej, lecz został napadnięty i odtąd unika Londynu. Przyjeżdża tylko w interesach. Aha, ten napad to była robota Coxy'ego.
- Tchórz - stwierdził kapitan. - Tak myślałem. O ile znam jednak prowincję, nieważne jak przebiegły i ostrożny jest pani brat, niektórzy na pewno wiedzą, co z niego za ptaszek. W Oxfordshire zdobędziemy potrzebne informacje i ułożymy plan.
- Oxfordshire - powtórzyła Bella, zamierzając powiedzieć, że nie może tam wrócić, zwłaszcza w pobliże

Carscourt. Tylko że właśnie tam będą musieli zrealizować plan.

- Gdzie pani teraz mieszka? - zapytał.

Musiła zastanowić się błyskawicznie, ile mu powiedzieć, me chciała bowiem, by wiedział o Bellonie lub lady Fowler. Zbyt dużo zależało od tego, jaką wyrobi sobie o mej opinii. Należało jednak coś odpowiedzieć, nie była przecież bezdomna.

- W Londynie - powiedziała. - W Soho.

- Sama? - zapytał unosząc brwi.

- Ze starszą krewną. Zaoferowała mi dach nad głową a tym samym możliwość ucieczki.

- Daje też pani mnóstwo swobody. Mogła odpowiedzieć jedynie-Tak.

- Powinniśmy wrócić do Londynu razem. Mam tam coś do załatwienia. Moglibyśmy omówić nasze sprawy po drodze.

Coś do załatwienia w rezydencji brata, księcia Ithorne? Związek kapitana z księciem martwił Belle, uznała jednak, że Jego Książęca Wysokość nie może w cudowny sposób odkryć, iż przyrodni brat zadaje się z kobietą która wdarła się nieproszona na jego przyjęcie i współpracuje z lady Fowler.

-Nie będziemy mogli rozmawiać przy innych pasażerach - zaproponowała.

- Pojedziemy rozstawnymi końmi.

Powiedział to tak spokojnie, jakby podróżowanie prywatnym powozem z obcym mężczyzną nie było czymś skandalicznym i po prostu nie do przyjęcia. A jednak taka podróż wydała jej się nieodparcie pociągająca.

Z nim. Kolegą. Współkonspiratorem.

Przyjacielem.

Mężczyzną, który mógłby stać się - i stał - kimś więcej, zwłaszcza w prywatnym powozie.

- Doskonale - odparła tak spokojnie, jak tylko była w stanie. - Wyruszmy wcześniej?



- Przed świtem, jeśli pani sobie życzy.
- Oczywiście. A skoro podróżujemy w mojej sprawie, musi pan pozwolić, że poniosę koszty wynajmu powozu. - Z pewnością ledwie byłoby ją na to stać.
- Nonsens. I tak bym pojechał.

Belli ulżyło. Z wdziękiem ustąpiła, a potem wyszli z gospody i ruszyli spacerkiem Pod Busolę.

Nim tam dotarli, Bella była już bardzo podekscytowana.

Jeszcze tego ranka jej główny cel sprowadzał się do tego, by skompromitować Augustusa i uniemożliwić mu krzywdzenie innych. Nadal tego pragnęła, lecz teraz czuła, że na drodze do Londynu czeka na nią coś zdecydowanie bardziej kuszącego.

Możliwość dowiedzenia się więcej o pewnym intrygująco zmiennym mężczyźnie.

Thorn odprowadził Bellę do jej pokoju w gospodzie świadom zagrożenia oraz tego, że nie ma ochoty przed nim uciekać. Niebezpieczeństwo przybrało postać intrygującej, godnej pożądania kobiety:

Kelano z Plejad, lecz także Kelano Amazonki, walczącej o sprawiedliwość. Harpii Kelano, sprawczyni jego upadku? Niebezpieczeństwo dodawało życiu pikanterii, poza tym nie potrafił wyobrazić sobie Belli jako siły niszczycielskiej.

Nakłonienie jej, by z nim podróżowała, było dopraszaniem się o katastrofę. Odrzuciła z oburzeniem sugestię, iż mogłaby polować na kapitana, aby wciągnąć go w małżeńską pułapkę, lecz jeśli się dowie, że towarzyszem jej podróży jest książę, może zmienić zdanie. Najbardziej zadziwiające było zaś to, że wcale go ta perspektywa nie przerażała. Unikał tego rodzaju pułapek przez całe dorosłe życie, lecz tej nie miał ochoty unikać.

Było coś pomiędzy nimi. Coś, czego doświadczał niezmiernie rzadko, i nie doświadczył nigdy z młodą, samotną kobietą. Ona także to czuła. Był o tym przekonany.

To coś zrodziło się podczas maskarady, a potem wzmocniło w gospodzie Pod Kozłem, choć Bella była wówczas bardzo ostrożna. Właśnie z powodu tego czegoś umknęła, a on wrócił do gospody następnego dnia, mimo iż dobrze wiedział, że ryzykuje.

I dlatego czuł się tak bardzo rozczarowany, kiedy Ke-lano nie przyszła na schadzke.

Dlatego zamierzał wrócić z nią jutro jednym powozem, a potem zniszczyć sir Augustusa - z pomocą Belli lub bez niej.

Bardzo żałował, iż nie jest w stanie usunąć z jej życia cierpienia, przywrócić wszystko, co utraciła.

Było to jednak niemożliwe, nawet dla księcia Ithorne. Lecz jako księżę dysponował mnóstwem sposobów, by zniszczyć życie jej bratu, nie angażując w to Belli.

Rozsądek podpowiadał mu, że tak byłoby najlepiej. Powinien odwieźć ją do domu w Londynie i skłonić, aby bezpiecznie w nim pozostała. Zasłużyła jednak, by uczestniczyć w zemście, być świadkiem tego, jak dokonuje się sprawiedliwość i on jej to zapewni. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

## Rozdział 15

Wyruszyli, jak zamierzali, przed świtem. Gdy Bella zobaczyła, że do lekkiego powoziku zaprzężono aż cztery konie, ucieszyła się, że nie musi za nie płacić. Kapitanowie są widać zamożniejsi, niż sądziła. Noc minęła jej na marzeniach i rozmyślaniach o małżeństwie.

Kiedyś, dawno temu, uznała, że byłoby głupotą wychodzić za mąż, jeśli kobieta ma dość środków na samodzielne życie, jednak to przekonanie okazało się niezwykle kruche. Pękło, nadwątlone widokiem szczęśliwie zakochanych oraz poznaniem mężczyzny, który mógłby - jedynie mógłby - sprawdzić się jako mąż.

Był przystojny, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Co ważniejsze, był też uprzejmy, wrażliwy, umiał przekomarzać się i śmiać z ciotką, właścicielką gospody. Pociągał też Bellę fizycznie, tym bardziej że mężczyzna, który uratował ją i pocałował przed czterema laty, zlał się w jej wyobraźni w jedno z pasterzem, lokajem i śmiałym, bohaterskim wręcz kapitanem Rose, tworząc obraz idealnego męża.

A teraz przekonała się, że jest też bogaty.

Mimo to do niedawna małżeństwo nie wchodziłoby w grę. Teraz tamta Bella, mająca tak kiepską opinię o świętym związku małżeńskim, nie istniała. Zdawała sobie sprawę, że nie poślubi nigdy dżentelmena, a tym bar-

dziej lorda posiadającego wiejski majątek i rezydencję w Londynie. Sfery, w których obracała się przed rzekomą ucieczką, nigdy jej już nie zaakceptują.

A skoro tak, dlaczego nie miałyby zostać panią Rose?

Zdradziecki umysł podsunął jej wizję małego domku w Dover, kochających, męskich ramion, gromadki dzieci. Darzących ją szacunkiem sąsiadów. Zakupów i gotowania...

Tu jej marzenia napotykały niespodziewaną przeszkodę, nie potrafiła bowiem gotować. Potem uznała jednak, że Peg zgodzi się pójść za swoją panią, z pewnością znajdzie też kogoś na miejsce Kitty i Annie.

Posiadanie służby oznaczało, że domek z marzeń musiałby być zdecydowanie większy. Jej ewentualny mąż był jednak w końcu kapitanem, nie prostym marynarzem, na dodatek przyrodnim bratem księcia. Ten zaś mógłby od czasu do czasu ich odwiedzać. Dodała skromny salonik oraz jadalnię i wypełniła je prostymi, gustownymi meblami. Teraz przydałby się jeszcze lokaj...

Wspomniała gospodę Pod Kozłem i łóżko, pomyślała o tym, co mogło się w nim wydarzyć... Nic dziwnego, że kiedy spojrzała rankiem na kapitana, jej twarz oblała się rumieńcem.

Usłyszała, jak wyjaśnia gospodarzowi, że przywiózł dla panny Barstowe wiadomość, nakazującą jej stawić się pilnie w Londynie i że zaproponował wspólną podróż. Nie zastanawiała się dotąd, co pomyśla miejscowi, a jeśli jej marzenia miały się spełnić, było to bardzo ważne. Postarała się zatem wyglądać na osobę skromną, nudną i zdystansowaną.

Jechali szybko, a Bella przekonała się, że powozik wydaje się bardzo ciasny, kiedy podróżuje się z postawnym mężczyzną, zwłaszcza takim, który promieniuje wręcz siłą i zdecydowaniem.

Odsuwając od siebie świadomość jego bliskości, poszukała ucieczki w rozsądku. Nocą udało jej się pomyśleć też o ewentualnych problemach, teraz mogła zatem powiedzieć:

- Boję się, że ktoś mnie rozpozna, kiedy pojawię się w pobliżu Carscourt. Nawet osoby mi życzliwe uważają nadal, że uciekłam z mężczyzną. Jeśli zobaczą mnie z panem, będzie to oznaczało katastrofę. Thorn przytaknął.

- Poza tym, gdyby ktoś doniósł bratu, że widziano panią w okolicy, na pewno by go to zaniepokoiło. Przyczaiłby się i trudniej byłoby go przyłapać. Powinna pani zostać w Londynie i zdać się na mnie. Miał rację, tylko że Bella nie tego chciała.

- Chyba potrafię zmienić wygląd - powiedziała, nie wspominając, że ma już w tym doświadczenie. - Peruka i makijaż powinny wystarczyć, o ile nie zbliżymy się zbyt do Carscourt. Mogę dokonać zmiany podczas jednej nocy w Londynie.

Ciemna peruka Kelano. Odrobina mazidła, nadającego skórze żółtawy odcień.

Kapitan zmarszczył brwi. Pomyślała, iż będzie nalegał, żeby została w Londynie. Wzruszył jednak tylko ramionami.

- Jak pani chce.

- A co z panem? W tym stroju z pewnością będzie pan rzucał się w Oksfordshire w oczy.

Uśmiechnął się i spojrzał w dół na czarny surdut.

- Lubię być zauważany, lecz to nie problem. Wystarczy, że zmienię strój na modny i bardziej umiarkowany.

- I wyjmie pan czaszkę z ucha? - zasugerowała żartobliwie.

- A muszę? - odparł z błyskiem w oku.

- Obawiam się, że tak. Wypiął kolczyk i poda! Belli.

- Powierzam go pani. Bella wzięła kolczyk.

- Czaszka... - powiedziała, myśląc: wołałabym, żebyś powierzył mi swoje serce. Zamknęła klejnot w dłoni, zdecydowana bezpiecznie go przechować.

- Dlaczego pan go nosi? - spytała. - Wygląda pan z nim jak pirat.
- Ponieważ mnie to bawi. A także dlatego, że czasem dobrze jest być rozpoznawalnym.
- Jak wtedy Pod Czarnym Szczurem - zauważyła.
- Właśnie. Jeśli naprawdę chce pani jechać ze mną do Oksfordshire, rodzi to kolejny problem. Tworzymy niezwykłą parę, a nie chcemy przecież, by ludzie o nas plotkowali.

Bella spojrzała na niego pytająco.

- Nie jesteśmy ani trochę podobni, więc nie możemy udawać rodzeństwa, a że jesteśmy w zbliżonym wieku, każda inna relacja wyda się podejrzana. - Po chwili dodał: - Jedynym rozwiązaniem jest podać się za małżeństwo.

Bella o mało nie spadła z siedzenia.

- W żadnym razie!

Choć jej reakcję można było przypisać oburzeniu, tak naprawdę wstrząsnęło nią, iż propozycja kapitana odzwierciedla aż nadto jej marzenia.

- Zapewniam, że nie mam na myśli nic niestosownego, ale jak inaczej moglibyśmy się przedstawić? Miał rację i Bella zaczęła się uspokajać. Pomysł pociągał jednak za sobą wiele niebezpieczeństw.

- Przyrodnie rodzeństwo - zasugerowała.

Uniósł brwi, a ona się skrzywiła. Wiedziała, jak to jest na prowincji. Choćby naprawdę byli rodzeństwem, i tak by im nie uwierzono.

- Przykro mi, że pomysł aż tak panią zdenerwował, ale nie widzę innego wyjścia. Jeśli zaczniemy za bardzo kombinować, zwrócimy na siebie uwagę, to zaś zwiększy prawdopodobieństwo, iż może pani zostać rozpoznana. Poza tym, jeśli wybaczy mi pani szczerą, powiedziała pani, że i tak nie ma nic do stracenia.

Bella skrzywiła się, lecz była to prawda. Jej reputacja legła nieodwracalnie w gruzach, i to już przed czterema laty. To zaś oznaczało, że nikt nie zechce się z nią ożenić. Jej piękne marzenia się rozwiały.

- Doskonale - odparła, starając się nie pokazać, co czuje. Uświadomiła sobie, że tym mocniej pragnie zniszczyć Augustusa. Tak, jak on ją zniszczył.

Kapitan skinął głową.

- Mogę więc zwracać się do pani: Bello? Był to okruszek, ale i tak go przyjęła.

- Chyba tak będzie najlepiej... - A potem dodała:

- Nie, nie może pan. Ktoś mógłby skojarzyć imię.

- Rzeczywiście. Ma pani bystry umysł - zauważył z aprobatą. Kolejny okrusz. - To jak mam się do pani zwracać?

- Zwyczajnie. „Żono” lub „pani Rose”.

Wiedziała, że przebywanie tak blisko niego tylko przysporzy jej cierpień, ale i tak wołała to niż pożegnanie w Londynie i świadomość, że nigdy już nie zostanie z nim sam na sam.

- Skoro mamy podawać się za zwyczajną parę małżeńską, powinna pani być skromną młodą żoną. -

Przesunął po niej leniwie spojrzeniem. - Strój pasuje, lecz pełen ożywienia wyraz twarzy już nie.

Może okulary. - Bella drgnęła znowu, gdyż okulary stanowiły część przebrania Bellony. - Ze zwykłymi szklami, oczywiście - wyjaśnił.

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko zapytać:

- Gdzie mogłabym je znaleźć?

- Zdobędę jakieś dla pani. I oczywiście obrączkę. Coraz gorzej. Bella potarła serdeczny palec lewej ręki. - To wydaje się nie w porządku.

- Wszystko dla sprawy - odparł tak zwyczajnym tonem, że mogłaby go uderzyć.

- W trakcie podróży często dokucza mi ból głowy

- skłamała. - Możemy porozmawiać później? Zgodził się, oczywiście, i pozostawił Bellę sam na sam z jej cierpieniem. Odwróciła się do okna i próbowała udawać, że kapitana nie ma w powozie.

Nie mogła symulować migreny w nieskończoność, udała zatem, że krótka przerwa na herbatę podczas gdy zmieniano konie pomogła jej pozbyć się bólu. Mówiąc

wprost, otrzymała dar - trochę czasu z tym mężczyzną. Wykorzysta go najlepiej, jak się da, na przykład po to, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Kiedy ruszyli, spytała więc:

- Jakież to interesy skłaniają pana do tej podróży? Coś związanego ze statkiem?

- Z ładunkiem. I zajmą trochę czasu.

- A pański statek? „Czarny Łabędź”? Tam pana nie potrzebują?

- Łajba jest teraz w doku, poddawana czyszczeniu. Oskrobują jej zadek - dodał z szelmowskim błyskiem w oku.

Belli z trudem udało się zachować powagę. Miał się roześmiać, zaczęła wypytywać go o statki i morze.

Po jakimś czasie zorientowała się, że opowiada o sobie, o bezpiecznym życiu sprzed porwania. Wypytywał o geografię Oksfordshire, rolnictwo, przemysł. Zawstydzila ją własna ignorancja i musiała przyznać, że nie była pilną uczennicą.

- Bardziej interesowało panią, jak wymknąć się z domu na spotkanie z przystojnym młodzieńcem, gdzieś na obrzeżu posiadłości - zauważył.

- Zapewniam, że dopiero po tym, jak skończyłam piętnaście lat. Przedtem podczas lekcji jedynie śniłam na jawie.

- O spotykaniu się z młodzieńcami na obrzeżach rodzinnej posiadłości.

- Nie. O spotykaniu się z nimi podczas przyjęć, balów, proszonych herbatek. Na przykład w Londynie. Na dworze. - Uśmiechnęła się, wspominając, jak niemądre były to marzenia. - I oczywiście o tym, że wszyscy mnie adorują.

- Ile z tych marzeń się spełniło? - zapytał ostrożnie, by nie zniechęcić jej do wspomnień. Pragnął dowiedzieć się o Belli Barstowe jak najwięcej.

- Kilka - odparła. - Kiedy miałam szesnaście lat, zaczęłam bywać w okolicznych dworach, a zimą 1760 pojechałam do Londynu.



- Kiedy żył jeszcze król Jerzy II?

- Tak. Zostałam mu przedstawiona. Trwało to chwilę i chyba zażartował. Nie byłam pewna, gdyż miał tak silny niemiecki akcent, że trudno było go zrozumieć. Domyślałam się, że obecny król mówi bez akcentu. - Zważywszy, że urodził się w Anglii i został tu wychowany...

Uśmiechnęła się do niego.

- Czy to nie dziwne, iż uważamy coś takiego za niespotykane?

- Prawda?

- Może powinno się zabronić zasiadania na tronie monarchom, którzy się tu nie urodzili.

- Zdziwiająca i potencjalnie zdradziecka uwaga!

- Prawda? - rzuciła, drocząc się z nim.

Pomyślał, że dziewczyna rozkwita na jego oczach, przeobraża się w kwiat. Nie z pączka wszakże, lecz z ostu. Nie była to róża, ale coś bardziej rzucającego się w oczy. Może mak. Jaskrawoczerwony i tańczący na wietrze. Oto jak powinno wyglądać jej życie, zamiast być ponurą egzystencją, jaką niewątpliwie wiodła.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - spytała.

- Zastanawiałem się, jak wyglądałaby historia Anglii, gdyby wprowadzono taką zasadę. -

Zaryzykował zmianę tematu na taki, który zdecydowanie bardziej go interesował. - Była pani kiedyś na balu maskowym? Zarumieniła się znowu i było jej z tym bardzo ładnie.

- Dlaczego pan pyta?

- Z czystej ciekawości.

- Zatem: tak. Kilka razy.

- I podobało się pani?

Widział, że zaczyna mieć się na baczności i uznał, że to interesujące. Odparła jednak: - Owszem.

- Jaki był pani ulubiony kostium?

- A pański? - odparowała.

Wspomniał zgrzebne szaty pasterza, powiedział jednak:

- Pirata. A pani?
- Średniowiecznej królowej.
- Nie była pani na to za młoda?
- Wszyscy byli kiedyś młodzi, nawet królowe.
- Rzeczywiście. Wiele księżniczek poślubiło króla w bardzo młodym wieku. Musiały wyjechać potem do obcego kraju.
- Kolejny przykład niesprawiedliwości dotyczącej kobiety - zauważyła.
- Do licha, chyba tak pani nie myśli?
- Nie sądzi pan, że mam powód? Przypomniał sobie, co mu opowiedziała.
- Tak, tak, przyznaję. Wróćmy do naszych planów. Proszę opowiedzieć mi o rodzinach ziemiańskich ze wschodniego Oxfordshire.

Słuchał, wyobrażając sobie Bellę w wieku lat szesnastu, rozkoszującą się balami, przyjęciami i herbatkami. Przebraną za średniowieczną królową podczas balu maskowego. Przypomniał sobie, że jej figura szybko nabrała kobiecych krągłości. Właśnie one przysporzyły jej kłopotów Pod Czarnym Szczurem. Krągłości i to, że nie pozwoliła się zastraszyć.

W wieku szesnastu lat była zapewne nieco zbyt płocha, ale nie głupia. Ot, dziewczę bystre i błyskotliwe, chętne do flirtu, znające jednak granice. Zapewne miała już wówczas wielbicieli i była na najlepszej drodze, aby wyjść dobrze za mąż i wieść szczęśliwe życie. Póki nie pozbawił jej tego brat. Z pewnością istnieje sposób, by zwrócić jej przyszłość. Jest wciąż młoda i ładna, lecz ma zszarganą reputację. Zemsta tego nie zmieni...

Chyba, że uda się zmusić brata, aby powiedział prawdę.

Nie wspomni na razie o takiej możliwości. Lepiej, by nie robiła sobie przedwcześnie nadziei. Jednak przywrócenie dziewczynie pozycji w towarzystwie stało się teraz dlań głównym celem przedsięwzięcia.

Oczywiście, mógłby wprowadzić Bellę w kręgi wyższe niż te, z których się wywodziła. Stałoby się tak, gdyby ją poślubił.

Musiał się skrzywić, gdyż Bella spojrzała na niego pytająco. O czym właśnie mówiła? O polowaniach? Uratowało go to, że powóz zajechał właśnie przed kolejną stacją, gdzie miano zmienić konie. Wskoczył z powozu, by porozmawiać ze stangretami.

Cóż za śmieszny pomysł. Bella nie wiedziałaaby o tym, jak być księżną wiele więcej, niż świeżo wyklute pisklę.

\*\*\*

Przyglądała się, skonsternowana, jak kapitan odchodzi. Co takiego powiedziała?

Coś o swoich rodzicach. Nie byli przesadnie serdeczni, lecz z drugiej strony, dzieci niewiele miały z nimi do czynienia.

Czyżby poczuł się zdegradowany, bo w skromnych domach organizacja życia wygląda inaczej? W gardle ścisnęło ją na myśl o dzielącej ich przepaści. Nie uważała tego za przeszkodę, ale być może poprzednie życie zbyt ją ukształtowało, by nadawała się na żonę kapitana.

Gdy wrócił i pojazd znowu ruszył, milczała. Tym razem to on odezwał się pierwszy:

- Opowiadała pani chyba o swoim dzieciństwie - zagaił. - Byli tam jacyś służący, którzy troskliwie się panią opiekowali?

Chętnie opowiedziałaby o Peg, lecz prowadziłyby to do kolejnych pytań, wspomniała więc o niej krótko, podobnie jak o innych, a potem zapytała:

- Miał pan kochających rodziców?

Natychmiast się skrzywiła. Caleb urodził się przecież jako nieślubny syn księcia, bękart, którego wysłano za morze, bo przypominał z wyglądu prawowitego dziedzica. Nic dziwnego, że odparł jedynie krótko:

- Nie. - Opowiedział jej trochę o swoim dzieciństwie, widziała jednak, że zachowuje rezerwę. Szybko też zmienił temat i zapytał: - Jestem pewien, że rodzice mieli z panią krzyż pański i poświęcali jej sporo uwagi.

Bella musiała się roześmiać.

- Niestety. Szybko nauczyłam się jednak, jak sobie radzić, by nie przeciągnąć struny. A może po prostu znużył ich ciągły nadzór. Moje starsze siostry zachowywały się zawsze, jak powinny. Wspomnienia prowadziły nieuchronnie do Atheny i Maidstone, a potem Pod Czarnego Szczura. Odtąd już każde słowo, także powiązanie spychało ją w otchłań emocji, które mogły prowadzić tylko do cierpienia.

- Nadal ma pan ten nóż? - spytała.

Wyciągnął prawą rękę i zobaczyła wystającą spod mankietu rękojeść. Wysunął nóż lewą dłonią. Jest więc leworęczny. Nie zauważyła tego przedtem. Każdy szczegół był cenny. Powiedziała mu o pistolecie i o tym, dlaczego kupiła broń, a potem wyjęła ją, by mu pokazać.

Reszta podróży upłynęła na toczącej się wartko rozmowie. Było to miłe, chociaż zdawała sobie sprawę, że kapitan wiele przed nią ukrywa. Nie mogła mieć o to pretensji, skoro sama ukrywała znacznie więcej.

Kiedy powóz zaturkotał na bruku, pomyślała z odrazą, że będzie musiała wrócić do poprzedniego życia choćby na krótko. Kusiło ją, by opowiedzieć mu o lady Fowler i poprosić o radę. Na szczęście zaczął znów mówić o Augustusie.

- Dowiem się, gdzie w Oksfordshire znajdują się te piekielne jaskinie hazardu. Bo chyba nie wie pani o żadnej? - W Oksfordshire przebywałam we własnym piekle. Nie potrzebowałam jaskini - odparła, zanim zdążyła się zastanowić. Dotknął dłoni Belli, patrząc jej z powagą w oczy.

- Zmusimy go, by za to zapłacił.

Zdjęli wcześniej rękawiczki, poczuła więc na skórze kojące ciepło. A potem ścisnął palcami jej palce, wzmoc-

niając jeszcze to, co było czymś więcej niż tylko fizycznym ciepłem. To coś sprawiało, że coraz trudniej przychodziło jej skrywać niemądre mrzonki, jakie nie wiedzieć czemu zagościły w jej sercu. Wpatrywała się w podłogę powozu, wyglądając prawdopodobnie na onieśmieloną, a może nawet zatrwożoną i rozpaczliwie starając się nie wyjawić niczego.

Podniósł do ust jej dłoń, a wtedy spojrzała mu w oczy.

- Przysięgam, że zostaniesz pomszczona - powiedział i ucałował jej palce.

Powóz wydawał się teraz niewiarygodnie ciasny. Wydawało jej się, że wystarczy, by któreś z nich się poruszyło, a znajdą się wystarczająco blisko, by się pocałować. Tak blisko, że pocałunek będzie czymś nieuchronnym.

Kapitan odsunął się jednak, a Belli wrócił rozsądek. Najwidoczniej on nie myślał wcale o pocałunku. Milczeli, póki nie dojechali do gospody, gdzie mieli zostawić powóz.

Łudziła się, że kapitan pozwoli jej wrócić do domu samej, w lektyce, lecz oczywiście tego nie zrobił. Kiedy ją odprowadzał, martwiła się, iż zechce wejść. Jak mogłaby wyjaśnić, że to jej dom, pełen zatrudnianej przez nią służby?

Na szczęście nie przyszło mu to do głowy. Odczekał tylko, aż Bella otworzy drzwi. Odwróciła się i mu pomachała.

Skłonił się w ten cudownie wytworny sposób, wyglądając niezwykle tajemniczo w migotliwym blasku pochodni, trzymanej przez chłopca, oświetlającego drogę.

Dom stał milczący i cichy. Liczyła, że zdoła wśliznąć się na górę niezauważona, tymczasem znad poręczy wychyliła się ku niej zwieńczona czepkiem głowa, oświetlona migoczącym płomieniem świecy. Była to Kitty, do tego, jak wydawało się Belli, z pogrzebaczem w dłoni. Ruszyła w dół po schodach, ryzykując, że potknie się o skraj koszuli i skręci kark.

- Och, panienko! Chwała Bogu, nic się panience nie stało!

## *Rozdział 16*

Bella przetrwała grożący zaduszeniem uścisk i uwolniła się.

- Nic mi nie jest - skłamała. - Napisałam, żeby was o tym upewnić.

- Ale nie było pani tak długo! Och, przepraszam, panienko. Wiem, że nie powinnam. Ale tak bardzo się martwiliśmy!

Bella westchnęła.

- Przykro mi, Kitty, lecz mam do załatwienia sporo ważnych spraw i rano znów będę musiała wyjechać. Pozwól więc, że się położę.

- Znowu? - wargi Kitty zadrżały, jakby miała się rozplakać. Powściągnęła jednak emocje. - Jak pani sobie życzy, panienko. Pójdę i przyniosę gorącej wody. W sypialni jest ciepło. Spodziewaliśmy się pani każdego dnia.

Odeszła, nim Bella zdążyła zaprotestować. Zresztą, przyjemnie będzie umyć się po podróży.

Powłokła się schodami, myśląc z niechęcią o kolejnym dniu spędzonym w powozie.

Nawet, jeśli miała podróżować z kapitanem Rose.

Calebem.

Jakoś nie była w stanie myśleć o nim jako o Calebie. Lepiej w ogóle o nim nie myśleć. Łatwiej byłoby nie oddychać, przyznała, wyciągając szpilki z kapelusza. Zdjęła czepek, wsunęła dłoń do kie-

szeni i wyjęła czaszkę z kości słoniowej, z rubinowymi oczami.

Przyglądała się jej przez chwilę, jakby była wyrocznią, zdolną udzielić jej rady, a potem zawinęła w chusteczkę i schowała na powrót do kieszeni.

\*\*\*

Thorn maszerował ciemnymi, niebezpiecznymi ulicami Londynu mając za towarzystwo jedynie chłopca, niosącego pochodnię. Musiał wiele przemyśleć.

Bella Barstowe w roli jego żony. I księżnej. To zabawne, lecz kiedy taki pomysł raz przyszedł mu do głowy, zapuścił korzenie i Thorn nie był w stanie się go pozbyć.

Poznał mnóstwo odpowiednich kobiet, lecz żadna nie wzbudziła w nim uczuć głębszych niż powierzchowne. Gdyby poślubił którąś z nich, w przyszłości czekałaby go jedynie nuda. Możliwa do zaakceptowania, gdyby każde z małżonków miało własne życie, lecz nic poza tym.

Wiele z tych kobiet było ładnych, a kilka wręcz pięknych. Lecz on nie szuka! ozdoby.

Większość potrafiłaby poprowadzić księciu dom, zachować się na dworze, obcować z najmożniejszymi. Było to ważne, choć teraz zastanawia! się dlaczego. Do tej pory książęce domostwo doskonale obywało się bez pani domu.

Młode damy rozumiały dwór tak, jak rozumiały modę i frywolność, lecz nauczanie się dworskich reguł wymagałoby jedynie inteligencji oraz pilności, a tych Belli z pewnością nie brakowało. Została też przedstawiona na dworze, co prawda przed laty i jako gość z prowincji, nienależący do dworskiego światka, lecz nie byłoby to dla niej czymś zupełnie nowym.

Pozostawała jedynie kwestia jej reputacji.

Stanowiła poważną przeszkodę, gdyż ludzie potrafią być okrutni, zwłaszcza wobec tych, których postrzegają jako intruzów, a wielu nie spodobałoby się, że dziewczycy-

nie z prowincji dostała się największa zdobycz. Z drugiej strony osoby z najwyższych kręgów bywały często bardziej tolerancyjne niż zwykła szlachta, a książęcy płaszcz potrafi przysłonić wiele niedostatków.

Robin i Christian zaakceptowaliby Bellę, a to byłby już jakiś początek.

Nie, na początek należałoby wyznać Belli, kim jest, zanim sytuacja niebezpiecznie się skomplikuje. Tylko że on wołałby jeszcze z tym poczekać. Skrzywił się niezadowolony z siebie. Wiedział, że postępuje niemądrze, lecz pragnął się przekonać, czy potrafi zdobyć Bellę Barstowe jako zwykły kapitan, nie księżę Ithorne.

\*\*\*

Bella rozpuściła włosy, starając się nie myśleć o dotyku ciepłych dłoni kapitana i muśnięciu warg, kiedy całował jej palce. Nie wspominać pocałunku, do którego nie doszło.

Zadrżała, rozebrała się do koszuli i wyjęła szpilki z włosów. Szczotkowała je, gdy weszła Kitty. Za siostrą postępowała Annie, niosąc ogrzewadło do łóżka. Patrzyła przy tym na Bellę w sposób sugerujący jasno, iż przyszła osobiście przekonać się, że chlebodawczyni jest w domu i nic jej nie grozi.

Poprosiła Kitty, aby pomogła jej rozsznurować gorset, a potem odesłała dziewczęta do łóżek.

Kiedy została w pokoju sama, rozebrała się do naga i zmyła z siebie podróżny pył. Przesuwając po piersiach myjką, wspomniała chwilę, gdy wparowała do pokoju kapitana w gospodzie, a on się mył... Mył muskularną klatkę piersiową...

Ogarnęło ją uczucie tak dziwne, że spojrzała w dół, na piersi. Sutki sterczały, twarde niczym węzélki. Przesunęła po nich myjką i aż podskoczyła, gdy fala gorąca ogarnęła całe jej ciało. Gdzie jest teraz kapitan? Myje się, jak ona? Przesunęła myjką po skórze wyobrażając sobie, że on robi to samo.



Wzdrygnęła się mocno i rzuciła myjkę. Włożyła pospiesznie koszulę i wsunęła się łóżka. Nie sądziła, że uda jej się szybko zasnąć, jednak następne, co odnotowała, było to, że Kitty potrząsa ją za ramię.

- Przyszła paczka, proszę pani. Pomyślałam, że lepiej panią obudzę.

Bella usiadła, przecierając oczy. Czuła się tak, jakby miała pod powiekami piasek.

- Paczka? Która godzina?

- Prawie dziewiąta, proszę pani.

Bella natychmiast się wyprostowała. Obiecała, że będzie gotowa o dziesiątej.

- Woda, śniadanie. Przynieście ubrania, które kupiłam w sklepie z używaną odzieżą. - Wzięła od Kitty pudło. -1 nożyczki, bym mogła przeciąć sznurek.

Po chwili pudło było już otwarte. Zawierało jasne włosy. Wyjęła je ostrożnie i zobaczyła, że to peruka. Rozłożyła załączony liścik.

Zdecydowane pismo, choć, jak można się było spodziewać, niezbyt wyrobione.

***Droga panno Barstowe,***

***Będę u Pani o dziesiątej, powozem. Wspomniała Pani o peruce, ale czy ma pani jakąś?***

***Uniżony sługa kapitan Rose***

Miała, oczywiście, perukę, lecz mysi blond pasował do okoliczności lepiej, niż dramatyczna czerń.

Poza tym, jak sobie nagle uświadomiła, jeśli to kapitan był pasterzem, mógłby rozpoznać ją w czerni.

Uff, niewiele brakowało.

Wstała, umyła się i włożyła koszulę oraz pończochy. Uznawszy, że w gorsecie będzie jej podczas podróży zbyt niewygodnie, zdecydowała się na lekki stanik. Jeśli strój będzie się przez to gorzej układać, trudno. Kitty przyniosła i rozłożyła wszystkie jej suknie.

Czy powinna założyć tę ładną, w której udała się na spotkanie z lokajem Pod Kozłem? Nie, mógłby ją rozpoznać. Doskonale, zatem włoży znów tę poważną, brązową. Jest zdecydowanie bardziej praktyczna.

Zabierze jednak także tę drugą. Może nadejdzie wkrótce dzień, kiedy nie będzie miało znaczenia to, czy kapitan ją rozpozna.

Usiadła przy toalecie, aby uczesać i spiąć włosy. Następnie ukryła je pod blond peruką i uznała, że całość wygląda naturalnie. Włosy zostały już ułożone w skromną fryzurę, która z pewnością nie przyciągnie niczyjej uwagi.

Zbyt skromną.

Przygnębiająco skromną. Na dodatek jej cera wydawała się przy jasnych włosach zbyt blada.

- W pudle jest coś jeszcze - zauważyła Kitty. - Okulary. Bellona nosiła okulary-połówki, te były zaś pełne,

okrągłe. Kiedy je założyła, wyglądała trochę jak sowa, do tego bezbarwna i blada. Cóż, przebranie okazało się nadspodziewanie skuteczne. Gdyby spotkała kogoś, kto znalazł przed czterema laty Bellę Barstowe, z pewnością nie rozpoznałby w bladym, pospolitym stworzeniu tamtej pełnej życia dziewczyny.

Włożyła nudną brązową suknię, zwykły czepek i jeden z brązowych kapeluszy Bellony. Kiedy przywdziała na koniec równie nudny brązowy płaszcz, uznała, że wygląda tak, iż ludzie będą się zastanawiać, dlaczego kapitan w ogóle się z nią ożenił.

- Wszystko dla sprawy - wymamrotała. - Mój kufer gotowy?

Kitty z trudem powstrzymywała łzy.

- Och, proszę pani, co pani robi? Nie mogłabym pojechać z panią? To nie w porządku. Wyjeżdża pani z mężczyzną!

- Owszem, lecz gdybym miała na myśli coś zdrożnego, nie zakładałabym takich rzeczy, prawda? Nie bądź niemądra. I nie wspominaj o tym nikomu.

Ponieważ była już prawie dziesiąta, należało pożegnać się z Peg. Wolałaby wysliznąć się z domu po cichu, lecz sprawiłaby tym przykrość gospodyni, która właśnie znęcała się w kuchni nad ciastem, wściekle je ugniatając.

- Znowu się pani w coś pakuje, he?

- Nigdy przedtem nie wpakowałam się w nic dobrowolnie - odpaliła.

- Owszem, i to wielokrotnie. Tylko że raz źle się to skończyło. Przyznaję, że to nie była pani wina, choć gdyby nie szwendala się pani po posiadłości...

Bella postanowiła przeczekać. Wreszcie strumień żalów wysechł i Peg zamilkła. Wtedy odprawiła pod byle pretekstem Annie i powiedziała gospodyni, czego się dowiedziała i co zamierza.

- Sir Augustus! - wykrzyknęła Peg, lecz potem dodała: - Nie to, żebym była zaskoczona, nie naprawdę. Był niemiły już jako dziecko, a potem te plotki...

- Jakie? - spytała Bella, wielce zainteresowana. Peg zerknęła na nią spod oka.

- Tak, zamierzam podjąć ryzyko. Lecz jeśli powiesz mi, dokąd Augustus chodził grać, będzie ono mniejsze.

Peg uderzyła kilka razy dłonią w ciasto.

- Jest takie miejsce w Upstone. Gospoda Pod Starym Dębem. Goszczą tam mężczyźni, ale chodzi ponoć nie tylko o noclegi, choć bardzo się z tym kryją. Nie chciałyby panienka się tam znaleźć.

- Owszem, chciałabym. Nie martw się, nie będę sama.

Powiedziała to specjalnie i doczekała się spodziewanej reakcji. Peg prychnęła, a potem zacisnęła wargi i wyładowała złość na cieście.

- Zamęczysz je - zauważyła Bella.

- Od razu widać, że nie ma panienka pojęcia, jak piecze się chleb. I tak panienka robi, co zechce, dobrze o tym wiem.

- Nic mi się nie stanie - zapewniła Bella łagodnie. - Będę z dżentelmenem, który uratował mnie przed laty.

- Z kapitanem Rose? Mówi pani, że to pirat! Annie, która zdążyła już wrócić, pisnęła przerażona.  
- Nic podobnego - odparła Bella. - Nie jest nawet przemytnikiem. - Przynajmniej nie przez cały czas, dodała w myśli. - Poczul się jednak urażony, że wplątano go w tego rodzaju sytuację i chętnie mi pomoże. - Trzeba jakoś odwrócić uwagę Peg, pomyślała, inaczej spróbuje mnie zatrzymać. - Kiedy wrócę, wiele się zmieni.

- Zmieni? - powtórzyła Peg nieufnie.

- Na lepsze. Zamierzam rozstać się z lady Fowler.

- Dzięki ci, Boże, choć za to. Dokąd się przeniesiemy?

- Nie wiem. Może ty powinnaś wybrać miejsce. Pomyśl o tym, gdy mnie nie będzie. O, słyszę dzwonek.

Wybiegła, nim Peg zdążyła zgłosić kolejne obiekcje. Otworzyła drzwi osobiście i zobaczyła kapitana. Na ulicy czekał też powóz. Ujrzawszy Bellę, uniósł brwi i się uśmiechnął.

- Lepiej, niż się spodziewałem. Nie poznałbym pani, gdybym nie wiedział, kogo mam przed sobą.

- Przypuszczam, że miało to oznaczać, iż zazwyczaj nie wyglądam tak okropnie.

Roześmiał się.

- Nie na tyle, by straszyć dzieci. Jest pani gotowa?

Zniósł kuferek i umieścił go z tyłu powozu. Małą walizczkę wzięła ze sobą do środka. Usiadła, zerkając z ciekawością na stojący na podłodze koszyk. Jedzenie na podróż?

Kapitan wsiadł i woźnica strzelił z bata. Jeśli koszyk zawierał jedzenie, musiało być nadal żywe.

- Czyżbym słyszała piśnięcie? - spytała czujnie.

- Możliwe. Wymyśliłem, jak usprawiedliwić fakt, że będziemy podróżowali po okolicy. Powiemy, że szukamy kotokrólików z Hesji. Bella ściągnęła brwi.

- Postradał pan rozum?

- Nic podobnego - odparł z błyskiem rozbawienia w oczach. - Doniesiono niedawno, że istnieją stworzenia

stanowiące krzyżówkę kota z królikiem. Wśród uczonych zawrzało. Zwłaszcza interesuje ich, czy coś takiego jest w ogóle możliwe. Bardzo wpływowy dżentelmen, którego imienia nie będziemy wymieniać, rozesłał po kraju agentów, by szukali innych osobników.

- Półkrólik, półkot? Która połowa jest która? Roześmiał się i wyglądał przy tym śmiesznie młodo.

- Co za rozkoszne pytanie! Nikt go dotąd nie zadał. Ogólnie rzecz biorąc, przód jest koci, tył zaś głównie króliczy. Stworzenie ma długie tylne łapy, wysoko umieszczony zad i mały ogonek. A czasem nie ma go wcale.

- Pan mówi poważnie.

- Absolutnie.

- Skąd Hesja? - spytała, nadal niepewna, czy kapitan nie stroi sobie z niej żartów.

- Ponieważ właśnie stamtąd pochodzą pierwsze osobniki. Ludzie drżą tam z lęku przed straszliwym królikiem o wielkich pazurach.

- Kapitanie Rose, nie podoba mi się, że plecie pan nonsensy. I to akurat teraz.

- Panno Barstowe, powtarzam tylko, co mi powiedziano. Przysięgam na honor, że nic nie zmyśliłem. A oto dowód. - Podniósł koszyk i postawił sobie na kolanach.

- Zabrał pan kota?

- Trzy. - Podniósł wieko i zobaczyła miękką wyściółkę, a na niej ciemnego kota. A także, zwinięte obok, dwie kupki futra.

- Och - westchnęła, wyciągając bezwiednie rękę. Kot zasyczał i Bella cofnęła dłoń.

- Gdzie twoje maniery, Tabitho - złajał kotkę kapitan.

- **Phiii!** - odparł kot i nie zabrzmiało to jak przeprosiny.

- Sama widzisz, że półkot-półkrólik z Hesji potrafi mówić. Z czasem nauczysz się go rozumieć.

- Doprawdy? Co zatem znaczy **phiii!**

- Coś niestosownego dla uszu damy. Ludzkiej damy.

- Nic dziwnego, że jest zdenerwowana. Kotki nie lubią być niepokojone, gdy mają kocięta.
  - Tak by się zdawało, lecz Tabitha nalegała.
  - Nalegała? - powtórzyła Bella, spoglądając na niego spod oka. - Jeśli zamierza pan droczyć się ze mną przez cały czas, zapowiada się męcząca podróż.
  - Wszystko to prawda - zaprotestował. - Albo nie polubiła chłopca, który miał się nią opiekować, albo zachciało jej się podróży, gdyż dała jasno do zrozumienia, że chce pojechać z nami.
  - To pański kot? - spytała, oszołomiona.
  - Nie, nic podobnego. Należy do kogoś z rodziny.
  - Rodziny mieszkającej w Londynie.
  - Owszem - przytaknął. Widać było, że oczekuje dalszych pytań, lecz Bella nie zamierzała ich zadawać. I tak mogła domyślić się odpowiedzi.
- Kto by pomyślał, że książę Ithorne interesuje się dziwnymi kotami, lecz dżentelmeni miewali swoje dziwactwa. Kapitan musiał spędzić noc w domu brata.
- Zadało to jej marzeniom kolejny cios. Mężczyzna, który poruszał się swobodnie w najwyższych kręgach towarzystwa nie poślubiłby kogoś takiego jak ona. Sądziła, że już się z tym pogodziła, lecz widać niezupełnie. Może to czarujący kaprys, który nakazał mu zabrać koty, osłabił jej zdolności obronne. Kocięta wierciły się i wspinały na matkę, próbując wydostać się koszyka. Kapitan wsunął do kosza rękę i jedno z kociąt wgramoliło mu się na dłoń, pomiaukując i liżąc palce. Drugie dopiero się zastanawiało.
- Kotka przyglądała się temu, lecz nie syczała.
- Są różne, prawda? - spytała Bella.
  - Owszem. Jedno to kotokrólik, a drugie zwykły kot.
  - Jak to możliwe?
  - Właśnie coś takiego fascynuje uczonych, lecz jeśli założymy, że Tabitha jest potomkiem kota i królika i że jej... hm, partner był zwykłym kocurem, ma to sens.

Dziedziczenie odbywa się w dziwny sposób, skoro jeden potomek może być kotem, a drugi częściowo królikiem.

Bella zarumieniła się lekko, gdyż damy nie rozmawiały zazwyczaj o podobnych sprawach, zwłaszcza z dżentelmenami, lecz była zafascynowana.

- Co z innymi kociętami?
- Niestety, przeżyły tylko te dwa, a niedbały opiekun nie zachował zwłok.
- Zdziwiłabym się raczej, gdyby przyszło mu do głowy to zrobić.
- Wystarczyłoby trochę pomyśleć - odparł tak poważnie, że musiała się roześmiać.
- A pan zawsze myśli tak daleko do przodu?
- Próbuję. Pomyślałem na przykład, by przynieść dla pani obrączkę. - Wsunął dłoń do kieszeni, wyjął mały woreczek z materiału i podał jej.

Bella zeszywniała, a wtedy powiedział:

- To naprawdę jedyny sposób.

Otworzyła woreczek i wyjęła zwykłą złotą obrączkę.

- Nie wydaje się nowa.
- Bo nie powinna, prawda?

To doprawdy nic wielkiego, powiedziała sobie, a potem zdjęła rękawiczkę i wsunęła obrączkę na palec lewej dłoni. Była trochę za ciasna. Nie jest więc nieomylny, uznała z satysfakcją, odsuwając od siebie niepożądane myśli. Na przykład o prawdziwej obrączce...

Wyjęła z kieszeni kolczyk kapitana. Włosy miał tego dnia związane, a w uchu zwykłe kółko. - Może wolałby pan to odzyskać - powiedziała.

- Co mianowicie? - Spojrzał zaskoczony na Bellę, a potem się uśmiechnął. - Proszę go zatrzymać.

Bella wsunęła zawiniątko do kieszeni, nie wiedząc, co myśleć. Czuła się tak, jakby powierzył jej część siebie. Bardzo ją to poruszało, zwłaszcza kiedy patrzyła, jak kocięta wdrapują mu się na dłoń i jak delikatnie się z nimi obchodzi.

Chciałaby, aby powierzył jej całego siebie, lecz tak się nigdy nie stanie.

- Upstone - powiedziała ni stąd ni zowąd, byle przerwać ciszę.

- Upstone? - powtórzył.

Przekazała szybko, co usłyszała od Peg, choć wspomniała jedynie, iż dowiedziała się tego od służącej, która mieszkała kiedyś w okolicy.

- Jest wszakże pewien problem - powiedziała. - Nasz ojciec zasiadał w ławach sędziowskich tego miasteczka, a teraz robi to zapewne Augustus. Możemy więc natknąć się na brata. To znaczy: na ulicy, w gospodzie...

- Ale nie w jaskini hazardu ani w burdelu - zauważył, oddając kocięta matce.

- W burdelu?

- Zapewne to właśnie miała na myśli służąca. Bella wspomniała słowa Peg i się zarumieniła.

- Miejsce wydaje się idealne - powiedział. - Jeśli często tam bywa, prędzej czy później nadarzy się okazja, by go przyłapać.

- Ale jak?

Postawił koszyk na podłodze kołyszącego się powozu.

- Zwabimy go w tę samą pułapkę: skłonimy, by się zadłużył. Na pewno od ostatniego razu ani trochę nie zmądrzał.

- Ale ma teraz więcej pieniędzy - zauważyła.

- Podniesiemy stawki.

- Boże, jak ja nienawidzę hazardu! Nie służy niczemu poza tym, że przynosi zgubę mężczyznom, wpędzając w nędzę ich rodziny.

- Kobiety też grają, a za ich długi odpowiadają mężowie.

- Dlaczego? - spytała gwałtownie. - Dlaczego ryzykują utratę pieniędzy przy kartach lub kościach?

- Dla dreszczyku emocji - odparł.

- Towarzyszącemu wygranej? Oznacza ona jedynie, że przegrał ktoś inny.



- Wygrana dostarcza dreszczyku emocji, nie tak silnego wszakże, jak możliwość przegranej. Hazard bez ryzyka jest dla nich nudny, a gra o wysokie stawki to życie na krawędzi.
- Ale dlaczego to takie dobre? Kapitan tylko się uśmiechnął.
- Widzę, że pan też jest hazardzistą.
- Nie - odparł po prostu. - Owszem, grywam. To całkiem przyjemny sposób na spędzenie wieczoru. Lecz nigdy o stawki, które mogłyby przyprawić mnie o dreszcz związany z wygraną albo porażką. Szukam wrażeń gdzie indziej.
- Na przykład w przemyśle. Westchnął.
- Skoro się pani upiera. Myślałem jednak o morzu, moja droga, po prostu o morzu. Oto kochanka, która dostarcza nam porcji strachu albo uniesień w zależności od tego, jaki akurat ma humor. Zupełnie jak ty mnie, pomyślała Bella. Przecież właśnie dlatego siedziała teraz w powozie, zaznając dreszczyku emocji, uzależniającej mocy życia na krawędzi. Zauważyła, że kapitan się jej przygląda. Mogła jedynie się modlić, aby nie odgadł, o czym myśli jego towarzyszka.
- Wpędzenie Augustusa w długi nie zrujnuje go ani nie sprowadzi na niego hańby - powiedziała. - Ucierpią za to inni: moja matka, niezamężna siostra. Służący i dzierżawcy. Nie mogę na to pozwolić.
- Mścicielka o wrażliwym sercu - zauważył. - Komplikuje pani sprawy. Lecz skoro tak, będziemy musieli sprawić, aby nakryto go w towarzystwie kobiet złego prowadzenia, i to kiedy jest pijany. Dziwek najniższego sortu.
- Augustusa? - spytała, spoglądając z niedowierzaniem na kapitana. - On jest... zbyt wielkim snobem, żeby zadawać się z takimi kobietami.

- Tak pani sądzi? - Uśmiechnął się. - Stawiam pięćset gwinei na to, że zadaje się z nimi, kiedy tylko może, i że właśnie na tym polega, przynajmniej częściowo, urok gospody Pod Starym Dębem.

- Pięćset..! - prychnęła Bella. - Ma pan tyle pieniędzy do stracenia?

- Nie straciłbym ich.

- Jest pan hazardzistą! I pewnie szulerem. Cóż, ja z pewnością nie mogłabym założyć się o taką stawkę.

- Nie będziemy więc się zakładać. Po prostu to zrobimy. Proszę pomyśleć: nie tylko hazard, ale i dziwki. Z jego reputacji nie zostanie nawet tyle, by starczyło na okrycie myszy. - Roześmiał się. - Oczy zabłysły pani niczym gwiazdy. Dziwna z pani dziewczyna.

Nie, to ty sprawiasz, że moje oczy błyszczą jak gwiazdy. Lecz obraz Augustusa, poniżonego i okrytego hańbą, też dosyć się jej podobał.

Kiedy dotarli do Upstone, zapadał już zmierzch. Kapitan polecił stangretom, aby zawieźli ich do najlepszej gospody w mieście.

- Jeleń i Zając - powiedział, kiedy wysiedli. - Mam nadzieję, że nie próbowały zostać parą.

Bella stłumiła śmiech. Kapitan wszedł, aby zamówić pokój, powierzając jej opiekę nad kotami. Kiedy weszli po kilku minutach na górę, okazało się, że wynajął sypialnię z salonikiem.

Jedną sypialnię.

Choć serce zabiło jej mocno z podekscytowania, rozsądek skłonił, by zaprotestowała:

- Potrzebujemy dwóch sypialni.

- Powściągnij lęk, dzielna damo. Jesteśmy zwyczajną parą o umiarkowanych środkach. Po co nam dwie sypialnie?

- Ponieważ chrapię. Albo pan.

- Jakoś to przeżyjemy. Większość ludzi chrapie. Bella spojrzała na niego zwięzonymi oczami.
- Nie będę spała z panem w jednym łóżku, kapitanie, z obrączką na palcu czy bez.
- To bardzo duże łóżko - powiedział, wskazując gestem mebel.

I przypominając Belli schadzki w Pod Kozłem. O mało wówczas nie uległa.

- Możemy spać niemal całkowicie ubrani - przekonywał. - Albo możesz spać na podłodze.
- To obowiązek dżentelmena - odparła.
- Ale to ty nie chcesz dzielić ze mną łóżka.

Wyrzuciła w górę dłonie. Traktował sprawę w oburzający sposób. - A jeśli ktoś się dowie? - spytała. - Moja reputacja legnie w gruzach.

Nie był to jednak, oczywiście, żaden argument.

Przemierzała pokój, szczerze rozgniewana. Najwidoczniej od początku planował zrobić z niej swoją dziwkę. Nigdy żonę, o nie. Nie Bellę Barstowe.

- Zaplanował pan to - powiedziała oskarżycielskim tonem, stając przed nim.
- Przysięgam na honor, że nie. Pomyślałem o szczegółach dopiero, gdy się tu znaleźliśmy. To szczerza troska i może pani mi zaufać.
- Akurat!

Podeszła, skradając się, do łóżka, jakby mogła zmienić je siłą woli. Podzielić na dwa.

Ta myśl sprawiła, że się zatrzymała. To dziwne, że dzielenie sypialni z mężczyzną nie wydawało się tak okropne, póki były w niej dwa łóżka. Czowała, że zsuwa się po równi pochyłej - prosto do piekła.

- To bardzo szerokie łóżko - powtórzył. - Pomieściłoby i pięć osób.

Słyszała, że czasami podróżni dzielili w gospodzie łóżko, a to było z pewnością wystarczająco duże. Odwróciła się i spojrzała na kapitana.

- Doskonale. Lecz będzie pan spał w koszuli i bryczesach.

Skinął głową. Wiedziała, że drobne zwycięstwo sprawiło mu radość, lecz doskonale to ukrywał.

- A pani? Zostanie pani w gorsecie? Odradzałbym to, lecz zrobi pani, jak zechce.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Nie mam na sobie gorsetu.

Nagły błysk w oczach kapitana był alarmujący, ale też wielce satysfakcjonujący. Nie wiedziała dotąd, że fakt, iż kobieta nie ma na sobie gorsetu, może być podniecający.

***Opanuj się, Bello. Ostatnią rzeczą, jakiej byś sobie życzyła, jest go podniecić!***

- Noszę stanik - wyjaśniła. - W podróży tak jest wygodniej.

- Ależ z pani rozsądna kobieta.

Odwróciła się do lustra i zdjęła kapelusz. - Kobieta, która podróżuje samotnie, musi taka być. - Wyjęła z włosów długą szpilkę do kapelusza i położyła ją na stoliku przy łóżku, a potem odwróciła się z uśmiechem do kapitana.

On też się uśmiechał, chociaż jedynie kątem ust.

- Rzeczywiście. Teraz powinienem zejść na dół i porozmawiać z miejscowymi. Mam nadzieję, że dowiem się czegoś o gospodzie Pod Starym Dębem. Wspomnę też, po co tu przyjechaliśmy.

- A dokładnie, po co? I co zrobimy z kotami? Otworzył koszyk, ale kocięta właśnie się posilały.

- Będziemy wyprawiać się co dzień w okolice, żeby pokazać Tabithę miejscowym i zapytać, czy nie widzieli dziwnie wyglądających kotów.

- Albo królików - podsunęła. Spojrzał na nią zafrapowany.

- Naprawdę powinna pani pracować z uczonymi. Jestem pewien, że nikt dotąd o tym nie pomyślał.

Tak, dziwnie wyglądających królików. Jak mogłyby wyglądać?

- Miałyby długie ogony? - I małe uszy.

- Kocie oczy.

- Tak, oczy. Mam nadzieję, że coś takiego znajdziemy. Kiedy zejść, polecę, by przyniesiono pani kolację. I coś dla Tabithy.

Gdy tylko wyszedł, kotka się poruszyła: **-Ah-oo!** - Był to dźwięk, przypominający tak bardzo: **A dokąd to?** że Bella aż się roześmiała.

- Tak, zostałyście powierzone mojej opiece. Nie bardzo znam się na kotach, lecz nie dopuszczę, by coś wam się stało.

Kotka zmrużyła oczy. A potem, ku rozbawieniu Belli, wyciągnęła łapę i opuściła wieko koszyka.

- Czyż to nie zdecydowana odprawa? - rzuciła Bella w przestrzeń.

Od strony koszyka dobiegło ją potwierdzające prych-nięcie.

Zaśmiała się znowu, lecz zaraz spoważniała. Cokolwiek zamierzał kapitan, nie pozwoli na żadne poufałości. Wiedziała, czego sama pragnie, lecz nie zniweczy wszystkiego, ulegając tym pragnieniom.

Rozpakowywała kuferek, aż w końcu został w nim tylko futerał zawierający pistolet. Załadowała go i odłożyła ostrożnie do walizki, a potem wsunęła walizkę pod łóżko. Po lewej stronie, tam, gdzie na nocnym stoliku leżała już spinka do kapelusza.

Mogłaby schować pistolet pod poduszkę, nie była jednak do końca pewna, czy broń nie wystrzeli, nawet gdy kurek nie będzie odwiedziony.

Przemierzyła kilkakroć pokój, a potem wróciła myślami do tego, co ich tu sprowadziło: zemsty na Augu-stusie.

Ile razy jej brat wybierze się do gospody Pod Starym Dębem? Nawet mając pretekst w postaci kotów nie mogli pozostać w okolicy zbyt długo nie wzbudzając plotek. Spojrzała z gniewem w stronę, gdzie musiało znajdować się Carscourt, żałując, że nie może ścisnąć po prostu Augustusa za gardło i patrzeć, jak krew napływa mu do twarzy.

Uświadomiła sobie, że zaciska pięści tak mocno, że na wewnętrznej powierzchni dłoni pozostaną z pewnością czerwone półksiężyce.

Spojrzała na obrączkę i łzy napłynęły jej do oczu. Dlaczego nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo pragnie wyjść za mąż? A jeśli spotka odpowiedniego mężczyznę, tak bardzo będzie chciała go poślubić?

Weszła pokojówka z tacą, niosąc skromny posiłek, w tym miskę z kawałkami drobno pokrojonego mięsa.

- To dla kota - wyjaśniła, rozglądając się.

- Postaw to, proszę, przy koszyku - poleciła Bella. - Dziękuję.

Dziewczyna zrobiła, co jej kazano, i wyszła. Kosz pozostał zamknięty.

- Myślę, że to się nazywa: na złość mamie odmrozę sobie uszy - rzuciła Bella w przestrzeń i zasiadła do posiłku. Jednak niepokój o przyszłość odebrał jej apetyt.

Małżeństwo byłoby najprostszym i najbardziej wskazanym sposobem, by zmienić tożsamość. Nie poślubi kapitana, lecz może inny, bardziej zwyczajny mężczyzna skusiłby się na jej pieniądze. Jakiś uczciwy, godzien zaufania, miły mężczyzna, który dalby jej nazwisko.

Bellę... Pennyworth, żonę księgarza, trudno byłoby powiązać z Bellą Barstowe z Carscourt, a jeszcze trudniej z Belloną Flint.

Wizja powinna nieść z sobą nadzieje na przyszłość, tymczasem wydawała się równie pociągająca jak wystygły pudding.

Zjadła tylko połowę tego, co jej przyniesiono, a potem otworzyła drzwi i zawołała służącą. A kiedy dziewczyna przyszła, poleciła jej zabrać naczynia. Kotka musiała wykraść się niezauważenie z koszyka, gdyż miska była pusta. Zjadła mięso, a potem opuściła wieko.

Nawet kot nie chciał mieć z Bellą Barstowe nic wspólnego, wyglądało też na to, że jej tak zwany mąż spędzi wieczór, zabawiając się wesoło na dole. Najwidoczniej cnotcie Belli nic nie zagrażało.

Przygnębiona poprosiła, by przyniesiono do sypialni ciepłą wodę. Kiedy ją dostała, zamknęła drzwi do saloniku oraz te na korytarz i zaczęła toaletę. Zdjęła suknię i stanik. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zdjąć też halki. Była obfita i niewygodna, lecz jeśli ją zdejmie, zostanie w koszulce, która ukrywa mniej niż nocny strój. Może zatem lepiej byłoby włożyć koszulę? Zakrywała ją od stóp do głów, miała też długie rękawy. Jednak koszula to zawsze koszula, a ona nie może dzielić łóżka z mężczyzną, ubrana w nocny strój. Zdjęła pończochy, a potem perukę i rozpuściła włosy. Wyszczotkowała je, zaplotła w warkocz i spojrzała z gniewem na łóżko. Zaciągnęła starannie otaczające je zasłony. Może kapitan zrozumie aluzję. Podeszła do drzwi, dzielących sypialnię od saloniku i przez chwilę nasłuchiwała. Nic. Otworzyła szybko jedno i drugie, a potem wsunęła się pośpiesznie do łóżka. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zostawiła zapaloną świecę. Trudno, nie będzie już wstawać. Podciągnęła kołdrę niemal pod nos i leżała na skraju materaca, jak najdalej od drzwi. Przypomniała sobie o pistolecie, sięgnęła w dół i rozpięła zamek walizki. Nie była jednak w stanie zmusić się, by włożyć broń pod poduszkę. Wydawało się to zbyt niebezpieczne. Już sama świadomość, że pistolet znajduje się tak blisko wystarczyła, by czuła się bezpiecznie. Poza tym, zapewne i tak nie uda jej się zasnąć.

## Rozdział 17

Thorn zapukał, nim wszedł do sypialni. Odpowiedziała mu cisza. Zobaczył dopalającą się świecę, a także pozostałości wieczornej toalety. Spojrzał na zaciągnięte wokół łóżka zasłony i się uśmiechnął. Prawdopodobnie leżała na samym jego skraju, odsunawszy się najdalej, jak tylko było to możliwe. Powinien spać na podłodze, lecz była twarda, poza tym i tak nie miało to znaczenia. Gdyby dowiedziano się, że spędziła z nim noc w jednym pokoju, jej reputacja nie byłaby warta złamanego pensa. Nieważne, gdzie by spał. Gdyby do tego doszło, byłiby oboje skompromitowani, i to nie dzieląc łóżka.

Przyciął knot świecy, a potem wyszedł i zażądał ciepłej wody. Kiedy ją przyniesiono, wrócił po cichu do sypialni, postawił miskę za parawanem i zaczął się myć.

Gdy skończył, włożył, jak zażądała, koszulę, lecz zamiast wejść od razu do łóżka, okrążył je i rozsunął nieco zasłony, by na nią spojrzeć. Leżała, jak się spodziewał, na samym skraju. Kołdra zsunęła się nieco, ukazując głowę. Uśmiechnął się na widok zwykłego czepka, zawiązanego na tasiemki pod brodą.

Posiadł wiele kobiet, w wielu łóżkach. Niektóre należały do niego tylko przez chwilę, inne przez całą noc, lecz żadna nie nosiła skromnego, prostego czepka. Czy właśnie dlatego wydawał mu się teraz tak nieodparcie podniecający?



Zaplotła brązowe włosy, lecz kilka pasm wymknęło się z warkocza. Usta miała rozchylone. Przypomniał sobie, jak słodko smakowały, kiedy całował ją na tarasie podczas maskarady. Pochylił się, lecz potem wyprostował, powstrzymując chęć, by znowu ją pocałować. Rzęsy ocieniały jej policzek. Nie były szczególnie długie ani gęste. Brwiom przydałaby się depilacja, lecz były elegancko wygięte. Nie poniży się do tego, by gapić się na jej podbródek. Choć był to ładny podbródek, świadczący, że jego posiadaczka potrafi być stanowcza. Zdmuchnął świecę, lecz obraz śpiącej Belli pozostał odcisnięty w jego pamięci, kiedy okrążał łóżko. Wsunął się pod kołdrę najdelikatniej, jak tylko był w stanie mając nadzieję, że świadomość, iż dziewczyna jest tak blisko, nie przeszkodzi mu zasnąć. Bella obudziła się rankiem, węsząc niczym przestraszony królik. Gdyby miała wąsy, pewnie drżałyby jak szalone. Wyczuwała obecność mężczyzny, choć nie za pomocą węchu. Uznała, iż słyszy być może jego oddech. Przewróciła się ostrożnie na plecy i zerknęła na kapitana. Leżał na wznak, z jedną ręką ukrytą w pościeli. Druga, bliższa, spoczywała na kołdrze pomiędzy nimi. Wydawał się mocno spać. Chętnie przyjrzałaby mu się bliżej. Przysunęła. Zamiast tego zmusiła się, by ostrożnie wstać i postawić stopy od razu na podłodze, nie na przystawionych do łóżka schodkach. A potem złapała szybko ubranie i wymknęła się do saloniku. Słyszała odgłosy budzącego się życia - turkot kół, stuk kopyt, dobiegające z za okna pokrzykiwania i tupot stóp w korytarzu. Wszystkie te dźwięki były z pewnością słyszalne także w sypialni, jednak napięcie niemal pozbawiło ją słuchu. Koszyk był otwarty, lecz jego mieszkańcy zdawali się spać.

Ubrała się błyskawicznie, a potem uświadomiła sobie, że w saloniku nie ma lustra, zaś szczotka do włosów, szpilki i czepek zostały w sypialni. Zostawiła warkocz tak jak był i podeszła do okna. Dzień wstał dość ładny. Może poszukiwaniom kotokrólka z Hesji towarzyszyć będzie dziś słońce, pomyślała, a potem się roześmiała.

To ci dopiero historia!

Nagły stukot sprawił, że zamarła. Odwróciła się, ale nikogo nie zobaczyła. Dźwięk był cichy, jakby upadło coś lekkiego. Spojrzała na kosz. Wieko było zamknięte.

Podeszła i je uniosła.

- To bardzo niegrzecznie z twojej strony - powiedziała.

Ponieważ kotka miała zazwyczaj urażoną minę, trudno byłoby powiedzieć, czy czuje się urażona akurat teraz, choć Bella mogłaby przysiąc, że tak właśnie było.

- Nie jesteś nawet jego kotem. Należysz do przyjaciela. - Kotka wydała dźwięk do złudzenia przypominający pogardliwe prychnięcie. Bella uznała, że została odprawiona. Opuściła pokrywę kosza. - Jak sobie chcesz.

- Nie mów mi, że rozmawiasz z kotem. Odwróciła się gwałtownie, czując się przyłapaną na gorącym uczynku. Kapitan był niemal całkowicie ubrany - brakowało tylko surduta - włosy miał jednak rozpuszczone. Jak wtedy, gdy pierwszy raz go zobaczyła, tamtej nocy Pod Busolą, gdy uratował jej życie. I podczas maskarady?

- Zamknęła wieko, żeby okazać mi wzgardę.

- Tak, to się zdarza.

Bella patrzyła na koszyk, gdy rozmawiali. Spostrzegła, że wieko uniosło się odrobinę. A potem kot wstał. Tabi-tha kopnęła pokrywę kosza tylną łapą, mówiąc: **-Ah-ie--o-aa.**

Oczywiście, było to skierowane do Rose'a, a brzmiało niczym: „Jak się masz?”.

Bella przemknęła do sypialni, zrobić porządek z włosami. Niech sobie porozmawiają. Lecz kiedy zobaczyła w lustrze nachmurzoną twarz, parsknęła śmiechem.

A gdy doszła do siebie, spostrzegła, że kapitan spogląda z uśmiechem na jej odbicie.

Było w jego twarzy coś - niemal czułość - co sprawiło, że serce Belli zaczęło mocniej bić. Skupiła uwagę na włosach: rozplotła je i wyszczotkowała, nie będąc w stanie się odezwać.

Kiedy podniosła znów wzrok, nadal się jej przyglądał, wsparty o framugę.

- Coś się stało? - spytała, nie odwracając się.

- Nie. Rozkoszuję się po prostu widokiem kobiety zajmującej się włosami.

- To dla pana nowość, prawda? - spytała z ironią. Tymczasem kapitan odparł:

-Tak.

- Próbuje mnie pan przekonać, że jest świętym?

- Nic podobnego. Potrzebujesz pomocy?

- Z włosami? Wątpię, aby mężczyzna taki jak pan posiadał konieczne umiejętności.

- Potrafię wiązać supły.

- Supły to coś dokładnie przeciwnego, niż chcę osiągnąć.

- Skupiła się znów na swoim odbiciu, zaskoczona tym, że jego bliskość ma na nią aż taki wpływ. Serce biło jej jak szalone, była też pewna, że się zarumieniła. Wszystko z powodu łóżka i miłej, domowej atmosfery, która się między nimi wytworzyła. - Zamówił pan śniadanie?

- spytała ostrzej, niż zamierzyła.

- Zajmę się tym, Wasza Wysokość - powiedział i znikł z widoku.

Bella przyłożyła na chwilę dłoń do piersi, by uspokoić serce, lecz kiedy spojrzała w lustro, jej oczy błyszczały. Gwiazdy w oczach.

Czy istniał sposób, by marzenia się ziściły?

Nawet nie przyszło jej do głowy zastanawiać się, czy wyszłoby jej to na dobre.

Miły domek w Devon. Sypialnia podobna do tej, lecz z mniejszym łóżkiem. Takim, które mogliby dzielić naprawdę.

Związała pospiesznie włosy i spięła je szpilkami. Włożyła perukę i umocowała na niej czepek. Tak było lepiej, chociaż jej oczy nadal błyszcząły. Sięgnęła po okulary. Przyćmiły trochę blask, lecz nie do końca.

Dlaczego w ogóle stara się go ukryć?

Czy kapitan nie spoglądał na nią w szczególny sposób?

Usłyszała, że ktoś wchodzi do saloniku i wstała. Śniadanie. Musiał wydać polecenie jeszcze wieczorem, gdyż nie słyszała, by przywoływał służącą. Wygładziła spódnice i zerknęła po raz ostatni do lustra, żałując, że nie jest skończoną pięknoscią. Albo że nie ma na sobie choć ładnej sukni.

Westchnęła i przeszła do saloniku.

- Mamy herbatę i czekoladę - powiedział kapitan, zapraszając ją gestem, aby usiadła. - Jeśli chcesz kawy, mogę o nią poprosić.

- Nie, czekolada wystarczy - odparła, siadając. Przyglądała się, jak kapitan nalewa bursztynowy płyn. Nie dodał mleka ani cukru. Zauważyła na stole niewielką drewnianą szkatułkę.

- Przywiózł pan własną herbatę? - spytała.

- To taki drobny kaprys.

- Dziwi mnie, że aż tak pan ją ceni. Uśmiechnął się.

- Dlaczego? Kto, twoim zdaniem, przedkłada herbatę nad inne napoje?

- Fajtlapa? - odparła śmiało, drocząc się z nim.

- Jesteś niesprawiedliwa wobec najbardziej zachwycającego napoju, jaki zna świat, Bello. Nie przeszkadza ci, że zwracam się do ciebie po imieniu, kiedy jesteśmy sami?

Bella pomyślała, że jeśli chce zachować władzę nad swoim sercem, powinna zaprotestować. Zamiast tego powiedziała:

- Nie. Czy wobec tego powinnam zwracać się do pana: Calebie?

- Ach... - Utkwił na chwilę wzrok w filiżance, a potem powiedział: - Przyjaciele nazywają mnie Thorn, Kolec.

Wiesz, z powodu nazwiska. Mogłabyś też tak się do mnie zwracać?

Bardzo by chciała, czuła jednak, że to niebezpieczne.

- Nie jestem pewna. To wydaje się tak... osobiste.

- A jak zwracałaś się do brata? - spytał, zabierając się do szynki.

- Augustusie. Nie byliśmy na tyle blisko, aby używać zdrobnień, choć teraz powinnam znaleźć mu inne imię. - Sięgnęła po kromkę ciepłego, pachnącego chleba i zaczęła ją smarować. - Augustus znaczy „czcigodny”. Zastanawiam się, jakie byłoby przeciwieństwo tego określenia.

- Nikczemny? - zaproponował. - Podły? Niegodziwy?

- Chyba nie ma takich imion.

- Bękart? - podsunął, a potem spytał: - O co chodzi?

Bella spojrzała na niego, zastanawiając się, co odpowiedzieć. - Jak zrozumiałam, jesteś bękartem.

Synem z nieprawego łoża zmarłego księcia Ithorne i bratem obecnego.

- A, to. - Przez chwilę wydawał się zakłopotany, lecz potem wzruszył ramionami. - Nie uważam, by należało się tego wstydzić.

Patrzyła, jak pochłania z apetytem szynkę i musiała mu uwierzyć.

- Słyszałam, że obecny książę był wobec ciebie wspaniałomyślny.

- Pozwolił mi pływać na „Czarnym Łabędziu”. Nie zazdroszczę mu, jeśli to cię gnębi. To piekielna sprawa być księciem.

- Większość by tak nie pomyślała.

- Nie mają pojęcia, co pociąga za sobą tytuł.

- Powiedziałeś to z takim przekonaniem... Książę rozmawia z tobą o swoim życiu?

Kapitan sięgnął po dzbanek i odpowiedział dopiero, gdy nalał sobie herbaty.

- Jesteśmy braćmi.

Bella przypomniała sobie o tysiącu gwinei darowizny.

- Jest szczodry? - spytała.

Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Ithorne? Raczej tak.

- Wspiera konkretne przedsięwzięcia?

- Szukasz darowizny? Na jaki cel?

Rozbudziła w nim ciekawość, wzruszyła więc nonszalancko ramionami.

- Nie, nic podobnego. Tobie wszystko, co związane z tytułem książęcym wydaje się zapewne zwyczajne, lecz dla mnie to coś absolutnie ekscytującego.

- Książę jest tylko człowiekiem, jak ja. Musiała się roześmiać.

- Wątpię. Prawdopodobnie ma dziesięciu służących, którzy pomagają mu się ubrać i czterech golibrodów dbających, by jego twarz pozostawała gładka.

- Lubi być dokładnie ogolony.

- Sam widzisz. Każdy włos na swoim miejscu i ani plamki na wypolerowanych do połysku butach.

- Właśnie! - Kąciki ust drgały mu z powstrzymywanego śmiechu.

- Widziałam go kilka razy - powiedziała. - Oczywiście, nie z bliska. Zawsze jest tak nieskazitelny.

- W miejscu publicznym. Ma też prywatne oblicze. - Napił się herbaty, nie spuszczać wzroku z Belli.

- Nie jest złym facetem, uwierz mi.

Uświadomiła sobie, że kapitan szanuje brata, może nawet go kocha i czuje się zakłopotany tym, że Bella sobie z niego żartuje.

- No cóż, może i trudno jest być kimś tak wysoko postawionym, obiektem podziwu, ale też zazdrości.

- Właśnie. Może to nieślubnemu synowi dostaje się wszystko, co najlepsze. Zatem Bękart Barstowe byłoby o wiele za dobrym imieniem dla twego brata. - Zastanawiał się przez chwilę. - Chyba będę myślał o nim po prostu jako o czymś niemiłym i oślizłym.

Bella o mało nie zakrztusiła się czekoladą.

- Doskonale. Odtąd będzie więc panem Augustusem Oślizłym.

Stuknęli się kubkami i wrócili w pełnej zgodzie do posiłku.

- Zatem jak długo pan Oślizły będzie musiał czekać na zasłużoną karę?

Wyraz twarzy kapitana zmienił się, a Bella uświadomiła sobie, że zlizuje masło z warg.

- Powiadają, że ciepłe masło jest niebezpieczne dla zdrowia - powiedziała nerwowo. - Ale jakie smaczne!

- Psują całą przyjemność - zauważył.

- Prawda? - Przyglądał się jej i ledwie tknął swoją porcję.

- Proszę jeść! - rozkazała. - Jajka na twardo? A może ser..?

- Chcesz mi matkować? - A kiedy podniosła wzrok, dodał: - Albo troszczyć się o mnie jak żona?

Zostało to powiedziane tak dwuznacznym tonem, że policzki Belli spłonęły rumieńcem. - Nie rób tego, proszę! - zaprotestowała odruchowo. - Nie żartuj sobie ze mnie w ten sposób. Nie tutaj i nie teraz.

- Masz rację. Przepraszam, lecz to się samo narzuca. Zaczął znów jeść. Bella zajęła się zawartością swojego

talerza. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Poza tym bardzo się cieszę, że zostawiłaś mi furtkę, bym mógł podroczyć się z tobą w ten sposób w innym miejscu i czasie.

Spojrzała na niego. Uczciwość nie pozwalała jej zaprotestować. Zostawiła furtkę szeroko otwartą, także dla cierpienia, lecz była zdecydowana zaryzykować. Teraz powinni wrócić jednak do sprawy.

- Czego dowiedział się pan wieczorem?

- Gospoda Pod Starym Dębem jest dokładnie takim miejscem, o jakim mówiła twoja służąca, na dodatek dbają tam wielce o dyskrecję. Większość graczy korzysta też z usług prostytutek. Nie przeszkadza ci, że o tym mówię?

- Nie - odparła. - Żal mi jedynie kobiet zmuszonych do uprawiania tego procederu.

- Masz bardzo wrażliwe i czule serce. Nikt nie uważa tego zajęcia za idealne, lecz zawsze znajdą się kobiety, które muszą zarabiać na chleb, a jeśli pominąć moralność, nie jest to wcale taki zły sposób.

- Nikt nie powinien być do czegoś takiego zmuszony - zaprotestowała.

- Oczywiście.

- Miałam na myśli, że nikt nie powinien być aż tak biedny, by nie mieć wyboru.

Kapitan westchnął.

- Zapomniałem, jaka z ciebie reformatorka. A skąd miałyby pochodzić pieniądze na utrzymanie tych kobiet?

- Nie mam pojęcia. Przepraszam. Po prostu wiem, jak to jest nie mieć pensa i zostać uwięzioną dlatego, że nie chciało się podążyć tą drogą. Nie każda kobieta ma jednak zapewnione jedzenie i dach nad głową. Te, które nie mają, muszą się sprzedawać.

Skinął głową.

- Może przydałyby się nam klasztory.

- Klasztory?

Wziął kawałek chleba.

- Zapewniały bogatym kobietom utrzymanie i stanowiły uczciwą alternatywę małżeństwa, zaś biednym dawały schronienie, gdzie były bezpieczne przed mężczyznami. A te, które miały odpowiednie predyspozycje, znajdowałyby tam miejsce, gdzie mogłyby rządzić. Ty byłabyś znakomitą matką przełożoną.

- Ja? - spytała, zaskoczona.

- Jesteś jeszcze młoda, lecz za dwadzieścia, trzydzieści lat byłabyś w stanie onieśmielać biskupów i królów. Masz naturalny dar do sprawowania władzy. Bella się roześmiała.

- Pijesz herbatę, czy może brandy? Podsunął jej pod nos filiżankę.

- Powąchaj. - Powąchała. Delikatny aromat. Nie brandy, ani też inny trunek.

- Zapewniam, że nie mam zdolności przywódczych.



- Nikt dotąd za tobą nie podążał? -Nie.

Odpowiedziała odruchowo i zamyśliła się. Peg co prawda nie podążała za nią ślepo, ale związała swój los z jej losem. Annie i Kitty zostały wzięte z sierocińca i odtąd kierowały się tym, co Bella uznała dla nich za najlepsze. Kilka spośród pań, otaczających lady Fowler zwróciło się do niej, zaniepokojonych rosnącym wpływem sióstr Drummond. Jakby sądziły, że tylko Bella zdoła się im przeciwstawić.

Spojrzała na kapitana i zobaczyła, że odgadł, o czym myślała. - Nie bądź taki zadufany.

- Zadufany? - Roześmiał się. - Chyba nikt dotąd tak o mnie nie mówił. Zatem są ludzie, którzy liczą, że powiesz im, co mają robić. Kto taki?

- To nie twój interes, poza tym nie ma ich wielu. Zanim Augustus pojawi się Pod Starym Dębem mogą minąć tygodnie. Jak długo możesz tu pozostać?

Zajęła się smarowaniem chleba, by ukryć, jak ważna jest dla niej odpowiedź. Modliła się w duszy, by mógł zostać jak najdłużej.

- A ty? - odparował. - Kiedy wraca twoja krewna? Zapomniała o tym.

- Nie jestem pewna. - Musi podać przynajmniej przybliżony termin. - Mniej więcej za dwa tygodnie.

- Nie możemy przebywać w okolicy tak długo. Módlmy się, by nałóg skłonił twojego brata do wcześniejszej wizyty w Upstone. Oczywiście, może bywać też w innych miejscach.

Tak naprawdę nie miała nadziei, że pozostaną w gospodzie przez dwa tygodnie, liczyła jednak, że minie ładnych kilka dni, zanim Augustus poczuje znów chęć zaznania dreszczyku emocji.

- Wieczorem wybiorę się Pod Stary Dąb i dowiem się tyle, ile zdołam.

- Wygląda na to, że interesujące zadania przypadają wyłącznie tobie.

- Chciałabyś pójść do burdelu?
  - Skąd, jak by to wyglądało? Twoja żona mogłaby mieć obiekcje. Jego tak zwanej żonie z pewnością się to nie podobało.
  - Zamierzasz urządzić scenę? - spytał, zainteresowany.
  - Raczej czymś rzucić. Na przykład nocnikiem.
  - Pani Rose, pani mnie przeraża. -1 dobrze.
  - Lecz by ci się przysłużyć, muszę odwiedzić gospodę. Nie była w stanie znaleźć rozsądnego argumentu, którym mogłaby odwieść go od tego zamiaru.
  - Doskonale - wymamrotała. - Co będziemy robić do czasu, aż odda się pan rozpuście?
  - Poszukamy kotokrólikow z Hesji. - Dopił herbatę i wstał. - Zorganizuję jakiś środek lokomocji. Spróbuj nie wdać się w kłótnię z kocią królową Hesji, gdy mnie nie będzie.
- Wyszedł, a Bella utkwiała wzrok w zamkniętych drzwiach, wstrzymując łzy. Uświadomiła sobie, że nie chodzi wcale o wizytę w burdelu, lecz o to, że zemsta może dokonać się tak szybko. Nawet w jeden dzień.
- W przeszłości pewnie by ją to ucieszyło, teraz oznaczało jedynie, że czas spędzany z kapitanem może się wkrótce skończyć.

## Rozdział 18

Kiedy przybyli poprzedniego dnia do Upstone, było już ciemno, jednak przy świetle dziennym, nawet posepnym, okolica wydała się Belli znajoma. Jechali wiejskimi drogami, zatrzymując się przy każdej farmie i domu, aby zapytać o kotokrólki. Wątpiącym pokazywali, co mają w koszyku i z niepojętych przyczyn Tabitha nie protestowała. Czasami wyglądało wręcz na to, iż cieszy ją, że jest obiektem powszechnego zainteresowania.

Nawet mając przed oczami dowód, większość osób, z którymi rozmawiali, wątpiła, by kot mógł zainteresować się w ten sposób królikiem i odwrotnie. Bella zorientowała się, że zostaną zapamiętani jako pomyłona para z Londynu, podróżująca z dziwnym kotem.

Kocięta też przyciągały uwagę, zwłaszcza Sabie. Nieraz musieli wyciągać go z koszyka.

Kiedy tak wędrowali, zauważyła kilka zmian. W pobliżu Pidgely piorun powalił rosnący tam od dawna wiąz, a pod Buton Thrope ktoś zbudował ładny dwór. Zatrzymali się w wiosce, by rozpytać o kotokrólki i się rozdzieliли. Bella podeszła do grupki kobiet, plotkujących na ulicy, a Thorn wszedł do gospody, by pogawędzić z mężczyznami.

Pomyślała, iż tworzą zgrany zespół. Spytała jak gdyby nigdy nic, kiedy zbudowano ładny dwór, wychwalając elegancki kształt budowli. Wkrótce

dowiedziała się o niej wszystkiego, choć nie taki cel jej przyświecał. Zapytała o inne dwory w okolicy, a także o to, czy można je odwiedzać. Miała nadzieję, że dowie się w ten sposób czegoś o Carscourt i Augustusie.

Rzeczywiście, nie musiała czekać długo. Pewna śmiała i zaprawiona w bojach kobieta powiedziała:

- Cóż to za paskudne miejsce. A jego mieszkańcy też nie lepsi.

Bella chętnie by przytaknęła, uznała jednak, że jeśli to zrobi, kobieta może się przestraszyć i trudno będzie skłonić ją do mówienia.

- Dwór jest stary? - spytała więc tylko.

- Stary, *madame!* Nie, ma może ze sto lat.

- Zawsze należał do tej samej rodziny?

- Do Barstowe'ów? Nie wiem, proszę pani.

- Osiedli tu w czasach Cromwella - wtrąciła chuda jak patyk staruszka. - Okragłogłowi - dodała, spluwając z pogardą. - Przedtem mieszkała tam rodzina rojalistów, de Breelych, lecz nikt nie został, a przynajmniej nie wrócił, Barstowe'owie zatrzymali więc dobra.

Najwidoczniej w okolicy nadal postrzegano to jako kradzież.

Bella nie miała dotąd pojęcia, że niechęć wobec jej rodziny sięga aż tak daleko w przeszłość, lecz ludzie na wsi mają długą pamięć. To, co wydarzyło się w poprzednim stuleciu - ścięcie króla, długie, surowe rządy parlamentu, gdy zakazano kultywowania wszelkich dających radość tradycji, a potem powrót monarchii - wszystko to doskonale pamiętano.

- Przypuszczam, że teraz są prawdziwymi rojalistami - dodała uspokajającym tonem.

- Możliwe - odparła pierwsza z kobiet. - Lecz nadal mają zimne serca Okragłogłowych. Sir Augustus kazał wychłostać Ellen Perkins za złe prowadzenie, a przecież jest wdową i ma swoje potrzeby.

- Co stało się z jej kochankiem? - spytała Bella. Kobieta zaśmiała się szorstko.

- Został ukarany grzywną. Ellen nie miała pieniędzy, żeby zapłacić grzywnę, choć pewnie i tak kazały ją wychłostać.
  - A potem kazał zakuć starego Nathana Gotobeda w dyby za to, że handlował w niedzielę - podsunęła druga z kobiet. - Jakby to komuś szkodziło.
  - I był ponoć wściekły, bo nikt nie rzucił w starego nawet kartoflem - dodała młoda niewiasta z dzieckiem na ręku.
  - To dlatego unika skazywania na dyby - powiedziała starsza kobieta. - Zwykle zasądza grzywnę lub chłostę, ten nasz pan sędzia.
- Bella wyczuła, że niewiasta ma ochotę obdarzyć sir Augustusa mocniejszym epitetem, lecz boi się to zrobić w obecności obcej osoby. Przygnębiona tym, jak fatalną opinię ma w okolicy jej rodzina, skierowała się z powrotem do powozu.
- Żałuję, że nie znalazłam w sobie siły, aby jednak go zabić - powiedziała, podchodząc do Thorny.
  - Usłyszałaś o nim co nieco, prawda?
  - A co ty słyszałaś?
  - Ogólnie rzecz biorąc, zarzuca mu się okrucieństwo, zwłaszcza wobec osób, które piją, uprawiają hazard albo zachowują się niemoralnie. Zastanawiam się, czy wszyscy sędziowie są szczególnie surowi wobec tych, którzy popełniają takie same grzechy jak oni. Albo też takie, których oni nie mają odwagi popełnić.
  - Zamiast osądzać innych, powinni sami wymierzyć sobie chłostę - stwierdziła Bella.
  - Amen. Twój brat nie ma w okolicy wielbicieli, nikt nie wspomniał wszakże o hipokryzji. A te kobiety?
  - Także nie.
  - Szkoda. Czy któraś cię rozpoznała? Bella nawet o tym nie pomyślała.
  - Nie sądzę i nie spodziewam się, by tak się stało, chyba że natknę się na kogoś, kto znał mnie naprawdę dobrze. Zresztą, nawet w takim wypadku nikomu nie przy-

szłoby do głowy się zastanawiać, kogo mają przed sobą. Przecież jestem tu sama, z dala od rodziny i służby z Carscourt.

- Na wszelki wypadek nie będziemy zbliżać się do Carscourt - powiedział, pomagając jej wsiąść.

- I tak ci, którzy tam mieszkają, nie mieliby nam wiele do powiedzenia. Biedacy są całkowicie zależni od mego brata.

Ruszyli dalej, objeżdżając miejscowości, gdzie znano Barstowe'ów, wpytując o kotokrólki i napomykając przy lada okazji o Barstowe'ach i Carscourt. Niechęć, jaką budziło to nazwisko, była czasami jawna, czasami bardziej subtelna, ale powszechna. Dotyczyła głównie Augustusa, lecz także jego ojca, a nawet Lucindy, która uważała najwidoczniej, iż dobroczynność polega na tym, że nachodzi się biednych i wytyka im nieudolność. Bella zakładała wcześniej, że siostra odwiedza potrzebujących, by zanieść im zupeę i ciepłe ubrania.

- Czuję się napiętnowana - powiedziała, kiedy jechali do kolejnej wioski. - Może w gruncie rzeczy jestem taka jak oni. Może żądza zemsty dowodzi, że wcale się od nich nie różnię...

Przycisnął palec w rękawiczce do jej warg, zatrzymując pojazd.

- W tym, że chcesz się zemścić, nie ma nic nienormalnego.

- Zemsta należy do mnie, powiedział Pan?

- Bóg pomaga tym, którzy potrafią pomóc sobie sami. A skoro już o tym mowa...

Przesunął dłoń na policzek Belli, a potem pochylił się i ją pocałował.

Był to bardzo delikatny pocałunek - nie tyle ostrożny, co wyrażający szacunek. A także czuły. Serce Belli stopniało. Powieki jej opadły i przez chwilę rozkoszowała się dotykiem ciepłych warg. A także śpiewem ptaków i delikatnym powiewem, które potęgowały jeszcze urok chwili.

Thorn odsunął się i Bella otworzyła oczy.

- Dziękuję - powiedziała, zanim zdążyła się zastanowić.

- To ja ci dziękuję - odparł, uśmiechając się słodko. Nigdy by się nie spodziewała, że kapitan Rose może

tak się uśmiechać.

- Zmienny jak wiatr - mruknęła.

- Co takiego?

- Powiedziałeś, że taki właśnie jesteś. Pod Busołą, kiedy byliśmy oboje pijani.

Kapitan wyglądał, jakby nie wiedział, o czym Bella mówi. Zachichotała, czując się nadzwyczaj szczęśliwa.

- Może byłeś bardziej pijany, niż na to wyglądałeś.

- Rzeczywiście. I owszem, jestem zmienny. Wolę myśleć, że mam wiele twarzy, lecz może tylko się oszukuję.

- Bardziej podoba mi się to pierwsze określenie. Thorn się roześmiał.

- Z pewnością nie zetknęłaś się jeszcze z huraganem. - Szarpnął za wodze i powóz ruszył.

Może i nie, pomyślała Bella, ale czuję się tak, jakbym znalazła się w samym jego środku.

Thorn próbował zachować kamienną twarz, był jednak zły na Caleba, że nie wspomniał mu, iż użył w rozmowie z Bellą takiego określenia.

Było to nieuzasadnione. Naprawdę wściekał się dlatego, iż bał się, że jeszcze kilka podobnych potknięć i Bella zacznie się zastanawiać, z kim ma właściwie do czynienia. Caleb na przykład nie pijał herbaty, więc kiedy udawał kapitana Rose, on także jej unikał. Pod Koroną i Kotwicą zamówił herbatę odruchowo, a ciotka Caleba, Ann podała napój, ponieważ wiedziała, że Thorn go lubi. Potrafiła ich rozróżnić, lecz traktowała jednako serdecznie.

Herbata stanowiła jednak błąd, a mógł popełnić kolejne. Wtedy - omal się nie zaśmiał, tak absurdalne było to przypuszczenie - Bella może rozpoznać w nim księcia. Jeśli tak się stanie, na pewno ją straci. Świat stanął na głowie.

Dziewczyna miała wyrobione poglądy i była wyczulona na niesprawiedliwość, obawiał się także, iż żywi zdecydowaną niechęć wobec arystokracji. Wyzwaniem było więc nie tyle zdobyć ją, nie machając jej przed nosem bogactwem i tytułem, ale dokonać tego pomimo, iż był bogaty i utytułowany.

A bardzo pragnął ją zdobyć.

Podczas tych kilku dni z Bellą bawił się lepiej niż kiedykolwiek w towarzystwie kobiety. Jeszcze przed tygodniem powiedziałby zapewne, że dni spędzane w damskim towarzystwie muszą być śmiertelnie nudne, zwłaszcza jeśli dama nie jest jego kochanką.

Te dni były jednak inne, pomimo iż zajmowali się zwykłymi sprawami - spacerowali, podróżowali, jedli...

Spali w tym samym łóżku?

Całowali się?

Całowali w najśłodszy, najdelikatniejszy sposób. Było to dla Thorna coś zupełnie nowego. Pocałunek, który nie jest częścią flirtu. Ani preludium do namiętności.

Zwyczajny pocałunek. Pragnął zaznać ich więcej, dla czystej przyjemności, jaką dawały.

Cóż, tracę widać rozum, pomyślał.

\*\*\*

Podczas drogi powrotnej do gospody zapanowała pomiędzy nimi nienaturalna cisza, Bella nie była jednak w stanie odgadnąć, co mogło być tego przyczyną. Najchętniej uznałaby, że pocałunek wstrząsnął nim równie mocno jak nią, lecz szczerze w to wątpiła.

Podejrzewała, że kapitan czuje się zakłopotany, a to dlatego, iż wzbudził w niej oczekiwania, którym nie zamierzał sprostać. Trochę ją to zabolalo, nieprzesadnie jednak, gdyż tak naprawdę nie spodziewała się wiele. Marzyła o tym i o tamtym, nie oczekiwała jednak, by te marzenia się spełniły.



W gospodzie zachowywała się spokojnie i z umiarkowaną wesołością, jakby Thorn w ogóle jej nie pocałował. Weszli na górę, ale niczego to nie zmieniło. Kapitan nie czuł się swobodnie. Uznała, iż żałuje, że utknął z nią w gospodzie.

- Może zjedlibyśmy kolację na dole? - zaproponowała. - Dałoby nam to sposobność, żeby się przysłuchać, co mówią inni.

Zgodził się tak chętnie, iż podejrzewała, że sam już o tym pomyślał.

- Powinniśmy zachowywać się wobec siebie chłodno i z dystansem - powiedział - zważywszy, że wybieram się wieczorem do burdelu.

Wolałaby, żeby jej o tym nie przypominał.

- Mogłabym wywołać głośną awanturę, która dałaby ci pretekst, żeby się rozgniewać i wyjść.

- Zapewne - przytaknął, otwierając przed nią drzwi - lecz może lepiej nie zwracać na siebie zbyt wiele uwagi?

- Jakież to frustrujące - stwierdziła Bella, ruszając ku sali jadalnej.

Zjedli w ciszy, co dałoby im doskonałą okazję, aby posłuchać, o czym rozmawiają inni goście, lecz poza nimi w sali była tylko jedna para. Równie milcząca.

Po kolacji wróciła do pokoju, mając niemiłą świadomość, gdzie też znajduje się kapitan, i co prawdopodobnie robi. Kiedy uświadomiła sobie, iż przemierza niespokojnie pokój, zmusiła się, by usiąść i nieco poczytać. Słowa nie miały jednak sensu, a blask świecy raził oczy.

Odłożyła książkę i wzięła do rąk robótkę. Obszywać chusteczki mogła choćby na ślepo. Tego rodzaju zajęcie pozostawiało jednak umysł otwartym na myśli, których wolałaby uniknąć. Zauważyła, że Tabitha nie zamknęła wieka.

- Kapitan nazywa cię wyrocznią - powiedziała do kota. - Mogłabyś więc dać mi radę lub przepowiedzieć przyszłość?

Kotka wydała szereg niezrozumiałych dźwięków. Bella postanowiła uznać to za zachętę.

- Widzę, że go lubisz. Muszę cię jednak ostrzec: marynarze bywają z natury niewierni, poza tym ciągle ich nie ma.

Kotka wymamrotała coś, co zabrzmiało jak zaprzeczenie.

- Nie, nie, to prawda. Sądzisz, iż żonom nie przeszkadza, że są zdradzane, skoro zdrada odbywa się gdzieś na dalekim brzegu? To z pewnością nie to samo, co mieć kochankę w pobliskiej wiosce, kiedy wszyscy sąsiedzi o tym wiedzą. Tak właśnie było z lady Fowler i kilkoma jej współpracowniczkami. Tak też postępował sir Thoroughgood z pierwszą żoną, bezlitośnie ją upokarzając. Już choćby z tego powodu nie zgodziła się go poślubić.

- To intrygujące, czyż nie? - powiedziała do spoglądającej na nią zmrużonymi oczami kotki. - Co jesteśmy w stanie zrobić, a czego nie. Ja na przykład przysięgłabym, że nie mogłabym podróżować w ten sposób z mężczyzną. Na dodatek obcym.

Tabitha wydała odgłos, który brzmiał jak westchnienie. Bella postanowiła, że potraktuje to jako wyraz współczucia, nie nudy.

- A teraz poszedł sobie do burdelu. Oczywiście po to, by zebrać informacje, zakładam jednak, że będzie musiał... robić to, co robią w takich miejscach mężczyźni. - Uświadomiła sobie, że minę ma równie nachmurzoną jak kot. - Oczywiście, to nie ma ze mną nic wspólnego.

Drzwi otwały się niespodziewanie. Bella drgnęła, zaskoczona, była to jednak tylko pokojówka z naręczem drewna do kominka. Rozejrzała się po saloniku.

- Wydawało mi się, że słyszę głosy, *madame*.

- To ten kot - odparła Bella. - Denerwuje się, kiedy jest cicho. Kotokrólki takie już są.

Kobieta spojrzała z powątpiewaniem na Tabithę, która posłusznie wstała, przeciągnęła się i wyszła z koszyka, demonstrując długie tylne łapy oraz wysoki zad.

- Jest z pewnością dziwny, bez dwóch zdań - zauważyła pokojówka. - Znaleźli państwo gdzieś podobne?

- Jak dotąd nie.

- Więc pewnie ich tu nie ma. Cała okolica mówi o nagrodzie, jaka wyznaczył pani mąż. Mam przynieść ciepłą wodę i ogrzewacz do łóżka?

Innymi słowy: chce pani już się położyć?

Bella uświadomiła sobie, iż dziewczyna wie, że mąż pani Rose wyszedł, a zapewne także i dokąd. Było to upokarzające, lecz jeszcze gorzej byłoby siedzieć czekając, aż raczy przywlec się do domu.

- Tak, proszę - powiedziała i wkrótce przygotowywała się już do snu.

Weszła na schodki po swojej stronie łóżka, czując się jeszcze bardziej niezręcznie niż poprzedniej nocy. Pocałunek zmienił wszystko.

Nie, nie tylko pocałunek. Także czas, spędzony w towarzystwie kapitana.

Rozmawiali swobodnie i śmiali się z tych samych rzeczy. Chwilami zapadało pomiędzy nimi pełne zrozumienia milczenie, lecz byli bardzo świadomi swojej obecności, a wzajemna bliskość budziła silne emocje fizycznej natury.

Nie doświadczyła wcześniej niczego podobnego.

Przewróciła się na plecy. A gdyby była to jej noc poślubna i gdyby czekała w łóżku na męża?

Czy kochała swego mitycznego małżonka? Czy zalecał się do niej od tygodni, miesięcy, nawet lat?

Czy całowali się, dotykali namiętnie, wyczekując niecierpliwie na tę noc?

A może było to zaaranżowane małżeństwo, a oni ledwie się znali? Może nie wiedziała, czego się spodziewać? Usłyszała u lady Fowler dość, by wiedzieć, że w noc poślubną mężczyzna może zachować się delikatnie albo brutalnie, a małżonkowie mogą być nadzy albo pozostać odziani.

Uświadomiła sobie, że weszła do łóżka w nocnej koszuli.

Jak to się stało?

Pokojówka powiesiła koszulę obok kominka, jak zwykła czynić to Kitty, i Bella odruchowo ją włożyła.

Powinna wstać i się przebrać, lecz było jej zbyt wygodnie, poza tym koszula okrywała ją od stóp do głów.

Gdyby to była jej noc poślubna, miałyby zapewne na sobie coś bardziej frywolnego, obszytego koronką i z dekoltem.

Nagle zrobiło jej się gorąco. Dręczył ją niezrozumiały niepokój.

Wspomniała te panie u lady Fowler, które kochały swoich mężów i wspominając wspólnie przeżyte chwile, uśmiechały się w słodko-smutny sposób.

Te kobiety musiały zamieszkać z lady Fowler, ponieważ mili, kochający mężowie zostawili je bez pensa. Na tym polegał problem z wyborem męża. Należało wybrać nie tylko takiego, który kochałby kobietę i dostarczał jej przyjemności, ale potrafił też dbać o interesy, ciężko pracować i zabezpieczyć żonę i dzieci na wypadek swojej śmierci.

Thorn.

- Thorn - powiedziała na głos, rozkoszując się powtarzaniem jego imienia. Na pewno potrafiłby ciężko pracować i zadbać o sprawy materialne. Nie zostawiłby wdowy w długach i bez pensa. A już na pewno byłby w stanie dostarczyć kobiecie przyjemności.

Przesunęła dłonią po ciele zastanawiając się, jaka też mogłaby to być przyjemność. Poza pocałunkami i uściskami, oczywiście. Była pewna, że potrafiłaby czerpać niekończącą się przyjemność z całowania Thorna i obejmowania go. Wspomnienia napłynęły falą. Zobaczyła go pijanego i obnażonego od pasa w gospodzie, wspomniała, jak się wtedy poczuła. A także bezczelne zaproszenie do łóżka, poparte zapewnieniem, że spodoba jej się to, czego w nim zazna. Uwierzyła mu wtedy bez zastrzeżeń. A potem znowu w gospodzie Pod Kozłem. Kolejne bezczelne zaproszenie, równie grzeszne jak kuszące.

Jeśli dodać do tego namiętne, oszołamiające pocałunki na tarasie Ithorne House...

Pograżyła się w szalonych, niewyobrażalnych marzeniach...

\*\*\*

Thorn wsunął się do pokoju po północy, z butami w dłoniach, lekko wstawiony, lecz nie pijany. Poszedł do Starego Dębu przygotowany, aby skorzystać z usług którejś z dziwek, ale na szczęście nie okazało się to konieczne. Cieszyło go to po części dlatego, że gospoda była dość paskudnym miejscem. Drugi powód spoczywał w tym pokoju. W łóżku osłoniętym kurtynami.

W ich łóżku.

Wszedł za parawan, rozebrać się i umyć. Postawił świecę i wrócił po dzbanek z wodą, zostawiony przezornie przy kominku, lecz ogień dawno wygasł i woda była zimna. Czego mógł się spodziewać mąż wracający nocą z hulanki?

Wyczyścił zęby i umył się na tyle dokładnie, na ile było to możliwe, usuwając z ciała i z nozdrzy smród gospody. Zdjął koszulę, ponieważ jedna z klejących się do niego dziwek pozostawiła na niej woń tanich perfum, nie wspominając o smugach zmieszanego z potem bielidła.

Prawdopodobnie malowała się tak mocno, by ukryć ślady po ospie. To był tego rodzaju lokal.

Dowiedział się jednak, czego chciał, a nawet więcej. Bella będzie miała swoją zemstę, a on satysfakcję, że jej w tym pomógł.

Wyjął z walizy czystą koszulę i ją założył, a potem podszedł ze świecą do łóżka. Stał po stronie Belli, odstawił świecę i rozsunał ostrożnie zasłony, wpuszczając jak najmniej światła.

Serce podskoczyło mu w piersi. Z warkoczem, w czepku i nocnej koszuli zapiętej skromnie pod szyję wydawała się bardzo młoda, a także niewinna w sposób, jaki dziewczęta z gospody dawno utraciły.

Stracił dla niej głowę, lecz jak to się stało, że pozwolił jej uczestniczyć w tak niebezpiecznej wyprawie? Nie tylko pozwolił: wręcz ją zachęcał, ponieważ rozpoznał w niej Kelano i był ciekawy.

Na przykład tego, jak Bella Barstowe znalazła się na balu maskowym w jego domu?

Na chwilę odżyły dawne podejrzenia. Nie był jednak w stanie uwierzyć, że dziewczyna prowadzi skomplikowaną grę, by zmusić go do ożenku. Nie po tym, jak spędził w jej towarzystwie kilka dni.

Nie po słodkim, niewinnym pocałunku.

Powinien natychmiast odesłać ją do domu, tylko jak? Poznał Bellę już na tyle, by wiedzieć, że na to nie pozwoli. Nie teraz, gdy triumf był już tak blisko. Jeśli będzie nalegał, może powziąć jakiś szalony zamysł i zacznie działać na własną rękę.

Uświadomił sobie, że Bella ma w sobie cechy żon obu jego przyjaciół. Czasami była spokojna i konwencjonalna jak Caro: doskonała, zrównoważona towarzyszką. A czasem gwałtowna, stanowcza i zdolna do natychmiastowego działania jak Petra.

Idealna kombinacja.

Bella otworzyła oczy i zeszywniała. Nim zdążył się odezwać, odprężyła się jednak i powiedziała:

- O, to pan. Która godzina?

- Sporo po północy. Śpij.

Uśmiechnęła się do niego, słodka, czarująca i nadal oszołomiona snem.

Pochylił się i pocałował ją. Był to lekki pocałunek, delikatny i niezagrażający, choć ciepły zapach jej ciała napłynął ku niemu z pościeli. Odsunął się z wolna, by nie odniosła wrażenia, że ją odtrąca.

Wyprostował się ze szczerym zamiarem przejścia na swoją stronę łóżka.

Lecz Bella przesunęła językiem po wargach. I pozostawiła je rozchylone. Thorn westchnął zrezygnowany, a potem pochylił się i zaczął znów ją całować.

Wargi dziewczyny smakowały cudownie. Przytulił dłoń do jej policzka, a potem wsunął palce pod czepek, pomiędzy włosy, żałując wielce, że ich nie rozpuściła.

Głębszy pocałunek sprawiał jej widoczną przyjemność. Chwyliła go za ramię i cicho westchnęła.

Wystarczyło to, by w piersi Thorna coś się poruszyło. Czuł pożądanie, tak, ale i coś więcej - potrzebę, by dbać o tę kobietę i ją ochraniać, tulić...

Był już na łóżku. Przewróciła się na plecy, pociągając go za sobą. Spoczywał na niej połową ciała, lecz nadal rozdzielała ich kołdra. Była bezpieczna.

Ścisnęła go znowu za ramię. Uścisk nie był mocny, mimo to palił skórę.

Oderwał usta od jej ust, lecz tylko po to, aby całować jej policzek, ucho, linię szczęki.

- Każ mi przestać - powiedział.

- Nie. - Lecz potem, jak zawsze rozsądna, dodała: - Jeszcze nie.

Roześmiał się, przesuwając palcem wzdłuż falbanki, zdobiącej skromną niczym u zakonnicy nocną koszulę. Siegała po samą szyję, wywierając mimo to iście zabójczy efekt.

- Kiedy mam przestać?

Splonęła rumieńcem, ale jej oczy błyszczały.

- Nie wiem. Jeszcze.

- Rozpustna dziewczka.

Pociągnął za troczek przy dekolcie koszuli. Rozchyliła się, ukazując szczelinę pomiędzy piersiami.

- Nie jestem dziewczką - zaprotestowała, głos miała jednak chrapliwy, a oddech przyspieszony.

Patrzył jak jej pierś to unosi się, to opada. Zaczęła oddychać jeszcze szybciej, gdy wsunął palec w ciepłą, głęboką szczelinę pomiędzy piersiami, ledwie widoczną w przyćmionym świetle, lecz jakże skutecznie poruszającą jego zmysły.

- Proszę, bądź nią - wymamrotał. - Tylko tej nocy.

Pogładził wżgórki bujnych piersi, a potem ujął jedną, rozkoszując się jak zawsze tym najslodszyrn ze wszystkich ciężarem. Był już twardy i bardzo chciał w nią wejść, wiedział jednak, że tego nie zrobi. Rozkazał sobie zapanować nad pożądaniem. Zachowa kontrolę, lecz musi dostać od niej coś więcej. Pocałował ją znowu, głębiej, acz nadal ostrożnie, rozkoszując się zarówno brakiem doświadczenia Belli, jak i jej entuzjazmem. Zareagowała mocno, kiedy musnął kciukiem jej sutek. Z jej gardła dobył się ochryply jęk, będący wyrazem lęku, zaskoczenia, lecz także - miał przynajmniej taką nadzieję - rozkoszy i podniecenia.

Miał ochotę mruczeć z zadowolenia, widział bowiem, że jest pierwszym mężczyzną, który jej to robi, dostarcza tak rozkosznych doznań. Spodziewał się, że tak będzie, mimo to potwierdzenie przypuszczeń było niczym medal. Zwycięstwo. Podbój.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Pozwól tylko, że cię tam dotknę.

Poruszyła się. Nie wiedział: po to, by stawić opór czy też zwielokrotnić przyjemność, a potem wyszeptała:

- Doskonale.

- Rzeczywiście, doskonale. - Pocałował ją znowu, nie przerywając pieszczot i sprawdzając, jak na nie reaguje. Gdyby się bała, natychmiast by to wyczuł i przestał.

Tymczasem Bella rozchyliła szerzej wargi, przywarła doń mocniej. Ich języki zetknęły się ze sobą, Belli niepewny, acz chętny i gorliwy. Wsunął język głębiej, a ciało dziewczyny poruszyło się pod nim. To była tortura - lecz jakże cudowna.

Całował Bellę i pieścił jej piersi, a potem oderwał wargi od jej ust i objął nimi sutek.

Kiedy zareagowała, odsunął pościel, zadarł koszulę i wsunął dłoń pomiędzy uda dziewczyny, sprawdzając pilnie jej reakcję, by móc przerwać, jeśli zajdzie potrzeba. A także po to, by pieścić ją we właściwym rytmie, dać jej najdoskonalszą z możliwych rozkosz.

Po co doskonalił od lat tego rodzaju umiejętności, jeśli nie dla tej kobiety? Tej chwili.



Ćwiczył się w sztuce miłosnej od wczesnej młodości, a pomagały mu w tym nader utalentowane kobiety. Nauka obejmowała też samokontrolę, gdyż było to dla niego ważne. Bella była przy nim bezpieczna, gdy wiała się z rozkoszy, z każdą chwilą bardziej niepoohamowanie, a wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, jak dalece zatraciła się, wędrując po zadziwiającej krainie cielesnych przyjemności. Uśmiechnął się, usatysfakcjonowany, a potem pchnął ją głębiej w rozkosz - małą śmierć. Całował ją, kiedy krzyczała w uniesieniu, a kiedy spazmy ustały wsunął się pod kołdrę i tulił ją, gładził po plecach, całował policzek i mówił, jaką przyjemność sprawiło mu to, że dał jej przyjemność.

Niektóre kobiety nie wierzyły, kiedy to mówił. Kilka traktowało podejrzliwie mężczyznę chętnego dostarczyć przyjemność kobiecie i na tym poprzestać. Uwielbiał rozkosz, jaką dawało mu obcowanie z kobietą, lecz nie mógł być w pełni świadom tego, co się z nią dzieje, kiedy poddawał się pożądaniu. Tymczasem doprowadzenia wrażliwej kobiety na szczyt, kiedy mógł w pełni rozkoszować się każdym widokiem, dźwiękiem, smakiem i zapachem, stanowiło ucztę dla zmysłów.

Potrafił - w odpowiednim czasie, z odpowiednią kobietą - przeciągać tę grę w nieskończoność. Nie mógł się już doczekać, kiedy postąpi tak z Bellą. Już niedługo, obiecał sobie w duchu.

Uśmiechnął się, spoglądając na skromny czepek. Milczała, a on nie zmuszał jej, by przemówiła.

W końcu spytała jednak:

- Co to było?

- Dobre pytanie. Przyjemność. Czy to wystarczające wyjaśnienie?

Odwróciła się i spojrzała na niego, marszcząc z lekka brwi.

- Ale ty nie... nie wszedłeś we mnie. Prawda?

-Nie.

- Nie rozumiem. Pocałował ją znowu.

- To zbyt skomplikowane, bym teraz ci to tłumaczył. Muszę opuścić cię na chwilę.

Wyszedł do saloniku i dał upust nagromadzonemu pożądaniu, myśląc przy tym o Belli. Czy miałaby mu za złe, gdyby wiedziała, co robi? Wrócił do sypialni, zgasił świecę, a potem położył się po swojej stronie łóżka.

Lecz kiedy chciała się przysunąć, powiedział:

- Lepiej, żebyśmy nie leżeli teraz zbyt blisko siebie. Dobranoc, Bello.

- Dobranoc, Thorn - odparła po chwili. Uśmiechnął się w ciemności, słysząc, jak wypowiada imię, które uznała wcześniej za nazbyt intymne, by się nim posługiwać.

## Rozdział 19

Obudziła się rankiem, dotykając swego ciała. Uświadomiła sobie, dlaczego to robi, i przestała. A potem się uśmiechnęła. To było najbardziej niezwykle doświadczenie w całym jej życiu. Nic dziwnego, że panie u lady Fowler uśmiechały się z zaprawioną smutkiem słodyczą, wspominając mężów, którzy nie zatroszczyli się o ich przyszłość.

Z pewnością Thorn przemyśliwa o tym, żeby się z nią ożenić, skoro zachował się w ten sposób. Proszę, niech tak będzie, pomodliła się w duchu.

Usłyszała, że zegar na kościele wybija ósmą i usiadła ostrożnie, by nie obudzić kapitana. Przez zasłony sączyło się jedynie przyćmione światło, mogła jednak dostrzec jego rzęsy i zarost na policzku. Jeszcze kilka dni i będzie tak gęsty, jak wtedy, gdy wpadła do jego pokoju Pod Busolą.

Przypomniała sobie, jak to było czuć ten zarost na skórze, i zastanawiała się przez chwilę, czy czułaby go mocniej czy słabiej, gdyby był gładko ogolony.

Uświadomiła sobie, że musiał golić się od tamtej nocy. Zatem dlaczego nie robił tego codziennie?

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co jest u mężczyzn normalne, a co nie.

Wyciągnęła dłoń, aby go dotknąć, pogłaskać, a potem ją cofnęła. Niech śpi.

Wyśliznęła się z łóżka i zasunęła starannie kotary. A potem przeciągnęła się z uśmiechem. Czowała się cudownie, pełna energii i odprężona. Odsunęła nieco zasłonę w oknie i wyjrzała. Dzień wstał szary i deszczowy. Nie najlepszy, żeby uganiać się za kotokrólikami. Mimo to nie przestawała się uśmiechać. W saloniku rozpalono już ogień. Bella pomyślała z przerażeniem, że przyłapano ją w łóżku z mężczyzną, a potem się roześmiała. Uchodzili tu przecież za małżeństwo. A małżonkowie mogą spać w jednym łóżku.

Spojrzała z uśmiechem na skromną obrączkę i pogładziła ją, oddając się marzeniom...

Obok paleniska stał dzbanek z wodą, nakryty grubym ręcznikiem. Zniosła go do umywalni, przelała połowę wody do miski, a resztę postawiła przy ogniu. Wyjęła czystą koszulę oraz pończochy, zabrała halkę i suknię i zniosła wszystko za parawan. A potem zdjęła koszulę, by rozkoszować się dotykiem myjki na ciele, które wydawało się tego ranka jakiegoś inne, w subtelny sposób odmienione.

Zaczęła się ubierać, myśląc z niechęcią o tym, że ma zmienić się znowu w skromną, świętoszkowatą panią Rose. Upięła jednak włosy i założyła perukę.

Umieściła na niej czepek i przeszła do saloniku poczekać, aż Thorn się obudzi. Tabitha spojrzała na nią z koszyka, wydała dźwięk, oznaczający ewidentnie: *Ach, to tylko ty*, i ułożyła się znowu do snu. Bella siedziała beczynnie, złożonywszy dłonie na kolanach. Nie myślała o niczym szczególnym, po prostu siedziała, odczuwając głębokie zadowolenie.

Thorn wyłonił się z sypialni po półgodzinie, ubrany i gotów rozpocząć nowy dzień. Tabitha powitała go entuzjastycznie, a on przez chwilę się z nią przekomarzał. Bella przyglądała się temu z idiotycznym rozrzewnieniem, lecz także z niepokojem. Czyżby unikał zwracania na nią uwagi, ponieważ żałował tego, co stało się w nocy?

Lecz kiedy spotkały się ich spojrzenia, uśmiechnął się w sposób, który natychmiast uśmierzył wszelkie jej obawy.

- Dzień dobry - powiedziała, świadoma, że się rumieni. Thorn uśmiechnął się szerzej.
- Dzień dobry. - Rozejrzył się. - Śniadanie? Bella zerwała się z poczuciem winy z krzesła.
- Powinnam była...
- Bello, chodziło mi jedynie o to, że musiałaś na mnie czekać. Nie chciałbym, żebyś siedziała tu głodna.

Podszedł do drzwi i zawołał pokojówkę.

- W takich sytuacjach dobrze mieć mocny, marynarski głos - zauważyła, nadal się uśmiechając. Nie była w stanie przestać.

On też się uśmiechnął.

- W rzeczy samej. - Podszedł do okna. - Co za okropna pogoda! Dobra, żeby poczynić plany. - Odwrócił się do niej. - Twój brat był w zeszłym tygodniu Pod Starym Dębem. Przychodzi tam regularnie. Przypomniało to Belli, gdzie Thorn spędził wieczór. Odsunęła jednak niepożądane myśli. Nic nie zepsuje jej tej chwili.

- Jak udaje mu się uniknąć skandalu?
- Dżentelmeni, tacy jak twój brat, wchodzi tylnym wejściem, by nie zauważyli ich zwykli goście. Bella skrzywiła się, lecz zapytała: - Jeśli jest dla nich tak ważny, czy nie doniosą mu, że o niego rozpytywałeś? - Nie jestem taki głupi. Byłem bardzo ostrożny, poki nie zorientowałem się, jak bardzo go tam me lubią. - Zerknął czujnie na Bellę. - Nie jest zbyt uprzejmy.

Bella bez trudu mogła to sobie wyobrazić.

- Rzeczywiście, uprzejmość nie leży w jego charakterze. Czy oznacza to, że nam pomogą?
- Z rozkoszą. Nie będą żałować takiego klienta.
- Jak miło, iż zasłużona kara spotka go po części dlatego, że ma paskudny charakter. Opracowałeś dokładny plan?

- Nie. - Podeszedł bliżej kominka, a tym samym bliżej Belli. - Nietrudno byłoby pokazać, co dzieje się z tyłu gospody klientom, przesiadującym w części frontowej, nie jestem wszakże pewny, czy okazałoby się to wystarczające. Musimy sprawić, by przyłapały go na gorącym uczynku osoby cieszące się najwyższym szacunkiem.

- A one nie bywają Pod Starym Dębem. Znalezienie sposobu, by je tam zwabić może zająć nam trochę czasu, prawda? - spytała, skrywając nadzieję.

- Rzeczywiście - przyznał. - Jesteś pewna, że krew-niaczka nie zacznie martwić się o ciebie? Bolało ją, że musi go okłamać, nie miała jednak wyjścia.

- Jak powiedziałam, przebywa z wizytą u przyjaciół, przez pewien czas mogę więc robić, co zechcę.

- Szczęśliwa z ciebie dziewczka.

- Nie jestem dziewczką - zaprotestowała z uśmiechem. On też się uśmiechnął. Poczula się tak, jakby przysunął się nieco bliżej. - A co z hazardem? - spytała. - Gdzie to się odbywa?

- W prywatnych pomieszczeniach na zapleczu gospody. I bardzo dobrze, gdyż mogłem grać, nie korzystając z usług innego rodzaju.

Bella zarumieniła się z ulgi. Widziała, że to zauważył.

- Dużo przegrałeś? - spytała.

- Pytasz jak żona. Nie przyszło ci do głowy, że mogłem wygrać?

Droczył się z nią, więc zapytała z uśmiechem:

- A wygrałeś?

- Nie, lecz tylko dlatego, iż uznałem, że tak będzie lepiej. Klient, który przegrywa, jest zawsze mile widziany.

Zjedli śniadanie i zaprzestali snucia planów. Zamiast tego przedyskutowali, dokąd udadzą się tego dnia w poszukiwaniu kotokrólików z Hesji.

\*\*\*

Spędzili dzień podobnie jak poprzedni, jeżdżąc wiejskimi drózkami. Niebo było szare, lecz nic nie mogło zepsuć Belli nastroju. Kociaki były tego dnia szczególnie niesforne, a skoro Thorn powoził, jej przypadła opieka nad zwierzakami. Tabitha nie protestowała - przeciwnie, wyskoczyła z powoziku, by przebiec się po okolicy i może zapolować.

Kiedy wróciła, Bella ją złajała.

- To twoje zadanie i dobrze o tym wiesz. - A kiedy Sabie podczołgał się ku skrajowi powozu, jakby zamierzał pójść w ślady matki i wyskoczyć, chwyciła go i powiedziała do kotki: - Nie możesz skłonić swoich dzieci, by były grzeczne?

- *Niauu* - prychnęła kotka.

Bella roześmiała się, gdyż opieka nad kociętami w gruncie rzeczy sprawiała jej przyjemność.

Kiedy zatrzymali się, żeby zjeść obiad w gospodzie, wpakowała kocięta do koszyka i zabrała go ze sobą do sali jadalnej. Postawiła kosz na podłodze i powiedziała do Tabithy:

- Wracaj do obowiązków, mamusiu.

Tabitha westchnęła i położyła się, a kocięta natychmiast przypięły się do sutków.

- Nie o to mi chodziło! - zaprotestowała Bella, a Thorn się roześmiał.

Porwał Bellę w objęcia, pocałował i ścisnął tak mocno, że aż przekrzywił się jej kapelusz. Akurat w tej chwili do sali weszła pokojówka, by przygotować stół.

Bella wyrwała się Thornowi, lecz była w stanie powiedzieć tylko:

- Nie do wiary! - Zabrzmiało to tak, jakby była niespełna rozumu.

- Jeśli nie chcesz być całowana, żono, postaraj się nie wyglądać tak kusząco.

Pokojówka zachichotała i obdarzyła Bellę pełnym aprobaty spojrzeniem. Bella odwróciła się do lustra, aby poprawić kapelusz i zobaczyła, że policzki ma zaróżowione, a oczy błyszczą jej niczym gwiazdy. Było to widoczne nawet przez szkła okularów. Pokojówka zobaczyła parę ludzi, którzy się kochają. Bella mogła jedynie marzyć, że pewnego dnia stanie się to prawdą, prześladowała ją wszakże świadomość, że kiedy przygoda się skończy, będą musieli się rozstać.

Kiedy wracali pod koniec dnia do Upstone, zaczął padać drobny deszcz. Bella zamknęła koszyk z kotami i naciągnęła kaptur. Thorn chronił przed deszczem jedynie trójgraniasty kapelusz.

- Powiniennem był wziąć płaszcz - zauważył. - Nie rób takiej zmartwionej miny, bywałem już bardziej przemoczony.

- Często zdarzało ci się przeżywać sztorm na morzu?

- Wolę to, niż ciszę. Tak jak kobietę obdarzoną temperamentem od zimnej.

- A ja, którą z nich jestem? - spytała odruchowo. Spojrzał na nią z błyskiem w oku.

- Żadną. Ty, moja droga, jesteś jak powiew wiatru w słoneczny dzień, wypełniający żagle i przydający statkowi skrzydeł.

- Żałuję, że nie jestem...

- Czym? Wiatrem? Bella się roześmiała.

- Nie, chyba by mi się to nie spodobało. - Nie musiała się wysilać, by znaleźć błyskotliwą ripostę, gdyż zbliżał się ku nim jeździec na koniu. Jechał galopem, pochylając głowę, aby ochronić się przed deszczem.

Spodziewała się, że ich wyminie, on jednak się zatrzymał.

- Dzień dobry. To wy jeździcie po okolicy, rozpytując o dziwne koty i króliki?

Bella zamarła. Jeźdźcem był lord Fortescue, przyjaciel jej ojca, nadal w pełni formy, mimo iż przekroczył sześćdziesiątkę. Jeśli poweźmie w stosunku do nich podejrzenia, zechce jej się przyjrzeć. Kto wie, może nawet ją rozpozna?



- Boże święty! - wykrzyknął. Bella przygotowała się w duchu na kłopoty, on jednak przeprosił. - Proszę mi wybaczyć, *madame*, ale, Ithorne... Co ty tu robisz, podróżując jak...

- Jak zwykły śmiertelnik? - podsunął Thorn przyjaźnie. - Jestem incognito.

Lord zerknął na Bellę, uznał, że jest kochanką i skupił uwagę na domniemanym księciu. Jak Thorn sobie z tym poradzi?

- To poważna sprawa? - zapyta! Fortescue.

- W żadnym razie. Niektórzy poszukują nieodkrytych lądów albo odległych gwiazd. Ja szukam kotokrólików, takich jak ten. - Otworzył koszyk.

Tabitha spojrziała na niego z wyrzutem, a potem wyciągnęła łapę i zatrzęsnęła wieko.

- Piekielnie dziwaczne stworzenie, to rzecz pewna. Nie będę trzymał was na deszczu. Gdzie się zatrzymałeś?

- Pod Jeleniem i Zającem w Upstone.

- Mogę cię tam odwiedzić, Ithorne? Chciałbym porozmawiać o kilku sprawach.

Bella spostrzegła, że Thorn się skrzywił, odparł jednak:

- Oczywiście. Zjedźmy razem kolację jutro wieczorem.

Ustalili czas, lord Fortescue dotknął dłonią przemoczonego kapelusza i odjechał. Gdy rozmawiali, Bella spoglądała przez cały czas przed siebie, zastanawiając się, dlaczego Thorn nie wyprowadza lorda z błędu.

A kiedy strzelił lejcami i powóz ruszył, nie wytrzymała.

- Co ty sobie myślałeś? Nie dość, że podałeś się za brata - a jestem pewna, że to wbrew prawu - to zaprosiłeś jeszcze lorda Fortescue na kolację? Tu, w deszczu, mógł się nie zorientować, że ma do czynienia z inną osobą, ale gdy zasiądziecie przy jednym stole...

- Zaufaj mi - odparł spokojnie. - Jesteśmy z bratem bardzo do siebie podobni.

- Lecz on jest księciem, a ty żeglarzem. Dlaczego nie powiedziałeś po prostu lordowi, że się pomylił?
- Z początku prościej było nie wyprowadzać go z błędu. Nie sądziłem, że zechce się spotkać.

Bella otarła z nosa kroplę deszczu.

- Będzie chciał rozmawiać o polityce. Nie wiesz nic o polityce.
- Doprawdy?
- Nie tyle, ile twój brat.
- Rzeczywiście - odparł z zagadkowym uśmiechem, co Bella uznała za niezwykle irytujące. - Potrafię jednak radzić sobie w trudnych sytuacjach. Zastanawiam się tylko, czy powinnaś towarzyszyć mi podczas spotkania.
- Nie - odparła Bella stanowczo. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Poza tym lord Fortescue był przyjacielem mojego ojca i choć prawie nie zwracał na mnie uwagi, wolę nie ryzykować.
- Ach tak. Doskonale.
- Nie możesz jakoś go zniechęcić? - spytała błagalnie.
- Prawo jest surowe. Wieszają ludzi za byle przewinę. Jestem pewna, że udawanie księcia to swego rodzaju zdrada.
- Bello - powtórzył, może nawet się z niej śmiejąc - zaufaj mi.

Otworzyła koszyk i zapytała:

- Nie mogłabyś przemówić mu do rozumu?

Kotka uniosła z lekka powieki, a potem znów je zamknęła. Milcząca odpowiedź brzmiała: nie.

- Zniweczysz szansę na to, bym mogła się zemścić
- powiedziała do irytującego mężczyzny. - A jeśli powtórzysz „zaufaj mi” jeszcze raz... ukłuję cię szpilką do kapelusza.

Thorn tylko się roześmiał.

Pod Jeleniem i Zającem czekały na nich ręczniki, suty ogień i gorący poncz. Bella skorzystała ochoczo z tych

luksusów, lecz Thorn gdzieś zniknął. Natychmiast zaczęła się zamartwiać, że obraziła go, protestując tak zajadle.

Siedziała w saloniku przed kominkiem, w suchym ubraniu, szukając pociechy w szklaneczce ponczu, kiedy pojawił się Thorn, osuszając włosy ręcznikiem. Zdjął surdut, zostając jedynie w kamizelce oraz koszuli.

- Dokąd poszedłeś? - spytała. - Odwołać spotkanie z lordem Fortescue?

- Nie. - Nalał sobie ponczu i usiadł. - Oberżysta chciał przekazać mi wiadomość tak, żebyś o tym nie wiedziała. Nadeszła ze Starego Dębu.

- Byłeś tam? Teraz? - Nie mogła znieść myśli, że poszedł znów do burdelu, choćby na chwilę.

- Tylko przez chwilę - powiedział z naciskiem. - Augustus pojawi się w Upstone jutro.

Wydawał się zadowolony, lecz Belli ścisnął się żołądek. Jutro.

Wszystko zakończy się jutro.

- Musimy zatem uzgodnić plany - powiedziała. - Cudownie.

- Nowe plany - sprostował, pochylając się, aby napęlić ponownie szklaneczkę. zaproponował to samo Belli, pokręciła jednak głową. Jeszcze odrobina alkoholu i się rozplacze.

- Pani Calloway, oberżystka, uznała, że chciałbym wiedzieć, kiedy twój brat złoży prywatną wizytę Pod Dębem. Powiedziała mi jednak również, że jutro urzędnicy magistraccy będą sprawować sądy tu, w Upstone. Twój brat jest jednym z nich.

- Lecz co nam z tego? - spytała Bella. - Chyba że pójdzie potem do Starego Dębu.

- Dąb przyjdzie do niego. - Pociągnął spory łyk. - Trzej urzędnicy sprawują sądy tutaj, Pod Jeleniem i Zającem, i zostają potem na nocleg.

Uśmiechał się jak kot, który dobrał się do śmietanki, lecz Bella myślała już o czymś innym.

- Będzie w tej gospodzie? A jeśli nasze ścieżki się skrzyżują? Na pewno mnie rozpozna!
- Niekoniecznie, lepiej jednak, żebyś nie wychylała nosa z pokoju. Posłuchaj, sytuacja wygląda idealnie. Po dopełnieniu obowiązków zacni sędziowie rozkoszują się sutą kolacją i spędzają wesoły wieczór przy kartach...
- Aha!
- ...i w towarzystwie, wybaczone, dziwek.
- Tutaj? - spytała Bella.
- Tutaj - odparł. - W sali na parterze, gdzie sprawują sądy. Pani Calloway przysłała trzy dziewczęta. Wchodzą przez okno. Nie wierzę, że pracownicy gospody o tym nie wiedzą, lecz wolą zapewne udawać, że jest inaczej. Nikt nie chce narazić się urzędnikom magistrackim. Zajmują się nie tylko osądzaniem przestępców, ale też przyznawaniem koncesji, a jeśli poczują się urażeni, mogą dopatrzeć się jakichś uchybień.
- To odrażające.
- Lecz to nie nasza sprawa. Zabawa szybko zmienia się w hulankę, wystarczy więc odsunąć zasłony. Bella wyobraziła to sobie i niemal opadła jej szczeka.
- Jeszcze ponczu? - zaproponował.
- Wyciągnęła ku niemu szklaneczkę, a potem upiła solidny łyk trunku. - Jak tego dokonamy? Przecież nas tam nie będzie.
- Ciebie na pewno, sądzę jednak, że zdołam dostać się jakoś do środka.
- A jak sprawimy, by pod oknami znaleźli się właściwi ludzie?
- Wystarczy szepnąć słówko tu i tam. Wyobraź to sobie. Kurtyna unosi się, niczym w teatrze, ukazując scenę... no i aktorów! Pomyśl tylko o aktorach! - Uśmiechnął się do niej. - Jakże błyszczą ci oczy!
- Bella przypuszczała, że musi tak być istotnie.
- Czy to niedobrze? A co z pozostałymi urzędnikami? Schwytamy ich w tę samą pułapkę.

- Tylko jeśli podzielają upodobanie twego brata do niecnych rozrywek.

- Wiemy, kim są?

- Sądzę, iż możesz wiedzieć.

Bella zaczerpnęła gwałtownie oddechu.

- Tak, oczywiście! O czym ja myślę? Jednym musi być szanowny Thoroughgood. To za niego chciał mnie wydać ojciec.

- Jest prawy i cnotliwy? To mogłoby popsuć nam szyki.

- Ani jedno, ani drugie. Przypuszczam, że uważa się go za prawego, zważywszy, jak surowe feruje wyroki, lecz znany jest także z tego, że pije i nie był wierny swojej pierwszej żonie.

- W jakim jest wieku? Bella wzruszyła ramionami.

- Chyba po czterdziestce. Dlaczego pytasz?

- Raczej nie był odpowiednim kandydatem na męża dla ciebie.

Skrzywiła się.

- Ojciec upierał się, że muszę wyjść za mąż, a jakoś nikt nie ubiegał się o ten zaszczyt. Szanowny Thoroughgood zaproponował, że ocali mnie przed hańbą. Ojciec się zgodził. Pamiętam, jak mówił, że to stanowczy mężczyzna, który potrafi utrzymać w ryzach lekkomyślną żonę. Jeśli będzie trzeba, choćby za pomocą bata. Thorn zacisnął szczęki.

- Szkoda, że twój ojciec nie żyje. Chętnie powiedziałbym mu, co myślę o jego postępowaniu.

- Kazałby cię wyrzucić.

Thorn uśmiechnął się z posępną pewnością siebie, jak mu się czasem zdarzało.

- Wątpię.

Bella uznała, że stawiłby się na spotkanie, mając u boku swoją załogę. Pomyślała z rosnącą satysfakcją o tym, co stanie się następnego dnia.

- Jeśli szanowny Thoroughgood zostanie przyłapany razem z Augustusem, ani trochę mnie to nie obejdzie.

- Dobrze. A probujesz więc plan? Bella napiła się jeszcze ponczu.
- Jeśli da się go zrealizować, to tak. Lecz widok musi być w naprawdę skandaliczny. Jak zdołamy tego dokonać? Mężczyźni grający w karty to za mało.

Upił łyk trunku, poprzyglądał się przez chwilę Belli, a potem powiedział:

- Rzucają kostką. A kiedy przegrywają, któraś z kobiet zdejmuje część odzieży.

-Och.

- Gdy są już nagie, muszą znosić kary innego rodzaju. Bella uznała, że nie chce wiedzieć nic więcej.

- Będziemy potrzebowali sygnału, że sprawy posunęły się wystarczająco daleko.

Thorn uśmiechnął się, być może z uznaniem.

- Właśnie. Jednak dobrze byłoby mieć pod ręką paru wpływowych świadków, nie tylko zwykłych klientów. Świadców, którzy nie będą bali się urzędników i opowiedzą o tym, co zobaczyli. -

Wyprostował się. - Fortescue! Tak, nada się doskonale.

Bella zasłoniła dłonią oczy.

- Chcesz wciągnąć w ten niesłychany plan lorda Fortescue? Chyba oszalałeś.

- Mam nadzieję, że był to raczej przyływ niezwyklej błyskotliwości. Kto nadałby się lepiej? Jest twardy, pruderyjny i skłonny do gniewu, a jako wicehrabia nie musi obawiać się magistratu.

Normalnie nie zajmowałby się czyimiś grzeszkami, lecz jeśli zostanie postawiony wobec faktu, będzie musiał zareagować.

- Mówisz, jakbyś go znał.

- Miałem z nim kilka razy do czynienia.

- Jako kapitan Rose.

Spojrzał na nią, jakby ta uwaga nie miała sensu, a potem powiedział:

- Zaufaj mi, Bello.

- Szpilka do kapelusza - wymamrotała.

- Pomyśl lepiej, kogo jeszcze moglibyśmy wykorzystać w charakterze świadka. Co z rodziną dziewczyny, którą twój brat chce poślubić?
- Langhamowie. Jednak pan Langham jest po prostu bogaty. Próbuje zadomowić się w okolicy, nie będzie zatem chciał pakować się w kłopoty.
- Nawet jeśli narzeczony jego córki okaże się być prawdziwym łajdakiem? A on przekona się o tym na własne oczy?

Bella zastanawiała się przez chwilę.

- Tak, wtedy mógłby rzeczywiście coś zrobić. Nie widywałam go zbyt często, lecz sądzę, że kocha córkę. Gdyby doniesiono mu, jak zabawia się przyszły zięć, z pewnością przyszedłby sprawdzić, czy tak jest w istocie.

Thorn skinął głową. - To da się zaaranżować. Kto jeszcze? - Zastanawiając się, stuknął palcem w szklaneczkę. - Fortescue będzie mocnym świadkiem. Gardzi hipokryzją. Lecz Langham, jak wspomniałaś, może nie zechce się wypowiedzieć. Co z pastorem? Wiesz, jakim jest człowiekiem?

- O tak! - odparła Bella. - Wielebny Jervingham, jeśli pozostaje nadal w parafii. Surowy proboszcz i syn lorda Moncliffe, niezależny od miejscowych wpływów. Znany jest z tego, że wytyka ludziom grzechy z ambony, i to zarówno wysoko, jak nisko urodzonym.

- Już go lubię - powiedział Thorn, uśmiechając się z satysfakcją. - Mając za publiczność tylu miejscowych obywateli, ilu uda nam się zwabić, ci trzej dżentelmeni powinni wystarczyć.

- Byle tylko urzędnicy źle się zachowywali.

- Pani Calloway twierdzi, że robią tak zawsze.

- Zawsze?

- Twój brat jest zatwardziałym grzesznikiem, Bello. To nie będzie tak, że przyłapiemy go na chwilowym potknięciu.

- Nie, przypuszczam, że nie. Ale... przecież ci ludzie mają strzec prawa!
  - Które, oczywiście, nie stosuje się do nich. Będziemy potrzebowali więc tylko sygnału. Znak, że pora wkroczyć i podnieść kurtynę.
  - Może któraś z kobiet mogłaby nam w tym pomóc?
  - zaproponowała Bella.
  - Na pewno zrobiłaby to z przyjemnością. - Oczy Thorna zabłyśły. - Głośny kobiecy krzyk dałby mi pretekst, bym wkroczył do sali sprawdzić, co się tam dzieje, nie sądzisz?
  - Czegóż innego można byłoby spodziewać się po dżentelmenie? - zauważyła z błyskiem w oku. Unieśli w geście toastu szklaneczki. Byłaby to dla Belli piękna chwila, gdyby nie fakt, iż spodziewany triumf oznaczał koniec jej nadziei.
- Bo tak w istocie było. Jej marzenia były właśnie tym: marzeniami. Nawet jeśli Augustus zostanie skompromitowany, ona nadal będzie Bellą Barstowe o zszarganej reputacji.
- Powiniennem wrócić do Dębu poczynić konieczne przygotowania - powiedział. - Przepraszam za swoje ewidentnie złe zachowanie.
  - Ja zaś będę musiała odgrywać pogrążoną w smutku żonę.
- Wstał, podszedł i pocałował ją. Jego wargi smakowały brandy, pomarańczami i gałką muszkatołową.
- Nie szedłbym tam, gdyby nie było to takie ważne
  - zapewnił.
  - Wiem.
- Pocałował ją znowu.
- Oboje wiemy, że gdybym naprawdę wybierał się do burdelu, złamałabyś mi na głowie pogrzebacz. Bella się roześmiała.
  - Gdybym naprawdę była twoją żoną, *sir*, nauczyłbyś się już dawno, jak należy się zachowywać. Thorn też się roześmiał.
  - Z pewnością.



Nim wyszedł, Bella przybrała znów maskę niewzruszonego spokoju, lecz kiedy została sama, uroniła kilka łez.

Pokojówka przyniosła kolację: jedno nakrycie i talerz z mięsem dla Tabithy. Zerknęła ze współczuciem na Bellę, ta zaś poczuła nieprzepartą chęć, aby zapewnić dziewczynę, że mąż nigdy by jej tak nie upokorzył. Poszedł zaś do gospody, gdyż przyświecał mu szlachetny cel...

Doszła do wniosku, że traci rozum i postanowiła skupić się na zemście. Tyle mogła przynajmniej osiągnąć.

Po kolacji usiadła z robótką, co zawsze ją uspokajało. Niemal skończyła ozdabiać haftem męską chustkę i wykonując ostatnie ścięgi postanowiła, że podaruje ją Thornowi. Była to zwykła chusteczka, nie będzie więc czuł się zakłopotany, ona zaś będzie wiedziała, że Thorn ją ma, nieważne, jak potoczą się sprawy w przyszłości.

## Rozdział 20

Thorn wrócił już po godzinie, ku cichej radości Belli.

- Co za uczta dla oczu - powiedział. - Dama szyjąca przy świecy.

Spojrzała na niego.

- Lepiej jest szyć przy świetle dziennym. Mogę haftować w półmroku, ponieważ robię to już niemal na ślepo. Czy kobiety się zgodziły?

- Z przyjemnością, dokładnie tak, jak przewidziałaś. Naprawdę go tam nie lubią. Płaci, ile żądają, lecz ani pensa więcej, i... Mniejsza z tym. - Usiadł naprzeciw Belli. - Dowiedziałem się także, kim jest trzeci urzędnik. To sir Newleigh Dodd. Kolejny niegrzeczny typek?

Bella zastanawiała się przez chwilę.

- Musiał zostać mianowany już po tym, jak wyjechałam, bo nazwisko nic mi nie mówi. Chyba go nie znam.

- Jest zapewne ulepiony z tej samej gliny, albo ma zbyt słaby charakter, by przeciwstawić się pozostałym. A oto co nastąpi: urzędnicy skończą pracę i zasiądą do kolacji. Kiedy przychodzą kobiety, są już zwykle na wpół pijani, a jutro panie doleją im do ponczu więcej alkoholu, by przyspieszyć proces upojenia. Kiedy sprawy zajdą wystarczająco daleko, jedna z kobiet głośno krzyknie. Pośpieszę jej na ratunek, z lordem Fortescue depczącym mi po piętach.

- Co z widzami na zewnątrz?

- Pani Calloway namówi jednego z klientów, obwoźnego handlarza, aby ogłosił, iż zademonstruje jutro wieczorem niezawodny środek na reumatyzm, uaktywniający się tylko przy świetle księżyca. Prezentacja odbędzie się na dziedzińcu stajennym, tuż pod oknem sali, gdzie zabawiają się urzędnicy.

- Sprytnie pomyślane.

Pochylił głowę, dziękując za komplement.

- A co z pastorem? - spytała. - Nie przyjdzie na pokaz podejrzanego leku.

- Ta część planu nie jest jeszcze zbyt precyzyjna, lecz zwerbowałem właściciela miejscowego sklepu spożywczego, mężczyznę nazwiskiem Colly Barber. Twój brat zakuł go w dyby za to, iż oszukiwał na wadze, on zaś przysięga, że został skazany, ponieważ odmówił zaopatrywania sir Augustusa za darmo. Jakkolwiek było, dostarczy wielebnemu wiadomość, wzywającą go, by stawił się w gospodzie. Pytanie brzmi: jaka powinna to być wiadomość?

- Wzywająca do spełnienia kapłańskiego obowiązku - odparła Bella zdecydowanie. - Za nic by jej nie zignorował. Należy powiadomić go, że szanowny Thoroughgood doznał ataku, spowodowanego obżarstwem i chce wyspowiadać się przed śmiercią. Jest korpulentny, więc zabrzmie to wiarygodnie.

- Sprytnie, Bello. Langham przyjdzie, jeśli otrzyma anonimową wiadomość informująca go, że przyszły zięć zabawia się w gospodzie z tanimi dziwkami. Sceneria zostanie zaaranżowana.

Bella przebiegła w myślach plan. Chciała, by się powiódł.

- Skąd sklepikarz będzie wiedział, kiedy dostarczyć wiadomość?

- Usłyszy krzyk. Potrząsnęła głową.

- Wtedy będzie już za późno. Choć plebania znajduje się w pobliżu gospody, wielebny może pojawić się, gdy będzie po wszystkim. Może rozejrzelibyśmy się za miej-

scem, położonym niedaleko plebanii i widocznym z okna sypialni? Zostanę tam, podczas gdy ty zasiądziesz z lordem Fortescue do politycznej biesiady. Kiedy usłyszę krzyk, dam Barberowi znak świecą. Skróciłoby to czas, potrzebny na dotarcie na plebanię o połowę.

- Precyzyjne i schludne jak twoje ściegi. Doskonale. Bella rozkoszowała się przez chwilę pochwałą, lecz

nim zdążyła na dobre się rozrzewnić, powiedziała:

- A skoro już mowa o schludności, nie powinieneś aby się ogolić, skoro masz udawać księcia?

- Podróżuję incognito, zapomniałaś? Księciu wolno zapuścić brodę tak samo jak chłopu, a zarost pomoże mi ukryć różnice w wyglądzie.

Mogła tylko westchnąć.

- A kim ja jestem, jeśli nie panią Rose?

- Obawiam się, że moją *chere amie*. - Jego kochanką. Po francusku oznaczało to jednak: „drogą przyjaciółką”. Pochylił się i ujął jej dłoń. - Stałaś się moją drogą przyjaciółką, Bello, więc nie jest to kłamstwo.

Wyznanie sprawiło, że niemal się rozkleiła. Opanowała jednak emocje i powiedziała:

- A ty moim prawdziwym przyjacielem. Zaangażowałeś się w moją sprawę tak, jakby dotyczyła ciebie. Ale, drogi przyjacielu, czy mogę nie ograniczyć się jutro do sygnalizowania świecą?

Nadal trzymali się za ręce, a ona nie zamierzała tego zmieniać.

- Powinnaś zostać w pokoju, Bello - powiedział. - Sytuacja może stać się bardzo nieprzyjemna.

-1 dobrze.

- Miałem na myśli to, co będzie działo się w jadalni.

- Muszę zobaczyć efekt - powiedziała.

- Możesz zostać rozpoznana, i to przez kilka osób. Na chwilę się zawahała.

- Ale wtedy nie będzie to już miało znaczenia. Nie wpłynie na realizację planu.

- A na twoją reputację?

- Rozmawialiśmy już o tym przed kilkoma dniami. Rysy jego twarzy stężały, jakby się rozgniewał. Uścisnął mocniej jej dłoń.
- Skoro tak, zbiegnij na dół tuż po tym, jak dasz sygnał sklepikarzowi, i zrób, co uznasz za stosowne.
- Dziękuję. Sądzę, że nam się uda. Uniósł dłoń Belli do ust i ucałował palce.
- Uda się, skoro zaoferowałem ci moje usługi. - Puścił jej dłoń i wstał. - Muszę cię teraz opuścić, ustalić jeszcze kilka szczegółów. Nie Pod Starym Dębem, zapewniam.
- Lepiej, żeby tak było - powiedziała z przesadnie surową miną.
- Przyślę kogoś, żeby zebrał naczynia po kolacji i przyniósł ci wodę do mycia.

Wyszedł, a Bella uświadomiła sobie, że właśnie odesłał ją do łóżka.

Jak miała to rozumieć?

Kiedy pokojówki zrobiły, co do nich należało i wyszły, zdjęła suknię i się umyła. A potem spojrzała na łóżko, zastanawiając się, co powinna włożyć. Halkę, jak pierwszej nocy? Nocną koszulę, jak ostatniej?

Wiedziała, czego życzyłaby sobie zaznać dziś w łóżku, nie chciała jednak niczego mu sugerować, sprawić, by czuł, że musi robić coś, na co nie ma ochoty.

Jej pragnienia były niemoralne, nie dbała jednak o to, gdyż mieli spędzić ze sobą ostatnią noc. Chciała być żoną kapitana, jego pomocnicą i towarzyszką, gospodynią w domu na wybrzeżu, matką jego dzieci i jego kochanką.

Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek w świecie.

Bardziej niż zemsty na Augustusie.

Tak, miłość jest widać samolubna, bo gdyby miała wybór: poślubić Thorna albo powstrzymać brata, wyszłaby za męża i pozostawiła świat, by radził sobie z Augustusem Barstowe bez niej.

Zdecydowała się na nocną koszulę. Wyszczotkowała włosy, zaplotła je i włożyła czepek. A potem zaciągnęła wokół łóżka zasłony i się położyła.

Thorn nie zabawił na dole zbyt długo. Usłyszała, że wchodzi, a potem przysłuchiwała się dobiegającym zza zasłony odgłosom, próbując się zorientować, czy dokonuje toalety z pośpiechem świadczącym, iż chce znaleźć się jak najszybciej obok niej, czy też się ociąga. Wreszcie poczuła, że materac ugina się pod ciężarem jego ciała. Nie odwróciła się, nie spojrzała. Nie chciała, by uznał, że musi coś zrobić.

Przysunął się bliżej, a wtedy odwróciła głowę i zobaczyła nagie męskie ramiona. Nie założył tej nocy koszuli.

Zaschło jej w ustach. To były piękne ramiona i nawet w przyćmionym świetle mogła zobaczyć tatuaż - czarnego łabędzia, zapamiętanego ze spotkania Pod Busołą. Dotknęła tatuażu. Okazał się nadspodziewanie gładki.

- Dlaczego kazałeś sobie to zrobić?

- Marynarze tak postępują. Łatwiej rozpoznać ich ciało, jeśli utoną.

- Nawet o tym nie mów.

- Takie jest życie na morzu. - Dotknął kokardki, na którą zawiązała czepek. - Pozwolisz?

Bella przełknęła, niepewna, na co właściwie miałyby pozwolić, lecz powiedziała: -Tak.

Rozwiązał kokardkę, a potem podciągnął Bellę wyżej na łóżku i zdjął jej czepek. Przesunął ją tak, że spoczywała mu na kolanach, z nogami po zewnętrznej stronie jego ud.

Przesunął dłońmi po jej plecach, odszukał wstążkę, którą zawiązała warkocz i ją także rozwiązał.

Rozpuścił jej włosy, przeczesując je palcami. Ich dotyk na skórze był tak słodki, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego dotąd nie wpadło jej do głowy, że coś tak prostego może dostarczyć aż tyle przyjemności.

Uświadomiła sobie, iż może zrobić Thornowi to samo, wsunęła mu więc palce we włosy.

- Czy dla ciebie to też takie cudowne uczucie?

- Mam nadzieję, że sprawiam ci przyjemność.

- Co jeszcze mogę zrobić, by ci się odwzajemnić? - spytała nieśmiało.
- Mógłbym rozsunąć zasłony i zapalić więcej świec?
- Zostawiłeś zapaloną świecę?
- Przecież się widzimy..? Roześmiała się.
- Tak, chciałabym zobaczyć więcej. Czy to zbyt śmiało?
- Nic nie jest zbyt śmiało, Bellissima. Nic.

Wstał i rozsunął zasłony, wpuszczając blask świecy i ognia.

Zabłyły na jego nagim torsie. Miał na sobie jedynie płócienne kalesony.

Przyniósł do sypialni naczynie świec i teraz je zapalił.

To, że poczynił przygotowania, zaszokowało Bellę, ale i wprawiło w podekscytowanie. Z pewnością nie był jej niechętny. Nie robił nic z poczucia obowiązku. Świadomość tego pozwoliła jej sycić oczy pięknem jego ciała. Szerokie ramiona zwięzały się w wąską talię, biodra i mocne pośladki, ukryte pod cienkim płótnem. Widziała też mięśnie. Smukłe, lecz znamionujące siłę. Kapitan musi robić widocznie na statku coś więcej, niż tylko wykrzykiwać rozkazy.

Spostrzegł, że Bella mu się przygląda i wrócił z uśmiechem do łóżka. Bella doceniła w pełni widok, jaki ukazał się przy tym jej oczom. Pełgające światełka rzucały na klatkę piersiową Thorn a ruchliwe cienie, podkreślając zarys mięśni. Wyglądał inaczej niż wtedy Pod Busolą, lecz wydał jej się jeszcze piękniejszy.

Postawił świecę na stoliku przy łóżku i usiadł.

- Jeśli coś cię zaniepokoi, każ mi przestać.
- Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby cokolwiek, co zrobisz, mogło mnie zaniepokoić.
- A jednak. Choć później zapewne to polubisz. Roześmiała się.
- Mówisz bez sensu. Uśmiechnął się.
- Zobaczymy.

Rozwiązał troczki koszuli i zsunął ją Belli z ramion, obnażając piersi. Poczwała chęć, by zakryć je dłońmi, choć z drugiej strony wcale tego nie chciała.

- Nadal spokojna? - zapytał, przyglądając się jej.

- Trochę zażenowana - przyznała - ale nie zaniepokojona. Czy widok moich piersi sprawia ci przyjemność?

- Niewysłowioną. - Pochylił się i otoczył sutek wargami, pieszcząc go. Belli zrobiło się gorąco.

Próbowała chwycić Thorną, ale ramiona uwięzły jej w koszuli.

Zaczął ssać. Wzdrygnęła się raptownie.

- Jesteś taka wrażliwa - wymamrotał, całując, liżąc i przesuwając stopniowo usta ku drugiej piersi. - Nie masz pojęcia, jak wielką przyjemność sprawia mi odkrywanie przed tobą tych rozkoszy. Bo jest ci przyjemnie, prawda?

Bella westchnęła.

- Chyba tak, ale nie mogę poruszyć rękami, a chciałabym móc cię dotykać.

Opuścił koszulę do bioder, a potem przesunął dłońmi po plecach Belli. Jak to możliwe, by nie zdawała sobie dotąd sprawy, że ma aż tak wrażliwe plecy? Teraz tonęła w zmysłowych doznaniach, jej ciało drżało i wibrowało niczym struna skrzypiec. Przesunęła dłonie na plecy Thorną i gładziła go tak, jak on gładził ją. Przypomniała sobie o doznanej niedawno przyjemności i wsunęła mu dłoń we włosy.

Pieściła palcami skórę na głowie Thorną, a potem zsunęła je niżej, na kark, pojmując w pełni, co miał na myśli mówiąc, że zadowalanie innej osoby może sprawić przyjemność.

Wydawało jej się, że słyszy ciche mruczenie, opuścił jednak szybko głowę i dotknął znowu ustami jej piersi. Przestała myśleć i osunęła się wprost w mroczną, płonącą otchłań.

I wyłoniła pragnąc zaznać więcej. Na różne sposoby. Ucałowała jego pierś i tatuaż. Przesunęła mu paznokciami po skórze, przyglądając się, jak znika biała linia. Bawiła się jego ciałem, a on na to pozwalał, dotykając jej,



gładząc na pozór od niechcenia. Tyle, że wszystko co robił sprawiało, iż czuła się niezwykle ożywiona. Płonęła z pożądania.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy przykrycie zniknęło, odrzucone, podobnie jak ich ubrania. W pokoju było chłodno, gdyż ogień zdążył już przygasnąć, nie odczuwali jednak zimna.

Bella przyglądała się męskości Thorna. Sterczała długa i sztywna. Dotknęła jej. Była twarda. I gorąca. Usłyszała, że wciąga gwałtownie powietrze i spojrzała na niego. Uśmiechnął się i zamknął dłoń Belli wokół członka.

- Pozwolisz? - zapytał. Westchnęła zaskoczona.

- To jak?

- Oczywiście.

Nakrył dłonią jej dłoń i zaczął poruszać obiema.

- Oto co sprawia mi przyjemność Bello, lecz tylko jeśli jest przyjemne także dla ciebie.

- Wszystko, co sprawia przyjemność tobie, jest przyjemne i dla mnie.

Uśmiechnął się.

- Moje podejście, jota w jotę. Zatem do dzieła.

Była w tym swoboda, lecz także wyzwanie, postanowiła więc robić to, co sprawiało jej przyjemność. Zgłębiała nowe doświadczenie, i wyglądało na to, że z sukcesem. Cieszyło ją zwłaszcza, gdy mogła obserwować, jak Thorn osiąga rozkosz, dosłownie jej rękami.

Narzucił na siebie prześcieradło, by pochwyciło nasienie. Nasienie, które powinno było zostać w niej. Gdyby byli małżeństwem.

Uznała, że popełnia właśnie największy z grzechów, lecz nic jej to nie obchodziło. Ujęła w dłonie jego głowę i całowała go namiętnie, jak nigdy przedtem, a on odwzajemnił się, dając jej rozkosz: raz, a potem drugi i trzeci. Wydawał się doskonale wiedzieć, jak doprowadzić ją na skraj samozniszczenia, a potem, w ostatniej chwili, uratować.

- Chciałabym zrobić ci też coś takiego - wymamrotała bez tchu.
- Cóż za rozkoszna myśl - powiedział z twarzą wtuloną w jej szyję, a potem przyciągnął ją bliżej siebie, gdy osuwała się w sen.

Zbudziła się, kiedy zegar wybił piątą.

Na dworze było jeszcze ciemno. Leżała, wtulona w cudowne, nagie ciało Thorny.

Pomyślała o kobietach, które nie zaznały tej symfonii przyjemności. Może powinna napisać książkę.

Dla żon... czy raczej dla mężów?

- O czym myślisz? - zapytał, pieszcząc z wprawą jej biodro.
- Wyłącznie o przyjemności. Dlaczego nie zawsze jest tak, jak z nami?
- Jesteś bardzo wrażliwa.
- Dlatego inne kobiety nie są w stanie zaznać rozkoszy?

Odwrócił się i zaczął pieścić znowu jej piersi. Były teraz bardzo wrażliwe, niemal obolałe, lecz Thorn zdawał się o tym wiedzieć, dotykał ich bowiem znacznie delikatniej.

- Znasz intymne sekrety innych kobiet? - zapytał. Uświadomiła sobie, że omal nie wygadała się z tym, o czym wolałaby nie wspominać, choć będzie musiała to zrobić, i to niedługo. Nie powinni mieć przed sobą sekretów. Powie mu, lecz jeszcze nie teraz.

- Kobiety rozmawiają - powiedziała. - Wiele nie lubi małżeńskich powinności.
- I czasami stwarza to problemy. - Przesunął lekko palcami wzdłuż nagiego ciała Belli aż po wrażliwe miejsce tuż nad pośladkami. - Dla niektórych kobiet już sama nagość bywa krępująca.
- Och. Ale czy wszyscy mężczyźni są tak utalentowani jak ty?
- Nie.
- Dlaczego?

Roześmiał się.

- Cóż za interesujące pytania zadajesz, moja fascynująca Bello. To tak, jakby zapytać, dlaczego nie wszyscy kucharze gotują smaczne potrawy.

- Kwestia treningu? - spytała z powątpiewaniem.

- Oraz, być może, wrodzonego talentu. Odwróciła się i zobaczyła, że Thorn się uśmiecha.

- Powinnaś wiedzieć, że tak odpowiesz.

- Talentu oraz intensywnego treningu.

Zanim zdążyła zadać kolejne zaskakujące pytanie, zamknął jej usta pocałunkiem, a zrobił to z taką wprawą, że nie była w stanie mu się oprzeć.

## Rozdział 21

Budziła się powoli, czując się absolutnie odprężona. Odwróciła się i spojrzała na Thorna, pogrążonego we śnie i jakże pięknego. Gdybyż tylko była to noc poślubna, przypieczętowująca związek, który będzie trwał wiecznie, pomyślała.

Tymczasem czuła się, jakby właśnie tak było. Czy to możliwe, aby zaznali podobnych uniesień, a potem się rozstali? On mógł jednak postrzegać to inaczej, zwłaszcza że nie odebrał jej dziewictwa. Cóż za niezwykła troska. A może nie chciał po prostu, by połączyło ich dziecko? To, iż mógłby w ten sposób kalkulować, sprawiło jej przykrość, byłoby jednak przejawem rozsądku. Tylko co ma z tym wspólnego rozsądek? Wiedziała, że oszaleje, jeśli zacznie roztrząsać wydarzenia wieczoru, zwróciła więc myśli ku temu, co miało nastąpić później: ku zemście. Wstała, ubrała się pospiesznie i przeszła do saloniku, aby poszukać ukojenia w haftowaniu. Lecz kiedy Thorn wyłonił się z sypialni, uświadomiła sobie, iż niemal drży z oczekiwania poruszona do głębi świadomością, że Thorn jest tuż obok, echem doznań, których doświadczyła w nocy...

Uśmiechnął się i pocałował ją, lecz bardzo delikatnie. Może tak było rozsądniej.

- Trudno będzie czekać - powiedziała, nie bardzo wiedząc, czego dotyczy ta uwaga. Uśmiechnął się, nie była jednak pewna dlaczego.

- Nie mamy nic do roboty, póki urzędnicy nie skończą pracy i nie zajmą się przyjemnościami - powiedziała.

- Możemy więc zjeść śniadanie - zauważył rozbawiony i oszedł, by zamówić posiłek.

Widziała, że jest aż nadto świadomy, jak bardzo na nią działa, ale nie mogła mieć mu tego za złe.

Chyba już o nic nie będzie w stanie się na niego pogniewać.

Zaskoczyło ją, że czuje się głodna. Uznała, że to z powodu nocnych wyczynów. Jeśli tak, owe wyczyny ani trochę jej nie zmęczyły. Po śniadaniu jąła przemierzać niespokojnie salonik.

Nagle odwróciła się do Thorna.

- Chcę zobaczyć posiedzenie sądu.

- Czy to rozsądne? - zapytał, podnosząc do ust filiżankę z herbatą.

- Nie wiem. Lecz chcę zobaczyć, jak Augustus sprawdza się w roli sędziego. Przypomnieć sobie, jaki jest podły.

Przyjrzał się jej.

- Nie sądzę, by nas rozpoznał, jeśli będziemy trzymać się z tyłu, przesun jednak perukę nieco do przodu i opuść niżej rondo kapelusza. Nie zapomnij o okularach.

Chwyciła je pośpiesznie ze stołu. Nie przeszkadzało jej, że nosi szkła, kiedy występowała jako Bellona, tych jednak szczerze nienawidziła. Może dlatego, że tamte były jedynie połówkowe, a może z powodu tego, iż wyglądała w nich zdecydowanie mało pociągająco.

Uśmiechnął się, jakby odgadł jej myśli.

- Urzędnicy nie zjawią się tu wcześniej, jak po południu, możemy więc wybrać się na poszukiwania.

Bella nie miała na to ochoty, musiała jednak się zgodzić. Thorn uparł się nawet, by zjedli bez pośpiechu obiad w gospodzie oddalonej o kilka mil od Upstone, choć ona obawiała się, że urzędnicy mogą zakończyć pracę wcześniej. Lub że coś pójdzie źle, jeśli nie będzie ich Pod Jeleniem i Zającem.

- Cierpliwości, moja droga - powiedział, gdy się dąsała. - Zdażymy, a im później wrócimy, tym mniejsza szansa, że natkniemy się na twego brata.

Ruszyli więc dalej, rozpytując o kotokrólki z Hesji. Dzisiaj nie było pocałunków, jedynie przyjazne milczenie, przerywane od czasu do czasu niewymuszoną pogawędką. Bella zauważyła, że Thorn doskonale potrafi dogadać się z dzierżawcami i ich pracownikami, ci zaś czują się przy nim swobodnie.

Jak bardzo musiał różnić się od swego wyniosłego brata! Nie podobało jej się tylko, że zbyt ochoczo flirtuje z kobietami, a one z nim. Małżeńskie pożycie z kapitanem Rose wymagałoby nie lada hartu ducha, mimo to bardzo chciała spróbować.

Wrócili do gospody o trzeciej, a nim się tam znaleźli, Bella była już tak spięta, że niemal podskakiwała w miejscu. Tabitha zamknęła przed nią koszyk, a Thorn potrząsnął głową.

- Spróbuj zachowywać się tak, jakby to był zwyczajny dzień.

- Powinam była zabrać chusteczkę - wymamrotała. Natychmiast podał jej swoją.

- Żeby haftować, idioto!

Spojrzała na niego, przerażona, lecz potem zaczęła chichotać. Kąciki ust Thorna drgnęły i pomyślała, że muszą wyglądać jak para półgłówków. Na szczęście nikt tego nie zauważył, obsługa była bowiem bardzo zajęta, zapewne z powodu posiedzenia sądu.

Pobiegła do pokoju, aby poprawić perukę i kapelusz, a potem weszła wraz z Thornem do długiego pomieszczenia, gdzie odbywało się już posiedzenie.

Była to sala, w której sędziowie mieli potem ucztować, sprawdziła więc szybko okna. Były dwa, do tego olbrzymie. Doskonale.

Spojrzała na drugi koniec pomieszczenia, gdzie sędziowie decydowali właśnie o losie jakiegoś przestępcy. Szanowny Thoroughgood siedział pośrodku, bardziej

tlusty niż go zapamiętała i ociekający pogardą. Po jego prawej stronie zasiadał modnie ubrany mężczyzna po trzydziestce, wyglądający na znudzonego. Niewątpliwie sir Newleigh Dodd. Po lewej - bardziej złowróznej

- Augustus.

Przytył trochę, odkąd ostatni raz go widziała, lecz mimo pyzatyh policzków jego twarz zachowała wyraz wyższości i dezaprobaty. Rozpatrywano przypadek zniszczenia mienia, sprawa była zatem poważna.

Młody człowiek powziął urazę wobec właściciela ziemskiego i zniszczył kilka ogrodzeń. Próbował zaprzeczyć, jego wina wydawała się jednak oczywista. Kiedyś Bella uznałaby, iż jest zły i powinien zostać surowo ukarany. Teraz wiedziała już, że trudne położenie może prowadzić do desperackich czynów. Szanowny Thoroughgood zasądził grzywnę w wysokości trzech gwinei. Publiczność wydała gromadne westchnienie, a młodzieniec krzyknął:

- Nie będę w stanie tyle zapłacić!

- Popłyniesz zatem do Ameryki i to odpracujesz - oznajmił Augustus z przyprawiającą o mdłości satysfakcją.

- Zostań tutaj - powiedział Thorn do Belli - i postaraj się nie rzucać w oczy.

Wstał i podszedł do ławy sędziowskiej.

- Pozwólcie panowie, że zapłacę grzywnę za tego młodzieńca.

Dwaj sędziowie utkwili w nim gniewne spojrzenie. Sir Newleigh wyglądał po prostu jak zaskoczona owca. - Kim pan jest? - zapytał groźnie sir Thoroughgood.

- I dlaczego chce pan zapobiec wymierzeniu sprawiedliwości? Jest pan jego współnikiem?

- Jestem kapitan Rose, a sprawiedliwość wymaga jedynie, by grzywna została zapłacona, czyż nie?

- Sprawiedliwość wymaga, by winny poniósł karę!

- krzyknął Augustus, uderzając dłonią o stół. Bella pomyślała, że wolałby mieć stentorowy głos, zamiast cienkiego i piskliwego.

Thoroughgood poczerwieniał na twarzy, a sir New-leigh przeciwnie, zbladł. Wyglądał nadal jak owca, tyle że wystraszona. Wpatrywał się w Thorna i oczy o mało nie wyszły mu z orbit.

- *Sir.A* - Wykrztusił. - To znaczy... kapitanie Rose? Thorn odwrócił się i spojrzał na mężczyznę. Bella nie

mogła dostrzec wyrazu twarzy kochanka, lecz jego głos brzmiał lodowato, gdy mówił:

- Tak się właśnie nazywam.

Boże święty, sędzia uznał, że ma przed sobą księcia Ithorne, pomyślała przerażona. A Thorn do tego dopuścił. Przed sądem. To krzywoprzysięstwo, czyż nie?

Sir Newleigh wyglądał teraz jak ryba. To otwierał, to zamykał usta, nie mogąc wykrztusić słowa.

Wreszcie prychnął, zwracając się do Augustusa:

- Do diabła, pozwól mu zapłacić! Pyszata twarz Augustusa poczerwieniała.

- Nie ma mowy. Nie pozwolę, by jakiś nuworysz, który dochrapał się stopnia kapitana, szarogęsił się w moim sądzie!

- To nie jest twój sąd, do cholery!

Bella wstrzymała oddech. Jeśli sędziowie się pokłócą, może to zniweczyć ich plany na wieczór.

Thorn zapewne też sobie to uświadomił, powiedział bowiem uspokajającym tonem:

- Panowie, nie zamierzam przeszkadzać w wymierzaniu sprawiedliwości. Uważam jednak, że chrześcijanin ma prawo okazać miłosierdzie. A widzę, że młody człowiek dostał już nauczkę. - Wyjął sakiewkę, wytrząsnął z niej kilka złotych monet i podał je młodzieńcowi, który wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. - Bądź w przyszłości mądrzejszy.

Co powiedziawszy skłonił się ławie i wrócił na miejsce obok Belli. Augustus powiódł za nim gniewnym spojrzeniem, opuściła więc głowę, skrywając twarz za rondem kapelusza.



- Lepiej stąd wyjdźmy - wymamrotała - zanim znów zechcesz okazać komuś miłosierdzie.
- Masz rację, nie mogłem się jednak powstrzymać. Kiedy sędziowie zajęli się kolejną sprawą, wstali i wyszli.
- Pospacerujmy po mieście. Lepiej trzymać cię z dala od pokusy - powiedziała.
- Doskonale. - Zabrzmiało to niemal zgryźliwie. - Lenistwo, głupota i podłość. Co za trójca!
- Sir Newleigh myślał, że jesteś księciem. Bałam się, że to potwierdzisz. Ale dlaczego tak się bał? Jak księżę mógłby mu zaszkodzić?
- Zrobić afront. Sprawić, by nie przyjmowano go w towarzystwie. Wyrażać się o nim z dezaprobatą. Ośmieszyć go. Śmiech niszczy najskuteczniej. Mam nadzieję, że dziś wieczorem będzie tu mnóstwo śmiechu. Bella ujęła go pod ramię.
- Przestań marszczyć brwi. Ludzie się ciebie boją. Odpreżył się i spojrzał na Bellę.
- Ty nigdy się mnie nie boisz, prawda?
- A powinnam?
- Nie jestem pewny.
- Co ma to znaczyć?
- Tego także nie jestem pewny. Bella potrząsnęła głową.
- Książęta mają zdecydowanie zbyt wielkie wpływy. To odrażające. Są w końcu, jak inni, tylko ludźmi.
- Cóż za herezja! - oznajmił. - Poza tym to nieprawda. Ludzie słuchają każdego ich słowa, obserwują wyraz twarzy. - To musi być dość uciążliwe?
- Żal ci Ithorne'a? Niewielu odczuwałoby podobnie. Spojrzała na niego.
- Przedtem sugerowałeś, że się nad nim litujesz.
- Nie w tej chwili - powiedział, uśmiechając się zagadkowo. Rozejrzał się dookoła. - Jak tu przyjemnie.
- To zwyczajne miasteczko.

- Nie, kiedy jestem z tobą.

Bella napotkała jego spojrzenie. Spłonęła rumieńcem, ale się uśmiechnęła. Miał rację: to była cudowna chwila.

Gdy zawrócili w kierunku gospody, poczuła, że znowu ogarnia ją zdenerwowanie.

- Martwisz się? - zapytał.

- Jedynie tym, że się nam nie uda.

- Jeśli tak się stanie, spróbujemy innym razem. Jego słowa sprawiły, że zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę chce, aby ich plan się powiódł.

Thorn odprowadził Bellę do pokoju, a potem wyszedł pod pretekstem, iż musi dopilnować kilku szczegółów. Tymczasem potrzebował chwili, aby odzyskać rozsądek.

Wieczorem Bella wymierzy bratu zasłużoną karę, a jutro on będzie musiał wrócić do swego świata.

Czeka na niego mnóstwo obowiązków. Podczas tych kilku dni spędzonych z Bellą mogło wydarzyć się wiele rzeczy, a nikt nie wiedział, gdzie go szukać. Nie pozwolił sobie dotąd na podobny egoizm.

Tymczasem w ciągu ostatnich dni, kiedy czuł się tak, jakby naprawdę był kapitanem Rose, zaczął snuć marzenia zakrawające wręcz na szaleństwo. Marzenia o prostym życiu kapitana z Bellą w roli jego żony.

Schronił się w sali barowej, gdzie usiadł samotnie w kącie.

Zaangażował się w przedsięwzięcie, by pomóc ładnej młodej kobiecie i ukarać mężczyznę, który na to zasłużył. Potem dał się zauroczyć sytuacji, kiedy to musiał zdobyć kobietę, która nie miała pojęcia, że jest księciem. Nie pomyślał jednak o konsekwencjach.

Czy coś takiego przydarzyło mu się kiedykolwiek przedtem? Czuł się, jakby tracił rozum.

Ostatniej nocy o mało nie pozbawił Belli dziewictwa. Z czystego pożądania. Fizycznej potrzeby.

Dlatego, że

ukryta głęboko w jego umyśle pokusa szeptała: *Jeśli to zrobisz, będzie twoja. Na zawsze.*

On, który tak skutecznie unikał przez całe życie kompromitujących sytuacji, o mało nie skompromitował kobiety, by zmusić ją w ten sposób do małżeństwa.

Najchętniej ukryłby twarz w dłoniach i jęknął. Powstrzymała go jedynie ćwiczona od lat czujność, świadomość tego, iż może być obserwowany. Bella zakochiwała się w nim, dokładnie tak, jak sobie tego życzył. Zakochiwała się w kapitanie Rose, nie oczekując bogactwa, pozycji ani blasku.

Zakochiwała się w kłamstwie.

- Dolać panu, *sir!* - spytała barmanka z brzuchem wyдутym od ciąży. Najwidoczniej, pomimo dziewczęcego wyglądu, nie była już dziewczęciem.

Skinał głowę. A kiedy podeszła, niosąc pienisty napój, spytała:

- Kłopoty, *sir?* Z żoną? Spojrzał na nią.

- Dlaczego tak sądzisz?

Uśmiechnęła się, ukazując szparę po brakującym zębie.

- Mężczyzna inaczej wtedy wygląda.

- Doprawdy? Inaczej, niż kiedy chodzi po prostu o kobietę?

Wysunęła biodro, gotowa przystanąć i pogawędzić.

- To zależy od kobiety. Mocno zakochani faceci też mają w sobie coś takiego, że nietrudno poznać, czy ukochana jest z nich zadowolona, czy ma im za złe jakiś grzeszek. U żonatych problem jest większy, bo prędzej czy później facet musi wrócić do domu i stawić mu czoło. No i oczywiście nie jest wdzięczny kobiecie za to, że jest dla niego miła, bo przecież zdobył ją na zawsze.

- Wszyscy mężowie są tak beztroscy? - spytał, zaintrygowany tym przejawem wiejskiej filozofii.

- Większość, podobnie jak żony. Nie myślimy o domu, dopóki dach nie zacznie przeciekać, prawda?

- Mądry właściciel utrzymuje dom w dobrym stanie.

Dziewczyna prychnęła.

- Większość z tych, których znam, czeka, aż dach zacznie przeciekać. Dopiero wtedy go naprawiają.
- Oto podsumowanie wszystkich problemów tego świata - zauważył Thorn.
- Co takiego? - spytała.

- Podsumowanie - powtórzył. - Ujęłaś mnóstwo skomplikowanych spraw w jednym prostym zdaniu.

Pytanie tylko, czy mój dach przecieka?

- A ma pan mokrą głowę? Thorn się roześmiał.

- Bardzo stosowna uwaga. Tak, mam. Który dach przecieka?

- Ten nad pańską głową. - Uśmiechała się do niego, traktując rozmowę jak żartobliwe przekomarzanie się, lecz Thorn pociągnął solidny łyk piwa, zastanawiając się nad analogią.

- Może powinniśmy przyjrzeć się raczej podłodze. Czyż nie jest tak, że czasami powód, dla którego jest mokra, nie jest oczywisty?

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy klienci jej nie potrzebują, a potem usiadła.

- Rzeczywiście, proszę pana. Kałuża mogła powstać, ponieważ rozlano wodę, albo dlatego, że dach przecieka. Woda mogła też nadpłynąć z dołu. W stodole mojego wujka Arona pojawiła się nagle woda i okazało się, że pod budynkiem płynie strumień, który zmienił nie wiedzieć czemu koryto. Stodoła stała tam od pięćdziesięciu lat, sucha jak pieprz, a potem na klepisku pojawiło się błoto.

- Strumień zmieniający bieg. Siła natury.

- Właśnie, proszę pana! Wuj nie był w stanie dojść, dlaczego tak się stało, a ile miał z tym kłopotu...

Thorn pozwolił jej paplać, zaintrygowany porównaniem, które wydało mu się aż nadto stosowne.

Nieodparta siła, której istnienia nie podejrzewał, zmieniła jego życie. Zmieniła je do głębi, lecz nie był tego świadomy, póki nie zauważył, że stoi w błocie...

Kościelny zegar wybił szóstą. Z sali naprzeciw zaczęli wychodzić ludzie. Posiedzenie się skończyło. Wkrótce miała zacząć się hulanka. Mógł zrobić dla swojej damy przynajmniej jedno.

Kilku mężczyzn weszło do baru. Kelnerka wstała.

- Muszę iść, proszę pana. Dał jej szylinga.

- Przyjemnie się z tobą rozmawiało. Jesteś mądrą kobietą.

Dziewczyna zarumieniała się i uśmiechnęła.

- To tylko zwykły rozsądek - powiedziała, wracając do obowiązków.

Zwykły, a przecież rzadko spotykany. Zwłaszcza, jak się zdawało, u niego.

\*\*\*

Gdy wrócił, Bella haftowała, by nie oszaleć ze zdenerwowania. Coś było nie tak, wyczuwała to.

Chodziło o jej reputację? Czyżby nagle zaczął się tym przejmować?

- Posiedzenie się zakończyło - stwierdził dziarsko. - Urzędnicy zasiądą wkrótce do kolacji. Fortescue będzie tu za pół godziny.

Przynajmniej zaczną realizować wreszcie plan.

- Doskonale - powiedziała - choć trudno mi czekać. Nawet Tabitha wydaje się zdenerwowana.

Rzeczywiście, kotka wyskoczyła po raz kolejny z koszyka i zaczęła krążyć po saloniku, jakby rozglądała się za zdobyczą. Sabie wygramolił się za matką, ta jednak odwróciła się i ostrzegawczo syknęła. Kociak zawrócił tak szybko, że aż potknął się o łapy. Thorn podszedł i uspokoił malca.

- Tabitha wyczuwa atmosferę - powiedział. - Może powinniśmy wszyscy się uspokoić. Nie chciałabyś, bym ci poczytał?

Bella spojrzała na niego, zaskoczona tym, że oto spełnia się część jej marzenia. Wiedziała, że zwiększy tylko ból rozstania, mimo to się zgodziła.

- Jakie książki przywiozłeś?

- Niestety, żadnych powieści. - Zajrzał do walizki.

- *Eseje z dziedziny moralności i literatury* Hume'a są zbyt drętwe. *Pamiętniki z Bedford Coffee-House* za lekkie, a *Rewolucje w Persji* dosyć zatrważające.

- Dziwna kolekcja jak na żeglarza - zauważyła. Był tak zagadkowym mężczyzną. Nie zagadkowym: fascynującym, poprawiła się w myśli.

- Przypowieści moralne są zawsze użyteczne - odparł.

- W podróży dobrze jest poczytać coś dla rozrywki, a kto wie? Może zawitam pewnego dnia do Persji?

- Skoro tak, pozwolę się przestraszyć. Poczytaj mi o Persji.

Wyjął książkę i usiadł naprzeciw niej, przysunąwszy bliżej świecę.

- Jak większość przygód, i te są po większej części nużące - ostrzegł, otwierając książkę w zaznaczonym miejscu. Przewrócił kilka stron i zaczął czytać.

Bella próbowała nie zatonać ponownie w marzeniach, lecz przecież byli tutaj razem, siedząc przy kominku w przytulnym saloniku, a on czytał jej, gdy szyla. Trafiła na fragment o żebrakach, przeplatany rozważaniami z dziedziny filozofii pieniądza. Niezbyt ją to interesowało, lecz Thorn czyta! tak pięknie! Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak cudowny ma głos. Mogłaby słuchać go z przyjemnością, cokolwiek by czytał, a przyglądanie mu się, kiedy to robił skąpany w blasku ognia z kominka i oświetlony płomieniem świecy było... cóż, idylliczne.

## Rozdział 22

Idyllę przerwało pukanie do drzwi. Thorn zaznaczył miejsce w książce i ją odłożył.

- Fortescue. Poleciałem, aby go przyprowadzono. Zaczęło się. Bella wstała, pocałowała Thorna szybko i wśliznęła się do sypialni. Podał jej koszyk. - Lepiej trzymajmy Tabithę z dala od tego.

Pocałował Bellę, nim wrócił do saloniku. Została z ciężkim sercem w sypialni, przycisnąwszy palce do ust.

Tabitha miauknęła i choć raz nie była to skarga spowodowana nieobecnością Thorna. Kotka zdawała się zwracać bezpośrednio do Belli.

- Kim ja właściwie jestem? - zaryzykowała. Tabitha wyszła z koszyka i wskoczyła na parapet.

- Może to ty powinnaś dać znak świecą - mruknęła Bella, ruszając w obchód pokoju.

Po chwili jednak się zatrzymała. Stukot obcasów mógł zostać usłyszany w sąsiednim pokoju, a nawet piętro niżej, gdzie biesiadowali urzędnicy. Ona słyszała ich całkiem wyraźnie. Nie słowa, lecz głosy i ton. Szanowny Thoroughgood powiedział coś głośno. Odpowiedział mu wybuch rżącego śmiechu.

Augustus.

Zawsze się tak śmiał, kiedy był podekscytowany.

Uświadomiła sobie, że stoi przygotowana w pełni do akcji, choć było grubo za wcześnie. Usiadła i czekała, złożony na podolku zaciśnięte dłonie.

Głosy wznosiły się i opadały, wesołe i podekscytowane. Nie słyszała jeszcze kobiet. Choć jej zadanie było tak proste, że podobałoby mu nawet dziecko, nie mogła się powstrzymać, by nie powtarzać sobie w myśli: kiedy usłyszy kobiecy krzyk - głośny i przeszywający - podejdzie do okna i da znak świecą. Colly Barber pomacha w odpowiedzi latarnią, by upewnić ją, że sygnał został odebrany.

Tylko tyle miała do zrobienia, lecz jej działanie sprowadzi do gospody wielebnego Jervingham. Thorn i Fortescue zbiegną na parter. Nie mogli przewidzieć, kiedy pojawi się pan Langham, lecz nawet jeśli nie zdąży, z pewnością usłyszy o skandalu od innych. Charlotte będzie bezpieczna. Wstała i zaczęła obchodzić pokój. Zatrzymała się i uświadomiła sobie, że nie musi mieć na nogach butów. Zdjęła je zatem i jęła przemierzać po cichu sypialnię. Tabitha została na parapecie. Siedziała niczym na straży, poruszając leciutko ogonem. Kocięta wychylały się jedynie z kosza, jakby wyczuwały zagrożenie.

Podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać odgłosów, dobiegających z saloniku. Mężczyźni dyskutowali spokojnie. Widać Fortescue nadal sądził, że rozmawia z księciem.

Zapukano do drzwi prowadzących z sypialni na korytarz. Odskoczyła przestraszona, lecz była to jedynie pokojówka z tacą. Bella nie spodziewała się, że będzie głodna, lecz nagle okazało się, że ma ochotę coś zjeść. Czyżby jej ciało przygotowywało się do działania? Zdążyła pochłonąć połowę pasztetu, kiedy usłyszała, że przybyły kobiety.

Wyobraziła sobie, jak przechodzą przez niski parapet. Jaki strój mogą mieć na sobie dziwki przy tego rodzaju okazji?

Ich wysokie głosy dołączyły do męskich. Dobiegł ją rżący śmiech Augustusa, niemal równie przenikliwy jak pisk dziwek.



Lecz potem wszystko się uspokoiło. Na dole zapanowała względna cisza, przerywana od czasu do czasu sporadycznymi okrzykami, prawdopodobnie oznaczającymi sukces albo rozczarowanie.

Czyżby zaczęli już grę?

Napiła się wina, próbując wyobrazić sobie, co dzieje się w salonie.

Jak długo potrwa, nim sytuacja dojrzeje?

Jak długo Fortescue zostanie w gospodzie?

Kobiece głosy brzmiały od czasu do czasu jak krzyk, nie wyczuwała w nich jednak obawy, jedynie wesołość.

Może tym razem wszystko potoczy się inaczej.

Może nie uda im się zrealizować planu.

Musieliby wtedy zostać i spróbować jeszcze raz...

Nie, nie będzie tak samolubna. Przekonała się, że Augustus nadużywa swojej władzy jako sędziego.

Wiedziała, jaki ma charakter. Należało go powstrzymać, i to natychmiast, jeszcze tej nocy.

Nagle usłyszała krzyk. Tym razem nie było w nim wesołości. Nie brzmiał na tyle donośnie, by mógł stanowić sygnał, wystarczająco jednak, żeby odczuła pokusę pospieszenia kobiecie z pomocą.

Przypomniała sobie o pistolecie i postąpiła krok w kierunku walizki. A potem się zatrzymała. Nie może zepsuć wszystkiego, działając zbyt pochopnie. Nie tym razem. Usłyszała kolejny wybuch męskiego śmiechu. Zachęcali się nawzajem - Bóg wie, do czego. Nie wszystkie kobiece okrzyki świadczyły o tym, że kobieta cierpi, niektórym towarzyszył wybuch śmiechu. Ten męski, zwłaszcza zaś rzenie Augustusa, wydawał jej się wyjątkowo ohydny.

Usłyszała świst bata. Jeden, drugi. I trzeci. A po nim kolejny krzyk, tym razem błagalny.

Czy był to sygnał? Dlaczego Thorn nie reaguje?

Kolejny świst, a po nim mrozący krew w żyłach wrzask.

To musi być to!

Szanowny Thoroughgood zawołał:

- Zamknij się, głupia kobieto! Thorn krzyknął i wybiegł. Usłyszała na schodach tupot jego butów. Chwyciła świecę tak gwałtownie, że płomień niemal zgasł. Zniosła ją ostrożnie do okna i przesunęła kilka-kroć w prawo i w lewo. Zobaczyła poruszające się w mroku światło latarni. Colly Barber wyruszył.

Włożyła buty, wybiegła i dogoniła lorda Fortescue u podnóża schodów. Thorn podchodził właśnie do drzwi salonu na dole.

W korytarzu stało już kilku mężczyzn z kuflami w dłoniach. Wyszli z baru, zaniepokojeni krzykiem. Widać było jednak, iż wolą się nie wtrącać.

- Urzędnicy - wysyczał któryś z pogardą. Z ulicy dobiegi ich kolejny wrzask:

- Morderstwo! Zamordowali kogoś Pod Jeleniem! - Niewątpliwie zwabi to wszystkich znajdujących się w zasięgu słuchu, pomyślała, wstrzymując cisnący się na wargi uśmiech triumfu.

Stojąc na schodach, przyglądała się, jak Thorn otwiera z rozmachem drzwi salonu. Tuż za nim postępował Fortescue, wyciągając z ciekawością szyję.

Ponieważ stała wyżej, mogła spoglądać ponad ramieniem Thorn'a. Zobaczyła stół, a na nim nagą kobietę. Leżała na brzuchu pomiędzy resztkami jedzenia, talerzami oraz kilkoma kostkami do gry. Na jej pośladkach widniały ślady po uderzeniach.

Thoroughgood wpatrywał się w Thorn'a siny z gniewu.

Augustus - to było po prostu doskonale! - stał za stołem, bez surduta, z batem w dłoni. Szczeka mu opadła i wyglądał, jakby zastygł w tej pozycji, wybałuszając oczy. Dookoła tęczówek połyskiwały białka.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - zawołał Thorn głosem nawykłym do wydawania rozkazów, wchodząc głębiej do pomieszczenia. Zdjął surdut i narzucił go na kobietę.

Zsunęła się ze stołu, wyglądając w każdym calu na skrzywdzoną i zastraszoną. Belli nie umknął jednak błysk satysfakcji, jaki rozjaśnił na chwilę jej oczy. Pozo-

stawalo miec nadzieje, ze pozostale dziwki odegraja jak nalezy swoje role.

Mężczyźni stojący dotąd w korytarzu ruszyli ku drzwiom. Jeszcze chwila i nie będzie w stanie niczego zobaczyć.

Dama powinna umknąć w takiej chwili do swego pokoju, lecz Bella nie zamierzała stracić ani chwili z tego, co rozgrywało się w salonie. Zbiegła na dół i ustawiła się za plecami lorda Fortescue.

Teraz widziała już cały pokój i okazało się to dla niej niemal zbyt wiele. Dzwinki były nagie, jeśli nie liczyć kilku sztuk biżuterii. Na podłodze wałały się resztki jedzenia i szkło. Pewnie dlatego kobiety miały na nogach buty, co podkreślało jeszcze ich nagość.

W pomieszczeniu cuchnęło jedzeniem, winem, tanimi perfumami i czymś jeszcze.

Szanowny Thoroughgood wstał ze swego miejsca u szczytu stołu i odzyskał wreszcie głos.

- Zabierzcie stąd swoje zgniłe tyłki, do cholery! Precz! Precz!

Miejscowi cofnęli się, onieśmieleni, ale nie Thorn. Ruszył ku oknu, mówiąc:

- Jeśli ktokolwiek tutaj jest zgniły, to pan i pańscy towarzysze. Co to za rozpusta? Ależ tu śmierdzi!

Minął stół, pchnął okiennice i otworzył szeroko okno. Ludzie na zewnątrz podeszli i jęli zaglądać do środka.

- To prywatne przyjęcie - warknął Thoroughgood. Choć wydawało się to niemożliwe, jego twarz przybrała jeszcze głębszy odcień czerwieni. - Każę cię wychłostać!

Sir Newleigh, wyglądający dość żałośnie bez peruki zakrywającej cienkie jasne włosy wyszeptał: - Boże, Boże, to... wiesz, kto to taki!

Lecz do Thoroughgooda nic już nie docierało. Pochylił się, by spojrzeć z furią na Thorna i przycisnął tłuste brzuszysko do zarzuconego resztkami stołu.

- Nie obchodzi mnie, czy jest przeklętym królem. Albo samym Bogiem. Oskarżę go o... o cokolwiek. O manipulowanie prawem! Tak! Manipulowanie prawem.

- Przejście, przejście. - Na dźwięk głębokiego i nawykłego do wygłaszania kazań głosu ludzie rozstąpili się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Przybył wielebny Jervingham. Wysoki, zażywny, z grzywą siwych włosów, wyglądał jak Bóg ze Starego Testamentu. Brakowało mu tylko brody. Bella schowała się za plecami lorda Forte-scue, a ten odsunął się, dając przejście słudze bożemu.

Na chwilę zapadła cisza.

Potem dziwki rzuciły się zbierać z podłogi części odzieży, by mieć czym się okryć, podczas gdy sir New-leigh to otwierał, to zamykał usta, nie mogąc wykrztusić słowa. Wyglądał jak zepsuta, mechaniczna lalka.

Augustus, pogrążony we własnym koszmarze, jęknął. Stał za stołem i jakoś udało mu się upuścić niepostrzeżenie pejcz.

Thoroughgood nic nie mówił, lecz wściekłość otaczała go niczym chmura.

- Wezwano mnie, bym przyjął pańską spowiedź w obliczu śmierci - powiedział pastor. - Widzę jednak, że choć pańskie zdrowie nie przedstawia się tak źle, jak sądziłem, nie mogę powiedzieć tego o duszy. - Jego głos wzniósł się znów na niebiańskie wyżyny. - Wyznaj swe winy, żaloszny grzeszniku, nim będzie za późno.

- Idź modlić się do piekła - powiedział Thoroughgood, siadając.

Bella usłyszała, że gapie za nią westchnęli oburzeni, jednak wielebny nie wydawał się poruszony.

Zwrócił się do pozostałych dwóch mężczyzn.

- Czy mogę mieć nadzieję, że wy, panowie, jesteście zainteresowani tym, aby ocalić przed ogniem piekielnym swoje dusze?

- O tak, zdecydowanie... - powiedział sir Newleigh zamierającym głosem. A potem wywrócił nagle oczami i padł zemdłony na podłogę.

- Sir Augustusie? - zapytał głos Boga.

Teraz to Augustus otwierał i zamykał na przemian usta. Wreszcie udało mu się przemówić.

- Sir... Wielebny... wszystko to nieporozumienie. Okropne nieporozumienie. To nie ja. Posiedzenie sędziów... Kobiety... Dziwki...

Thorn stał za Augustusem. Słyszając te wykręty, chwycił go za kołnierz i odciągnął od stołu. Teraz wszyscy mogli zobaczyć, że bryczesy ma opuszczone do kolan i tylko koszula chroni go przed ostateczną kompromitacją.

- Mogę wyjaśnić... - wykrztusił, niemal się dławiąc.

- Zapewne szykowałeś się, żeby poddać się karze za grzechy, co? - Thorn chwycił pejcz i wymierzył Augustusowi mocny cios w tyłek.

- Przestań! Przestań natychmiast! - pisnął Augustus. - Jak śmiesz... - Zaskomlał, kiedy Thorn wymierzył mu kolejny cios.

Bella zakryła twarz, głównie po to, żeby nie dostrzeżono, jak jest usatysfakcjonowana. Lepszej kary nie mogła sobie wymarzyć.

Thorn puścił Augustusa. Ten opadł na klęczki i wczołgał się na czworakach pod stół. Jak karaluch, którym w rzeczywistości był.

Thorn odwrócił się ku szanownemu Thoroughgoodowi.

- Nie ośmielisz się - powiedział urzędnik. Był teraz bardziej blady niż czerwony. Blady z wściekłości.

- Możesz sobie być cholernym księciem, ale i tak się nie ośmielisz.

- Księciem...!

Słowo obiegło tłumek, zgromadzony w korytarzu, a Bella się skrzywiła. Znowu wpakowali się w niebezpieczną sytuację. Wszelkie zmartwienia wywietrzały jej wszakże z głowy, gdy Thoroughgood wyciągnął pistolet i wycelował w Thorna. Drugą ręką próbował niezdarnie odwieść kurek. Był pijany, lecz nie na tyle, by chybić. Nie z tej odległości.

Dlaczego, och dlaczego, nie zabrała z pokoju pistoletu?

- Nie bądź idiotą, człowieku - powiedział ostro Fortescue.

- Odłóż broń! - rozkazał Jervingham.

Thorn zamarł. Na Thoroughgoodzie słowa lorda i duchownego nie wywarły wrażenia. Thorn położył bicz na stole.

- Chyba i tak cię zabiję - wycedził z pogardą Thoro-ughgood. - Jesteś ostatni z rodu, prawda, Ithorne? Wynagrodzę sobie to, co tu dziś zaszło.

- Zawiśniesz - powiedział Thorn.

- Wpierw się zastrzelę.

- To może zastrzelisz się od razu - powiedział Thorn, udając rozbawienie - i zaoszczędzisz wszystkim kłopotu. Okolica odetchnęłaby z ulgą.

Bella zmarszczyła brwi. Co on wyprawia? Po co drażnić rozwścieczonego mężczyznę jeszcze bardziej?

Thoroughgood uniósł pistolet, próbując wycelować. Rozejrzała się za czymś, co mogłoby posłużyć za broń.

Stojący obok mężczyzna trzymał w dłoniach cynowy kufel. Wyrwała mu go. Ostatnim razem, kiedy rzuciła podobnym naczyniem, trafiła napastnika w głowę przez czysty przypadek, nie będzie więc w nią celować. Obierze za cel brzuszisko szanownego Thoroughgooda. Zapewni tym samym Thornowi szansę, by mógł się uchylić. Modląc się, aby bogini fortuny pobłogosławiła ją po raz kolejny, cisnęła z całej siły kuflem. Uderzył w cel z takim hukiem, że aż zadźwięczało jej w uszach. Nie, to nie kufel! W pokoju unosił się dym, a od ściany odpadał właśnie kawał tynku.

Thoroughgood wystrzelił!

Odwróciła się i spojrzała na Thorna. Przyglądał się jej, zaskoczony. Nie wyglądało na to, by coś mu się stało. A potem nagle się roześmiał:

- Gdybyśmy mieli armię tak nieugiętych dziewczek, Brytania nie przegrałaby żadnej bitwy!

Thoroughgood wpatrywał się zrezygnowany w uszkodzoną ścianę. Bella uświadomiła sobie, że trafiła kuflem w pistolet.

- Próbowano popełnić morderstwo, czyż nie? - zapytał Thorn, zwracając się do wszystkich w pokoju.

- Chyba przydałby nam się sędzia!

Rozległ się nieśmiały chichot, który przerodził się po chwili w huraganowy śmiech. Sir Newleigh ocknął się z omdlenia, ale był wrakiem człowieka. Augustus nadal ukrywał się pod stołem.

Żaden z urzędników nie będzie mógł pokazać się więcej w okolicy i Bella poczuła przypływ współczucia - przynajmniej wobec sir Newleigha. Widziała już dość, by uleczyło to jej rany i miała właśnie odejść, gdy usłyszała, że kolejny przybysz prosi uprzejmie, aby go przepuszczono.

Ach... To nie koniec przedstawienia. Przybyszem okazał się pan Langham, mężczyzna solidnej budowy, o kwadratowej szczęce, ubrany w doskonale skrojony surdut.

Stanął w progu i zajrzał do pokoju. Po chwili milczenia powiedział:

- Doniesiono mi, że zastanę tu pewnego dżentelmena. Jak widzę, nie okazało się to prawdą, co bardzo mnie cieszy.

- Jeśli szuka pan sir Augustusa Barstowe'a - powiedział wielebny Jervingham żalobnym tonem - radzę zajrzeć pod stół.

Sądząc z odgłosów, Augustus próbował się cofnąć, lecz Thorn musiał pchnąć go butem, gdyż nagle spod obrusa wyłoniła się pyzata twarz z wytrzeszczonymi oczami.

Augustus płakał.

Ciekło mu z nosa.

- *Sir...* mogę wyjaśnić...

Biedny Augustus! Dotąd zawsze udawało mu się wykręcić i nie był w stanie przyjąć do wiadomości, że tym razem sytuacja wygląda inaczej.

Pan Langham przyglądał mu się przez chwilę oniemiały, a potem powiedział:

- Bardzo w to wątpię, *sir*. Gdyby był pan dżentelmenem, wiedziałby pan, że nie będzie odtąd w moim domu mile widziany. Lecz skoro pan nim nie jest, powiem jasno: jeśli kiedykolwiek zbliży się pan do mojej córki, dostanie pan takie baty, że wszystko, co się tu wydarzyło, wyda się panu jedynie igraszką. Odwrócił się i wyszedł, zacisnąwszy zęby. Wyglądał jak buldog, kiedy tak parł przed siebie, nie zwracając uwagi na nikogo.

Teraz to już naprawdę koniec, pomyślała.

Stało się.

Było jej odrobinę żal Augustusa, lecz przypominała sobie, że brat zasłużył na wszystko, co go spotkało. Nie musi żałować, że go zniszczyła.

Ruszyła dyskretnie ku schodom. Kilku mężczyzn pogratulowało jej celnego ciosu, zaprotestowała jednak, mówiąc, że nie wie, co ją opętało, działała pod wpływem emocji, a to, że trafiła w cel, było czysto przypadkowe. Drżała lekko i trochę kręciło jej się w głowie. Musiała przytrzymać się poręczy, by wejść na piętro.

W sypialni opadła bez sił na krzesło. Uznała, że zawroty głowy muszą być spowodowane szokiem. Zamiast triumfować, czuła się chora.

To nie było szczęśliwe zakończenie. Może pozostali urzędnicy nie zasłużyli, by okryć ich hańbą i ośmieszyć. Nie znosiła Thoroughgooda, lecz bez wątpienia nie był gorszy niż wielu mężczyzn.

Ledwie знаła sir Newleigha. Mógł mieć po prostu słaby charakter.

Ukryła twarz w dłoniach, niezdolna myśleć jasno. W głowie kłębiło jej się od myśli.

A jeśli...

Gdyby tylko...

***Och.***

- Bella? Co się dzieje?

Podniosła wzrok i zobaczyła zatroskaną twarz Thor-na.

Ukląkł obok krzesła.



- Przechylenie było dla ciebie zbyt mocne? - A kiedy nie odpowiedziała, zapytał: - Nie tego chciałaś? Jego troska wielce ją poruszyła. Nie sądziła, że zobaczy kiedykolwiek kapitana niepewnego i zatroskanego. Wyprostowała się i ujęła jego dłoń.

- Oczywiście, że tego chciałam. Dziękuję. Było cudownie.

Przyglądał się Belli przez chwilę, a potem podniósł ją z krzesła i sam usiadł. Posadził ją sobie na kolanach. Zesztywniała, ale po chwili odprężyła się w jego ramionach.

- A teraz powiedz mi, co naprawdę myślisz.

***Ze wszystko skończone***, brzmiałaby szczerą odpowiedź. Cel, który skłaniał ją do działania, został osiągnięty, a tym samym jej czas z kapitanem dobiegł końca. Zamiast tego powiedziała:

- Podejrzewam, że sir Newleigh nie jest tak całkowicie zły.

- Uczestnictwo w grzechu spowodowane słabością jest równie złe, jak czynne zaangażowanie.

- Doprawdy?

- Konsekwencje dla ofiar są takie same.

- Zapewne masz rację. Co z kobietami?

- Triumfują. Spodziewałaś się czegoś innego? One też nie żywią szczególnej urazy wobec sir Newleigha. To twój brat i Thoroughgood dali się im we znaki.

- Co się teraz z nimi stanie? To znaczy, z urzędnikami?

- Będą musieli złożyć urząd.

- To wszystko?

- W zupełności wystarczy. Thoroughgood prawdopodobnie przetrwa, jest bowiem mało wrażliwy, lecz jeśli oceniłaś brata właściwie, będzie skończony.

- Zastanawiam się, co zrobi.

- Ukryje się i spróbuje obarczyć winą wszystkich dookoła poza sobą.

- Biedna Lucinda!

- Siostra, która z nim mieszka? Jeśli ma trochę rozumu, poszuka sobie innego miejsca do życia.

Bella odprężyła się znowu.

- Athena przyjmie ją pod swój dach. Ale część tego błota przylgnie i do nich.

Podobnie jak do mnie, uświadomiła sobie. Nie była teraz po prostu Bellą Barstowe, lecz siostrą żalnego, budzącego odrazę Augustusa Barstowe'a. Czy to właśnie znaczy: zginąć od broni, którą się wojuje?

Czuła w ustach gorycz, a jednak nie żałowała niczego.

Powstrzymała Augustusa. Odebrała mu władzę, której nadużywał.

Z jakiegoś powodu ta myśl sprawiła, że zachciało jej się płakać. A kiedy już zaczęła, nie była w stanie przestać. Próbowwała, przepaszając i wycierając twarz skrajem spódnicy. Thorn wcisnął jej do rąk chusteczkę, lecz nie próbował zrobić nic więcej. Po prostu tulił ją, kołyszając delikatnie.

W końcu opanowała się, usiadła prosto i wysiąkała nos. - Przepraszam. To musiał być dla mnie szok.

- Kiedy ostatnio płakałaś?

Mięła w dłoniach chusteczkę, którą dla niego wyhaftowała. Świadomość tego sprawiła, że omal się znów nie rozplakała. Przycisnęła jednak suchy skrawek płótna do oczu, nakazując sobie w duchu spokój.

- Dawno temu - przyznała - w mojej rodzinie traktowano łzy jako wyraz skruchy, a tym samym przyznanie się do winy. Przestałam więc płakać.

- Skoro tak, cieszę się, że tym razem popłynęły - powiedział, przyciągając ją bliżej siebie.

Spowodowało to kolejny atak płaczu. Pozwoliła, aby głos Thorna kołował jej rozpacz, póki nie usłyszała:

- ... ta harpia lady Fowler.

- Co takiego? - pisnęła, powstrzymując chęć, by zerwać się na równe nogi.

Thorn wzmacnił uścisk.

- Słyszałaś o niej? Szalona kobieta, która postawiła sobie za cel ujawnianie grzechów osób wysoko urodzonych. Jeśli ta historia do niej dotrze, rozpowszechni ją po kraju i przynajmniej raz na coś się przyda.

- O, tak - zgodziła się z nim Bella, nieco uspokojona. Mogłaby mu powiedzieć, że ostatnio lady Fowler niezbyt interesuje się podobnymi przewinieniami, lecz oczywiście nie zrobiła tego.

- Zastanawiam się, skąd czerpie wiedzę o skandalach

- powiedział.

Bella poczuła, że jeszcze chwila i z czymś się zdradzi, zsunęła się więc delikatnie z kolan Thorna i powiedziała:

- Muszę przemyć twarz.

Weszła za parawan i opłukała twarz zimną wodą. Lustro ukazało zaczerwienione oczy i nos. Okropny widok. Przycisnęła do oczu chłodną myjkę i uczesała włosy.

Przećwiczyła uśmiech, mający świadczyć o tym, że w pełni panuje nad uczuciami i wyszła.

- Przepraszam, że tak się rozkleiłam. Zniszczyłam ci surdut?

- Nie. Moje kolana nadal są do dyspozycji. Jakże kusząca świadomość.

Lecz to już skończone. Kiedy wyjadą? Był co prawda późny wieczór, lecz świecił księżyc. Mogliby podróżować nocą. Byłoby mu łatwiej.

- Dziękuję - powiedziała - lecz chyba już czas, żebym stanęła na własnych nogach. A przynajmniej usiadła na własnym krześle. - Zajęła to naprzeciw niego.

- Osiągnęliśmy cel i wypełniliśmy zadanie, prawda?

- Przynajmniej naszą część. Wątpię, czy twojemu bratu wystarczy odwagi, by się zastrzelić, lecz życie ze świadomością, iż wszyscy wiedzą, jaki jest naprawdę i tak będzie dla niego piekłem. Co teraz zrobisz? Oczywiście, nie miał dla niej żadnej propozycji. Nie zamierzał się oświadczyć.

Wzruszyła ramionami, jakby nie miało to znaczenia.

- Będę żyła jak dotąd, na uboczu.

- Cóż za strata. Nie szukałaś nigdy przygody? Odrobiny podekscytowania?

Coś kryło się za tym pytaniem. Czyżby zamierzał poprosić ją, żeby została jego stałą kochanką? Było to naj-

lepiej, na co mogła mieć nadzieję, wiedziała jednak, że nie potrafi.

- Myślę, że miałam już dość przygód. A ty powinieneś wrócić zapewne na statek. To bardzo uprzejme z twojej strony, że spędziłeś ze mną tyle czasu.

- Nie... - powiedział.

- Co: nie?

Lecz nagle wstał i odwrócił się od niej.

- Do licha, masz rację. To skończone.

Chociaż się z nim zgadzała, jego słowa były niczym ostrze wbite prosto w jej serce. Przełknęła, a potem powiedziała dzielnie:

- Oczywiście.

Odwrócił się i ukląkł znów koło jej krzesła.

- Bello... muszę wrócić do swojego świata.

Ujęła jego dłonie. Tym razem to ona niosła pociechę jemu.

- Chyba właśnie to powiedziałam.

Ścisnął mocniej jej dłonie. Teraz trzymał je niemal kurczowo.

- Czas spędzony z tobą dostarczył mi więcej przyjemności, niż mógłbym sobie wyobrazić. Byłem... cóż, szczęśliwy w sposób, jakiego nie zaznałem nigdy wcześniej.

Poczuła, że rodzi się w niej nadzieja. Czyżby potrzebował zachęty? Nie była w stanie wyobrazić sobie dlaczego, ale być może los żony kapitana uważany jest za nie do pozazdroszczenia.

- Ja... nie miałabym nic przeciwko temu, by spędzić z tobą jeszcze trochę czasu...

Może jednak zgodzi się zostać jego kochanką. Tak, oczywiście, że się zgodzi.

Thorn zacisnął usta i to ją ostrzegło. Zamilkła, a wtedy wstał i się odsunął.

- Owszem, miałabyś. Nie sprzeczasz się. Nie potrafię wyjaśnić. Uwierz mi, Bello, to po prostu niemożliwe. Nie możemy być ze sobą tak, jak do tej pory.

Nie było co się łudzić. Musiała odwrócić wzrok, by ukryć, że cierpi, choć była przekonana, że on i tak to dostrzegł.

- Doskonale - powiedziała w końcu. - Jestem pewna, że tak będzie najlepiej. Niektórzy nie są stworzeni do przygód.

Znalazła w sobie odwagę, by na niego spojrzeć, a nawet lekko się uśmiechnąć, gdyż miała nadzieję, że złagodzi w ten sposób jego ból.

- Od tak dawna nie byłam w stanie wieść normalnego życia, że teraz naprawdę go pragnę, a widzę, że ty nie mógłbyś mi go zapewnić. Nie wiedziałam, jak je sobie stworzyć, lecz teraz będzie to już możliwe. Moje rany zostały oczyszczone i wkrótce zaczną się goić.

Wstał i pociągnął ją za sobą. Miała nadzieję, że ją pocałuje, chociaż byłoby to jedynie torturą. Tymczasem ucałował tylko jej dłoń.

- Modlę się, żeby tak było. Naprawdę pragnę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, Bello Barstowe. Nie wolno ci w to wątpić. - Odsunął się i kontynuował zwyczajnym tonem, który mógłby zwieść wielu, ale nie Bellę: - Powinienem zejść teraz na dół i przyłączyć się do świętowania. Nie będę zakłócał ci odpoczynku, gdy wrócę. Prześpię się na podłodze w saloniku.

Zdjął z łóżka kapę oraz poduszkę i wyszedł.

Stała nieruchomo, a łzy płynęły jej strumieniem po twarzy. Nie pozwoliła sobie jednak zaszlochać, póki nie upewniła się, że Thorn nie może jej usłyszeć.

## Rozdział 23

Wyjechali wczesnym rankiem, pod pretekstem, iż wydarzenia wieczoru źle wpłynęły na stan nerwów pani Rose. Oberżysta gorąco przeproszał, a sądząc z jego zachowania, musiał być przekonany, iż gościł prawdziwego księcia Ithorne.

W Upstone zapanowała radosna atmosfera. Tabitha musiała poczuć się zaniedbywana, dąsała się bowiem przez całą drogę, nie wysuwając łebka z koszyka i wydając od czasu do czasu dźwięki, które brzmiały niemal jak warczenie.

Gdy powóz toczył się ulicami miasteczka, ktoś go rozpoznał i przechodnie zaczęli wznosić radosne okrzyki. Thorn pomachał im z uśmiechem dłonią, a potem cofnął się do wnętrza pojazdu.

- Chyba lepiej będzie, jeśli nie pokażemy się tu przez jakiś czas.

My.

Nie było żadnego my.

Zapewne sobie to uświadomił, gdyż zamilkł. Kiedy zapytał:

- Chciałabyś, bym ci poczytał? - poczuła prawdziwą ulgę. Wydarzenia w Persji stanowiły bezpieczny temat.

Po chwili zmienili się i to ona czytała jemu, a po jakimś czasie dokonali zamiany jeszcze raz. Książka wystarczyła na całą podróż i wreszcie powóz zatrzymał się przed jej domkiem w Soho.

- Co powiesz swojej krewniaczce?
  - Mojej...? - powtórzyła, zaskoczona. - Och... - Nie była w stanie go okłamać, nie po tym, co między nimi zaszło. - Mieszkam sama, jedynie z trójką służących. Mam niewielki dochód.
  - Nie taki niewielki, skoro możesz pozwolić sobie na dom - zauważył. - Jesteś za młoda, by mieszkać samotnie.
  - Gospodyni zna mnie od dziecka, mam też prawnika, który doradza mi, gdy zajdzie potrzeba.
  - Ale zostawia cię przez większość czasu samej sobie, byś mogła broić swobodnie.
  - Broić? Wiesz, dlaczego zaangażowałam się w tę awanturę.
  - Chcesz powiedzieć, że poza tym prowadziłaś przez cały czas spokojne, nieskazitelne życie? - W jego głosie wyczuła podejrzliwość. Ta zaś zrodziła jakże pomocny w tych okolicznościach gniew.
  - O co właściwie mnie oskarżasz? Nie mrugnął i mocno zacisnął szczęki.
  - Byliśmy razem dwukrotnie. Pierwszy raz przed czterema laty w Dover i ostatnio. To, jak się zachowywałaś, nie przekonało mnie, że spędzasz wolny czas, obrębiając chusteczki.
  - Nie, spaceruję również po parku. A czasami chadzam na wykłady dotyczące historii i sztuki. Domagał się spojrzeniem, by powiedziała coś więcej.
  - Co? - zapytała. - Powiedz, co twoim zdaniem zrobiłam? - Czyżby dowiedział się o Bellonie i lady Fowler? Albo rozpoznał w niej Kelano?
- Uznała, że to niemożliwe. Wyglądała wówczas zupełnie inaczej...  
Potrząsnął głową, nieco bardziej odprężony, lecz nadal pełen dezaprobaty.

- Jeśli rzeczywiście prowadzisz tak spokojne życie, Bello, popełniasz błąd. Może powinnaś przeprowadzić się jednak do siostry.

- To, co mówisz, jest nielogiczne. - Lecz Thorn wysiadł już z powozu. Obszedł pojazd i otworzył Belli drzwiczki. Zapakowała swoje rzeczy do walizki, a on wystawił bagaż na chodnik i podał jej dłoń.

Ujęła ją i wysiadła. Kitty zdążyła już otworzyć drzwi. Jej twarz pojaśniała z ulgi.

- Dziękuję raz jeszcze - powiedziała, dygając z godnością. - I życzę wszystkiego dobrego.

Skłonił się.

- Ja pani także, panno Barstowe. - Odwrócił się i postawił nogę na stopniu. A potem spojrzał ostatni raz na Bellę i powiedział: - Gdyby potrzebowała pani jeszcze kiedyś mojej pomocy, proszę zostawić wiadomość w gospodzie Pod Czarnym Łabędziem w Stowting, a ktoś niezwłocznie mi ją przekaże.

Wsiadł do powozu i zatrzasnął za sobą drzwi. Pojazd ruszył, a Bella nie pozwoliła sobie na to, by za nim spoglądać. Weszła do domu, zasypywana pytaniami i okrzykami radości Kitty. Wspięła się niemal po omacku na schody, wyciągając po drodze szpilki z kapelusza. Robiłam to już wcześniej, uświadomiła sobie. Kiedy wróciłam z gospody Pod Kozłem.

I kiedy wróciła z Dover. Lecz wtedy miała w sobie tyle marzeń, tyle nadziei.

Przypomniała sobie o kolczyku. Spoczywał bezpiecznie w kieszeni jej sukni, odkąd Thorn powiedział, aby go zatrzymała. Na samo wspomnienie łzy popłynęły Belli po twarzy. Czy był to pretekst, żeby napisać do tej gospody w Stowting?

- Och, panienko, co się stało?

Zamknęła kolczyk w dłoni i uśmiechnęła się do Kitty. - Nic, wszystko porządku, naprawdę. Jestem znużona podróżą. Ostatnie dni też były męczące.

I noce.



Nie wolno zapomnieć o nocach.

- Jest pani zatem bezpieczna? Zrobiła pani to, co zamierzała?

Bella usiadła i zaczęła odpinać perukę.

- Tak i jeszcze raz tak, Kitty. Napiję się mocnej, gorącej herbaty, a potem się położę.

Uznała, że to jedyny sposób, by zaznać odrobiny spokoju i prywatności.

- Przyniosę ogrzewacz.

Kitty wyszła i Bella przestała się uśmiechać. Z lustra patrzyła na nią twarz naznaczona cierpieniem.

Nie pozwoli, by inni dostrzegli, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Nie życzyła sobie, żeby się nad nią litowano. Odłożyła perukę, musiała jednak wstać, by wyjąć z walizki szczotkę.

Do sypialni wpadła Annie z ogrzewaczem w dłoniach. Wsunęła go pod pościel.

- Za chwilę będzie herbata! - poinformowała Belle, zdyszana, nim znowu wybiegła.

Bella wyszczotkowała włosy stojąc przed kominkiem, zapatrzona w tańczące płomienie. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie czuła się tak bardzo żywa? Tak żywa jak podczas kilku ostatnich dni?

I nocy.

Nie mogła powstrzymać się, by nie myśleć w kółko o tym, co się niedawno wydarzyło. Może, jeśli będzie dalej o tym myślała, w końcu jej umysł zatrzyma się niczym nienakręcony zegar. A ona już go nie nakręci. To skończone. Teraz musi postanowić, co zrobi z resztą swojego życia. Na razie widziała jedynie pustkę.

Kitty i Annie wniosły kufer. Postawiły go i wyszły. Po chwili Kitty wróciła, niosąc tacę z herbatą.

- Proszę, panienko. Mocna, gorąca i słodka. Nalała trochę, a Bella wzięła do rąk filiżankę bez spodka i objęła ją zmarzniętymi dłońmi.

- O, jaka dobra. Dziękuję, Kitty.

Napar nie był tak subtelny w smaku jak ten, który zwykł pijać kapitan.

Nigdy już nie będzie pita herbaty, nie myśląc co nim. Nie wspominając.

Kitty zerknęła ku niej z miejsca przed kominkiem. Rozwieszała przy ogniu nocną koszulę.

- Wygląda pani na zmęczoną.

Duże niedomówienie, pomyślała Bella, głośno zaś powiedziała:

- Bo jestem.

- Mam pomóc pani zdjąć gorset czy przynieść gorącą wodę?

Bella uśmiechnęła się szczerze.

- Wróciłam do noszenia stanika, Kitty, przynieś więc, proszę, wodę.

Kitty skrzywiła się, lecz tylko dla żartu. Przy drzwiach zatrzymała się i powiedziała:

- W saloniku czeka stos listów. Mam je przynieść?

- Stos listów? - powtórzyła Bella zaskoczona.

- Kilka jest od lady Fowler. Nie mogłam nie zauważyć nadawcy.

Boże! Wysłała damie wiadomość, informując, że musi wyjechać z miasta, co zatem skłoniło ją, by wysyłała listy pod adres, gdzie nie spodziewała się zastać adresata? Nie czuła się jednak na siłach, by teraz się z tym zmierzyć.

- Będą musiały poczekać do jutra - powiedziała i dołała sobie jeszcze herbaty. Skubnęła kruche ciasteczko Peg.

Było znakomite. Jedzenie pomogło jej uporządkować myśli. Zatrzymali się na posiłek w gospodzie - zaledwie przed kilkoma godzinami - ale nie była w stanie przypomnieć sobie, ile zjadła. Zbyt była pochłonięta staraniem, by ukryć, jak bardzo cierpi.

Przebrała się w szlafrok, rozmyślając o tym, co osiągnęła.

Pokonała Augustusa.

Jest szczęśliwą, niezależną damą.

Jest młoda, zdrowa i ma przyjaciół...

Nie, to ostatnie nie było prawdą. Miała dwie pokojówki, które opuszczają ją wkrótce, żeby wyjść za mąż. Miała Peg, lecz choć myślała o niej jak o swego rodzaju zastępczej matce, gospodyni nie była przecież jej przyjaciółką. Z kilkoma spośród kobiet, zebranych wokół lady Fowler mogłaby się zaprzyjaźnić, lecz zamierzała zerwać te kontakty.

Thorn. To, co ich łączyło, bardzo przypominało przyjaźń, pierwszą w jej życiu i taką, której nie dorówna żadna inna. Kobieta nie może mieć przyjaciela mężczyzny, chyba że jest nim mąż. A wyglądało na to, że oni nie mogą się pobrać.

Gdy przyniesiono wodę, zdjęła szlafrok i umyła się dokładnie, spłukując pozostałości niedawnej przygody. Bella Barstowe musi narodzić się na nowo. Stworzyć sobie nowe życie. Tym razem nie zamieni więzienia na klasztor.

Znajdzie sposób, by poczuć się naprawdę wolna. Powziąwszy to postanowienie, włożyła nocną koszulę, zdmuchnęła świecę i weszła do łóżka.

\*\*\*

Zbliżając się do domu, zmienił się w księcia tak naturalnie, jakby narzucił obszyty gronostajowym futrem płaszcz. Im więcej czasu spędzał z dala od obowiązków, tym trudniej było mu do nich wrócić. Gdyby miał żonę, czekającą nań w rezydencji, z pewnością wracałby chętniej.

Zwłaszcza gdyby była nią Bella.

Wyobrażał sobie jednak, że wraca do przytulnego saloniku, zasiada przy kominku, czyta na głos, ona szyje, wymieniają pełne oddania i wzajemnego zrozumienia uśmiechy.

Tymczasem księżna Ithorne będzie miała, podobnie jak on, oddzielny apartament. Ich salon będzie oficjalnym pomieszczeniem, dzielonym zwykle z gośćmi oraz

domownikami. Będzie miała buduar, aby przyjmować w nim przyjaciół. On ma już gabinet, gdzie robi to samo.

W niektóre dni, mieszkając pod jednym dachem, wcale nie będą się widywali.

W Upstone planował, że spróbuje zdobyć Bellę jako księżę, może pukając pewnego dnia do jej drzwi, aby wyjaśnić cały ten bałagan. Teraz, w Londynie, uświadomił sobie, że w miarę jak odzyskuje książęcy status, przepaść pomiędzy nimi się pogłębia.

Powóz mijał właśnie pałac St. James, gdzie księżna Ithorne będzie wzywana, by służyć królowej jako dama dworu. Nie tylko trudno mu było wyobrazić sobie w tej roli Bellę, był pewien, że pruderyjna mała królowa nie zaakceptowałyby kogoś splamionego takim skandalem.

Owszem, żony Robina i Christiana zaakceptowałyby Bellę i może kilka innych osób z towarzystwa także, lecz wielu by tego nie zrobiło. Czułaby się skępowana i nieszczęśliwa, co doprowadzałoby go do szału. Szybko zmieniłby się w siejącego postrach despotę, wyzywającego się na niewinnych.

Musi dobrze się zastanowić, nim zrobi coś, co może unieszczęśliwić ich oboje na resztę życia.

Po przyjeździe wezwał od razu Overstone'a i pogрузzył się w pracy.

## Rozdział 24

Dużo dałoby się powiedzieć o tym, jak to jest, kiedy człowiek budzi się we własnym łóżku, pomyślała Bella, otwierając następnego ranka oczy. Nawet jeśli wolałby się obudzić przy boku... Zatrzasnęła pospiesznie te drzwi. Leżała, rozkoszując się przez chwilę dobiegającymi z ulicy, znajomymi odgłosami i wąską smugą światła na przeciwległej ścianie. Czuła, że ogarnia ją smutek.

Lubiła ten dom. Był w sam raz jak na jej niewielkie gospodarstwo, miała też miłych sąsiadów. Bellona Flint musiała wydawać się im zbyt sztywna, by się z nią zaprzyjaźnić, wymieniali wszakże pozdrowienia oraz przyjazne uwagi na temat pogody. Nie mogła jednak tu zostać, bo jak wytłumaczyłaby nagłą przemianę z Bellony w Bellę? I jak mogłaby zerwać z lady Fowler i otaczającymi ją kobietami, mieszkając niemal przy sąsiedniej ulicy?

To przypomniało jej o listach. Najchętniej by je zignorowała, uznała jednak, iż lepiej będzie uporać się z nimi jak najszybciej. Zadzwoiła na Kitty i pokojówka wkrótce się pojawiła.

- Wcześniej dziś pani wstała! - powiedziała, odstawiając pojemnik z węglem i klękając przy kominku.
- Wygląda też pani lepiej po tym, jak się solidnie wyspała. Bo mam nadzieję, że spała pani dobrze?

- Tak - odparła Bella, nieco tym zaskoczona. Spodziewała się, że będzie przewracać się godzinami w pościeli dręczona wspomnieniami. - Musiałam być bardziej zmęczona, niż sądziłam.

- To przez to podróżowanie, panienko. Mam przynieść śniadanie, kiedy już tu rozpalę?

- Tak, proszę. I listy.

Kitty rozpałała ogień i przyglądała mu się przez chwilę. Wreszcie wstała usatysfakcjonowana i wytarła dłonie w fartuszek.

- Doskonale, proszę pani. Którą suknię przygotować? Bella podjęła stanowczą decyzję.

- Żadną z tych, które nosiłam jako Bellona. Bellona Flint wkrótce zniknie.

- Znakomicie, panienko! - powiedziała Kitty z uczuciem.

Bella się roześmiała.

- To była dla was ciężka próba, czyż nie? I tak, założę dziś gorset.

Kitty wyszła, uśmiechnięta od ucha do ucha.

Czekając, aż służąca przyniesie śniadanie, Bella starała się myśleć jedynie o najprostszych sprawach. Skoro ma rozpocząć nowe życie, będzie potrzebowała nowych sukien. Powinna odwiedzić znów sklep panny Moray czy wybrać się do krawcowej? Tu czy gdzie indziej?

Może powinna wyjechać w ogóle z Londynu. Na przykład... Nie, nie pojedzie do Dover! Ani tam, ani też w żadne inne miejsce na południowym wybrzeżu, gdzie mogłaby natknąć się na kapitana Rose.

Lepiej unikać w ogóle wybrzeża. Lecz poza tym może pojechać, dokąd zechce.

Śniadanie odwróciło na jakiś czas jej uwagę. Upiła łyk czekolady i spojrzała na listy. Wszystkie nadeszły z domu lady Fowler, choć nie ona była ich autorką. Dwa napisała Mary Evesham, a pozostałe inne panie.

Wypiła jeszcze trochę czekolady, ugryzła kęs ciepłego chleba z masłem, a potem złamała pieczęć na liście, któ-

ry przyszedł jako pierwszy. Jego autorką była Mary Evesham, siostra wikarego, niewiasta inteligentna i obdarzona cokolwiek kostycznym poczuciem humoru.

*Droga panno Flint,*

*Bardzo brakuje nam Pani zdrowego rozsądku. Lady Fowler nie czuje się dobrze. Szczerze mówiąc, jej stan szybko się pogarsza, przy czym umysł ulega rozkładowi szybciej niż ciało. Wprowadza to nieład oraz zdenerwowanie. Dzieją się tu rzeczy doprawdy niepokojące. Wzdragam się na myśl, co może zrobić biedna dama, albo co sprowokować. Jeśli unika pani tego miejsca z rozsądku, wolałabym nie zachęcać pani do powrotu, zmuszona jestem wszakże to zrobić*

*Z wyrazami szacunku*

*Mary Evesham*

Bella westchnęła głośno. *Rzeczy niepokojące*. Czyli jakie? To, iż Mary napisała, że wzdraga się na myśl, mogło wynikać z jej, specyficznego cokolwiek, sposobu wyrażania się, na pewno była jednak poważnie zaniepokojona.

Wzmocniła się kolejnym łykiem czekolady i otworzyła list, który przyszedł jako następny. Napisała go Clara Or-mond, starsza dama, pulchna i nerwowa, żyjąca w ciągłej obawie, iż może znaleźć się pewnego dnia na ulicy. Była jedną z tych kobiet, którym Bella bardzo chciałaby pomóc, ponieważ biedaczka absolutnie nie była w stanie pomóc sobie sama. Miała kochającego męża, lecz była bezdzietna. Jej mężowi źle wiodło się w interesach. Poniósł dotkliwe straty, a kiedy umarł, okazało się, że wdowa została bez grosza. Tak naprawdę nie interesowała jej walka o prawa kobiet, zdała się po prostu na łaskę lady Fowler.

List zawierał desperacką prośbę, aby Bellona wróciła, nim dojdzie do katastrofy. Słowo katastrofa podkreślone zostało trzykrotnie.

Następny list był od Celi Pottersby. Zawierał mniej więcej to samo, ale znalazła się w nim też wzmianka, iż

siostry Drummond wykorzystują do własnych celów słabość umysłu lady Fowler.

Hortensja Sprott, chuda i bystra, napisała wprost:

***Lady Fowler postradała rozum, lecz o tym nie wie. Im szybciej umrze, tym lepiej. Módl się, by nastąpiło to, nim zniszczy nas wszystkie.***

Ostatni list pochodził także od Mary.

***Droga Bellono,***

***Z czystego egoizmu proszę Cię, abys' wróciła, choćby na krótko. Sprawa wygląda poważnie i nie wiem, co robić.***

***Zapewne przysłużyłabym ci się bardziej, radząc, żebyś trzymała się od nas z daleka, a nawet wyjechała z Londynu, lecz jestem zmuszona prosić, byś jednak wróciła.***

***Z wyrazami szacunku Mary Evesham***

Listy głęboko ją zaniepokoiły, zastanawiała się jednak, dlaczego kobiety napisały akurat do niej? Była pośród nich najmłodsza i nie miała władzy, aby cokolwiek zmienić.

Thorn powiedział, że ma naturę przywódcy. Zaprotestowała, lecz może miał jednak rację i ludzie rzeczywiście tak ją postrzegali. Czy przywódca to ktoś, kto działa, miast załamywać jedynie ręce? I czy przestraszone owce szukają rzeczywiście kogoś, kto wyprowadzi je z tarapatów?

Wolałyby nie myśleć o autorkach listów jako o owcach, lecz nawet Mary z jej zdrowym rozsądkiem oraz Hortensja, gwałtowna i bystra, były zależne w każdym calu od lady Fowler, nie posiadały bowiem własnych środków. To wystarczy, aby pozbawić odwagi każdego. Właśnie coś takiego uwięziło ją w Carscourt na cztery długie lata.



Zmagala się z pokusą, by wrzucić listy w ogień i zająć się planami opuszczenia Londynu. Nie miała wobec tych kobiet żadnych zobowiązań.

Posmarowała następną kromkę i nałożyła na nią obficie śliwkowy dżem. Ta sytuacja nie ma z nią nic wspólnego, a im bardziej okaże się katastrofalna, tym lepiej byłoby, gdyby trzymała się z daleka.

Nie zdołała nawet zbliżyć kromki do ust.

Jęknęła, świadoma, iż musi przynajmniej zajrzeć do lady Fowler, inaczej do końca życia będzie prześladowało ją poczucie winy. Może obawy pań to tylko spekulacje podszyte paniką. Widywała już sytuacje, gdy niepotrzebny alarm rozprzestrzeniał się po domu niczym ogień.

Poza tym, była też coś winna lady Fowler. Dama zapewniła jej schronienie, gdy tego potrzebowała, a teraz była zapewne umierająca.

Wróciła Kitty, niosąc niebieską sukienkę i ładną bieliznę.

- Och. Obawiam się, że będę jednak zmuszona włożyć jedną z sukien Bellony. Muszę złożyć lady Fowler ostatnią wizytę.

Twarz Kitty wydłużyła się i Bella przygotowała się na odparcie poważnych argumentów, lecz Kitty powiedziała tylko z widocznym rozczarowaniem:

- Więc obejdziemy się dziś bez gorsetu, prawda, proszę panienki?

Bella parsknęła śmiechem. -Właśnie. Lecz jutro... obiecuję.

\*\*\*

Była Belloną przez pół roku. Nie wydawało jej się to dziwne, przynajmniej z początku. Może Bellona stanowiła naturalną formę przejściową pomiędzy zmrożoną wewnątrz osobą, która wyjechała z Carscourt, a prawdziwą Bellą. Teraz przebranie uwierało ją bardziej niż strój Kelano czy którejs z pozostałych osobowości, jakie

zdarzyło jej się przybierać ostatnio. Kiedy szła do domu lady Fowler, nie była w stanie pozbyć się uczucia, że wszyscy dookoła widzą, iż nie jest osobą, za jaką chciałyby uchodzić.

Zastanawiała się, czy nie zapukać, gdyż uważała, że już tu nie przynależy, ostatecznie zrezygnowała jednak i weszła. Ze skryptorium - pomieszczenia, gdzie przepisywano broszury lady Fowler - wyszła Ellen Spencer. Spojrzała na Bellę, pisnęła i wbiegła schodami na piętro.

Bella przyglądała się temu zaskoczona.

A potem otoczyły ją pozostałe kobiety, miotając się, wyjaśniając, paplając jedna przez drugą. Nie była w stanie zrozumieć ani słowa.

- Cisza! - powiedziała i kobiety natychmiast posłuchały.

O tak, Bellona wróciła i owce wyczuły w niej pasterza. Najchętniej odwróciłyby się i uciekła, ale nie mogła tak ich zostawić.

- Chodźmy do salonu - powiedziała, ruszając przodem. A kiedy już się tam znalazły, zapytała: - O co ten szum? - Wszystkie usta otwarły się natychmiast. - Niech mówi jedna.

- Och, Bellono - zaczęła Clara, przytykając chusteczkę do oczu. - Tak się cieszę, że wróciłaś. Będiesz wiedziała, co zrobić.

Próbowała coś wyjaśnić, przemawiała jednak mętnie, a pozostałe ciągle jej przerywały. Niektóre rzeczy były wszak jasne: lady Fowler leżała przykuta do łóżka i ponoć majaczyła. Do jej pokoju nie wpuszczano nikogo poza siostrami Drummond i Ellen Spencer.

- Dlaczego akurat Ellen? - spytała. - Nie przebywa tu od zbyt dawna.

- Nie wiemy - odparła Mary Evesham - lecz było coś dziwnego w sposobie, w jaki się tu zjawiła.

Wydaje się też niezwykle oddana siostróm Drummond. Zrobi wszystko, co każą jej Helena i Olivia.

- A teraz planują wydać gazetkę! - załkała Clara.

- Siostry Drummond? Nie używały przedtem prasy? - spytała Bella zaskoczona.  
- Olivia drukowała ostatni biuletyn lady Fowler - wyjaśniła Hortensja. - Wyszło doskonale.  
Wyniosłyśmy kopie i zapłaciłyśmy ulicznikom, by rozdawali je damom w lepszych częściach miasta.  
Nikt nie mógł wysledzić, skąd pochodzi wydruk.

Bella zmarszczyła brwi.

- Lecz jeśli był to biuletyn lady Fowler i tak wszyscy by o tym wiedzieli, prawda?  
- Nie umieszczamy na nim nazwiska ani adresu - odparła Hortensja, jak zwykle bystra.  
- Mimo to... - Porzuciła próby logicznego rozumowania, świadoma wpatrzonych w nią, pełnych niepokoju oczu. - Domyślam się, że przedstawiciele władz jeszcze się tu nie pojawili, więc chyba wszystko w porządku.

Mary Evesham przytaknęła.

- Wygląda na to, iż możemy czuć się bezpieczne. Myślę jednak, że lady Fowler była rozczarowana.  
Obawiam się, iż życzyłyby sobie, by zaciągnięto ją do sądu.

- Ach - westchnęła Bella. - Chciałaby przejść do historii jak John Wilkes. Zostać męczennicą.

- Ja nie chcę zostać męczennicą - zaprotestowała Clara. - Ocal nas, Bellono!

Jak? Nie powiedziała tego na głos. Zadaniem przywódcy jest bowiem stwarzanie choćby złudzenia, że ktoś się nie boi i panuje nad sytuacją.

- Mówiłyście, że planują wydanie gazetki. Co miałoby się w niej znaleźć?

- Nie wiemy - odparła Mary. - Kilka z nas pracowało przy składaniu biuletynu, ale to mozolne, trudne zajęcie. Trzeba układać słowa wstecz. Ostatnio pojawił się tutaj składacz. Pan Smith jest szybki i sprawny, nie wiemy jednak, co znajdzie się w gazetce. Drukują za każdym razem tylko jedną stronę, by sprawdzić płytę i Olivia Drummond zabiera ją od razu do lady Fowler.

- Obawiam się, że będzie jak powiedziałaś - wtrąciła Celia Pottersby, chuda, blada wdowa, która zawsze spodziewała się najgorszego. - Publikacja taka jak wydanie *North Briton*, za które John Wilkes trafił do Tower. Gdyby nie był członkiem parlamentu, powiesiliby go za wypisywanie takich strasznych rzeczy o królu. Lady Fowler planuje zdradę, a my zawiśniemy wraz z nią...
- Nie! - westchnęła Clara, przerażona. - Nie mogą nas powiesić! Nie mamy z tym nic wspólnego.
- Aresztowali drukarzy, którzy pracowali przy *North Briton* - odparła Hortensja. Dla niej żaden fakt nie był na tyle złowróżbny, by nie należało stawić mu czoła. - I wszystkich, którzy mieli z tym jakikolwiek związek.
- Nie mogą aresztować dwudziestu szanowanych kobiet - powiedziała Bella, mając nadzieję, że się nie myli. Niektórym z pań ulżyło, lecz inne nie wyglądały na przekonane.
- Co ze składaczem? - spytała. - Z pewnością jest w stanie powiedzieć, nad czym pracuje.
- Człowiek o nazwisku Smith? - zauważyła Mary chłodno. - Weźmie pieniądze i zniknie. A wszystko z powodu tego tysiąca gwinei.
- To było niczym przekleństwo - zgodziła się z nią Celia. - Żmija wrzucona między nas przez podłego mężczyznę.

Może był nim książę Ithorne, pomyślała Bella. Śledztwo doprowadziło ją do firmy prawniczej, którą często zatrudniał. Mógł mieć też powód, aby źle życzyć lady Fowler, zaatakowała bowiem w wyjątkowo nieprzyjemny sposób markiza Rothgara z powodu jego nieślubnej córki. Ta zaś poślubiła lorda Huntersdown, kuzyna Ithorne<sup>^</sup>, i najwidoczniej jego przyjaciela. Książę mógł więc potraktować atak na żonę kuzyna jako sprawę osobistą.

Był prawdopodobnie zły, ale czy do tego stopnia, aby wymyślić tak skomplikowaną zemstę? Nie mógł przewidzieć, jak katastrofalne skutki spowoduje dotacja.

Gdyby to Ithorne był przyczyną obecnych kłopotów, miałyby pretekst, żeby zwrócić się o pomoc do Thorna,

poprosić, by porozmawiał z bratem i wstawił się za kobietami. Zaaapelował do jego poczucia sprawiedliwości.

Uświadomiła sobie, że chętnie skorzystałaby z pretekstu, by spotkać się znowu z Thornem - to zaś oznaczało, iż musi zamknąć te drzwi i wyrzucić klucz.

Jak długo potrwa to szaleńcze zadurzenie?

- Sytuacja nie może być aż tak tragiczna - powiedziała do zaniepokojonych kobiet. - Trzeba zachować chłodny umysł.

Elizabeth Shutton powiedziała:

- Jestem pewna, że syn i synowa chętnie skorzystają z mojego życiowego doświadczenia i przyjmą mnie pod swój dach. - Była wdową po pięćdziesiątce, która traktowała dom lady Fowler niemal jak hotel i nie zniżała się do żadnej pracy.

- Ależ, Elizabeth - powiedziała Clara - zawsze twierdziłaś, że nie czułabyś się dobrze, pozostając na łasce rodziny w domu, gdzie byłaś przedtem panią.

- Nonsens - oznajmiła Elizabeth i wymaszerowała z salonu.

Clara wydawała się zakłopotana, Bella podejrzewała jednak od dawna, iż pani Shutton nie jest tak pozbawiona środków, za jaką stara się uchodzić. Może i pozostałym uda się znaleźć przyjemniejsze domy. Miała taką nadzieję. Wstała.

- Muszę złożyć wyrazy uszanowania lady Fowler.

Po długiej nieobecności taka wizyta była czymś naturalnym, lecz Clara westchnęła, Mary się skrzywiła, a Hortensja powiedziała:

- Ona bredzi.

Celia uniosła do nosa koronkową chusteczkę. -1 ten zapach.

Bella uzbroiła się wewnętrznie i ruszyła ku schodom. Ellen Spencer stała na straży, spoglądając na Bellę zza okularów oczami o rozszerzonych źrenicach.

- Lady Fowler nie przyjmuje - powiedziała, lecz nie zabrzmiało to przekonująco.

Bella wyprostowała się i zmierzyła kobietę spojrzeniem Bellony.

- Z drogi - burknęła, ruszając przed siebie.

Ellen jęknęła cicho i usunęła się potulnie przestraszona.

Bella otworzyła drzwi, lecz w progu zatrzymała fala upału i tak, smrodu. W kominku płonął suty ogień, a lady Folwer spoczywała, na wpół leżąc, na dużym łóżku. Widać było, iż nie zostało jej wiele czasu.

Oddech miała świszczący i urywany, twarz zapadłą, a skórę pożółkłą.

- Kto to? - wyrzeziła. Czyżby także oślepla?

- Bellona - odparła łagodnie, zdjeta litością. Co za smutny koniec smutnego życia.

Helena Drummond podniosła się z krzesła przy łóżku.

- Wyjdź stąd. Nie widzisz, że lady Fowler jest zbyt chora, aby przyjmować gości?

- Nie jestem gościem. - Zamknęła drzwi i spróbowała podejść do łóżka.

Helena zastawiła jej drogę. Bella odepchnęła ją. Musiała włożyć w ten gest cały swój gniew, gdyż Helena potknęła się i upadła na dywan.

Podeszła do łóżka, zakrywając dłonią nos i mając nadzieję, że chora nie może już tego zobaczyć. I że nie czuje odoru własnego, gnijącego ciała.

- Lady Fowler - powiedziała, spływając potem. - Przykro mi widzieć panią w tym stanie.

- Gdzie byłaś, Bellono? Nie pozwoliłam ci wyjechać. Bella uśmiechnęła się leciutko. Życie opuszczało co

prawda lady Fowler, lecz arogancja została.

- Mówiłam, że muszę. Sprawy rodzinne.

- Rodzina się ciebie wyrzekła.

- Mimo to. Co mogę dla pani zrobić?

Dama wyciągnęła szponiastą dłoń. Bella ujęła ją. Skóra chorej była rozpalona, sucha i się łuszczyła. Wyglądała, jakby miała pęknać albo się zsunąć.

- Pomóż mi w moim wielkim dziele - powiedziała błagalnie lady Fowler.

- Cóż to za dzieło?

- Proszę nic nie mówić! - krzyknęła Helena, chwytając Bellę i próbując odciągnąć ją od łóżka. - Ona jest szpiegiem, *madame*. Dlatego wyjechała. Żeby naradzić się z wrogami pani. Wróciła, bo chce zniweczyć pani wielkie dzieło.

Bella chwyciła się zasłony przy łóżku, nie dając się odciągnąć.

- To nieprawda. Cóż to za wielkie dzieło?

Lecz lady Fowler zaczęła znów rzeźnić, chwytając rozpaczliwie powietrze. Agnes Hoover, osobista pokojówka, podbiegła natychmiast do łóżka, uniosła panią i przystawiła jej do ust szklanekę.

- Wypij, kochana. - Spojrzała z gniewem na Bellę i Helenę. - Wynoście się, obie. Dajcie jej umrzeć w spokoju.

- Wspaniały pomysł - powiedziała Bella, odwracając się i stając twarzą w twarz z Heleną.

- Jesteśmy współpracowniczkami lady Fowler w tym dziele - powiedziała kobieta. - Nie ruszam się stąd ani na chwilę.

Bella musiała jej to oddać: pozostawanie w pobliżu umierającej wymagało nie lada hartu ducha. Sama czuła, że nie wytrzyma w tym pokoju ani chwili dłużej. Podeszła do drzwi i zapytała:

- Posłano po lekarza?

- Lekarz nie może już nic zrobić - powiedziała Agnes, nie odrywając wzroku od pani. - Mam leki, które uśmierzają ból. - Podniosła wzrok i spojrzała prosto na Bellę. - To nie potrwa długo.

Kobieta miała około sześćdziesiątki i wiecznie naburmuszoną minę, lecz teraz Bella czuła, że błaga ją bez słów, by pozwolono lady Fowler umrzeć w spokoju. Kolejna osoba, która szuka u niej pomocy.

Wyszła z pokoju i zaczerpnęła głęboko w płuca stosunkowo świeżego powietrza. W korytarzu nie było nikogo, wykorzystała więc chwilę samotności, żeby się zastanowić.

Nie chciała mieć nic wspólnego z tym, co się tu działo, nie mogła jednak opuścić kobiet. Była z nich najmłodsza i życie jeszcze jej nie pokonało, podobnie jak sióstr Drummond. Poza tym była niezależna finansowo. Czowała się tak, jakby miała pistolet, a one były całkowicie bezbronne.

Co robić?

Lady Fowler nie można już było pomóc, lecz należało powstrzymać ją, by nie poczyniła więcej szkód. Siostry Drummond były niebezpieczne, a Helena, bardziej groźna, nie odchodziła od łóżka chorej.

Ciekawe dlaczego?

To Olivia zajmowała się gazetką. Zapewne przebywała teraz na dole. Najprościej byłoby uszkodzić prasę.

Zeszła w dół klatką schodową dla służby. Minęła kuchnię, gdzie trzy służące spojrzały na nią błagalnie, zaniepokojone. One też?

Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę pomieszczenia, gdzie ustawiono prasę. Otworzyła drzwi. Jakiś mężczyzna odwrócił się i wbił w nią czujny wzrok.

Tak. Pan Smith nie zamierzał dopuścić, aby wciągnięto go w to przedsięwzięcie. Ciekawe, ile mu zapłacono, że zgodził się zaryzykować. Był niskim, chudym mężczyzną około czterdziestki, z brązowymi włosami. Pracował w samej koszuli, przepasany skórzanym fartuchem.

- Jestem Bellona Flint - powiedziała - jedna z najbardziej zaufanych współpracowniczek lady Fowler. Nie było mnie przez jakiś czas. Przyszłam, by się upewnić, że ma pan wszystko, czego panu potrzeba.

- Tak, dziękuję. Skinęła głową.

- Z prasą wszystko w porządku?

- To nie moja sprawa. Ja jestem tylko składaczem.

- Ach tak. Domyślałam się zatem, że prasa działa. Powiedziano mi, że pracowało na niej kilka pań i obawiałam się, iż mogły coś uszkodzić.

Mężczyzna prychnął.



- Zostawiły niezły bałagan i uszkodziły kilka czcionek, ale trudno, nic się nie da na to poradzić. Proszę im powiedzieć, że muszą wydrukować pierwsze dwie strony teraz, bym mógł przygotować płyty do następnych.

Wrócił do pracy. Bella przyglądała się temu przez chwilę, podziwiając wprawę, z jaką sięgał, nie patrząc, do pudełka z czcionkami, podnosił kawałek ołowiu, umieszczał go na płycie i wbijał.

Podnosił, umieszczał, wbijał.

Podeszła do maszyny, lecz samo przyjrzenie się nic jej nie dało, a nie mogła uszkodzić urządzenia, gdy był tam składacz. Ciekawe, w jakich godzinach pracuje.

Wyszła, wróciła do salonu i zapytała o to panie.

- Do późna - odparła Mary.

- I wcześniej zaczyna - domyśliła się Bella. - Chce skończyć jak najprędzej i zniknąć. Powiedział, że trzeba wydrukować dwie pierwsze strony. Gdzie Olivia?

Kobiety rozejrzały się, zakłopotane.

- Wyszła - powiedziała w końcu Hortensja. - Wychodzi i wraca, kiedy chce!

Nie ma powodu, by każda z was nie robiła tego samego, pomyślała Bella. Czyżby czuły się uwięzione? Jakby były w klasztorze i potrzebowały zgody matki przełożonej?

Wspomniała uwagi Thorna na temat klasztorów. Nie. Nie pozwoli, by wszystko jej się z nim kojarzyło.

- Tak czy inaczej - zauważyła Mary z błyskiem w oku - pan Smith nalega, by drukowanie odbywało się w nocy, gdy jego tu nie ma. Twierdzi, że hałas mu przeszkadza.

- Rozumiem. Zatem to musi odbyć się dzisiaj. Wrócę, żeby pomóc. - Musi przeczytać to, co ma zostać wydrukowane, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Włożyła rękawiczki. - Nie było mnie przez jakiś czas i muszę załatwić w związku z tym kilka spraw, dlatego opuszczę was na chwilę.

- Jak się ma lady Fowler? - spytała Clara z niepokojem.

Bella pożałowała, iż nie może złagodzić prawdy.

- Umiera.

Kobiety jęknęły, a Bella pomyślała, że to dobrze, iż ktoś będzie opłakiwał szczerze lady Fowler. Lecz wtedy Clara zapytała:

- Co stanie się z nami?

- Może uwzględniła nas w testamencie? - zasugerowała Celia z niepokojem.

Bella miała nadzieję, że tak się właśnie stało. Gdyby kobiety mogły mieszkać nadal w domu lady Fowler, nie musiałyby się o nie martwić.

- Wezwała niedawno adwokata - powiedziała Mary.

- To chyba dobra nowina - zauważyła Bella.

- Możliwe. Oczywiście, podczas spotkania była z nią jedynie Helena...

Ich oczy się spotkały. Mary, podobnie jak Bella, nie pokładała wielkich nadziei w testamencie pisanym pod wpływem którejś z sióstr Drummond. Kolejna sprawa do załatwienia: napisać do pana Clatterforda i wypytać go w kwestii ostatniej woli spisanej pod naciskiem.

## Rozdział 25

Thorn nie mógł się skupić, a tymczasem wiele spraw domagało się pilnej uwagi. Ceny żywności wzrosły niebotycznie od czasu wojny, wzbudzając społeczne niepokoje. Należało poszukać środków zaradczych, rozważyć wszystko starannie, w tym kwestię kłopotliwych praw zbożowych. Kolonie w Ameryce sprzeciwiały się podatkom, nałożonym za to, że obroniono je przed Francuzami. Szkodliwe wpływy Johna Wilkesa i zdradzieckiego wydania *North Briton* ciągle dawały o sobie znać. Ucieczka Wilkesa do Francji nie zakończyła sprawy.

Overstone przygotował długą epistołę na każdy temat, który mógł się okazać istotny. Zaopatrzenie dla marynarki. Żołd dla wojska. Reforma rolna w Norfolk. Thorn właśnie się przez nie przedzierał, kiedy do gabinetu wszedł Robin.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - zapytał Thorn. Robin uniósł brwi.

- Interesy. Pisałem. Miałem nadzieję, że będę mógł się u ciebie zatrzymać, skoro moja rezydencja nie jest przygotowana. - Przerzucił stos nieotwartych listów i wyciągnął jeden. Obrócił go i pokazał Thornowi. - Wyjeżdżałeś?

Thorn zmarszczył brwi, choć tak naprawdę był zły na siebie. Overstone nie otwierał prywatnych listów. Tym lepszy powód, by zająć się nimi na początku.

- Byłem w Dover - odparł.

- Odgrywałeś znów kapitana Rose? - Robin wyjął z kieszeni małego pieska, do złudzenia przypominającego puszek.

- Do licha, tylko nie to - poskarżył się Thorn żartobliwie.

Robin kupił suczkę rasy papillon we Francji, a zwierzak uważał się odtąd za niezbędne akcesorium.

Robin rozpieszcza! Kokietkę i zabierał z sobą niemal wszędzie, nawet na dwór.

- Nie zjedz motyla, Tabitho - zażartował Thorn.

Tabitha spojrzała na nich i zatrzasnęła koszyk. Kokietka wyprężyła się i zaczęła węszyć. Robin się roześmiał.

- Nie gram, kiedy występuję jako kapitan Rose, ani się nie bawię - zaprotestował Thorn. - Prawdę mówiąc, bawię się raczej rzadko.

- To mogłoby się zmienić. Wiesz, że szmuglują teraz do Francji owce?

- Owce? Do Francji?

Robin uśmiechnął się łobuzersko.

- Angielskie owce są lepsze od francuskich. Jak myślisz: moglibyśmy ukrócić ten proceder? Czuję, że już czas, aby do akcji przystąpił porucznik Sparrow.

- Twoja żona nie miałaby nic przeciwko temu? Robin się skrzywił.

- Petra wolałaby się wybrać z nami. Nie - poprawi! się. - Odkąd nosi pod sercem dziecko, zachowuje się nadzwyczaj rozsądnie, oznacza to jednak, że nie byłaby zachwycona, gdybym wyprawił się w poszukiwaniu przygody. - Przyznaję, że to kusząca propozycja - powiedział Thorn, odchylając się na krześle. - Polowanie na zbłąkane owieczki na pokładzie „Czarnego Łabędzia”.

Porucznik z piratem? A może też bukanierem Bellą? Otrząsnął się z marzeń i wrócił do rzeczywistości.

- Handel owcami będzie prosperował albo upadnie bez mojego udziału. Mam mnóstwo pracy. Co sprowadza cię do stolicy?

- Rothgar.
- Tańczysz, jak ci zagra, co? Robin spojrział na przyjaciela.
- Zawsze potrafiłem się z nim porozumieć, w przeciwieństwie do ciebie.
- Nie przewyższasz go pozycją.
- Przewyższam wielu innych i żaden nie stał się dla mnie obsesją. Prawdę mówiąc, podziwiam Rothgara. Nie zawsze się z nim zgadzam, jest wszakże diabelnie sprytny i odrażająco wspaniałomyślny. A także dumny.
- Ma na względzie przede wszystkim własny interes.
- Nie zaniedbuje swoich interesów. To różnica. Nie życzy ci źle.
- To dosyć irytujące.
- Co takiego? Uważasz, że na myśl o tobie powinien trząść się ze strachu? Przestań być w tej kwestii taki uparty.

Thorn się skrzywił. Przyjaciel rzadko się denerwował.

- Może porozmawiamy o czymś bardziej interesującym? Jak Petra?
- Nie, nie porozmawiamy.

Robin był zazwyczaj niefrasobliwy do bólu. Lecz kiedy przybiera! ten ton, mądry człowiek zaczął słuchać. - Czego ty chcesz? A może: czego on chce?

- Spotkania - odparł Robin.
- Spotkaliśmy się. Negocjowaliśmy w sprawie Christiana. Nawet współpracowaliśmy. Spotykamy się na okrągło w parlamencie i na dworze. - Wiesz, o co mi chodzi.

Thorn podniósł przycisk do papieru, uświadomił sobie, że się nim bawi i odstawił przedmiot.

- Po co?
- W Brytanii panuje spokój i wszystko wskazuje, że się utrzyma, to zaś usypia czujność. Ludzie sądzą, że sprawy idą jak należy, a to nieprawda. Znosi się na poważne kłopoty.
- To twój pogląd czy teścia?

- Nie uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi. Dowody są bezsprzeczne, ale tak, on widzi je wyraźniej. Niepokoje w koloniach nie wygasają. Ten Otis podburza umysły, a inni idą tam, dokąd ich prowadzi. Ich argumenty są absurdalne, lecz jeśli Brytania nie opanuje w porę sytuacji, możemy stracić Amerykę na rzecz Francuzów.

- Ale do tego nie dojdzie, jeśli ja i Rothgar staniemy po tej samej stronie barykady?

Robin przewróci! oczami.

- Należycie do niewielkiej grupki ludzi wysoko postawionych, którzy nie myślą jedynie o własnym dobru. W jego przypadku chodzi o wybory moralne. W twoim zapewne o to, że nie ma już nic, czego byś pożałował dostatecznie mocno.

Thorn musiał bardzo się postarać, by jego twarz nie odzwierciedlała uczuć.

- A wolność? - zapytał.

- Masz kapitana Rose. Nie, z tego już zrezygnowałeś. Dlatego masz taki paskudny humor? Wracaj zatem na morze.

- Myślałem, że jestem potrzebny, aby uratować królestwo przed katastrofą.

Robin westchnął teatralnie.

- Zrezygnowałem na razie z wypraw na morze - powiedział Thorn - gdyż powinienem spłodzić potomka, nim znów narażę się na niebezpieczeństwo. Jeśli chcesz na coś się przydać, znajdź mi żonę.

- Ożeń się z którąś z sióstr Christiana.

- Zabronił mi.

- Co takiego? - zapytał Robin zdumiony.

- Przed kilkoma miesiącami. Chce, bym ożenił się z miłości.

- Ja też tego chcę.

- Podobnie jak ja, tyle że niełatwo się zakochuję. A jeśli już, to w nieodpowiednich kobietach.

Obudziło to czujność Robina.

- Kim ona jest? - zapytał.

- Zapomnij.

- Nie, jeśli się zakochałeś. Zastanów się. Petra nie była dla mnie „odpowiednia”, większość ludzi uznałaby także, iż Caro nie nadaje się na matkę przyszłego lorda.

- Petra została wychowana jak arystokratka - zauważy! Thorn. - Porusza się w naszym świecie swobodnie, chociaż jest katoliczką, bękartem i cudzoziemką. To, że jest nieślubną córką Rothgara raczej pomaga niż przeszkadza. Caro wychowała się w rodzinie ziemiańskiej, podobnie jak Christian, pomimo tytułu. Wpasuje się doskonale w kręgi towarzyskie Devonu, a jeśli dopisze jej szczęście, miną dziesięciolecia, nim zostanie hrabiną. Ja nie mam wyboru. Muszę poślubić księżnę.

Robin nie zaprotestował natychmiast, co wiele mówiło, lecz w końcu rzucił beztrąsko:

- O ile nie zakochałeś się w mleczarce, dziewczyna się nauczy.

- Ona jest mleczarką - oznajmił Thorn ponuro. Robin zaklął żartobliwie.

- Spotkam się z Rothgarem - powiedział Thorn. - Zrobiłbym wszystko, byle się ciebie stąd pozbyć.

Kiedy i gdzie?

Nagle syknięcie sprawiło, że obaj się odwrócili. I zadziałali.

Sabie wymknął się z koszyka, żeby pobawić się z nowym przyjacielem, a Tabitha ruszyła małemu na pomoc. Robin chwycił swego śmiesznego psiaka i podniósł, lecz Sabie przywarł do Kokietki i został uniesiony wraz z nią. Tabitha właśnie się szykowała, aby wykonać jeden ze swych olbrzymich skoków.

Thorn chwycił kotkę od tyłu, chroniąc się przed pazurami i przycisnął ją do piersi. Robin próbował oderwać Sable'a od suczki, ten jednak z niewiadomych przyczyn wczepił się w psa, jak tylko mógł najmocniej. Tabitha wierzgnęła zadnimi łapami. Gdyby Thorn jej nie puścił, pewnie połamałaby mu żebra. I tak cios oka-

zał się na tyle mocny, że Thorn potknął się i runął na dywan. Pozbierał się jednak natychmiast i ruszył z odsieczą Robinowi.

Przyjaciel zdołał uskoczyć jakoś przed atakiem. Postawił kociaka na dywanie i podniósł wyżej Kokietkę.

Tabitha wpatrywała się w niego przez chwilę zwężonymi oczami, machając gniewnie ogonem, lecz w końcu splunęła mu na buty, chwyciła Sable'a i zaniósła z powrotem do koszyka.

- Rany! - westchnął Robin. - Może powinniśmy hodować je do walk.

Thorn potarł obolałe zębra.

- Tylko jeśli mogłyby atakować zadnimi łapami. W moje życie - dodał - wkradł się nieład i wcale mnie to nie cieszy.

- Opowiesz mi o tym? - spytał Robin z nadzieją.

- Nie. Powiedz raczej, kiedy i gdzie mam złożyć hołd Rothgarowi.

Robin pogłaskał wystraszonego psa.

- Jesteśmy zaproszeni dziś na kolację do Malloren House. Jeśli ci to odpowiada. Jeśli nie, sam wybierz czas i miejsce. Byle szybko, bo sprawa jest pilna.

- Chodzi o Wilkesa?

- Tego wszyscy mamy już wyżej uszu. Nie. - Robin spojrział na drzwi, upewniając się, że są zamknięte.

- Z królem dzieje się coś złego.

To przyciągnęło uwagę Thorna.

- Nic nie słyszałem.

- Nie mówi się o tym głośno, lecz nasz monarcha zachowuje się dziwnie. Na wieść o tym, co dzieje się w koloniach, dosłownie się zapienił.

- No więc się wściekł. Nie ma już dość władzy, żeby skazywać ludzi na śmierć dla kaprysu.

- To nie był atak wściekłości. A przynajmniej nie tylko. - Choć byli sami, zniżył głos jeszcze bardziej.

- Wydawał się przez krótką chwilę zupełnie szalony. Były też inne symptomy.



Thorn podszedł do okna, zastanawiając się nad implikacjami tego, co właśnie usłyszał.

- Ma synów.

- To jeszcze dzieci.

- Co się stanie, jeśli straci rozum? Wymuszona abdykacja?

- Raczej regencja. Ale kto? Królowa? Jest bardzo młoda i ledwie mówi po angielsku. Następną oczywistą kandydatką byłaby matka króla.

- Ta zaś pozostaje pod wpływem premiera Bute'a.

- I nie tylko pod wpływem. Jest jeszcze wuj króla, księżę Cumberland.

-Nie.

- Nie - zgodził się Robin. - Brakuje oczywistego kandydata, to zaś oznacza, że frakcje na dworze i w parlamencie będą ze sobą walczyć.

- Jeśli król nagle zwariuje i nie zdąży wyznaczyć regenta?

- Właśnie. To możliwe. Może też wyznaczyć kogoś zupełnie nieodpowiedniego. Rothgar uważa, że grupka odpowiedzialnych osób winna pozostać w gotowości i w razie potrzeby zadziałać.

- Z nim jako oczywistym kandydatem na regenta?

- Nie uwierzysz, lecz wcale nie.

- Czy lampart może zmienić cętki?

- Lampart może mieć samicę i kocięta. Wiem, jak bardzo zmienia to hierarchię wartości. Rothgar już zaczął poświęcać więcej uwagi sprawom domowym. W grudniu oczekuje narodzin pierwszego potomka i nie życzy sobie, aby zrzucano mu na barki ciężar rządzenia krajem. Uwierz mi w tej kwestii na słowo.

- Nie mogę wyzbyć się podejrzliwości, obiecuję jednak, że się postaram. Dobrze, zatem dziś wieczorem.

Robin przyglądał mu się przez chwilę. - Po przyjacielsku?

- Nie jestem w stanie posunąć się tak daleko, mam jednak nadzieję, że potrafię być obiektywny.

- 1 znajdziesz tu dla mnie jakiś kącik?
- Może w pokoju kredensowym? - Zadzwoń! na lokaja. - Co z przyszłym potomkiem? Petra ma się dobrze?
- Kwitnie, chce jednak spędzić święta w Rothgar Abbey.
- Nie powinieneś być wtedy we własnym majątku?
- Matka może zorganizować uroczystości. To będą pierwsze święta Petry w Anglii. Chce spędzić je z ojcem i nową rodziną. Powitać na świecie przyrodniego brata lub siostrę.
- Jakie to typowe dla Rothgara: postarać się, by jego dziecko przyszło na świat w Boże Narodzenie.
- Nie bądź osiem. Thorn się roześmiał.
- To miał być żart. Podróż nie zaszkodzi Petrze, jeśli będziecie podróżowali powoli.
- Wiem, ale i tak się martwię. Pewnie każdy mąż tak reaguje.
- Niestety, nie. Tylko ci, którzy kochają swoje żony. - Poleciał lokajowi, aby sprowadził gospodynię. Kiedy służący wyszedł, Robin powiedział:
  - Jeżeli się zakochałeś, postaraj się za wszelką cenę ją poślubić.
  - Nawet jeśli wiem, że to ją unieszczęśliwi?
  - Miałaby być nieszczęśliwa z mężczyzną, którego kocha? Bo ona cię kocha, inaczej nie myślałbyś w ogóle o małżeństwie. Dziewczyna nauczy się, jak być księżną. Skoro się w niej zakochałeś, musi być wyjątkowa.
  - Daj temu spokój, Robinie. Akurat ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że miłość nie trwa wiecznie. Zakochiwałeś się wystarczająco często. Za kilka tygodni nie będę nawet pamiętał, jak dziewczyna ma na imię, zwłaszcza jeśli będę musiał zająć się poważniejszymi sprawami.
  - A jak brzmi to imię?
  - Bella. - Do licha! Nie zamierzał tego mówić. Weszła gospodyni.

- Proszę przygotować pokój dla lorda Huntersdown. - Do Robina zaś powiedział: - A teraz stąd zmiataj. Jeśli mam zarwać noc, muszę wziąć się do roboty.

Robin wyszedł, lecz w swoim pokoju natychmiast zasiadł do napisania listu. Adresowanego do Christiana w Devon.

***Znamy jakąś Belle? Thorn się zadurzył, uważa jednak, że dziewczyna nie nadaje się na żonę. Musimy działać. Wyjeżdżał ostatnio do Devon. Ktoś przychodzi ci na myśl?***

Podpisał list, złożył, zapieczętował i wysłał.

\*\*\*

Bella wróciła wieczorem do lady Fowler. Kilka pań piło w salonie herbatę, inne pomagały składać w piwnicy gazetkę. Olivia spojrzała gniewnie na Belle, nie znalazła jednak pretekstu, by kazać jej wyjść. Belle zaciekała maszyną drukarską. Posługiwanie się nią było całkiem proste. Składacz umieszczał litery w kaszcie znajdującej się w drewnianej ramie. Pulchna Betsy Abercrombie, zawsze chętna do pomocy, smarowała czcionki tuszem za pomocą tkaniny zwiniętej w kulę. Ellen Spencer, niespokojna jak zwykle, umieszczała w ramie arkusz papieru, zaś Olivia naciskała na dźwignię opuszczającą ciężką płytę na arkusz. Potem unosiła prasę, a Ellen zdejmowała arkusz i podkładała następny.

Wystarczyła chwila i strona była wydrukowana.

- Jakie to cudowne! - wykrzyknęła Bella i w pewnym sensie naprawdę tak było. Podeszła bliżej, udając, że chce przyrzeć się wydrukowi, a tak naprawdę po to, żeby przeczytać artykuł.

Olivia zastąpiła jej drogę.

- Nie dotykaj niczego, Bellono. Nie wiesz, co robić.

Belli udało się jednak zerknąć na tekst i choć był odwrócony do góry nogami, przeczytała słowa „tyrania” oraz „ucisk”, wydrukowane dużymi literami.

Odwróciła się posłusznie w stronę prasy i obserwowała przez chwilę proces drukowania. Potem zaś powiedziała:

- Skoro nie jestem tu potrzebna, pójdę na górę.

Prasę zdecydowanie należało uszkodzić, arkusze zostały już jednak wydrukowane. Żałowała, że nie spróbowała sabotażu wcześniej. Teraz będzie musiała zniszczyć także wydruki.

Kilka pań siedziało nadal w salonie, zamartwiając się nad herbatą. Na piętrze panowała cisza, wydawało się jednak, że zaduch i smród śmierci przenikają przez sufit. Czy powinna zobaczyć się jeszcze raz z lady Fowler? Wiedziała, że nie zdoła wywrzeć na kobietę nacisku, poza tym musiałaby stawić znów czoło Helenie Drummond.

Jeśli była przywódczynią tych kobiet, to słabą i bezużyteczną. Teraz nie wystarczyło już udawać, że wie, co należy zrobić. Potrzebowała planu.

## Rozdział 26

Thorn wiedział, że zachowywanie wzmożonej czujności jest nieracjonalne, lecz gdy wysiadał z powozu na frontowym podjeździe Malloren House, nadal nie był w stanie uwierzyć, że Rothgar kieruje się wyłącznie szlachetnymi pobudkami.

Poza tym był nie w humorze, gdyż zanim wyszedł, musiał załatwić sprawy, z którymi zwrócili się do niego petenci czekający przed domem. Najchętniej wymknąłby się niepostrzeżenie, jak miał w zwyczaju, lecz skoro zanieczyliwał przez kilka dni obowiązki, uznał, iż nie może sobie pozwolić na taki luksus. Tak czy inaczej, skoro miał spotkać się z Rothgarem, lepiej było zrobić to jak należy, wychodząc frontowymi drzwiami.

Znał arystokratów, którzy rozkoszowali się wzbudzaną powszechnie uwagą. On jej nie lubił, być może dlatego, że nie był w stanie przejść obok czekających na niego ludzi z miną pełną wyższości, jak to robili ludzie wspomnianego pokroju.

Zazwyczaj nie tylko przyjmował od nich petycje na piśmie, ale zatrzymywał się, aby zamienić kilka słów. Często kusilo go, by dać temu czy owemu pieniądze, powstrzymywał się jednak, gdyż wiedział, że takie postępowanie sprowadziłoby mu na próg hordy żebraków. Przekazał petycje Overstone'owi, by je rozpatrzył. Wiele próśb o wsparcie okaże się uzasadnionych, gdyż czasy

były ciężkie. Niektórzy poproszą o pomoc w sprawie sądowej, wysoko postawiona osoba mogła bowiem wpłynąć na przebieg procesu. Thorn nigdy tego nie robił, chyba że dopuszczano się jawnej niesprawiedliwości. Chętnie pomógłby każdemu z proszących, lecz prawdę mówiąc, żywi! nadzieję, iż któregoś dnia ich zabraknie. Cóż, prędzej Tamiza wyschnie, niż tak się stanie.

Kiedy rozmawiał z petentami, zazdrościł szczerze Robinowi, który nieniekójony postępował jego śladem. Na progu własnego domu musiałby robić to samo, petentów byłoby jednak zdecydowanie mniej. Lord, zwłaszcza pomniejszy, to jednak nie książę.

Wszedł za Robinem do Mallory House, zirytowany i czujny. Oddali lokajowi rękawiczki i kapelusze, po czym wprowadzono ich do niewielkiego pokoju. Przypominał Thornowi, nie wiedzieć czemu, salonik w gospodzie w Upstone. Ściany miały tu barwę kości słoniowej, zamiast być po prostu pobielone, a wiszące na ścianach obrazy były zdecydowanie wyższej klasy, lecz pokój wydawał się równie przytulny. W marmurowym kominku płonął wesoło ogień, ogrzewający jednako chłopca i króla.

Przed kominkiem ustawiono sofę i dwa krzesła. Po drugiej stronie pokoju stał stół, zastawiony skromnie na cztery osoby.

Cztery?

Rothgar powitał ich ubrany w wygodny strój domowy, za jedyną ozdobę mając pierścień rodowy oraz okazały diament, otrzymany, jak domyślał się Thorn, w prezencie od żony. Rothgar nosił go niczym obrączkę. Thorn uważał to wcześniej za śmieszne, lecz teraz, gdy Bella nawiedzała ciągle jego myśli, zastanawiał się, czy nie kusiłoby go, by postępować tak samo.

Bella nie mogłaby sobie jednak pozwolić, by podarować mu równie demonstracyjną oznakę własności. Rothgar poślubił bowiem hrabinę Arradale, wystarczająco bogatą, by stać ją było na diamenty. Była zdecydowanie

odpowiednią żoną dla wielkiego markiza i księżę Ithorne winien poślubić podobną damę. Przywitał się z gospodarzem, zadowolony, że ubrał się z równie niewymuszoną swobodą. Rozmowa dotyczyła z początku rzeczy zwyczajnych - wyścigów, artystów, wynalazków i mechanizmów. Thorn zastanawiał się, czy Rothgar kolekcjonuje zegary po to, by przypodobać się królowi, teraz musiał jednak przyznać, iż zainteresowanie markiza czasomierzami było szczere. Interesował go zaś szczególnie chronometr pana Harrisona.

Podobnie jak Thorne'a, a to dlatego, że miał zastosowanie w nawigacji. Dotąd, żeglując, trzymano się zwykle linii brzegowej, jednak możliwość zapuszczenia się bezpiecznie na szeroki ocean byłaby czymś doprawdy wspaniałym. Z zaskoczeniem stwierdził, że rozmowa sprawia mu przyjemność i postanowił z tym nie walczyć.

Zapowiedziano kolejnego gościa.

Okazał się nim księżę Bridgewater.

Wymieniono ukłony i Thorn poczuł się zaintrygowany. Bridgewater był jednym z młodszych książąt, zbliżonych wiekiem do Thorne'a. Kilka lat wcześniej udzielał się w londyńskim towarzystwie, lecz po zawodzie miłosnym wycofał się do posiadłości rodzinnych na północy kraju i zajął budową kanałów. Uznano go wówczas za ekscen-tryka, właściwie niemal szaleńca, zwłaszcza iż znany był jako Biedny Księżę i musiał bardzo oszczędzać, żeby kontynuować dzieło. Tylko że kanałami, które z takim poświęceniem zbudował, węgiel z jego kopalń spływał teraz za psi pieniądz na południe. Zmieniło to ideę transportu i ludzie zaczęli postrzegać Bridgewatera inaczej.

Nadal był jednak mało pociągający fizycznie: szczupły, blady, wyglądający wiecznie na chorego. Był też dosyć nieśmiały, choć Thorn sądził, że demonstrowany brak pewności siebie to jedynie pozory. W kwestiach, które go interesowały, wykazywał się nie lada błyskotliwością.

Zasiedli do posiłku. Usługiwał im jeden, najwidoczniej wielce zaufany lokaj. Rozmawiali o polityce, sprawach państwa oraz o inżynierii. Thorn czuł się swobodnie i uświadomił sobie, iż dzieje się tak dlatego, że jest pomiędzy równymi sobie.

Czy Bridgewater został zaproszony właśnie z tego powodu?

Nie chodziło jedynie o status, lecz o to, że obu książąt łączył podobny sposób myślenia, chociaż poza tym bardzo się różnili.

Wszyscy zasiadający tego dnia przy stole byli wykształceni, a jeśli czegoś nie wiedzieli, nie odczuwali potrzeby, aby to ukryć. Jeśli zaś chodzi o politykę, rozumieli doskonale, jak funkcjonuje maszyneria, którą wprawiały w ruch: parlament, wpływy, pieniądze, handel i międzynarodowe powiązania. Mieli też podobny pogląd na to co ważne, a co nie.

Rothgar był tu wszakże niekwestionowanym przywódcą, starszym o dziesięć lat, które to lata spędził w służbie państwa oraz dwóch królów.

- W historii zdarzają się przełomowe momenty - zauważył, kiedy zasiedli przy brandy, odprawiwszy lokaja. - Krucjaty. Odrodzenie. Reformacja. Uważam, że znajdujemy się na granicy takiego przełomowego momentu i choć konsekwencje tych przełomów były w dłuższej perspektywie dobre i pożyteczne, to jednak zmiany, które niosły, mocno dały się we znaki żyjącym wówczas ludziom.

- Odrodzenie? - zapytał Thorn z powątpiewaniem.

- Był to czas pokoju i rozkwitu, lecz zmiana zawsze coś niszczy. Musi. Wielu odkryło, że tradycyjny sposób życia nie przystaje do nowych czasów. Zawsze tak jest. Pomyślcie tylko o krosnach.

Thorn miał nadzieję, iż nie dał po sobie poznać, że trudno mu dostrzec związek pomiędzy krosnami a tematem dyskusji.

To Robin powiedział:



- Przędka. Wkrótce kobiety przędące w domu nie będą już potrzebne.
- A zanim się obejrzymy, także i tkaczki - wtrącił Bridgewater. - Nie podoba mi się to. Cały sposób życia odejdzie bezpowrotnie.
- Pańskie kanały zmniejszą dochody osób trudniących się przewozem towarów drogami oraz opieką nad zwierzętami pociągowymi.
- Cóż, rzeczywiście.
- Ale nie jesteśmy w stanie powstrzymać fali przyływu - zauważył Rothgar.
- Ależ przyływ można powstrzymać - zaprotestował Thorn. - Są tamy i falochrony. Czasami bardziej skomplikowane konstrukcje.
- Jednak mocniejsza fala i tak może zniweczyć trud, włożony w ich budowę.
- Nie, jeśli zostały dobrze zaprojektowane - oznajmił Bridgewater.
- Jakkolwiek jest - stwierdził Thorn - zawsze lepiej poddać się sile morza. Zrozumieć ją i wykorzystać. Nie ma sensu walczyć z przeciwnym wiatrem.
- Jak w wiatraku - powiedział Rothgar. - Dlatego musimy zrozumieć ducha naszych czasów i nauczyć się go wykorzystywać.

Thorn nie mógł oprzeć się ze wszech miar irytującemu wrażeniu, że Rothgar od początku tak manipulował rozmową, by doprowadzić ich do tego punktu.

- Możemy szukać przyczyn, winiąc filozofów za to, że zadają kłopotliwe pytania, albo monarchów czy polityków za sprzyjanie niesprawiedliwościom, lecz to niczego nie zmieni. Podobnie jak, moim zdaniem, nowe, drakońskie prawa. Lepiej zrozumieć nasze czasy i wykorzystać rodzące się moce w służbie pokoju i dobrobytu. Zgoda?

Robin i Bridgewater przytaknęli, lecz Thorn wysunął obiekcje.

- Wspomniał pan o wiatrach i falach. Lecz do jakiego portu płyniemy?

- Dobry żeglarz przygotowuje statek tak, by mógł żeglować przy każdym wietrze. Zwłaszcza zaś podczas sztormu.

- Spodziewa się pan jakiegoś?

- Tak - odparł Rothgar zdecydowanie. - Prawdopodobnie będzie to huragan.

Nie wspomnieli oczywiście o szaleństwie króla. Ocierałoby się to o zdradę. Lecz wszyscy o tym myśleli.

Król bywał uparty, zwłaszcza gdy coś wyprowadziło go z równowagi. I choć w rządzeniu kierował się na ogół wolą parlamentu, gdyby tylko zechciał, mógłby poważnie zakłócić rejs państwowej nawy.

Jeśli straci rozum, może zatopić ich wszystkich, zwłaszcza jeśli na morzu rozszałe się sztorm.

Ogólnie rzecz biorąc, Thorn zgadzał się, iż mądrze byłoby przedsięwziąć środki zaradcze. Nawet jeśli

- niech to diabli! - będzie musiał przymierzyć się w tym celu z Rothgarem.

\*\*\*

Bella poleciła, by obudzono ją wczesnym rankiem, toteż gdy zeszła do kuchni, na dworze było jeszcze ciemno. Należało porozmawiać z Peg o przyszłości, a chciała zakończyć rozmowę na tyle wcześnie, by wyjść, kiedy Londyn będzie jeszcze uśpiony.

W kuchni panował, jak zwykle, porządek. Miedziane naczynia błyszcząły, z sufitu zwieszały się pęki aromatycznych ziół.

Na skraju paleniska stał zwykle czajnik z gorącą wodą, którą błyskawicznie można było doprowadzić do wrzenia. Bella zajęła miejsce przy drewnianym stole i wyjęła z koszyka ciepłą bułeczkę przyniesioną dopiero co z piekarni.

- Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? - spytała Peg z żartobliwym błyskiem w oku. Zasiadła także do stołu i jęła posilać się chlebem z szynką, popijając herbatę

z wielkiego kubka. Asystowali jej Kitty i Eda Grange, a Annie przygotowywała czekoladę.

- Chodzi o plany - odparła Bella, smarując chleb.

- Zamierzam być znowu sobą.

- Cóż, dzięki ci, Boże.

- I wyprowadzić się zapewne z Londynu. Co o tym sądzisz?

Peg upiła łyk herbaty. Belli ślina napłynęła do ust, wiedziała bowiem, jak mocny napar pija gospodyni.

- W zasadzie dobrze mi tutaj - odparła Peg po chwili

- nie mam jednak nic przeciwko temu, żeby się przeprowadzić. Byle nie za granicę. Nie zamierzam przenosić się do obcego kraju, gdzie nie będę rozumiała, co do mnie mówią, ani wiedziała, co jem.

Ślimaki - dodała, wzdrygając się z obrzydzeniem.

- Mnie też by się tam nie podobało - zapewniła ją Bella.

- No i będziemy musiały znaleźć coś dla Eda - powiedziała Peg, kładąc z czułością dłoń na ramieniu chłopaka. Bella zapomniała o Edzie, lecz dla Peg był on niemal jak syn.

- Z pewnością Ed mógłby pojechać z nami - powiedziała.

Podeszła Annie, niosąc garnek z czekoladą.

- Kitty i ja zostaniemy z panią jeszcze przez jakiś czas, jeśli będzie nas pani potrzebowała.

Bella uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Jesteście bardzo miłe, lecz nie zamierzam trzymać was z dala od ukochanych. Mam nadzieję zatańczyć na waszym weselu, zanim wyjadę.

Annie się uśmiechnęła. Oczy błyszczały jej niczym gwiazdy.

- Skoro tak, pobierzemy się szybko, panienko. Uzgodniliśmy, że przez jakiś czas będziemy mieszkali wszyscy razem, damy więc radę.

- Co za wspaniały pomysł. - Bella naląła sobie czekolady i powiedziała, zwracając się znowu do Peg.

- Nie

wiem jeszcze, gdzie zamieszkamy, ale na pewno z dala od Carscourt.

- To mi nie przeszkadza. Jak powiedziałam, chętnie zobaczę inny kawałek Anglii. Może więc Dover?

- spytała, zerkając na Bellę znad kubka.

- Pojechałam tam coś załatwić, Peg - odparła Bella, modląc się w duchu, by wyraz jej twarzy nie zdradził, co naprawdę czuje.

- A potem?

- Potem były kolejne sprawy.

- Z mężczyzną. -Peg...

- Wiem, nie jestem matką panienki. Lecz jesteś młoda, kochanie, i zawsze miałaś w sobie coś z marcowego zająca.

- Co takiego? Uważasz, że jestem szalona? Peg się roześmiała.

- Nie, lecz nawet w dzieciństwie wolałaś biec niż iść, podskakiwać niż stać spokojnie. Zachowywałaś się raczej jak chłopak, a już na pewno byłaś nim bardziej niż twój brat - dodała, krzywiąc się z niesmakiem. - To właśnie ten niepokój, ta niemożność usiedzenia na miejscu skłoniły cię, żebyś zgodziła się na schadzki, od której zaczęły się wszystkie twoje kłopoty, czyż nie? Nie zadurzyłaś się w tamym młodzieńcu, lecz chciałaś zaznać po prostu odrobiny przygody.

- To prawda, ale mam nadzieję, że czegoś mnie to nauczyło.

Peg uniosła z powątpiewaniem brwi.

- Cóż, może w mojej ostatniej wyprawie znalazłoby się trochę szaleństwa, lecz była ona konieczna. I warta ryzyka.

Pomimo bólu serca nadal rozkoszowała się wspomnieniem klęski Augustusa.

- Skoro tak... A jeśli chodzi o to, dokąd się przeniesiemy, będzie panienka musiała zdecydować sama. Może należałoby poradzić się tego miłego pana Clatterforda.

- Będzie nalegał, bym zamieszkała w Tunbridge Wells.
  - A co w tym złego?
  - Wolałabym unikać niewielkich, modnych miejscowości. Prawdę mówiąc, nie wiem jeszcze, czego dokładnie chcę, lecz kiedy Kitty i Annie poślubią swoich ukochanych, wyjedziemy. Uważam, że lepiej trzymać się z dala od lady Fowler i jej popieczniczek.
  - Zatem dlaczego nie wyjedziemy od razu? Bella westchnęła.
  - Ponieważ czuję się w obowiązku choćby spróbować zapewnić im bezpieczeństwo.
- Przebyła krótki dystans dzielący jej dom od domu lady Fowler, czując się nieswojo na pustych, ciemnych jeszcze ulicach. Dotarła jednak bezpiecznie i weszła tylnymi drzwiami, przez kuchnię, zaskakując służących.
- Wstałam wcześniej - wyjaśniła beztrąsko - postanowiłam więc przyjść. Tyle jest do zrobienia. Kucharka i pokojówka wpatrywały się w nią bez słowa, wyszła więc z pomieszczenia. Wiedziała, iż żadna z kobiet nie będzie zwracała sobie głowy dociekaniem, co też dzieje się w pokojach dla państwa. Służący nie zostawali w domu lady Fowler zbyt długo. Chlebo-dawczyni była z natury kapryśna i należało obsłużyć wiele osób, na ogół tak biednych, że nie stać ich było nawet na zwyczajowe napiwki.
- Przemknęła do pokoju z prasą - i zastała drzwi zamknięte. Kiedy to się zaczęło? Może od dawna zamykano je na noc. Weszła na piętro, zmartwiona i wściekła. Teraz będzie musiała usprawiedliwić jakiś fakt, że przyszła tak wcześniej, inaczej siostry Drummond zaczną coś podejrzewać.
- W domu panował spokój, lecz także chłód, gdyż nie rozpalono jeszcze w kominkach. Bella nie zdjęła więc płaszcza, lecz weszła ciepło ubrana do skryptorium. Położyła na stole arkusz papieru i sprawdziła pióro. Otworzyła kałamarz i przekonała się, że jest pusty.

Czyżby zarzucono ręczne przepisywanie i biuletyn był w całości drukowany? Znalazła atrament, przelała go do kałamarza i zaczęła pisać.

Nie musiała się spieszyć, przerywała więc często, aby się zastanowić. Ile potrwa, nim się upewni, że kobietom nic nie grozi? Dokąd powinna się przeprowadzić? I co zrobić ze swoim życiem?

Marcowy zając. To prawda, musi bardzo uważać, żeby nie wskoczyć znowu na łeb na szyję w niebezpieczeństwo. Jej żądza przygód przygasła nieco podczas lat spędzonych w Carscourt. Przez jakiś czas wydawało jej się nawet, że opuściła dom rodzinny jako dojrzała, rozsądna kobieta.

Lecz kiedy wspomniała ostatnie przygody, musiała przyznać, że oszalały marcowy zając, którego w sobie nosiła, ma się doskonale. Podejrzywała, iż oznacza to, że powinna znaleźć sobie pracę. Nie dla pieniędzy, ponieważ zajęcia dostępne dla kobiet były nudne i kiepsko płatne, ale by zając czymś umysł i wypełnić czas. Nie była jednak w stanie wyobrazić sobie, co by to mogło być takiego. Może powinna zapomnieć o swoim pochodzeniu i zostać oberżystką, jak rzekoma ciotka Thorna?

Otrząsnęła się ze wspomnień, lecz kiedy spojrzała na arkusz, przekonała się, że napisała **Thorn**. A właściwie, ponieważ nie zanurzyła pióra w kałamarzu, na kartce widniało jedynie **Tho...** Nie mogło być jednak wątpliwości, co to za słowo.

- Och, Bellono! Co robisz u nas tak wcześnie, że nie rozpalono jeszcze w kominku?

To była Clara Ormond, spowita w liczne szale.

- Przyniosę trochę gorących węgli - powiedziała, po czym pospiesznie wyszła. Wróciła z wiadrem i wyrzuciła jego zawartość na podpałkę. Wkrótce płomienie zaczęły lizać węgle ułożone poprzedniego wieczoru.

Drewno dałoby przyjemniejszy zapach, nie było go jednak na tyle dużo, by ogrzać wszystkie domy w mieście,

powinna być zatem wdzięczna za węgiel, choć tak okropnie zanieczyszczał powietrze.

Czy bycie praktycznym oznacza godzenie się na kompromisy i brud?

- Jest ogień - powiedziała Clara. - Miły i radosny. Lubię być użyteczna. - Uśmiechała się, w jej oczach widać było jednak, jak zawsze, niepokój. - Co przepisujesz?

Bella wymazała pospiesznie zdradzieckie słowo.

- Opisuję podróż. Słyszałam o kilku sprawach, które nadałyby się do biuletynu.

- Och, już tego nie robimy. Lady Fowler skupiła całą uwagę na gazetce, a artykuły pisze Helena Drummond. Martwię się - dodała. - Czy teraz, gdy nie ma z nas pożytku, *lady* pozwoli nam zostać?

Bella poczuła przyływ współczucia.

- Wątpię, by szybko zaszły tu jakieś zmiany.

- Zapewne masz rację.

Obie pomyślały o zbliżającej się nieuchronnie chwili, gdy lady Fowler umrze.

- A gdybyś musiała stąd odejść - spytała Bella - dokąd byś się udała?

Clara usiadła przygnębiona.

- Do przytułku - zatkąła.

Bella podeszła i objęła starszą kobietę. - Och, nic podobnego. Masz zapewne jakąś rodzinę. Clara potrząsnęła głową.

- Nie, żadnej. Miałam tylko jednego brata i jedną siostrę. Drogi Algernon pracował jako urzędnik w kantorze kupieckim, utonął jednak podczas podróży do Francji. Droga Sara była guwernantką, a teraz żyje na łasce jednego z byłych podopiecznych. Z pewnością by mnie tam nie chcieli. Sara zawsze pogardzała mną za to, że wyszłam za mąż, tym bardziej że byłam szczęśliwa. Och, to takie straszne, zostać samą na starość.

Bella przytuliła kobietę mocniej i powiedziała jedyną rzecz, którą powiedzieć mogła:

- Nie dopuszczę, żebyś musiała iść do przytułku, Cla-ro. Jeśli okaże się to konieczne, będziesz mogła zamieszkać ze mną.

Clara podniosła na nią zapłakane oczy.

- Mówisz poważnie? To prawda? - Łzy popłynęły znowu, zwilżając pomarszczone policzki. - Och, Bellono! Jesteś najlepszą z kobiet. Świętą!

- Ależ skąd. Nie wspominaj o tym, proszę, pozostałym. Nie mogę przygarnąć wszystkich.

- Rozumiem - wyszeptała Clara. - Dochowam tajemnicy.

Tylko że Clara nie była w stanie zachować niczego w tajemnicy. Poza tym, gdy pozostałe spostrzegą, że nastrój towarzyszki się poprawił, natychmiast zasypią ją pytaniami. Bella nie miała jednak dość miejsca, by przyjąć pod swój dach całe stadko, nie wspominając już o środkach na ich utrzymanie.

Poza tym chciała zostać wreszcie Bellą Barstowe.

Co, u licha, powinna teraz zrobić?

Na domiar złego, gdy zeszła do pokoju z prasą, drzwi były co prawda otwarte, arkusze jednak zabrano.

Prasa była wyłączona, a składacz jeszcze się nie pojawił. Niebezpieczne wydruki zniknęły.

Spojrzała na prasę, zastanawiając się gorączkowo, jak by tu ją uszkodzić, urządzenie wydawało się jednak bardzo solidne. Musiałaby użyć siekiery. Było tak, jak zawsze się tego obawiała: nie potrafiła z niczym sobie poradzić.



## Rozdział 27

Obiecała być na ślubie Kitty i Annie, a ponieważ nie mogła wyjechać do tego czasu z Londynu, odwiedzała codziennie dom lady Fowler, próbując coś wymyślić. Udało jej się wejść raz do pokoju umierającej, biedna kobieta postradała jednak do reszty zmysły. Odtąd zadowalała się wypytywaniem o stan zdrowia chorej Agnes, przynajmniej w tych rzadkich chwilach, gdy wierna pokojówka odchodziła od łóżka swej pani.

Clara próbowała dochować tajemnicy, nic z tego jednak nie wyszło i kilka innych pań zwróciło się do Belli z błagalną prośbą o pomoc. Wyraziła zgodę, a w jej głowie zarysował się ponury obraz przyszłości. Przy takiej liczbie domowników, pieniędzy wystarczyłoby jedynie na najprostsze jedzenie i węgiel. Powoli członkinie stadka zaczęły opuszczać dom lady Fowler, doszedłszy do wniosku, że lepiej zdać się na łaskę rodziny niż zostać w domu przesiąkniętym odorem śmierci i niegwarantującym bezpieczeństwa.

W końcu zostało ich już tylko osiem: siostry Drummond i ich popieczniczki: Betsy Abercrombie oraz Ellen Spencer. A także Bella i te, które mogła uznać za swoje stronniczki: Mary Evesham, Clara Ormond oraz, co dziwne, Hortensja Sprott. Bella sądziła dotąd, że Hortensja jej nie lubi, teraz uznała jednak, że kobieta sprawia wrażenie, jakby nie darzyła sympatią nikogo.

Prace nad gazetką postępowały, lecz składacz miał teraz pomocnika, niemiłego młodego Irlandczyka, który, jak uznała Bella, pełnił zapewne funkcję strażnika. Sądząc po pełnym samozadowolenia uśmiešku Olivii, młodzieńca sprowadzono po to, by strzegł prasy przed Bellą.

Tylko co na niej drukowano?

Gotowe arkusze natychmiast znikwały. Bella podejrzewała, że ukrywano je w sypialni lady Fowler, były jednak tak duże, że nie dałoby się wynieść ich niepostrzeżenie. Czerpała pewną pociechę z faktu, że na razie gazetka się nie ukazała, wisiało to jednak nad domem niczym miecz Damoklesa.

Wesele Kitty i Annie także się odwlekalo. Gdy minął październik, Bella wezwała do siebie siostry i zażądała, aby podały jej datę ślubu.

Dziewczęta wymieniły spojrzenia.

- Na razie nie byłoby to dla nas zbyt dogodne, proszę pani - powiedziała Kitty. - Mamy nadzieję, że zwłoka pani nie przeszkadza.

- Dlaczego nie byłoby dogodne? Kolejna wymiana spojrzeń.

- Nie jesteśmy pewne, czy podoba nam się dom! - rzuciła wreszcie Annie.

- Dwa tygodnie temu uznałyście, że jest doskonały.

- Trochę tam ciemno - powiedziała Annie. - Rozglądamy się za innym.

Bella westchnęła.

- Zwlekacie z uwagi na mnie? Dziewczęta spuściły wzrok.

- Nie chcemy pani opuścić - przyznała Kitty.

- Jakżebyśmy mogły! - krzyknęła Annie, spoglądając na Bellę ze Izami w oczach. - Po wszystkim, co pani dla nas zrobiła. Dlaczego nie wyjeżdża pani z Londynu, jak powiedziała?

- Cicho bądź, Annie! - złąła siostrę Kitty. - Przepraszam. Proszę się nie spieszyć.

Bella podniosła wzrok, zastanawiając się intensywnie. Nie chciała opuszczać teraz reszty stadka, ale nie mogła wstrzymać w nieskończoność ślubu.

- Dwa tygodnie - powiedziała głosem Bellony. - Wyznaczcie datę za dwa tygodnie i żadnego więcej odkładania. Damy sobie z Peg radę. Słyszałyście?

- Tak, proszę pani - wymamrotały niechętnie. Bella podeszła i je objęła.

- Jesteście kochane i dobrze mi służyłyście. Chcę, żebyście były szczęśliwe. Obiecujcie, że wyjdziecie za mąż za dwa tygodnie i będziecie szczęśliwe.

Dziewczęta uśmiechnęły się i spłonęły rumieńcem.

- O, na pewno będziemy, proszę pani - zapewniła Belle Kitty.

Odesłała je i zaczęła się zastanawiać. Wreszcie dostrzegła rozwiązanie. Dom miał jedynie trzy sypialnie. Jedną zajmowała ona, drugą Peg, a trzecią siostry. Kiedy dziewczęta się wyprowadzą, Clara i Hortensja będą mogły zająć ich pokój, a Mary będzie dzieliła łóżko z Bellą.

Będzie im ciasno, lecz dadzą radę, a ona zerwie wreszcie z lady Fowler. Czuła, że nad domem gromadzą się chmury, poza tym i tak nie robiła tam nic użytecznego. Przychodziła jedynie po to, by wesprzeć kobiety, które szukały u niej pomocy. Siostry Drummond oraz ich popieczniczki będą musiały same zatroszczyć się o siebie.

Ślub był prostą ceremonią, przepełnioną jednak szczęściem. Kitty i Annie zaprosiły starych przyjaciół z czasów, kiedy mieszkały z ojcem i nowych, których poznały, pracując dla Belli. Jeśli dodać do tego rodzinę oraz przyjaciół dwójki braci, w domu Belli zasiadło do ślubnego śniadania ponad dwudziestu gości.

Bella cieszyła się szczęściem sióstr, lecz trudno jej było zatrzymać na twarzy uśmiech. Wesele przypomniało jej o tym, co było dla niej nieosiągalne.

Próbowała nie myśleć o Thornie, lecz ból narastał, miast osłabnąć. Co dzień walczyła z pokusą, aby pojechać do Dover i go odszukać. Nie była w stanie się powstrzymać, żeby nie czytać książek o statkach i nawigacji. Ćwiczyła nawet wiązanie węzłów.

Byłaby dla kapitana dobrą żoną, wiedziała o tym. Czekałaby cierpliwie podczas długich rejsów i stwarzała mu przytulny dom, gdy jego statek zawijałby do portu.

Thorn najwidoczniej tak nie uważał, nie będzie więc znowu się za nim uganiać. Nie będzie.

Lecz kiedy myślała o przeprowadzce do miejsca, w którym on nigdy nie był, kusiło ją, by podać mu nowy adres. Powiedział, dokąd mogłaby wysłać wiadomość: gospoda Pod Czarnym Łabędziem, Stowting, Kent. Czyż nie byłoby uprzejmie wysłać tam list, powiadomić o nowym miejscu zamieszkania? Po prostu na wypadek, gdyby musiał kiedyś ją odnaleźć.

Głupota, mimo to nie była w stanie oprzeć się tego rodzaju myślom, zwłaszcza gdy wyprawiała Kitty i Annie na nową drogę życia. W noc po weselu nie mogła powstrzymać się, aby nie myśleć o ich małżeńskim łożu. Miała nadzieję, że świeżo poślubieni małżonkowie okażą się delikatni i zaznajomią panny młode z cudami, jakie pokazał jej Thorn.

Bez dziewcząt dom wydawał się pusty, wiedziała jednak, że wkrótce go zapełni. Lecz nim zdążyła cokolwiek przedsięwziąć, otrzymała wiadomość, że pan Clatterford jest w Londynie i chciałby się z nią spotkać. Natychmiast zaprosiła go na herbatę i z przyjemnością przeobraziła się z tej okazji w Bellę. Włożyła śliczną suknię w deseń z gałązek i prawnik uznał, iż zarzuciła występowanie w roli Bellony Flint.

- Wielce mi ulżyło, moja droga. To, co usłyszałem ostatnio o lady Fowler bardzo mnie zmartwiło. Smutna sprawa. Lord Fowler był... - Potrząsnął głową. - Tak czy inaczej, mogła wplątać się w niebezpieczną intrygę. Otrzymałem ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie?

Lecz prawnik potrząsnął jedynie głową.

- Bardzo zawołowane. Przekazano mi je, kiedy wspomniałem, że jesteś z damą zaprzyjaźniona. Ale już chyba tam nie bywasz?

Bella najchętniej by skłamała, lecz miała już wyżej uszu oszukiwania. Uznała jednak, że lepiej nie wspominać, iż postanowiła przygarnąć pod swój dach byłe towarzyszkę lady Fowler.

- Zamierzam się pożegnać, gdy będę się przeprowadzała. Nie wiem tylko, gdzie mogłabym żyć spokojnie.

- A teraz doszedł jeszcze ten skandal z zachowaniem twojego brata - powiedział potrząsając głową. - Na pewno o tym słyszałaś... Sprawa godna pożałowania... Doprawdy godna pożałowania. I wielce niesmaczna.

Bella poczuła, że się rumieni. Miała nadzieję, że prawnik uzna to za przejaw gniewu albo zażenowania.

- Peg słyszała plotki. Ktoś napisał do niej z Cars Green. Trudno uwierzyć.

- Ale to prawda, moja droga. Wiem z bardzo wiarygodnego źródła. Co za szok. Sir Augustus zawsze wydawał się taki... Kto by pomyślał... - Potrząsnął znów głową. - Oczywiście, tak smakowita historia, na dodatek tycząca się urzędników magistrackich, musiała się rozejść.

Bella miała nadzieję, że plotki ograniczą się do najbliższej okolicy Carscourt, lecz skoro Peg otrzymała wieści z Cars Green, stało się oczywiste, że opowieść o wyczynach Augustusa zatoczyła szerszy krąg. - Nie sądzę, żeby czyniło to jakąś różnicę. - Westchnęła. - Po prostu kolejny skandal w rodzinie.

Prawniki odstawił filiżankę.

- Zastanawiałem się poważnie nad twoim położeniem, moja droga. Ojciec nie starał się wyciszyć skandalu, gdyż był człowiekiem o stanowczym i nieprzebaczającym charakterze. Zważywszy wszakże, jak nieskazitelne było ostatnio twoje zachowanie, wielu zwątpiłoby zapew-

ne w prawdziwość tamtej historii. Wystarczyłoby trochę ich do tego zachęcić.

- Moje zachowanie było nieskazitelne, ponieważ mnie więziono. A potem stałam się Belloną.

- Zapomnijmy o Bellonie Flint. Prowadziłaś po prostu przez ostatnie pół roku bardzo spokojne życie, starając się odzyskać zdrowie i dobre samopoczucie.

- Czy ludzie w to uwierzą?

- Jeśli nie będą mieli powodu, by sądzić inaczej, czemu nie? Nie zachowałam się niestosownie, ani nie wywołałam skandalu tuż pod nosem tych, którzy się liczą.

Bella wspomniała Maskaradę Olimpijską, a potem wizytę w gospodzie Pod Jeleniem i Zającem. Lecz nikt nie wiedział, że była tam Bella Barstowe.

- Większość z tych, którzy naprawdę się liczą, nigdy o tobie nie słyszała - kontynuował tymczasem prawnik.

- Słyszeli jednak zapewne o Augustusie - zauważyła.

- Dadzą się przekonać, iż trzeba raczej ci współczuć, aniżeli pozwolić, by przyłgął do ciebie ten brud. Zmarszczyła brwi.

- Tak pan sądzi?

- Nie oszukiwałbym cię, moja droga. Zwłaszcza w takiej sprawie. Lady Raddall wróciłyby z zaświatów, żeby mnie prześladować. Naprawdę uważam, że gdybyś zaprezentowała się znów towarzystwu - pod opieką odpowiedniej damy - zostałabyś zaakceptowana.

- Czy to możliwe? - spytała, bojąc się mieć nadzieję.

- Oczywiście wymagałoby to odwagi oraz śmiałości, tych jednak przecież ci nie brakuje. To właśnie odwaga pomogła ci uratować przed laty cnotę i życie.

- Peg Gussage mówi, że jestem jak zajac w marcu.

- Doprawdy? Chętnie zobaczyłbym, jak podskakujesz wesoło na łące. - Poczestował się ciastem. - Pyszne. Pani Gussage to skarb.

- Owszem - zgodziła się Bella, a potem spytała, wracając do tematu: - Lecz która dama zechciałaby wziąć mnie pod swoje skrzydła? Myślał pan o Athenie? Jej mąż nigdy by na to nie pozwolił.

- Nawet gdyby zechciała ci pomóc, nie ma wystarczającej pozycji. Wspomniałem już dyskretnie o sprawie kilku znajomym damom.

- Ach tak. Którym?

Prawnik uśmiechnął się z zadowoleniem, a może tylko tak się Belli zdawało.

- Siostrze Trayce. Mieszkają w Wells i znają twoją prababkę. - Tak, z jakiegoś powodu wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

- Trayce. Lady Raddall chyba o nich wspominała, odniosłam jednak wrażenie, że są trochę dziwne. Jedna nosi wielką czerwoną perukę, a druga jest zbzikowana?

- Twoją prababkę też wielu uważało za dziwaczkę - zauważył pan Clatterford. - Siostry są ekscentryczne, to rzecz pewna, lecz nie na tyle, aby stawiało je to poza nawiasem. Przeciwnie. Są ciotkami markizów Ashart i Rothgar i choć rzadko podróżują - prawdę mówiąc, nie wychylają prawie nosa z Wells - uwielbiają korespondować. Są też niezwykle wpływowe.

- Lecz skoro nie udzielają się towarzysko, na co mogłyby mi się przydać?

- Jeden ich uśmiech mógłby sprawić cud.

- Naprawdę? - Wszystko to brzmiało nieprawdopodobnie, choć nazwisko siostr z czymś się Belli kojarzyło. A potem ją olśniło. - Trayce! Są na liście prenumerujących biuletyn lady Fowler! Czy to kobiety jej pokroju?

Pan Clatterford się roześmiał.

- Nic podobnego. Lecz wcale nie jestem zaskoczony tym, czego się właśnie dowiedziałem. Potrafią docenić smakowitą plotkę. Zdajesz sobie chyba sprawę, że wiele spośród osób, prenumerujących biuletyn robi to dla czystej rozrywki?

- Teraz już tak. Biedna lady Fowler.

- Nie zdaje sobie z tego sprawy?

- Ostatnio nie zdaje już sobie chyba sprawy z niczego, zwykła jednak uważać, iż fakt, że jej biuletyn zyskuje coraz większą popularność, to dowód, że świat zmienia się na lepsze.

Prawnik potrząsnął głową.

- Smutna sprawa, wierzę jednak, iż twoje położenie może zmienić się bardzo na korzyść. Zechciałabyś przeprowadzić się do Tunbridge Wells? Zamieszkać przez jakiś czas z siostrami Trayce? Byłabyś damą do towarzystwa, lecz traktowano by cię jak gościa.

Bella wolałaby odmówić. Postanowiła przecież, że sama da sobie radę. Lecz perspektywa bezpiecznego schronienia była niezwykle kusząca. Mogłaby zamieszkać w Wells na jakiś czas i odzyskać dobre imię.

Poczuła, że budzi się w niej nadzieja.

Zdusiła ją, by znów się nie rozczarować.

- A co z Peg? - spytała. - Mamy też chłopca do pomocy, Eda Grange'a.

- Ach tak. Raczej nie mogłabyś zabrać ich do nowego domu, nie wolno jednak stracić z oczu kogoś takiego jak pani Gussage. Piecze cudowne ciasta.

Bella się uśmiechnęła.

- Jestem pewna, że chętnie upiecze coś dla pana, ilekroć przybędzie pan z wizytą. - Zastanawiała się przez chwilę. - Stać by mnie było, żeby zatrzymać ten dom, prawda?

- Gdybyś zechciała.

Nie wspomniała o towarzyszkach lady Fowler, przyszło jej wszakże do głowy, że mogłaby oddać im dom i uciec z czystym sumieniem do Wells.

- Zatem Peg i Ed mogliby zostać tu przez jakiś czas. Cóż, jeśli panie Trayce zechcą mnie gościć, pojedę.

- Doskonale. Jeśli spędzisz u nich kilka miesięcy, każde drzwi staną przed tobą otworem. Wszyscy, którzy się liczą, odwiedzają ich dom, przebywając w okolicy. Lady Thalia i lady Urania bywają też od czasu do czasu w mieście. Kiedy ludzie zaakceptują fakt, że mieszkasz u sióstr



Trayce, będą musieli zaakceptować cię w każdym innym miejscu i szybko przekonają się, że jesteś godną szacunku młodą damą. Bella uniosła brwi.

- Nie zaprzeczaj. Jesteś godna szacunku. W Wells bywa też wielu odpowiednich młodzieńców - dodał z błyskiem w oku. - Pora, byś pomyślała o małżeństwie.

Bella znowu oblała się rumieńcem.

- Myślę - odparła szczerze. - Lecz wyjdę za mąż jedynie z miłości.

- Miłości, której towarzyszyć będzie rozsądek - poradził. - Proszę, nie zachowaj się w tych kwestiach jak marcowy zając. Poradź się mnie, nim przyjmiesz oświadczyzny. Po świecie chodzi wielu uroczych łajdaków, a ty dysponujesz niewielką fortunką.

- Skromnym dochodem.

- Tylko póki nie ukończysz trzydziestu lat. Potem otrzymasz cały spadek.

- Doprawdy? - spytała Bella zaskoczona. - Może wspomniał pan o tym wtedy w Carscourt, lecz byłam zbyt oszołomiona. Jak pan sądzi, ile wyniesie spadek?

- Około piętnastu tysięcy, gdyż twoja pensja wypłacana jest z odsetek. Wystarczy, by zwabić cierpliwego szakala. Nim wyjdiesz za mąż, trzeba więc będzie poczynić niezbędne ustalenia.

Piętnaście tysięcy pozostające do jej wyłącznej dyspozycji. Cudowne, a zarazem przerażające.

- Obiecuję, panie Clatterford, że będę bardzo rozsądna.

Łatwo powiedzieć, zwłaszcza że i tak nie potrafiła sobie wyobrazić, iż mogłaby poślubić kogoś innego niż Thorn.

- Wracam za trzy dni do Wells. Będziesz mogła pojechać ze mną?

Pomyślała, że trzeba wyjaśnić sytuację Peg i zorganizować wszystko tak, by dostawała pieniądze na utrzymanie domu. A potem pomóc kobietom w przeprowadzce.

- Muszę załatwić kilka spraw.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię w roli młodej, modnej damy, przyjmowanej w towarzystwie, tańczącej na balach. Uczestniczącej w maskaradach...

Bella o mało nie podskoczyła na krześle, opanowała się jednak i uśmiechnęła.

- Brzmi cudownie.

- To jak, pojedziesz?

- Tak. Za trzy dni - odparła, poddając się impulsowi. Pan Clatterford pomógł jej załatwić formalności, przygotowała też dom na przybycie pań. Wprowadzą się, gdy Bella wyjedzie. Miała teraz do dyspozycji dodatkowy pokój, zatrudniła więc dwie pokojówki. Dziewczeta nie były tak sprawne i bystre jak Kitty i Annie, lecz pracowały dobrze.

Nie odwiedzała przez kilka dni lady Fowler pod pretekstem choroby, gdyż i tak nie mogła nic zrobić. Została w domu, przygotowując pokoje i przerabiając swoje suknie. A wszystko to jako Bella, nie Bellona. Czuła się cudownie.

O siódmej wieczorem w dniu poprzedzającym wyjazd zapukano nagle do drzwi. Pakowała właśnie ostatnie drobiazgi, podeszła jednak do okna i zobaczyła, że gościem jest kobieta. Sądząc po kapeluszu, Mary Evesham. Zbiegła szybko po schodach, chwyciła Peg za ramię i poleciała szeptem:

- Powiedz, że nie ma mnie w domu. Peg otworzyła drzwi.

- Tak, proszę pani?

- Muszę widzieć się z panną Flint.

- Przykro mi, pani nie ma.

- Jak to? Myślałam, że jest chora?

- Poszła do lekarza - odparła Peg.

- O tej porze?

Bella przestraszyła się, że Peg nie wytrzyma przepytywania i z czymś się zdradzi, nie doceniła jednak gospodyni.

- Mogę przyjąć wiadomość, *madame*, i przekazać pani, kiedy wróci - usłyszała.

Po chwili Mary powiedziała:

- Doskonale. Proszę jej powiedzieć, że to pilne. Czy mogłaby przyjść do lady Fowler, jeśli będzie się czuła na siłach? Sprawy przybrały ponury obrót.

- Przykro mi to słyszeć, *madame*. Przekażę wiadomość.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Mary, zeszła na dół. -1 co ja mam zrobić?

- Zignorować wiadomość - poradziła jej Peg. - Zrobiła pani, co mogła, a jutro damy, którym chce pani pomóc, będą już tutaj, bezpieczne i zadowolone.

- Wydawała się zdenerwowana.

- Proszę dać sobie z nimi spokój, panienko. Ma pani swoje życie.

Bella westchnęła.

- Wiesz, że nie potrafię tak po prostu uciec. Przebiorę się za Bellonę i pójdę tam po raz ostatni.

Peg westchnęła, potrząsając głową.

- Zrobi panienka, co zechce. Jak zawsze.

- Sprawdzę tylko, co się dzieje.

- Namówię panienkę, żeby została i dalej im pomagała.

- Nie, obiecuję. Przysięgam. Jutro wyjeżdżam. Ku Tunbridge i lepszej przyszłości.

\*\*\*

Zbliżała się do domu lady Fowler z kamienną twarzą. Jeśli to kolejna burza w szklance wody, natrze im nieźle uszu.

Nacisnęła klamkę, drzwi były jednak zamknięte. Zapukała.

Uchyliły się na tyle jedynie, by mogła zobaczyć zaniepokojone oko, a potem otwarły się na oścież. -

Och, Bellono! Dzięki Bogu, wróciłaś!

Była to Betsy Abercrombie, jedna ze stroniczek sióstr Drummond. Nos miała bardziej niż zwykle zaczerwieniony i wyglądała, jakby płakała.

Bella weszła i natychmiast otoczyły ją panie. Napływały z pomieszczeń, których drzwi prowadziły do holu.

- Co się dzieje?

- Och, Bellono! - Betsy zaczęła znowu płakać. Clara i Ellen Spencer ochoczo się przyłączyły. Nigdzie nie widać było sióstr Drummond. Bellę kusilo, żeby odwrócić się i wyjść, lecz zamiast tego uciekła się do uniwersalnego panaceum. - Herbata! - poleciła. - Napijemy się i porozmawiamy o sytuacji.

Zaczęły opowiadać, zanim zdążyła usiąść. Lady Fowler była w agonii, pielęgnowana jedynie przez Agnes Hoover. Kilka pań twierdziło, że chciały pomóc, lecz ta duchota, ten zapach...

- Co mówi lekarz? - spytała Bella.

- Ona nie chce lekarza - powiedziała Mary. - Krzyczy, kiedy dotyka jej mężczyzna. Agnes podaje jej laudanum. - Pewnie i tak nic więcej nie da się zrobić. - Bella współczuła kobiecie, choć lady Fowler przetrwała dłużej, niż wydawało się to możliwe.

Przyniesiono herbatę. Panie zajęły się nalewaniem i trochę się uspokoiły. Gdy każda trzymała już w dłoni filiżankę, Bella spytała:

- Gdzie siostry Drummond? Filiżanki zagrzechotały.

- Nie ma ich! - oznajmiła Betsy.

- Uciekły! - wykrzyknęła Hortensja.

- Ukradły srebra!

- Zostawiły nas własnemu losowi!

- Dlaczego? - spytała stanowczo Bella.

W pokoju zapanowała cisza. Panie spojrzały po sobie niepewnie.

W końcu odezwała się Mary.

- Sądzymy, że rozproszdziły już gazetkę.

- I poruszyły w niej też inne sprawy - dodała Hortensja.

- Jakie sprawy? - spytała, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Irlandzkie.

Tego się właśnie obawiała. Upiła solidny łyk herbaty, zadowolona, że dodała do niej tak dużo cukru.

- Od początku interesowała je głównie Irlandia. Czy któraś widziała, co było w gazetce? - Spojrzała wprost na Betsy.

- Tylko wzmianki - odparła Betsy, unikając wzroku Belli. - Dodatek do listy tyranów oraz przejawów ucisku ze strony mężczyzn.

Bella nadal się w nią wpatrywała.

- Ostatnio było to coś więcej niż wzmianki. Bella spojrzała na szóstkę kobiet.

- Dlaczego żadna z was ich nie powstrzymała?

- Jak miałyśmy to zrobić? - zabczała Ellen Spencer. Wyglądała, jakby spodziewała się, że za chwilę u drzwi stanie kat.

Miała jednak rację. Bella też unikała domu lady Fowler głównie dlatego, żeby nie stawiać czoła siostrze, a przecież była silniejsza i bardziej odważna niż pozostałe.

- Skoro zniknęły - powiedziała - najgorsze mamy chyba za sobą.

Kobiety nadal unikały jej wzroku.

- Mówcie - poleciła, wzdychając.

Mary wyjęła złożony na czworo arkusz papieru.

- Otrzymałyśmy to przed godziną. Bella rozłożyła arkusz i przeczytała:

***Ostrzegam, że wasze działania zwróciły uwagę władz. Uciekajcie, póki możecie.***

Pod listem nie było podpisu. Przełknęła ślinę.

- To może być przejaw paniki. Lub jakiś podstęp. Nawet ze strony sióstr Drummond. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Och - westchnęła Betsy i nieco się rozpogodziła.

- Możliwe - przytaknęła Mary. Nie wyglądała jednak na przekonaną.

Przeciwnie niż pozostałe. Piły herbatę i jadły ciasto z większym entuzjazmem, uznawszy widać, że kryzys minął.

Bella zastanawiała się tymczasem, jak rozwiązać kolejny problem. Stadko było teraz zbyt liczne, by mogła przyjąć je pod swój dach. Czy mogłyby zostać tutaj? Gdy-byż tylko znała ostatnią wolę lady Fowler!

- Panie - powiedziała.

Kobiety spojrzały na nią, niektóre zniecierpliwione, inne znów zaniepokojone.

- Czy prasa nadal jest w domu?

- Tak, oczywiście - odparła Mary.

- Rozsądnie byłoby się jej pozbyć. Jutro, jeśli to możliwe.

- Ale jest bardzo użyteczna, możemy drukować na niej wiele egzemplarzy biuletynu.

- Kiedy lady Fowler umrze, nie będzie już biuletynu. Hortensja uniosła wyżej głowę.

- Planowałam kontynuować dzieło. Uświadamiać kobietom, jak podli bywają mężczyźni, a także wysuwać postulaty zmian w prawie.

Choć serce miała po właściwej stronie, Bella wiedziała, że cokolwiek Hortensja napisze, będzie to po prostu bombastyczna tyrada.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, Hortensjo, nie sądzisz jednak, że pisanie w imieniu lady Fowler byłoby nadużyciem?

- Lady Folwer chciałaby, żeby jej dzieło było kontynuowane. Jestem pewna, że pomyślała o tym, sporządzając testament.

Twarz Clary pojaśniała.

- Sądzisz, że mogłybyśmy dalej tu mieszkać?

- Dlaczego nie? - odparła Hortensja, która wyraźnie postrzegała już siebie jako autorkę artykułów i przywódczynię stadka. - Sygnowanie biuletynu nazwiskiem lady Folwer byłoby rzeczywiście niestosowne. Będziemy musiały znaleźć inną nazwę.

Zaczęły paplać podekscytowane, jedna przez drugą. Bella miała ochotę złapać się za głowę i wrzasnąć. Zapomniały o ostrzeżeniu? Starła się uśmierzyć trochę ich niepokój, lecz nie usunąć go zupełnie.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi.

- Kto to może być? - spytała Mary. Wstała i poszła otworzyć.

Wróciła blada jak płótno, prowadząc dżentelmena o stanowczym wyrazie twarzy. Za nim postępowało kilku innych mężczyzn. Niektórzy zachowywali powagę, lecz inni uśmiechali się złośliwie.

- Ja... chyba jesteśmy aresztowane - powiedziała drżącym głosem Mary.

## Rozdział 28

Thorn jadł śniadanie, gdy lokaj przyniósł wiadomość.

- Pewien dżentelmen pilnie chce się z panem widzieć. Poprosił, abym doręczył panu ten list.

Thorn wziął pismo, zaskoczony. Petenci nie byli zazwyczaj traktowani z podobną atencją. A potem zobaczył pieczęć.

Lecz nie, nikt ze służby nie kazałby czekać Rothgarowi w pokoju przyjąć. Otworzył list.

***Wybacz, Ithorne,***

***Obawiam się jednak, że jestem zmuszony obarczyć Cię pewną misją, ponieważ muszę wyjechać dziś z miasta w sprawach niecierpiących zwłoki. Potrzebuję twojej pomocy. Wysyłam sekretarza, Carruthersa, żeby wyjaśnił sytuację, gdyż jest ona cokolwiek delikatna***

***Rothgar***

Rothgar prosił go o pomoc? To oznaka zwycięstwa czy subtelna intryga?

- Wprowadź pana Carruthersa - polecił.

Mężczyzna, który wszedł do pokoju za lokajem był dobrze ubrany i miał około pięćdziesięciu lat.

Skłonił się, a Thorn pomyślał, że potrafiłby bez problemu znaleźć



się na dworze. Rozpoznał w nim drugiego Overstone'a - błyskotliwego, sprawnego i wykształconego. Wskazał sekretarzowi krzesło i zaoferował poczęstunek. Ten jednak odmówił.

- Doskonale. Proszę wyjaśnić, z czym pan przychodzi. Carruthers skrzywił się.

- Chodzi o panią Spencer, sir, Ellen Spencer, która mieszka obecnie u lady Fowler. Słyszał pan zapewne o obu tych damach.

Thorn postarał się nie okazać zaskoczenia. Chodziło o Ellen Spencer. Po skandalu podczas Maskarady Olimpijskiej, kiedy to Christian zaprezentował towarzystwu

- w sposób mocno niefortunny - swoją żonę Caro, próbowano pozbawić go życia.

Długoletnia guwernantka, a potem towarzyszką Caro

- rzeczona Ellen Spencer - postanowiła uwolnić podopieczną z okowów małżeństwa zawartego, jak sądziła, pod przymusem. Nie należy się chyba dziwić, że Ellen Spencer była też gorącą admiratorką nieszczęsnej lady Fowler i właśnie to skłoniło ją, by spróbowała otruć Christiana, podając mu ciasteczka z naparstnicą.

Żalosa próba, z góry skazana na niepowodzenie, mimo to wolałby widzieć pannę Spencer zamkniętą bezpiecznie w zakładzie dla obłąkanych. Lecz Caro o czułym sercu załatwiła jej miejsce w domu lady Fowler. Być może była to dla tej ostatniej wystarczająca kara, gdyż Rothgar uczynił na dodatek lady odpowiedzialną za to, by Ellen Spencer nie przysparzała w przyszłości kłopotów.

Tylko co miało to wspólnego z obecną sytuacją?

- Słyszałem o obu paniach - powiedział, podnosząc do ust filiżankę - choć zaskoczyło mnie nieco, że zostały mi zaserwowane podczas śniadania. Co zrobiła tym razem Ellen Spencer?

- Została aresztowana i oskarżona o zdradę. Thorn odstawił filiżankę.

- Jak jej się to, na Boga, udało?

- Poprzez związek z lady Fowler, która nabyła prasę drukarską. Niebezpieczny element wyposażenia, jak udowodnił nam pan Wilkes.
- Biuletyn lady Fowler opisuje jedynie skandale, dostarczając rozrywki. Co ujawniły? Grzeszki kogoś z rodziny królewskiej?
- Niestety, nie, *sir*. - Carruthers zdawał się dobrze bawić. - Wydrukowały i rozpowszechniły odezwę, skierowaną do kobiet i nawołującą, aby powstały, obaliły monarchię i proklamowały nową republikę. Thorn uczynił stosownie dramatyczny gest, zasłaniając dłonią twarz i zerkając na Carruthersa przez palce. Śmiać się czy kłać? W czasach poprzedniej Rzeczypospolitej ścięto królowi głowę, zatem wezwanie do kolejnej rewolucji musiało sprawić, że król się zapienił. Może nawet dosłownie. Zważywszy na sytuację w koloniach, niepokoje w kraju musiały zostać w zarodku stłumione. Wszystko to nie było ani trochę zabawne.
- Zupełnie zwariowała - powiedział. - Ostrzegałem, że tak się stanie.
- Nie sądzę, by madame Spencer odegrała tu rolę przywódcy, *sir*. Były tam dwie kobiety nazwiskiem Drum-mond, dobrze znane w Irlandii. - Wyjął z kieszeni gazetkę i podał Thornowi. - Na pozór chodzi jedynie o prawa kobiet, lecz tak naprawdę opisują sytuację w Irlandii.
- A to już z pewnością zdrada - zauważył Thorn, przeglądając prymitywny wydruk. - Francja tylko czeka, żeby posłużyć się Irlandią i wywołać niepokoje.
- W tę pułapkę złapało się kilka niewiast. Niemal na pewno zostały oszukane, lecz prawo przeżuwa czasami wszystkich, którzy dostaną się pomiędzy jego szczęki. Lord Rothgar spodziewa się, że potrafi pan jakoś wyciągnąć z tego pannę Spencer.
- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał Thorn wprost, odkładając wydruk.
- Głównie dlatego, że jest niewinna, lecz także dlatego, że to markiz dopomógł w umieszczeniu jej u lady

Fowler. Wówczas wydawało się to dobrym rozwiązaniem, a także skuteczną karą dla obu kobiet. Jak pan bez wątpienia wie, lady Fowler piętnowała markiza i jego córkę w swoich biuletynach.

- Kolejny dowód na to, że jest szalona.
- Zdecydowanie, proszę pana. Markiz uważa wszakże, iż każdy powinien odpowiadać za swoje uczynki, nawet nieumyślne.
- Sądzę podobnie. Carruthers pochylił głowę.
- Właśnie dlatego zwrócił się do pana.
- Tak? - zapytał Thorn czując, że pułapka się zamyka.
- Sprawa tysiąca gwinei...?

Thorn zajął się nalewaniem herbaty, by ukryć zaskoczenie.

- Skąd się, u diabła, o tym dowiedział? I proszę nie mówić mi, że jest wszystkowiedzący.

Carruthers się uśmiechnął.

- Po prostu stara się być dobrze poinformowany. Jak powiedziałem, lady Fowler ściągnęła na siebie uwagę markiza, gdy zaatakowała jego rodzinę. A kiedy dowiedział się, że otrzymała dużą dotację, naturalnie zaprzagnął dowiedzieć się od kogo.

- Wie, że wpłaciłem pieniądze w imieniu lorda Huntersdowna, z powodu jego małżeństwa z córką markiza?

- Jestem pewien, że zdaje sobie z tego sprawę.
- Co te pieniądze mają wspólnego z postępkim panny Spencer?
- Część została wydana na zakup prasy.

Thorn zaklął. Oczywiście, nie mógł tego przewidzieć, lecz Robin namawiał ich, żeby zrezygnowali z niemądrej przysięgi, argumentując, iż oferowanie tak dużej sumy lady Fowler może źle się skończyć. Wyglądało więc na to, że i on odegrał w tej farsie jakąś rolę.

- Doskonale. Wyrwę pannę Spencer z paszczy lwa. Dokąd powinienem ją odesłać?

- Z tym jest problem. Markiz i jego żona rozpoczęli powolną podróż do Rothgar Abbey, lekarz sądzi bowiem, że dziecko może przyjść na świat nieco wcześniej. Mają odbyć po drodze kilka ważnych spotkań. Lord i lady Grandiston przebywają w Devon.

- Odeślę więc pannę Spencer do lorda i lady Hunters-down. To byty w końcu jego pieniądze - dodał, uśmiechając się kątem ust.

Carruthers też się uśmiechnął.

- To wydaje się sprawiedliwe, proszę pana. Carruthers wstał i Thorn odprowadził go do drzwi.

- Adres lady Fowler? - zapytał.

- Pensjonat Kwoka z Kurczętami, Grafton Street.

- Czyżby lady Fowler miała poczucie humoru?

- Na to by wyglądało. Wykazała się nim przynajmniej ten jeden raz. Teraz jest ponoć umierająca i traci zmysły.

Thorn przekazał gościa lokajowi i wezwał Overstone'a.

- Lady Fowler. Chcę znać szczegóły jej ostatnich przedsięwzięć, zwłaszcza nielegalnych, a także dowiedzieć się, dlaczego aresztowano ją i jej kurczęta. - Słyszac to określenie, nawet Overstone nie zdołał opanować zdziwienia. - Kto zdecydował o aresztowaniu i kto mógłby udzielić prawnej pomocy. A także innej. Wszystko, co tylko przyjdzie ci do głowy.

- Szukamy sposobu, by pomóc lady Fowler? - zapytał Overstone ostrożnie.

- Nie lady Fowler, lecz pani Spencer, która była kiedyś damą do towarzystwa lady Grandiston.

- Aha. - Overstone wiedział wszystko na temat afery z zatrutymi ciasteczkami.

- Będę musiał się tam wybrać. - Napisał krótką notkę. - Wyślij to do Fieldinga na Bow Street i poproś, aby załatwił mi zgodę na wejście do domu i rozmowę z paniami.

Kiedy sekretarz wyszedł, Thorn skrzywił się zdegustowany. Sprawa zapowiadała się na męczącą, na dodatek będzie musiał poprosić o pomoc osoby, wobec których

wolałby nie czuć się zobowiązany. Miał też wrażenie, że poddaje się go testowi. Ponieważ czuł się przynajmniej do pewnego stopnia odpowiedzialny za to, co wydarzyło się ostatnio w domu lady Fowler, zrobi, co tylko będzie mógł, dla pani Spencer.

Posłał po Josepha i wrócił do sypialni.

- Odpowiedni strój, by porozmawiać z gromadką mocno zdenerwowanych dam, Josephie.

- Strój wiejski - stwierdził lokaj zdecydowanie.

- Prawdziwy klejnot z ciebie. Gdybym ubrał się na czarno, jeszcze bardziej bym je przeraził. Poza tym, ubrany w bryczesy oraz wysokie buty, będę mógł pojechać tam konno. Każ przygotować wierzchowca.

Nim skończył przygotowania, nadszedł list z magistratu, poświadczający, że droga wolna.

Wspomniano w nim także, iż lord kanclerz interesuje się sprawą osobiście.

A niech to diabli!

Minął czekających pod drzwiami petentów, wsiadł na konia i odjechał w towarzystwie stajennego, znajdującego drogę.

- Jesteśmy, proszę pana - powiedział chłopak, kiedy wjechali w cichą ulicę, przy której stały wąskie kamieniczki.

Otoczenie wydało się Thornowi znajome. Po chwili uświadomił sobie, że Bella mieszka gdzieś w pobliżu. Mógłby do niej wstąpić. Nie, nie mógłby.

Czas mijał, a jego uczucia ani trochę się nie zmieniły. Tym bardziej nie mógł pozbawić Belli wygodnej niezależności po to, by wciągnąć ją w swoje szalone życie.

Na pierwszy rzut oka nic nie świadczyło, że przy Grafion Street coś się dzieje, lecz potem spostrzegł mężczyznę, stojącego na straży przed domem. Choć miał na sobie zwyczajny strój, nie mogło być wątpliwości, kim jest.

Thorn zsiadł z konia i podszedł do strażnika.

- Jestem Ithorne - przedstawił się. - Mam pozwolenie.

- Tak, Wasza Miłość. - Mężczyzna zastukał mosiężną kołatką i się odsunął. A kiedy uchylono drzwi, powiedział: - Jego Miłość, książę Ithorne.

Drzwi otwały się na całą szerokość i Thorn wszedł. Boże, ależ tu śmierdzi, pomyślał. Skromnie ubrany mężczyzna, który go wpuścił, powiedział:

- Lady Fowler umarła w nocy, Wasza Miłość. -1 zaczyna już się rozkładać?

- Rozkładała się jeszcze za życia, proszę pana. Mężczyzna miał około czterdziestu lat, był mocno zbudowany i wyglądał, jakby wolał znajdować się w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie w domu zmarłej.

- Cholerna praca - powiedział współczującym tonem Thorn. - A pan to..?

- Norman, Wasza Miłość - odparł mężczyzna, kłaniając się. - Występuję w imieniu lorda Northington. Thorn skrzywił się w duchu. Wyczuł drobnego urzędnika, który uważa się za Boga, choć z drugiej strony jako urzędnik wyznaczony przez lorda kanclerza sprawował tu rzeczywiście władzę równą niemal boskiej.

Thorn zdjął rękawiczki.

- Dlaczego lord Northington się w to zaangażował?

- Uznano, że to sprawa wagi państwowej, *sir*.

- Gromadka kobiet? I to bez przywódczyni? Naprawdę są aż tak niebezpieczne?

- Nie mnie oceniać, *sir*.

Poncjusz Piłat rozkoszujący się władzą, zwłaszcza nad kobietami, i umywający ręce. Thorn miał wcześniej nadzieję, że zdoła onieśmielić urzędnika na tyle, by pozwolił mu zabrać panią Spencer, teraz widział jednak, że Norman będzie pilnował swoich ofiar niczym skąpiec strzegący majątku.

- Damy nadal tu są?

- Przebywają w areszcie domowym, przynajmniej na razie.

- Gdzie dokładnie? Mam pozwolenie, by z nimi rozmawiać.

Mężczyzna zawahał się, lecz waga książęcego tytułu zwyciężyła skrupuły.

- Dwie nadal w łóżkach, wielce zdenerwowane. Zamknęliśmy drzwi ich pokoi, ale na górze jest strażnik, który wypuści je, jeśli będą chciały wyjść. Pozostałe zjadły śniadanie i siedzą teraz w saloniku po lewej.

- Nazwiska?

- Pani Abercrombie, panny Sprott, Flint i Evesham. Ta jest najbardziej opanowana. To prawdopodobnie przywódczyni, choć panna Flint także wydaje się stanowcza.

- A pozostałe dwie? - Wolał nie zdradzać, która z dam szczególnie go interesuje.

- Panie Ormond i Spencer. Thorn skinął głową.

- Tylko sześć?

- Pozostałe odeszły, gdy lady Fowler poważnie zachorowała. Lecz były jeszcze dwie - panny Helena oraz Olivia Drummond, Irlandki. Najwidoczniej to one napisały artykuł kwalifikujący się do oskarżenia o zdradę. Umknęły po cichu, gdy tylko ukazała się gazetka.

- Zostawiając kurczęta jastrzębiom. Zakładam, że są poszukiwane?

- Oczywiście, Wasza Miłość. Nie uciekną daleko.

Thorn nie był tego wcale pewny. Prawdopodobnie zaplanowały ucieczkę. Przygotowały dokumenty oraz przebranie. Tymczasem najlepiej byłoby, gdyby je aresztowano. Przy odrobinie perswazji, wymiar sprawiedliwości zadowoliliby się taką zdobyczą.

Skinął w podzięcie głową, otworzył drzwi do saloniku i wszedł.

Cztery pary oczu utkwiły w nim zaniepokojone spojrzenie. Jakbym był katem, pomyślał. Cztery damy, na oko w średnim wieku i nieciekawe z wyglądu.

Ktoś zaczerpnął głośno oddechu. Jedna z kobiet ukryła twarz w chusteczce. Uśmiechnął się czarująco i skłonił.

- Drogie panie, pozwólcie, że złożę wyrazy współczucia. Jestem księżę Ithorne. Przybywam na prośbę osób, które dobrze wam życzą. Zrobię, co będę mógł, żeby pomóc.

- Och! - wykrzyknęła kobieta o zaczerwienionej twarzy. Zerwała się z krzesła i przycisnęła dłonie do obfitego biustu. - Jesteśmy ocalone!

Wyglądająca na rozsądną niewiasta w średnim wieku powiedziała:

- Bogu dzięki.

Inna, chuda i kanciasta, zapytała władczo:

- Możemy zatem opuścić ten dom. Natychmiast? Ostatnia nadal płakała, zakrywając twarz chusteczką.

- Nie jestem w stanie nic obiecać. Zarzuty są poważne. Pozwolą panie, że usiądę?

Koścista niewiasta prychnęła:

- Siadaj, Betsy. Nie widzisz, że Jego Miłość nie może usiąść, póki ty stoisz? - To musiała być panna Flint, same ostre krawędzie.

Betsy opadła na krzesło, mamrocząc przeprosiny. Bez wątpienia panna Abercrombie: ani w średnim wieku, ani stanowcza. Ta podstarzała to zapewne panna Evesham, zwłaszcza że przemawia w imieniu pozostałych.

- Możemy poczęstować pana herbatą, Wasza Miłość? - spytała. - Chyba wolno nam to zrobić?

- Dziękuję, nie. Może któraś z pań opowie mi, co się tu ostatnio wydarzyło?

Spojrzały wszystkie na niewiastę, osuszając oczy chusteczką. Panna Abercrombie wyszeptała:

- Bellono?

Bogini wojny i prawdopodobnie dama nazwiskiem Sprott. Uświadomił sobie, że zachowuje się niemądrze, próbując przyporządkować nazwiska osobom.

- Możecie się przedstawić? - zapytał. Znów odezwała się kobieta w średnim wieku.



- Jestem panna Evesham, a to panna Abercrombie
- wskazała pulchną i najbardziej przejętą. - Panna Sprott - wskazała na prawo, a potem przed siebie
- a to panna Flint. Ciekawe.

Zapłakana panna Flint opuściła nieco chusteczkę, by się przedstawić. Ziemista cera, okulary-połówki i brwi niemal stykające się pośrodku. Włosy miała zaczesane do tyłu i schowane pod czepkiem, zawiązanym pod brodą na tasiemki.

Nie wiedział, dlaczego pozostałe zwróciły się instynktownie ku niej, gdyż wydawała się zupełnie oszołomiona.

- Och - wyszeptała. - Nie sędzę doprawdy... Nie było mnie tutaj, kiedy to się działo. Mary?
- Zwracała się do panny Evesham, więc może Norman miał rację i to ona była przywódczynią. Panna Evesham powiedziała:

- Pani Abercrombie i panna Sprott mieszkały z lady Fowler o wiele dłużej niż ja, mogą jednak opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach. Jesteśmy ofiarami dwóch żmij, niejakich sióstr Drummond: Heleny oraz Olivii.

- Dlaczego mówi pani o nich jako o żmijach?

- Ponieważ wykorzystały współczującą naturę lady Fowler, żeby bezwstydnie nadużyć jej zaufania. A przy okazji zniszczyć życie nam wszystkim.

Treściwa ocena i prawdopodobnie słuszna. Panna Abercrombie zaczęła znów płakać. Thorn skupił uwagę na zadziwiająco spokojnej pannie Evesham.

- Jaki miałyby powód..?

- Żadnego. Zrobiły to, ponieważ są podłe. Takie właśnie były - wstrętne, nikczemne młode kobiety. Złośliwe. Zaczęła opowiadać. Darowizna tysiąca gwinei stała się przyczyną wielkiego podekscytowania. Lady Fowler uznała ją za przejaw poparcia ze strony ważnych osób. Jej ambicje wzrosły. Dyskutowano, jak wykorzystać niespodziewany dar i siostry Drummond zasugerowały, by kupić prasę drukarską. Twierdziły, iż usprawni to pro-

dukcję biuletynu, zwłaszcza że Olivia wie, jak posługiwać się urządzeniem, co okazało się prawdą.

- Proszę powiedzieć mi o nich coś więcej - zażądał Thorn. - Skąd przybyły?
- Jeśli to, co nam powiedziały, jest prawdą, są córkami irlandzkiego szlachcica. Kiedy zmarł, majątek odziedziczył kuzyn, a one zostały z niewielkim posagiem. Uznały, że wolą przeznaczyć go na wspomnienie słusznej sprawy, to znaczy walkę o prawa kobiet, aniżeli zaprzedać się w małżeńską niewolę. - Thorn uniósł widać bezwiednie brwi, gdyż panna Evesham spojrzała wprost na niego. - To zdarza się dość często, Wasza Miłość, bo czyż kobieta zamężna może cieszyć się niezależnością?
- Mimo to większość wybiera zamążpójście - zauważył spokojnie.
- Z braku alternatywy. Tak czy inaczej, siostry wiedziały o istnieniu lady Fowler i przybyły, by do nas dołączyć.
- Lady Fowler przyjmowała wszystkie chętne? - zapytał.
- Każdego, kto chciał wesprzeć sprawę. Oczywiście, dom ma ograniczoną pojemność, lecz siostry miały własny dochód, mogły zatem wynająć dla siebie lokum w pobliżu, podobnie jak panna Flint. Thorn zerknął na rzeczoną pannę. Skoro ma pieniądze, dlaczego nie kupi sobie przyzwoitej sukni? I czemu jest tak płaczliwa? Nie przestawała przykładac chustki do oczu - i to bez zdejmowania okularów. Dziwne. Na dodatek z chusteczki zwisała nitka. Dlaczego jej nie ucięta?
- Panna Evesham chrząknęła, przyciągając znów jego uwagę. Z tą płaczliwą panną Flint coś było wszakże zdecydowanie nie tak.
- Helena i Olivia przybyły pełne entuzjazmu, wychwalając dzieło lady Fowler - kontynuowała panna Evesham. - Ofiarowały też pewną sumę, by pomóc sprawie.
- Lady Fowler potrzebowała pieniędzy? Szczodrość uszczupliła jej dochody?

- Nie sędę, Wasza Miłość, lecz nie mam w tej kwestii informacji.

- Może panna Flint je ma - powiedział, zwracając się ku rzeczonyj niewieście.

Instynkt podpowiadał mu, że jest tu najwężniejszą osobą, nie wiedział tylko, z jakiego powodu. Zauważył na chustce plamę krwi. Nie słyszał, żeby kaszłała, ale czy była chora na suchoty? Zerkłała na niego znad okularów. Uznał, że choćby była umierająca, nie pozwoli jej się wywinąć.

- Cóż? - zapytał władczo.

- Nie wiem nic o dochodach ani wydatkach lady Fowler - wymamrotała.

Była dziwnym stworzeniem, lecz przybył tu w określonym celu i na nim powinien się skupić.

- Możecie udowodnić, że zdradziecka publikacja była wyłącznym dziełem sióstr Drummond? - zapytał, zwracając się do wszystkich kobiet.

- A czy ktokolwiek nam uwierzy? - odparła panna Evesham.

Dobre pytanie. Rozważył kilka opcji.

- Rozmawiałyście o tym pod nieobecność sióstr?

- Oczywiście, Wasza Miłość. Nieustająco.

- Miałem na myśli: o tym, kto wydrukował i rozprowadził ostatnie wydanie?

Spojrzały po sobie niepewnie. Miał ochotę potrząsnąć każdą z osobna.

Panna Flint opuściła dłonie dżierzące chusteczkę i powiedziała spokojnie:

- Nie sędę, Wasza Miłość. Wezwano mnie wczoraj wieczorem, gdy stało się jasne, że lady Fowler umiera, a siostry zniknęły. Żadna z pań nie wiedziała, co robić.

-1 zwróciły się do pani?

Była teraz inną kobietą, spokojną i opanowaną. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że ją zna. Na pewno zapamiętałby kogoś takiego. Biedaczka miała na nosie brodawkę.

- Rzeczywiście, choć nie wiem dlaczego.

- Ależ, Bellono - wtrąciła panna Abercrombie - masz zawsze spokojną głowę i jesteś tak pewna siebie. Chyba dlatego, że posiadasz własne środki - dodała, wzdychając. - I nigdy nie podlegałaś tyranii mężczyzny. Przeciwstawiałaś się Drummondównom, choć żadna z nas nie miała odwagi się im sprzeciwić. Przejrzałaś je.

- Nic podobnego, po prostu ich nie lubiłam.

- Inny przejaw instynktu - zauważył Thorn, walcząc z sobą, by się nie zdradzić.

Ponieważ, kiedy kobieta przemówiła, uświadomił sobie prawdę: Bellona Flint to nikt inny jak Bella Barstowe.

Kiedy się znów odezwała, odwrócił spojrzenie, zdając się na słuch i koncentrując na głosie mówiącej.

- Skoro pan tak twierdzi, Wasza Miłość. Dotarłam tutaj zaledwie na godzinę przed tym, jak pojawili się przedstawiciele władz i nałożyli na nas areszt. Choć dużo rozmawialiśmy, nie znam szczegółów tego, co się wydarzyło. Kiedy na nią nie patrzył, wątpliwości znikwały. Spojrzał znów na kobietę i zadał pierwsze z brzegu pytanie, by zyskać na czasie i się zastanowić.

Uwolniona od tyranii rodziny, zwróciła się ku kobiecie, która walczyła, aczkolwiek niemądrze, aby zapobiec tego rodzaju nadużyciom. Przebranie? Może nie chciała być dłużej Bellą Barstowe.

Odziedziczyła jakieś pieniądze, co pozwoliło jej nabyć w pobliżu dom.

Jego zainteresowanie sprawą, dotąd problematyczne, wzrosło niepomiernie.

Bellona Flint to jego Bella. Była przywódczynią tych kobiet, co stawiało ją w szczególnie niebezpiecznym położeniu, zwłaszcza z braku siostr Drummond. Powinien był zabrać ze sobą Overstone'a i kilku prawników, to jednak da się naprawić. Musi też porozmawiać z Bellą na osobności, lecz jeszcze nie teraz. Nie wolno mu jej wyróżnić.

Ach, jest pewien sposób...

- Doskonale - powiedział, wstając. - Spróbujemy dowiedzieć się prawdy. Zorganizuję wszystko tak, by każda

z pań spisała ostatnie wydarzenia. Nie wolno wam porozumiewać się ze sobą. Dla pewności w salonie zostawimy strażnika. Dopilnuje, by wszystko odbyło się jak należy. Macie coś przeciwko temu? Któraś, prawdopodobnie pani Spratt, zaczęła protestować, lecz Mary Evesham szybko ją uciszyła.

- Nie, Wasza Miłość. Rozumiemy, że to konieczne. Skłonił się, omijając wzrokiem Bellę, a potem wyszedł, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

\*\*\*

Norman kręcił się w pobliżu. - Wychodzi pan, Wasza Miłość?

Na pewno rozjaśniłoby to jego dzień.

- Jeszcze nie. Kto jest przy ciele lady Fowler? Mężczyzna przewrócił oczami.

- Jej pokojówka, Agnes Hoover. Upiera się, że sama przygotowuje zwłoki do pogrzebu. Wrzeszczy, że nie dopuści, by jakikolwiek mężczyzna dotykał jej kochanej pani. Pozostaje mieć nadzieję, że pozwoli przedsiębiorcy pogrzebowemu złożyć ciało do trumny.

Mężczyzna irytował Thorna, postarał się jednak tego nie okazać.

- Jeśli któreś z pań zechcą pomóc przy umieszczaniu zwłok w trumnie, czy pan im pozwoli?

- Nie rozumiem, dlaczego miałbym... Moje rozkazy...

- Nie zabraniają współczucia. Jak mogłoby to zaszkodzić śledztwu? Byłbym zobowiązany, gdyby wyraził pan zgodę - wykrztusił przez zaciśnięte zęby. Nie lubił wymachiwać książęcym berłem.

Mężczyzna poczerwieniał z gniewu, ale ustąpił. Nie miał wyjścia.

- Jeśli Wasza Miłość tak radzi.

Innymi słowy: jeśli weźmie pan na siebie odpowiedzialność.

- Owszem. I nalegam. - Tylko czy którakolwiek z kobiet zechce podjąć się tak niewdzięcznego zadania?

Wrócił do salonu i zapytał, odpowiedziała mu jednak cisza. Kobiety milczały, odwracając spojrzenia. Oczywiście, Bella odezwała się pierwsza.

- Ja to zrobię. Jestem też pewna, że któraś z pań zechce mi pomóc. Wiemy, co lady Fowler sądziła o mężczyznach.

Panny Evesham i Sprott przytaknęły.

Przypomniał sobie, jak rozmawiał z Bellą na temat przywództwa. Zgodziła się wtedy, że inni zwracają się ku niej w chwili próby, choć wcale ich do tego nie zachęca. Teraz przekonał się o tym na własne oczy. Została, acz niechętnie, przywódczynią tego żalosnego stadka, a to mogło okazać się dla niej niebezpieczne.

Opuścił salonik, przepełniony desperacją zmieszaną z podziwem.

## Rozdział 29

Bella zastanawiała się gorączkowo, jak wykorzystać nadarzającą się sposobność. Brat przyrodni Thorn, książę, był tutaj, i to po części oficjalnie!

Gdy wszedł, pomyślała, że to Thorn i zasłoniła odruchowo twarz. Z wolna uświadomiła sobie, że ma przed sobą księcia, a kiedy tak się stało, zaczęła dostrzegać różnice. Subtelne, acz znaczące. Książę zachowywał się oczywiście bardziej wyniośle i choć miał na sobie strój stosowny do noszenia na wsi, był on nieskazitelny w każdym detalu. Mężczyzna był też ogolony - tak starannie, że wręcz nie sposób było wyobrazić sobie zarost na jego książęcej szczęce.

Podobieństwo było jednak uderzające. Nic dziwnego, że Thorn wysłano za ocean.

Teraz, kiedy poznała już prawdę, musiała znaleźć sposób, by ocalić je wszystkie. Czy bezpośrednia prośba, poparta wyznaniem... jakim? Ze jest przyjaciółką kapitana Rose? Czy ośmieliłaby się przyznać, że została jego kochanką? Nie była nawet pewna, czy to prawda, a zważywszy, jak w tej chwili wyglądała, i tak by w to nie uwierzył.

Thorn wiedział, co dzieje się w życiu księcia. Czy informował też brata o tym, co dzieje się w jego życiu?

Książę powiedział, że przyślą kogoś, by je pilnował i właśnie do saloniku wszedł ponury jegomość. Stał,

przyglądając się kobietom podejrzliwie. Umilkły wszystkie, lecz po chwili Betsy wyszeptała:

- Książę Ithorne! Sprawa musi być bardzo, bardzo poważna. Jak myślisz... czy nas powieszają?

- Nie, jestem pewna, że nie - odparła Bella pospiesznie. - Jesteśmy niewinne.

- Mogą postąpić tak dla przykładu - powiedziała Hortensja, zerkając gniewnie na Betsy. - Zwłaszcza wobec tych, które pomagały ochoczo przy drukowaniu.

- Nie chciałam zrobić nic złego - załkała Betsy. - Olivia mnie do tego nakłoniła!

Bella spróbowała zwrócić uwagę Betsy na pilnującego ich mężczyznę i uczyniła to tak skutecznie, że Betsy znowu zaczęła szlochać.

- Żadnej z nas nie powieszają - zapewniła ją Mary uspokajającym tonem. - Jesteśmy damami. To nie do pomyślenia.

- Niektóre mogą wysłać jednak do kolonii - upierała się Hortensja, która zawsze widziała wszystko w najgorszym świetle.

- Sytuacja wkrótce się wyjaśni - upierała się Bella.

- Książę przybył, żeby nam pomóc.

- Pokładasz w księżętach wielką wiarę, Bellono

- oznajmiła Hortensja z pogardą - tylko dlatego, że brykałaś podczas... - Dzięki Bogu nie dokończyła zdania, lecz Bella i tak poczuła, że policzki płoną jej pod makijażem. - Tak naprawdę wcale go nie obchodzimy - zakończyła Hortensja. Bella obawiała się, że kobieta może mieć rację. Kim były w porównaniu z księciem Ithorne?

- Podejrzewam, że interesuje go jedynie Ellen Spencer - powiedziała Mary.

Bella zerknęła na strażnika, lecz nic, co się tyczyło Ellen nie mogło sprawić, by skazano je za zdradę.

- Dlaczego?

- Nie pamiętasz? Nim się u nas zjawiała, była towarzyszką damy, która wyszła wbrew swej woli za lorda

- odparła Mary, unikając podania nazwisk.



- A, tak - odparła Bella. Wspomniała Maskaradę Olimpijską i skandal, który się wówczas wydarzył. Miała wtedy co innego na głowie. Rzuciła Mary pytające spojrzenie, gdyż nadal nie pojmowała, co tamta chce im powiedzieć.

- Wydaje mi się, że mąż tej damy jest powiązany z księciem.

- Cóż... - Bella zastanawiała się przez chwilę, a potem jej twarz pojaśniała. - Jeśli przybył, by ją ratować, będzie musiał uratować nas wszystkie.

- Tak myślisz? - spytała Hortensja. - Nie wiesz, jak nieczuli bywają mężczyźni jego pokroju. Poza tym to niepoprawny rozpustnik. - Nie starała się ściszyć głosu. - Pamiętasz, jak potraktował damę, którą wykorzystywał od lat? Nakłonił ją do popełnienia cudzołóstwa, a kiedy zmarł jej mąż, po prostu porzucił.

Bella posiała Hortensji ostrzegawcze spojrzenie. Księżę mógł się dowiedzieć, co o nim mówią, a nie był to odpowiedni czas, by go do siebie zniechęcać. Poza tym spotkała lady Jessingham podczas maskarady. Księżę postąpił niewłaściwie, lecz dama nie była, zdaniem Belli, niewinną ofiarą.

- Traktowanie księcia z wrogością na pewno się nam nie przysłuży, Hortensjo - ostrzegła towarzyszkę Mary.

Hortensja skrzywiła się, ale zamilkła. Betsy jednakże wyszeptała:

- Powinnyśmy pamiętać, jaką on ma reputację. Niepoprawnego rozpustnika. Czy dobrze zrozumiałam? Chce spotkać się z każdą z nas na osobności?

Bella wątpiła, czy nawet pan Casanova, uważany za największego żyjącego uwodziciela, spróbowałby uwieść Betsy - czy którąkolwiek z nich, jeśli już o to chodzi - lecz tego nie powiedziała. Zdażyła się przekonać, że nawet damy, które uparcie twierdziły, że nie interesują ich mężczyźni, czują się urażone, gdy usłyszą, że nie są dość atrakcyjne, by mogło grozić im uwiedzenie.

Zamilkły teraz, czekając, by inni rozstrzygnęli o ich losie.

Bella wygładziła chusteczkę, krzywiąc się na widok plamy z krwi. Powstała, kiedy ukłuła się palec po tym, jak zobaczyła księcia. Należało posypać plamę solą, wątpiła jednak, żeby jej pozwolono. Tak czy inaczej, musi skończyć obrąbek, zanim spróbuje wyprać chustkę. Nawlokła igłę i zaczęła haftować, zastanawiając się, jak wyprowadzić je wszystkie z pułapki.

Mogłaby napisać do Thorny i poprosić, by wpłynął na brata, wątpiła jednak, by pozwolono jej wysłać list. Poza tym, zanim zdążyłby odpowiedzieć, minęłoby co najmniej kilka dni. Obawiała się, że nie mają tyle czasu, gdyż wcześniej znajdują się w więzieniu. Wiedziała o więzieniach wystarczająco dużo, żeby obawiać się takiego obrotu wydarzeń. Były to miejsca, gdzie panowało okrucieństwo i choroby. Gdybyż tylko posłuchała Peg i została w domu! Teraz byłaby już w drodze do Tunbridge Wells. Lecz pozostałym paniom nadal groziłoby niebezpieczeństwo.

Zamarła z igłą w dłoni.

Wspomniała siostry Trayce. Powinna być teraz w drodze do nich. Ciekawe, co też porabia pan Clatterford. Może byłby w stanie pomóc. Martwiła się, gdyż nazwisko sióstr widniało na liście prenumeratorów.

Czy listy zostały już znalezione? Upchnięto je wraz z innymi papierami w pokoiku obok skryptorium. Drzwi do niego oklejono tapetą taką jak na ścianach, nietrudno więc było je przeoczyć. Jęknęła w duchu na myśl o kolejnym zadaniu, wiedziała jednak, że listy muszą zostać zniszczone. Siostry Trayce nie były jedynymi niewinnymi osobami, których nazwisko mogło się na nich znajdować. Prawdę mówiąc, wszystkie prenumeratorki były niewinne, lecz wydawało się przerażająco oczywiste, iż władze o to nie dbają.

Może powieszają osiem kobiet.

I zaciągną setki do sądu.

A potem spojrziała na to z innej strony.

Pan Clatterford powiedział, że siostry Trayce są ciotkami oraz ciotecznymi babkami markizów Rothgara i Asharta. Czy mogłaby skłonić je, by im pomogły?

Zobaczmy, pomyślała z ponurym rozbawieniem - jeden książę, dwóch markizów. Brakuje tylko trzech lordów, powiązanych z całym tym bałaganem.

\*\*\*

Thorn przywołał ponownie Normana. Mężczyzna podszedł, zaciskając z niechęcią usta i skłonił się uniżenie.

- Uważam, iż dobrze byłoby przesłuchać każdą z pań z osobna, aby wyciągnąć z nich prawdę. Jeśli któraś kłamie, szybko się zorientujemy. Ma pan coś przeciwko temu? - A kiedy mężczyzna nie wyraził od razu zgody, dodał: - Jeśli pan woli, mogę omówić to z lordem Nor-thingtonem.

Miał świadomość, że strzela z armaty, by zabić wróbla, lecz był w morderczym nastroju. Norman zbladł.

- Nie, oczywiście, że nie, Wasza Miłość. *Pan* chciałby z nimi rozmawiać? Sam?

Thorn postanowił zignorować aluzję.

- Jedna z pozostałych dam może towarzyszyć nam w charakterze przyzwoitki. - Teraz nastąpił najważniejszy moment. - Proponowałbym pannę Flint, ponieważ nie było jej tu w kluczowym okresie. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego w ogóle została zatrzymana.

- Dostałem polecenie, by zatrzymać wszystkie, które tu zastanę, Wasza Miłość.

Mizerna próba oddania ciosu. Thorn przypomniał sobie, że ten człowiek potrzebuje z pewnością swojej posady. On zaś próbuje go zastraszyć, ponieważ wykonuje rozsądne skądinąd polecenia zwierzchników.

- Wygląda na to, że doskonale się pan spisuje, Norman. Jeśli nie przyprowadził pan kancelisty, pošlę po mojego i rozpoczniemy przesłuchania.

Nie było potrzeby wzywać Overstone'a, wysłał mu zatem wiadomość, aby wyznaczył któregoś z bystrzejszych urzędników, a także przysłał adwokata zdolnego służyć mu radą. Sporządził też krótki raport dla Rothgara na wypadek, gdyby markiz nie wyjechał jeszcze z Londynu. Sugerował w nim, by Rothgar porozmawiał osobiście z Northingtonem.

Nie miał wprawy w załatwianiu tego typu spraw, toteż początkowo zamierzał przekazać ją jak najszybciej w ręce bardziej kompetentnych osób. Teraz jednak, gdy okazało się, że pośród zatrzymanych jest też Bella, było to niemożliwe.

Wkrótce zostanie z nią sam na sam.

Powstrzymał uśmiech. Sytuacja nie była ani trochę zabawna, jednak na samą myśl o tym, jak skutecznie przebrała się jego ukochana, miał ochotę głośno się roześmiać.

\*\*\*

Bella uznała, że panuje nad sytuacją, lecz kiedy książe wrócił, jego słowa mocno ją zaskoczyły.

- Panno Flint, czy mogę porozmawiać z panią w pokoju naprzeciwko?

Wstała, zwijając robótkę, a Betsy westchnęła przerażona:

- Och, Bellono..!

- Nie idę na szubienicę, Betsy. Z pewnością nic mi nie grozi.

- Absolutnie - potwierdził książe chłodno. - Drzwi pozostaną oczywiście otwarte. Drogie panie, zostaniecie wkrótce poproszone o przekazanie waszych zapisków, ale odbędzie się to na osobności.

Panna Flint, której tu wtedy nie było, posłuży za przyzwoitkę.

Bella wyszła z księciem, zastanawiając się, czy będzie miała okazję zabrać listy. Potrzebowała jedynie kilku minut.

- Nazywamy ten pokój skryptorium - powiedziała, prowadząc księcia. - Siadywałyśmy przy tym długim stole, by przepisywać biuletyn. Oczywiście, zanim lady Fowler kupiła prasę. - Odwróciła się i spojrzała na księcia.

Tak jak obiecał, zostawił drzwi szeroko otwarte. Przyglądał się jej tak uważnie, iż zaczęła się zastanawiać, czy nie domyślił się, że jej dziwaczny wygląd to przebranie. Bez wątpienia uznano by to za podejrzanę.

A może chodziło o jej zachowanie. Uświadomiła sobie, że nie okazuje należnego, zaprawionego lękiem podziwu. Nic takiego jednak nie czuła, być może z powodu uderzającego podobieństwa księcia do Thorna. Naprawdę byli niemal identyczni. Tęskniła za tym, by podejść, dotknąć go, uśmiechnąć się i otrzymać w zamian uśmiech. Niemal zaśmiała się na myśl, jak też zareagowałby książę Ithorne, gdyby ktoś taki jak Bellona Flint pozwolił sobie na podobne poufałości.

- Podejmie się pani roli przyzwoitki, panno Flint?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc paniom, Wasza Miłość.

Skrzywił się lekko, zerkając na drzwi. Bella spojrzała w tym samym kierunku, ale nikogo nie spostrzegła. Odwróciła się, przekonana, iż książę cierpi na nerwowe tiki.

- Z pewnością jednak by pani nie skłamała - powiedział.

- A czy ktokolwiek by się zawahał, mając do wyboru kłamstwo lub stryczek? - Utkwił w niej spojrzenie i Bella zorientowała się, że próbuje ją ostrzec. - Lecz nie, oczywiście, Wasza Miłość.

Rzadko kłamię, a teraz nie mam po temu powodu. Nie wiem nic, co wymagałoby zatajenia.

- Doskonale. - Skinął z aprobatą głową. Czyżby naprawdę był po jej stronie? Dlaczego?

- Wkrótce przybędzie tu kancelista - powiedział, okrążając długi stół. - Zapisze wszystko, co zostanie powiedziane. Zostanie pani w pokoju jedynie po to, by zadośćuczynić wymogom przyzwoitości. -

Podszedł do skraju stołu najdalszego od drzwi i jego twarz wykrzy-

wił znów grymas. Biedny człowiek, pomyślała. - Nie będzie się pani odzywała ani podsuwała paniom odpowiedzi. Rozumie pani? - A potem na nią skinął.

Boże, czyżby Hortensja miała jednak rację? Czy rozpustnicy są aż tak niewybredni?

Lecz wtedy powiedział cicho, niemal bezgłośnie:

- Podejź tu, Bello. Na Boga, to był Thorn!

Dowiedział się jakoś, co jej grozi i pospieszył na ratunek! Lecz w jak niebezpiecznej sytuacji sam się przez to znalazł! Podawanie się za księcia podczas śledztwa w sprawie zdrady stanu! Tutaj, w Londynie, gdzie przebywa jego brat! Odgrywał księcia bardzo przekonująco, ale na dłuższą metę to się nie uda.

Uświadomiła sobie, że marszczy brwi. Ruszyła jednak ku miejscu, gdzie stał, oddalonemu od drzwi oraz ciekawskich oczu i uszu. A potem się uśmiechnęła. Nie mogła się powstrzymać. Przypomniała sobie, że powinna zareagować na to, co powiedział, odparła zatem:

- Nie będę się odzywać ani sugerować paniom odpowiedzi, Wasza Miłość. Chciałabym też podziękować panu z całego serca, że przybył pan, aby nam pomóc.

- Przybyłem, żeby dowiedzieć się prawdy, panno Flint. - Lecz mówiąc to, ujął jej dłonie i się uśmiechnął. Bella poczuła, że wracają jej siły. Nie była już sama. - Mam nadzieję, iż dowiem się, że panie obecne teraz w domu są niewinne.

- Na pewno tak właśnie się stanie. - Uświadomiła sobie, iż może załatwić za jednym zamachem dwie najpilniejsze sprawy. Uwolniła delikatnie dłonie.

- Jest tu mały pokój - powiedziała, otwierając obite tapetą drzwi. - Trzymamy w nim papier, atrament i tego typu rzeczy, a także zbiór wszystkich biuletynów lady Fowler. Jestem pewna, że posłużą za dowód, iż nikt nie zamierzał dopuścić się zdrady.

Weszła, świadoma, że Thorn postępuje tuż za nią, a potem uświadomiła sobie coś jeszcze - coś, co sprawi-

ło, że ścisnął jej się żołądek. Teraz Thorn wiedział o jej szaleństwie, a na dodatek widział ją jako Bellonę Flint - z brodawką i wszystkim innym!

Odwrócenie się i spojrzenie na niego wymagało nie lada odwagi. A gdy to zrobiła, spostrzegła, że Thorn się uśmiecha.

- Nieustająco mnie zaskakujesz, Bello!

- A ty musiałeś chyba oszaleć!

- Nie próbuj mnie łąać. Wygląda na to, że ratuję ci skórę już po raz trzeci. Dostanę za to nagrodę?

- Już prędzej czeka cię stryczek.

- Dlaczego, u licha?

- Podajesz się za brata. I to tutaj, w Londynie, w środku śledztwa o zdradę!

Thornowi odebrało mowę - a coś takiego zdarzało się nader rzadko. Był tak zaszokowany odkryciem, że Bellona Flint to Bella, iż nie pomyślał o tym, że ona uzna, iż ma do czynienia z kapitanem Rose.

Nie. Uważała go za księcia, póki się tak niemądrze nie ujawnił.

Tylko kim powinien dziś dla niej być?

Thornem, o którego tak się bała?

Ithorne'em, ujawniając, że od początku udawał kogoś innego? Tak bez przygotowania?

- Musiałeś zdawać sobie sprawę z ryzyka - powiedziała, pochmurniejac, co stanowiło dosyć przerażający widok, zważywszy na fryzurę, stykające się pośrodku czoła brwi i brodawkę.

- Oczywiście - powiedział mechanicznie. - Nie jest jednak zbyt duże.

- Nieduże? Czytałam w gazetach, że wczoraj Ithorne odwiedził szkołę w Cheapside, zarządzaną przez instytucję dobroczynną. Ktoś może zauważyć, że jest was dwóch.

- Ale który jest prawdziwy? Przewróciła oczami.

- Możesz jednak się przydać - powiedziała, zaskakując go po raz kolejny. - Wydawaj przez chwilę głośnie in-

strukcje Bellonie, bardzo cię proszę. - Odwróciła się i wysunęła szufladę.

Thorn utkwił wzrok w jej plecach, walcząc z chęcią, by się roześmiać. Bella Barstowe była doprawdy najbardziej zadziwiającą niewiastą, jaką zdarzyło mu się spotkać. Musiał bardzo się skupić, by zacząć zachowywać się tak, jak wymagały tego okoliczności.

- Może powinna pani wyjąć kopie biuletynów, panno Flint. - Wskazała kilka pudeł, stojących na półce i nadal buszowała pośród papierów w szufladzie. Zdjął pudło i zajrzał do środka, potrząsając głową. - Ile ich jest?

Wyjęła z szuflady kilka arkuszy i spojrzała na nie, odpowiadając:

- Nie jestem pewna, lecz lady Fowler zaczęła wydawać biuletyn wkrótce po tym, jak umarł jej mąż, mniej więcej przed dziesięcioma laty.

W pudle rzeczywiście znajdowały się pojedyncze kopie biuletynów, napisanych ostrym charakterem pisma.

- Czy to oryginały, napisane przez lady Fowler? - zapytał.

- Nie wiem, podejrzewam jednak, że te starsze na pewno. - Podeszła, trzymając w dłoni arkusze i spojrzała na biuletyn. - Tak, to jej pismo. Sprzed kilku lat. Podczas choroby zmienił jej się charakter pisma, a ostatnie biuletyny po prostu dyktowała.

- Co to takiego? - zapytał spokojnie, spoglądając na arkusze w jej dłoni.

- Listy prenumeratorów. Muszę je zniszczyć. Wyrwał jej arkusze.

- Lepiej nie. To byłoby poważne przestępstwo. Szarpnęła za arkusze i wysyczała:

- Większości tych kobiet w głowie nie powstała myśl o rewolucji.

- Więc nic im nie grozi.

- Tak jak nam?

- Nie jesteście aż tak niewinne...

- Wasza Miłość..?



Zamarli na dźwięk głosu Nortona. Dobiegał z sąsiedniego pokoju. Bella utkwiała błagalny wzrok w twarzy Thorna, zaklinając go spojrzeniem. Miał zaledwie sekundę, by zdecydować, jak postąpić, wepchnął więc błyskawicznie listy za pasek bryczesów na plecach i zakrył je surdudem. Ledwie zdążył się z tym uporać, gdy do składziku wszedł Norton, marszcząc podejrzliwie brwi.

- Co to za miejsce?

- Właśnie się o nim dowiedziałem - powiedział Thorn, z trudem wcielając się znowu w księcia. - To tylko składzik, lecz panna Flint była tak dobra, że poinformowała mnie, iż znajdują się tutaj kopie wszystkich biuletynów lady Fowler. Zakładam, że powinny zostać zabrane jako dowód.

- Z pewnością - powiedział Norman, odbierając od niego pudło. - Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zostawi pan zbadanie tego pokoju moim ludziom, *sir*.

- Ma pan absolutną rację. Uważam jednak, że pannie Flint należą się podziękowania. Gdyby dobrowolnie mi nie pomogła, minęłoby trochę czasu, zanim odkrylibyśmy to pomieszczenie. Norman zacisnął wargi i spojrzał na Bellę z taką pogardą, że Thorn najchętniej by go udusił.

- Twoja pomoc zostanie odnotowana, *madame* - powiedział.

- I słusznie - zauważyła Bella z kamienną twarzą. - Mówiłam już panu, panie Norman, że gdyby potraktował pan mnie i pozostałe panie jako swoje sojuszniczki, śledztwo szybciej posunęłoby się do przodu.

- Proszę wrócić łaskawie do salonu - prychnął Norman.

Bella spojrzała na Thorna.

- Czy tego właśnie pan sobie życzy, Wasza Miłość?

Najchętniej by zaprotestował, po części po to, by zdenerwować Normana, a po części dlatego, że chętnie spędziłby z Bellą jeszcze trochę czasu, lecz rozsądek zwyciężył.

- Owszem, panno Flint - powiedział, skinąwszy lekko głową.
- Odpowiedziała dygnięciem, które było zarówno eleganckie jak z lekka impertynenckie. I odeszła, prostując plecy. Pamiętał te plecy...
- Spryciara - wymamrotał Norman. - Jest w niej coś więcej, niż się wydaje.
  - Więcej inteligencji, chciał pan powiedzieć.
  - Kobiety nie bywają inteligentne.
  - Obawiam się, że skoro pan tak sądzi, czeka pana wiele przykrych niespodzianek, lecz teraz interesują mnie panie ukrywające się w swoich sypialniach.
  - Były bardzo zdenerwowane.
  - A pan ufa zdenerwowanej niewieście bardziej niż mądrej?
- Spostrzegł, że Norman najchętniej oprotestowałby słowo „mądrej”, zrezygnował jednak.
- To normalne, że kobieta załamuje się w sytuacji takiej jak ta.
  - Mimo to nalegam, by sprowadzono je do salonu.
  - Jak pan sobie życzy - powiedział Norman niechętnie.

Thorn skinął głową.

- Muszę wrócić do domu i zająć się kilkoma pilnymi sprawami. Ufam, że potrafi pan zapobiec, by damy nie rozmawiały między sobą o ostatnich wydarzeniach.
- Odmaszerował, mając nadzieję, że odgłos kroków zagłuszy delikatny szelest dobywający się spod surduta.

\*\*\*

Bella wróciła do salonu, walcząc z pokusą, by udać omdlenie. Może pozwolono by jej wtedy udać się do sypialni i nieco ochłonać. Lecz gdyby tak postąpiła, pozostałe pomyślałyby, że Thorn potraktował ją w sposób niewybaczalny. To znaczy, nie Thorn, lecz księżę Ithor-ne. Nie obeszloby jej to specjalnie, obawiała się jednak,

że któraś mogłaby zrobić lub powiedzieć coś głupiego, albo, co gorsza, niebezpiecznego.

W głowie jej się kręciło, lecz przede wszystkim czuła się szczęśliwa. Thorn przybył, żeby jej pomóc. Znowu go zobaczyła...

- Bellono, moja droga. Co się wydarzyło? Zamrugła, spoglądając na Mary Evesham, wyraźnie zmartwioną. - Och, nic takiego. Wydaje się... Sądzę, że księżę naprawdę zamierza coś dla nas zrobić.

- Nie wolno nam ufać mężczyźnie takiemu jak on

- prychnęła gniewnie Hortensja.

- Ktoś musi nam pomóc - odpaliła Bella.

- Och, proszę, nie kłóćcie się - zaszlochała Betsy.

- Czuję, że będę miała migrenę.

Bella już miała wybuchnąć, gdy do salonu weszły Ellen i Clara. Clara nie wydawała się przesadnie zmartwiona, lecz Ellen wprost trzęsła się ze strachu, wodząc dookoła spojrzeniem, jakby w każdym kącie czyhało na nią zagrożenie.

- Pomagałaś Drummondównom! - wykrzyknęła Betsy, wskazując na Ellen. - Jeśli mają mnie powiesić, niech powieszają też ciebie!

Ellen osunęła się na podłogę zemdlna.

## Rozdział 30

Thorn rozłożył na biurku pomięte, acz starannie wypisane listy prenumeratorów. Nazwiska ułożono w porządku alfabetycznym, choć kilka rzadziej spotykanych liter zgrupowano razem. Najniższe wpisy poczyniono świeżym atramentem, podczas gdy te na górze były już nieco wyblakłe. Przejrzał listy i znalazł nazwiska wielu modnych dam. Wcale go to nie zaskoczyło. Biuletyn lady Fowler stanowi! dla wielu źródło doskonałej rozrywki.

Było tam nazwisko matki Robina, i Psyche Jessin-gham. Spostrzegł lady Arradale i uniósł brwi. Czy żona Rothgara zamawiała biuletyn w imieniu męża, czy własnym? Wiedziano powszechnie, iż ma w kwestii kobiecej bardzo zdecydowane poglądy.

Nie wolno mu było zniszczyć list, gdyż mogły okazać się ważne. Kilku spośród prenumeratorów mogło być prawdziwymi orędownikami rewolucji, a tym samym osobami niebezpiecznymi. Mimo to był zadowolony, że zabrał listy z domu lady Fowler. Skończył je przeglądać i zamknął w szufladzie biurka.

Kolejna przys!uga oddana jego niezwyklej damie. Zdawał sobie sprawę, że gdyby go poprosiła, zrobiłby dla niej coś o wiele bardziej wątpliwego moralnie, i czuł się z tego powodu nieswojo. Na pewno musiał wybawić ją z niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się teraz znajdowała... A co potem?

Tabitha wskoczyła mu na biurko. **-Ai-o.**

- Czy był to dźwięk wyrażający rezygnację? Zapewne. Nie mogę dłużej udawać, że ona nie istnieje. Osiwieję w jedną noc. Lecz kiedy powiedzieć jej prawdę?

- Komu? - zapytał Christian, wchodząc.

- Ludzie pukają zazwyczaj, nim wejdą - zauważył chłodno.

Christian uniósł brwi, jednak uwaga Thorna nie zrobiła na nim wrażenia.

- Wchodziłem do ciebie bez pukania przez większość naszego życia. Nadal rozmawiasz z Tabby? A ona ci odpowiada?

- Jest niczym wyrocznia. Enigmatyczna. Przyglądał się z rozbawieniem, jak Tabitha znika pod biurkiem. Najwidoczniej nadal nie lubiła Christiana. Przeciwnie niż jej dzieci. Kocięta, teraz już całkiem spore, wytoczyły się z koszyka i zaczęły ocierać o buty gościa.

- Zostajesz? - spytał Thorn.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - odparł Christian. Zabrzmiało to niemal sarkastycznie.

Thorn potrząsnął głową. - Przepraszam. Oczywiście, przecież to także twój dom. Miałem okropny poranek. - Opowiedz - powiedział Christian i Thorn posłuchał.

- Ta Spencer! - wybuchnął Christian. - Nie przyjmę jej pod swój dach!

- Zamierzałem podrzucić ją Robinowi.

- Na dłuższą metę to się nie uda. Takie kobiety należałoby umieszczać w klasztorze. Zamknąć, ale traktować przyzwoicie.

Thorn przypomniał sobie, jak dyskutował o tym z Bellą.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał Christian.

- Bo jestem szalony.

- Możesz wydostać stamtąd Ellen Spencer?

- Będę musiał - powiedział Thorn. Nagle poczuł się gotowy, by opowiedzieć przybranemu bratu o Belli.

Gdy skończył, Christian uśmiechał się szeroko.

- Wydaje się, że to dla ciebie odpowiednia kobieta.

- Nie ma pojęcia, jak być księżną. A na pewno nie większe, niżli ten kociak - odparł Thorn, śpiesząc z pomocą Sabie, który zaplątał się w zasłony.

- Jest bystra, a także rozsądna. I nieprzewidywalna. Mówiliśmy ci już, że potrzebujesz właśnie takiej żony.

- Ekscentryczna księżna Ithorne? Nie chcę jej uniesz-częśliwić, Christianie. Wiesz, jak okrutny potrafi być nasz świat, zwłaszcza jego najwyższe kręgi.

- Tak, ale z tego, co mówisz, dziewczyna odznacza się silnym charakterem. Ty zaś, jak sam powiedziałeś, nie masz wyjścia. - Bo nie mam, prawda? Jakkolwiek dziwaczna jest siła, która przyciąga ludzi ku sobie wbrew logice i społecznym oczekiwaniom, uczyniła mnie swoim narzędziem i włada mną na tyle długo, bym wiedział, że to nie przelotny kaprys. Masz w mieście coś do załatwienia, czy przyjechałeś tylko, by mi doradzać?

- Jest kilka spraw, poza tym możemy już chyba uwolnić cię od kotów.

Thorn spojrział na Tabithę i poczuł ukłucie w sercu.

- Ale z kim będę się konsultował...?

- Jeśli chcesz je zatrzymać...

- Caro na pewno by się nie zgodziła.

- W domu są tuziny kotów, a ona pracuje jak pszczołka, ucząc się prowadzić gospodarstwo. - Christian uśmiechnął się z oddaniem. - Została stworzona do życia w wiejskiej posiadłości. Poza tym, nosi pod sercem przedstawiciela kolejnego pokolenia, Boże zbaw Anglię. - Gratuluję.

- Lepiej weź się sam do roboty - odparł Christian radośnie. - Zatrzymaj na razie koty. Wrócimy do tematu, kiedy spotkamy się we trójkę, z Caro.

- Doskonale. Chętnie zostałbym dłużej, lecz muszę wracać do jaskini zła. - Otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z lokajem. Służący odsunął się zaskoczony.

- Tak?
- Jakiś dżentelmen do pana, *sir*. Niejaki pan Clatterford, w związku ze sprawą lady Fowler.
- Gdzie jest?
- W trzecim pokoju recepcyjnym, proszę pana. Thorn zszedł na parter i zobaczył przysadzistego mężczyznę o uczciwej twarzy. Skinął na powitanie głową.
- Witam, panie Clatterford. Pan Clatterford także się uklonił.
- Wasza Miłość.

Thorn wskazał gościowi krzesło.

- W czym mogę pomóc?
- Przepraszam, że pana nachodzę, ale jak zrozumiałem, jest pan zaangażowany w niefortunne wydarzenia, jakie zaszły ostatnio w domu lady Fowler. Przyszedłem, by prosić o pomoc dla jednej z zatrzymanych dam. Thorn ukrył zniecierpliwienie. Kolejny petent, pomyślał, rozczarowany.
- O którą damę chodzi?
- O pannę Flint.

A, to coś zupełnie innego.

- Co łączy pana z tą damą?
- Jestem jej prawnikiem, Wasza Miłość. Miałem zaszczyt zajmować się sprawami jej ciotecznej babki, lady Raddall, a kiedy odeszła, zostawiając pannie Flint spadek, przejąłem nad nim opiekę.

A zatem prawnik wiedział, że nazwisko Flint jest fałszywe.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Clatterford?
- Mam nadzieję, iż pomoże mi pan wydostać ją z tego domu. Zerwała z towarzystwem lady Fowler na kilka tygodni przed tym, jak miały tam miejsce nieprzyjemne wydarzenia.

Doprawdy?

- A to czemu?
- Ponieważ, jak pan zapewne podejrzewa, nie podobało jej się to, co się tam wówczas działo.

- Zatem dlaczego wróciła? Mężczyzna skrzywił się, przejęty.
- Wiem tylko to, co powiedziała mi jej gospodyni. Posłała po mnie wczorajszej nocy, kiedy jej pani nie wróciła do domu po tym, jak wybrała się z wizytą do lady Fowler. Gospodyni, pani Gussage, poszła sprawdzić, co się stało i natknęła się na strażnika. Nie pozwolono jej rozmawiać z panną Flint. Natychmiast zaczęli mnie szukać, ale zajęło im to - jej i jej synowi - trochę czasu z powodu późnej pory. Rankiem, najwcześniej jak było to możliwe, udałem się do domu lady Fowler. Potraktowano mnie jak natręta, lecz jeden z urzędników skierował mnie do pana. Zapewniam, *sir*, że panna Flint niezdolna jest do popełnienia jakiegokolwiek zbrodni.
- Więc nie znasz jej tak dobrze jak ja. Bella Barstowe zrobiłaby w imię sprawiedliwości wszystko, co uznałaby za konieczne. Pozostawało mieć nadzieję, że nie uznała za konieczne szkodzić monarchii. Tak czy inaczej, miał oto przed sobą trzeźwo myślącego, godnego szacunku dżentelmena, który gotów był za Bellę poręczyć, a to mogło się okazać użyteczne.
- Zatem, według pańskiej wiedzy, nie brała udziału w działaniach, które miałyby cokolwiek wspólnego ze zdradą?
- Z pewnością nie, *sir*.
- **Czy** ktoś jeszcze mógłby za nią poręczyć?
- Prawnik wydawał się zakłopotany, i nic dziwnego, wiedział przecież, że jego podopieczna posługuje się fałszywym nazwiskiem.
- Jestem pewien, że mógłbym znaleźć kilka osób, choć panna Flint prowadziła bardzo spokojne życie.
- Thorn wstał.
- Dobrze, zrobię, co będę mógł. Gdzie ma pan biuro?
- W Tunbridge Wells, Wasza Miłość.
- Thorn zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał, zaskoczony, na prawnika.



- Przyjechałem namówić pannę Flint, żeby wróciła ze mną do Wells. Mieliśmy dziś wyjechać.
  - Mogę zapytać, dlaczego?
  - By tam zamieszkać, *sir*. Postarałem się, żeby znalazła schronienie w domu znajomych dam, co pomogłoby jej odzyskać należne miejsce w towarzystwie.
  - I panna Flint się zgodziła? - spytał, wielce zainteresowany.
- Jego ciekawość została źle odczytana. Prawnik poczuł się urażony.
- Uważam, iż da się w tej sprawie sporo zdziałać, Wasza Miłość.
- Thorn uznał, że lubi pana Clatterforda.
- Życzę panie Flint miłego pobytu w Wells i zapewniam, że zrobię, co w mojej mocy, by umożliwić jej wyjazd.
- Mówił poważnie. Gdyby Bella została w towarzystwie zaakceptowana, wiele by to ułatwiło. Sam mógłby dyskretnie jej w tym pomóc. Odprowadził Clatterforda i już miał wyjść, gdy doręczono mu wiadomość od Rothgara.

***Drogi Panie,***

***Piszę w pośpiechu w związku ze sprawą tej Fowler. Obawiam się, że jeśli zostawimy sprawę w rękach łowców szpiegów, damy mocno ucierpią, i to nim dojdzie do procesu. Sugeruję, by zwrócono się bezpośrednio do króla. Jego Wysokość zawsze okazywał wyrozumiałość słabszej płci i może zechce przyjść w sukurs damom w potrzebie.***

***Wielce zobowiązany, etc, Rothgar***

Thorn podziwiał przez chwilę formę listu i dobór słów. Rothgar zabezpieczył się na wypadek, gdyby wiadomość wpadła w niepowołane ręce. Mężczyzna żonaty z hrabiną Arradale nie mógł uważać, że kobiety stanowią generalnie słabszą płęć, lecz król traktował to jak biblijne objawienie.

Pomyślał o Belli jako o przedstawicielce słabszej płci i potrząsnął głową. Uznał jednak, że potrafi odegrać rolę słabej kobietki. Evesham i Abercrombie będą pasowały do wyobrażeń monarchy. Nie wiedział nic o kobietach, które schroniły się w sypialni, lecz fakt, że tak postąpiły, dawał nadzieję, iż okażą się równie słabe, jak panna Abercrombie. Więcej problemów mogła przysporzyć chuda i zgorzkniała panna Sprott. Wyglądała na osobę, która chętnie zawiśnie za swoje przekonania. Poleciał Overstone'owi, by sformułował petycję do króla, a Josephowi, by przygotował strój stosowny podczas ewentualnej audiencji, a potem ruszył na Grafton Street, zostawiając w domu co najmniej dwie osoby zajęte pilnie pracą.

\*\*\*

Bella szyła, wybrawszy coś z koszyka z rzeczami dla biednych, trzymanego w salonie. Zachęciła pozostałe panie, by poszły w jej ślady. Dobrze było się czymś zająć, zwłaszcza że nie wolno im było rozmawiać o ważnych sprawach.

Jak należało się spodziewać, wróciła pamięcią do saloniku w gospodzie w Upstone i wieczoru, kiedy Thorn czytał książkę o Persji, a ona szyła. To zapewne nienormalne, że te spokojne godziny wydawały jej się szczęśliwsze niż czas spędzony razem w łóżku, lecz może po prostu łatwiej było je wspominać. Jakież groziło mu niebezpieczeństwo! Nie zniosłaby, gdyby z jej powodu spotkało go nieszczęście. Przeczucie skłoniło ją, by podniosła wzrok. Thorn stał w drzwiach. Z trudem powstrzymała cisnący się na wargi uśmiech. Miała nadzieję, że rumieniec, jaki wypłynął jej na policzki, pozostanie niezauważony.

- Jesteśmy gotowi sprawdzić, co panie zapamiętały - powiedział. - Poproszę pannę Flint i panią Evesham.

Bella wstała, zadowolona, że wybrał Mary jako pierwszą. Jej opis wydarzeń będzie najbardziej spójny i bezstronny. Weszli do skrytorium, gdzie zastali młodzieńca układającego na stole papier, kilka piór i trzy kałamarze. Jeden został już otwarty.

W pokoju był też inny urzędnik, z wyglądu nieco niższej rangi, wyposażony we własne utensylia. Zapewne kazano mu poczynić notatki dla lorda kanclerza. W kącie siedział starszy mężczyzna, którego rolą było jedynie obserwować.

Usiedli wszyscy i zaczęło się przesłuchanie.

Poszło dobrze, gdyż z jasnych wypowiedzi Mary wynikało jednoznacznie, że większość pań nie miała wiele wspólnego z napisaniem i wydrukowaniem podlegających artykułów. Betsy Abercrombie nadal groziło jednak niebezpieczeństwo.

Jako następną Thorn wezwał Ellen Spencer.

Weszła, zapewniając rozpaczliwie, że jest niewinna. Zachowywała się tak, jakby właśnie wciągano ją po stopniach szubienicy i sprawiała wrażenie winnej jak diabli. Kiedy Thorn polecił, by się uspokoiła i opowiedziała o ostatnich wydarzeniach, wybuchnęła płaczem.

Thorn spojrzał na Bellę, oczekując pomocy. Dotąd stosowała się do wcześniejszych instrukcji i posłusznie milczała, lecz teraz objęła Ellen i powiedziała:

- Ellen, kochanie, nie możesz tak się zachowywać. Wszyscy wiemy, że nie zrobiłaś nic złego.

Ellen spojrzała na nią.

- Ależ zrobiłam, Bellono! Najgorszą z możliwych rzeczy! - A potem wyszeptała, jakby sądziła, iż można to będzie utrzymać w tajemnicy: - Popełniłam morderstwo. A Helena Drummond o tym wiedziała.

Bella zerknęła na Thorna, nie mógł jednak nic zrobić, a urzędnik Normana wszystko skrupulatnie zapisywał, podobnie jak jego własny. Zaczęła się zastanawiać, gdzie znalazł kancelistę pasującego tak idealnie do książęcego wizerunku.

Ktoś musiał zadać nieuchronne pytanie, więc uczyniła to Bella.

- Kogo zamordowałaś?

- Właściwie to nie zamordowałam... - wyszeptała Ellen. - Widzisz, on nie zjadł tego ciastka. Lecz próbowałam. Powiedzieli lady Fowler i tak dowiedziała się o tym Helena. Zmuszała mnie, żebym robiła różne rzeczy.

Bella nie ośmieliła się zadać następnego pytania, lecz zrobił to Thorn.

- Jakie rzeczy, panno Spencer?

- Ta gazetka... Sporządziłam czystopis. - Zakryła twarz przemoczoną chusteczką. - Były tam okropne rzeczy. Przeciwno królowi, który jest takim dobrym człowiekiem.

- Wykreślcie to - polecił ostrym tonem Thorn. - Panno Spencer, nikt nie zamierza oskarżać pani z powodu tamtej próby zabójstwa. Działała pani w stresie, ponieważ sądziła, że chlebodawczyni grozi niebezpieczeństwo. Próbowała ją przed nim uchronić w jedyny dostępny sposób. Kilka szacownych osób, z których opinią trzeba się liczyć, poręczyło za pani charakter.

Wiedział o tym? Skąd?

- Naprawdę? - spytała Ellen, opuszczając nieco tarczę z chusteczki.

- Przysięgam na honor, *madame*.

Bella wyjęła kobiecie z ręki przemoczoną chustkę i zastąpiła własną. Ellen wydmuchała nos. Bella spróbowała dopasować w myślach ten nowy kawałek układanki.

Ellen zaczęła mówić o ostatnich wydarzeniach. Opis, stosunkowo składny, okazał się nader użyteczny. Helena Drummond sądziła bowiem, że ma nad Ellen władzę i nie starała się niczego ukryć. Bella podejrzewała, że Ir-landce psychiczne znęcanie się nad słabszą kobietą sprawiało wręcz przyjemność.

Helena udawała, że konsultuje się z lady Fowler, lecz biedna kobieta rzadko była w stanie wyrazić swoją wolę,

zatem wyglądało to raczej tak, że Drummondów-na po prostu informowała ją o podjętych działaniach. Zadbano jednak o to, by Ellen mogła zaświadczyć, że starsza dama wyraziła na nie zgodę.

- I na ogół ją wyrażała - stwierdziła Ellen poważnie. Teraz, kiedy powiedziała już o najgorszym, zaczynał wracać jej rozsądek. - Lady Fowler nie była w pełni władz umysłowych, zgodziła się zatem, że jeśli jej nazwisko zostanie powiązane z wielką rewolucją, ta odniesie spektakularny sukces. Nie bała się śmierci, lecz tego, iż może zostać zapomniana.

- Jednak plan tejże rewolucji oraz wydania gazetki był w całości autorstwa Heleny Drummond? - zapytał Thorn.

- O ile wiem, tak, Wasza Miłość.

- Chciałaby pani dodać coś jeszcze, co mogłoby okazać się ważne?

Ellen zastanawiała się przez chwilę. Teraz, gdy odzyskała nad sobą panowanie, wydawała się inną osobą.

- Tylko to, że damy, które się tu znajdują, nie mogą być zdrajczyniami, Wasza Miłość. Niektóre są dość niemądre, a inne zgorzkniałe, ale poza tym lojalne i uczciwe.

Rozsądna kobieta, chociaż niemiała, pomyślała Bella, zadowolona, że przesłuchanie Ellen dobiegło końca. Thorn spojrzał na Bellę.

- Dziękuję za pomoc, panno Flint. Zgadza się pani z tym, co powiedziała na koniec panna Spencer? Damy nie są winne zdrady?

- Zgadzam się całkowicie, Wasza Miłość. Spojrzał na swoją listę.

- Kto został? Panna Sprott, pani Ormond i panna Abercrombie. Porozmawiamy teraz z tą ostatnią. Bella martwiła się o Betsy. Wspierała z entuzjazmem siostry Drummond zapewne dlatego, że była słabą kobietą, szukającą oparcia w osobach o silniejszym charakterze. Lecz była też na tyle głupia, że mogła powiedzieć coś, co naraziłoby ją na niebezpieczeństwo. Thorn wyda-

wał się tego domyślać i zadawał tylko najprostsze pytania. Betsy, przerażona, nie dodawała nic od siebie.

Hortensja weszła do pokoju, emanując wrogością, wypowiadała się jednak krótko i na temat. Od razu stało się jasne, że nie znosiła sióstr Drummond. Clara Ormond była zaś w tak oczywisty sposób miłą, starszą damą, że trudno byłoby o cokolwiek ją podejrzewać.

Gdy wyszła, Thorn powiedział:

- I to by było na tyle.

- Nie całkiem - wtrąciła Bella. - Jest jeszcze Agnes Hoover, pokojówka lady Fowler. Teraz, gdy ciało jej pani spoczywa w trumnie, może zgodzi się z panem porozmawiać, jeśli ktoś inny zastąpi ją przy zwłokach.

Thorn zwrócił się do urzędnika Normana:

- Mógłby pan znaleźć chętną damę? Najlepsza byłaby panna Evesham, lecz każda będzie odpowiednia.

Urzędnik skłonił się i wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Thorn powiedział cicho:

- Ten kancelista jest moim pracownikiem, a pan Delibert prawnikiem. Możemy rozmawiać przez chwilę otwarcie. Staramy się zainteresować sprawą króla. Jeśli nam się uda, wyśle zapewne kogoś, by przeprowadził dochodzenie w jego imieniu. To niezwykle istotne, by każda z pań była opanowana, sprawiała wrażenie niewiasty uczciwej i konwencjonalnej.

Bella zmarszczyła brwi, powiedziała jednak tylko:

- Rozumiem, Wasza Miłość. Chciałabym podziękować panu jeszcze raz za pomoc.

Boże! Czyżby planował skłonić kogoś, by podał się za królewskiego wysłannika?

Wrócił urzędnik Normana, a wkrótce po nim do pokoju weszła Agnes Hoover. Zachowywała, jak zwykle, stoicki spokój, opisała jednak siostry Drummond w wyjątkowo zjadliwy sposób. Nie oszczędziła też reszty pań, lecz jej wypowiedź nie dawała podstaw, by kogokolwiek oskarżyć.

Gdy wyszła, Thorn powiedział:

- Dziękujemy pani, panno Flint.

Bella bardzo chciała porozmawiać z Thornem na osobności, skłonić go, żeby zakończył tę niebezpieczną maskaradę, musiała jednak usłuchać polecenia. Wstała zatem, skłoniła się i wyszła. Thorn nie życzył sobie tracić Belli z oczu, poza tym dręczyło go, że dziewczyna martwi się o jego bezpieczeństwo. Nie znalazł jednak dotąd okazji, by wyznać jej, że jest księciem. Coś takiego mogłoby zbytnio nią wstrząsnąć, a jeśli ma przetrwać kilka najbliższych dni, będzie potrzebowała całego rozsądku i opanowania, na jakie tylko ją stać. Jednak gdy panie będą wreszcie bezpieczne, wyjaśni wszystko, mając nadzieję na szczęście.

Im szybciej, tym lepiej. Posłał po Normana.

- Moim zdaniem damy są niewinne i powinny zostać zwolnione.

- Z całym szacunkiem, Wasza Miłość, nie zgadzam się z panem. Ewidentnie kilka z nich pomagało siostram Drummond. Przynajmniej one tak twierdzą.

Do diabła z tym człowiekiem. Rzucenie niespodziewanie takiej bomby musiało sprawić mu nie lada przyjemność.

- Schwytaliście Drummondówny? Norman uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Tak, *sir*. Twierdzą, że panny Abercrombie i Spencer z entuzjazmem uczestniczyły w zdradzieckim przedsięwzięciu. Mój urzędnik powiedział, że panna Spencer sama to przyznała.

- Przyznała jedynie, że działała pod przymusem.

- Ponieważ obawiała się oskarżenia o morderstwo.

- Zapewniam pana, że nikt nie umarł i nie zamierza o nic jej oskarżyć.

- Drummondówny twierdzą także, iż panna Flint wspierała ich sprawę i często z nimi o tym rozmawiała.

Rzeczywiście, to żmije, pomyślał. Albo postanowiły pociągnąć za sobą pozostałe panie, albo próbowały zwią-

zać swój los z tymi spośród nich, które mogły mieć wpływowych przyjaciół.

Żywił dotąd nadzieję, że uda się uniknąć królewskiej interwencji, gdyż Jerzy był w tego rodzaju sprawach nieprzewidywalny. Lecz teraz widział, że to jedyny sposób. Rothgar miał, jak zwykle, rację. Rzucił więc własną bombę.

- Powinien pan wiedzieć, że król osobiście interesuje się sprawą i skłania się ku temu, aby okazać pobłażliwość... wszystkim damom poza, oczywiście, siostrami Drummond.

Norman zacisnął wargi.

- Jak zrozumiałem, Jego Wysokość był bardzo rozgniewany.

- Lecz tylko na prawdziwych winowajców.

- Zaczekam, aż pańska opinia się potwierdzi, *sir*.

- Oczywiście. Ma pan do wypełnienia obowiązek. Doradzałbym jednak, by traktowano damy z szacunkiem. Niektóre, w tym panna Spencer, mają wysoko postawionych protektorów, którym leży na sercu ich los. I nie chodzi tu jedynie o mnie.

Przywołał kancelistę i wrócił do domu, zastanawiając się po drodze, jaki powinien być następny krok w tej ryzykownej grze. Zdawał sobie w pełni sprawę, że nie uczestniczył dotąd w rozgrywce o tak wysoką stawkę i miał nadzieję, że nie będzie musiał robić tego w przyszłości. Stawka była wysoka, ponieważ chodziło o życie Belli.



## Rozdział 31

Przygotował się starannie do audiencji. Miała być prywatna, zatem pełny dworski strój byłby nie na miejscu. Jednakże król wyznaczył w tym celu pałac St. James's, to zaś oznaczało, że spotkanie przebiegać będzie w formalnej atmosferze. Sugerowało także, iż Jego Wysokość nie jest zbyt życzliwie usposobiony.

Joseph przygotował surdut z ciemnoniebieskiego aksamitu, ozdobiony skromnym haftem. Thorn go zaaprobował, zmieniając jedynie kamizelkę na bardziej ozdobną.

- Nie chcę wyglądać, jakbym udawał się na pogrzeb. Po zastanowieniu zrezygnował z pudrowanej peruki,

oznaczało to jednak, że trzeba sprowadzić fryzjera, aby ułożył mu włosy. Na koniec, przypiąwszy order, uznał, że wygląda najlepiej, jak to możliwe. Nie podobało mu się jednak, iż czuje się zdenerwowany.

Zaprezentował się Tabicie, czekając na jej ocenę. Kotka zmrużyła oczy.

- Nic mi nie poradzisz?

- **Ieee.**

- Absolutnie niezrozumiale. - Spojrzał na koszyk.

- Gdzie twoje potomstwo, **madame!** - Rozejrzał się i spostrzegł Sable'a. Kociak przycupnął na oparciu krzesła, starając się wyglądać groźnie. Georgie siedział na podłodze. Thorn podniósł go i posadził obok brata.

- Gdybyż twoim imiennikiem dało się manipulować równie łatwo - zauważył, wychodząc.

\*\*\*

Tak jak się spodziewał, król był bardzo podekscytowany. Perorował, iż czuje się urażony, wielce urażony, nawoływaniem do przemocy. Postępując tak, kobiety pogwałciły wszelkie prawa: ludzkie, boskie i prawo natury, dlatego trzeba przykładowo je ukarać.

- Jeśli chodzi o siostry Drummond, oczywiście, lecz pozostałe panie są zupełnie inne. Mamy tam siostrę wikarego, wdowę po diakonie, delikatną, kruchą starszą damę i biedaczkę, która raczej nie znajdzie sobie męża. Skupiły się wokół lady Fowler jedynie dlatego, że nie miały innego wyjścia. Jakoś nie potrafił uderzyć we właściwą nutę. Był petentem, lecz król nie uwierzyłby komuś płaszczącemu się, poza tym Thorn i tak nie byłby w stanie zmusić się do czegoś takiego. Ogólnie biorąc, jego stosunki z władcą pozostawały dosyć chłodne, zwłaszcza odkąd obaj zainteresowali się tą samą damą - lady Sarah Lennox.

Jerzy wyobrażał sobie zapewne, że wygląda surowo i zdecydowanie, Thornowi wydawał się jednak po prostu nadąsany.

- Powinny były poszukać schronienia u głowy rodziny, co?

- W niektórych przypadkach było to niemożliwe, poza tym bały się zdać całkowicie na czyjąś łaskę. To przyzwoite kobiety, Wasza Wysokość.

- Rozumiem, rozumiem. Niefortunna sytuacja, co?

- Bardzo, zważywszy, do czego doprowadziła. Jestem pewien, że Wasza Wysokość zgodzi się ze mną, gdy powiem, że to nie do pomyślenia, by takie przyzwoite niewiasty zostały zamknięte w więzieniu. Przyglądał się zaniepokojony, jak król przemierza komnatę, założywszy z tyłu dłonie. Wreszcie zatrzymał się i spojrzał gniewnie.

- Nie sądziłem, że mógłbyś zaangażować się w tego rodzaju sprawę, Ithorne.

Lecz Thorn był przygotowany.

- Rzeczywiście, zostałem jednak o to poproszony. Między innymi przez pana Rothgara.  
- Rothgar, hę? Przesłał mi w tej sprawie list. Przyzwoite kobiety, co? Żadnych skłonności do rebelii?  
Thorn odsunął myśl o pannie Sprott, a także samej Belli.

- Absolutnie, Wasza Wysokość.

- Trzeba się ożenić, co?

Thorn uświadomił sobie, że król zwraca się do niego.

- Mam nadzieję uczynić to w najbliższej przyszłości, *sire*.

- Doskonale. Małżeństwo naprowadza mężczyznę na właściwy kurs. Usuwa w cień szalone dni.

- Mam nadzieję, iż małżeństwo wzbogaci moje życie, *sire*.

- Wzbogaci, owszem. Dokonale, co? I dzieci, dużo dzieci, co?

Obawiając się, że rozmowa zmierza w niepożądanym kierunku, spytał:

- Zatem, czy mogę polecić, by uwolniono damy? Król zeszywniał, a potem dziwnie się skrzywił.

Boże,

oby tylko nie dostał ataku! Na szczęście nie byli sami. W pokoju znajdował się też królewski szambelan, lord Devoner, pod ścianą zaś stał, nieruchomy niczym posąg, lokaj.

Thorn zagrał ostatnią kartę, choć miał nadzieję, że nie będzie musiał tego robić.

- Mógłbym przedstawić Waszej Wysokości rzeczony damy, by Wasza Wysokość mógł się przekonać, że są to kobiety lojalne i przyzwoite.

Król skrzywił się znowu i zmarszczył brwi, jakby rozważał problem. W końcu powiedział:

- Tak, tak! Doskonały pomysł. Spotkam się z nimi tam, gdzie się znajdują. Zobaczą ten dom. Poczuję atmosferę i będę wiedział, jak postąpić.

Thorn uświadomił sobie, że obawy o zdrowie króla nie były przesadzone. Władca nie był w pełni władz umysłowych. Tym jednak będzie trzeba zająć się później. Teraz

najważniejsze było bezpieczeństwo Belli i ta dziwaczna decyzja. Spodziewał się, że król wezwie damy do siebie, albo do innej królewskiej rezydencji i miał nadzieję, iż otoczenie onieśmieli na tyle pannę Sprott, by nie wygłaszała buntowniczych uwag. Teraz nic już nie dało się zrobić. Nie był w stanie nawet wysłać ostrzeżenia. Spróbował zniechęcić króla.

- Lady Fowler dopiero co zmarła i miazmaty jej choroby unoszą się jeszcze w powietrzu, *sire*.

Lecz król spojrział na niego z gniewem.

- Próbujesz coś ukryć, Ithorne? - Nic podobnego, Wasza Wysokość.

Wyjechali niemal natychmiast zwykłym powozem bez świty, ponieważ król życzył sobie zachować incognito. Stangreci mieli jednak broń, a tuż za powozem jechało konno dwóch uzbrojonych dżentelmenów. Dojechali bez przeszkód na Grafton Street, choć strażnik przy drzwiach o mało nie dostał zawału, kiedy zobaczył, kto przybywa.

Norman zbladł, a potem poczerwieniał i zaczął się pocić. Thornowi bardzo się to spodobało.

- Gdzie są panie? - zapytał.

- W saloniku, Wasza Miłość - odparł Norman.

- Skończyły niedawno jeść obiad. I był to doskonały posiłek, zapewniam.

Król rozejrzał się po zwyczajnym otoczeniu.

- Brzydko pachnie - stwierdził. - Ktoś nie potrafi utrzymać w domu porządku, co?

Thorn nie przypominał władcy, że go ostrzegał.

- Czy mam przyprowadzić panie, *sire*? - zapytał.

- Obok jest nieużywany pokój.

- Nie. Powinienem stawić czoło lwicom w ich legowisku, co? - Król poweselał, co było dobrym znakiem. Lubił odgrywać dobroczyńcę. - Którędy?

Norman rzucił się otwierać drzwi.

- Jego Wysokość, król! - oznajmił. Obaj zasłonili skutecznie wnętrze pokoju i Thorn nie był w stanie dojrzeć, jaki widok ukazał się oczom władcy.

Lecz kiedy wszedł do salonu, uśmiechnął się pod nosem. Bella dobrze się spisała.

W salonie znajdowało się sześć dam. Zerwały się z krzeseł, zaskoczone. Wszystkie miały w rękach robótki, poza panią Abercrombie, która im czytała.

Król usiadł.

Thornowi ulżyło, gdy się przekonał, że damy wiedzą, iż powinny nadal stać.

- Proszę czytać dalej! - rozkazał władca.

Pani Abercrombie posłuchała, choć głos jej drżał. Przypadkiem - a może z wyboru - lekturę stanowiło kazanie na temat pokory. Król słuchał przez chwilę, potakując, a potem powiedział:

- Dość, wystarczy.

W pokoju zapadła cisza. Panie utkwily spojrzenia w królu. Większość wyrażała zaniepokojenie, lecz Thorn wyczuwał, że panna Sprott z trudem powstrzymuje się, by czegoś nie powiedzieć. Bella wydawała się najbardziej opanowana, choć i ona zachowywała czujność.

- Byłyście bardzo niemądre - powiedział król. - Kobieta nie powinna obywać się bez męskiego przewodnictwa, na co mamy tu oczywiste dowody. Także lady Fowler jeła zachowywać się ekscentrycznie dopiero po śmierci męża.

Panna Sprott wydała z siebie pełen oburzenia dźwięk, maskując go kaszlem.

- Powiedziano mi, iż żadna z pań nie ma w rodzinie mężczyzny, który mógłby zapewnić jej opiekę, co?

Odpowiedziały mu potakiwania, poparte gorliwym skinieniem głowy.

- Doskonale. Skoro tak, wezmę was pod swoje skrzydła. Będę dla was niczym troskliwy ojciec.

Thorn z trudem zachował powagę, zwłaszcza kiedy zobaczył, że Bella też ma ochotę się roześmiać.

Lecz sytuacja szybko przestała być zabawna.

- Jako swojego pełnomocnika wyznaczam Jego Miłość księcia Ithorne. Poddacie się jego woli, a on uchroni was przed podobnym szaleństwem w przyszłości.

W pokoju zapadła niebezpieczna cisza, lecz potem Ellen uratowała sytuację. Padła na kolana, złożywszy przed sobą dłonie.

- Wasza Wysokość! Jesteś, panie, zbyt dobry, zbyt szlachetny! Robisz tyle dla tak niemądrych kobiet jak my!

Król uwielbiał tego typu przedstawienia, lecz Thorn uznał, że tym razem było ono szczere. Pozostałe panie poszły za przykładem Ellen. Pani Evesham wyglądała co prawda, jakby napiła się octu, a panna Sprott, jakby miała się udusić, ukłękły jednak obydwie, podobnie jak Bella. Pochyliła nisko głowę i wtedy Thorn coś sobie uświadomił.

Przez cały czas trwała w przekonaniu, że ma do czynienia z kapitanem Rose, lecz nikt nie ośmieliłby się udawać księcia w obecności króla. Zacisnął dłonie w pięści, powstrzymując się z trudem, by do niej nie podbiec i nie zacząć wyjaśniać.

Rothgar lepiej by sobie poradził, pomyślał.

Bella była oszołomiona.

Powinna była domyślić się prawdy, gdy wspomniał pierwszy raz o królu, założyła jednak, że to tylko gra.

W pierwszej chwili nie widziała nikogo poza monarchą. Skupiła się na tym, by wyrzeć odpowiednie wrażenie i mieć oko na pozostałe panie. Dopiero słowa „książę Ithorne” uświadomiły jej, że i Thorn tu jest. Spojrzała na niego i już wiedziała.

Pomijając fakt, że stał u boku króla, był teraz w każdym calu dworskim arystokratą, odzianym w aksamit, strojnym w klejnoty, w butach na wysokich obcasach, z wymyślną fryzurą. Nie sposób było wyobrazić go sobie, jak daje odpór hultajom Pod Czarnym Szczurem.

Wtedy musiał tam być prawdziwy kapitan Rose, brat przyrodni Ithorne'a.

Teraz miała przed sobą księcia, a przecież poprzednio był tu Thorn. Mężczyzna, z którym podróżowała, który pomógł jej zniszczyć Augustusa. Czy byli aż tak do siebie podobni?

Nie potrafiła zorientować się, co jest czym i kto jest kim. Kiedy wokół niej rozgrywał się spektakl, starała się odegrać swoją rolę, lecz umysł miała zajęty rozważaniem, który z mężczyzn był kapitanem, a który księciem.

Z kim rozmawiała tamtej nocy Pod Busolą?

Kto czytał jej w saloniku Pod Jeleniem i Zającem?

I kto tak cudownie się z nią kochał?

Ledwie zauważyła, że król i książę wychodzą, lecz wkrótce okrzyki ulgi i mamrotanie podekscytowanych dam wyrwały ją z zamyślenia. Najwidoczniej miały zostać przeniesione do domu księcia i dano im zaledwie pół godziny, by mogły się spakować.

- Będziemy zdane na jego łaskę! - wykrzyknęła Hortensja. - To nikczemne!

- Bądź wdzięczna za to, co zostało ci dane - napomniała ją Mary Evesham ostro. - Róbmy, co nam kazano. Nie mogę się już doczekać, kiedy opuszczę ten dom.

- O, tak - westchnęła Clara, odchodząc pośpiesznie. Reszta podążyła za nią, lecz Bella powiedziała do Normana:

- Nie mam tu swoich rzeczy. Musiałam pożyczyć to, co było mi niezbędne. Mogę wrócić do domu i się spakować?

Normanowi odebrano możliwość zastraszania i nie był z tego zadowolony. Zemścił się więc na Belli.

- Nigdzie pani nie pójdzie, *madame*. Jego Miłość sam zdecyduje, czy może pani wrócić do domu.

Bella weszła więc do salonu i wzięła do rąk robótkę. Nie była jednak w stanie zająć się szyciem.

Umysł miała zbyt zaprzątnięty odgadywaniem tożsamości.

Półnagi Rose Pod Busolą wydawał się zakłopotany jej wizytą. Złożyła to na karb upojenia, lecz może nie wiedział, o czym Bella mówi, ani kim jest. Musiał być zatem prawdziwym kapitanem Rose, oznaczało to jednak, że Pod Czarnym Szczurem uratował ją książę.

Jak również, że to on towarzyszył jej w krucjacie przeciwko Augustusowi. Dlatego nie bał się spotkania z lordem

Fortescue. Jakże musiała ubawić go jej troska! Nic dziwnego, że nie poprosił jej o rękę. Co za idiotyczny pomysł.

Próbowała przywołać gniew, gdyż stłumiłby żal, przypomniała sobie jednak, że pośpieszył jej z pomocą, za co będzie mu wdzięczna do końca swoich dni. Żałowała, że nie wyznał prawdy już w Upstone, wiedziała jednak z doświadczenia, że kłamstwa i przebieranki mogą tak skomplikować sytuację, iż wyjaśnienie jej bywa niemożliwe.

Co jednak powinna zrobić teraz? Miała nadzieję, że książe pozwoli jej wyjechać z panem Clatterfordem do Tunbridge Wells i zgodzi się, iż powinni na dobre się rozstać. Będzie to bolesne, lecz przebywanie w jego domu ze świadomością, że jej marzenia nie mają szansy się ziścić, byłoby torturą. Uświadomiła to sobie z całą mocą, kiedy przybyły do Ithorne House. Wsiadły z trzech powozów i wprowadzono je do wspaniałego holu. Oczywiście, Bella już w nim była, lecz wtedy wszystko przypominało dekorację teatralną. Rzeczywistość okazała się równie wspaniała, co onieśmiałająca. Ciemne ściany dzieliły półkolumny ze złotego marmuru. Na suficie widniało malowidło, przedstawiające bogów i boginie, wstępujące pomiędzy niemożliwie wysokie chmury - jakby dla podkreślenia, że to miejsce nie jest przeznaczone dla zwykłych śmiertelników. Podłogę pokrywały marmurowe płytki, które zapamiętała. Wtedy wydały jej się nazbyt zwyczajne pośród przypominającego włoską uliczkę wystroju, lecz teraz widziała, że są luksusowe.

Thorn też tam był...

Nie, nie Thorn. Książe Ithorne. Powierzył każdą z dam opiece służącej, a te zabrały panie do przydzielonych im pokoi. Bellę poprosił, aby została, gdyż chce z nią porozmawiać. Było to zapewne konieczne, choć wolałaby zaszyć się w którejś ze skromniej wyposażonych sypialni i sobie popłakać. Wskazał jej pokój recepcyjny w pobliżu wejścia, jedno z tych miejsc, gdzie przyjmował zapewne osoby, których



wolał nie wprowadzać do prywatnej części rezydencji. Doceniła to, gdyż pozwalało zachować dystans. Gdy weszli, zamknął za nimi drzwi.

- Pozwolisz? - spytał. - Chyba lepiej, by nas nie podsłuchano.

Bella wzruszyła ramionami.

- Nie sędzę, by ktokolwiek przypuszczał, że zechcesz się na mnie rzucić.

Westchnął głośno, a potem powiedział:

- Najchętniej to właśnie bym zrobił. Bella się odwróciła.

- Nie. Nie wiem, jak do tego doszło, rozumiem teraz jednak, dlaczego nie chciałeś mieć ze mną nic do czynienia po tym, jak wróciliśmy z Upstone. - Zebrała się na odwagę, odwróciła i spojrzała na niego. - Naprawdę rozumiem. Nie mogę zostać jednak twoją kochanką, więc nasza znajomość musi się skończyć. Teraz.

Uśmiechnął się leciutko.

- Amazonka Kelano wróciła. Ale to Bellę pragnę poślubić.

Wiedział przez cały czas, kim była. Wiedział i milczał.

- To z pewnością dla mnie zaszczyt, Wasza Miłość, ale odpowiedź brzmi: nie.

-Nie?

Był tak zaskoczony, że niemal ją to rozbawiło, lecz gniew okazał się silniejszy.

- To niemożliwe i dobrze o tym wiesz. Właśnie dlatego nie próbowałeś mnie odszukać. Mogłeś to zrobić. Zaprzecz, jeśli się ośmielisz.

- Mogłem - przyznał. Zamknął na chwilę oczy, a potem powiedział: - Nie byłem pewny, jak należy postąpić.

- Nonsens. Dobrze to wiedziałeś. Spójrz na siebie. I na mnie.

- Teraz jestem już pewny - powiedział stanowczo. - Nie mogę bez ciebie żyć. Z mniejszymi problemami jakoś sobie poradzimy. - Podeszedł bliżej i dodał łagodnie, tonem, który znała tak dobrze:

- Kocham cię, Bello. Do szaleństwa.

Chętnie by się poddała, ale to nie był Thorn. Ten gładki mężczyzna, ten przystrojony klejnotami arystokrata, otoczony luksusem, nie był jej kochankiem, przyjacielem, wyśnionym mężem czytającym w przytulnym saloniku.

- Posłuchaj sam siebie! - prychnęła. - Do szaleństwa! To przemijające zauroczenie. To... - umilkła i odwróciła się. - Wkrótce odzyskasz rozsądek, Wasza Miłość, a ja nie chciałabym być wówczas twoją żoną.

- Masz mnie za głupca?

- Nie, jesteś tylko ogłupiały z miłości - skrzywiła się na dźwięk własnych słów. - Przepraszam. Byłeś dla mnie taki uprzejmy.

-Bello...

- Otrzymałam zaproszenie od dwóch uroczych starszych dam. Chcą, bym zamieszkała z nimi w Tunbridge Wells. Proszę, byś mi na to zezwolił.

Cisza, która zapadła nagle w pokoju, bardzo jej ciążyła. Nie była jednak w stanie spojrzeć na księcia.

- Dam ci wszystko, czego sobie zażyczysz, nawet to - powiedział.

Usłyszała głos Thorna i to sprawiło, że się odwróciła. Jednak mężczyzna, którego miała przed sobą, nadal był księciem.

- Tak będzie lepiej - zauważyła.

- Owszem - przytaknął. - Zapewne. - Dostrzegł widać, że mimo wszystko czuje się zraniona, machnął bowiem gwałtownie dłonią i dodał: - Nie o to mi chodziło. Postąpiłem niemądrze, oświadczając ci się już teraz. Nie byłem w stanie czekać. Ale zaczekam. Aż zmienisz zdanie.

- Nie rób tego, proszę. Jeśli ulegnę, doprowadzę nas oboje do katastrofy.

Ujął dłonie Belli i niemal złamało to jej postanowienie, lecz kiedy spojrzała w dół, zobaczyła pierścień z szafirem i koronkowe mankiety. Już sama koronka musiała kosztować fortunę. Podniosła wzrok i spostrzegła w uchu księcia drugi szafir.

Odsunęła się delikatnie i wyjęła chusteczkę. Podczas minionych miesięcy pozwoliła sobie tylko na jeden przejaw słabości: nadal nosiła w kieszeni kolczyk w kształcie czaszki. Rozwinęła chustkę i podała mu ozdobę.

Wziął ją i przyjrzał się rubinowym oczom.

- Chodziło o to, by skuteczniej ukryć tożsamość. Jesteśmy z Calebem podobni, ale nie identyczni, a kiedy ludzie widzą staromodny surdut, szkarłatną chustkę na szyi i czaszkę, zakładają, że mają do czynienia z kapitanem Rose. - Spojrzał na Bellę. - Wykradam tyle czasu, ile jestem w stanie, żeby być kapitanem Rose, ale okazja nie trafia się często. To z Calebem rozmawiałaś tamtej nocy Pod Busolą. Doniósł mi o tym, więc pospieszyłem do Dover dowiedzieć się, o co chodzi. Powinienem był ci powiedzieć, kim jestem, ale chwila nigdy nie wydawała się odpowiednia.

- Powinna była zgadnąć, kiedy spotkaliśmy się z Fortescue.

- Caleb wcielił się we mnie raz czy dwa, lecz tylko gdy było to absolutnie konieczne. Rola księcia jest trudniejsza.

Rozumiał to dosłownie i Bella poczuła ucisk w sercu. Wiedziała jednak, że musi być silna. Jemu mogło wydawać się, że jest zmienna niczym morze i potrafi stać się częścią jego świata. Ona wiedziała jednak, że to niemożliwe.

- Nic by z tego nie wyszło. Wsunął kolczyk do kieszeni.

- Odpocznij, Bello, po dobrze wykonanym zadaniu. Możesz powierzyć mi swoje damy. Zorganizuję ci podróż do Tunbridge Wells. Będziecie mogli wyjechać, ty i pan Clatterford, jutro rano. - Widząc, jak bardzo jest zaskoczona, dodał: - Zwrócił się do mnie o pomoc, lecz ja oczywiście byłem już w sprawę zaangażowany. Jeśli mam być szczery, poszedłem do lady Fowler nie mając pojęcia, że zastanę tam ciebie. Chodziło o Ellen Spencer.

Bella się roześmiała.

- Mary miała więc rację. Polecam ją pańskiej uwadze, Wasza Miłość. Jest z nas najbystrzejsza. Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. Bella poczuła się w obowiązku podać mu swoją, chociaż wiedziała, że książę ją ucałuje, co też nastąpiło.

- Wolałbym być kapitanem, gdyż wtedy byś mnie chciała. Lecz jestem tym, kim jestem, i zawsze tak będzie. Mam nadzieję, że z czasem mi to wybaczysz.

Puścił jej dłoń. Ruszyła ku drzwiom, lecz zatrzymała się i zapytała:

- Dlaczego dałeś tysiąc gwinei lady Fowler? Zaskoczony podniósł wzrok.

- Skąd o tym wiesz? Nie, nieważne - dodał, uśmiechając się szelmowsko. - Jesteś przecież sobą. Chwilowe szaleństwo, Bello, nic więcej. Myślałaś, że chodzi o jakąś intrygę? Wpłaciłem pieniądze w imieniu przyjaciela. Zobowiązywała go do tego niemądra przysięga.

Bella spojrzała mu w oczy.

- Chwila szaleństwa, lecz niemal zniszczyła życie kilku osobom. Zastanów się nad tym, Wasza Miłość.

Otworzyła sama drzwi i wyszła do wspaniałego holu.

Czekała tam na nią pokojówka. Bella dygnęła przed księciem Ithorne i udała się do przyjemnej sypialni, gdzie była w końcu sama i mogła płakać, póki znużona nie zapadła w sen.

## Rozdział 32

### *Tunbridge Wells, grudzień*

Nadchodzi lord Youland, Bello. Poflirtuj z nim, kochanie.

- Nie mam ochoty, lady Thalia - odparła Bella przyjaźnie. - Wie pani, że nietrudno go zachęcić.

- Potrzebujesz praktyki, moja droga. Na razie raczej odstraszasz dżentelmenów.

Otulone w futrzane płaszcze spacerowały po deptaku Tunbridge Wells. W grudniu przebywali tu na ogół jedynie stali mieszkańcy oraz inwalidzi, ale i tak nie można było narzekać na brak towarzystwa.

Bella zaczęła bywać dopiero przed dwoma tygodniami, po tym, jak sprawiła sobie nową garderobę.

Panie Trayce bardzo na to nalegały. Protestowała, mówiąc, że chce jedynie odpocząć, nim znajdzie sobie nowy cel w życiu, lady Thalia jednak, uosobienie eleganckiej damy, błagała niemal ze łzami w oczach pana Clatterforda, póki nie obiecał, że Bella zostanie z nimi przez jakiś czas.

Jak mogłaby odmówić?

- Miałyśmy w zeszłym roku młodą damę do towarzystwa - wyjaśniła lady Thalia - i było to bardzo odświeżające. Droga Genova wyszła jednak za męża. Po niej nastąpiła inna dziewczę, okazała się jednak istotą z gruntu pesymistyczną. Zawsze spodziewała się najgorszego, poleciłyśmy ją więc lady Vester, damie o podobnym usposobieniu.

Siostry Trayce były córkami markiza Ashart. Poprzedniego, gdyż obecny był jeszcze młody. Prawdę mówiąc, należał do grona hulaków, których lady Fowler z zapałem piętnowała. Odwdzięczał się jej, dostarczając smakowitych kąsków do artykułów i nie przejmując się napomnieniami.

Niedawno ożenił się jednak z Genową, towarzyszką swych ciotek. Była tylko córką kapitana z niewielkim posagiem - lady Thalia podkreślała to za każdym razem, gdy Bella wspominała, że nie jest wystarczająco dobrze urodzona dla dżentelmenów, których jej przedstawiano.

Lady Thalia, najmłodsza z sióstr, była dziarską siedemdziesięciolatką. Nie wyszła za mąż, gdyż jej narzeczony zginął dawno temu na wojnie. Ubierała się w sposób przystający znacznie młodszej kobiecie, ponieważ martwiło ją, co sobie pomyśli ukochany, kiedy spotkają się w niebie, a ona okaże się staruszką.

Lady Urania, starsza o kilka lat, była spokojną, stateczną wdową. Wyjechała już do posiadłości najstarszego syna, by spędzić tam Boże Narodzenie.

Najstarsza z sióstr, wielce otyła lady Calliope, była w stanie zrobić bez pomocy zaledwie kilka kroków. Damy zatrudniały dwóch lokajów solidnej postury, którzy nosili ją w specjalnej lektyce.

Lady Thalia bezwstydnie podziwiała ich muskulaturę.

Z początku lady Calliope przerażała Bellę, wydawała się bowiem wiecznie niezadowolona. Lecz wkrótce zaczęła dostrzegać szelmowski błysk w oku damy i sardoniczny ton w jej głosie. Teraz ufała jej bardziej niż pozostałym. Lady Calliope była niczym skała. Lady Thalia zaś, choć urocza, przypominała motyla.

Bella zgodziła się, by przedstawiono ją sir Irwinowi Butterby. Wydawał się cokolwiek zagubiony, a kiedy podeszła do niego z lady Thalią, wręcz przerażony. Lady Thalia działała tak na niektóre osoby, gdyż zawsze starała się kogoś wyswatać.

Kiedy odeszła, Bella postanowiła uspokoić baroneta. Poczyniła zabawną uwagę na temat odgrywania przez lady Thalię roli Kupidyna w stosunku do każdego dżentelmena, jaki miał nieszczęście pojawić się w zasięgu jej wzroku.

Natychmiast się uspokoił i przyznał jej rację. Przyjechał do domu sióstr jako eskorta chorej matki. Jej choroba odwlekała w czasie ślub z najukochańszą Marthą, która musiała być święta, ponieważ wcale się nie skarżyła. Po kwadransie rozmowy zgodzili się służyć sobie nawzajem za tarczę przeciwko matrymonialnym zakusom lady Thalii. Bella ruszyła dalej zadowolona, iż zyskała przyjaciela, ale w głębi duszy była bardzo smutna.

Smutek przepełniał ją w tych dniach do głębi i nie widziała na to rady. Obawiała się, że nigdy nie otrząśnie się z żalu po rozstaniu z Thornem, a kiedy natykała się na kolejną parę, wobec której los okazał się łaskawszy, ich szczęście sprawiało, że cierpiała jeszcze bardziej. Nawet sir Irwin, odwlekający ślub z uwagi na chorobę matki, był w lepszym położeniu.

Zbyt często płakała. Kiedyś łzy nie przychodziły jej łatwo, lecz teraz płynęły z byle powodu, zawstydzając ją i wprawiając w zakłopotanie. Nie chciała, by wiadano, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Z początku nie sypiała najlepiej, lecz w końcu zmęczenie pokonało bezsenność. Sny miewała jednak ponure. A przecież miała dopiero dwadzieścia jeden lat i życie przed sobą. Nie spędzi go, zapłakując się.

Byle do wiosny. Tak postanowiła. Wiosną zbuduje sobie nowe życie, choć nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób. Ed Grange poszedł w Londynie do terminu i obawiała się, że Peg nie zechce go opuścić. Co do niej, wiedziała, iż nie chce żyć w stolicy. Nigdzie tam, gdzie mogłaby natknąć się na księcia Ithorne. Mogłoby się bowiem okazać, że nie ma dość silnej woli, by oprzeć się jego naleganiom.

Przez cały czas bała się, że księżę przyjedzie do Tunbridge Wells. Zamieszkała u pań Trayce, żeby podreperować reputację, nie oczekiwała jednak, iż zostanie włączona do arystokratycznego towarzystwa.

Może powinna wrócić do Mary i pozostałych pań. Dom na obrzeżach Londynu, gdzie zamieszkały, zajmując się dobroczynnością, nazwały żartobliwie żłobkiem. Hortensja pozostała nieprzejednana, zgodziła się jednak nieco zmodyfikować sposób bycia. Mary została nieoficjalną matką przełożoną, mając do pomocy nieocenioną Betsy. Zamierzały przyjąć więcej pań, gdy tylko ich sytuacja na dobre się ustabilizuje.

Bella nie mogła jednak z nimi zamieszkać. Byłoby to po prostu kolejne stadko, na dodatek pozostające pod opieką księcia Ithorne.

Lucinda zaproponowała, by zamieszkały razem: dwie godne pożałowania stare panny. Belli było żal siostry, nie na tyle jednak, by z nią zamieszkać.

Ku powszechnej uldze Augustus zdołał pozbawić się życia. Podobnie szanowny Thoroughgood, który postąpił tak, jak zapowiedział - zastrzelił się w dzień po niechlubnych wydarzeniach Pod Jeleniem i Zającem. Sir Newleigh Dodd umknął na kontynent niczym płochliwy królik, którym przecież był. Z początku Augustus sądził, że i tym razem uda mu się wykręcić i uniknąć hańby. Szybko okazało się jednak, że to niemożliwe. Dotknął go ostracyzm, taki sam jak kiedyś Bellę. By o tym zapomnieć, jął przyjmować coraz większe dawki laudanum. W końcu, nie wiadomo, celowo czy przez przypadek, wziął go za dużo. Bella nie czuła się z tego powodu ani trochę winna - nie po tym, jak potraktował nie tylko ją, ale wszystkich, którzy byli od niego zależni. Świat stał się lepszym miejscem, a Charlotte Lan-gham zaręczyła się z miłym, statecznym młodzieńcem.

Ta część życia Belli była już zamknięta. Należało zacząć nowy rozdział. Mimo pokusy, bez Thorna... Nie wcześniej wszakże, jak wiosną.



\*\*\*

- Pora przygotować się do świąt - stwierdziła pewnego wieczoru lady Thalia, kiedy siedziały w saloniku przy sutym ogniu.
  - Stek nonsensów - burknęła lady Calliope.
  - No, no, Callie, nie przegapiłabyś świąt za żadne skarby i dobrze o tym wiesz. Przegapić Boże Narodzenie? - pomyślała Bella zdumiona.
  - Nie mogę się już doczekać - powiedziała. - Ostatnie cztery święta spędziłam w Carscourt i było to dość ponure doświadczenie.
  - Zatem te będą zupełnie inne! - oznajmiła lady Thalia. - Ponieważ spędzimy je w Rothgar Abbey! Bella zamarła z dłonią uniesioną nad robótką.
  - Ale czy to nie za daleko? - Lady Thalia i lady Calliope nie podróżowały. Bella nie była nawet pewna, czy lady Calliope byłaby w stanie dokądkolwiek pojechać.
  - Piekielnie daleko - wymamrotała lady Calliope.
  - Przecież chcesz tam pojechać, Callie. Zobaczyć maleństwo!
- Aha.
- Lady Rothgar już urodziła? - spytała Bella. Oczekiwano tego niecierpliwie, odkąd znalazła się w Wells.
  - Och, nie - odparła Thalia. - I mam nadzieję, że nie urodzi, nim tam nie przyjedziemy. Lady Elf - siostra Rothgara, Elfled - powiła dziecko w wigilię zeszłego roku. Czyż nie byłoby idealnie, gdyby w tym roku urodziła je jego żona? Kolejne bożonarodzeniowe dziecko! Genova miała swoją *presepe* - to śliczny model stajenki w Betlejem, kochanie - i śpiewałyśmy wszystkie znane piosenki o radości i dzwonek. Mam nadzieję, że jeszcze ktoś je pamięta.
  - Przestań paplać, Thalia - burknęła lady Calliope. - Choć muszę przyznać, że kiedy już tam dotarliśmy, było bardzo miło.

- Rothgar wszystko zorganizuje, obiecał też zrobić dla ciebie specjalne siedzisko. I będzie tam jego córka. Chciałabym ją poznać. To takie romantyczne. Romans w Wenecji - powiedziała do Belli bez cienia zakłopotania. Była doprawdy nadzwyczajną kobietą.
- Skandal w Wenecji - poprawiła ją lady Calliope.
- Jej kochanek był nieledwie chłopcem!
- Młodzieńcza miłość! - wykrzyknęła lady Thalia.
- A teraz córka Rothgara wyszła za Huntersdowna. Lorda Huntersdown, kochanie - wyjaśniła, zwracając się do Belli. - To taki wesoły szelma i rozkoszny flirciarz. Na pewno z miejsca cię oczaruje, Bello.

Ostatnie słowa wzbudziły czujność Belli. Z biuletynu lady Fowler dowiedziała się, że lord Huntersdown jest kuzynem Ithorne'a. Czy książę także tam będzie?

- Szykuje się wielkie wydarzenie towarzyskie? - spytała. Thalia wyduła usta.
- Nie w tym roku, kochanie. Z powodu dziecka zaproszono tylko najbliższą rodzinę. Lecz jestem pewna, że wszystko odbędzie się jak należy. Będą świąteczne przysmaki, ostrokrzew i bluszcz. Bożonarodzeniowe polano.

Belli kręciło się w głowie, jak zwykle w obecności lady Thalii. Lecz wiedząc, że nie musi obawiać się spotkania z Thornem, szybko się odprężyła.

- Już nie mogę się doczekać, *madame*. Dziękuję, że mnie panie zaprosiły.

Thorn przeczytał list, w którym Rothgar zapraszał go na Boże Narodzenie do Abbey.

Przeklęty facet. Czyżby dowiedział się o Belli?

Najwidoczniej. Razem z listem od niego nadszedł drugi, od pana Clatterforda. Prawnik informował go, że Bella wybiera się na święta do Rothgar Abbey. Informacja wprawiła Thorna w nie lada pomieszanie.

Dał Belli miesiąc, by odzyskała równowagę. Miał nadzieję, że czas spędzony z paniami Trayce przekona ją, iż byłaby w stanie poradzić sobie z książęcym splendorem. Obie damy należały do najwyższych kręgów arystokracji i choć nie bywały już tyle, co kiedyś, mogła nauczyć się od nich, jak radzić sobie pośród elity.

Chętnie wprowadziłby ją też w kręgi dworskie, lecz nie miał na tyle cierpliwości, żeby zaczekać do stycznia, kiedy to zacznie się sezon. Planował udać się z wizytą do Wells przed Bożym Narodzeniem. Gdyby udało mu się przekonać Bellę, zabrałby ją na święta do Ithorne - oczywiście z osobą, która posłużyłaby za przyzwoitkę.

Gdyby zgodziła się za niego wyjść, dalby jej dość czasu, by mogła w pełni przygotować się do nowej roli, lecz wpieryw należało skłonić ją, żeby przyjęła oświadczyzny. Bał się, że pewnego dnia usłyszy, iż poślubiła innego mężczyznę. Byłaby zdolna zawrzeć małżeństwo z rozsądku, byle uchronić się przed pokusą zostania jego żoną.

Czekał więc, zachowując zdrowe zmysły jedynie dzięki informacjom dostarczanym przez Clatterforda, a teraz prawnik donosił, że panie Trayce wybierają się na święta do Rothgar Abbey i zabierają ze sobą Bellę. Choćby wyruszył natychmiast, i tak nie zastałby ich już w Wells.

Próbował przekonać sam siebie, że powinien być bardziej cierpliwy, lecz nieoczekiwane zaproszenie stanowiło silną pokusę... Przyjęcie go oznaczałoby jednak, że dostałby to, czego pragnie, za pośrednictwem Rothgara i zaniedbał obowiązek celebrowania świąt w Ithorne Castle.

- Twoja opinia? - zapytał Tabithę, która znacznie wysmukłała, odkąd nie karmiła już kociąt. Zwierzaki podrosły i wymagały ciągłej uwagi, jako że niestrudzenie poszukiwały przygód.

Wyrocznia jednak milczała.

- Czy starczy mi odwagi, by czekać? - zapytał. **-Auuaa...**

- Nie, nie, na pewno byłabyś zadowolona, mając ją tutaj.

- *Aj-a.*

- Będziesz musiała się z tym pogodzić.

- *Ieee.*

- Nie ma sensu protestować. Muszę to w końcu załatwić. Nie zniosę zbyt długo tej tortury.

Przeczytał jeszcze raz list Rothgara, lecz nie dopatrzył się w nim podstępu. Nie cieszyło go zbytnio, że Rothgar dowiedział się o jego uczuciu do Belli, jednak rezygnowanie z tego powodu z nadarzającej się okazji byłoby głupotą.

Główną przeszkodę stanowiło, jak zwykle, poczucie obowiązku. Przekłète poczucie obowiązku.

Podszedł do okna wychodzącego na pokryte szronem grunty Ithorne Castle. Spędzał tu wszystkie święta, nawet kiedy był niemowlęciem. Nie raz wolałby pojechać z Christianem do jego domu, pełnego sióstr i braci, gdzie wszyscy doskonale się bawili, i to bez względu na wiek.

W końcu wypełniał jednak swój obowiązek, by nie zawieść mieszkańców Ithorne. Gdyby nie spędzał świąt w rezydencji, po co byłoby ją dekorować? Przygotowywać świąteczny posiłek dla garstki domowników żyjących na jego garnuszku? Dzierżawcy i pozostali mieszkańcy spodziewali się, że pan na włościach przyłączy się do świętowania. Niektóre zwyczaje oraz tradycje mógł kultywować jedynie on.

Robin miał matkę, która mogła go zastąpić.

On nie miał nikogo.

Może w przyszłym roku będzie miał żonę, a z czasem dzieci.

Bellę i dzieci Belli.

Poddani mogą świętować ten jeden raz bez niego. Zasiadł do biurka, aby napisać do Rothgara, że przyjmuje zaproszenie.

Po chwili podarł jednak list i wrzucił do kominka. Nic z tego. Zbyt wiele osób byłoby zawiedzionych.

Wziął kolejny arkusz i napisał do Robina, prosząc o opiekę nad Bellą. Kuzyn miał przede wszystkim nie dopuścić, żeby związała się z kimś innym.

Gdy tylko wypełni bożonarodzeniowe obowiązki, co koń wyskoczy ruszy do Belli, gdziekolwiek będzie się znajdowała. Jeśli nie zmieni zdania i nadal będzie uważała, iż nie powinna wychodzić za księcia, to... Nie miał pojęcia, co wtedy zrobi.

\*\*\*

Bella wysiadła z luksusowego powozu przepelniona oczekiwaniem. Podróż zbyt jej nie zmęczyła, przeciwnie, wyglądało na to, że wyrwała ją z zaklętego kręgu nieszczęścia. Czowała się jak nowo narodzona, gotowa dobrze się bawić.

Nie spędziła dotąd wesoło świąt. Pod rządami jej ojca Boże Narodzenie było wydarzeniem religijnym o doniosłym znaczeniu. Nie przestrzegano dawnych zwyczajów, o których lady Thalia paplała niezmiernie w trakcie podróży: palenia bożonarodzeniowego polana, zawieszania jemioly czy wyznaczania wodzireja świątecznych zabaw.

Augustus dodał do tej ponurej tradycji jedynie skąpstwo. Oczywiście teraz wiedziała już, na co szły pieniądze, które mogłyby przeznaczyć na świętowanie. Nadal dziwiło ją, że nikt nie zorientował się, iż brat jest przysięgłym hazardzistą. Rozmyślała też często o tym, że ludzie potrafią zachować różne rzeczy w tajemnicy. Panie Trayce wiedziały na przykład o skandalu z przeszłości Belli, ale nie o Bellonie Flint ani o uczuciach podopiecznej względem księcia Ithorne. A ona im się nie zwierzała. Ciemnowłosa mężczyzna, który je powitał, musiał być panem domu. Chociaż ubrany niezwykle skromnie, uśmiechał się tak serdecznie, że Bella nie mogła się nadziwić, iż nazywają go Czarnym Markizem. Została przedstawiona, a potem markiz podał ramię lady Thalii

i poprowadził ją schodami ku wejściu, podczas gdy służba pomagała lady Calliope wydostać się ze specjalnie skonstruowanego siedzenia. Choć markiz miał na sobie skromny strój i serdecznie się uśmiechał, widać było, że jest to człowiek, z którym należy się liczyć. Emanował pewnością siebie i poczuciem władzy.

A Thorn ma w towarzystwie wyższy status, napomniała się w duchu.

Nic by z tego nie wyszło.

Był pogodny dzień, jaki czasem zdarza się w grudniu, gdy słońce przygrzewa, ozłacając nagie gałęzie. Zatrzymała się u szczytu schodów i spojrzała na park, rozkoszując się widokiem. Na świecie było tyle piękna, jeśli komuś chciało się patrzeć! Można było wieść dobre życie nawet bez męża i dzieci, bez tego szczególnego rodzaju miłości.

Służba wносиła właśnie lady Calliope po schodach. Bella zaczęła i weszła wraz z nią do domu, gdyż wielkopańskie otoczenie nadal ją onieśmiało.

Dom był wewnątrz równie imponujący jak na zewnątrz, nie dostrzegła jednak ozdób świątecznych, jakie jej obiecano. Została przedstawiona markizie. Dama przywitała się, potarła olbrzymi brzuch i powiedziała, krzywiąc się żartobliwie:

- Malec wywija tam chyba hołubce.

Bijący od niej blask, spokojne zadowolenie sprawiły, że Bellę zakłuło znów w sercu. Lecz ostatnio działało tak na nią prawie wszystko. Dygnęła i podziękowała lady Rothgar za zaproszenie.

- Jest pani u nas mile widziana, panno Barstowe. Lord Rothgar podszedł do żony.

- Musicie wybaczyć nam, że w tym roku święta będą skromniejsze, ale podporządkowaliśmy wszystko najmłodszemu Mallorenowi, który ma przyjść wkrótce na świat.

Uśmiechnął się do żony.

Znowu te gwiazdy w oczach, pomyślała Bella. Nawet w takim środowisku... Więc może jednak... ?

Zabraniała sobie o tym myśleć, ale pytanie powracało. Odsunęła je. Markiza była przed ślubem hrabiną Arradale, odziedziczyła tytuł po ojcu. Ludzie powinni żenić się z podobnymi sobie. Czyż nie tak napisano w Biblii?

Powierzono ją opiece pokojówki, która poprowadziła Bellę przez zadziwiający labirynt korytarzy do pokoju, który wydawał się zbyt luksusowy dla zwykłej damy do towarzystwa. Bella wiedziała jednak, że nie należy o tym wspominać, zapytała więc jedynie, gdzie znajdują się pokoje pań Trayce.

- W końcu korytarza, proszę pani. Niedaleko. Za pierwszym razem wszyscy się tu gubią. Kiedy będzie pani chciała wyjść, proszę zadzwonić śmiało po lokaja. - Wskazała przycisk obok kominka. - Proszę mocno go wcisnąć, a na dole odezwie się dzwonek. Przyniosę teraz pani ciepłą wodę, by mogła odświeżyć się po podróży. Wkrótce wniosą też bagaż. Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze?

- Nie, dziękuję.

Chłonęła nastrój panujący w domu, w przydzielonym jej pokoju, zaskoczona, iż nie czuje się przesadnie onieśmielona. Pomimo imponujących rozmiarów, eleganckiego wystroju i wprawiającego w konsternację labiryntu korytarzy w Abbey panowała przyjazna, domowa atmosfera.

Pytanie znów do niej wróciło, a wraz z nim nowe myśli. Przebijały się ku powierzchni jej świadomości niczym pędy roślin na wiosnę. Opierała się im przez chwilę, a potem się odprężyła i pozwoliła, aby nią zawiadnęły.

Podróż jakoś ją odmieniła. A to, że znalazła się w miejscu, z którym nic jej dotąd nie łączyło, jeszcze wzmogło efekt.

Przeciwstawianie się największemu pragnieniu jej życia byłoby szaleństwem. Skoro drobne roślinki mogą rozsadzać skały, a wiedziała, że tak jest w istocie, pozwoli, aby nasionka w jej umyśle swobodnie się rozrastały.

### Rozdział 33

Bardzo szybko poczuła się w Rothgar Abbey jak w domu. Może dlatego, że tak jak zapowiedziano, nie było wielu gości. Ot, święta w rodzinnym gronie. Zważywszy na porę roku, dwanaście przebywających w rezydencji osób spędzało na ogół czas w nieprzesadnie dużych, za to solidnie ogrzanych pomieszczeniach.

Dowiedziała się, że w poprzednich latach bracia i siostry markiza zjeżdżali zawsze na święta, lecz odkąd weszli w związki małżeńskie, wszystko zaczęło się zmieniać. Inicjowali tradycję we własnych domach. Jeśli markizowi to się nie podobało, nie okazał nic po sobie. W końcu on też zmieniał obyczaje. Sprowadził z Włoch do domu dorosłą córkę, obecną lady Huntersdown, damę śliczną i pełną życia.

Bella przypomniała sobie, jak lady Fowler próbowała wywołać z tego powodu skandal, i było jej wstyd, że uczestniczyła w tak mało chlubnym przedsięwzięciu. Najchętniej przeprosiłaby markiza i jego córkę, ale Bellona Flint odeszła, zabierając ze sobą swoje uczynki.

Wkrótce lordowi Rothgarowi urodzi się dziecko, zapewne pierwsze z wielu i w przyszłości święta w Abbey będą wyglądały zupełnie inaczej.

Poza Bellą i paniami Trayce w rezydencji przebywało jeszcze kilkoro gości, tak przywykłych spędzać tu Boże Narodzenie, że zostali zaproszeni także w tym roku.

Panna Malloren, niewiasta w średnim wieku, uwielbiana plotki. Wiedziała o skandalu z przeszłości Belli, ale musiała zostać ostrzeżona, gdyż wspomniała o nim tylko raz, nie wracając już potem do tematu.



Pan Thomas Malloren był niezwykle milczący, a porucznik Moresby, daleki krewny, służył na statku i nie miał dokąd się udać. Wydawał się ze wszystkiego zadowolony, co czyniło zeń pożądanego kompana. Polubił też Bellę, a ona, choć nie była nim zainteresowana, chętnie przebywała w jego towarzystwie.

Lord Huntersdown rywalizował czasami z porucznikiem o względy Belli, co wprawiało ją w zakłopotanie, póki nie uświadomiła sobie, iż żonie lorda to nie przeszkadza.

- Ach, ten Robin! Flirt jest dla niego jak oddychanie - powiedziała z rozkosznym włoskim akcentem. - I robi to cudownie! Czyż angielskie święta nie są dziwaczne? Ten ciężkostrawny śliwkowy pudding. Olbrzymie polano. Jutro mężczyźni zetną drzewo i przyniosą je do domu. To będzie z pewnością zabawne. Pójdziemy z nimi, gdyż jesteśmy tu jedynymi młodymi damami. Będziemy trzymać im płaszcze, co jest kolejną tradycją.

Zatem w Wigilię Bella ruszyła z lady Petrą do lasu, gdzie mężczyźni rozebrali się do koszul, chwycili za gigantyczną piłę i ścięli bożonarodzeniowe drzewo. Nawet pan Rothgar uczestniczył w zbożnym dziele.

Później wybrała się z porucznikiem Moresbym nazrywać ostrokrzewu, bluszczu oraz jemioly i pozwoliła skraść sobie pod nią pocałunek. A właściwie, zachęciła go, żeby ją pocałował, był bowiem dosyć nieśmiały. Goście i domownicy pracowali razem, ozdabiając hol ściętymi gałązkami i podśpiewując tradycyjne świąteczne piosenki.

Nie tak wyobrażała sobie życie arystokracji. Czuła, że roślinka w jej sercu wzrasta z każdą godziną, a pączki rozwijają się w liście.

Och, wiedziała, że jest też druga strona medalu: blask i etykieta, arogancja i dystans, lecz teraz poznała także tę

mniej oficjalną. Ot, rodzina, obchodząca wspólnie święta - i wyczekująca z pewnym niepokojem narodzin potomka.

Medycy ostrzegli, że poród może nastąpić wcześniej, tymczasem nadeszła Wigilia i nic się nie działo. W rezydencji czekali lekarz oraz położna. Czuwali nad lady Rothgar, która nie opuszczała prawie sypialni. Lord Rothgar pełnił z powodzeniem obowiązki gospodarza, lecz widać było, że rośnie w nim napięcie.

- Jest spięty, ponieważ nie może nic zrobić - powiedziała Petra do Belli. Ozdabiały jaskrawymi wstążkami balustradę schodów, a pozostali rozwieszali dzwoneczki. Wydawały miły dźwięk, który jednak zaczynał już działać Belli na nerwy.

- Nikt nie może - powiedziała. - Byłoby jednak okropne, gdyby coś poszło nie tak.

Przypomniała sobie, że Petra też nosi pod sercem dziecko, choć do porodu zostało jeszcze kilka miesięcy i pożałowała swoich słów.

- Przywykł, że sprawy toczą się tak, jak on zechce. Kiedy jest się Mallorenem, powtarza, wszystko jest możliwe. Trudno kochać kogoś takiego.

- Doprawdy? - spytała Bella, przywiązując wstążką gałązkę ostrokrzewu. Było na niej mnóstwo jagód, co stanowiło dobrą wróżbę, przypomniała sobie jednak dawną piosenkę, w której przyrównywano je do kropel krwi.

- Oczywiście. Gdy kogoś kochamy, przede wszystkim obawiamy się stracić kochaną osobę.

- Może więc lepiej nie kochać.

- Nie mamy wyboru. Miłość to życie. Nawiedza wszystkich. - Petra spojrzała na towarzyszkę. - Ty... nigdy nie kochałaś?

- Nie jestem pewna.

- Więc nie kochałaś - stwierdziła Petra, podkreślając słowa gestem.

- Owszem, kochałam! - zaprotestowała Bella, a potem usiadła, zrozpaczona z powodu braku zdecydowania, na schodach.

Petra przycupnęła natychmiast obok niej.

- Opowiedz! -Nie!

- Dlaczego?

Ponieważ opowiedzenie o uczuciu do Thorna sprawiłoby, że wąż dotąd roślina stałaby się w jednej chwili solidnym dębem, niszcząc wszystko.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytał żonę lord Huntersdown, podchodząc. Zaniepokoiło go, że usiadła na schodach.

- Oczywiście. - Lecz potem przyznała: - Jestem tylko trochę zmęczona.

Pomógł jej wstać, okazując troskę i czułość. Oto miłość, cudowna i straszna, której nie sposób się przeciwstawić, a jednocześnie najśłodszy dar, jaki przynosi nam życie.

Zatem, myślała Bella, obserwując oddalającą się parę, drzewo rośnie, i nic się nie da na to poradzić. Siedziała na stopniach pośród zieleni i świątecznych wstążek, a wokół niej rozbrzmiewał wesoły dźwięk dzwonek. Wszystko wydawało się teraz oczywiste. Tak oczywiste, że nie była w stanie wyobrazić sobie, dlaczego wcześniej tego nie dostrzegła.

Miłość stanowiła klucz, a oni się kochali. Kapitan Rose czy książę Ithorne - co za różnica?

Mężczyzna, kryjący się pod obiema postaciami był przecież ten sam. To on ocalił ją Pod Czarnym Szczurem i towarzyszył jej w trakcie podróży. Był jej partnerem w zemście, kochankiem i przyjacielem.

Miłość płonęła, rozsiewając dookoła blask. Ta sama miłość, którą on tak po prostu jej wyznał. Nie była delikatną roślinką, którą zwarzyć może byle przymrozek. Była mocna, trwała, zdolna kruszyć skały, a nawet rozsadzać góry. Była dębem.

Lady Thalia podeszła do schodów.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

Bella wstała.

- Znakomicie - odparła z uśmiechem. Wzięła do rąk wstążki i kolejną gałązkę. A potem uświadomiła sobie, że to, iż była tak ślepa, może ją drogo kosztować. Bo jeśli Thorn zmienił zdanie? Od ich rozmowy minął już miesiąc. Nie, niemożliwe. Gdyby tak się stało, oznaczałoby to, że ich uczucie nie jest nic warte. Lecz dała mu kosza. Stanowczo. Gdyby tylko mogła do niego pójść, cofnąć tamte słowa! Było to jednak niemożliwe. Musi czekać...

A właściwie, dlaczego?

Upuściła gałązkę i pobiegła do niewielkiego saloniku, gdzie spodziewała się znaleźć przybory do pisania.

Marcowy zając, pomyślała. Parsknęła śmiechem, zakrywając dłonią usta, by jej nie usłyszano.

Radość, przecucie zbliżającego się szczęścia, musowały w niej niczym szampan.

Najchętniej pojechałaby natychmiast do Thor-na - mogłaby nawet ukraść konia! - nie była wszakże aż tak szalona, aby wypuszczać się samej w podróż przez zimowy krajobraz. Lecz skoro musi pozostać w Abbey, przynajmniej do niego napisze.

Podarła pięć arkuszy, zanim zdecydowała się w końcu na kilka absurdalnie prostych słów.

***Thorn, najdroższy. Wybacz mi. Tak. Proszę.***

***Tvoja Bella***

Poskładała starannie list, zapieczętowała go, a potem, nie wiedzieć dlaczego, ociągała się przez chwilę z wysianiem, gdyż nie życzyła sobie, by wiadano, do kogo pisze. Przewyciężyła jednak niechęć i napisała adres, a potem odszukała markiza.

Rozmawiał z lady Calliope. Odwrócił ku Belli uśmiechniętą twarz, widziała jednak, że jest zmartwiony.

Cena miłości. Chętnie ją zapłaci.

- Muszę wysiać list - powiedziała. - Wiem, że są święta i przykro mi, że ktoś będzie musiał go zawieźć, ale... Po prostu muszę.

Spojrzał na adres na liście, uśmiechnął się serdeczniej i na chwilę cień w jego spojrzeniu nieco zbladł.

- Oczywiście. Dopilnuję, by dotarł do adresata. Teraz pozostawało jedynie czekać i razem ze wszystkimi brać udział w świątecznych obchodach.

Przed północą lady Rothgar zeszła na dół, uśmiechnięta i zrelaksowana, co poprawiło wszystkim humor. Poruszała się jednak z trudem, jakby ciężar w jej brzuchu stał się nagle ponad siły. Wniesiono dużą drewnianą skrzynię i lord Rothgar zwrócił się do lady Thalii:

- Zechciałabyś ją otworzyć?

Thalia wyglądała jak dziecko, które dostało właśnie prezent. - Mogę? Jakież to ekscytujące! - Uniosła wieko, pod którym widać było słomę. Zanurzyła w nią dłonie i wyjęła malowaną figurkę osła. - Och - powiedziała, zachwycona. - Szopka! Jak cudownie. Myślałam, że to smutne, iż nie będziemy mieli w tym roku stajenki. Bello, kochanie, podejdź i mi pomóż. Genova przywiozła w zeszłym roku szopkę. Pamiętasz Genowę? Tę, która wyszła za Asharta? Jakże cudownie bawili się w zeszłe święta! Ech, młodzieńcza miłość! Nie wszystko idzie wtedy gładko, ale to część przyjemności. Pomóżcie wszyscy! - zawołała wesoło. - Musimy ustawić ją na tyle szybko, by włożyć dzieciątko do żłobka dokładnie o północy.

Wydawała się nieświadoma zaniepokojonych spojrzeń. Tylko lady Rothgar siedziała absolutnie spokojna, gładząc delikatnie brzuch i przyglądając się temu, co działo się dookoła.

Petra była niemal tak podekscytowana jak lady Thalia, gdyż szopka stanowiła włoską tradycję.

Opowiadała o tym, a także o innych świętach, mężowi, a on się uśmiechał, oczarowany jej radością.

Miłość wszystko pomnaża, pomyślała Bella. Radość, ale i smutek.

Ustawiono szopkę na stole obok kominka. Do północy zostało jeszcze trochę czasu. Figurki zostały starannie wykonane, ale było ich niewiele - Maria, Józef, wół, osioł. Trzej pastuszkowie i kilka owiec - lady Thalia i Petra nalegały, aby ustawić te ostatnie w pewnej odległości od stajenki. W pudle byli też trzej królowie i ich wielbłądy, najwidoczniej musieli jednak poczekać na swoje święto.

- Genova miała dużo więcej postaci - stwierdziła lady Thalia - ale i wam przybędzie figurek, gdy zaczniecie obdarowywać nimi, jak to jest w zwyczaju, dzieci na urodziny.

Tym razem w jej słowach dźwięczała kojąca pewność.

A potem zegar zaczął wybijać północ. Z oddali dobiegł dźwięk dzwonów. Nastało Boże Narodzenie.

Thalia włożyła dzieciątko do żłóbka i zaczęli śpiewać kolędy.

Prawdziwe dziecko jednak się nie pojawiło, a kiedy wreszcie się położyli, Bella nie mogła przestać się zastanawiać, kiedy Thorn odpowie na list.

Marcowe szaleństwo zaczęło ją opuszczać, pozostawiając miejsce dla wątpliwości. Czy miłość może zblednąć? Umrzeć?

## Rozdział 34

Dzień Bożego Narodzenia wstał słoneczny i po mszy Bella wymknęła się na dwór. Chciała pobyć trochę sama.

Jej modlitwy były tego dnia dość egoistyczne: Spraw, Panie, by nadal mnie pragnął i szybko mi to wyznał; niech skończy się to okropne czekanie. Pamiętała jednak, aby pomodlić się także za lady Rothgar i mające się narodzić dziecko, poprosić o to, by poród przebiegł bez komplikacji, a domownicy przestali się zamartwiać.

Maszerowała energicznie alejką pomiędzy wiecznie zielonymi żywopłotami, nie mając pewności, czy ku czemuś zmierza, czy przed czymś ucieka. Miłość to wariactwo, pomyślała. Nie czuła się zdrowa na umyśle. Wędrowała i wędrowała, jakby chciała dojść piechotą do Kent. W końcu jednak się zatrzymała.

Należało wrócić do domu na bożonarodzeniowe śniadanie.

Zasiedli w małej jadalni, jednak zastawa była wytworna, a niektóre dania podano na złotych półmiskach. Doskonałe wino lało się strumieniami, wznoszono też liczne toasty, jednak pod demonstrowaną powszechnie bez troską krył się niepokój. Bella zaczynała dochodzić do wniosku, że byłoby lepiej, gdyby świętowanie odłożono na czas, kiedy dziecko już się urodzi.

A może raczej na czas, kiedy Thorn wreszcie przyjedzie?

Lecz wtedy - podawano właśnie płonący śliwkowy pudding - lady Rothgar powiedziała: -Och. Wszystkie oczy zwróciły się ku niej. Nikt nie potrzebował wyjaśnienia. Nie wydawała się przestraszona ani cierpiąca, wyglądała raczej tak, jakby jej ulżyło. - Myślę... że wreszcie... Mąż podbiegł do niej natychmiast, pomógł się podnieść i wyprowadził z pokoju. Pozostawili po sobie puste miejsca i odrobinę zakłopotania, lecz lord Huntersdown wziął sprawę w swoje ręce.

- To dobre nowiny i kolejny powód do świętowania. Siadajcie, przyjaciele, kontynuujmy posiłek. Tak właśnie zrobili, choć Bella podejrzewała, że większość zgromadzonych w jadalni osób nasłuchuje mimo woli tego, co dzieje się gdzieś w domu. Poród nie zawsze przebiegał gładko. Czasami matka lub dziecko - albo oboje - umierali. Uroczyste śniadanie trwało jednak dalej, a gdy się skończyło, przeszli do salonu, by zagrać w karty.

Bella była jednak zbyt roztargniona, na dodatek widok stolika do gry przywołał wspomnienie Augustusa. Ta gra była jednak dosyć niewinna, a wygraną stanowiła ryba z kości słoniowej. Wszyscy, nawet lady Calliope, pokrzykiwali wkrótce z podniecenia albo rozczarowania, bawiąc się doskonale. Bella nie mogła jednak zapomnieć, że gdzieś w domu odbywa się poród. Żałowała, że nikt nie informuje ich na bieżąco o sytuacji, spróbowała więc skupić się na grze, aby oderwać myśli od tego, co działo się na górze.

Ktoś powiedział:

- Bella?

Zniecierpliwiona podniosła wzrok.

Przez chwilę wpatrywała się zaskoczona w księcia, a potem wstała i rzuciła mu się w ramiona.

Nareszcie... Nareszcie...



Przerwała gorący pocałunek i odsunęła się od Thorn'a. Usłyszała dobiegające z pokoju wiwaty i śmiech i odwróciła się spłoniona ku reszcie towarzystwa. Nie patrzono jednak na nią. Wszystkie oczy zwrócone były na Rothgara, trzymającego w ramionach zawiniątko.

Gwiazdy w oczach, pomyślała, błyszczących innego rodzaju miłością. A także szczęściem.

- Zostałem pobłogosławiony kolejną córką - powiedział markiz. - Poszło doskonale i wszystko jest już w porządku.

Jakkolwiek wyglądały w Rothgar Abbey świąteczne zwyczaje, tego dnia zdecydowanie je zaniedbano. Przyniesiono więcej wina, by uczcić narodziny dziecka, a potem Petra i lady Thalia poszły z lordem Rothgarem na górę odwiedzić matkę. Nie wrócono już do kart, zastąpiwszy grę beztróską pogawędką.

Bella i Thorn wysłiznęli się na zewnątrz, w zapadający zmrok, żeby być sam na sam, przytulać się i w nieskończoność całować. Objął dłonią jej twarz i spojrzał w oczy.

- Masz pokój? - zapytał.

Wiedziała, o co pyta, podobnie jak to, że ma gwiazdy w oczach.

- Chodź - powiedziała.

Zgubiła się po drodze i Thorn się roześmiał, a potem ona się roześmiała i zaczęli całować się w korytarzu. Stanik jej wydekoltowanej sukni obsunął się jeszcze bardziej, a szpilki wysunęły z włosów.

Dzięki Bogu w domu nie było wielu gości i wszyscy znajdowali się gdzie indziej.

Spróbowała znowu i znalazła wreszcie właściwy korytarz, a w nim swoją sypialnię.

Rozebrał ją z wprawą, a ona mu pozwoliła, rozkoszowała się tym, co robi, zwłaszcza delikatnymi pieścizotami i pocałunkami, które towarzyszyły rozbieraniu. Kiedy wreszcie wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, które wcześniej niepostrzeżenie rozścielił, chwiała się na nogach i ugięły się pod nią kolana.

Talent i wprawa. Z uśmiechem obserwowała, jak Thorn się rozbiera. Wiedziała, że uśmiech, szczęście i radość wręcz się z niej wylewają. Towarzyszyło im uczucie triumfu, spowodowane tym, że mimo wszystko byli tutaj razem, a wkrótce staną się jednością. Podeszedł do niej i zobaczyła na jego twarzy ten sam wyraz triumfu. Było to ukoronowanie wszystkiego. Ten mężczyzna, bohater, księżę naprawdę ją kochał, pragnął jej i potrzebował. Tak bardzo, jak ona jego.

- Żałuję, że kazałam nam czekać - powiedziała. Roześmiał się.

- A ja nie. Nie w tej chwili.

Położył się obok niej i zaczął dotykać w ten swój specjalny, wprawny sposób, ale tym razem było inaczej. Wyczytała to z jego spojrzenia. Kiedy zrozumiała, na czym polega różnica i co oznacza, zaparło jej dech w piersi. Tej nocy nie skończy się na pieszczotach.

- Weź mnie - powiedziała. - Uczyń swoją i przypieczętuj nasz związek na wieki.

I tak właśnie zrobił. Nieraz marzyła o tej chwili, wyobrażając sobie, czym i jaka będzie, lecz rzeczywistość przerosła oczekiwania. Przerosła nawet marzenia, a także palącą przyjemność, jaką dał jej przedtem, unosząc ich oboje na niebotyczne wyżyny.

Później, kiedy leżała przy nim, mrugając gwałtownie, by pozbyć się łez wywołanych świadomością, że to wszystko może być jej na zawsze, że będzie jej, powiedziała:

- Z czasem ja też nabędę wprawy w sztuce miłości. Spodziewała się, że Thorn tylko się uśmiechnie, on jednak powiedział:

- Cóż za czarująca perspektywa. - A potem spoważniał. - Powinienem być mądrzejszy, wtedy Pod Jeleniem. Powinienem był przyjąć to, co mi oferowałaś.

Obróciła się i spojrzała na niego, pięknego w swej nagości, z rowichrzonymi włosami.

- Czemu tego nie zrobiłeś?

- Sądziłem wtedy, że to, kim jestem, ma znaczenie. Lecz w końcu wszystko sprowadza się do jednego, prawda? Nadzy jesteśmy sobie równi.

Bella się roześmiała.

- Nie na długo, bo wkrótce będziemy musieli nałożyć przebranie. Może stanę się znowu Belloną?

Thorn też się uśmiechnął.

- Wyrzucę tę ohydną brodawkę.

O wiele później, gdzieś w środku nocy - a Belli nie obchodziło ani trochę, że cały dom wie, co robią - powiedziała:

- Nauczę się, jak być księżną.

- Wiem, że okażesz się w tej roli cudowna. Nie musisz być jak inne. Ustanowisz własny wzorzec.

- Masz na myśli, że będę skandaliczna? - Nadal trochę ją to martwiło, postanowiła jednak, że zapłaci cenę za szczęście.

- Mam nadzieję - powiedział.

Wstał, piękny niczym posąg, i podniósł z podłogi bryczesy. Wyjął coś z kieszeni i się odwrócił.

- Pozwolisz?

Był to pierścionek.

Bella poczuła, że nie jest w stanie wykrztusić słowa, co było oczywiście bardzo niemądre.

- Musisz odpowiedzieć, wiesz o tym, prawda? - zapytał i usłyszała w jego głosie cień obawy.

Książę Ithorne nadal nie był pewny, czy jego oświadczenia zostaną przyjęte?

Wyskoczyła z łóżka i rzuciła mu się w ramiona, a on wirował z nią i wirował. A potem postawił ukochaną i wsunął jej pierścionek na palec. Klejnot nie był szczególnie duży i miał tylko jeden kamień. Rubin.

- Chodziło mi po głowie, aby wyrzeźbić go w kształt czaszki - powiedział - ale być może nie chcemy aż tak się afiszować.

- Nie chcemy? - spytała żartobliwie. - I dlatego zostałeś na noc w mojej sypialni?

Roześmiał się znowu.

- A zatem, chcemy. Skandaliczni, oburzający księżę i księżna Ithorne. - Pocałował ją znowu. - Skandaliczni zwłaszcza z powodu łączącej ich wiecznej miłości oraz oddania. - Poprowadził ją z powrotem ku łóżku. - Będziemy latali wysoko, ty i ja, a kiedy poczujemy się znużeni wysokością, uciekniemy na „Czarnego Łabędzia” - kapitan Rose i korsarz Bella, wolni jak ptaki pośród bezmiarów wód. Czyż to nie oburzające?